

Stenogramy Anny Jambor

I. Lata uniwersyteckie

KILKA SŁÓW WYJAŚNIENIA, W JAKI SPOSÓB WALIZKA ZAWIERAJĄCA BLOCZKI ZE STENOGRAMAMI ANNY JAMBOR ZNALAZŁA SIĘ W RĘKACH OBCEGO CZŁOWIEKA

Było to w ostatnich dniach lipca roku 1944. Moja niemiecka szefowa wezwała mnie do siebie i powiedziała mi krótko:

- Fraulein Rose, w ciągu godziny muszę wyjechać z Warszawy, w biurze zostaje Frau Wischniewski, a pani zaopiekuje się moją willą w Zboina Góra. Willę pani zna, była tam pani kilka razy. Na pierwszym piętrze jest pokój mojej bratanki, służba pani wskaże. Oto klucze i dwa tysiące złotych. Najlepiej będzie, gdy pani jeszcze dzisiaj po południu zabierze z Warszawy swoje rzeczy i od razu pojedzie do mojej willi. Umieści się pani w pokoju gościnnym.

Mówiąc do mnie te słowa, szefowa pisała na karteczce polecenie do kucharki zajmującej się gospodarstwem w Zbójnej Górze. Później dopowiadała mi resztę swoich zleceń:

- W pokoju mojej bratanki stoją dwie szafy, w jednej mieszczą się suknie i bielizna, a w drugiej trzy walizy. Mnie zależy tylko na walizce z fibry, pozostałe są ze skóry z wytłoczoną koroną nad literami A.J. Bardzo mi zależy właśnie na tej walizce z fibry. Gdyby pani musiała opuścić willę, proszę przede wszystkim zabrać tę walizkę. Ja i moja bratanka specjalnie to pani wynagrodzimy.

W kwadrans po tej rozmowie firmowy szofer na gwałt odwoził moją szefową na dworzec. Podobno z największym wysiłkiem zdołali uzyskać miejsce w pociągu do Gdańska. Dopadli stacji w ostatniej minucie. Historia wydarzeń nie pozwoliła jej powrócić do willi w Zbójnej Górze koło Radości, na drodze do Otwocka. Co do mnie, w kilka godzin później spakowałam moje skromne mienie i dobrze już pod wieczór firmowa ciężarówka podwiozła mnie pod furtkę willi. Zadzwoiłam, pokazałam kartkę szefowej, zaprowadzono mnie do małego, lecz gustownie umeblowanego pokoiku na drugim piętrze i przyniesiono mi na górę kolację.

W dwa dni później została przerwana komunikacja z Warszawą, zresztą zgodnie z dyspozycją Frau Wischniewski, która pełniła u nas funkcję zaufanej buchalterki, nie myślałam o jakimś wyjeździe. W niedzielę nad ranem w odległości stu metrów od naszej willi stanął czołg i do drzwi zapukali pierwsi żołnierze radzieccy. W ciągu kilku następnych dni panowało zamieszanie i sytuacja była niewyjaśniona. Niemcy okopali się w pobliżu, dom znalazł się właściwie na niczym terenie. Kilka nocy spędziliśmy w piwnicy, wokół domu strzelały karabiny maszynowe, którym wtórowały jazgotliwe wystrzały armatek umieszczonych w radzieckich czołgach. Było nam żal opuszczać wygodne schronisko w luksusowej willi. Wypędził nas dopiero pocisk, który rozwalił narożnik domu. Otworzyłam drzwi do pokoju, wydobyłam z szafy fibrową walizkę. Była ciężka jak na moje słabe siły, ale zniosłam ją na dół. Dobrzy ludzie pomogli mi i pod dobrym ostrzałem przebiegliśmy kilkaset metrów w stronę Radości. Oprócz walizki w ostatnim momencie w jakimś odruchu ściągnęłam z łóżka koc, który później, w okresie zimowym, oddał mi wielkie usługi po przerobieniu na płaszcz.

W Falenicy na jakimś stryszku znalazłam schronienie i w bardzo złych warunkach przezimowałam. Początkowo dostałam drobne zajęcie na miejscu, później, gdy ministerstwa przeniosły się na Pragę, dano mi pracę. Codziennie wędrowałam z Falenicy - pieszo i na furkach, jak się dało. Nowe życie rozkręcało się, historia tworzyła nową epokę.

Tymczasem zaczęłam czytać stenogramy Anny Jambor. Było tego sporo, dobrze ponad trzysta bloczków. Rzecz całkiem przypadkowa - kiedyś, gdy rozmyślałam nad polepszeniem sobie warunków pracy, zaczęłam się uczyć stenografii. Z podręcznika jako samouk, ponieważ nie stać mnie było w owych czasach na opłacanie kursów. Ale już te wstępne wiadomości pozwoliły mi po otwarciu walizki na odcyfrowanie słów w pierwszym z kolei bloczku: „Właściwie niepotrzebnie się zryczałam. W tym tygodniu skończyłam dwadzieścia lat, a pozwoliłam się sponiewierać ciotce jak jakieś głupie cielę pensjonarskie...”

Bloczki były porządnie ponumerowane, z datami. Początkowo czytałam fragmenty, później ułożyłam je kolejno i przeczytałam od deski do deski. W ciągu roku przeżywałam wspólnie z autorką wszystkie jej radości i smutki. Niektóre szczegóły zbliżały mnie do niej, inne oddalały. Trudno w tych kilku zdaniach kusić się o literackie czy społeczne analizowanie całości. Do mnie należy raczej ograniczenie się do napisania, że po przeczytaniu stenogramów poświęciłam cztery lata na zamianę stenogramów na maszynopis. Kupiłam nawet w tym celu maszynę do pisania, odmówiłam sobie wielu innych, może bardziej potrzebnych rzeczy. Przepisując zaś stenogramy, opuściłam w nich niektóre szczegóły drażliwe oraz balast drobiazgów niepotrzebnych i dla charakteru całości nieistotnych. Nie zmieniałam jednak stylu, zachowałam nawet wiele germanizmów. Zdarzało się, że zapędzałam się w mojej dokładności odtwarzania stenogramów i przepisywałam ustępy czy dłuższy powtarzające się od czasu do czasu. Później, po czytaniu już gotowych stron maszynopisu, dokonywałam wyboru, co przychodziło mi nietrudno, ponieważ znałam całość dziennika Anny Jambor. Tak wyglądała moja praca w ciągu czterech lat. Kilkakrotnie ustawałam i dokończenie odkładałam na później. Po kilku dniach powracałam jednak do zamierzonego celu i temu zawdzięczam, że pewnego dnia wiosennego napisałam: Koniec stenograficznych zapisków Anny Jambor. Maszynopis kosztował wiele trudu, odarł mnie z wielu godzin, które zazwyczaj poświęca się na przyjemności. Odmawiałam sobie kina, niemal przestałam chodzić do teatru.

Stenogramy obejmują okres ostatnich jedenastu lat przedwrześniowych. Brakuje w nich tylko jednego roku, gdy Anna Jambor po wyjściu za mąż wstrzymała się od „stenografowania swego życia”, jak to sama przy jakiejś okazji określiła.

W faksie notowania przez Annę Jambor wielu wydarzeń bezpośrednio, na żywo, należy z jednej strony ocenić wytrwałość, a z drugiej współczuć, że w ciągu tych jedenastu lat nie znalazła innych powierników myśli czy wymiany poglądów prócz martwych bloczków do stenografii. Na kartach tego osobliwego dziennika przewija się w znacznym stopniu historia warstwy, która podobnie jak i za granicą dorabiała się u nas majątku i windowała w górę, krok za krokiem, po szczeblach kapitalizmu.

Jako kobieta, szczerze współczuję bohaterce i autorce karetek tego dziennika. Marzyła zbyt często w swym życiu o jakichś wzlotach, a dostawiała do nich masywne, złote drabiny pojęć mieszczańskich. Różne idee służyły jej za rozrywkę, wszystkie zaś przeżycia cechował egoizm tuszowany jedynie sentymentalizmem. Tak mi się wydaje, nie czas jednak na uprzedzanie faktów i charakteryzowanie postaci Anny Jambor, która w pełni zresztą uświadamiała sobie przemiany dokonujące się w niej w poszczególnych okresach.

Osobiście - mieszkając również w Polsce - nie stykałam się z ludźmi ze sfery Anny Jambor. Był to dla mnie świat inny i nieznany. Prawie nie mieścił się w moim życiu, nie miałam do niego dostępu, nie znajdował on nawet odbicia w naszej literaturze współczesnej.

W Warszawie znalazłam się jak wielu innych na drodze ucieczki przed Niemcami. Ci, którzy ze mną uciekali, zginęli w moich oczach od bomby lotniczej w Łowiczu - ja dotarłam do Warszawy i przeżyłam oblężenie. Przygarnęła mnie z ulicy panna Beata Walczak, o której będzie mowa w notatkach Anny Jambor. Zaprowadziła mnie do siebie na ulicę Freta i poczęstowała pierwszym obiadem. Na drugi dzień Warszawa była już otoczona, zostałam u panny Beaty. Piłyśmy brudną i zakażoną wodę z Wisły, jadłyśmy końską padlinę, ale

przeżyliśmy. Później uspokoiło się, ludzie powrócili do stolicy, która przygarniała wszystkich. Pracy w tych warunkach nie starczyło, lecz masowo zaczęły powstawać bary kawowe. Głodni ludzie wypijali naparstek kawy, gdyż nie stać ich było na obiad. Paradoks? - Nie, ponieważ tak było. Ciemny płyn ratował od rozpacz, gdyż stwarzał złudzenia. Warszawa w tych miesiącach żyła z wyprzedaży. Jedni pozbywali się mebli i ubrań, by nie umrzeć z głodu i przetrwać, inni żerując na nędzy dorabiali się złotych dolarów... W pośrodku zaś tego wszystkiego srożył się krwawy terror niemieckiej okupacji.

Różnie było. Beata - podówczas już przyjaciółka - dzieliła się ze mną wszystkim, ochraniała przed niebezpieczeństwami pierwszego roku wojny. Handlowała, czym się dało. Ja w zamian prowadziłam nasze kuchenne gospodarstwo. Gdy napierałam się do pracy, któregoś dnia zaprowadziła mnie na Nowy Świat, gdzie w jednym z barów kawowych pomagałam zmywać naczynia. Właścicielkami baru były: jakaś generałowa oraz dwie inne panie, zawsze mocno wymalowane i wystrojone. Być może nawet generałowa Wirewiczowa nie była taka zła. Pomagała różnym ludziom, a mnie samą poleciła w niemieckim przedsiębiorstwie handlu drzewem, które mieściło się przy ulicy Hortensji. Początkowo posadzono mnie w buchalterii, później dzięki znajomości języka niemieckiego awansowałam na kasjerkę. Był to rok 1941 - historia posuwała się wówczas niezwykle szybko. A ja przygodnie poznawałam otoczenie i dawny świat Anny Jambor, nie przeczuwając nawet, że kiedyś będę czytać najbardziej intymne kartki jej pamiętników.

Niektórym z osób występujących w zwierzeniach Anny Jambor zmieniałam nazwiska, podobnie uczyniłam z nazwami kilku miejscowości. Natomiast w pełni uszanowałam fakty i myśli autorki tego stenografowanego dziennika, niczego do nich nie dodając. Nie ośmieliłam się również skreślić pod tymi stenogramami jakiegoś podtytułu w rodzaju: Pamiętniki snobki. Anna Jambor była bowiem nieodrodnym dzieckiem warstwy, wśród której żyła. Zbieg okoliczności ponadto umożliwił jej realizację wielu z tych rzeczy, które w nieśmiałej formie zjawiały się wówczas w myślach i pragnieniach ludzi z jej otoczenia.

Kazimiera Różyc

Warszawa - w marcu 1951

CZEŚĆ PIERWSZA

BIURALISTKA

Maj - wrzesień 1928

Początek maja - 1928

Właściwie niepotrzebnie się zryczałam. W tym tygodniu skończyłam dwadzieścia lat, a pozwoliłam się sponiewierać ciotce jak jakieś głupie cielę pensjonarskie. W dodatku cielę z małego miasteczka, jak mi to powiedziała kochana ciotuchna w przystępie rodzinnej szczerości. Niech lepiej ta wdowa po sekretarzu sądowym patrzy swojej córuchny, którą własny mąż już dwa razy wyrzucił z domu za jakieś amory na boku. Stara koza ma już dobre trzydzieści dwa lata i troje dzieci, a jeszcze skacze do chłopów. I odbiera im żony, a to podobno jest wielkie świństwo. Specjalistka zresztą od starych chłopów, takich po pięćdziesiątce... Mamuńcia widzi w niej jednak bóstwo, jakiegoś „Wenus XX wieku” ...psiakrew!

Jak mi to powiedziała przedwczoraj?

- Czy ty, głupia, myślisz, że się ktoś złapie na twoje grube giry? Także panna! Piersi jak deski, żadnych bioder i cóż się dziwić, że nawet porządny angielski kostium wisi na tobie jak stara marynarka na kiju od straszaka na wróble. Cnota, cnota... dziewczyno... Czy ty sobie wyobrażasz, co powie twój mąż po ślubie? A ja, głupia, będę musiała świecić ze wstydu

oczyrna i opowiadać jakieś bajki. Ale jakie? Dziewica, ładna mi dziewczina, która wypisuje w pamiętniku opowiadania o tym, jak ją zgwałcili po pijanemu na ławce w parku miejskim. Moja Melcia była przynajmniej dziewczicą aż do ślubu (???). Ona i obecnie jest porządną kobietą, a jedynie ten dureń Michalski zatruwa jej życie. Biedna dziewczyna płacze i zamartwia się, a mąż łobuz - westchnienie ciotki: wszyscy mężowie są łobuzami - pije poza domem, włóczy się po szynkach z koleżkami i na pewno sypia z różnymi zdzirami. Podróże handlowe? Już ja dobrze znam takie podróże! Patrzyłam na to własnymi oczami, gdy jeszcze u mnie mieszkali. Po dwa dni go w domu nie było, a po powrocie wyglądał jak zdechły flak. Ładnie go tam musiały maglować te flądry. Wszyscy jego porządni koledzy zarabiali na podróżach, a to bydlę nigdy groszem nie śmierdziało. W dodatku buntował mojego nieboszczyka - świeć, Panie Boże, nad jego duszą! Mój mąż miał dobre serce, ale słaby charakter. Razem chodzili na piwo. O, ja już dobrze znam te ich piwa! Moczymordy, psiakrew.

Ale na co patrzysz, występna córko? Święty Boże, stało się! I to ma być dziewczyna z porządnego, kupieckiego domu. Przecież ty nawet nie wiesz, jak wyglądał ten twój kochanek od zgwałcenia! Na ławce, w parku miejskim... Horrendum. Nawet ojcu nie można tego opowiedzieć, zaraz skoczyłby mi do oczu. Już ja wiem, co by mi powiedział: ładnie upilnowałaś mi córki. Tak jakby można było upilnować takiej latawicy. Tylko jej kina w głowie i chlopy do szczypania. Głupia, sto razy głupia! Gidia, suche to jak drewno, ale umiała się położyć pijanemu oficerkowi na ławce w parku. Pamiętaj, ani mm mru! Nikomu! Żadnej koleżance - tego by mi jeszcze brakowało! Z biura by cię od razu wylali, całe miasto by zaraz wiedziało, że bratanica Świetlikowej z ulicy Nakielskiej łajdaczy się z oficerami w parku. Co ja z tobą pocznę? Najlepiej by było, gdybym ciebie odesłała do ojca, ale ładnie byś mnie obgadała w tym waszym Wąbrzeźnie. Na pewno byś pyska nie trzymała. Ale ja wiem, co zrobię, na łańcuchu będę ciebie trzymała w domu i nigdzie nie wypuszczę. Do biura, a z biura od razu prosto do domu. Pamiętaj o tym, ty szmato!

Długa to była litania różnych wyzwisk i pogróżek. A ja, głupia, dwie noce przeplakałam i w pierwszej chwili prawie że uwierzyłam ciotce.

Co mi tam taka ciotka. Zamiast pożałować i współczuć to zaraz wypluła tyle chamstwa po przeczytaniu mego pamiętnika. Właściwie to już jest świństwo, że rewiduje moje rzeczy! A co dopiero samo czytanie. Ciekawość starej dewotki. Co ona mnie obchodzi? Naprzód płacił jej ojciec grube pieniądze za moje utrzymanie, a obecnie ja płacę w dalszym ciągu. Jestem na swoim własnym utrzymaniu! Pracuję na siebie! Równie dobrze - za takie pieniądze - mogłabym mieszkać wygodnie u obcych ludzi. Przynajmniej mogłabym zamykać pokój na klucz i do walizki by mi nosa nie tkali!

Ale nawet złe rzeczy mają swoją wartość. Gdyby nie arabska awantura z ciotką, to bym musiała czyhać w mieszkaniu na okazję, gdy ciotka wychodzi z domu. Szkoda co prawda samego pamiętnika, ponieważ się do niego przyzwyczaiłam. Nawet nie umiałabym tego wszystkiego odtworzyć obecnie z pamięci w takiej formie, jak to przez kilka lat opisywałam. Śmieszny zresztą maczek panińskiego pisma, ale jeszcze śmieszniej brzmi to paniństwo. Właściwie taka sobie nazwa, taka czy inna, to i tak wszystko jedno. Nie cofnie się i nie odrobi. Stara głupia tercjarka i luterska dewotka - o mój Boże! - moja bratanica i już nie dziewczica. Wielka i niepowetowana strata. Porządna rodzina kupiecka z Wąbrzeźna, a córka straciła dziewictwo przed ślubem. Śmiać mi się chce!

Ale wypisuję same głupstwa. Starego - to znaczy mojego dyrektora - nie ma w biurze i używam sobie na swobodzie. A to jest bycza heca z tym pomysłem spisywania nowego pamiętnika w bloczku do stenografii. W biurze nikt się na tym nie zna, a w domu ciotunia na pewno nie jest w stanie pojąć, że nowy pamiętnik rozpoczęłam stenografować. Będę miała używanie! Ale kończę, ktoś dzwoni... Psia... słoniowa, stary fujara wrócił.

Napociłam się dobre trzy godziny. Dlaczego dyrektorzy mają zawsze głupie pomysły do pracy, gdy porzadnemu człowiekowi nie chce się pracować? Stary handlarz niewolników biurowych. Za głupie 180 złotych miesięcznie. Ale to nic, za kwadrans czwarta, pójdę umyć ręce, potem twarz do lustra, poprawienie włosów, dwie czerwone kreski na wargach i prosto - w kochające ramiona ciotuni. Ciotka to jest mój wróg nr 1, całe szczęście, że jest głupia. A Melcia, Meluchna - to głupie bydło i wydra. Biust ma owszem, ale za to rzadkie rude kłaki na głowie, to po swojej mamie. Nie dziwię się Michalskiemu...

Trach, co, znów drzwoni? Diabli nadali dyrektorów.

Wróciłam od starego. Mam przyjść po obiedzie do biura. Nadgodziny. Co powie ciotunia? A zresztą to i dobrze. Może skończymy prędzej, to zdążę jeszcze na ósmą do kina. Film z Rudolfem Valentino.

Ciotka marudziła podczas obiadu. Naprzód wyraziła podejrzenie, czy aby naprawdę idę do biura na nadgodziny, a potem wysupłała nowe nauki moralne:

- A może i lepiej, że masz w biurze więcej pracy? Przynajmniej nie będzie ci się chciało później gzić z polskimi oficerkami na ławkach...

Miła, kochana ciotuchna. I to ma być przyrodnia siostra mojego taty?

Jeszcze dopisuję. Wpół do ósmej. Jakoś tym razem stary się pospieszył. Nie głądził i nie kazał przepisywać, spieszył się na pociąg do Warszawy. Ciekawa jestem, czy mój dyrektor puszcza się w tej Warszawie? Przecież podobno - tak mówi ciotuchna... kość słoniowa - wszyscy mężczyźni puszczaają się z wydrami w czasie swoich podróży służbowych. No tak, ale skąd się bierze na świecie tyle wydr? Ja doprawdy jestem głupia. Koniec z pisaniem, zamykam sklepik. Chyba zdążę do kina. Nawet nie wiem dokładnie, co grają, Valentino, ale to wszystko jedno.

Kończę, jeszcze tylko ołóweczkiem po wargach. To jednak jest klasa pomysł z pisaniem pamiętnika w zeszytiku do stenogramów...

Sobota - 12 maja

Powinam napisać :- głupia sobota, głupiego miesiąca i głupiego roku. Cała moja frajda z wczorajszego kina była na nic. Nie dostałam się na Valentina i za to śmiałam się w innym kinie z głupich wałów, to znaczy z Pata i Patachona. Natomiast po powrocie do domu miałam smutny cyrk rodzinny w postaci dalszej serii wygłupiań się mojej ciotki. Ten babsztyl mógłby obrzydzić życie nawet jakiemuś świętemu! Dobre trzy godziny trąkotała mi nad głową. Naturalnie nie uwierzyła w moje kino i prawila mi nauki moralne. Mogłoby tego wystarczyć na trzy tuziny niewinnych dziewczic i dalsze trzy tuziny akurat takich samych jak ja.

Muszę koniecznie zapytać się w domu, jak to było w młodości z tą siostrą mego ojca. Nie ma w niej ani odrobiny delikatności. Z grubsza tylko ociosana. Nic dziwnego, że się jej sypią wąsy pod nosem. Starannie je goli, ale i tak widać. Ciężkie życie musiał mieć ten biedny Józinek. Całe życie trzymała go pod spódnicą i mocno przykrywała małżeńską kołdrą. W dodatku obie małżeńskie pocięchy wdały się w matkę. Nie wiadomo nawet, które z nich jest gorsze, Franus czy Meluńcia? Dobrana trójka, psiakrew!

A to mi ulżyło. Swoją drogą, mój stenograficzny języczek nie grzeszy zbytnią elegancją. A niech tam. Piszę dla samej siebie i nie muszę oglądać się nieustannie w prawo czy lewo. Najlepiej rypać prosto z mostu.

Ile to jednak kosztuje nerwów, gdy człowiek nie może wyprosić czy wyrzucić za drzwi i powiedzieć ciotuchnie:

- Nastąp, się, stara jędzo, idź do swego pokoju i w ogóle odczep się od porządnej dziewczyny, która pracuje, przynosi pieniądze do domu, i tak dalej.

Kiedy skończy się moja męczarnia? Chyba nawet w małżeństwie nie byłoby gorzej. Tam byłyby przynajmniej równe prawa. Mogłabym na przykład rzucić talerzem lub filiżanką

w ścianę. Mogłabym również powiedzieć parę ciepłych słów do słuchu lub skoczyć z paznokciami do buzi pana męża!

A tu nic, bo ciocia, a wiadomo, że ciocia to... jakieś wymyślone tabu. Nietykalna rzecz, W dodatku gdy się jej coś powie, to zaraz obraza i na poczekaniu słowa:

- Jaka ta dzisiejsza młodzież jest zepsuta! Nie uszanują siwych włosów. Przecież ty, dziewczyno, mogłabyś być moją wnuczką.

Całe moje szczęście, że tak nie jest! Tak jak bym właśnie ja była temu winna, że ona - stara, a ja - młoda?

Poniedziałek - 14 maja

Dobrze jednak, że ta sobotnia noc minęła. Całą niedzielę znów przeryczałam w domu. Do biura spóźniłam się i mój dyrektor patrzył na mnie jakimś podejrzliwym wzrokiem, widocznie myślał sobie, że łajdaczyłam się przez całą niedzielę i do biura przyszedłam prosto z jakiejś budy. Nie wiem co prawda zbyt wiele o tych łajdaczeniach się i o budach, ale korzystam w tym względzie z bogatego słowniczka mojej domowej opiekunki.

Obecnie starego diabli ponieśli na jakieś zebranie i mam względny spokój. Szkoda tylko, że nie można opędzić się biurowym szczeniakiem. Ledwie stary wytknie nogę poza biuro, a już w mig przychodzą do nas i strugają głupie miny. Wytresowane pinczerki. Gdyby nie tresura, to rzucaliby się na kobiety, gorzej niż psy na ulicy. To jest także jedno z cnotliwych wyrażen mojej cioci. Ale niezależnie od tego powiedzenia w istocie tak jest, jak napisałam. Nie zdarza się, aby któryś z tych młodych zwierzaków przeszedł koło mnie w sposób poważny. Zawsze padnie jakieś słówko, czasami są nawet usiłowania objęcia mnie w pół, pocałowania czy w najłżejszym wypadku otarcia się o mnie. Z Heleną jest co prawda trochę inaczej, ale to mężatka i ma już dwoje dzieci. Na nią nikt nie leci, jest już mocno przywiedła, a zresztą Helenka umie się odciąć i bez pardonu odstawia gościa. Może i sam wygląd mojej koleżanki działa hamująco? Trzydzieści lat i w tym sześć lat małżeństwa odarły ją z zalotnej kobiecości. W domu jest wołem roboczym, dwoje dzieci, no i mąż. Podobno nie jest lekki w pożyciu małżeńskim. Moczy mordę w kuflu - autentyczne powiedzonko mojej cioci o ś.p. mężu - pewno bije swoją Helcię po pijanemu, a ona cierpi z pokorą i oddaniem, również małżeńskim, bo to jest sakrament, tak mi raz powiedziała. Tralala... tralala!...

Ze mną tak by się nie udawało. Może jestem i cielę, jak mi to wmawia od ośmiu lat moja ciotka, ale kiedyś skończą się moje cielęce latka. Z cieląt bywają zazwyczaj krowy, zdarza się jednak, że wyrastają również pantery. Tygrysyce. Już z dwojga złego wolałabym zostać tygrysią... Ha ha ha! Co by było, gdyby było? Gdyby tak na przykład ktoś odcyfrował moje gryzmoły? Ale ciocia jest do tego za głupia, w biurze również nie umieją. Meluńcia - umie, ale zgoła coś innego!

Ale dość o ciotce! Zapomnijmy, nie piszmy o niej, pogrzebmy ją w milczeniu, wyrzucmy ją z naszych myśli! Człowiek chciałby pójść gdzieś między ludzi, porozmawiać o rzeczach wesołych, a tutaj zaraz obrzydliwa i zardzewiała pozytywka:

- Gdzie chcesz iść? Na pewno idziesz włóczyć się z chłopakami. Już ja znam te wasze nowomodne kinematografy. Niby dla filmów tam chodzicie? Głupiemu to mówić, a nie mnie. Ciemno, zaraz pierwszy lepszy chwyci za kolano lub pierś, albo i coś gorzej. Obraza Boża - jaka ta młodzież jest zepsuta, dawniej było lepiej - westchnienie ciotki - panny siedziały w domu przy matce i wyszywały swoje kawałki wyprawowe. I skromność była, i pożytek był. A dzieci były posłuszne rodzicom, szanowały starszych i Pan Bóg błogosławił ludziom.

Ładnie im błogosławił ten Pan Bóg, również i dawniej ludzie wodzili się za łby i panny puszczały się przed ślubem. Dlaczego jednak mieszać Pana Boga do tych wszystkich spraw? Lepiej by ciotuchna pilnowała swojej Meluńci i kochanek swego synka-drażała. Nie ma jeszcze dwóch lat, gdy się ożenił, a już podobno wydzierają sobie włosy z głowy. Nonsens, chyba tylko Franuś swojej żonie, wszak on jest kompletnie łysy. Ładne parę latek jest od

niego starsza ta jego „Stasieńka”. Podobno jest to tak zwany oficerski gust, nie wiem, co znaczy takie określenie, muszę kogo zapytać. Chyba ta Stasia już mocno po czterdziestce?

Sobota - 19 maja

Trrr. Znowu stary wrócił. Ale już dwunasta. On zawsze ma dryg do roboty właśnie w sobotę, jak by nie było innych dni w tygodniu!

Przetrzymał mnie. Za takie dwugodzinne przetrzymanie w sobotę powinni dyrektorów wsadzać do kryminału na dwa lata!

Idę do domu. Rozetrę trochę różu na policzkach i mocniej niż zwykle przeciągnę ołówczkiem po wargach. Ciotka tego nie lubi, a ja właśnie dla ciotki! Wszystko to muszę zrobić w tak zwanej toalecie. Ładna mi toaleta. Po prostu zwykły ustęp z wiecznie brudnym waterklozetem i jakieś zapotniałe i odrapane lustro nad umywalką. Żarówka pamięta jeszcze czasy, gdy królowna Wanda mizdrzyła się do niemieckiego Rydygiera - a to jej i tak nic nie pomogło, ponieważ, według najnowszej wersji historycznej, właśnie rycerz puścił królownę w trąbę. Widocznie stary król Krakus nie chciał dać za córeczką złotych dukatów, a Rydygier nie był w ciemę bity.

Składam teraz rzeczy, łap za torebkę i marsz do domu. Sobota, a zatem rosół z makaronem, sztuka mięsa z ćwikłą, kompot z kawałkiem jutrzejszego ciasta niedzielnego, a potem za godzinę jeszcze raz Bohnenkallee mit Kuchen, według niemieckiego rytuału Tante Katherine. Następnie sobotnie popołudnie, to znaczy szorowanie mieszkania na glanc, ponieważ w niedzielę przychodzą goście na popołudniową kawę z plotkami i oglądają kapy na łóżkach oraz badają, czy nie ma śmieci pod szafami.

Wtorek - 22 maja

Nie miałam ani odrobinki czasu do pisania. W sobotę podczas obiadu była nowa draka z ciotką, wieczorem przyjechała z Poznania Melańcia z najmłodszym, Wojtusiem, a późną nocą zjawił się z Wąbrzeźna mój ojciec. Mieszkanie zamieniło się w dom wariatów. Ojciec odjechał dzisiaj, lecz Melańcia - zdaje się - zostanie dłużej. Mówi się nawet o sprowadzeniu do Bydgoszczy pozostałych brzdąców. Pewnie, głupie, myślą, że przed południem ja będę w biurze, a Melańcia w łóżku, po południu na odmianę - Melańcia z gachami po kawiarniach, ja w charakterze bony w domu. Ale grubo się mylą. Nie mam do tego powołania, skończyły się piękne gimnazjalne czasy, obecnie pracuję i płacę ciotce własnymi pieniędzmi.

Ach, jakże chciałabym wydostać się z tego domu. Swoją drogą mam żal do ojca, że po śmierci matki poszedł po najłatwiejszej drodze i umieścił mnie po prostu tam, gdzie było najbliżej, to znaczy u ciotki Katarzyny. Tylko tyle, że dzięki Bydgoszczy skończyłam gimnazjum. Nic więcej, a później od razu do biura i do remingtona!

Może jednak i lepiej, że umieszczono mnie w Bydgoszczy? Inaczej umiałabym tylko gotować i wyszywać dywaniki, jak to dobrze robi moja najstarsza siostra Pelasia, lub pilnowałabym, kasy w sklepie, co od wczesnego ranka do późnego wieczora robi moja biedna Zośka. Ona ma w dodatku i tak smutne życie ze swoją nogą, utyka. A ja mam tylko grube nogi, ale zdrowe i proste. Może jednak kiedyś zeszczupleją? Może nawet nie są aż tak bardzo grube, może to tylko jakieś złośliwe urojenia ciotki? Wolę jednak moje giry, niż mleczny bufet córuchny mojej Tante Katherine! W dodatku ta głupia Niemczyzna w domu ciotki już mi gardłem wyłazi. Szkoda tylko, że nie wywieszają nad kanapą w salonie portretu Wilusia, który troskliwie przechowują na strychu, starannie opakowany w papier. Mela do dzisiejszego dnia nie nauczyła się porządnie mówić po polsku, nie daj Boże z pisaniem i zawsze tylko z rozmarzeniem wspomina o swoich wakacyjnych pobytach w Berlinie u jakiejś tam ciotki. Niemiecka zapewne jest ta ciotka, nie znam jej nazwiska, pewnie również z kominiarskiej rodziny Busse'ów, z których córką ożenił się w młodości nasz dziadek Jambor. Ciekawa jestem, czy ta berlińska rodzinka również robi w kominach? Podobno to jest bardzo intratny

fach, ale w żadnym wypadku nie wyszłabym za mąż za mistrza kominiarskiego, choćby nawet miał tyle kamienic co grudziądzki Busse.

Muszę sobie kiedyś wypisać na wieczną rzecz pamiątkę rodzinne historie, póki jeszcze mam to wszystko w pamięci. Może kiedyś wejdę na ścieżkę pokoju z moją ciotką i pociągnę ją za rodzinny jęczyzek. Ona wszystko wie i lubi opowiadać o tych breweriach rodzinnych. Niewątpliwie będzie to opowiedziane w najczarniejszych kolorach, ale warto i to posłyszeć, zaspokoje moją ciekawość.

Tymczasem mam na głowie Melańcę i jej krzykliwego bachora, to także jest pierwszorzędną głupota włóczyć się po świecie z małym dzieckiem. Chciałabym wiedzieć szczerą prawdę, co o tym myśli moja ciotka. Mela zawsze tylko swoje: babciu, babci, proszę babci i tak dalej. A może myśli, że w ten sposób sama się odmładza? A może tylko przypochlebia się starej?

Głupie myśli chodzą mi po głowie. Chciałabym być chłopcem.

Prysnęłabym w daleki świat i tyle by mnie widziała rodzina Jamborów. Pewnie, że na świecie jest troszkę inaczej niż w powieściach Karola Maya, ale chyba jeszcze nie wszędzie wcisnęli się mądrzy ludzie z biurami, remingtonami, buchalterią, samochodami i ze stenografią za 180 złotych miesięcznie?

W każdym razie pojutrze po południu jadę do Wąbrzeźna na całe cztery dni. Nablagowałam mojemu dyrektorowi o zjeździe rodzinnym i stary uwierzył! Popisywałam się moim stryjkiem w Ministerstwie Skarbu. I kto by uwierzył - jak działa taki radca ministerialny! Stary zaraz wypytywał się o to i tamto, musiałam blagować na potęgę. Szło mi dosyć zręcznie, widać w tym szkołę mojej ciotuni, którą całe życie musiałam obelgiwać. Nie kto inny, jak właśnie ona nauczyła mnie kłamać. To jest również sztuka, może nawet przydać się na coś. Biedny człowiek musi dobrze oganiać się od innych ludzi, całkiem jak na wsi dziad przed psami. Chyba że psy dziada znają, to znaczy - swój dziad i swoje psy.

Ale mojego dyrektorka nadełam w trąbę. Zrobiłam się od razu ważna w biurze, powiedział mi, że kto wie, czy mnie nie wyśle z pewną sprawą do Warszawy. Podobno mają tam jakieś trudności z pozwoleniami przywozowymi, przeszkadza im akurat Ministerstwo Skarbu. Mam się o to wszystko wypytać mojego stryjka podczas zjazdu rodzinnego.

Gorzej będzie, gdy ten radca rodzinny okaże się tylko jakimś referentem. Ale to nie jest chyba możliwe, Jambory to krzepki naród, chociaż ciotka mówiła mi kiedyś w przystępie złości, że rodzina mojego dziadka nazywała się dawniej Jamborek, a nie Jambor. Podobno skrócili sobie nazwisko dla wygody w okresie swoich niemieckich podróży i małżeństw z grudziądzkimi mistrzami, tak twierdzi ciotka Katarzyna. Ale mnie wszystko jedno. Dla mnie świat zaistnieje dopiero wówczas, gdy oderwę się od ciocinego pępka w przechodnim pokoju, w którym mieszkam od ośmiu lat.

W każdym razie miła perspektywa z tą biurową podróżą do Warszawy. Dotychczas posyłali mnie jeden raz do Poznania z jakimiś planami i dwa razy do Torunia z pieniędzmi na wypłatę dla robotników. Ale tamto były tylko posyłki, a to byłaby już samodzielna podróż dla załatwienia spraw firmowych. Chyba ten stryjek zaprosiłby mnie na jakiś dansing? W tłoku te moje grube nogi może nie wypadłyby najgorzej?

Czwartek - 24 maja

Meluńcia jest dziwnie słodka dla mnie. Jakoś owinęła matkę koło palca i zaprosiła mnie wczoraj do kina i do kawiarni. Kino jak kino, ale w kawiarni przysiadło się do nas dwóch znajomych panów. Meluńcia mizdrzyła się, nikt by nie poznał tego czupiradła. W kawiarni jakby wyładniała i wywierała bardzo widoczne wrażenie na bubkach.

Ciekawe, że obaj znajomi palili się tylko do Meli, a ja raczej służyłam za przyzwoitkę. Byli co prawda wszyscy bardzo uprzejmi dla mnie, ale ja nie robiłam na nich żadnego wrażenia. O godzinie dziesiątej miałam dość tej zabawy i ostatnim tramwajem wyrwałam się

na naszą ulicę Nakielską. Mela miała zostać jeszcze tylko krótką chwilę w kawiarni. Trwało to do godziny drugiej rano, znajomi widocznie odwieźli ją do domu taksówką, bo słyszałam hałas przed domem. Udawałam, że śpię. Nie spałam jednak i spod rzęs przyglądałam się Meli, gdy się rozbierała. Dziewczynka była mocno wstawiona, ubranko miała jakoś dziwnie wymiętoszone. Słowem - bezpłatny kabaret domowy, ponieważ Meluńcia zrzuciła z siebie wszystkie szmatki i kompletnie nago wędrowała po mieszkaniu. Ciotka zaś chrapała i nic nie słyszała.

W końcu Mela wróciła do pokoju z ręcznikiem na głowie i położyła się do łóżka, nie gasząc światła. Natychmiast zasnęła jak kamień i wkrótce dwa chrapania wystraszały duchy z miesza kania. Ciotka i jej córuchna. Czy ciotka, była taka sama w młodości? Chyba nie, wówczas lepiej pilnowano. A może jednak?

Wstałam z łóżka i zgasiałam światło. Sama się dziwię sobie, co miał oznaczać mój dziwny odruch? Przed zgaszeniem światła uporządkowałam ubranie Meli i wszystko ułożyłam, jak należy. Byłam nawet w kuchni i łazience, zatałam ślady nocnego łajdactwa Meli. Łazienka była mocno porzygana, ślady wiodły do kuchni, widocznie Mela gasiła pragnienie po wódce.

Co to było? Meli nie lubię, a na okoliczność naszego pokrewieństwa gwizdżę; chyba był to odruch jakiegoś koleżeństwa? Co napisać więcej? Chyba już wszystko. Dzieciak tym razem spał, jakby na zamówienie. Takim Melom - wszystko się udaje!

W biurze rozmyślałam nad wczorajszym wieczorem. Chciałabym widzieć, jak to było, ot tak, chociażby przez dziurkę od klucza...

W każdym razie coś musiało być, ponieważ ciotka Katarzyna mówi, że panowie nie urządzają zabaw w kabaretach za darmo, to znaczy tylko dla pięknych oczu. Właściwie chyba dla bufetowych piersiątek Meli. Mam w tym kierunku już swoje własne doświadczenie... Jakie to dziwne. Od tego czasu upłynął zaledwie rok, a cała przygoda wydaje mi się dzisiaj dziwnie blada. Właściwie mało pamiętam z tego wszystkiego. Niby to miał być niewinny dansing wieczorowy. Sama niewiele wypila, był to prawie pierwszy taki dansing w moim życiu, chyba mi czego dosypali do wódki, gdy tańczyłam. Pytałam się później mojej koleżanki, jak to było. Ona również nie знаła tych oficerów. Jednego z nich poznała tego samego dnia przed południem na ulicy. Byli razem na ciastkach u Stenzla i namówili się na dansing. Miała przyprowadzić koleżankę, aby było weselej. Koleżanka po południu przysłała do mnie, tego samego bowiem dnia miałyśmy pójść razem do kina na godzinę ósmą. A tymczasem z kina zrobiło się... również kino. Psiakrew! Nie chodzi mi nawet o to, co się stało, lecz jestem zła, że to stało się w taki sposób. Dziwne? Ale właśnie tak myślę o tym po upływie roku.

Moja koleżanka to już stara wyga w takich sprawach. Była kilka razy z panami w hotelu. Zwierzała mi się, jak to było. Naturalnie nie przyznałam się jej do tego, że mój amant po wyjściu z lokalu zaciągnął mnie do parku miejskiego i tam po prostu pijaną zgwałcił w krzakach. Nic zresztą z tego nie pamiętam. Obudziłam się dopiero nad ranem. Do domu wróciłam powalana ziemią. Jedyne wspomnienie, które mi zostało z tej zabawy, to była podarta i poplamiona bielizna. Trudno. Psiakrew, oficer. Wszystkiemu był winien ciepły dzień, letnia noc, w zimie by się to wszystko nie udało.

Dziwne nawet, że nie miałam strachu przed jakimś dzieckiem. Może byłam jeszcze głupia lub - co prawdopodobniejsze - zbyt mocno wystraszona brutalnością samego przeżycia? Ale dzisiaj już inaczej wspominam w moich myślach ową przygodę z dansingowym oficerem. Ot, po prostu nie uważałam i ugryzł mnie pies spuszczonej z łańcucha. A zatem tylko pies, tak to na szczęście pojmuję. A o ugryzieniu przez psa - nie warto wspominać.

Piątek - 25 maja

Za kilka godzin wsiądę do pociągu. Jakie to wszystko jest dziwne. Widocznie radca ministerialny działa. Mój dyrektor zawołał mnie do siebie przez woźnego - już nie dzwonił jak na psa - i słodziutkim głosem dopytywał się, czy nie potrzeba mi na drogę pieniędzy.

- Panie dyrektorze - odpowiedziałam z godnością - w niedzielę był u mnie ojciec i zaopatrzył mnie w gotówkę. Ojciec jest kupcem i nieźle mu się powodzi.

Po chwili zorientowałam się, że nie wypada biuralistce przyznawać się do „pieniężnego” ojca, i jakoś wyrównałam moje niezręczne odezwanie się:

- Ale ja sama na siebie pracuję, panie dyrektorze. Ojciec ma jeszcze inne obowiązki... siostra ma dzieci...

Widocznie jednak mojemu dyrektorowi ów legendarny radca ministerialny w Warszawie zabił klina, obecnie rozmawia ze mną całkiem inaczej. Gdy wróciłam do siebie, moja koleżanka od stukania w maszynę do pisania zapytała z ciekawością.

- Czego chciał od ciebie nasz stary?

Gdy jej opowiedziałam o propozycji zaliczki, Hela mruknęła coś pod nosem, a w końcu nie wytrzymała i rzekła:

- Dziwne, co się stało naszemu staremu? To przecież kutwa i skąpiradło! Mogłaś, głupia, wziąć zaliczkę, mnie byłoby się przydało parę złotych. Kasjerka mówiła, że pensję wypłacą nam dopiero koło dziesiątego. Podobno nie mają pieniędzy. W naszej firmie obecnie mizeria i mortus.

Cóż miałam robić? Pożyczyłam Helci trzydzieści złotych do wypłaty. Pewnie mąż wyniósł z domu ostatnie pieniądze i są bez grosza przy duszy, a tu dwa dni świąt. Nie łudzę się jednak. Moja koleżanka, gdy będzie okazja, i tak mnie obmówi. Takie jest moje życie. Ale jutro będę już między innymi ludźmi! Może lepsi? Kto to wie? W każdym razie to są swoi, krewni.

Czwartek po Zielonych Świątkach

Pragnęłabym o tym wszystkim zwierzyć się mojemu bloczkowi do stenografii jak najprędzej, póki moje pierwsze wrażenia są jeszcze świeże, a tutaj jakoś nie idzie. Nie wychodzi, ponieważ w biurze na pierwszego jest kupa roboty, a w domu Meluńcia chora i Wojtuś stracił jakoś ochotę do udawania w gościnie grzecznego dziecka. Drze się o każdej porze dnia i nocy. Ciotka chodzi z ręcznikiem na głowie, a Meluńcia wyleguje się. Jakoś jej zaszkodziły Zielone Świątki u babci w Bydgoszczy. Zobaczymy, co będzie... w dalszym ciągu moich rodzinnych opowieści Tutaj nawet Mniszkówna nie potrafiłaby ozłocić swego ordynata i może nawet, gdyby wysłuchała opowieści o naszych rodzinnych hecach, to by podobnie jak ciotka Katarzyna chodziła po mieszkaniu z frottowym ręcznikiem na głowie. Ciekawa jestem, co się tutaj przydarzyło podczas świąt, ale oba babska milczą jak zakłete. Ciotka ostygła nagle w zapale sztorcowania, gdyż nic nie odpowiedziała na moje odezwanie się: - Dzisiaj wybieram się do kina. - Jedyne Meluńcia podniosła rudawą główkę znad poduszki i powiedziała: - A Wojtuś? - tak, jak bym była zobowiązana do podcierania pupy jej dziecku. Być może i ja kiedyś będę miała takiego Wojtusia - ech, chyba nie Wojtusia? - ale jakoś inaczej urządzę się z tym podcieraniem! Służąca - to problem pieniędzy. Lepiej jednak myśleć o zdobyciu pieniędzy na utrzymanie służącej niż o podcieraniu.

Przynajmniej obecnie mam w domu spokój. Wywalczyłam sobie nawet spanie w trzecim pokoju na kozetce. Ciotka zniosła to bohatercko i nie oponowała, że jej salonik został zamieniony na sypialnię. Powiedziałam wczoraj całkiem beczelnie:

- Ja muszę iść rano do biura, mam dużo pracy, boję się, żeby mnie nie wylali z biura za ziewanie.

W ten sposób śpię po drugiej stronie mieszkania i nareszcie mam jakoś trochę spokoju, ale pierwsze dwie noce po powrocie z Wąbrzeźna były wprost makabryczne.

W biurze dyrektor stale powraca do wyjazdu do Warszawy. Podobno czekają tylko na jakieś papiery.

Piątek - 1 czerwca

Wczoraj po powrocie z kina ciotka próbowała mnie ugryźć, ale o dziwo! - Mela stanęła w mojej obronie. Kolacja przeszła w ponurym nastroju. Nawet nie odsiedziałam i zaraz zabrałam się do saloniku. Gdy weszłam do łazienki, słyszałam przez drzwi podniesione głosy obu moich krewniaczek. A mnie co do tego? Niech się żrą między sobą, przynajmniej ja będę miała trochę spokoju. Nie mam ochoty wtrącać się do tych awantur, co mnie zresztą obchodzi sprawę Katarzyny Świetlik z domu Jambor z Melanią Michalską z domu Świetlik? Podobno nawet ten kochany wujek Świetlik w niemieckich czasach zmienił polskie nazwisko Świetlik na Heli, było mu to potrzebne do kariery urzędnika sądowego. Potem „przyszła” Polska i z Helia zrobił się z powrotem polski Świetlik. Powinni o tym pisać w szkolnych podręcznikach botaniki i zoologii. Taka sobie mimikra, mogą kwiaty, motyle i ryby - flądry, to mogą i ludzie-flądry.

Była dobra dziesiąta, gdy Mela przyszła do mnie i pożyczyła dwadzieścia złotych. Powiedziała mi, że ma już dość matki i woli wrócić do Poznania. Ma zamiar - jak mówiła - wrócić do domu, jak gdyby nigdy nic. W pierwszej chwili zgłupiałam na to określenie „jakgdyby nigdy nic”, ale Mela rozwiała moje wątpliwości i podała mi program postępowania z Michalskim po powrocie do domu.

- Jak będzie co mówił, to mu skoczę do oczu, dam mu parę razy w mordę, a potem zaraz dostanę spazmów, rzucę się na podłogę i w ogóle zrobię mu dziką awanturę. A zresztą - dodała Mela - przyjadę późnym wieczorem, chłop wygłodzony, to w łóżku pogodzi się ze mną. Dwa tygodnie nie było mnie w domu, już ja go dobrze znam.

Dwadzieścia złotych potrzebne było Meli na zrealizowanie powrotu do swego Józinka. Szkoda mi tylko spania na kozetce w saloniku. Trzeba będzie wrócić na stare miejsce w pokoju przechodnim, gdzie słycać chrapanie Tante Katherine.

Niedziela - 10 czerwca

Mela wyjechała do Poznania, lecz zostawiła Wojtusia u babki. Ciotka myślała, że rzucę się na szyję bachorowi. Wynikła z tego grubsza awantura. Powiedziałam ciotce, że nie czuję sentymentów rodzinnych i że nie lubię dzieci. Sytuacja jest mocno napięta, już napisałam do ojca, żeby przyjechał do Bydgoszczy. Ojciec musi rozwiązać głupią sytuację, przecież nie mam zamiaru być bezpłatną boną do dzieci. Co mnie obchodzi, że Mela kłóci się ze swoim mężem? Niechże podrzuca swego Wojtusia jego autorowi... ha ha ha, to znaczy komu?

Zarabiam na sobie i z moich prawie dwustu złotych mogłabym się równie dobrze utrzymać na swoją rękę, bez znoszenia humorków starej sekutnicy. Ciotce nic nie zawdzięczam, ponieważ ojciec przez cały czas płacił za moje utrzymanie i doskonale wiem o tym, że pokrywał różne drobne sprawki wuja Świetlika, nie licząc już prezentów dla całej rodziny. Wyrępałam to wszystko dzisiaj bez żadnego opakowania mojej ciotuni i uczyniłam to nad podziw spokojnie i bez najmniejszej irytacji. Szkoda zdrowia! Nawet głosu nie podniosłam. Babsztyła zatkało, straciła mowę i dopiero po dobrej chwili krzyknęła dziko, że jestem bezwstydną i wyrodną. Naturalnie próbowała mnie szantażować tym moim głupim pamiętnikiem, ale nie zapomniałam języka w gębie i otworzyłam buzię. Słodziutko i cichutkim głosem powiedziałam, co prawda jakimś nieswoim głosem, ale powiedziałam:

- Ciocia powie mojemu ojcu, ja napiszę do Józinka Michalskiego. Napiszę, niekoniecznie musi to być z podpisem, może być tylko anonim na maszynie, ale wystarczy. Dodam również parę nazwisk facetów i adresy ich bud...

Ale przeszarżowałam. Rozmowa urwała się, ciotka trzasnęła drzwiami i ukryła się w swoim pokoju. Ja skorzystałam z sytuacji i przeniosłam wszystkie moje rzeczy do saloniku.

Zobaczymy, co z tego wyniknie. Ja nie ustąpię i nie zostanę dłużej u ciotki. W Bydgoszczy znajdzie się jeszcze dla mnie jakieś spokojne mieszkanie. Mam już dwadzieścia lat i jestem na swoim własnym garnuszku. Pracuję. Gdybym się rozejrzała, mogłabym znaleźć poza Bydgoszczą lepiej płatne zajęcie. Doskonale stenografuję w obu językach. Takich stale poszukują w gazetach. W najgorszym razie zamieszkałabym w Katowicach u brata mojej matki. Lekarz, przetań się po świecie i w dodatku z nimi mieszka matka mojej matki. To przecież jest w prostej linii moja babka. Widziałam ją zaledwie kilka razy w życiu, ale to zupełnie inny świat. Na pewno bym skorzystała na pobycie w ich domu, przecież jestem tylko z grubsza ociosana. Dobrze zdaję sobie z tego sprawę. Gimnazjum nic mi nie dało. Wykułam trochę wiadomości i na tym koniec. Nic z tego nie przydało mi się dotychczas w życiu. Całe szczęście, że nauczyłam się stenografii. Jakoś łatwo poszło, widocznie uczyłam się w odpowiednim momencie. Była to jedyna rzecz, od której nie uciekałam.

Bo właściwie z matematyki puścili mnie, a wypracowanie maturalne napisał mi po cichu sam profesor, nasz dobry znajomy. Pochodzi z Wąbrzeźna i jest u Jamborów jak u siebie w domu. Przeszłam przez maturę jak wielbłąd przez igielne ucho. Ale świadectwo dojrzałości mam, a to najważniejsze!

Z tym świadectwem mogłabym się wypchać. Nie pomoże mi ono ani w małżeństwie, ani przy rodzeniu dzieci. A na uniwersytet jestem chyba za głupia. W dodatku mam krzywe giry, jak mi to objaśniała wczoraj meine liebe Tante!

Ciekawa jestem, co by powiedziała ciotunia, gdyby mnie zobaczyła w niedzielę, o godzinie czwartej rano, z bloczkiem do stenografii na jej kanapce? Świat by się jej przewrócił w głowie do góry nogami. A to frajda z tym moim pisaniem!

I tak już nie zasnę, skorzystam z okazji i opiszę pobyt w domu podczas Zielonych Świąt. Żarcie było wykwintne, z indykiem i młodymi kurczakami. Pelasia popisała się swoim kunsztem kuchennym. Piotruś Tuchołka wstawił się zaraz pierwszego dnia przy obiedzie i miałam okazję dać mu w zęby, gdy mnie złapał za piersi w przedpokoju. Bliźnięta chowają się dobrze. Podobały mi się ze swoimi niebieskimi oczkami. Już zaczynają dobrze raczkować. Imiona bliźniaczków: Jasia i Małgosia, podobno tak doradziła nasza krakowska zakonnica. Ona zawsze żywo interesuje się sprawami rodzinnymi. Nigdy jej nie widziałam, ponieważ nigdy w życiu nie byłam w Krakowie. Gdy pojechała tam szkolna wycieczka, akurat leżałam chora na anginę.

Ależ napytlowałam bez przecinka, trzeba będzie pisać trochę inteligentniej, chociażby dla wprawy.

Stryja Marcina nie było. Z tym zjazdem to była tylko taka moja wymyślona bujda. Ojciec mówił, że Marcin rzeczywiście jest ministerialnym radcą, ale dodał, że miesięczna pensja takiego radcy nie przekracza tysiąca złotych. W każdym razie na Wąbrzeźno tysiąc złotych miesięcznie to byłoby kolosalnie dużo, ale w Warszawie podobno jest bardzo drogo. Dla mnie to prawie półroczna pensja, ale cóż ja?

Tego stryjka widziałam dwa razy w życiu. Pierwszy raz, gdy wrócił po wojnie do Polski, a drugi raz w przejeździe na wakacje nad morzem. Było to rok przed moją maturą. Bardzo mi się wówczas podobał, mimo że potraktował mnie lekko z góry i jakoś protekcjonalnie, jakby ubogą krewną. Ojciec jednak obtańcowywał go, a wszyscy znajomi zaproszeni do domu na obiad patrzyli w stryjka jak sroka w gnat. Teraz już nie mam tremy przed wyjazdem do Warszawy, dziwne jednak, że ojciec kilkakrotnie powtarzał mi, abym po przyjeździe do Warszawy umieściła się w hotelu i dopiero stamtąd zadzwoniła do doktora Jambora, na Żoliborz. Nie rozumiem, dlaczego tak? Przecież to jest mój rodzony stryjek. Ułożyłam się z ojcem, że zamieszkałabym w hotelu „Polonia”, to podobno jest, bardzo blisko dworca. Ojciec ma napisać uprzedzając o moim przyjeździe. Bardzo jestem ciekawa tego mojego stryjka, boję się tylko, czy ze mnie nie okaże się tylko zwykła bydgoska gęś prowincjonalna?

Ubiore się w mój popielaty kostium angielski. Jest dobrze uszyty i moje biodra wyglądają w nim jakoś okrągło. Nawet ciotce podoba się ten kostium. Mela kręciła nosem, ale to tylko z zazdrości. Materiał dobry, angielski, już na tym dobrze się zna nasza rodzina Jamborów, wybierał sam ojciec. Oprócz tego zabiorę dwie sukienki, jedną deseniową, a drugą z czarnej crepe de chine'y. Nie wiem tylko, czy długość będzie odpowiednia, w każdym razie przybranie z süss lila ze złotym jest bardzo efektowne. Na drogę wezmę jedwabny prochowiec, ma dobry kolor bladoróżowy i jest mi w nim do twarzy. Płaszcz jest obszerny w ramionach, zamiast paska z materiału przepaszę się wpół paseczkiem z czarnego lakieru. Kapelusik mam ze słomki, trzeba tylko pomyśleć o odpowiednim przybraniu do płaszcza. Wstąpię jutro do modystki, doradzi mi chyba najlepiej, nasza znajoma.

Jedyny wydatek na drogę to kupić jakiś odpowiedni kapelusik do sukni wieczorowej. Przecież ten mój stryjek zaprosi mnie chyba na jakiś dansing? Torebkę mam nową, czarny lakier ze złożonym zamkiem, jakoś obleci. Pantofle robili mi na święta.

Ojciec radzi wyjechać w sobotę po południu, w niedzielę może ten nieznaną stryjek oprowadzi rodzinną gęś trochę po stolicy, a w poniedziałek od samego rana... do dzieła! Sama nie wiem, jak to się robi takie rzeczy, ale jestem przecież kupiecką córką, podobno już w czwartym pokoleniu! Stryjek pomoże, to jest także Jambor, a nie jakiś Świetlik z Bydgoszczy.

Co do reszty, to nie warto opisywać. Szwagier Tuchołka głupi jak zawsze i jedynym jego dziełem to Jasia i Małgosia. Trudno go wygnać z łóżka, żona nie ma na niego żadnego wpływu, a ojciec patrzy na to wszystko ze złością, lecz milczy. Podobno Tuchołka jest synem szkolnego kolegi naszego ojca i ojciec patrzy na zięcia przez palce jedynie ze względu na pamięć swego kolegi. Jedyną osobą, przed którą Piotruś ma jakiś respekt, to moja siostra Zosia. Rąbie mu prawdę w oczy, nie ceregieluje się, tylko tyle, że bez obrazy Bożej, jak to czyni moja ciotka Katarzyna.

O, moja Zosinka niczego się nie boi. Jest wyszczekana, krzepko trzyma klucze od kasy w garści i pilnuje kasy rodziny Jamborów niczym smok legendarny. Całe życie spędziła przy tej kasie. Nawet gdy jeszcze chodziła do szkoły, już grzebała się w sklepowej buchalterii. Co do Pelasi, to ciele. Poczciwa, ale jeszcze głupsza ode mnie. Sama nie wiem, czy to jest tak bardzo wielka pociecha i pochwała dla mnie, że jestem mądrzejsza od mojej siostry Pelasi?

Piotruś jest dobre dziesięć lat starszy od swej żony. Ciekawe, że Pelasia zawsze była dla niego „rezerwowana”, mimo że wyszła za niego dopiero w dwudziestym piątym roku życia. Widocznie nasz ojciec czekał na ustatkowanie się Tuchołki. W każdym razie lubię ich oboje. Stanowią dobraną parę fujarów. Co do Piotrusia, to mimo wielu błędów i mimo że - ciamajda nie robi krzywdy naszej Pelasi. Co najwyżej - od czasu do czasu - rąbnie trochę forsy z kasy Jamborów i przegra w ferbla lub skata w tak zwanej Cegielni. Jest to miły ogródek, gdzie miejscowe małpy wąbrzeskie zamiast skakać po drzewach siedzą sobie w chłodku pod drzewami i popijają Berliner Weissbier mit Kirschensaft. Obecnie już nawet nie „Berliner”, a miejscowe piwko wąbrzeskie, znakomitą lurę, ale to wszystko jedno. W dodatku wszyscy po dawnemu: panie starszy, cztery „Berliner” - a kelner cieszy się i przynosi, co należy.

A Pelasia? Buzię ma pulchniutką, w policzkach dołeczki do całowania, oczki niebieskie i o byle co to zaraz płacze. Ale dobra z niej dziewczyna. Życzę im drugiej pary bliźniąt, na odmianę chłopców, nasza krakowska święta nie odmówi zapewne i tym razem swego błogosławieństwa i doboru imion. Ale chyba nie Wicus i Wacus?

Pozostaje do opisanie jeszcze jeden szac rodzinny - Krystuś, jak go wszyscy pieszczotliwie nazywamy. Niewiele mnie łączy z tym dryblasem. Rozstaliśmy się zaraz po śmierci naszej matki, ja poszłam na wychowanie do Bydgoszczy, jego umieszczono na stacji w Grudziądzu. Rodzony dziadek go nie chciał, ponieważ - jak mówił - pragnął mieć w domu spokój. Umieszczono go zatem u owych kominiarskich krewnych naszego dziadka, z których pochodzi jego córka Katarzyna. Tylko tyle pamiętam z braterskiej miłości, że ciągnął mnie za warkocze, szczypał w pośladki i każdy błazeński list sztubacki - kilka razy do roku pisywał

takie listy - kończył głupim zwrotem: do widzenia, dziewczę z mokrą głową! Później i to się urwało, ponieważ Jambory pokłóciły się z rodziną Busse i Krystynka wysłano kolejno do gdańskich krewnych.

Nie wiadomo, dlaczego nasz Krystynek jest oczkiem w głowie całej naszej rodziny? Dobrze mu się powodzi, szwargocze tylko po niemiecku i jest świetnie urządzony u naszego stryjka Józefa w Gdańsku. To jest mocno zniemczony stryjek, obywatel gdański. Pewnie najbogatszy w rodzinie, ponieważ wszystkie Jambory pożyczają u niego pieniądze na interesy. Całkiem odmienny od naszych polskich stryjków i wujków. Był w drugi dzień świąt w Wąbrzeźnie, sprowadziły go w nasze strony jakieś interesy drzewne i wstąpił do nas po drodze. Miał kiedyś jakieś przeżycia z żoną, ale po rozwodzie nie ożenił się po raz drugi. Niski, gruby, stale z nieodłącznym cygarem w ustach, złoty łańcuch w kamizelce, a na palcu pierścionek z dużym brylantem. Widać, że mu się dobrze powodzi. Szeroki w ramionach, kwadratowy. Jakieś szyderstwo czai mu się w kącikach oczu. Poza tym taki sobie, niczego, mnie lubi.

Uszczypnął mnie w policzek i po szwabsku przypomniał, że jestem jego córką chrzestną. Wsunął mi do torebki złotą dwudziestodolarówkę.

- Nie daj się w życiu - powiedział - trzymaj się, a jak ci będzie gorzej lecieć, to pamiętaj o Onkel Joseph, pisz lub jeszcze lepiej - przyjeźdź do Langfuhru na Joachimsweg.

Ładnie, miło, z dwudziestodolarówką czy bez niej, jakoś nie czuję nabożeństwa do tego gdańskiego stryjka. Jaki okaże się warszawski stryjek? Zresztą każda z nas dostała złotą monetę, widocznie stryjek wypchał się złotem na podróż do Wąbrzeźna, ponieważ dodatkowo po monecie dostały nawet smarkate bliźniaczki. Ojciec dostał trzy pudełka holenderskich cygar - przeschumowanych przez dwie granice, jak objaśniał Jambor von Danzig, a cymbał Tuchołka otrzymał zaproszenie do Gdańska. Stryjek zaprosił Piotrusia podczas obiadu:

- Prosit - powiedział - Piotrusiu, trink mit, a co do reszty, to przyjeźdź do mnie na kilka dni, to się puścimy, a przy okazji zrobi się może dla ciebie jakiś dobry interes.

Taka to jest ta moja Jamborowa rodzina. Jakoś nie czuję ochoty czy powołania pójść śladami moich wąbrzeskich krewnych. Bo i cóż by mnie czekało na tej prowincji? Zbijanie pieniędzy w jakimś sklepie z porcelaną czy żelastwem, harówka w dzień powszedni, porządku w sobotnie popołudnie, a w niedzielę parada kostiumów w kościele. Niedzielnym wystawnym obiadem, a po południu goście lub my w goście... Mąż albo za mądry, albo za głupi, poza tym w takim miasteczku wszyscy wszystko wiedzą i widzą, dom i mieszkanie mają ściany ze szkła, w rezultacie wszyscy mają tego dość i wzajemnie się nudzą, robią plotki lub wodzą się za łby. A potem dzieci, kłopoty z kokluszem i szkarlatyną, a gdy dorosną, to znów byłoby odsyłanie na dochówek do ciotek w takich stolicach jak Bydgoszcz lub Grudziądz. A znów w takich Wąbrzeźnach ludzie biją pieniądze tylko pod siebie; jest tanio, gdyż nie wiadomo, na co wydać pieniądze, przeważnie wszyscy wszystko mają u siebie w domu. A gdy już koniecznie chcą coś kupić, to wyjeżdżają... aż do Bydgoszczy! I to ma być życie?

Ale na co ja to wszystko wypisuję? Przecież to w niczym nie zmieni mojego położenia - panny z mokrą głową. Jestem przywiązana jakimś sznurkiem do Jamborów i do Wąbrzeźna. Co najwyżej raz na kilka lat przyjeździe kupiec drzewny z Gdańska i wetknie mi do ręki jeszcze jedną złotą monetę. Dziwny sposób robienia prezentów - dorobkiewicz albo Jambor, co zresztą na jedno wychodzi. Rodzina i pieniądze, pieniądze i rodzina. Pomimo jednak pieniędzy wszyscy pracują...

Czego ty jeszcze pragniesz, dziewczyno? Przecież królewicze nie rozjeżdżają się w dzisiejszych czasach po świecie, a zresztą Kopicuszek miał filigranowe nóżki... A ja? Wcale takich nóżek nie posiadam, wprost przeciwnie, najlepiej czuję się w sportowych buciarach na niskim obcasie. Nie wyszłam widocznie jeszcze z pensjonarskiego stylu.

Ale dość już nabazgrałam. Piąta godzina. Wejdem cichutko do łazienki, umyję się i pójdę na siódmą do kościoła. Może nawet nie wrócę do domu i zjem sobie w kawiarence śniadanie

z ciastkami. Mam już dosyć mlecznej zupy. Ciotka karmi mnie jak młodą jałówkę mlecznymi zupkami i owsianką. Może ma zamiar sprzedać mnie jakiemuś krewnemu? Kto to wie? Może ma w zanadrzu jakiegoś Michalskiego czy Fujarkiewicza? Może już z góry przeznaczili mnie na żonę jakiegoś durnia z zaprzyjaźnionej rodziny? O takie rzeczy u nas nietrudno, może już czeka na mnie jakiś skład z żelazem w powiatowym miasteczku? Ale kuku, kuku... musiałabym mieć w istocie kuku na muniu! To jest podobno warszawskie wyrażenie - mówili mi w biurze - oni stale jeżdżą do Warszawy i przywożą różne wyrażenia, z których później wyśmiewają się w kułak. Warszawa ma butersznyty, a my mamy podobno „usztynione przodki” w męskich koszulach.

Z niecierpliwością będę wyczekiwać na przyjazd ojca. Może zjawi się przed moim wyjazdem do Warszawy? A może mi jakoś pomoże stryjek Marcin? Marzę o nim - jak o kochanku. Kochanka co prawda jeszcze nie miałam, ale nie jest mi w tej chwili potrzebny do szczęścia. Marzę jedynie o jakiejś odmianie. Obrzydło mi tutaj na Nakielskiej, wszystko mi obrzydło! Nawet Bydgoszcz. Na wylot znam już to miasto, które przyglądało mi się ze wszystkich stron przez pełne osiem lat. Dużo ludzi mnie zna i wszyscy niemal znajomi traktują mnie w dalszym ciągu jak pensjonarkę. Oczekują ode mnie w dalszym ciągu dygów i dygnięć wraz ze szczebiotaniem: tak jest, proszę pani, tak jest, panie psorze lub panpsorze. Trzeba wyfrunąć przede wszystkim z tej głupiej Bydgoszczy. Ale jak? Co to? Ach, to Wojtuś drze pysk. Obudziła się babcina pociecha. Już zamykam oczy i będę udawać, że śpię. Diabli wzięli moje projekty i cukierenkę z ciastkami. Wojtuś piszczy, jakby go zarzynali.

Wtorek - 12 czerwca

Wczoraj latałam po mieście za drobiazgami. Rano wypłacili nam resztę pensji, nareszcie, im zawsze jest trudno z płaceniem, gdyby nie musieli, to by płacili, jak by chcieli. Najlepiej w ogóle by nam nie płacili. Wydałam mnóstwo pieniędzy. Trzeba jednak dobrze zaprezentować się warszawskiemu stryjkowi.

Niedziela była głupia. Ciotka obraziła się na mnie i nie rozmawia ze mną. Zajmuje się tylko Wojtusiem, a ja zesłam na ostatni plan. Ciotka stawia przede mną jedzenie w taki sposób, jak to czynią zapewne gospodynie niewypłacalnym stołownikom. Udaję, że tego nie widzę, sama dziwię się, że to wszystko przyjmuję tak spokojnie. Milczenie ciotki jest bardzo podejrzane. Kto wie, co ona zamierza i czy nie obmówi mnie przed ojcem. Po niej można się wszystkiego spodziewać. W każdym razie ubędzie jej 120 złotych miesięcznie. Zobaczymy, czy dostanie kogoś obcego, w każdym razie za te pieniądze nie do przechodniego pokoju. Salonikowe kawki z ciastkami diabli wezmą. W dodatku będzie musiała trzymać buzię, gdyż obcy nie pozwolą sobie wymyślać za ich własne pieniądze.

Ojca spodziewam się jutro wieczorem. Mam zamiar uprzedzić ciotkę o przyjeździe ojca i o tym, że pisałam do domu, aby mnie zabrali od niej i w ogóle z Bydgoszczy. Ciekawa jestem, co mi na to odpowie?

Środa - 13 czerwca

Ciotka na całe moje opowiadanie odpowiedziała tylko: - Dobrze, zobaczymy, gdy przyjedzie ojciec. - Dopiero po dobrej chwili dodała, ale również bez gniewu:

- Nie wyobrażaj sobie, że miałam z tobą anielskie życie. Zastąpiłam ci matkę, bo jesteś córką mojego brata, ale nigdy nie liczyłam na twoją miłość i jakąś wdzięczność, do tego mam własne dzieci.

Nic nie odpowiedziałam, mimo że dzisiaj miałam zamiar klócić się z ciotką i powiedzieć jej parę miłych słówek. Tymczasem skończyło się na chłodnej reakcji, która mnie rozbroiła i onieśmieliła.

A może ze mnie w istocie było takie ziółko, według niedawnego określenia ciotki? Skąd ja mogę to wiedzieć? Sama nie umiem tego ocenić.

Gdzie ciotka mogła schować mój pamiętnik? Przeszukałam już wszystkie kąty i nie znalazłam. Chyba wyniosła z domu?

Czwartek - 14 czerwca

Ojciec nie przyjechał. Przesłał mi do biura jedynie list, że nie może przyjechać i odkłada rozmowę z ciotką do mojego powrotu z Warszawy. Píše, że mój list przesłał stryjowi Marcinowi, z którym mam porozmawiać na wszystkie tematy. Że zdaje się w tym na zdanie swego brata, on ma mi doradzić. Oniemiałam po przeczytaniu. Zawstydziałam się. Cała podróż jakoś nagle mi obrzydła. Dlaczego ojciec obarcza takimi sprawami nie znanego mi prawie stryja Marcina? Co sobie o mnie pomyśli ten stryj? Podobno jest bardzo elegancki i wykształcony za granicą, tymi gorzej dla mnie. Co ja mu powiem? W moim liście było sporo głupich opowiadań na tematy bydgoskie. Nie rozumiem ojca. Przecież to nie jest ciotka Katarzyna, z którą można się wyklócić jak z przekupką na targu. On jest mądry, a ja - głupia gęś z małego miasteczka. W dodatku po przeczytaniu mojego listu...

Po południu - godzina szósta

Zwycięstwo! Oplaci się czytać kryminalne powieści. Rozumowałam metodą Sherlocka Holmesa i znalazłam oba bruliony mojego pamiętnika. Były owinięte w papier, związane sznurkiem jak paczka ze sklepu i zostały schowane przez ciotkę w szufladzie starego stolika nocnego na strychu. Ale to bezczelność, gdyż mogła je znaleźć praczka podczas wieszania bielizny. Ale chyba taka praczka nie grzebie w starych gratach? Chociaż mogło się zdarzyć. Zresztą ciotka nie puszcza jej samej na strych, ponieważ ciotka Katarzyna nie dowierza nikomu. Najlepszy dowód, że stale depcze swoim lokatorom po piętach - w tej naszej śmierdzącej budzie na Nakielskiej.

Zaraz wydarłam wszystkie podejrzane kartki z drugiego zeszytu i drobnutkie kawałeczki wrzuciłam do muszli klozetowej. Nigdy z większą radością nie pociągnęłam za łańcuszek. Strumień wody i wszystko przeminęło. Utonęło w klozecie, podobnie jak moje wspomnienia dawno już utonęły w powodzi innych wrażeń. Być może równie głupich, lecz już nie takich kompromitujących. Przyszło mi na myśl ciekawe powiedzenie: głupstwo jest tylko wówczas głupstwem, gdy się je uporczywie wspomina.

W pierwszej chwili rozglądałam się, w jaki sposób i gdzie ukryć przed ciotką zdobyte bruliony. W końcu wpadłam na pomysł odniesienia ich z powrotem na to samo miejsce na strych. Doskonały pomysł. Chciałabym widzieć minę Tante Katherine, gdy kiedyś polecą na strych, by przynieść na dół materiał do szantażowania mnie!

Piątek - 15 czerwca

Brrr! I znów piątek, którego nie lubię. Dobrze, że to przynajmniej czerwiec, a nie maj lub listopad, i nie 13! Chociaż z majem bywa rozmaicie, sama urodziłam się 8 maja i właśnie w piątek! I jakoś mi się wiedzie, mimo że jestem majowym dzieckiem. Chyba to jedno mnie martwi, że mam grube nogi. Ale może i to się jakoś odmieni?

Ale z tym stryjkiem to może niepotrzebnie się tak gorączkuję? Może zaprosi mnie do kawiarni i do kina, a potem przy rozstaniu uszczypnie mnie w policzek i wzorem rodzinnym Jamborów wetknie mi do ręki złotą monetę? A może tylko pudełko z czekoladkami, jak małemu dziecku?

Kto to wie?

W każdym razie nieodwołalnie wyjeżdżam jutro, pociągiem pospiesznym w południe. Wieczorem będę w Warszawie. Umieszczę się w hotelu „Polonia” i dopiero w niedzielę po dziewiątej rano zadzwonię do doktora Marcina Jambora, radcy ministerialnego. W biurze już są gotowe wszystkie podania i załączniki. Mam dostać dwieście złotych do rozliczenia. Dyrektor nic nie mówił na mój wyjazd w sobotę zamiast w niedzielę, stary zawsze robi o to

kwestię. Musi być trudno z tymi pozwoleniami, bo zeszłym razem nasz kierownik zakupów tkwił z taką sprawą cały tydzień i podobno załatwił niezupełnie dobrze.

Czuję, że nie będę mogła usnąć dzisiejszej nocy. Ciotka była mocno zdziwiona moim wyjazdem do Warszawy i odburknęła mi pod nosem:

- Tylko zbytnio nie licz na Marcina, to jest również mój brat przyrodni, ale właśnie on nigdy nie miał specjalnie dobrze w głowie. Już przed wojną włóczył się po świecie, nie wiadomo po co. Studiował w Darmstadcie, ale nigdy nie przyjeżdżał na wakacje do domu. Wojażował. Szwendał się bez potrzeby. Kosztowało to kupę pieniędzy i nic dziwnego, że poszły na to grube talary posagowe jego matki. Nie umiał sobie niczego odmawiać. Szastał pieniędzmi. Pieniądze się go nie trzymały!

W nocy

Stryj Marcin. Warszawa po raz pierwszy w życiu. Co mnie dobrego spotka w tej Warszawie? Jak głupia pensjonarka już dzisiaj pakowałam mój bagaż i rozpakowywałam. Z domu przywiozłam sobie walizkę, wygląda porządnie, tylko trochę za ciężka. Ale nie będę jej niosła, wezmę bagażowego.

Ale już dosyć tego wszystkiego! Trzeba się wyspać, aby dobrze wyglądać. Ciekawa jest ta moja ciotka. Niby wymyśla i burczy, a jednak ofiarowała mi się ze sznytami na drogę. Na pewno uczyniła to dla rodzinnej zasady oszczędności, a nie z dobrego serca. A może się mylę. W każdym razie spojrzęła na mnie groźnie, gdy powiedziałam:

- Chyba tych sznytek nie zabiorę, ponieważ w pociągu jest wagon restauracyjny.

Nawet mi tego żałuje! Przecież wagony restauracyjne są dla podróżnych! Właśnie zaraz w Bydgoszczy usiądę w wagonie restauracyjnym i na złość ciotce zjem obiad. Ciekawa jestem, co będzie na obiad w pociągu. Przecież jutro po raz pierwszy w życiu usiądę w wagonie restauracyjnym. To nie kosztuje majątku, a trzeba wreszcie oderwać się od parafialnego stylu małego miasteczka. Tylko drobni ludzie podróżują z własnym prowiantem.

Dobranoc, Anno Jambor, życzę ci powodzenia w Warszawie! Anno, urwij się ze sznurka, nie daj się. Głowa do góry, dziewczyno! Hm... łatwo tak napisać...

Niedziela - 1 lipca

Tydzień czasu upłynął od mojego powrotu z Warszawy, a jeszcze dzisiaj nie mogę zebrać myśli. Wspomnienia dni spędzonych w Warszawie kotłują mi się w głowie i czasami niemal szczypię się w rękę, by uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się naprawdę i nie było tylko snem.

Sprawa mojej firmowej podróży okazała się całkowicie bzdurna. Dopiero we wtorek podczas obiadu stryj Marcin zapytał się na marginesie innych rozmów - półgębkiem - o rzeczowy charakter tych pozwoleń. Następnie zdecydował obojętnie:

- Jutro rano zadzwonię gdzie potrzeba, a koło dziesiątej przejedziesz się z naszą Florencją do Komisji Przywozowej. Nie ma potrzeby się spieszyć. Jutro zatelegrafujesz do swego dyrektora, że pozwolenia będą gotowe dopiero w sobotę, ponieważ te rzeczy są załatwiane na posiedzeniu - raz na tydzień - w czwartek. Naturalnie można by załatwić od ręki, ale nie ma sensu się spieszyć. I tak te pozwolenia są warte dla twojego dyrektora ze cztery tysiące złotych.

I na tym był koniec. Połąziłam kilka godzin po biurach, poznałam kilku sympatycznych starszych panów i byłam dwa razy na kawie w „Ziemiańskiej” z panną Florencją Zbisławską. To jest sznytowa dziewczyna. Panna, ani myśli wychodzić za mąż, z ziemiańskiej rodziny na kresach, ojciec był podobno carskim generałem. Ma chyba ze trzydzieści kilka lat, ale wygląda najwyżej na dwadzieścia pięć. Powiedziała:

- Po cóż mi wychodzić za męża? Dość mam kłopotów z moimi własnymi humorami, jeszcze by tego brakowało, aby znosić fanaberie jakiegoś bałwana rano, w południe, wieczorem, a może i o dwunastej w nocy? Niedoczekanie...

Pozwolenia były gotowe o dwunastej w południe, już w piątek. Odebrałam je u woźnego, któremu dałam całe dwadzieścia złotych; tak mi doradził stryj Marcin. Woźny zna stryja, kłaniał się, przyjaźń została zawarta. Tutaj w Warszawie jest inny świat, inni ludzie, inne życie, nawet inne powietrze!

W dodatku ten inny świat podoba mi się, mimo że nie wiem dokładnie, jak naprawdę wygląda. Podoba mi się - ponieważ marzę o porzuceniu tego małego i nieciekawego światka, w którym się dotychczas kręcę i który mi się nie podoba. Który męczy mnie - swoją beznadziejnością.

Stryj Marcin na przykład kazał mi dać woźnemu 20 złotych, pomorscy Jamborowie mówiliby o daniu dwóch złotych, a w rzeczywistości wsunęliby mu do ręki najwyżej złotówkę. A stryj wyraźnie powiedział mi nawet, jak ja mam to zrobić: - Dziękuję, panie Franciszku, do zobaczenia, a tutaj mały drobiaz.

Inny świat i tyle.

Stryj śmiał się z Pomorza, mimo że sam stamtąd pochodzi. Powiedział nawet:

- Życie u was to rysowanie wzorków na kratkowanym papierze. Wy nic innego nie potraficie.

Podobno - jak opowiadał stryj - niedawno w Toruniu był sławny proces sądowy, wyszło bowiem na jaw, że nauczyciele przybyli z Galicji mówili uczniom: wy... barany pomorskie. Rodzice się obrazili i zrobiono proces. Ale stryj powiedział:

- Właściwie nie mieli o co się obrażać. To nie była obraza, tylko stwierdzenie faktu. Ale wiadomo, że właśnie ludzie głupi obrażają się o takie prawdy.

Widzisz, moja blondyneczko - mówił dalej - Pomorze to kraj za siedmiu górami i lasami, rodzona zresztą siostra Poznańskiego, ale tam już coś niecoś ludzie się ruszają i cośkolwiek zaczyna zmieniać się na lepsze. Ale tu i tam trzeba się zawsze mocno napocić, nim tamtejsi ludzie coś zrozumieją. Tępe głowy i tępy konserwatyzm. Na całym froncie, w mieście i na wsi. Żyją tak i myślą. Każda nowość dla nich to zaraza i cholera. Na świecie w dodatku są jakby trzy rodzaje torów kolejowych: wąskie, normalne i szerokie. Normalne - to niby na cały świat, szerokie - to Ameryka i bolszewicy. A wąskie obowiązują tylko w partykularzach. Na waszym Pomorzu na pewno, a w rodzinie Jamborów i Spółka z całą pewnością! Mnie było tam również bardzo trudno wyżyć. W młodości liznałem innego świata. Na studiach, na froncie, a następnie podczas wędrówek po Zachodzie. Mieli mi za złe, że w ciągu czterech lat studiów tylko jeden jedyny raz przyjechałem na święta do domu. Pamiętam, było to Boże Narodzenie w roku 1912. I cóż? Uciekłem po dwóch dniach, męczyło mnie otoczenie drobnych kupców bławatnych i żelaznych. W dodatku pierwszą rolę odgrywał wówczas bogaty krewny z Grudziądza, król tamtejszych kominiarzy. Ale taki, który już nie chodził po dachach, a jedynie obracał posagowymi pieniędzmi córki innego kominiarza. Gwizdnałem na to wszystko, wyłudziłem trochę pieniędzy od ciotki Jamborówny i prysnąłem do... Wenecji i Rzymu. Naturalnie jeszcze wówczas trzecią klasą i trochę po studencku, ale z fasonem, zupełnie nie na modłę kupieckiej rodzinki. Oficjalnie nazywało się, że pragnę podkuć do egzaminu.

Oj, te wędrówki! Nie dlatego, że jak się to mówi czy klepie: podróże kształcą, lecz dlatego, że owe podróże zmuszają do szerszego otwierania oczu i uszu, i właśnie w tym jest już pierwszy krok do postępu! Podziwiałem odmienność krajobrazu miast i krajów, ale nie dostrzegałem jeszcze odmienności atmosfery życiowej - innego bytowania.

Potem przysłała wojna, spędziłem cztery bite lata w wojsku i na francuskim froncie. Wojna się skończyła, wróciłem do domu. Aby się na razie odespać i odjeść. Co prawda rodzina nie zmuszała mnie do kupiectwa, lecz namawiała do belferki w Grudziądzu. Tam

mieszkał mój ojciec, a twój dziadek Jambor. We własnej kamienicy, ale jeszcze duży kupiec, pomimo jakiejś dotkliwej plajty. Było zatem gotowe mieszkanie, była - przez stosunki - natychmiastowa posada nauczyciela w gimnazjum, jeszcze wówczas niemieckim, była możliwość szybkiego ożenku z drugą kamienicą. Były nawet do wyboru różne panny, wszystkie z takimi samymi kwalifikacjami: dobra kupcowa, dobra gospodyni i dobra, wnioskując po matce, matka dla przyszłych dzieci.

Pokręciłem się i wyjechałem jeszcze w końcu 1919 roku, do... Szwajcarii. Wróciłem stamtąd dopiero w roku 1924, po odbyciu dobrej praktyki przemysłowej. Posadzono mnie w ministerstwie, od tego czasu upłynęły cztery lata i jakoś się tutaj - w Warszawie - urządziłem.

A wiesz, dlaczego ja ci to wszystko opowiadam? Przecież ty jesteś takim sobie podlotkiem czy podfruwajką, dwa czy trzy lata po maturze, a ja jestem dla ciebie jakimś tam mało czy prawie nieznanym stryjkiem. Ale przeczytałem twój list pisany do mojego brata w Wąbrzeźnie i przestudiowałem go uważnie. Wydało mi się, że poza tymi wszystkimi żalami na ciotkę Katarzynę - kryje się materiał na trochę człowieka, któremu warto pomóc dlatego, że może nie zawieść. No i jestem szczery: cóż bowiem ojciec poradziłby ci na taki twój list? Przypuszczalnie, a nawet z całą pewnością starałby się doprowadzić do jakiegoś takiego pogodzenia się z ciotką Katarzyną. W ciągu całego swego życia była ona kobietą oschłą, ale w gruncie rzeczy nie jest człowiekiem złym, tylko skoncentrowały się w niej praktyczne wady Jamborów. Nie zgadzasz się ze mną?

Ależ ta twoja Meluńcia to jeszcze nie dowód. Takie Meluńcie zdarzają się nagminnie w każdej kupieckiej rodzinie. Papu przychodzi im łatwo do buzi i z tego powstają humorki w głowie. Ciotka Katarzyna od pierwszego dnia tyranizowała swego męża, który nie miał żadnego głosu w domu i nic dziwnego, że wykradał się do knajpy na kufel piwa i na skata po dwa fenigi partia. To bardzo źle, gdy kupieckie córki wychodzą za mąż za gryzipiórków. Kupcówny zatracają swoje konserwatywne posłannictwo i wyżywają się w maltretowaniu pantoflarzy. Cóż zresztą pozostaje im innego? W dodatku nieważny sekretarz sądowy, jakiś tam Heli, alias dawny polski Świetlik. Wańka-wstańka - dziś Heli, a jutro Świetlik, zależnie od pogody i interesu. Jestem głęboko przeświadczony, że tak mu kazała Katarzyna, bo tak dyktowało jej kupieckie wychowanie. Mój nieboszczyk szwagier osobiście był za głupi do takich kalkulacji. To był porządny człowiek w swoim rodzaju, gdyby pracował na poczcie, to na pewno nie wyciągałby dolarów z kopert amerykańskich listów. Właśnie w Toruniu był niedawno taki proces... listy okradali pracownicy kolejowych wagonów z pocztą. Również i Katarzynie nie dziwię się. Dziadek ożenił się po raz drugi, zjawiły się nowe dzieci i Katarzynę wypchnięto z własnego domu do krewnych jej matki; to samo mogło już starczyć za powód do zgorzknienia na całe życie.

Pisał mi ojciec, że nasz brat Paweł otwiera obecnie jakiegoś „Rolnika” w swojej Brodnicy. Widocznie Paweł wzbogacił się już na swoich morgach i ma zamiar rozkręcić na odmianę interes ze skupem zboża, naturalnie w najbliższym sąsiedztwie swojego majątku. A Brodnica - to również Pomorze, tylko tyle, że w tej Brodnicy uchowała się jeszcze stara wieża krzyżacka, a w Wąbrzeźnie takiej wieży nie ma. Śmieję się, dziewczyno, z tej Brodnicy, to nie jest dla ciebie, ale to mógłby być również tramwaj do przejechania ciebie na owej upragnionej drodze do zmiany. Towarzystwo u stryja Pawła? Dwóch dryblasów z niemieckimi imionami po matce z domu Schwartz, nie wiem nawet, czy ich znasz. Jeździłaś tam na szkolne wakacje... a zatem sama wiesz: oboje mocni rudzielce, Maks w wieku 23 lat i trochę młodsza od niego Herta. Oboje po dwa metry, widziałem ich niedawno w Gdańsku u mego brata Józefa. Wzajemna adoracja; taka byłaby tylko korzyść, że nie zapomnialabyś niemieckiego języka.

Co prawda istniałaby jeszcze jedna, może najlepsza możliwość umieszczenia ciebie w Katowicach u brata twojej matki - Michała Kowalskiego. Lekarz, człowiek stosunkowo młody, poważny, niewątpliwie najporządniejszy człowiek wśród wszystkich naszych

krewnych. Słuchaj, Anno - powtórzył stryj Marcin - na pewno porządniejszy ode mnie, ale... twój ojciec zadarł z Michałem jeszcze w okresie jego lwowskich studiów. Michał rozpoczął studia tuż przed wojną w Niemczech, był w niewoli rosyjskiej, a potem utkwiał we Lwowie. Nie wiem dokładnie, o co poszło, ale wina była niewątpliwie po stronie kupca Jarnbora. Doktor Kowalski jest solidnym człowiekiem i stanowi dobraną parę ze swoją żoną. Lwowianka, córka lekarza, z rodziny o polskich tradycjach patriotycznych. Inny świat, lepszy od naszego... ale tego nie można stworzyć czy zmienić w jednym pokoleniu. Kiedyś dowiesz się o tym dokładniej. Dzisiaj powiem ci tylko jedno: pójdziesz na uniwersytet, i to w Poznaniu. Dlatego tam, ponieważ w Poznaniu odbywa się obecnie zbiórka i wymieszanie się młodzieży z całej Polski. Być może z takiego wymieszania powstanie nowy typ akademika, oderwany od różnych prowincjonalizmów i tradycjonalizmów. Zresztą w przyszłym roku ma być w Poznaniu rendez-vous całej Polski i jakaś wielka wystawa. Poznaniacy - to naród zapobiegliwy i staną na głowie z powodu takiej wystawy, Naturalnie przy tej okazji dobrze zarobią, ale równocześnie obcy przybysze z całej Polski narobią ruchu w poznańskim miasteczku i to wyjdzie na zdrowie Poznaniowi i jego mieszkańcom.

Początkowo myślałem o Krakowie, ale tam są oryginalne warunki życia i tak na początek trudno byłoby ci się obracać z bydgoską maturą, oni tam mają odmienne obyczaje i partykularne egoizmy.

Po południu

Zapomniałam dopisać w bloczku, że moja ciotunia wyjechała wczoraj rano do Poznania i wróci dopiero we wtorek wieczorem. Zabrała z sobą Wojtusia, biedne dziecko wędruje po świecie dlatego, że matka nie umie żyć spokojnie z mężem. Zostałam w mieszkaniu sama i rozkoszuję się ciszą. Nawet nie wykorzystuję swobody na włóczenie się po mieście. Kino i kawiarnię mogę mieć każdego dnia, ale spokój i samotność w pokoju zdobyłam jedynie przypadkiem, dzięki awanturom z Melą. Nawet nie poszłam na proszony obiad do znajomych. Zrobiłam sobie w domu parę jajek, chleb i mleko - to mi wystarczy. Muszę się skupić. Muszę zwierzyć się sama przed sobą, w samotności, z ostatnich wydarzeń. Pisząc o tym wszystkim utwierdzam się w przeświadczeniu, że to wszystko naprawdę i że jadę na uniwersytet!

Ciotka nic nie odpowiedziała, gdy ją z radością zawiadomiłam o projekcie stryja Marcina. Zimno przyjęła moją radość. Moje radości nie są jej radościami. Moje życie zatem nie musi być związane z jej życiem. Wystarczy w przyszłości dwa razy do roku pocztówka z życzeniami. Wystarczy, że ciotka będzie zwierzać się przyjaciółkom: - Anna była niedobrym dzieckiem i tak mi się wywdzięczyła!

Anno, ty jedziesz na uniwersytet! Bardzo z niemiecka brzmi to zdanie, ale już się napisało. Jeszcze tylko lipiec, sierpień i wrzesień. Trzy miesiące. A potem. Alma Mater! Kupię sobie czapkę ze złotym sznurkiem. Odmłodnieję, W czapce będzie mi twarzowo.

Aha! Ciotka powiedziała mi na wyjeździe:

- Zobaczmy, jak to będzie ze skończeniem uniwersytetu. Skąd weźmiesz pieniądze na studia? Może myślisz, że cię przyjmie na stancję Mela? Ona ma dość kłopotów z własnym mężem i dziećmi. Ty byś im... zakłóciła do reszty spokój domowy swoimi pomysłami. Ty masz niespokojną duszę i nie umiesz usiedzieć na miejscu.

A to heca z tym zakłócaniem spokoju domowego! Może stara boi się o swego zięcia, abym go nie odbiła Meluńci? O to może być spokojna, miałabym kogo. W domu u nas mówili ostatnio, że Mela mogła się wydać jedynie za takiego - złajdaczonego - Michalskiego. Podobno mieszkają w kamienicy, należącej do starego Michalskiego, który jest lekarzem i trzyma się jeszcze bardzo krzepko. Wdowiec. Chyba machnęłabym się za starego lekarza, przynajmniej zapisałyby mi kamienicę i Mela miałaby w tym wypadku figę. Ale głupio baję - gwizdę na starego z kamienicą i na kamienicę z dodatkiem starego grzyba!

Ciotka mówiła: - Twój ojciec jest kutwą, nigdy nie miał gestu, wybij sobie z głowy uniwersytet. - Nic jej na to nie odpowiedziałam, nie ma potrzeby uprzedzać faktów. Wierzę w stryja Marcina, który powiedział: - Już ja sobie poradzę z twoim ojcem! - W każdym razie na stryju zrobiło dobre wrażenie moje oświadczenie: - Umieć pracować, tyłu studentów pracuje i uczy się równocześnie, to i ja sobie poradzę! Mam dobry fach w ręce: stenografia, stryj mówił o wystawie, będzie ruch i zarobek, Jak to dobrze, że u nas w domu panowała dwujęzyczność. Przyda mi się mój niemiecki i obie moje stenografie.

Wieczorem

Ciekawa jestem, kiedy przyjedzie ojciec i co powie. Stryj mówił, że zaraz napisze do Wąbrzeźna duży list. Wierzę w stryja Marcina. Wierzę w stryja Marcina...

Ostatecznie sama zapracuję na życie w Poznaniu. Podobno nie potrzeba chodzić na wszystkie wykłady. Zobaczymy, Anno... Nie martw się, głowa do góry!

A teraz spać. Wojtuś nie ryczy, ciotka nie chrapie. Cała przestrzeń w mieszkaniu należy do ciebie, Anno! Mieszkanie i królewska samotność. Ach, jak to dobrze!

Poniedziałek - 2 lipca

A to heca! Podnieśli mi pensję do 250 złotych. Wszystkie baby mi zazdroszczą, w naszym biurze nigdy tyle nie płacili maszynistkom. Już wszyscy wiedzą o moich warszawskich sukcesach z pozwoleniami. Załatwiłam lepiej niż stary Milewski z zakupów. Ale się tym bynajmniej nie upajam. Jest mi to obojętne. Na razie ani mru-mru, żeby mego szczęścia nie urzekli. Stryjek powiedział, że będę mogła odejść bez wypowiedzenia, kiedy to będzie potrzebne. Jak to dobrze mieć w rodzinie przynajmniej jednego mądrego stryjaszka! Właściwie to nie ma głupich Jamborów na świecie, tylko każdy z nich jest mądry na swoją własną kupiecką modłę.

Lucynka z kasy wyprawia dopiero dzisiaj imieniny, wczoraj wróciła z wakacji. Kupię prezent, ale nie pójdę na przyjęcie. Nie chcę mieszać swoich obecnych myśli z jakimś hałaśliwym przyjęciem imieninowym. Ja już żyję przyszłością i tylko dla tej przyszłości. Chciałabym się skupić i oblec w inną skórę - mądrzejszą. Czy to mi się uda?

Wieczorem

Leżę w łóżku i rozkoszuję się ciszą domową i pustką w mieszkaniu. Dopiero teraz czuję zmęczenie: te nieustanne docinki ciotki i chęć dawania mi rad, wskazówek, te uwagi na wszystkie tematy, nawet w sprawach najbardziej błahych. W dodatku upomnienia długich lat przeżytych w przechodnim pokoju, po którym nieustannie snuła się ciotka Katarzyna. Prawdziwa brama przechodnia. W ciągu pierwszych dwóch lat znosiłam nieustanne towarzystwo Meli, która miała wówczas dobre dwadzieścia kilka lat i jakoś nie mogła wybrać sobie jednego męża spośród kilku tuzinów różnych panów.

Ci panowie naszej Meluńci, owszem, gustowali w pannie, ale właściwie wszyscy tylko w jeden i ten sam sposób... Nie wiadomo, jak to było bliżej z tymi sprawami, ale przypuszczalnie Mela nie zwykła była odmawiać miłym panom. Dopiero po kilku latach takich „prób i przymierzań” zdarzył się Józinek, no i reszta już wiadoma. Troje dzieci, Kasia, Madzia i ostatni Wojtuś, a w przerwach pomiędzy dziećmi awantury, na przemian wymyślania, kłótnie i godzenie się. Nieustanne podróże pomiędzy Poznaniem a Bydgoszczą i Katowicami. Te ostatnie z powodu uszczęśliwienia Katowic przez pana Franciszka Świetlika młodszego. Po drodze przydarzyła się w roku 1925 śmierć i usunięcie się z drogi życiowej starego wuja Świetlika.

Wuj nie był człowiekiem złym, tylko zahukanym safandulą. Podobno przesiedział w kancelariach sądowych całe życie od osiemnastego roku i tkwił tam niepotrzebnie po wysłużeniu pełnej emerytury. Według informacji ciotki, moczył mordę w kuflu i grywał w

karty z byle kim. W dodatku zbierał znaczki pocztowe, co zawsze doprowadzało ciotkę do szału. W tym jednym ciotka miała rację, ponieważ i ja podejrzewam zbieraczy marek o rozmiękczenie mózgu. To, że znaczki zbierają podobno królowie angielscy, wcale mi nie imponuje. Widocznie mają zbyt wiele wolnego czasu albo nic lepszego nie potrafią.

Wnętrze mieszkania ciotki jest ponure i przeładowane starzyzną. Jedynym jakby weselszym intruzem w tym towarzystwie jest kozetka, którą od tak niedawna okupowałam jako moje tymczasowe schronienie, jako widomy dowód mojego buntu wobec ciotki.

Dziwię się nawet, że ciotka pozwala mi spać na tej kozetce, która nadawałaby się do jakiegoś wesołego wnętrza, a nie do zamrozonego mieszkania Świetlików. Jest stosunkowo mało zniszczona. Jedwabne obicie i złocona oprawa absolutnie nie pasują do gdańskiego salonu i do ciotki Katarzyny. Prawdziwe zdanie o kozetce wypowiedziała kiedyś w przystępie szczerości Meluńcia: - Nasza kozetka wyglądałaby dobrze w buduarze kokoty pierwszego stopnia. - Ciotka była wówczas mocno urażona. Kilkakrotnie Mela dopraszała się u matki, lecz kozetka została na Nakielskiej i nie wywędrowała z Melą do Poznania.

Mnie ciotka powiedziała kiedyś półgębkiem, że kozetka została przywieziona z Paryża. Kto jednak, kiedy i dlaczego tego dokonał - nie mogłam wydobyć od ciotki.

Tymczasem wolno mi marzyć i śnić o jakimś idealnym mieszkanku. Pragnęłabym mieć dwa pokoje, mały przedpokój i łazienkę. Dla panny kuchnia nie byłaby potrzebna. Kawę, herbatę, jajka i drobiazgi można by równie dobrze, a znacznie wygodniej ugotować na eleganckiej maszynie elektrycznej. Widziałam takie na wystawie w Warszawie. Ewentualnie mogłaby być jakaś mała skrytka na panięńską spiżarnię i na takie właśnie gotowanie w miniaturze.

Mieszkanie ze spokojem. Z ciszą. Z samotnością. Bez ciotki i bez ciotecznej siostry. Bez balastu. Bez wspomnień. Mieszkanie z oddechem, mieszkanie wolnego człowieka. Mieszkanie dla samej siebie!

Wszystko to jest osiągalne, ponieważ wszystko można kupić za pieniądze, a te - można zdobyć. Uzbierać. Ile to mogłoby kosztować? Można by przecież kupować nie od razu. Ale z drugiej strony dogodniej byłoby kupić właśnie na raz, jednym tchem. Naprzód kupno mebli, a dopiero w następnej kolejności wybór tapet do koloru mebli. Meble. Och, meble! Tylko nie żadne antyki z pluskwami i szerniałe od starości. Lepiej wszystko nowe, prościutko od porządnego stolarza, wyjątek dla francuskiej kozetki ciotki Katarzyny i ewentualnie dla żyrandola ze starego brązu w gabinecie. Ile mogłoby to kosztować? Może z dziesięć tysięcy przy skromności w wyborze mebli. Może trochę więcej, ale to nie są przecież znów takie duże pieniądze.

Ciekawa jestem, ile mi ojciec da posagowych pieniędzy. W każdym razie te pieniądze, to ja wezmę do ręki, a nie ten mój przyszły! Może z 50 tysięcy, taka bowiem jest wartość domów w małych miasteczkach, a wszystkie Jamborówny zawsze otrzymywały domy w posagu. W dodatku na ogół masywne domy i bez grosza długu. Ojciec powinien urządzić mnie jeszcze przed ślubem. Co to za głupi zwyczaj oczekiwania z tym do jakiegoś ślubu z datą niewiadomą!

Oj, ten stryj Marcin! Wydał na mnie pewnie z tysiąc złotych. Dopiero ojciec otworzy oczy, gdy zobaczy moje warszawskie stroiki! Bławatnik, to przecież jest jego branża. Swoją drogą wędrowałam po magazynach znacznie łatwiej niż królowna z bajki. Po prostu Florencja wzięła mnie pod rękę i objechałyśmy stryjkowyrn samochodem pół Warszawy.

Dzisiaj widzę i zdaję sobie z tego sprawę, że wybrałam się do Warszawy jak koczodan z Grajdołka. Mam wrażenie, że fryzjerki śmiały się po cichu z mojego bydgoskiego uczesania. Siedziałyśmy u fryzjera dobre dwie godziny. Florencja paplała, a fryzjerzy robili ze mnie bóstwo. Przewrócili mi całe upierzenie na głowie, ale po wyjściu mogłam się już pokazać wśród warszawiaków. Ładnie byłabym wyglądała w mojej czarnej sukience ze złotem i aplikacjami w kolorze lila! Ale dzisiaj zamiast wróżek z bajki są po prostu porządne

modystki z dobrym gustem i z żelaznym zapasem gotowych sukien w celu ratowania czupiradeł z Pomorza. No i naturalnie gdy jest pod ręką bogaty stryjasek, bez przysłowiowego jamborowego węża w kieszeni!

Nawet moje duże stopy jakoś wyszlachetniały w warszawskim obuwiu. Co to znaczą pieniądze, stolica i dobry gust! Nic dziwnego, że stryj musiał mnie naprzód jakoś ogarnąć, by móc pójść ze mną na dansing do „Bristolu”. A ta jego Florencja - to morowa towarzyszka. Wszystko robiła z humorem. Była prawdziwa uciecha, gdy kupiliśmy elegancką bieliznę i gdy Florencja - jakby jakiś kochanek - zmusiła mnie do zdjęcia starej bielizny w magazynie i natychmiastowego włożenia nowej, jedwabnej, z koronkami. Mam tego obecnie pół tuzina, starczy mi. Wszystko nowe, wszystko. Nawet drobiazgi. Dwa kapelusze, cztery pary rękawiczek, trzy pary obuwia. Jakże przy tym warszawskim obuwiu wyglądają moje bucięta z ulicy Dworcowej! Torebkę kupował mi osobiście stryjek, prawie w ostatniej chwili, tuż przed zamknięciem sklepu na Marszałkowskiej. Wydał 130 złotych bez jednego zmrużenia oczu. A nasze Jambory na Pomorzu targują się o każdą złotówkę i przepoławiają ją nawet na dwie pięćdziesięciogroszówki. Ale tylko te pomorskie Jambory. Chociaż kto wie? Może i ten gdański stryjek ma trochę fasonu? U niego też jest czasami kolossal. Chciałabym kiedyś widzieć ich obu razem, podobno mają z sobą jakieś interesy.

Dwa dansingi. Trudno to wszystko opisywać. Ale jedno muszę napisać na moją korzyść: nowe eleganckie stroje dodały kopciuszkowi szyku i śmiałości. Moje giry nie zawiodły w tańcu i jakoś nie stanęły kolkiem na parkiecie. Chociaż z tym parkietem było zmartwienie, parkiet mały, a ludzi dużo. Skąd ludzie w Warszawie biorą pieniądze? Wszyscy są mocno wystrojeni, pełno brylantów, w uszach butony jak fasola, a rachunki za konsumpcję wysokie. Przecież tam przy niejednym stoliku ludzie z zimną krwią płacą po paręset złotych. Jak gdyby nigdy nic. Wyrażenie mojej Meluńci. Kilkaset złotych - to przecież miesięczna pensja dobrych urzędników. A kobiety? Kobiety - bóstwa, nie kobiety. Wspaniale wystafiorowane, różne zresztą. Nie mam wielkiej wprawy i doświadczenia, ale mogłabym posortować je - jak wystawowy towar.

A stryjek? Iluż on zna ludzi! Ukłony w prawo i lewo. Od razu weszliśmy w duże towarzystwo. Muszę przyznać stryjkowi, że oszczędził mi zupełnie uwag przed moim pierwszym debiutem. Całkiem inaczej niż w Bydgoszczy, gdzie ciotka przed każdą wizytą u znajomych z góry mnie musztruje: rób to, mów tylko to, nie rób tego. Bardzo mnie cieszy zaufanie stryjka. Chociaż prawdę mówiąc cały czas chodziłam pod rękę z Florencją. Była moją - jakby to określić - chyba boną w ciągu tych bajkowych dni, które niestety już minęły. Ciekawa jestem, czy stryj Marcin podobnie traktowałby swoją własną córkę, gdyby ją miał? Ale to dobre! Stryj Marcin i córka. W sam raz się do tego nadaje. A ta Florencja? Znać szyk. Stryj mówi, że to robi dobra rasa. Rasa? Także coś. Kobieta to przecież nie jest krowa, nie koń i nie pies. Rasa to pewnie ów sygnet na palcu Florencji. Urojenia. Rasa to równie dobrze - my, kupiecka, stara rodzina Jamborów. Przodkowie Florencji machali bez potrzeby mieczami, natomiast nasi zdobywali kamienice z drewnianym łokciem w rękę. W rezultacie to my matmy zawsze jeszcze domy i pieniądze, a im pozostały już tylko sygnety na palcach. A jednak? A jednak oni mają szyk. My zaś - tylko pieniądze. Co trudniej zdobyć? To są jednak rzeczy nieporównywalne, inne światy...

Florencja jest bardzo miła. Rozkoszna. Cieszę się z tej znajomości. Ciekawa jestem, co ją łączy ze stryjem Marcinem. Ciekawy sposób rozmawiania: ona mówi stryjowi - doktorze, a stryj mówi jej: Florencjo, może pani będzie taka dobra... Co ich łączy? Czy tak wygląda kochanka mojego stryja? Ale jakże są gładkie maniery ich obojga!

Podczas bytności w mieszkaniu stryja - niczego nie spenetrowałam. Nie rozwiązałam zagadki codziennego życia mojego stryjka. Willa na Żoliborzu wybudowana na narożniku. Jedna ściana wychodzi na ulicę, tuż pod nią jest zwyczajny chodnik uliczny, druga ściana natomiast jest odgradzona od ulicy kilkunastu metrami zieleni ogrodu i mocnym

oparkaniem z grubej siatki, zabezpieczonej od strony ogrodu przystrzyżonym żywopłotem. Z tej strony prowadzi do willi główne wejście. Wgłębienie w rodzaju muszli do wysokości piętra, przed frontowymi drzwiami kilka stopni. Druga strona willi, owa granicząca bezpośrednio z chodnikiem, posiada osobne, boczne wejście wprost na piętro. Wejście dyskretne. Po otwarciu drzwi mały hall i proste schody na pierwsze piętro z pominięciem parteru. Samo zaś piętro jest połączone z parterem wewnętrznym systemem schodów.

Stryj zamieszkuje całe pierwsze piętro. Parter jest umeblowany, lecz właściciel bardzo rzadko przebywa w Warszawie, mieszka stale w Paryżu. Widocznie willa jest dla niego jedynie jakimś wspomnieniem dawnego pobytu w Polsce. O tym paryżaninie stryj mówił dość tajemniczo i zdawkowo.

- Rzadko przyjeżdża do Polski - to mój stary znajomy. Pilnuję mu willi na Żoliborzu, a w zamian on mnie gości w Paryżu, gdy tam przyjeżdżam. Na dole w willi jest dużo gratów, które zostały po sprzedaży majątku ziemskiego. Kolekcja pamiątek rodzinnych. Artystyczna graciarnia. Obrazy... muzeum czy antykwariat, co kto woli. Kiedyś przy okazji pokażę ci.

Ktoś dzwoni... może ciotka wróciła? Nie, to była tylko stróżka z jakąś paczką dla ciotki.

Ale równocześnie koniec z pisaniem na dzisiaj. Przeszkodziła mi ta kobieta i od razu nastrój do pisania minął. Spróbuję coś przeczytać.

Wtorek - 3 lipca

Wczoraj późnym wieczorem przyjechał ojciec. Przywiózł z sobą list napisany do niego przez stryja Marcina. Do późnej nocy gadaliśmy o Warszawie i o stryju Marcinie. O ciotce Katarzynie nie było mowy. List stryja mam w torebce, stryj pisze krótko:

„Kochany Benuś, Anna była u mnie w Warszawie przez cały tydzień. Rozmawialiśmy o jej przyszłości. Dziewczyna ma ochotę do dalszej nauki i byłoby zbrodnią zamurować ją w Brodniczy u Pawła z jego zbożowymi handlami. Przecież Krystyn za rok skończy Hochschule w Gdańsku i zaopiekuje się nim gdańska rodzina Józefa, u którego zresztą mieszka prawie od samego początku. Wżeni się pewno w dobre interesy gdańskie, tam są u Gardenów panny na wydaniu, w sam raz dla naszego Krystynka. To, co mu posyłasz do Gdańska, to tylko miły dodatek do tego, co ma u tamtejszych krewnych. Żyje wygodnie i niczego mu nie brakuje. Byłem i widziałem. Tak studiować to musi być bardzo przyjemnie, mnie nie szło tak dobrze. Kariera Krystynka murowana, zresztą ma głowę na właściwym miejscu, o to już się postarał nasz Józef!

A dziewczynie trzeba pomóc. Ty masz w domu dwie córki, jedna dała ci wnuczki, a druga pomaga w interesie. Anny nie potrzebujesz w Wąbrzeźnie, a dalszy jej pobyt w Bydgoszczy nie ma sensu. Partii tam również nie znajdzie odpowiedniej, chyba wśród „znajomych” młodego Michalskiego w Poznaniu, a to byłoby nieciekawe.

Proponuję Ci coś innego. W sierpniu wyjeżdżam do Krynicy na cały miesiąc. Zapraszam was oboje do Krynicy, to znaczy Annę i Ciebie. Wszystko na mój koszt, ale jedźcie koniecznie drugą klasą i sleepingiem, szkoda zdrowia, pieniądze są zawsze do nabycia.

Uśłuchaj mnie, Benuś, zrób mi przyjemność. Krynica dobrze Ci zrobi. Na ostatniej fotografii - tej z wnuczkami - źle wyglądasz. Za dużo pracujesz. Zostaw interes w rękach Zośki, ona się na tym dobrze zna. Ponadto Annie zrobisz przyjemność takimi wakacjami, ona przecież poza Bydgoszczą i Wąbrzeźnem nigdzie nie była. Urlop otrzyma łatwo, ponieważ jej dyrektor ma na pewno w zanadrzu jakieś dalsze sprawy do załatwienia w Warszawie, a ona ostatnie sprawy dobrze mu załatwiła.

Równocześnie posyłam wam 500 złotych na koszty podróży. Załączam dla Was obojga i dla wszystkich w Wąbrzeźnie dużo ucałowań i oczekuję za cztery tygodnie w Krynicy. Twój Marciusz.

P. S. Pieniędźmi podzielcie się po połowie, pewnie Anna ma jakieś drobiazgi do załatwienia, mam na myśli fatalaszki kobiece. Mieszkanie jest już zapewnione. Pokoje ładne, jedzenie możliwe i blisko łaźni. Tobie, Benuś, przyda się tuzin gazówek, może dwa, i trochę Zuberę na twój brzuszec. Dziewczynie to już bez kuracji, w zamian trochę wesołego towarzystwa. Całuję”.

No i koniec listu. Sprawiedliwie trzeba przyznać, że ojciec wręczył mi 250 złotych i pokazał oryginalny list. Ojciec ma ochotę na Krynicę. Poczciwa Zośka podobno trzyma moją stronę. Chyba pojedziemy?

Środa - późnym wieczorem

Odprowadziłam ojca na dworzec. Nie wiem, o czym rozmawiali oboje, mój ojciec i ciotka Katarzyna. Zamknęli się w pokoju ciotki i mnie nie zawołali. Nie było żadnej awantury. Ojciec do samego końca był naturalny, a on nie umie ukrywać wzruszeń, zwłaszcza gdy jest zły i gdy mu się coś nie podoba. Ciotka bez zmian, tylko tyle, że ze mną nie rozmawia. Widocznie w Poznaniu była tym razem grubsza awantura, bo ciotka wróciła do domu zmartwiona. Pewnie córuchna mocno wlała jej za skórę.

Ojciec przy pożegnaniu pocałował mnie jakoś serdeczniej i powiedział:

- Pewno pojedziemy do tej Marcinowej Krynicy, chociaż to śmieszne, aby taki smarkacz fundował Krynicę mnie, poważnemu kupcowi bławatnemu. No, ale jeżeli chce... Widocznie pieniądze go świerzbią i nie wie, co z nimi robić.

Mój dyrektor w dalszym ciągu bardzo uprzejmy. Dał mi dzisiaj do poprawy dwa koncepty niemieckich listów, które pisał nasz inżynier z Galilei. I to ma być język niemiecki? Skąd oni biorą takie wyrażenia? My się tutaj śmiejemy z galicjaków, że u nich psy latają, oni mówią podobno: ich habe den laufenden Hund gesehen. A to dobre! Przerobiłam te gramatyczne humoreski na porządną język niemiecki i stary dziwił się, skąd mi to idzie tak gładko? A to dobre pytanie! Nie miałabym znać dobrze domowego języka Jamborów?

Przyszło mi dzisiaj na myśl, aby pójść na wieczorowy dancing. Ale nie mam po prostu z kim. Już bym nawet sfinansowała taką wyprawę, która tutaj w Bydgoszczy kosztowałaby najwyżej dziesięć złotych. Ale z kim? Nie mam odpowiednich koleżanek, wszystko jakoś rozpięchło się po świecie. Nawet moja partnerka z głupiej „przygody” wyszła za męża. Po ślubie natychmiast wyjechała z Bydgoszczy i umieściła się gdzieś na Śląsku. Swoją drogą miała szczęście, wyszła za inżyniera z grubą forszą, wdowiec z dziećmi. Takie przeważnie mają szczęście. Bezwstydność jest wabikiem i jak widać popłaca. Właściwie nie ma się czemu dziwić - a nasza Meluńcia? Przed rokiem podsłuchałam jej rozmowę z matką. Podobno Józinek nie mówi żonie w cztery oczy inaczej, jak: ty k....! Ładny kwiatek. I to jest mąż i żona?

Piątek

Ciotka powiedziała mi dzisiaj z przekąsem:

- Marcin nigdy się nie ożeni. Z niego był zawsze lekkoduch i pędziwiatr. Wyłudzał posagowe talary od matki i bujał po świecie. A stary Jambor patrzył na to wszystko przez palce i harował w sklepie. Synalka nosiło po zagranicznych światach, nie była mu w głowie solidna praca na kawałek chleba. Ale takim zawsze pieniądze syją się z nieba! Marcin zaprosił was do Krynicy, abyście podziwiali go, że ma pieniądze...

Wyobraź sobie - opowiadała ciotka - pewnego roku był u nas zjazd rodzinny na Boże Narodzenie. Ja miałam wówczas dorastające dzieci, a Magda dobre trzydzieści lat. Marcinek przywiózł nam w prezencie buteleczki z perfumami. Podobno były drogie, ale na co nam zdały się takie perfumy! Czy nie było szkoda pieniędzy? Nie było to lepiej kupić coś praktycznego... ale perfumy?

Tymczasem zostałam sama w salonie na francuskiej kozetce, którą chciałabym wykraść ciotce - lecz cóż? - nie zabiorę jej przecież do walizki. Ani ojcu, ani ciotce nie pokazywałam moich warszawskich skarbów. Chociaż mam wielką ochotę ubrać się i pokazać koleżankom w biurze. Chyba zemdlałyby, ale nie uwierzyły w stryjka i zaraz obmówiłyby mnie, że otrzymuję prezenty od kochanków. Swoją drogą 250 złotych wpłaciłam natychmiast na PKO. Coś mi się sypią do fartucha pieniądze i podarunki! Tymczasem niech żyje Krynica, a później... Poznań. Lecz nie ten Poznań Melańci i Józinka, lecz Poznań mojego uniwersytetu i nowego życia!

Dobrej nocy, Anno! Karta twojego życia obraca się na lepszą stronę. Na weselszą. Swoją drogą, chciałabym być choć w połowie tak szykowna jak Florencja. Podoba mi się ta dziewczyna. Gdyby stryj był mądry, to zabrałby „swoją” Florencję do Krynicy. Mogłabym wiele skorzystać w jej towarzystwie.

Czwartek - w biurze

Hela ma znów awantury w domu z mężem i pożyczyła ode mnie 50 złotych do pierwszego. Co ona ma z życia? W biurze haruje, w domu gotuje, zajmuje się dziećmi i znosi humory męża. W dodatku mieszkają razem z teściową, która widzi w swoim synu ósmy cud świata. Oglądałam na własne oczy tego ananasa. Taki sobie świński blondynek z zadartym do góry noskiem, mocno wyłysiały, średniego wzrostu patyk, z lekka przygarbiony, z długimi małpimi rękami. Palce jak wychudłe szpony, ręce wilgotne. Jakies podejrzane plamy na twarzy i spora blizna na czole, podobno kiedyś w młodości upadł na kamień i zostało. Spojrzenie obleśne i stale taksujące kobietę podczas rozmowy. Głupota ucieleśniona już w tym jednym egzemplarzu męskim.

Nie wiedziałam, do czego ciotunia zmierza swymi opowiadaniem, ale w końcu i to zgłębiłam. Do ciotki pisał stryj Paweł. Widocznie w rodzinie panuje ostatnio ożywiona korespondencja i kupieckie Jambory przestraszyły się, że jeden kobiecy wół roboczy opuszcza ich rodzinną łączkę. Dla nich wygodne są tylko stare panny do wychowywania braterskich dzieci albo Zosie do wysiadania staropanieństwa w sklepowych kasach. Ani myślę!

Nie zdradziłam się jednak z moimi poglądami i obłudnie wyczekałam do końca zwierzeń ciotki. Nawet zapytałam, niby z zainteresowaniem:

- Ciekawa jestem, ile by mi dał stryj Paweł za pracę w jego brodnickim „Rolniku”?

Ciotka popatrzyła na mnie z ciekawością, a nawet jakby z przeblyskiem radości:

- Dostałabyś gotówką do ręki dwieście złotych i pełne utrzymanie. Paweł ma w Brodnicy dużą willę, mieszkają w niej sami, bez lokatorów...

- Namyślę się - powiedziałam ciotce. - Chociaż nie mam do tego żadnego przekonania.

Po usłyszeniu tych słów ciotka roztoczyła przede mną czarujący obraz pracy, z którego wynikało, że po upływie każdego roku mogłabym odłożyć dobre dwa tysiące złotych. Ciotka dodała przy tym przezornie, że takie oszczędności można by dobrze lokować na wysoki procent w stryjowskim handlu zbożem. Przy tej okazji dowiedziałam się, że 8% od dwóch tysięcy złotych daje rocznie całe 160 złotych, to znaczy prawie jedną miesięczną pensję! Sama nie byłabym wpadła na taki pomysł.

Następnie ciotka kusila mnie jeszcze jednym obrazem:

- Przecież wiesz - mówiła - że Paweł 200 posagowych morgów po Schwartzach potroił, a może jeszcze i lepiej, oni stale dokupują ziemi, a w dzierżawie mają jakieś rycerskie dobra. Ten interes ze zbożem daje im grube dochody. Na wsi gospodaruje Maks, a ojciec robi interesy w Brodnicy. Nie marnują pieniędzy po bankach i sami nimi obracają, mają jakieś konszachty z Gdańskiem. Paweł jest szanowany w okolicy, wszyscy go znają, mogłabyś liczyć na poznanie odpowiednich kandydatów ze wsi.

To nie byłyby takie wartogłowy jak Józef Michalski, który żyje z powietrza. Niby pośredniczy w jakichś interesach i nigdy nie wiadomo w czym. Dziwię się starymu Michalskiemu, że nie przypilnował draba. Nawet gimnazjum nie skończył i wylali go dwa lata przed maturą. I to jest syn lekarza... W skórę bić takich łobuzów. - Po chwili ciotka dodała ze złością, lecz już po cichu. - Ojca też!

Co moja Mela widziała w tym Józinku, sama nie wiem. Przecież trafiali się jej inni kandydaci, ludzie na stanowiskach, dobre partie małżeńskie, a Mela wybrała gołego Józinka, Moja w tym wina, bo nie sprzeciwiałam się tej miłości(?), a Mela była głupia i zadurzyła się akurat w Michalskim.

Nie sędzę, aby ciotka była głupia i sama w to wierzyła, co mówi. Widocznie jednak pragnie uspokoić własne wspomnienia i opowiada stare dzieje w ten sposób, w jaki pragnęłaby, aby się były w swoim czasie przydarzyły. Pragnie sama siebie oszukać i w tym znajduje jakieś uspokojenie czy odurzenie. Chyba nie ma mnie za głupią?

Sobota - w biurze

Jakże już blisko Krynicy. Tylko cztery tygodnie. Ciekawa jestem, jak to będzie z wyjazdem? Co mam sobie kupić? Coś letniego. Szkoda, że nie ma przy mnie panny Florencji i stryja Marcina. Codziennie odczytuję jego list, który ojciec zostawił u mnie.

Wieczorem

Rano nadszedł list z Brodnicy od stryja Pawła. Zawierał jakby konkretną propozycję właściciela firmy handlowej dla kandydata na urzędnika. Dopiero na samym końcu stryj dopisał:

„Kochana Anno, jestem pewny, że nie ulegniesz chwilowej fantazji i pójdiesz za moją propozycją. Na co Ci myśli o jakimś uniwersytecie? Co najwyżej zostałabyś profesorką w gimnazjum, a tam licho płacą i ciężka praca. U nas będziesz miała dobre życie, wygodne mieszkanie i poznasz dużo młodzieży z dobrych kupieckich domów i gospodarstw. Całujemy cię wszyscy, Herta cieszy się na twój przyjazd. Moja dziewczyna ma tutaj starającego się, ale ja uważam, że to jeszcze zbyt rychło. Jest to młody lekarz, mieszka w Brodnicy, ale u nas jest silna konkurencja starych przedwojennych lekarzy. Chłopak tymczasem stara się o miejsce w szpitalu, o to nie jest również tak łatwo. Na ślub jest jeszcze czas i nie wiadomo, co młody doktor dostanie z domu. Tymczasem Herta pomaga w domu przy gospodarstwie. Ona nie nadaje się do biura, z niej jest wykapana nieboszczka matka. Ciotka pilnuje Maksa na wsi. Słuchaj mnie, kochana Anno, nie rób głupstw i przyjeźdź do nas. Twój stryj Paweł”.

Przed zaśnięciem

Stryj Paweł może mieć obecnie niecałe 50 lat. Muszę sobie kiedyś wyrysować nasze drzewo genealogiczne z datami i informacjami.

Co do stryja Pawła, to niezwykła kariera. Nie wiadomo, dlaczego skończył seminarium nauczycielskie. Było to jeszcze w mocno pruskich czasach. A później ożenił się na wsi, gdzie był na praktyce nauczycielskiej. Miał szczęście, ta cała Gertruda Schwartz nie zajęła mu wiele czasu, co najwyżej cztery lata, i umarła przy Hercie. Paweł nie ożenił się, tylko sprowadził do siebie siostrę Magdę i wspólnie wychowali dzieci po Gertrudzie. Myślę, że stryjek nie miał po prostu czasu na powtórne małżeństwo. Zajął się skupywaniem gruntów i w ten sposób zbiegł mu czas. Widocznie są na świecie różnego rodzaju żądze, jedni Jamborowie kupują ziemię, inni - domy. Ciekawa jestem, jak wyglądali moi przodkowie na przykład 300 lat temu. To znaczy gdzieś na początku XVII wieku, w roku dokładnie 1628. Muszę zapytać o to stryja Marcina. Ciekawa jestem, co mi odpowie na takie pytanie.

A jednak zawsze wracam do tego stryja Marcina. Nic dziwnego, że nie jadę do Brodnicy, zapraszali mnie nawet, abym ich odwiedziła w którąś niedzielę. Więcej podobają

mi się jedwabne majteczki obszyte delikatną koronką, aniżeli przysłane mi w tym roku ciepłe, mocne majtki z gumką, z trykotiny przerabianej z wełną. Takie praktyczne wąbrzeskie majtki można by przekazywać w spadku córkom: nie do zdarcia, tak zachwalają w naszym sklepie głupie ekspedientki. Takie mocne!

Krynica, a później Poznań. Dobranoc, dziewczyno z mokrą głową!

Niedziela

Wyleguję się. Nie byłam nawet w kościele. Ciotka zgorszona, ale nic nie mówi. Powiedziałam jej, że tak mi radziła Mela. Ciotka nic nie odpowiedziała, spojrzała na mnie jedynie kpiąco. Może nawet pomyślała sobie: to przecież jest dobry znak. A zatem spędzam spokojną niedzielę w mieszkaniu, na mojej francuskiej kozetce, i w należyty, higieniczny sposób przykładam się do pielęgnowania mojej kobiecej słabości.

Właściwie sama nie wiem: może czułabym się lepiej w skórze chłopca. Czy chciałabym być chłopcem? Może. Chociaż może i nie, ponieważ chłopcy podchodzą do życia w jakiś dziwnie uproszczony sposób. Kopiają piłkę nożną, gdy są szczeniakami, później - na przekór zdrowemu rozsądkowi - robią wariactwa i nigdy nie analizują swoich postępów. Żyją z dnia na dzień. Przeważnie rozpychają się i nie starczy im ulicy do wyżycia. Wszystko im jest małe, bo wszystko jest tylko dla nich. Nawet w domu matki podtykają im lepsze kąski do jedzenia. Moja matka zawsze wyróżniała Krystynka. Jedynek. Ja byłam ostatnim wyskrobkiem i nikt się mną nie przejmował. Wszyscy się mną wysługiwali i już w kilka miesięcy po śmierci matki pozbyli się mnie z domu, przeszkadzałam im z moimi dwunastu latami. Może dlatego, że Pelasia i Zośka dostatecznie wypełniały dom i nie było w nim już miejsca dla małej dziewczynki. Byłam wówczas zgoła nieważna, chuda, blada i opryszczona na twarzy. Nie było we mnie w tych czasach nic pociągającego. Mam jeszcze fotografię z tych lat. Chuda dziewczynka w marynarskim ubranku z plisowaną spódniczką i warkoczami spuszczoneymi do przodu.

Nawet minę mam na tej fotografii mocno wystraszoną. Nic dziwnego, dostałam się wówczas pod komendę srogiej ciotki Katarzyny i dwa razy ode mnie starszej Meli. Mela była już mocno zaawansowana w romansach i chodziła z torebką wypchaną fotografiami różnych szaców w mundurach. Polska przyszła wówczas do nas zgoła nieoczekiwanie i nowi ludzie dokonali prawdziwego spustoszenia. Wszystko było im źle i wszystko chcieli reformować. U nas natomiast wszyscy byli jakby zdziwieni i nie umieli ustosunkować się do nowych warunków życia. Mój wujek Świetlik nie od razu zdecydował się na Polskę i zdaje się dość długo zastanawiał się nad przeniesieniem do Berlina. Ale był już na to za stary i od berlińskiej rodziny przychodziły wieści o tamtejszych trudnych warunkach gospodarczych. Tylko dlatego Heli powrócił wówczas do dawnego nazwiska Świetlik. Ciotka Katarzyna właściwie też była więcej związana z niemczyzną niż z Polską, która przyszła przypadkowo. Trzymała zawsze z rodziną swojej grudziądzkiej matki, a ci byli zaciekłymi lutrami. Jak przyszło do małżeństwa Elżbiety Busse z katolickim dziadkiem Jamborem, tego nie umiem sobie wytłumaczyć i wyobrazić. W każdym razie moja polska babka Agnieszka pochodziła ze wsi i żyła z dziadkiem prawie 40 lat. W małżeństwie było mnóstwo dzieci, z nich jednak wyżyło tylko siedmioro: pięciu synów i dwie córki. Trzech stryjków kręci się koło nas w Polsce i Gdańsku, czwarty prysnął w świat jeszcze przed zabraniem go do wojska. Z córek jedna w Krakowie zamknęła się w klasztorze, a druga, Magda, wychowywała dzieci stryjkowi Pawłowi. Nigdy się w nikim nie kochała, tak mówią w rodzinie starzy Jamborowie. W każdym razie gburka córka wypełniła świat różnymi Jamborami, natomiast luterska pierwsza żona dziadka przysporzyła nam tylko ciotkę Katarzynę.

Ale po jakiego licha zajmuję się genealogią zamierzchłej epoki. Co to mnie obchodzi? Swoją drogą gdy kiedyś odpowiedziałam ciotce, że świat obchodzi mnie tylko od chwili mego urodzenia, ciotka Katarzyna powiedziała mi wprost w oczy: zimna egoistka. Niesłuszne

określenie, ponieważ moja filozofia polega tylko na tym, że nie interesuję się życiem innych. Nie znaczy to, że nie jestem ciekawa, lecz nie przejmuję się zbytnio sprawami innych ludzi, bodaj moich najbliższych. Nie rozpaczam i nie robię o byle co tragedii. Cieszę się życiem i światem, a innym życzę tego samego, byle mi tylko nie wchodzili w drogę i nie przeszkadzali.

Dobranoc, przyszła studentko! Wesole w tym jest właśnie to, że wybieram się na uniwersytet, a dotychczas nie ustaliłam wydziału, na którym będę studiować. W każdym razie mam nieco ułatwioną sytuację, ponieważ dziewcząt nie przyjmują na teologię...

Niedziela - 15 lipca

Trzeba będzie jednak nagiąć się do spokojniejszego zapisywania zdań w bloczku. Przy pisaniu pensjonarskiego pamiętnika namyślałam się nad każdym zdaniem, ale całość „wychodziła” również nie dość porządnie. Profesor byłby napisał pod nim u dołu, podobnie jak to czynił z moimi wypracowaniami z polskiego: prawie dostatecznie. Nikomu nie pisał „dobrze” i bardzo często wypowiadał zdanie, że nie warto nas uczyć polskiego, ponieważ i tak nigdy się dobrze go nie nauczymy. To był również belfer z Galicji, a u nas podówczas nie było na miejscu ludzi umiających poprawnie pisać po polsku. „Historia literatury polskiej” Bernarda Chrzanowskiego nie była w tym czasie znana na pruskim Pomorzu czy w Poznańskiem, czasami tylko czytywaliśmy polską gazetę drukowaną w Grudziądzu. Mam na myśli jeszcze pruskie czasy, ale właśnie pierwsze szkolne lata w życiu dziecka mocno ciążyą na jego późniejszym życiu. Obcy ludzie zatem uczyli nas stawiać pierwsze kroki w naszej, już polskiej ojczyźnie. Nie czynili tego dość wykwinnie i nawet u nas latały w klasie owe pomorskie czy pruskie głupie barany. Tylko tyle, że w Bydgoszczy o to nikt nie robił kwestii, wszyscy byliśmy zadowoleni, że w ogóle mieliśmy możliwość uczenia się. W dodatku dokładnie tego samego wysłuchiwaliśmy poprzednio od niemieckich nauczycieli. Nieraz dostałam kantem linii po pazurach i nieraz mówiono nam prosto w twarz: dumme polnische Schweine. Cierpieliśmy. Specjalnie Bydgoszcz była mocno zniemczona. Taki był nasz ówczesny los, w polskiej szkole nie odnoszono się do nas życzliwie, w domu i w mieście - do dzisiejszego dnia - niemczyzna jest tylko z wierzchu przyciszona. Ale to wszystko już - najgorsze - przeminęło i z latami przetrze się i wyrówna. Marcin mówił o takim właśnie wymieszaniu się młodzieży na poznańskim uniwersytecie.

Środa

Przyszła paczka z domu. Materiały na dwie sukienki letnie. Bardzo ładne, od razu widać, że ojciec jest kupcem bławatnym. List od ojca - w paczce - bardzo krótki:

„Daj zrobić sobie sukienki, ale naprzód oglądnij dobrze żurnale i przypilnuj, aby krawcowa nie spaprała materiałów. Zośka odwiedzi cię w niedzielę i naradzicie się we dwie, co trzeba przygotować na tę „pańską” Krynicę Marcina. Jedziemy. Może Marcin ma rację, coś mi dolega na żołądku. Było dobrze, póki nie wspomniał o tym w swoim liście. Teraz boli, Marcin obudził we mnie lichy, które spało. Przedtem widocznie nie miałem czasu na myślenie, gdyż u nas zawsze jest dużo harowania w sklepie...”

Zaraz po biurze lecę do krawcowej. Pójdę do tej lepszej na Sobieskiego, parę złotych więcej mnie nie zbawi, a przecież w Krynicy trzeba będzie dobrze wyglądać.

Sobota

Wczoraj wieczorem przyjechał do nas stryj Paweł. Narobił w domu ruchu za cały tuzin stryjów. Stryj Paweł jest masywny, wysoki. Podobny bardzo do Józefa z Gdańska, tylko tyle, że wyższy od niego i mocno opalony. W sportowym ubraniu i w zielonym kapeluszu myśliwskim z kitką. Taki sam ubiór jak zwykle od lat.

Naprzód były trzy godziny gadania podczas kolacji, później oboje z ciotką zamknęli się w małżeńskim pokoju ciotki. Tam również spał stryj Paweł, w łóżku zmarłego wujka. Nie nazywam już tego obecnie obłudą czy hipokryzją i bardzo dyplomatycznie i zręcznie wytłumaczyłam stryjkowi, że nie urzędzę się u niego w Brodnicy.

- Stryjku kochany - powiedziałam - to tylko cztery lata, przez ten czas interes zbożowy mocno się rozwinie, a ja zawsze będę mogła przyjechać do was, już z dyplomem. Może skończę prawo i wystarcie mi się o aplikaturę w Brodnicy? Przyrzekam, że w przyszłym roku przyjadę do stryjka na całe trzy miesiące wakacji akademickich i pomogę w biurze. Zgoda, stryjkę?

O dziwo. To jednak nie jest zła metoda - ze stryjkami trzeba dobrocią. Nie wykrzyczał mnie, nie starał się przekonywać, chwilę tylko patrzył na mnie jakimiś smutnymi oczami, ale w końcu powiedział:

- A ja tak liczyłem na twój przyjazd. Nie pisałaś i wszyscy byliśmy pewni, że zamieszkaś z nami. Ale trudno. Czasy się zmieniły, nawet od nas z Brodnicy parę dziewcząt wybiera się również na ten uniwersytet w Poznaniu. Takie chuchra, przeważnie córki urzędników. Mogą one, czemuż by nie mogła Jamborówna? Ale przyjedziesz do nas w przyszłym roku?

Gdy byliśmy sami - ciotka wyszła do kuchni - stryj pocałował mnie kilka razy w czoło i pospiesznie szepnął mi:

- No trudno, jedź, dziewczyno, może to i lepiej dla ciebie?

Dzisiaj przed odjazdem stryj odwiedził mnie w biurze i rozmawiał ze mną bardzo serdecznie. Dał mi 300 złotych i powiedział:

- Przyślę ci więcej z końcem roku. Tymczasem schowaj pieniądze, przydadzą ci się w Poznaniu. Wiem, że wasz ojciec nie lubi rozstawać się z pieniędzmi, zawsze było z niego skąpiradło, nawet dla samego siebie...

Po południu

Siedzę w domu. Ciotka wyszła do znajomych. Nie wypędza mnie już z mego schronienia w saloniku, tylko tyle, że na dzień zacierają ślady moich noclegów na kozetce. Mogę powiedzieć obecnie, że mieszkam w salonie. O dziesiątej przyjedzie Zośka. Co mi przywiezie, jakie nowości? Zobaczymy.

Stryj Paweł udał się. Nigdy nie wyobrażałam sobie takiego gładkiego załatwienia sprawy z Brodnicą. W dodatku stryj szepnął mi na odchodnym:

- Tylko nic nie wspominaj o tych pieniądzech ojcu. Lepiej, że nie będzie wiedział o tym. Niech on również wysupła trochę pieniędzy na twoje urządzenie się w Poznaniu. Wiedz o tym, że ma grube pie-ni-ą-dze.

Poniedziałek - w biurze

W sobotę przyjechała Zośka, Nie przywiozła nic nowego. Mam na myśli nowiny rodzinne. Otrzymałam w prezencie z domu bardzo porządnie wyglądającą walizkę skórzaną. Stary fason, ale solidna robota. Z mosiężnymi okuciami. Takich obecnie nie fabrykują. Mocna, z taką walizką można by wyjechać nawet do Ameryki. Była wypełniona bieliznianymi skarbnami. Podobno są to już „pierwsze kroki” mojej panińskiej wyprawy do Poznania. Wszystko bardzo solidne, nowe, mocne, lecz naturalnie bez najmniejszej koroneczki. Mocne, bo - kupieckie. Przyda się jednak. Nie można bowiem przebywać nieustannie wśród koronek, podobnie jak nie można by jadać samych ciastek z kremem. Nic nowego. Dzisiaj przed południem Zośka załatwia jakieś interesy sklepowe dla ojca, po południu mamy latać razem po sklepach na krynickie zakupy. Ciekawa jestem.

W domu ustalili, że ojciec przyjedzie do Bydgoszczy drugiego sierpnia, w czwartek. Przenocuje u nas i w piątek wieczorem wyjedziemy przez Poznań i Katowice do Krakowa. W

sobotę rano będziemy w Krakowie i zaraz jedziemy dalej. Do Krynicy dobijemy w sobotę po południu. Wszystko już zostało uzgodnione listownie ze stryjem Marcinem, który będzie oczekiwał nas na dworcu.

Wieczorem

Zośka odjechała i zostałam sama. Wyśmiewała się z moich noclegów na kozetce w salonie. Ona myśli jedynie o wygodzie w łóżku i jej - jak mówiła - nic by nie przeszkadzało w przechodnim pokoju. Dobrze jej tak mówić, skoro w Wąbrzeźnie króluje w oddzielnym pokoju. Nie zaznała jeszcze dłuższego towarzystwa ciotki Katarzyny.

Oglądam powoli wszystkie moje skarby ubraniowe i czuję się podobnie jak Robinson po dostaniu się na rozbity statek. Tylko że na moim statku brak psa i kota, ale w zamian mam ciotkę! Ciekawe, moja ciotka obecnie - do rany ją przyłoż, ale czuję przez skórę, że zazdrości mi odmiany życiowej. Ona wolałaby, abym zagrzebała się w ziemiopłodach i została drugą Zośką, na odmianę u „rolniczych” Jamborów. Żałuje mi ciotka Poznania i uniwersytetu. Wolałaby mnie widzieć z jakimś Józkiem, następną kopią rodzinną kuzyna Michalskiego - miałyby w tym wielką satysfakcję.

Czy uda mi się namówić moich panów do zatrzymania się w Krakowie w powrotnej drodze? Może ruszy ich przywiązanie rodzinne i zechcą pokazać mnie naszej świętej zakonnicy. Ona przebywa podobno w jakimś bardzo surowym zakonie, nie wiem, czy w ogóle można ją tam odwiedzać. Ale Kraków chciałabym zobaczyć, chociaż dwa dni... Będę namawiać stryja Marcina, bo co do ojca, to wiem, co by mi powiedział: na co tobie Kraków?

A może stryj przyjedzie ze swoją Florencją. - Florencjo, może pani będzie taka miła i pojedzie razem ze mną do Krynicy? Tam przyjedzie również moja nieokrzesa bratanka z głębokiej prowincji. Może pani pomoże mi oprowadzić ją trochę po świecie? Aby się ogładziła, Florencjo. Bardzo panią o to proszę...

Wtorek - w biurze

Dzisiaj mam krawcową. Ciekawa jestem, jak wypadną moje sukienki. Język mnie świerzbi, ale milczę. Chciałabym krzyczeć na głos, na mojej Nakielskiej ulicy, przy której mieszkałam osiem lat i gdzie mnie wszyscy znają: jadę we wrześniu na uniwersytet do Poznania! Z urlopem załatwione, nic mi nie przeszkodzi, murowane, i nic się już nie zepsuje. A tak się bałam - do ostatniej chwili. Stary tylko brzęczy o tym, że w jesieni będą potrzebne nowe pozwolenia przywozowe. Podobno jakieś instrumenty pomiarowe i części maszyn ze Szwajcarii, a to są właśnie najtrudniejsze pozwolenia. Nasza umowa handlowa ze Szwajcarią jest do maku - tak mówi dyrektor. Podobno możemy zapłacić tylko eksportem, a nie gotówką. Dyrektor prosił, abym zapytała ministerialnego stryjka, co moglibyśmy wywieźć z Polski do Szwajcarii. Widocznie stary chce zrobić jakiś dodatkowy interes na własną rękę. Wszystko sobie zapisałam i jeszcze przed wyjazdem wyciągnę od Milewskiego pozostałe dane. Stary Milewski patrzy na mnie trochę zezem od czasu mojej podróży do Warszawy. Podobno dostawał od dyrektora specjalne gratyfikacje za uzyskiwanie pozwoleń i zawsze miał z tym wysokie koszty dodatkowe. U nas mówią w biurze, że w Warszawie trzeba wszędzie dawać łapówki, inaczej nic się nie uzyska w ministerstwach. Zapytam o to stryja albo lepiej panią Florencję. A może lepiej nie pytać? Może stryj również dał łapówkę? Ale chyba nie, jemu zrobili to po znajomości, przecież jest radcą.

Na razie jestem głupia jak tabaka w rogu, ale z czasem zmądrzeję i dojdę do sedna sprawy. Ciotka Katarzyna mówi, że to są nieczyste interesy. W każdym razie to są handlowe interesy. Ciekawa jestem, czy na świecie są jakieś czyste interesy? Ojciec mówi, że stryjowi Józefowi udają się w Gdańsku zręczne interesy. Zapewne interesy, które się udają, to są zręczne interesy, a te, które się nie udają, to właśnie owe nieczyste interesy. Ale to sobie pięknie wykombinowałam, prawdziwie po jezuicku, a może tylko po jamborowemu? Coś mi

się jednak kręci po głowie, że w starożytnej Sparcie karano nie za kradzież, lecz za to, że złodziej pozwolił się złapać. A to dobre! Nie wiem tylko, czy dobrze zapamiętałam.

Nudzi mi się w biurze, ponieważ dyrektor wyjechał, a nasi panowie wolą dawać do pisania naszej Helence. Ode mnie się jakoś odsuwają. Może, głupi, myślą, że ja gonię do starego z biurowymi plotami. Także pomysł, w sam raz trafili na mnie. Co mnie obchodzi to całe bydgoskie biuro? Jeszcze tydzień przed Krynica i dwa tygodnie po Krynicy. A potem do widzenia! Adieu, Fruziu, jak mówią u nas.

No cóż, ale oni tego nie wiedzą. Widzieli natomiast, że na pierwszego wyplacono mi podwyższoną pensję. Zresztą mają rację, ciotka mi powiedziała:

- Ty, głupia, pojechałaś za darmo do Warszawy, a Milewskiemu poszła gratyfikacja koło nosa.

Ach, jakie to wszystko jest beznadziejne! Ze wszystkich zawodów chyba najgłupsze jest urzędnicze siedzenie w biurze. Najlepiej mają wolne zawody. Klienci do adwokata i pacjenci do lekarza sami przychodzą. Właściwie to wszystko jedno. Klienci to są też do pewnego stopnia chorzy ludzie, złodzieje, którzy dają się złapać i za to muszą trochę pocierpieć, lub niezręczni handlowcy, którym się nie udały interesy.

Już wiem, może skończę prawo, ale nie utkwię w sądownictwie. Spleśniałabym jak stare kodeksy i akta hipoteczne. Widziałam to u wujka Świetlika. Ledwo go było widać spoza papierów. Podobno tylko on jeden orientował się w tych papierowych dżunglach, nic dziwnego, dlatego trzymali go w tym sądzie.

W każdym razie zaraz po ustaleniu się w Poznaniu zabiorę się do angielskiego. Prawie nic nie umiem, ale może to i lepiej, byle trafić na dobrego nauczyciela z metodą. Co do francuskiego to spróbuję pisać wypracowania systemem szkolnym. Z czytaniem nie jest tak źle, sporo rozumiem. Trzeba będzie czytać francuskie książki - przy pomocy słownika. Trzeba będzie od samego początku mądrze się pokierować i nie tracić czasu na niepotrzebne sprawy. Do widzenia, kochane lenistwo, na razie niech żyje praca! Cztery lata minie jak z bicza strzełił. Zbyt trudno mi to nie przyjdzie, ponieważ mam szkołę ciotki Katarzyny. Ona mnie stale poganiała i nie lubiła, gdy siedziałam z założonymi rękami. Mówiła wówczas, że takim ludziom, którzy nic nie robią, to od razu przychodzą głupie myśli do głowy. Osiem lat! Och, mój Boże!

Pójdę chyba dzisiaj do kina - coś mi się należy od życia, w ostatnich tygodniach siedziałam w domu kamieniem. Naturalnie pójdę sama, nie warto już starać się o znajomych. Koleżanki - to zaraz płaczą w mankiet i uzalają się na brak pieniędzy lub opowiadają o swoich chłopcach. Na poczekaniu otwierają torebkę i wyjmują tuziny fotografii. A to ten, a to tamten. Ten, to był boski chłopak, żebyś wiedziała... Czasami nawet opowiadają z detalami, jak to było i jak się to odbyło. Mój Boże, nie przeżywałam takich momentów, ale już mam dość takich opowiadań.

W dodatku to tak jak by ktoś opowiadał drugiemu z zachwytem o jakichś przedstawieniach w teatrze.

W zwierzeniach koleżanek brzmi niezmiennie tylko jedna nuta: chłopcy i chłopcy. Nawet nie kandydaci na mężów, lecz po prostu chłopcy do zabawy. Co one widzą w tym specjalnego? Owszem, być może, ale nie w ten sposób i nie tak od razu - z taką dozą szaleństwa. One wypełniają tym wszystkie swoje myśli. Mam również skryte koleżanki, które rozmawiają wyłącznie o strojach. Skromne, wyczuwam jednak u nich hipokryzję, maskowaną jedynie jakimś fałszem i obłudą, wolę już te, które nie ukrywają swoich szaleństw.

Anno, co znaczą te słowa: nie od razu? Chyba nic. Tylko tyle, że nie obecnie i nie w moich warunkach. Moje myśli są zajęte innymi sprawami. Chłopcy itd. muszą w mym życiu ustąpić przed innymi, poważniejszymi sprawami. Naprzód mój własny program, a dopiero później zobaczymy. Najlepiej byłoby się tak urządzić, aby móc samej kierować tymi sprawami. W Poznaniu tak ściśle wypełnię sobie czas, wszystkie godziny nauką, że jak

zbawienia - będę wyczekiwać niedzieli, aby móc wyciągnąć się na łóżku i odpocząć po sześciu dniach harówki. Ja to potrafię.

Nie jestem taką sobie pierwszą z brzegu dziewczyną. Przeżyłam moment, który mnie postarzył i obudził we mnie zmysł krytyczny. Otwarłam szeroko oczy na świat i zrozumiałam. Inna byłaby te oczy zamknęła i popłynęła z falą. Bo jeżeli to się i tak nie odstanie, to po „tym” już i tak wszystko jedno!

A właśnie, że nie. Nie. Nie, psiakrew... Nie!

Nie chcę zostać lebiodą ani głupim cielakiem - albo taką wydrą jak Mela, Ta - zapewne z byle kim, to znaczy ze wszystkimi, których poznawała. Ale swoją drogą ciekawa jestem, jak się ułożą moje znajomości w Poznaniu.

Koniec na razie z pisaniem. Przed chwilą wlepili mi do przepisania jakieś cholerne zestawienie cyfrowe na maszynę z długim wałkiem. Kto wie, czy skończę przed trzecią. Oni tak zawsze grzebią się kilka dni, a później dopiero w ostatniej minucie. Ale do kina muszę dzisiaj pójść, grają: „Popioły zemsty”, występuje Norma Talmadge, bardzo ją lubię.

Wieczorem

Ciotka zanudzała mnie opowiadaniem rodzinnymi. Prawie pogodziła się ze mną. Leżałam na mojej kozetce, a ciotka przysunęła sobie fotel i zajęła się robótką. Robi dla mnie na drutach rodzaj żakietu z włóczki w kolorze jasnego szafiru. Bardzo ładny kolor i będzie mi w nim do twarzy. Do tego biała bluzeczka z półrękawkami i spódniczka z lekkiej wełny w kolorze odrobinę jaśniejszym. Krawcowa robi mi spódniczkę na poczekaniu. Ciotka zapewnia, że skończy przed wyjazdem do Krynicy. Mogą być chłodne dni, przyda się. Bieda tylko z tym, że nie wiem, jakie obuwie będzie odpowiednie. Szkoda, że nie ma Florencji. Florencjo, proszę mi poradzić... Ciotka pogodziła się z moim wyjazdem. Na pytanie moje, czy wynajmie jeden pokój po moim wyjeździe, odpowiedziała mi spokojnie, dopiero po namyśle. Być może zmieni umeblowanie. Salon przeniesie do przechodniego, a obecny salon urządzi dla jakiegoś spokojnego małżeństwa, lecz bez używalności kuchni.

Film był taki sobie. Średniowieczne stroje. Noc św. Bartłomieja w Paryżu, a później zabijanie się szpadami w jakimś zamku na prowincji.

Czwartek - 26 lipca

Spódniczka już się robi. Doskonale harmonizuje z włóczkowym żakiem. Dla ciotki jestem z uznaniem. Druty migają tylko w jej palcach. Ja nie mam najmniejszego zmysłu do igły, drutów, i wełny. Przechodzi to moje zdolności. Wolę trzymać nos w książce, jak mówią w rodzinie. Wyradzałam się z Jamborówien, one wszystkie dzielnie „heklują”.

Imieniny moje w tym roku przeszły niepostrzeżenie, prawie bez życzeń, tym razem w biurze nie kupili mi nawet kwiatów. Ale to bardzo dobrze, co mi po jakichś życzeniach?

Już mam wszystko. Obie sukienki i spódniczka udały się doskonale. Ciotka zapewnia, że skończy żakiet w poniedziałek wieczorem. Poniedziałek - 30 lipca

Nie pisałam. W niedzielę był u nas Jan Kowalski. Przyjechał wczesnym rano i tkwił bez przerwy całą niedzielę. Nie wiadomo, po co przyjechał. Przyznaję rację ciotce, która zaraz rano powiedziała mi ukradkiem w kuchni: - Skąd mu się nagle wzięło takie odwiedzanie naszej rodziny? Nie lubię wujka Kowalskiego. Niby rodzony brat mojej matki, a nic nas nie łączy. Nie ma w nim nic serdecznego, na jego twarzy zawsze błądzi jakiś drwiący czy kpiący uśmieszek. Chudy, wyższy ode mnie. Mamy wiele wspólnych cech rodzinnych. To znaczy figurę, nawet trochę ruchów, no i takie same niebieskie oczy. Tylko tyle, że moje spojrzenie jest proste i otwarte, natomiast u wujka Jana nieznośny jest ów drwiący uśmieszek, stale czający się w kącikach oczu.

Muszę przyznać, że wuj Jan jest dotychczas przystojny pomimo swoich 50 lat. W przeciwieństwie do niego stryj Marcin - dużo zresztą młodszy, na pewno nie ma więcej niż 40

lat - jest elegancki. Wykwintny. Na przykład z całej mojej rodziny tylko Marcin pasowałby do panny Florencji. Wuj Jan - nie. Pomimo swojej przystojności. Mimo że w przeciwieństwie do innych moich krewnych, Jamborów - wuj Jan jest mocno ogłodzony.

Obie z ciotką nie możemy wykryć, co skłoniło wujka Kowalskiego do złożenia nam niedzielnej wizyty. Interesów nie miał żadnych, nigdzie nie wychodził, tkwił cały dzień w domu. Nawet nie wypytywał specjalnie o wydarzenia rodzinne. Na wiadomość o Krynicy i Poznaniu powiedział spokojnie, po namyśle:

- Bardzo dobrze, niech się dziewczyna kształci, skoro ma ochotę. Teraz idą takie czasy, że same pieniądze nie wystarczają. Prawo nie jest złe, ja bym jednak radził coś praktycznego, na przykład medycynę lub jeszcze lepiej stomatologię. Dentyści grubo zarabiają, Anna mogłaby zaraz po skończeniu ruszyć z miejsca. Benon ma pieniądze, nie byłoby trudno o własny gabinet. Nawet w Grudziądzu - u nas - mogłaby rozpocząć. W kamienicy dziadka doskonały punkt.

Wujek nic mi nie podarował. Przyjechał, zjadł śniadanie, obiad, kolację i odjechał, Właściwie więcej się od nas dowiedział, niż my od niego. Zawsze był taki tajemniczy. Ciotka opowiadała mi po jego odjeździe, że Kowalski żyje od kilku lat z pewną mężatką. Bóstwo nazywa się Julia Murska i jest dotychczas jeszcze żoną jakiegoś biuralisty z cukrowni w Chełmży. Zostawiła w domu dwoje dzieci i uciekła do Grudziądza. Króluje przy kasie w składzie Kowalskiego. Podobno bardzo efektowna kobieta. Wujek ma w Grudziądzu dużą kamienicę i dobrze prosperujący sklep z obuwem. Wszystko po ojcu, to znaczy po moim dziadku ze strony matki. Podobno wykiwał swego brata Michała przy podziale spadku. Dziadek umarł tuż przed wybuchem wojny w roku 1914 i w Grudziądzu został z moją babką Kowalską jedynie wujek Jan, któremu udało się przeżyć jakoś całą wojnę na miejscu w jakichś magazynach wojskowych. Babka prowadziła interes. Tymczasem jego brat Michał chodził na medycynę w Berlinie. Tam zaskoczyła go wojna. Naprzód był we Francji, a sam koniec wojny zastał go na wschodnim froncie i w niewoli, z której wrócił bardzo późno, dopiero po roku 1920. Zawadził o Lwów i tam pozostał. Skończył medycynę we Lwowie i ożenił się z córką tamtejszego lekarza. To właśnie jest rodzina owych Baumanów, o których stryj Marcin wyrażał się z takim entuzjazmem.

Z opowiadań ciotki Katarzyny wynika, że wujek Jan to zakała całej rodziny. Nic jednak bliższego nie wie, ponieważ jakoś urwały się nasze stosunki z Grudziądzem, mimo że tam mieszka stary dziadek Jambor. Dziadek nie prowadzi żadnego interesu, jest na to już za stary. Nie chce się jednak przenieść do dzieci, mimo że mu ofiarowywano gościnę w Gdańsku i Wąbrzeźnie. Czasami tylko przyjeżdża do naszego domu, pochodzi tu i tam, ale po kilku dniach wraca z powrotem do swej kamienicy w Grudziądzu. Dziadek ma już chyba 85 lub 86 lat, ale trzyma się jeszcze krzepko. Tylko tyle, że jest mocno stetryczały. Widziałam go podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia. Taki sobie zobojętniały staruszek. Na Jasię i Małgosię patrzył obojętnie, jak na kociaki. A to przecież jego prawnuczki. Oczy zapalają mu się tylko wtedy, gdy mowa o pieniądzach i o interesach. Nie czuję - jak to mówią - nabożeństwa do mojego dziadka. Po prostu jest mi obojętny, taki sobie jakiś mało mi znany Benon Jambor z Grudziądza, w wieku lat 85. Śmierć jego absolutnie mnie nie dotknie, nie liczę nawet na jakąś drobną cząsteczkę spadku po tym dziadku.

Jestem zawstydzona. Ciotka „sztrykowała” całą noc moją wełnę. Dziwna kobieta. Tyle mi nadokuczała, a teraz robi dla mnie zakiet.

Wtorek - 31 lipca

Pojutrze przyjedzie mój ojciec. Za trzy dni wsiądę do pociągu zdążającego do Krynicy. Cieszę się. Przecież to będą moje pierwsze wakacje dorosłej panny. Może i dobrze, że mnie przedtem nie wożono po świecie. Obecnie wszystko - co by nie było - będzie dla mnie radosną nowością.

Po południu

Już mam wszystko. Ciotka komenderuje prasowaniem - żelazko w rękach stróżki, która zastępuje u nas służącą. Wszystko dla niej jest za mało dobre. Wydaje mi się, że ciotka cieszy się również moim wyjazdem. Jestem zemocjonowana. Nie chce mi się pisać. Nie potrafiłabym nawet porządnie zebrać myśli. Koniec z pisaniem przed wyjazdem. Ale przygotowałam sobie świeży bloczek na drogę. Obecnie spać, spać. Czeka mnie przecież bardzo daleka droga. Ciekawa jestem, czy się ojciec nie rozmyśli. Ale chyba nie - Jamborowie są uparci i nigdy nie zmieniają projektów. Nie są chorągiewkami na dachu.

Piątek - południe

Notuję jeszcze w starym bloczku. Nic się nie zmieniło. Ojciec miły, cieszy się na Krynicy, podobno mu coś dolega. Wieczorem jedziemy. Do widzenia, bloczku, Anna puszcza cię w trąbę. Zawsze bowiem lepsza jest miła rzeczywistość od najbardziej romantycznych marzeń młodej dziewczyny. Chociażby nawet snuty na francuskiej kozetce w ponurym gdańskim salonie ciotki Katarzyny.

Krynica - sobota - 4 sierpnia

Wieczorem. Do Krakowa przyjechaliśmy bez przeszkód. Drugą klasą. Całą drogę ojciec przespał i chrapał przez nos. Jest dziwnie zgaszony, może naprawdę mu coś dolega? Cerę ma ziemistą, a twarz obrzękłą. Zaraz w poniedziałek rano razem ze stryjkiem wyekspediuje go do lekarza.

W Krakowie zjedliśmy śniadanie na dworcu - ohydne. Pomiędzy Krakowem a Krynica rozglądaliśmy się po okolicy. Pociąg był mocno przepełniony, ale jakoś mieliśmy jedno miejsce przy oknie. Przyjechaliśmy z opóźnieniem. Stryj Marcin czekał na dworcu i zaraz zawiózł nas fiakrem - tak tutaj nazywa się dorożka - do pensjonatu. Elegancki, stoi, prawie na deptaku, z tyłu Domu Zdrowego.

Ojciec wydziwiał, bo stryj Marcin umieścił nas w oddzielnych pokojach na pierwszym piętrze. Pokój stryja jest największy, natomiast pokój ojca ma balkon. Mój pokój mały, ale przytulny - w sam raz. Wszędzie woda bieżąca, ciepła i zimna. Na podłodze dywan, miękkie mebelki. W pokoju stryja okrągły stół, kanapa i dwa skórzane fotele. W ojcu od razu odezwał się kupiec i powiedział:

- Do tego pokoju, Marcinie, można by z powodzeniem wstawić drugie łóżko dla mnie i kosztowałoby taniej!

Na to stryj uśmiechnął się:

- Widzisz, Benku - odpowiedział - ja lubię dużo powietrza i zawsze sypiam przy otwartych oknach. W dodatku mocno chrapię, ale moje chrapanie mi nie przeszkadza. Natomiast nie lubię, gdy ktoś inny chrapie ani nad uchem, zaraz się budzę i koniec ze snem do rana. Poza tym u mnie w pokoju będziemy odbywać brydżowe seanse, to i pokój większy potrzebny, a ty przecież mało grywasz i potrzebujesz odpoczynku. Mnie właśnie brydż wypełnia pobyt na wakacjach. Anna pewno nie umie grać w brydża. Trzeba będzie dobrać odpowiednie komplety... może dwa, to się powoli nauczy...

Nie było rady. Każde z nas zostało w osobnym pokoju.

Obiad i kolację spożyliśmy w pokoju stryja. Stryj był zdania, że po podróży należy wypocząć i jakoś przygotować się do życia pensjonatowego przy wspólnym stole. Potem wyprysnęłam trochę na deptak, ale po pół godzinie wróciłam do pensjonatu. Rzeczywiście trzeba się naprzód ogarnąć. Zamówiłam sobie z wielkim trudem fryzjerkę, mam przyjść jednak dopiero o dziewiątej, nic dziwnego - sobota.

Przed zaśnięciem

Próbowałam wcześniej z fryzjerką, nic z tego nie wypadło, musiałam czekać i czytać stare pisma ilustrowane sprzed miesiąca. Nasz pensjonat rzeczywiście jest luksusowy. Jedzenie w moim pojęciu bardzo wykwintne. Ciekawa jestem, ile to wszystko kosztuje, ale ojciec nie pyta i ja tym bardziej. Nie wypada wyjeżdżać z takimi sprawami pieniężnymi. Ojciec ma apetyt, ale może to właśnie jest niedobrze? Mnie się wydaje, że ojciec nie powinien tyle jeść. To samo jest w domu. Może w tym wypadku pomoże lekarz, ale czy mu ojciec uwierzy i czy zastosuje się do wskazań? Może kąpiele? I ta słynna woda, która podobno działa w wiadomy sposób - Zuber.

Po kolacji moi panowie zasiedli w skórzanych fotelach, a ja pobiegłam do fryzjerki. Ojciec zapowiedział, że pójdziemy do kościoła na godzinę dziewiątą. Śniadanie mają nam przynieść do łóżka - pod brodę. Ale wygody! U ciotki miałam gorzej. A to dobre porównanie.

Jak to wszystko pójdzie? Co oczekuje mnie w tej Krynicy? Ojciec coś majaczył podczas drogi: a może trafi ci się jakiś kandydat na męża? Ale taki prawdziwy - i do rzeczy. Ojcowie właśnie w taki sposób pojmują przyszłość własnych córek.

Akurat się spieszę. Mnie trzeba się naprzód bardzo wiele nauczyć i trochę oszlifować po tej biedzie bydgoskiej. Ani mi w głowie romanse i kombinacje z kandydatami. Mam czas. Poczekam i rozejrzę się po świecie. Zawsze lepiej poczekać i obejrzeć sobie przed ślubem ten zachwalany towar małżeński. Co nagle, to po diable! Ale ojcom spieszy się zawsze do szybkiego wydania córek. W ten sposób pozbywają się kłopotu z domu. Dadzą na drogę parę groszy i przestają myśleć o córce - w swoim pojęciu wypełnili już obowiązek. Wolą myśleć o synach, ponieważ to jest ich duma - nazwisko nie wygaśnie!

Niedziela

Przed obiadem. Dzisiaj mamy zejść na dół do ogólnej sali. Bardzo jestem ciekawa. To przecież mój pierwszy występ w tak zwanym świecie. Mam jeszcze godzinę czasu, a więc notuję. Po kościele spacerowaliśmy na deptaku. Prawdziwa rewia mód. Baby są postrojone - aż oczy bolą. Mężczyźni próżni i akcentują to z pewną przesadą. Moc osób kłania się sobie wzajemnie, przystają i rozmawiają z sobą. Ojciec mówi, że są tacy, których stać na to, aby dwa razy do roku jeździć do Krynicy. To podobno najbardziej renomowana miejscowość kuracyjna w Polsce. W dodatku najdroższy jest sierpień.

Spacerowaliśmy już dobrą godzinę, gdy przyłączył się do nas stryj Marcin. Nie był w kościele, mówił, że przynajmniej w niedzielę trzeba dłużej pospać. Pociągnął nas na pół czarnej z bitą śmietaną. Niepotrzebnie zjadłam dwa kawałki orzechowego tortu i później nie miałam apetytu podczas obiadu.

Jedzenie było eleganckie. Ani nogi wieprzowej, ani pieczeni schabowej. Kurczęta po polsku i mizeria ze śmietaną. Zupy nie jadłam. Ciekawe, każdy z nas dostał po całym kurczaku. Był kompot francuski i ciastka, tych ostatnich już nie ruszyłam. Po co jadłam tort do czarnej kawy? Ileż trzeba mi będzie jeszcze się nauczyć! Szkoda, że nie ma z nami Florencji. Florencjo, może mi pani doradzi, proszę bardzo, co mam jeść i co robić? Całe szczęście, że wiem, do której ręki bierze się nóż, a do której widelec.

Siedzieliśmy w troje. Czwarte miejsce pozostało niezajęte. W jadalni są tylko dwa miejsca niezajęte, przy naszym stoliku oraz przy ogólnym stole, do którego zasiada dwanaście osób. Nasz stół jest doskonale położony, w rogu pokoju, daleko od otworu z windą do kuchni i przy oknie. Doskonały punkt obserwacyjny. Na stołach dużo świeżych kwiatów. Baby postrojone przeważają w naszym pensjonacie. Mężczyźni w starszym wieku, brak młodzieży. Widocznie tylko tacy mają pieniądze na takie pensjonaty.

Po obiedzie drzemaliśmy w swoich pokojach. Na podwieczorek pojechaliśmy fiakrem do jakiegoś lokalu z muzyką. Tutaj w Krynicy stryj ma mnóstwo znajomych. Wszyscy go witają per doktor, mniej osób widzi w nim radcę ministerialnego. Kilka razy wykrzyknięto do stryja: - Jak się masz, Marcin - jeden raz powitano go na wesoło: - Jak się masz, stary.

Tańczyłam cztery razy ze stryjem. Zaraz po naszym zjawieniu się w lokalu podszedł do nas jakiś wysmukły młody człowiek. Przetęczałam z nim do końca i ledwo powstrzymałam się od powiedzenia mu czegoś do słuchu. Plótl głupstwa w stylu bydgoskim: Pani mi się bardzo podoba, gdzie pani mieszka, niech pani puści tych starych przy stoliku w trąbę, lepiej ze mną, zabawimy się, świat należy do nas - młodych... i tak dalej.

Jacy głupi są mężczyźni. A właściwie - jakie głupie są takie młode szczeniaki! Takie kawały mogą chwycić tylko u jakichś mocno podstarzałych numerów żeńskich. Ja mam jeszcze czas na uleganie takim powiedzonkom.

Głupiec, podszedł do nas ponownie, ale tym razem zdobyłam się na odwagę i powiedziałam:

- Dziękuję, tańczę tylko w moim towarzystwie.

Dansera zatkało trochę moje powiedzenie, uklonił się i odszedł. Powstałam, ukloniłam się z kolei Marcinowi i powiedziałam:

- My, stryju, chyba zatańczymy?

Po powrocie z dansingu pozostało nam mało czasu do przebrania się. Kolacja była - podobnie jak obiad - wykwinna. Trzeba będzie mniej jeść przy kolejnych posiłkach, nie sposób bowiem zjadać wszystko. Jedzenie za dobre, za sute, za dużo się tego marnuje. Zauważyłam, że goście bardzo często rozgrzebią na talerzu, po czym nie jedzą. Co by na takie marnotrawstwo powiedziała ciotka Katarzyna?

Po kolacji przyglądałam się w pokoju stryjka brydżowi. Grał stryj, ojciec i jakaś starsza para małżeńska. Ja służyłam za kibica, tak się nazywa obserwator, który nie gra i podobno zazwyczaj przeszkadza grającym. Niewiele połapałam. Może po kilku razach zrozumie, gdy mi objaśni. Podano nam czarną kawę - nie mogłam później spać.

Po tygodniu

Mniej więcej wszystkie dni były dotychczas takie same. Dwa razy dziennie promenada na deptaku, przedobiednie pół czarnej - ale już bez tortów - i obowiązkowy popołudniowy dansing przeważnie w „Romie” z zamówionym fiakrem. Ojciec zabrał się na serio do leczenia i prawie zdecydował się już na pozostanie w Krynicy do połowy września, gdy zajdzie potrzeba przedłużenia kuracji. Coś mi się nie podoba ten nasz ojciec ze swoją apatią. Jest to dla mnie prawdziwa nowość przy znanej żywotności ojca i niechęci do marnowania czasu. Ta cała krynicka eskapada przyszła zatem w samą porę. Bez niej ojciec byłby ciągnął bez końca swoje kupieckie brzemię. Lekarze oprócz żołądkowych historii znaleźli u niego jakieś niedomagania sercowe i ojciec postanowił w powrotnej drodze zatrzymać się w Krakowie. Dano mu adres jakiejś krakowskiej sławy.

Tymczasem po kolacji siaduję przy stoliku brydżowym i uczą mnie gry w brydża. Idzie mi coraz lepiej i już prawie połapałam się, o co chodzi przy licytacji. Mam wrażenie, że krynicki miesiąc wystarczy mi do opanowania tajemnicy trzynastu kart w jednej ręce. Tak bowiem nazywa, stryj Marcin grę w brydża. Ojca to nie bawi i wkrótce po kolacji zabiera z sobą paczkę dzienników i zamyka się w swoim pokoju. Lekarze zalecili mu jak najdłuższe leżenie w łóżku - ma to związek z sercem.

Co do mnie, to właściwie przebywam tylko ze stryjem. Poznałam moc ludzi, ale nie umiałabym opowiedzieć, co to są za jedni. Wszyscy prawie jednako wyglądają, są dobrze ubrani i grzeczni, zachowują się nienagannie. Na razie nie mogę się zorientować w tej masie. Nie spałętałam dobrze wszystkich nazwisk i raczej odróżniam po zawodach: lekarze, adwokaci lub jacyś radcowie, naczelnicy i dyrektorzy. Poznałam również dwóch pułkowników i jednego majora. Podobno pracują w ministerstwie. Żona jednego z pułkowników wygląda jak kuchta. Stryjek objaśnił mi, że to jest bardzo dawna historia, gdy pułkownik był jeszcze tylko legionistą u Piłsudskiego. Podobno pułkownikowa była rzeczywiście służącą. Pułkownik podczas urlopu zrobił jej dziecko i w następstwie tego ożenił

się. Był wtedy zaledwie sierżantem. Po wojnie dorobił sobie wykształcenie, żona jednak nie nabyła większej ogłady i w dalszym ciągu jest postrachem wszystkich zebrań i zabaw. Nie udaje się trzymać jej w domu, ponieważ donna ma ochotę do przebywania w towarzystwach.

Co do mnie, o tym wszystkim dowiedziałam się dopiero po dwóch dniach. Początkowo dziwiła mnie kumoszkowość pani pułkownikowej, ale w nieświadomości mojej brałam to za dobroduszość i dowcipny fason postępowania. W każdym razie wolę to niż wykwinną nawet wydrowatość u niektórych dam z naszego towarzystwa w pensjonacie. Te baby lecą na mojego stryjka wprost nieprzyzwoicie, mógłby je mieć tuzinami, ale to byłoby ryzykowne. Wiem dobrze z opowiadań ciotki, że trudno jest później mężczyźnie odczepić się od takiej...

Takie samo zdanie usłyszałam również od mojej pułkownikowej. Może ona jest zbyt bezpośrednia, lecz równocześnie nie można jej odmówić zdrowego rozsądku i poczucia dobrego humoru. W ten sposób mniej więcej wyobrażałam sobie zawsze ową marszałkową Lefebvre z czasów napoleońskich. Tylko tyle, że moja praczka jest cokolwiek zbyt kolorowo ubrana. Niewątpliwie modnie i u pierwszorzędných krawcowych, lecz odrobinę za krzykliwie. Bardzo mało, ale jednak. To ostatecznie rzecz gustu i doboru jakiejś spokojniejszej krawcowej. A może się mylę. Cóż ja bowiem wiem o świecie? Jestem przekonana, że moja Florencja przerobiłaby ją w trzy dni i pułkownikowa mogłaby od razu zostać żoną generała. Słyszałam zresztą, że to właśnie grozi mojemu nowemu znajomemu. Przyszły generał wygląda rozsądnie i stryjek wyraża się o nim bardzo dobrze, mieni go swym przyjacielem, wszyscy są z sobą po imieniu. Oboje grają w brydża, trzeba przyznać, że pułkownikowa gra spokojnie, bez afektacji.

Drugi - podpułkownik - to jakiś nadęty pyszałek. Ustawicznie poprawia orderzy na piersi i mówiąc nawet o rzeczach całkiem błahych, nadyma się jak żaba. Nieznośny jest ze swoją powagą i uroczystą zarozumiałością. Kawaler, ale nie leci na kobiety. Sprawia wrażenie mola biurowego, na nosie ma jakiś przedpotopowy cwikier. Pochodzi z dawnej armii austriackiej i nie umie o niczym więcej rozmawiać poza wspomnieniami o „Widniu”. Śmieszne są typy takich kancelaryjnych oficerów.

Tak nic osobliwszego. Gdyby tu była z nami Florencja, na pewno korzystałabym codziennie z jej obycia i gustu. Tymczasem każdy dzień jest podobny kubek w kubek do poprzedniego.

Dużo rozmawiam ze stryjem, ojciec bowiem poświęca cały czas różnym zabiegom. Czasami wyczuwam, że nudzę stryja Marcina, ale równocześnie widzę, że bawi się moim parafiaństwem. Stara mi się wszystko tłumaczyć, opowiada różne historie o ludziach, którym się kłaniamy na deptaku. To bardzo urozmaica czas, gdy człowiek dowiaduje się różnych szczegółów o obcych, co do których istnieją małe szanse poznania. Stryj mówi, że to praktykują wszyscy równocześnie i że to właśnie stanowi główne zajęcie spacerowiczów na deptaku. Mówi, że uśmiechów i pięknych słówek nie należy brać dosłownie i że to wszystko jest tylko taki miły fałsz towarzyski. Ładne historie!

A zatem pułkownikowa wygląda w moich oczach bardzo dobrze ze swoją prawdomównością. Nie biorę jej za złe, gdy nie dalej jak dzisiaj powiedziała:

- Gdy pani będzie w Warszawie, to proszę do mnie, jak w dym. Niech się pani nie ceremoniuje, ja nie jestem jakaś tam lafirynda, a prosta kobieta. Mam trochę dobrych znajomych, oni zawsze dla mnie zrobią, gdy poproszę. Ja nawet czasami pomagam doktorowi Marcinowi.

Niedziela

Deszcz niby nie leje, ale od samego rana jest mgła i siąpi nieprzyjemny kapuśniaczek. Dla ojca byłam w kościele, nie darował mi, lecz po powrocie położył się zaraz u siebie w pokoju na kanapie. Ze stryjem siedzieliśmy w kawiarence i obgadywaliśmy sąsiadów.

Pułkownikowa wiernie dotrzymywała nam towarzystwa przy stoliku. Kobięcina ma trzeźwy sąd o otoczeniu. Nie kryje się bynajmniej ze swoim pochodzeniem i wyrupała bez żenady:

- Bo ja jestem z prostych, ale porządných ludzi.

Stryj bierze ją na serio i zdaje się, że żyją z sobą w dobrych stosunkach. Mają troje dzieci, które pojechały na dziecinny sezon do Rabki razem z wychowawczynią. To bardzo blisko Krynicy i kto wie, czy nie pojedę tam z pułkownikową, aby odwiedzić dzieci. Mają przysłać samochód z Warszawy.

Próbowałam naprowadzić rozmowę na Florencję, ale stryj uśmiechnął się tylko i powiedział:

- Florencja? To bardzo interesująca dama. Znam i przyjaźnię się z całą rodziną. Mieszkają stale w Paryżu, ojciec i babka przebywają w Lozannie.

I na tym był koniec.

Wieczorem - przed zaśnieciem

Stryj mówi, że w towarzystwie ani rusz bez brydża. Podobno bez brydża to jak bez modnej sukni.

Wtorek - wieczorem

Zostałam osamotniona, ponieważ stryj zdradził mnie i poszedł gdzieś na jakąś ważną partię brydżową. Mówił, że to dla dobra jego osobistych interesów. Może stryj ma tutaj w Krynicy jakąś kochankę? W Krynicy wszystko jest możliwe. Ale stryj?

Jutro mam jechać do Rabki w odwiedziny do dzieci pułkownikowej. Stryj namawia, mówi, że ta znajomość może mi się przydać w przyszłości. Pojadę, ponieważ ona mi się podoba. Prosta kobieta i uczciwa. Prawdziwa Madame Sans-Gené. Bezwzględnie nie wydra. Pułkownik również zachowuje się w sposób naturalny. Jutro jest święto Matki Boskiej. Pojadę, samochód już przysłali z Warszawy.

Niedziela - 19 sierpnia

Wróciliśmy do domu dobrze po północy. Wytańczyłam się. Mieliśmy bardzo wesołe towarzystwo, pułkownikowa była z nami. Królowała i komenderowała nami, w każdym razie mój znajomy z pierwszego tańca nie odważył się przystąpić do nas. Wyobrażam sobie powiedzenie: młodzieńcze, odczep się od porządných ludzi, szukaj sobie innego towarzystwa...

Wypiłam dużo likierów i sporo czarnej kawy, nie mogę spać. Stryj dał mi dwie aspiryny, ale nie bardzo pomaga. Podobno u niego grają dzisiaj „na dwa stoliki”, ale bez kibiców i na grube pieniądze. Zajrzałam, ale same stare dziady i tylko jedna utleniona wydra, podobno rozwódka po jakimś dyrektorze kopalni w Katowicach. Na palcach obnasza skład jubilerski, mieszka w naszym pensjonacie. Widziałam u niej pelerynkę z platynowych lisów, bardzo długą, chyba za kolana. Nie zamieniłabym się jednak z nią, ma pewnie z pięćdziesiątkę, a jest wyondulowana na aniołka. Pokazywano mi jej kochanka. Podobno go utrzymuje, ale równocześnie trzyma z daleka - jak podwórzowego psa. Ciekawe, naturalnie to nie moje wyrażenie, generałowa... Ile to można dowiedzieć się różnych rzeczy podczas pobytu w Krynicy!

Nie mogę spać. W każdym razie jestem wściekła: poza tym bubkiem z pierwszego dansingu nikt się mną nie zainteresował. Nie liczę naturalnie jakiegoś studenta, który zaczepił mnie po wyjściu z kina i od razu bez dłuższych wstępów proponował spacer na Górze Parkowej. Roześmiałam się na tę propozycję i splewiłam go w sposób bezpośredni - w stylu pułkownikowej:

- Mam własne towarzystwo do spacerowania po Górze Parkowej. Proszę odczepić się natychmiast, inaczej zawołam znajomych panów i dostanie pan po zębach.

O dziwo, student zwiął bez jednego słowa. Drugie dziwo, że to wszystko przyszło mi bardzo łatwo. Bez wysiłku i bez jakiegos podniecenia, na wesoło.

Widocznie nie robię żadnego wrażenia na mężczyznach krynickich. Nie zastanawiałam się jednak nad tym głębiej, ponieważ moja protektorka - pułkownikowa objaśniła mi to w krótkich słowach:

- Widzisz, kochanie - powiedziała - tutaj w Krynicy baby gonią za chłopami. Każdy taki jaki, mocny w krzyżach, to ma niemal kolejki u siebie na miejscu w pensjonacie. Tutaj baby biją się o chłopów. Kilka lat pod rząd jeżdżę do Krynicy, ale prawie nie widziałam, aby jakiś mężczyzna uganiał się za kobietami. Tutaj kobieta - to deser po obiedzie. Każdemu podają bez specjalnego zapraszania. Raczej są zdziwieni, gdy gość odmawia. Dlatego, moje dziecko, na takie jak ty - nikt nie patrzy. Ciebie trzeba byłoby zdobywać, a tymczasem pobyt w Krynicy jest krótki i ...szkoda na to czasu. Na co chłopom taka - nie gniewaj się - „głupia panna”, jeżeli w każdym pensjonacie jest na miejscu tuzin złaknionych bab, które od razu... no wiesz...

Mądrzeję z każdym dniem. Pomaga mi to i przyda się na mojej dalszej drodze - akademickiej. Przynajmniej nie dam się nabrać. I tak już dawno wiedziałam, że mężczyznom chodzi tylko o te kilka godzin, a potem do widzenia, niebożę, gdyż szukam sobie następnej nowości.

Trudno jednak żyć samemu - jak kołek. Trzeba będzie zatem poprawić swoje kobiece walory. Może gimnastyka? Może masaż? Najgorsze są moje łydki, czyli proste giry, jak je nazywa ciotka Katarzyna. Mnie by odpowiadały dłuższe suknie, powłóczyste, uszyte z wielu metrów materiału. Śmieję się z tych porównań, takie suknie bowiem - to raj dla córki kupca bławatnego.

Myślę, że jednak należałoby ustalić właściwy styl w ubieraniu się. Warszawska krawcowa powiedziała mi niezwykle uprzejmie, lecz przekonywająco:

- Dla pani byłyby odpowiednie raczej angielskie fasony kostiumowe. Raczej jakieś kompleciki trójczęściowe. Naturalnie z wyjątkiem stroju wieczorowego, ale i tutaj należałoby ustalić linię.

Dobrze ją rozumiem. Miała rację. Zresztą w jesieni wyfrunę do Warszawy na kilka dni, już jako studentka, lecz w interesach mojego bydgoskiego dyrektora. Czy stryj pomoże mi w tych pozwoleniach? Chyba tak. Rozmówię się z Florencją. Powiem jej po prostu - bez niedomówień - że chowałam się na wsi i jestem cielę, ale chciałabym zostać w życiu czymś więcej niż głupią gęsią z małego miasteczka. Niech mi pomoże. Powiem:

- Florencjo, niech mi pani pomoże upodobnić się do niej. Posłucham we wszystkim, będę posłuszną i pojętną uczennicą. Proszę mnie często stawiać do kąta, gdy nie będę chciała słuchać.

Sobota - 25 sierpnia

Już trzy tygodnie. Codziennie to samo, ale w sumie bardzo miło. Już mi się nudzą nasze obiady i kolacje. Trudno jednak byłoby powiedzieć: nie chcę kurczaka, proszę mi przynieść... Ale na przykład co przynieść? Sama nie wiem. Chyba nie mostek cielęcy z marchewką. Jak to psuje pobyt w takim wykwinym pensjonacie!

Już jest zdecydowane. Ojciec zostaje na kuracji do połowy września, ja ze stryjem wyjeżdżam za kilka dni do Krakowa. Zabawimy tam dwa dni. Do starego w Bydgoszczy ojciec ma napisać list. Zośka jest już uprzedzona i około dwudziestego przyjedzie do Bydgoszczy. Wyprawa do Poznania opóźni się o kilka dni, ale z tym nie ma przecież gwałtu.

Dzisiaj zaczepiono mnie. Że też kobieta nie może posiedzieć spokojnie na ławce, zawsze przyczepi się jakiś nieproszony typ. Tym razem był to wcale elegancki starszy pan. Mniej więcej w wieku mojego ojca. Gadał głupstwa, ale w sposób grzeczny i możliwy. Ofiarowywał mi się z pomocą i opieką! Nawiązywał do tego, że dobrze zna Krynice... Nic mu

nie odpowiadałam, gadał przynajmniej kwadrans, a gdy mi się to znudziło, odpowiedziałam mu z uśmiechem i grzecznie:

- Proszę pana, wszystko już poznałam w Krynicy, przebywam tutaj od miesiąca. Dwa razy dziennie bywam w cukierni na czarnej kawie i regularnie, prawie codziennie na wieczorowym dansingu w „Romie”. Mieszkam w dobrym pensjonacie, mam partię do brydża, Szanowny pan w niczym nie jest mi potrzebny do szczęścia. A zresztą, oto jest mój stryj...

Przygoda skończyła się fantastycznie głupio. Okazało się, że amator na opiekowanie się nieznanym dziewczęciem przybył do Krynicy wieczorem poprzedniego dnia i zaraz na wstępie spotkało go niepowodzenie:

- Jak się masz, Edku - powitał go mój stryj.

Co do mnie - postanowiłam wytrwać do końca w mojej oryginalności i powiedziałam zdawkowo, z uśmiechem:

- Ano, stryjku, pan... zasięgał u mnie informacji o krynickiej pogodzie...

Stryj dośpiewał sobie początek. Don Juan zawstydził się, ale jakoś przeszło, poszliśmy razem na pół czarnej, a mój znajomy tylko patrzył, abym go nie wykpiła wobec mojego stryjka w związku z jego ławeczkowymi propozycjami. Ale go ułaskawiłam i nie nawiązywałam do tego faux pas.

To był również radca ministerialny, tylko z innego resortu. Szkoda, że nie z Komisji Przywozowej, ten by mi na pewno wszystko pozałatwiał w mgnieniu oka, byle tylko nie wspominać o jego wpadunku.

A zatem głupstwo. Przeżyłam 3 tygodnie w Krynicy i jakoś chodzę cała. Wilki mnie nie zjadły i nie zgwałcono mnie. Ale to nie zdarza się w tej miejscowości. Tutaj jedynie kobiety rozdierają między sobą mężczyzn, którzy przybywają podobno tylko w tym celu.

Środa - 29 sierpnia

Koniec pieśni. Jutro wyjeżdżamy ze stryjem do Krakowa, ojciec zostaje. Nie żałuję. Dużo widziałam i słyszałam. Moja edukacja postąpiła mocno naprzód. Jedziemy samochodem razem z pułkownikową. Uparła się odwieźć nas do Krakowa. Mamy pójść razem do teatru. Pułkownika Wirewicza już nie ma, wyjechał przed tygodniem. Najważniejsze, że zostawił żonie samochód. To jest kobieta bardzo zycziwa dla mnie. Zaprasza do Warszawy, mam u niej zamieszkać, mówi, że u nich nie brakuje pokoiów i gratów. Wakacje udały się. Dostałam kwiaty, róże, od tego radcy, który wpadł. Widać, że mu głupio. No, trudno, taki to już jest los myśliwych, którzy polują na kobiety.

Czwartek - 30 sierpnia

Do Krakowa przyjechaliśmy z fasonem i stanęliśmy w „Grand Hotelu”. Wieczorem byliśmy w teatrze. Taka sobie sztuka. Szkoda, że w Krakowie nie ma operetki.

Po teatrze pojechaliśmy na kolację z winem. Było duże towarzystwo, niewiele tańczyłam, ponieważ siedzieliśmy w oddzielnym gabinecie. To nieprawda, że pułkownikowa jest kumoszkowata. Potrafi się znaleźć w towarzystwie i mocno odbijała od żony jakiegoś właściciela ziemskiego. Stryj powiedział mi na ucho:

- To jest tylko taki sobie galicyjski hrabia z mocno obdłużonym majątkiem.

Gdy jednak wyszliśmy z pułkownikową umyć ręce, posłyszałam zgoła inne opowiadanie:

- Ta hrabina to była fordanserka w Wiedniu jeszcze w czasach austriackich. Niejedno ona w życiu widziała, niejedno usłyszała i niejedno oglądała ją... za tanie pieniądze. Jak się to stało, że ten wymoczek ożenił się z nią - tego nikt nie wie. Podobno przywiózł ją do siebie na wieś - już po kościele. Mówią, że to jest czeska Żydówka, chociaż na to nie wygląda. Jak tam jest z domu, nie wiem, ale tutaj w Krakowie już niejedno... wywinęła. Leci tylko na żonaty, może później ich trochę szantażuje. Uważaj, Anno, uprzejmie, ale za bardzo z nią nie

rozmawiaj. Ludzie patrzą. Ja usiadłam z nimi razem, ponieważ ten wymoczek ma duże stosunki w naszym ministerstwie - on jeszcze z naszym Dziadkiem... Czego się nie robi dla interesu, choć to jest zwykła ścierka...

Wypiłam za dużo czarnej kawy przeplatanej likierami i to mnie dobiło - nie mogę spać. Próbowałam liczyć do tysiąca, ale to jest nudne i nie pomaga. Już druga godzina, całe szczęście, że umówiliśmy się dopiero na jedenastą. Piszę, może usnę z notatnikiem w ręce. Tyle miałam wrażeń, że na razie nie wiem, co pisać. W przyszłości trzeba będzie uważać. Nie wolno pić tyle kawy, i na ogół z płynami bardzo ostrożnie. Mam słabą głowę, a likiery mgłą. A może przestać pić? Przecież można by się jakoś wymówić od picia lub tylko maczać usta. Najlepiej byłoby unikać towarzystw, które mocno piją. Nie wiem, czy to by się udało, chyba nie...

Na razie jednak koniec. Jeden dzień w Krakowie, Bydgoszcz i biuro już w poniedziałek. Dwa tygodnie tego biura, a potem koniec, szlus i rozpoczęcie nowego życia. Zakopię się w wykładach i odsunę od towarzystwa. Bo i cóż to będzie za towarzystwo. O zabawach ani myślę. To mi niepotrzebne, trzeba raczej myśleć o szlifowaniu Anny Jambor. Trzeba dać jej wykształcenie, trzeba z niej coś zrobić! Zostać prawdziwą damą nie jest tak łatwo. Tyle braków! Ale ja jestem młoda...

Na bite cztery lata odsunę się od wszystkiego poza nauką i poza uczeniem się tego, co może mi się przydać w późniejszym życiu. Nie warto zaczynać życia w byle jaki sposób jedynie dlatego, by zacząć wcześniej używać. Zwłaszcza dla kobiety, która w takich razach bywa tylko dodatkiem do jakiegoś - byle jakiego - mężczyzny. Nie warto również tkwić bezmyślnie w jakimś biurze w oczekiwaniu, że z gwiazdkowej choinki spadnie jakiś amator małżeństwa, czyli przeważnie trzy pokoje z kuchnią i domową restauracją, ze służącą i połogami co dwa lata, jak to miało miejsce w kupieckiej rodzinie Jamborów. Tylko tyle, że oni mieli swój własny dom, ale za to było małe Wąbrzeźno i łokieć w ręce. Takie życie - to już lepiej zestarzeć się w samotności, byle tylko z odrobiną gotówki w banku. Przyjemności małżeńskie szczęśliwej żony: cerowanie skarpetek, składanie bielizny, przygotowywanie zawczasu niespodzianek i prezentów dla krewnych, by nie obmówili, oraz chimery dnia powszedniego. To się pieczeń przypaliła lub zupa nie udała, była za kwaśna czy za słodka.

To wszystko byłoby beznadziejnie głupie. Dzieci? Owszem, może i lubię dzieci, ale w ciągu pierwszego kwadransu. Dłużej - nie.

Florencja. Chciałabym przeżyć z nią wspólnie kilka tygodni. Może jakieś szkolne święta? Ach, Anno, ty już myślisz szkolnymi pojęciami!

Piątek - wieczorem

Nic nowego. Łaziłyśmy obie z pułkownikową po Krakowie. Była śliczna pogoda, bez upału, w sam raz do zwiedzania miasta. Po południu moja starsza przyjaciółka wyjechała do dzieci do Rabki. Całe szczęście, że stryj zakończył już swoje sprawy i towarzyszył nam przy obiedzie.

Kraków to takie sobie miasteczko. Podobno tutaj świat zupełnie się nie obraca i wszystko zastygło w momencie, gdy nieboszczkę Austrię diabli wzięli. Powiedzenie mego stryja. Z Krakowem jest jak ze starym zegarem, czasami nawet, gdy go się nakręca, stoi. Tylko tyle, że krakowianie wywieszają w uroczyste dni inne chorągwie. Ale oni mają również swoje własne kolory i trzymają się ich wiernie. Krakowianie robią ponadto w okresie przed Bożym Narodzeniem szopki z kolorowego papieru i tańczą krakowiaka w cztery pary z piórami pawimi na rogatywkach obszytych białym barankiem. Stryj mówi, że w Krakowie nawet w austriackich czasach wywieszano chorągwie tylko białe-czerwone oraz niebiesko-białe, te ostatnie na cześć królewsko-stołecznego miasta Wielkiego Krakowa. Ale nie wierzę. Jakżeby się obyli krakowscy szwarcgelberzy bez wiernopoddańczych chorągwi z czarnym

orłem? Ale u nich była podobno wielka swoboda i Austria nie mieszała im się do niczego, żyli jak u Pana Boga za piecem.

Ludzie są tutaj jacyś uroczyście napuszeni i dziwnie zrozumieli. Teraz dopiero rozumiem genezę najazdu galicjaków na nasze Pomorze. Oni mieli u siebie za dużo nafabrykowanej inteligencji papierkowej i skorzystali z okazji - wyeksportowali ją w dogodnym momencie. Naturalnie obdarzyli nas na Pomorzu wybrakowanymi egzemplarzami, podobnie jak to czynią bławatni kupcy w Łodzi w stosunku do jakichś tam Wąbrzeźn czy Brodnic. Towary lichej wartości eksportuje się na wagę, na cetnary, a ludzi całymi rodzinami. Stryj mówi, że wyjechali wówczas ludzie małowartościowi lub tacy, którym palił się grunt pod nogami. Porządniejsi podobno mieli zostać na miejscu i w dalszym ciągu wygrywają hejnały na wieży Mariackiej i wydmuchują obwarzanki do piwa.

Na wieży nie byłam. Kilka razy spojrzałam w górę, ale od tego boli głowa. Uważam, że wieża jest zbyt wysoka na takie małe i spokojne miasteczko. Stryj mówi, że tylko w śródmieściu jest czysto, a poza obrębem tak zwanych plant nie warto oglądać Krakowa, by nie zepsuć sobie wrażenia. Na Wawelu byłam, owszem, będzie ładny, gdy go odbudują. W Muzeum Narodowym po raz pierwszy w życiu oglądałam obrazy tak wielkich rozmiarów. Poza tym są różne rzeczy stare pod względem historycznym, na mnie jednak nie robią specjalnego wrażenia. Po prostu ocalały z pożogi różnych wojen i tyle. W dawnych czasach niekoniecznie akurat te rzeczy musiały być najpiękniejsze czy najdroższe. To jedynie jakiś przypadkowy i dalszy ciąg tego, co nam pokazują napuszeni krakowianie: aha, my mamy - a wy nie macie!

Restauracje - niczego sobie, tylko trzeba by lokale codziennie bodaj trochę przewietrzać. Stryj mówi, że tutaj w dalszym ciągu specjalnością są duże wołowe rozbratle galicyjskie z cebulą i smażonymi kartoflami. Do tego popijają zimny pilzner w grubym szkle, a jako dekoracja służą starodawne lokale firmowe z okopconymi i sklepieniami sufitami. A zatem tylko zmiana nóg wieprzowych na jakieś rozbratle. Próbowałam, ale bez entuzjazmu, wolę warszawskie bryzole z drobiu, z zielonym groszkiem i frytkami w „Bristolu”. „Europejska” w Krakowie - to bardzo miła kawiarenka. Z frontu można siedzieć z dobrymi i przyzwoitymi znajomymi, a w głębi ewentualnie z takimi sobie, przygodnymi. „Maurizio” - to dwa pokoiki, małe, ciasne i tracące myszką, sztucznie utrzymywaną za tanią zresztą cenę zaniedbania. Podali nam bardzo dobrą nalewkę na owocach, jak oni mówią. Dereniówka i głógówka.

Ostatecznie można by tutaj trochę pomieszkać, byle nie za długo, bo stryj mówi, że krakowskie życie jest mocno zaraźliwe i amatorom na takie zamieszkanie grozi zazwyczaj pozostanie w Krakowie na wieki.

U świątobliwej ciotki nie byliśmy. Podobno można odwiedzać ją tylko raz w roku - w święto patronki klasztoru. Tam jest kompletne odgródzenie od świata, nawet nie można telefonować, istne średniowiecze. Poświęcają się tylko modlitwie w samotności i nie wychodzą na miasto. Ludzkie hałasy do nich nie docierają, ma to być dobrowolny grób za życia, jakiś rodzaj uświęconego samobójstwa. To dobrowolne odsunięcie się od życia sięga w tych murach gdzieś jeszcze czasów panowania węgierskiej królowej Kingi, także świętej. Co do mnie, to jestem widocznie z innej mąki, ponieważ nie mam ochoty do takiego życia.

Jutro po południu jadę ze stryjkiem do Warszawy. Przyjedziemy późnym wieczorem i tym razem zanocuję u stryjka na Żoliborzu. Ciekawa jestem - Florencja podobno wraca również do Warszawy, w niedzielę rano. Przebywała u swojej siostry w Paryżu.

Sobota - przed południem

Deszcz leje jak z cebra od samego rana. Trochę siedzieliśmy w „Europejskiej”, poznałam kilka nowych osób, ale bez specjalnego wrażenia. Otaksowali mnie obojętnym spojrzeniem i zajęli się stryjem. U Noworolskiego - tam byliśmy również - na kanapkach

siedzą stare trupy, chyba sprzed stu lat, i przyglądają się sobie wzajemnie jednym okiem, na zmianę ciekawym lub złym. Wszyscy piją różnego rodzaju kawy z maślanymi rogalnikami. Na ścianach są malowidła podobne do tych z kościoła Mariackiego, ale bez aniołów - te malował Wyspiański, a tamte Matejko. Wczoraj wieczorem byliśmy również u Michalika, podobno w tym lokalu przed dwudziestu laty literaci wyśmiewali się z „porządnych” ludzi i wszystko im na sucho uchodziło. Na ścianach uchowało się trochę oszklonych zabytków z tamtych czasów, ale w gruncie rzeczy nawet w tym ospałym Krakowie niewiele się zmieniło w ciągu tych 20 lat. Z tą różnicą, że w tej „Jamie” obecnie jest jeszcze bardziej smutno i nudno niż w innych krakowskich dziurach. Stryj Marcin ma to wszystko w żywej pamięci, ponieważ jeszcze przed wojną dwa razy zawadził o Kraków w swoich studenckich wędrówkach. U Michalika siedziało trochę młodszego towarzystwa, widać, że lokal służy w naszych czasach do umawiania się młodych par - na dalsze wycieczki. Miejsce krótkich spotkań, kawa podła, a ciastka liche, małe i zbyt słodkie. Rzępolenie bez wrażenia, mogłoby go nie być. Sam lokal jest stary, ponury i dziwnie zgrzybiały. Przydałoby się trochę świeżej farby. Wszystko zgraciale, meble w niemiły sposób poprzetręcane.

Koniec z Krakowem. Za godzinę obiad, a za kilka godzin Żoliborz i gościnny pokój u stryja Marcina. Jutro - Florencja i moja nadzieja na uzyskanie tysiąca rad. Podobno zjemy kolację w domu, służący są już uprzedzeni o powrocie. Stryj namawia mnie, żeby do biura wrócić dopiero za kilka dni. I tak odchodzę za dwa tygodnie, głowy mi nie urwą, bo mnie potrzebują do tych pozwoleń. Stryj mówi, żeby gwizdnąć na całe biuro, razem z moim starym.

Warszawa - niedziela

Obudziłam się zbyt wcześnie. Szósta godzina, a stryj ma wstać dopiero o ósmej. Mamy spotkanie się na śniadaniu o dziewiątej na dole, godzinę przedtem mają mi przynieść do łóżka czekoladę z biszkoptami. A to heca z takimi pomysłami! U ciotki Katarzyny piłam w niedzielę rano gorące mleko z miodem i masłem, a później wędrowaliśmy do najbliższego kościoła na śpiewaną mszę. Warto dodać, że ciotka nigdy nie umiała zdecydować się konkretnie na którąś z wyznań. W dalszym ciągu była zapisana jako luteranka, lecz równocześnie chodziła na katolickie nabożeństwa.

Wczorajsza kolacja była osobliwa. Zgaszono światła elektryczne w suficie i podano do stołu dwa srebrne świeczniki z zapalonymi świecami. Podawał famulus - tak go nazywa stryj - w jakiejś czarnej marynarce alpakowej ze złożonymi guzikami. Nowe, nieznanne dla mnie zwyczaje, nowy świat i nowe życie.

Skąd stryj bierze na to wszystko pieniądze? Mieszkanie na pierwszym piętrze jest przeładowane kosztownymi meblami. Tylko tyle, że obok starych gratów są też nowe, wygodne i miękkie meble. Całe szczęście, że to wszystko jakoś dobrze razem wygląda, zmieściłaby się tam również „moja” wyłaczana kozetka francuska. Może. Ale czy ja pasowałabym do tego wszystkiego? Owszem, ale dopiero po pewnym czasie, po przetarciu się w tej „modnej” Warszawie. Stryj opowiadał, że dawniej w tym mieście zadawali szyku carscy oficerowie ze swoją egzotyczną oryginalnością i awanturami oraz miejscowi bogacze ubrani po każdorazowych powrotach z zagranicy „w obce żurnale” i usiłujący wyżywać się w kraju na modłę zagraniczną. Po ulicach łążyły podobno paryskie modele w spódnicach i angielskie modele w spodniach. Podobno wówczas było życie, a obecnie jest tylko dalas, mizeria i bryndza. Brak gotówki, lecz równocześnie panuje wielka ochota do wesołego życia.

Mój pokój gościnny - na mansardzie drugiego piętra. Bardzo miły, z małym balkonikiem czy rodzajem tarasu. Małeńki przedpokoik jak w hotelach - do wieszania garderoby. Daleki widok. Mebelki miłe, w jasnoniebieskim kolorze, widać zupełnie nowe, gdyż pokój wygląda jakby na drugi dzień po wytapetowaniu i umeblowaniu. Podobno jest

rzadko zamieszkały. Obok niego - drugi pokój, stryj mówi, że na wszelki wypadek, gdyby przybyły do niego w gościnę dwie płeć.

Właśnie podano mi ranne śniadanie. W istocie dzbanuszek czekolady, mniejszy ze śmietanką i biszkopty. Przyniosła młoda panienczka w czarnej sukience i w białym koronkowym fartuszk. Co to wszystko znaczy, przecież to zbyt bogate, jak na radcę ministerialnego? A może to tylko córka owego famulusa z wyzłoconymi guzikami?

Wieczorem

Koło południa wybrałam się na dworzec po Florencję, razem z Franciszką. Takie jest imię famulusa - żona gotuje, a córeczka z koronkami podaje do stołu rano i w południe, Gospodarstwo kuchenne w podziemiach, to znaczy suterrenach, famulus ponadto zajmuje się ogrodem, a do prania i grubszej roboty przybywa dodatkowo pomoc z miasta. Muszę kiedyś dojść do sedna interesów stryja.

Nie byłabym poznała Florencji. Było to zjawisko z innego świata. Wypoczęta, jechała sleepingiem i pierwszą klasą. Jednym wdzięcznym ruchem pożegnała swoje towarzystwo z pociągu, a drugim - wspaniałym - powierzyła bagaże Franciszkowi. Zaraz pozwoliła się przywitać, nie była zdziwiona, że mnie widzi, i powiedziała miłym altowym głosem:

- Jak to dobrze, Anno, że pani przyjechała do nas, do Warszawy.

Środa - po południu

Jadę drugą klasą pociągiem pospiesznym, stryj wykupił mi bilet, prawie nic nie wydałam na moje podróże. W ogóle nastąpiła jakaś nagła odmiana losu. Stryj był zadowolony, gdy zobaczył moją książeczkę oszczędnościową, i powiedział:

- Bardzo dobrze, Anno, że podchodzisz do życia w sposób poważny. Człowiek nowoczesny nigdy nie powinien wydawać ostatniego grosza, gdyż byłoby to życie żebracze czy urzędnicze, zatrute ustawicznie myślami, skąd wziąć pieniądze. Gotówka w banku, to pewność siebie i rozsądne zabezpieczenie przed popełnianiem w życiu drobnych głupstw, które właśnie najgorzej przeszkadzają ludziom w życiu codziennym. Drobne głupstwa są gorsze od wielkich głupstw, gdyż do pokonywania wielkich głupstw człowiek świadomie mobilizuje się. Natomiast małe głupstwa i małe niepowodzenia czynią go nudnym i od tego zaczyna się bardzo często upadek i starość jednostki.

Warto było słuchać tyrady stryja Marcina, ponieważ wypożyczył ode mnie książeczkę PKO na godzinę i wpłacił na nią przeszło drugie tyle, ile sama zbierałam. Równy i okrągły tysiąc złotych. Równocześnie powiedział mi to samo, co w swoim czasie stryj Paweł:

- Tylko nic nie opowiadaj ojcu, to jest kupiec i nie lubi, gdy pieniądze próżnują na kontach, woli towar na swoich półkach. - Uśmiechnął się kpiąco i wspominał również przy tej okazji, że już ustalił z moim ojcem „detaliczne” sprawy mojego uniwersytetu. Mam otrzymywać od ojca 200 złotych miesięcznie, a na samym początku dostać dodatkową pensję na urządzenie się. Będę dobrze wyposażona i winna jestem rozsądnie podejść do studiów.

- Dyplom jest potrzebny - mówił stryj - to pomaga w życiu i to jest owa druga noga życiowa obok konta bankowego. W pośrodku winna być rozwaga i wystudzone reagowanie na wszystkie zjawiska życiowe, wielkie czy małe.

Co do ciebie, Anno, bardzo dobre są twoje opowiadania o zamierzonym stylu pracy na uniwersytecie. W istocie nie warto zbyt wcześnie wpręgać się w kierat małych interesów czy związków ze światem bezpośrednio nas otaczającym. Lepiej zostawić to na później, gdy będziesz już należycie uzbrojona i wykwapowana do życia. Samo życie należy traktować podejrzliwie, podobnie jak to czynią podróżnicy przed wyprawą do nieznanego kraju.

Twój projekt z językiem angielskim - to rzecz bardzo ważna, czytanie książek francuskich - na razie wystarczy, lecz raczej mniej i łatwiejszych, a dokładnie i nie po łebkach. Później wybierzesz się do Francji na wakacje, to osłuchasz się dobrej, wykwiwnej

francuszczyzny. Tam w Poznaniu działa już Aliance Franco-Polonaise, warto pochodzić na prelekcje z wykładami o kulturze francuskiej. To będzie otwarcie przed tobą innego świata. We Francji mam zaprzyjaźnionych ludzi, wiesz - tych właścicieli mojego królestwa na Żoliborzu. Krewni Florencji, ona sama tam również wyfrunie.

Stryj prócz tysiąca złotych doręczył mi wspaniałą teczkę biurową:

- Przyda ci się - powiedział - na wykładowe wyprawy, zawsze to poważniej z teczką niż z torebką damską. W torebce jest miejsce tylko na puder i puszek łabędzi, a w teczce nosi się poważne skrypty i podręczniki naukowe.

I dowcipnie:

- Zawsze łatwiej jest mężczyźnie zaczepić kobietę idącą z torebką, niż z teczką biurową. A ty, Anno, ślubujesz podobno oddalenie od chłopców? Na całe cztery lata? - Później spoważniał.

- Gdy skończysz uniwersytet i przetrzesz się trochę w świecie, będziesz miała tych chłopców według własnego wyboru i gustu. Warto poczekać - na jakość!

Florencja natomiast przywiozła mi wytworną torebkę ze skóry węża - podobno ostatni krzyk mody - oraz puderniczkę z prawdziwego szylkretu w oprawie ze złożonymi brzegami i mnóstwo drobnych fatalaszków, które trudno byłoby wyliczyć tak na poczekaniu. Nawet biustonosz w czarnym kolorze z prawdziwymi koronkami, po prostu cudo lekkości. Nie nadaje się do pokazywania ciotce Katarzynie. Nie nadaje się również do noszenia - gdzież są moje piersi do tego. Może przyda się kiedyś w przyszłości, gdy zacznę chodzić na bale, ale kiedy?

Florencja. Podarunki, spojrzenia życzliwe i dużo, bardzo dużo dowcipnych słów. Pokazała mi nawet i odczytała wersety z wykwiutnego wydania francuskich nowel. Dotychczas słyszałam jedynie, że Maupassant to „świński” pisarz. Tak mówili w rodzinie Jamborów i w szkole. Nigdy nie czytałam tego pisarza. Ciekawe - Florencja przetłumaczyła mi z francuskiego pewien ustęp - moje szkolne wiadomości okazały się bowiem nikłe:

„Żyła w prostocie jedynie dlatego, że nie mogła błyszczeć, ale czuła się nieszczęśliwa, jak gdyby ją zdeklasowano. Kobiety bowiem nie należą do żadnej klasy i do żadnej warstwy społecznej, a urodzenie i rodzinę zastępuje im piękność i wdzięk. Hierarchię wśród nich stwarza jedynie wrodzona subtelność, wykwiut instynktów i bystrość umysłu, dzięki którym dziewczęta z ludu stają się również wielkimi damami.”

Nie obraziłam się na Florencję z powodu odczytania tych zdań - przyjąłam je w taki sposób, w jaki mi je ofiarowano - W życzliwy.

Powiedziała mi również: - Kobieta powinna panować nad swymi namiętnościami, inaczej wszyscy mężczyźni zapanują nad nią.

Czwartek - 6 września - wieczorem

Ciotka przywitała mnie prawie serdecznie.

Szkoda tylko, że nie będę mogła zabrać „mojej” kozetki. Stale wracam do tego, ale ona jest taka doskonała i tak dobrze mi się na niej śpi, gdy się oprę plecami. Przylega do mojej figury! Urojenia, ale czasami właśnie takie urojenia są miłe w naszym życiu.

W biurze głupio, już wszyscy wiedzą o moim uniwersytecie. Stary jest jakiś kwaśny, ale nic nie mówi. Dyrektor podobno już przebolewał to, że odchodzę od połowy miesiąca, Milewski chodzi triumfujący. Głupi, nie wie, że w jesieni ja pojedę do Warszawy po te pozwolenia. W dodatku wiem również to, czego nie wie nasz dyrektor. On się głowi nad tym, co można wywieźć z Polski do Szwajcarii. Stryj Marcin wytłumaczył mi sprawy z transakcjami związanymi. Oba kraje wymieniają z sobą towary równej wartości, a transakcje gwarantują międzynarodowe banki. Stryj mówił, że do Szwajcarii będzie można wywieźć na wiosnę w przyszłym roku sadzeniaki, to znaczy kartofle. Zastrzelę tym mojego dyrektora. W dodatku przed dwoma laty to właśnie była specjalność stryja Józefa. Zarobił na tym sporo

zagranicznych walut, podobno część zarobionej forsy można pozostawić za granicą. Wystawia się w Polsce rachunki na niższą kwotę, a później już na miejscu wystawia się inne faktury. Stryj mówił, że to bardzo proste, tylko trzeba się mądrze zabrać do rzeczy. W każdym razie ja nie dam się tym razem oszwabić i muszę na tym również zarobić. Koniec z drobną i głupią biuralistką. Niech żyją córki kupieckie! Ciotka Katarzyna w moim wieku również handlowała i wspomina te czasy z większą czułością niż lata swojego małżeństwa z wujkiem Świetlikiem.

Niedziela - po południu

Nie chce mi się pisać - nic mi się nie chce. Nie chciało mi się nawet wstać, ubrać i pójść do kina. W domu pusto, ciotka wybrała się do jakichś nieważnych znajomych. W mieszkaniu tkwię sama. A tymczasem trzeba zapisać różne wydarzenia, póki są świeże.

Ciotka mnie pokonała. Naprzód odmówiła przyjęcia zapłaty za połowę września mówiąc, że przydadzą mi się pieniądze w Poznaniu.

- Na ojca zbytnio nie licz, jemu zawsze było trudno rozstawać się z gotówką. Raczej przyśle ci od czasu do czasu materiały na ubrania. To mu przyjdzie lżej.

Ciekawe powiedzenie. Ale to drobiazg. Ostatecznie ciotka od czasu do czasu obdarzała mnie prezentami. Obecnie jednak wydarzyło się coś, co dotychczas nigdy nie przyszło mi do głowy, nie wyobrażałam sobie, że coś podobnego może się wydarzyć.

Gotowałyśmy wspólnie obiad. Ciotka bez przerwy gadała. W pewnym momencie przyniosła do kuchni dwa bruliony. W pierwszej chwili zbladłam, gdyż wydało mi się, że podniesie alarm z powodu wyrwania przeze mnie wiadomych kartek. A tymczasem łagodnym ruchem podała mi bruliony i rzekła:

- Widzisz, moja Anno - tym razem mówiła po niemiecku - oddaję ci te głupie opowiadania. Jesteś już dorosła i niegłupia. Przeczytaj uważnie to, co napisałaś w tych zeszytach, a następnie zaraz spal. Zniszcz! Takich rzeczy nie wolno czynić, a tym bardziej opisywać!...

Cóż zrobiłam? Odebrałam z rąk ciotki bruliony i bez jednego słowa odsunęłam z fajerki garnek i wrzuciłam zeszyty do ognia.

- Dziękuję ci, ciotko Katarzyno - powiedziałam po niemiecku - dziękuję, ciotko, zmądrzałam - dodałam po chwili.

Ciotka przyjrzała mi się uważnie spod czoła i mruknęła pod nosem coś w rodzaju:

- Masz przykład z Meli. Że ona była i jest głupia - to trudno. Sama widzisz. Nie naśladowuj jej, bądź mądra. Ty jesteś Jamborówna, a Jamborowie nie robili głupstw w życiu, zwłaszcza kobiety.

Jakże się myliłam co do mojej ciotki!

Nie chce mi się pisać. Zatkąło mnie to wydarzenie. Jakoś ostatnio życie moje obfituje w przygody. Odmieniło się. Ile jeszcze przeżyję, nim jako tako przygotuję się do prawdziwego życia?

Niedziela - 16 września

Dzisiaj w przejeździe do domu ojciec zawadził o Bydgoszcz. Pomimo kuracji jest dziwnie skwaszony, mówił tylko o interesach i o tym, co zastanie czy może zastać w domu. Co będzie po kilku miesiącach, czy kuracja podziała? Swoją drogą moja Zośka nie ma świętego życia z naszym ojcem, bo przecież Pelasia nie liczy się, a Tuchołka po prostu cymbał. To wszystko razem z humorami ojca spada na Zośkę. Taki już widocznie jest los kobiet w naszej rodzinie.

Za trzy dni ma przyjechać do nas i mamy jechać wspólnie do Poznania. Ojciec radził mi półgębkiem medycynę, ale na to nie mam ochoty, to byłoby dla mnie zbyt ciężkie. Widocznie chory ojciec pragnąłby mieć lekarza w rodzinie, dla własnej wygody. Wyobrażam sobie te

nieustanne wypytywania się - ani myślę. Na belferkę nie mam cierpliwości, to zawód ogłupiający i nudny. Machnę się na wydział prawny. Zresztą zobaczę na miejscu. Zapiszę się w ostatniej chwili.

Ojciec jakoś kwaśno potwierdził te dwie pensje od razu z góry, z czego jedna na urządzenie. Mówił bez entuzjazmu, całe szczęście, że mnie nie zapytał, czy mam jakieś oszczędności. Nie wpadło mu to do głowy, ojciec nie znosi leżących pieniędzy. Pieniądze muszą być stale w ruchu - stara jamborowska zasada.

Te 400 złotych ma mi przywieźć Zośka - a zatem już tylko parę dni w Bydgoszczy. Jutro dokonam generalnego przeglądu moich skarbów wyprawowych.

Poniedziałek - w biurze

Żegnam się powoli ze wszystkimi. Stary dyrektor był miły, ale gadał aż do znudzenia o pozwoleniach przywozowych. Zaskoczyło go, gdy mu klarowałam informacje o kartoflach do sadzenia i o transakcjach wiązanych. Pytał, co będę studiować. Odrzekłam śmiało i pewnie:

- Tylko prawo, panie dyrektorze. Dokładnie za cztery lata zostanę magistrem prawa. Co zrobię potem? Och, tylko jedno, mam już zapewnione miejsce w ministerstwie... przemysłu i handlu. Poznałam w Krynicy bardzo wpływowe osobistości. Generałowa, jej mąż jest fiszą w ministerstwie spraw wojskowych. Prezes...

Anno, skąd bierze się u ciebie taki tupet? Stary podarował mi ozdobny komplet „Trylogii” Sienkiewicza. Nie umiał widocznie zdobyć się na inny dowcip. Koleżanki ofiarowały mi dość ładny neseserek z przyborami toaletowymi, a koleżdy osobno wiecheć z kwiatami. Na popołudnie zaprosili mnie wszyscy do cukierni, mamy oblać Poznań, by się udał. Wmawiali we mnie, że powinnam urządzić im przyjęcie w mieszkaniu, z wódą, ale wykręciłam się, mówiąc, że w domu pilnuje mnie zła ciotka. Uwierzyli, widocznie na biurowym gruncie przyjęły się moje dawne opowiadania.

Wieczorem

W kawiarni było bardzo miło i wesoło. Nawet Milewski wysadził się i podarował mi pudełeczko z półtuzinem chusteczek do nosa. Także pomysł. To tak jakby malarzowi podarować obrazek.

Nie piszę więcej, ponieważ dziwnie zobojętniałam. Patrzę na zegar i liczę godziny. Przez te 3 dni zamknę się w domu i będę się wylegiwać. Akurat wszystko przyszło w porę, nawet te trzy dni. Jak na zamówienie. W czwartek przyjedzie Zośka. Gdy będę miała ochotę, przeczytam jeszcze raz „Trylogię”, tę upominkową. Stary podarował mi te książki, podobnie jak to czynią szkoły pod koniec roku. Nawet jego dedykacja dziwnie przypomina stosunek belfra do sztubaka: Naszej milej współpracownicze w upominku na dalszą drogę życia... życzliwy...

Czwartek - wieczorem

Po południu przyjechała Zośka. Przywiozła z sobą jeszcze jedną walizę rodzinną i dwa toboły z nową pościelą i bielizną. Jutro rano kupimy na to wszystko duży kosz z wikliny. Tych gratów jest całe mnóstwo. Do Poznania wyjedziemy w sobotę rano. Ojciec dał Zośce urlop do końca miesiąca. Ładny mi urlop - lokowanie na uniwersytecie siostry z mokrą głową...

Uśmiełam się. W domu uszyto mi nową olbrzymią pierzynę. Cała rodzina mogłaby się nią przykryć. Paskudztwo. U stryja widziałam po raz pierwszy w życiu kołdrę z puchu obszytą z obu stron jedwabiem. Zośka, poczciwa, zdębiała, gdy jej powiedziałam o moim pomysle. Przyrzekła jednak jedwabny adamaszek w kolorze lila i słonecznikowym. Z pierzyny dam zrobić dwie puchowe kołdry. Zapasowa będzie dla gości, na pewno różne Jambory będą przyjeżdżać do Poznania w celu oglądania pierwszej studentki w rodzinie.

Już mnie nic nie łączy z Bydgoszczą. Może kiedyś w przejeździe przez to miasteczko wychylę się z okna pociągu i powiem do jakichś przygodnych współtowarzyszy podróży: - Bydgoszcz? Ach, tutaj także mieszkałam kilka lat.

Nowe życie. Poznań. Uniwersytet. Żegnaj mi, przeszłości dziecinna. Wydajesz mi się już jakaś dziwnie odległa i dziwnie obca. Może tylko obojętna, ale to i tak jest wszystko jedno.

Na tym kończę jakby pierwszy tom mojego życia. Anna jedzie na uniwersytet, wszystko inne jest nieważne!

CZEŚĆ DRUGA UNIWERSYTET

Wrzesień 1928 - luty 1931

Sobota - 22 września - wieczorem

Jamborowie są jednak rodziną myślącą. Ojciec powiedział Zośce wyraźnie: tylko nie u Michalskich! Mela nigdy nie cieszyła się dobrą opinią w Wąbrzeźnie i była jedynie tolerowana w rodzinie naszego ojca. Oprócz tego ojciec chciałby zapewnić mi spokojne warunki do nauki, a rola ciotki trojga brzdąców w tym by mi nie pomagała. W dodatku akompaniament nieustannych kłótni w rodzinie Michalskich. Stałyśmy zatem u znajomych kupców na Starym Rynku. Spokojni ludzie, mieszkają w trzypokojowym mieszkaniu. Wizyta została już naprzód z góry uzgodniona przez ojca i znajomi przyjęli nas bardzo gościnnie. Naturalnie również blawatnicy, oboje krewni naszych dalekich berlińskich kuzynów.

Dzisiejszy dzień połączony był z urwaniem głowy. Całe szczęście, że Zośka objęła komenderowanie nad całością. Dokonała tego z prawdziwie kupiecką namiętnością, jakby chodziło o załatwienie jakiegoś ekstra cennego czy pilnego zamówienia sklepowego. Dwa kosze z wikliny, toból z pościelą i trzy walizy wyfrunęły z mieszkania ciotki Katarzyny i nawet się nie spostrzegłam, jak siedziałyśmy w przedziale, naturalnie oszczędnie, w trzeciej klasie. Dopiero obecnie dowiedziałam się, że od szeregu miesięcy nie ojciec, a Zośka załatwiała wszystkie zakupy w Łodzi i Bielsku. Ojciec jest podobno naprawdę chory i trzyma się sklepu więcej z uporu i przyzwyczajenia niż dla rzeczywistej potrzeby.

Zośka jest niespożyta. Namówiła naszych gospodarzy i w trójkę wybrali się do teatru. Ja wytłumaczyłam się bólem głowy i dzięki temu mogę już obecnie zanotować - w kochanym bloczku - moje pierwsze kroki w Poznaniu.

Podobno w Poznaniu są dzielnice willowe. Bardzo by mi dogadzało zamieszkanie tam. Nie mam zamiaru „latać”, a zatem byłoby to dla mnie dogodne. Zobaczę. Ale to wszystko odłożone jest do wtorku, ponieważ pojutrze mam załatwić sprawy związane z zapisaniem się na uniwersytet. To podobno wymaga sporego łażenia, nim się pozałatwia wszystkie formalności.

O medycynie nie ma mowy. Ani myślę zresztą, nie mam do tego ani ochoty, ani nabożeństwa. Trzeba sobie stworzyć życie łatwe i wygodne - nie męczące. Lekarz musi być na każde zawołanie chorych, przy okazji może się do niego coś przyczepić. Na co mi to? Chodzi przecież o taki zawód, który daje pieniądze, a nie zmusza do ciężkiej pracy z wywieszonym językiem. Stryj Marcin ma rację, kupiecka córka powinna dążyć raczej do kombinowania sprytem, a nie pracą. Ciekawe zdanie? No, ale stryj Marcin mieszka w willi zawalonej wartościowymi antykami i jest otoczony służbą. Właściwie nic nie robi. Z tym swoim radcostwem siedzi w biurze kilka godzin dziennie, a drugie tyle spędza wygodnie na rozmowach ze znajomymi. „Bristol”, „Europejska”, „Simon i Stecki” i różne samochodowe wycieczki do okolicznych dziedziców. Stryj mówił o prawie i ekonomii. Podobno można zapisać się od razu na oba kierunki, a dopiero po dwóch latach trzeba się zdecydować na jedno lub drugie.

Dentystyka - wujka Kowalskiego - to głupstwo. Akurat chciałoby mi się grzebać w cudzych zębach. Na to mnie nie nabiorą. O belferze nie ma mowy, to dobre dla tych, którzy marzą o emeryturze trzystu złotych miesięcznie po trzydziestu latach harówki z cudzymi bębniami. Z własnego doświadczenia wiem, jak bardzo takie przyjemniaczki potrafią życie zatruć.

Co do ekonomii, to podobno na tym wydziale jest jakiś belfer, który nie znosi kobiet. Wszystkie ścina. Ale jakoś sobie poradzę z tym typem. Każdy belfer ma swoje słabe strony i swojego konika, na którym jedzie. W Bydgoszczy profesor od botaniki - z Galicji - zbierał znaczki pocztowe. Niewiele się nauczyliśmy botaniki i zoologii, ale za to nasza markowa geografia była pierwszej klasy. Może zatem i ten „kat” na ekonomistki ma jakąś słabość? Obejrzymy sobie towar, obejrzymy go powoli i ze spokojem...

Jutro niedziela. U naszych gospodarzy zapowiedziano nam już dzisiaj wielkie przyjęcie podwieczorkowe z kawą i ciastkami. Wieczorem podadzą na pewno coś solidnego, pewnie nogę wieprzową lub gęś, a do tego bolę z gorącego wina. Znam ja już te kupieckie przyjęcia, zaczynają się niewinnie od kawy z ciastkami i plotkami. Pewnie przyprowadzą jakichś typów, którzy jeszcze nie mają żon. Nie na darmo przyglądała mi się dzisiaj stara kupcowa.

Być może, i mnie pociągałoby kupiectwo? Mówi się, że kupiec - to zawsze gotowy pieniądz. Może tak, może i nie, bywa rozmaicie. Ale w każdym razie - nie takie jak ojcowskie. Lada, uśmiech, otwieranie drzwi, kłanianie się, a potem mierzenie metrem materiałów rozkładanych w nieskończoność i na każde skinienie pierwszego lepszego klienta z ulicy. Właściwie mnie by dogadzał handel bez oglądania detalicznych twarzy klienteli. Stryj nazywa to wielkim handlem, interesami handlowymi, nie kupiectwem.

Tutaj w Poznaniu jest również jakaś Akademia Handlowa, ale stryj określił tę szkołę: ni pies, ni wydra. Podobno tam jest jakaś skomplikowana sprawa z dyplomami. Lepiej zatem już prawdziwy uniwersytet, a nie jakaś imitacja pod pozorem, że daje od razu pełne przygotowanie praktyczne. Co prawda i z tym uniwersytetem nie jest za bardzo, ale kto tam patrzy na nazwę. Magister prawa czy ekonomii i na tym koniec. Podobno prawdziwy uniwersytet jest tylko w Krakowie, a reszta to są tylko „szkółki”, no ale stryj Marcin chyba w tym porządnie przesadza.

A zatem prawo i ekonomia, po dwóch latach zobaczymy. Postanowiłam uczyć się systematycznie i zdawać roczne egzaminy możliwie w pierwszych dniach. Lepiej uczyć się codziennie po trochu, aniżeli obkuwać się podczas ostatnich tygodni.

Dzisiaj rano przeliczyłam wszystkie moje pieniądze. Zośka jeszcze w Bydgoszczy oddała mi w całości 400 złotych, ze swoich pieniędzy zakupiła kosze i sfinansowała naszą podróż do Poznania, to bardzo pięknie z jej strony. Kupiec Jambor dotrzymał obietnicy danej bratu. Dwieście złotych na urządzenie się w Poznaniu i na uniwersytecie, a drugie dwieście - to moja pierwsza pensja na studia uniwersyteckie. Z góry za miesiąc październik 1928 roku. Rano obliczałam moje skarby, jeszcze w Bydgoszczy. Tato by zemdlął, gdyby zobaczył 2 200 złotych, słownie... na książeczce PKO, a w gotóweczce złotych 575, groszy nie liczę wbrew zasadom kupieckim. Ponadto w charakterze kobiecego Robinsona Cruoe na poznańskiej wysepce uniwersyteckiej posiadam w pudełeczku z ozdobami zakopiańskimi: kilka złotych monet, jedną dwudziestodolarówkę, jedną dziesięciodolarówkę, sześć niemieckich 20-markówek i jedną 20-frankówkę: w dalszym ciągu posiadam łącznie 27 papierowych dolarów w drobnych odcinkach. Na maturę dostałam złoty zegareczek z łańcuszkiem po matce i pierścioneczek z trzema turkusami. Zegarka nie noszę, bo niemodny, przed rokiem kupiłam sobie nowoczesną stalową Omegę na rękę. Również za własne pieniądze kupiłam sobie złotą bransoletkę, prawie za dwieście złotych. Ciężka - pewnie taka jest również niemodna, lecz podobała mi się, wówczas miałam inne pojęcia. W każdym razie jest mocno nieodpowiednia dla młodego kujona uniwersyteckiego. Podobno ten postrach na studentki - ów profesor ekonomii - nie znosi studentek przystojnych i dobrze ubranych. Już mi to opowiedzieli starzy

kupcy. Wiem, mimo że jeszcze moja noga nie powstała w murach tej, jak się to nazywa w powieściach, Alma Mater. Ubiorę się temu strachowi na wróble w czarną, pocerowaną sukienczynę z długimi rękawami i białym kołnierzykiem, napiszę, to mi przyślą z Wąbrzeźna, zostawiłam ją tam w zeszłym roku, pójdę źle uczesana i od razu na wstępie wyciągnę moje giry, żeby widział, że grube, jak mi to tysiąc razy powtarzała moja ciotunia. Takiego belfra też można wziąć na kawał.

Ciekawa jestem, jak to będzie z moim działem rodzinnym? W tym wypadku stanowisko naszego ojca jest niezwykle charakterystyczne, podsłuchałam kiedyś rozmowę ojca ze znajomym notariuszem z Grudziądza:

- Córkom daje się posag w zależności od tego, kto je bierze...

Ciekawa jestem, gdzie mnie los umieści? Mieszkanie to bardzo ważna sprawa w życiu. Mieszkanie - to nastroje, powinno być zatem miłe i wesołe. Jasne. Pogodne. Pastelowe. W żadnym wypadku nie czarny dębowy salon gdański ciotki Katarzyny!

Tylko kozetki mi żal. Trzeba będzie utrzymać dobre stosunki z Bydgoszczą, może mi ciotka w testamencie zapisze swoją francuską kozetkę... Wypisuję głupstwa. A może kupię ją za pieniądze od Meli? Ale skądże takie myśli? Ciotka jest zdrowa, dla mnie niech żyje sto lat, głupia kozetka. Wszystko na świecie można kupić za pieniądze, w grę wchodzi jedynie cena. A cena jakiejś osobliwości zależy jedynie od charakteru i zawziętości kupujących. Lub od okazji życiowych. Bankructwa zaś polegają na tym, że ofiara musi od razu wyzbyć się wszystkich rzeczy, do których przyzwyczajała się powoli. Nie trzeba więc bankrutować w życiu.

A zatem, Anno, ostrożnie z marzeniami, lepiej ukrywać je we własnych myślach. Koniec z pisaniem. W hallu ruch, teatrowicze wrócili. Zamykam bloczek, chowam go do torebki i z uśmiechem na buzi wysłucham przy dobrej kolacji opowiadania o teatrze.

Poniedziałek - 24 września

Godzina dwunasta. Collegium Minus. Wyczekuję w kolejce na przyjęcie opłat w kwesturze. Na uniwersytet weszłam z drżeniem w sercu. Była to dla mnie nowość, widocznie nie przełamały się we mnie jeszcze różne dzieciństwa. Po raz pierwszy w życiu znalazłam się we wnętrzu gmachu uniwersyteckiego. W Warszawie co prawda Florencja ruchem głowy wskazała mi jakieś miejsce na ulicy, mówiąc:

- Tu znajduje się uniwersytet - ale wówczas byłam pochłonięta innymi nowościami stolicy i nie zwróciłam na to zbytnej uwagi.

W progi uniwersytetu wkroczyłam z hałaśliwą gromadką studentów. Prawie bez pytania stanęłam przed drzwiami dziekanatu. Wszystkie formalności trwały niezwykle krótko, ale wszędzie trzeba było czekać. Przejrzano dokumenty, postawiono trochę pytań, na poczekaniu wypełniłam formularze, powiedziano mi numer i odesłano do kwestury. Widocznie najważniejszą sprawą, oprócz matury; była zapłata czesnego. Mnie, to znaczy nowego studenta, potraktowano obojętnie i bez najmniejszego entuzjazmu. Wszystko trwało w sumie trzy godziny, a obecnie poinformowano mnie, że moja kolejka zapłaty czesnego nastąpi gdzieś koło godziny drugiej. Mam czas. Początkowo przyglądałam się ruchowi na korytarzach oraz moim przyszłym koleżankom i kolegom. Nikt na mnie nie zwraca uwagi, wszyscy pragną tylko załatwić sprawę do końca i jak najszybciej wyjść na ulicę. Usiadłam na drewnianym fotelu pod ścianą i wyjęłam bloczek. Zapisuję wszystko na świeżo. Mam dużo czasu.

Podobno trudności są tylko na medycynie, ale i to można przełamać, gdy się ma trochę znajomości i protekcji. Większe trudności mają Żydzi, których tutaj nie chcą przyjmować. Wszystkie te informacje zdobyłam przysłuchując się rozmówkom w kolejce przed dziekanatem, gdzie wpuszczano do środka tylko po dwie osoby na raz. W kolejce opowiadano sobie również, że na moim wydziale nie trzeba chodzić na wykłady, wystarczy

stemplowanie indeksów, co mogą z powodzeniem robić znajomi koledzy. Opowiadał to jakiś student trzeciego roku prawa, jest urzędnikiem starostwa w Koninie i doskonale sobie radzi. Raz na miesiąc przyjeżdża do Poznania na dwa dni łącznie z niedzielą. Do wszystkiego są skrypty i wystarczy z końcem roku wykuć na pamięć kilkadziesiąt formułek. Podobno w ten sposób studiują prawie wszyscy. Ciekawe, może to i prawda?

Zauważyłam kilka studentek - ubranych prawie luksusowo. Ogół jednak ubrany jest przeciętnie, zwłaszcza najmłodsze koleżanki, były nawet takie prawie prosto z gimnazjum. Najwięcej uwagi zwracają na siebie różne młode typki ze śmiesznymi czapeczkami na czubku głowy, korporanci, widać, że mury budynku są dla nich za ciasne. Mają dziwnie wyzywające miny, ogół jednak nie zwraca na nich uwagi, sami dodają sobie szyku... Korytarze Collegium Minus sprawiają wrażenie natłoczonej poczekalni dworcowej w dni przedświąteczne. Nic nadzwyczajnego.

Uniwersytet wyobrażałam sobie inaczej. Co prawda nie z beanami, jak w powieści Kraszewskiego, lecz majestatycznie i bardziej godnie. Nie zrobił na mnie wrażenia. Oswoiłam się i przy następnej bytności wszystko będzie dla mnie obojętne. Więcej miałam tremy, gdy spacerowałam po krynickiej pijalni wód.

Będę miała moc czasu wolnego, ponieważ pierwsze wykłady zaczynają się dopiero za dwa tygodnie. Może pojechać na jakiś tydzień do domu? Ale chyba nie, ponieważ Zośka dostała od ojca wychodne do końca miesiąca. Nie będzie chciała wracać do Wąbrzeźna, zbyt podobało się jej sobotnie przedstawienie. Ale będzie chodzić chyba sama, mnie nie ciągnie do teatru, mam dość krakowskiego dramatu. Chyba że tutaj grają jakieś operetki.

Wczorajsza niedziela upłynęła w wielkim harmiderze. Było przyjmowanie gości, żarcie i oglądanie dwóch panien z Pomorza. Miejscowe mamy przyprowadziły na naszą intencję dwóch dryblasów, widocznie w Poznaniu brakuje panien z gotówką i tutaj mają wyobrażenie, że gęsi z prowincji są naszpikowane gotówką. Duplikaty Tuchołków z Wąbrzeźna - w miarę mądre i głupie. Oglądali nas jak kupujący towar w sklepie. Chyba wiedzieli o tym, że Zośka utyka na nogę, a przecież taksowali ją dyskretnymi spojrzeniami. Przejechali się nawet po zawartości biustonoszy. Całkiem jak na jarmarku z krowami czy jałówkami. Szkoda tylko, że nas nie obmacali rękami, uczynili to jednak wielokrotnie ciekawskimi oczyma, mamy robiły to samo. Jedna z nich specjalnie przyczepiła się do Zośki i wypytywała szczegółowo o interesy bławatne w Wąbrzeźnie - widocznie kandydatka na teściową z branżą bławatną. A to heca!

Jak to przyjemnie, gdy człowiek wszystko zauważa i na zimno analizuje. Ciekawe, pół roku temu byłam tylko głupią i smarkatą biuralistką do pisania na maszynie i znoszenia humorków naszego dyrektora. W podobnych warunkach byłabym się czuła onieśmielona... Jakże szybko otworzy mi się oczy na świat! Bardzo szeroko. Wydaje mi się, że mam już własne doświadczenie i stoję na własnych nogach. W każdym razie - na mocnych nogach! Po pierwsze - nie są filigranowe, a po drugie - nie jestem lebiodą bez grosza przy duszy.

Wieczorem

Na uniwersytecie wszystko załatwione. Jutro rano idę oglądać dwa pokoje, które Zośce się podobały. Na razie nie mam czasu do pisania, trzeba zabawiać starych kupców, znów przyszli amatorzy na kupieckie córki.

Czwartek - w południe

Już mamy pokój. Przedtem obejrzałyśmy co najmniej dwadzieścia różnych pokoi z utrzymaniem i bez. W różnej cenie i różnej wartości. Cena pokoi bez utrzymania waha się od 40 do 80 złotych miesięcznie, z utrzymaniem od 100 do 180 złotych. Wybrałyśmy mały pokoik z jednym oknem na ulicę, na pierwszym piętrze przy ulicy Młyńskiej, niedaleko sądów, ale jeszcze przed ulicą Krętą, idąc od strony miasta. Wszędzie jest blisko. Do pokoiku

wchodzi się z małego hallu, z którego prowadzą drzwi tylko do mojego pokoju oraz do olbrzymiego, lecz mocno ciemnego pokoju z oknem na podwórze.

Umeblowanie mojego pokoju jest co prawda śmieszne, ale ze wszystkich oglądanych pokoi najsympatyczniejsze. Po lewej stronie znajduje się, prawie tuż pod oknem, bardzo porządne łóżko niklowane z materacem, obok stolik nocny z czarną płytą marmurową. Po drugiej stronie okna dość staroświecka komódka z umywalnią, przykryta również czarnym marmurem. Dzbanek, miednica, drobiazgi pod lustrem - bieżąca woda jednak tylko w łazience, w głębi mieszkania, ale za to codziennie dwa razy mam dostawać dzbanek z gorącą wodą.

W linii komódki z umywalnią na drzwiach do sąsiedniego pokoju znajduje się olbrzymia szafa z lustrem. Pomiędzy drzwiami do hallu a „sypialnią” pod oknem ustawiony jest pośrodku olbrzymi stół z okrągłym blatem z białego marmuru. Ciężki, masywny stół. Nad stołem równie ciężka lampa wisząca z abażurem w kolorze blad różowym ze spłowiałego jedwabiu. Światło tej lampy oświetla prawie wyłącznie powierzchnię stołu, lampa przerobiona z gazowej. Kanapka w obudowie z czarnego drzewa, wybita ciemnym zielonym gobelinem w duże kwiaty, podpira ścianę do sąsiedniego pokoju.

Reszta jest wprost śmieszna. Tapeta w kolorze niebieskim, jak to mówią - synogarlicowym. Dość jeszcze nowa i dość czysta. Gospodyni zapewnia, że nie ma pluskiew. Tapeta jest w dwóch odcieniach - jakieś drobne bukietki jasnych kwiatków na ciemniejszym tle. Pretensjonalna wąska listewka złożona u góry.

Cóż więcej w tym pokoiku? Obok łóżka jakiś wytarty dywanik. Stół marmurowy umieszczony na dobrze podniszczonym dywanie. Nad kanapą wisi sporych rozmiarów obraz w ciężkich, przyciemnionych ramach, oleodruk, lecz dobrze wykonany. Dalekie jest to wszystko od warszawskiego schronienia Florencji i różne od gościnnego pokoiku na Żoliborzu. Ale Anna Jambor jest studentką pierwszego roku prawa i stawia dopiero pierwsze samodzielne kroki w swym życiu.

Wszystko to ma kosztować 140 złotych miesięcznie, płatne; z góry razem z utrzymaniem i obsługą. I razem z tymi wyliczonymi już naprzód z góry dwoma dzbankami gorącej wody rano i wieczorem. Rano o godzinie siódmej i wieczorem nie później niż o godzinie dziewiętej. Wszystko szczegółowo umówione łącznie z dwoma jajkami na śniadanie, deserem po obiedzie i ciepłą, gotowaną kolacją we wszystkie dni tygodnia z wyjątkiem piątku i niedzieli. Poza tym dom katolicki z postami.

Należność za pierwszy miesiąc - zapłacona z góry przy dobiecju umowy. Naturalnie ostatni gest gospodyni: i pewnie z 5 złotych miesięcznie osobno dla służącej, tak samo płaciła dotychczasowa lokatorka...

Sąsiedni pokój również jest wynajmowany. Mieszka w nim biurowa koleżanka mojej poprzedniczki, już od przeszło z górą czterech lat. Nie widziałam tej przyszłej sąsiadki, natomiast moja poprzedniczka chwaliła pokój w nieobecności gospodyni, mówiąc:

- Mieszka się tutaj bardzo spokojnie, cicho, blisko wszędzie, dwa kroki do placu Wolności. Gospodyni nie narzuca się, spokoj.

A zatem na razie koniec. Bagaże sprowadzimy ostatniego września, dopiero przed wprowadzeniem się. Zośka przyrzekła nie opuścić mnie aż do momentu urządzenia się w pokoju. Śmiała się ze mnie, gdy zapytałam, co powie ojcu, kiedy się spóźni do domu.

- Dosyć się napracuję - mówiła Zośka - niech się trochę pomartwią i pocierpią. Ani myślę wracać. W tym roku nie miałam żadnych wakacji, przedtem ojciec był chory, później Krynica i tak zeszło lato. Nie spiesz mi się do łokcia i do kasy!

Lubię Zośkę - morowa dziewczyna. Uśmiechnięta, nie narzeka, umie zawsze i we wszystkim doradzić. Ma męską głowę na karku, a równocześnie jest w niej dużo kobiecości. Zna się nawet na dzieciach, znacznie lepiej od Pelasi, która uspokaja dzieci jedynie cukierkami - to podobno bardzo zła metoda.

Zośka znów poszła do teatru, ma zdrowie. Mówi, że chodzi na zapas, bo w Wąbrzeźnie ani marzyć o teatrze. Podczas swoich podróży uznaje tylko teatr.

Wyszło szydło z worka. Nasz ojciec kłóci się ze swoim katowickim szwagrem, ale to nie przeszkadza Zośce od czasu do czasu wpadać do katowickiego wujka po drodze z Bielska do Łodzi. Ojciec o tym nie wie lub udaje, że nie wie. Podobnie jak stryj Marcin - Zośka mówi, że Baumanowie to bardzo porządni ludzie. Zawstydzila mnie, przecież u wujka mieszka moja babcia, matka naszej matki - Anna Kowalska. Po niej to właśnie dziedzicę moje imię. U babki byłam przed pięcioma laty, jeszcze w grudziądzkich czasach, od niej dostałam w prezencie francuską monetę. Później pisywałam jedynie życzenia imieninowe i świąteczne. Wujka Michała prawie nie znam.

Wszystko jedno. Nie jestem już nieopierzonym pisklęciem. Dostaję od ojca pieniądze na utrzymanie, ale już prawie samodzielnie kieruję własnym życiem - w Bydgoszczy dwa lata pracowałam na siebie! Obecnie... dostanę nawet klucz od zatrasku! Machnę się zatem z Zośką do Katowic. Moja babka to starsza, siwa pani, prawie osiemdziesięcioletnia, W domu zawsze opowiadali, że pochodzi z Berlina i była urodzona jako von Gołkowska! Ciekawa jestem, skąd wzięła się taka „von” w rodzinie kupców Kowalskich? Tylko tyle wiem, że dziadek Kowalski uczył się w młodości w Berlinie, tam się dorobił i stamtąd przywiózł sobie żonę.

To podobno całkiem inny świat, mocno odmienny od naszego. Żona wujka jest bardzo młoda, starsza od naszej Zośki zaledwie o trzy czy cztery lata. Pokazywała mi jej fotografię. Bardzo miło wygląda, jedyne ich zmartwienie - nie mają dotychczas dzieci. Zośka jest z nią „na ty”. Pojadę.

Ciekawa jestem, co by powiedziała Florencja na widok mojego pokoju. Wybuchnęłaby śmiechem, mówiłaby, że nie umiałyśmy szukać, że trzeba było staranniej pochodzić po Poznaniu. Śmieszny jest ten pokój. Wydały sobie tu randkę meble z różnych pokoi i różnych epok rodziny moich gospodarzy. Zbieranina w rozmaitych kolorach i graciane trupy na polu jakichś niepowodzeń i klęsk rodzinnych. Pamiątki z przeszłości wystawione na łup przypadkowych mieszkańców, którzy przyjdą z gazetowym ogłoszeniem w rękę i zechcą zapłacić z góry 140 złotych miesięcznie za pokój, za używanie mebli i utrzymanie „przy rodzinie”, jak się to mówi u nas.

Piątek - w południe

Wieczorem jedziemy do Katowic. Do Poznania wrócimy we wtorek rano. Z wtorku na środę ugoszczę u siebie moją Zośkę - to będzie wspaniale. Ugadamy się bez przeszkód. Kupię butelkę dobrego wina i ciastka. Trzeba, wypada nawet oblać mój pokój i pierwsze studenckie gospodarstwo!

Dzisiaj oblatywałyśmy całe miasto. Zmęczyłyśmy się. Poznań sprawia wrażenie bardzo solidnego i czystego miasta. Warszawa jest ruchliwa i brudna. Poznań - cichy i czysty. Wybrałabym jednak - Warszawę. Ludzie tutaj są jacyś dziwnie powolni i ospali, nie mają takiego szyku i elegancji jak w Warszawie. Byłyśmy dzisiaj w cukierni, u Dobskiego, trochę dziwne nazwisko... Zauważyłam, że w Poznaniu ludzie zjadają w cukierni moc ciastek. Panie piją duże czarne kawy bez cukru i do tego pożerają olbrzymie porcje bitej śmietany. W kawiarniach duży ruch, pomimo że samo miasto jest jakieś ospale czy leniwe. Nikomu się nie śpieszy. Wszyscy mają widocznie wiele czasu. Największy ruch jest w południe na placu Wolności, ludzie spacerują tam i z powrotem bez żadnego celu. To podobno „urzędowe” miejsce spotkań i spacerów, bez umawiania się. Stryj Marcin opowiadał nam w Krynicy, że w okresie dewaluacji marki w każdym domu w Poznaniu był bank i obowiązkowo jakaś cukiernia lub knajpa; sporo tego dotrwało jeszcze do dzisiejszych czasów.

Zośka zaciągnęła mnie dzisiaj do fotografa i zrobił nam kilka wspólnych zdjęć. Damy powiększyć te, które się udadzą. Zdjęcia próbne będą gotowe, gdy wrócimy z Katowic. Jak ci

fotografowie wszystko dostrzegą - specjalnie doradzał mi takie ustawienie nóg, by lepiej wypadły.

Z grubsza poznałam już całe miasto. Tramwaje są wygodniejsze od naszych bydgoskich. Warszawskich nie poznałam, ponieważ obwożono mnie samochodem. Moc sklepów. Nasi kupcy ze Starego Rynku cieszą się na wystawę, która ma zostać otwarta z okazji dziesięciolecia Polski. Podobno w Poznaniu ma być wielki zjazd gości z całej Polski i z zagranicy. Znajomi mówią, że wystawa podniesie miasto.

Nie wytrzymałam i zaciągnęłam moją Zośkę na ulicę Młyńską i wpatrywałyśmy się z przeciwległego chodnika w moje przyszłe okno na świat. Będę miała widok prawie że na jakąś żeńską szkołę. Była akurat pauza i widziałyśmy moc dziewcząt, takich samych jak i ja przed dwoma laty. W granatowych sukienkach z plisami, bluzkach z marynarskimi kołnierkami, a na mundurkach czarne alpakowe fartuszki. A jednak wesołe było to szkolne życie! Bez trosk! Świat miał wówczas tylko jasne kolory, wszystko wydawało się ładne i dobre. Marzenia wydawały się tak bliskie zrealizowania, jakby to tylko od nas samych zależało.

Czwartek - 4 października

Przed godziną odjechała Zośka i od tej chwili zostałam już zupełnie sama w obcym mieście. Mój los spoczywa obecnie tylko w moich własnych rękach - jak sobie pościelę, tak się wyśpię. Króluję w samotności mojego śmiesznego pokoiku z olbrzymim okrągłym stołem. Dopiero obecnie zdaję sobie sprawę z tego, że pokój jest mały, a meble są nieproporcjonalnie duże w stosunku do tego pokoju. Całe szczęście, że dom jest stary i sufit znajduje się bardzo wysoko. Niemniej wieczorem, po zapaleniu światła, ów sufit ginie w ciemnościach, natomiast boczne ściany długiego pokoju zdają się przybliżać ku sobie i jedynie ów biały stół staje się jakąś realną zjawą.

Na początku mojego zamieszkania wydarzył się pierwszy zgrzyt, gdyż okazało się, że firanki były osobistą własnością mojej poprzedniczki. W ten sposób plama okna świeci golizną, całe szczęście, że naprzeciwko po drugiej stronie ulicy są tylko drzewa i nikt nie lornetuje mojego schronienia. Pocziwa Zośka zaraz zmierzyła okno i ma mi przysłać z domu jakieś zapasowe firanki.

W mieszkaniu panuje spokój, jedynie gdzieś z drugiego piętra nad nami dolatują dźwięki fortepianu. Ale do tego można się przyzwyczaić. Jedzenie jak dotychczas - możliwe, śniadania przynoszą mi do pokoju, obiad i kolację spożywam w przechodnim pokoju wspólnie z gospodarzami. Zobaczę, jak się ułożą wykłady, od tego będzie zależeć, gdzie urządzi mi obiady. Gospodyni mówiła, że im to jest obojętne, mogą mi podawać do pokoju. Sąsiadkę widziałam tylko w przelocie podczas kolacji. Dotychczas nie wymieniliśmy wizyt. Nie przeszkadza mi, że wieczorem poprzez drzwi, zastawione jedynie szafą, dobiega jakieś ciche nucenie.

Sąsiadka jest w wieku nieokreślonym. Podobno rozwódka. Wygląda na plus minus czterdzieści lat. Taka sobie tęgawa brunetka i biustem. Niższa ode mnie. Twarz regularna, spojrzenie spokojne. Pewna siebie, z energicznymi ruchami. Myślę, że nie mąż, ale ona pokierowała swym rozwodem, o ile rozwód był. Obie zachowujemy się z rezerwą i jedynie uśmiechamy się podczas spotkań. Nie zadaję żadnych pytań - wzajemnie to samo. Zobaczymy, co będzie dalej.

Łóżko wygodne. Na razie sypiam pod pledem. Pierzynowe interesy przerobię natychmiast, gdy Zośka przyśle mi adamaszek. Już mam adres wytwórni kołder - firma Bandel. Służąca możliwa, w średnim wieku, służy u gospodarzy przeszło piętnaście lat, jeszcze z czasów przedwojennych. Trochę tylko zbyt spoufalcona z gospodarzami, nasze służące na Pomorzu trzymamy w domu znacznie sztywniej.

W Katowicach byliśmy pełne cztery dni. Ubawiliśmy się - było bardzo miło. Rozkosznie, to naprawdę świat innych ludzi. Ale o tym wszystkim napiszę dopiero za kilka dni, gdy mi się już ułoży moje przyszłe normalne życie.

Jutro wyruszam na poszukiwanie lekcji angielskiego. Można by się zapisać również na uniwersytecie, ale słyszałam już z kilku źródeł, że to nie daje szybkich rezultatów. Mnie nie jest potrzebna literatura angielska i szkolne historie. Mówiono mi o szybkiej metodzie Berlitz'a i o systemie fonetycznego nauczania. Najpierw opanuję mówienie i słówka, a dopiero później zabiorę się do gramatyki.

Postanowiłam zająć się na razie wyłącznie nauką języka angielskiego i na początek przyrzekłam sobie wstrzymać się z chodzeniem do kina - długo, do końca roku. Czyba dotrzymam tego postanowienia? Zobaczymy moją silną wolę...

Wieczorem

Ciotka się chyba obrazi, ponieważ nie byliśmy u Michaiskich. Mela nam tego nie daruje, ale tak jakoś zeszło i nie miałyśmy obie zbytnej ochoty do tych odwiedzin. Oni na pewno wiedzą o moim osiedleniu się w Poznaniu. Muszę się wybrać, ale dopiero po niedzieli. Potem trzeba będzie tak jakoś się urządzić, by Mela nie uczyniła sobie z mego mieszkania jakiegoś schronienia w wypadku awantur z mężem. Lepiej niech w dalszym ciągu jeździ do matki w Bydgoszczy. Ale jak to urządzić? Najwygodniej byłoby się pokłócić, ale to nie zda się na nic przy słabym charakterze mojej siostry ciotecznej. Jej można nawymyślać rano, a wieczorem ona sama podejdzie ze ślinieniem. To znaczy z pocałunkami! Jakie to głupie, gdy się całują kobiety. Dwie paniusie spotykają się na kawie i od razu: cmok, cmok, bodaj w powietrzu. Zawsze pocałunek lub imitacja pocałunku, gdy obie panie mają wymalowane usta. Głupota. W dodatku nasza Melcia nie całuje w powietrzu, ale w głupi i denerwujący sposób przykłada swoje tłuste i gorące wargi do mojego policzka, nawet wówczas, gdy się wymaluje. Mówi, że francuskie pomadki nie puszczaają, a jakże! Prawdziwa Melcia, słodziutka i pulchniutka.

Jakie to szczęście, że mi się piersi nie wywaliły tak jak u Melci. Obywam się doskonale bez tych dodatkowych pulchności.

Wpół do jedenastej. Na górze mogliby już przestać brząkać w klawisze. Najgorzej, gdy takie muzyczne talenty błędzą palcami po klawiaturze. Niby dobierają tony i pasaże... Co do mnie, to brak mi słuchu muzycznego i nie mam najmniejszego zainteresowania w tym kierunku. U nas w domu tylko Pelasia męczy fortepian, ale na siłę, jako uzupełnienie jej artystycznych wyszywanek i malatur.

Czas spać. Na górze przestali brząkać. Widocznie również mają zamiar przykryć się kołdrą na nos. Czy Zośka przyśle mi na czas adamaszek i czy zdążą zrobić mi kołdry? Koniec października może być chłodny. Nie wiadomo, czy tutaj będzie ciepło. Pierwszy raz w życiu widzę taki głupi piec. Jeden piec na dwa pokoje. U mojej sąsiadki w dodatku coś w rodzaju imitacji kominka, gorzej natomiast, ponieważ drzwiczki do pieca znajdują się w moim pokoju. Sąsiadka mówiła, że piec dobrze grzeje i że w obu pokojach, jest bardzo ciepło. Ale może ona jest nieczuła na zimno? Ze słoninką u niej owszem, ja natomiast jestem zmarzłak.

Dobrej nocy, Anno! Jesteś panią swego losu i nikt ci już nie trzeszczy nad głową: to wolno, a tego nie wolno. Obecnie wszystko mi wolno, to znaczy to, co sama zechcę czynić. Na tym właśnie polega wolność. Coś mi o różnych wolnościach opowiadali w szkole przed maturą, ale nie pamiętam i niezbyt dobrze wówczas uważałam. Według mnie prawdziwa wolność - to posiadanie pieniędzy.

Sobota - wieczorem

Już załatwiłam sprawę mojego angielskiego. Jegomość w średnim wieku - pracował kilkanaście lat w Londynie, inteligent z uniwersytetem. Udziela lekcji w kompletach po pięć

osób. Trzy razy tygodniowo po godzinie, trzeba ponadto poświęcić w domu u siebie co najmniej 10 godzin tygodniowo na ćwiczenia. Gwarantuje, że po upływie pół roku będzie można gładko czytać dzienniki oraz pisać mniej skomplikowane listy handlowe. W ciągu drugiego półrocza kurs daje już wstępną znajomość gramatyki i składni. Metoda fonetyczna, o której już słyszałam. Nauczyciel podawał adresy osób, które przebrnęły u niego cały rok.

Kurs rozpocznie się za kilka dni, natychmiast po skompletowaniu naszej grupy, ja jestem już numerem trzecim. Godziny dość dogodne, po szóstej wieczorem. Zapłaciłam za pierwszy miesiąc z góry. Trzeba będzie naruszyć trochę gotóweczki, trudno, to wydatek na dalszą metę. Na razie ograniczę się tylko do angielskiego. Z literaturą francuską dam sobie na razie spokój, uniwersytet trwa przecież bite cztery lata.

Niedziela - po południu

Niedzielny obiad był nieco wystawniejszy. Siedzieliśmy przy stole w sąsiednim pokoju, wszyscy wspólnie. Ja i sąsiadka oraz gospodarze z drągalem, który za rok składa maturę. Duży, wysportowany dryblas, kopie piłkę, poza tym ma długie ręce zakończone olbrzymimi pięściami. Może jest bramkarzem? Tak się złożyło, że dotąd jeszcze nigdy nie byłam na meczu piłki nożnej. To jest coś spoza zasięgu moich zainteresowań. Osobiście zapiszę się do Azetesa, ale tylko na tenis i na gimnastykę. Szczeniak robił do mnie tak zwane oko. Udawałam, że tego nie widzę. Tutaj w Poznaniu mówią w takich sytuacjach: także coś takiego.

Dla upamiętnienia faktu winnam zanotować, że równocześnie przyglądał mi się mąż mojej gospodyni. Taki sobie starszy pan, już po sześćdziesiątce zapewne. To wszystko jednak głupstwo, a może tylko moje urojenia? Na wszelki wypadek należy zimno przyjmować takie objawy i najlepiej udawać, że się tego nie dostrzega.

Mam wrażenie, że z moją sąsiadką będzie można czasami porozmawiać. Wydaje się nie być głupią i ma pewność siebie. Nie jest biedna, jak to można osądzić po biżuterii na palcach. W niedzielę ponadto wystroiła się na pokaz, może wybiera się gdzieś z wizytą. Była wysztafirowana i zrobiona na dobrze wymalowane bóstwo. Coś w tym rodzaju, co się podoba mężczyznom. Znam to wszystko ze zwierzeń Meli oraz z krytycznych uwag mojej ciotki Katarzyny. Ja wystąpiłam dzisiaj w dobrze skrojonym popielatym kostiumie. Materiał dobry, bo jamborowski, spódniczka plisowana. Bluzeczka do tego biała, gładka, z matowego jedwabiu. Brakuje mi tylko jakiejś bardziej odpowiedniej broszki. Przydałaby się duża włoska kamea w złotej oprawie, taka, jaką widziałam u Kazi Kowalskiej. Ciotki... Kazimiery Kowalskiej. Ale cóż mi to za ciotka? Między nami nie ma nawet dziesięciu lat różnicy. Od pierwszego pocałunku nie pozwoliła sobie mówić inaczej, tylko Kazia.

A zatem Kowalscy. Doktorostwo i rodzony wujek z ciotką. Młodszy brat mojej matki. Michał - bo również Michał od pierwszego słowa, a nie jakiś tam wujek czy wujcio. Sam mi to powiedział:

- Mam dopiero 36 lat i jestem za młody na wujka, chyba że - dodał uśmiechając się - moja siostrzenica wyjdzie za mąż i... dostarczy nam dziątek!

Wujka Michała - ostatecznie tymczasem w moim bloczku... wujka - widziałam zaledwie kilka razy w życiu. W przejeździe ze Lwowa po powrocie z niewoli bolszewickiej i w drodze powrotnej do Lwowa. Moja matka już nie żyła, a ja nosiłam długie warkocze na plecach. Byłam wówczas niepozornym podlotkiem, a obecnie Michał powiedział mi, że wyrosłam. Wujek jest również wysoki i ma skłonność do tycia. Grubas, poczciwy, wesoły grubas. Sypie dowcipami, pół dnia pracuje w szpitalu, po południu przyjmuje pacjentów u siebie w mieszkaniu. Blondyn, ma w oczach coś z naszej matki. Od razu stał mi się bardzo bliski. Coś się we mnie odezwało serdecznego. Bardziej nawet serdecznego niż w stosunku do stryjka Marcina. Prawie że zachwiałam się w moim jamborowskim sentymencie rodzinnym.

Ale Michał - to jeden z moich najbliższych krewnych po matce. Mówmy raczej o Kazi. Wykapana Krysia z „Pana Wołodyjowskiego”. Poważna, czarne, wilgotne oczy, długie rzęsy, ruchy dziwnie miękkie i pociągające, łagodny sposób bycia. Cera przyciemniona. Ciemny meszek nad górną wargą. Udała się nam ta lwowska jedynaczka Baumanów!

Babka Anna. Nie babka - lecz babcia. Poważna starsza pani, ubrana na czarno, w sukni zapiętej pod szyję i z prostą broszką koralową na kołnierzyku. W pierwszych chwilach zdawało mi się, że to nie może być moja rodzona babka. Widocznie zbyt wsiąklam w kupiecką rodzinę Jamborow i świata nie dostrzegałam poza naszymi interesami rodzinnymi. Bławaty, żelazo, zboże i drzewo - to są nasze rodzinne zawody. A tutaj na odmianę inny świat. Świat ludzi śmiejących się i po swojemu zadowolonych z życia. Wydaje mi się, że w tym domu pieniądze „stoją” na drugim miejscu. Jak oni to robią i jak żyją z takimi poglądami, nie wiem. Ja jednak spędziłam u nich cztery bardzo miłe dni. Naładowałam się pogodnym optymizmem. Uspokoiliam się. Oni oczekiwali od dawna mojego przyjazdu, nie śmieli jednak narzucać się z powodu naszego ojca. Bali się nieporozumień i nowych zadrażnień. Nie powiedzieli mi tego wprost, wyczułam jednak, że tak właśnie było.

Babcia Anna. Może nawet babciuchna. Niesłuchanie dobra kobieta. Przyjęła mnie tak serdecznie, jak byśmy się widywały codziennie od rana do wieczora. Kazia była jak starsza, kochająca siostra. Dopiero w Katowicach odczułam dotkliwie brak matki, dopiero tam uświadomiłam sobie moje sieroctwo. W życiu bardzo brakowało mi matki. Ojciec wypchnął mnie z domu po śmierci matki, bo tak było mu wygodnie, pozbył się kłopotu wychowywania małej jeszcze dziewczynki. Pelasia i Zośka miały wówczas już po dwadzieścia lat, mogłam zatem z powodzeniem zostać razem z siostrami. Cóż z tego, że równocześnie pozbyto się Krystynka? Jemu to i tak było obojętne, on zawsze najlepiej czuł się z Gardenami. Zresztą chłopiec - to inny problem.

Miałam oschłe życie, zmarnowano mi dzieciństwo, wczesną młodość, gdy każde dziecko pragnie uścisku matki i dobrego, ciepłego słowa. Lecz cóż? Przeszłości nie można cofnąć, odrobić, powtórzyć w innej formie. Miałabym ochotę pojechać znów do Katowic, na przykład na święta. Trzeba jednak będzie zapewne pojechać do domu i asystować podczas śpiewania: O Tannen-baum, wie grün sind deine Blätter... Bo oni tam zawsze mieszają polskie kolędy z niemieckimi.

Babcia Anna mówiła mi, że ona pamięta w swojej rodzinie cztery Anny w czterech pokoleniach. Wypadałoby z tego, że jak daleko sięga pamięć rodzinna, ja jestem Anną VII. Babcia bardzo miło opowiada. Było to drugiego dnia, gdy wszyscy troje wywiali z domu, a my we dwie zostałyśmy: babcia i ja. Usiadłam na małym stołeczku u kolan babki i wysłuchiwałam długich, nie znanych mi opowiadań o rodzinie mojej matki.

Dziadek mojej babki, Tadeusz Gołkowski, wywodzi się z Warszawy. Bił się w powstaniu listopadowym, po klęsce przekroczył granicę pruską. Osiedlił się w Dreźnie, dokąd po paru latach udało mu się sprowadzić żonę i dwoje dzieci. W chwili wybuchu wojny córeczka miała dwa lata, syna zobaczył dopiero później, już w Dreźnie. Los polskiego oficera i emigranta był początkowo trudny, w końcu jednak czasy się uspokoiły i polska rodzina mogła jakoś wyżyć wśród obcych. Syn objawił zdolności malarskie, nie dobił się jednak sławy i z Monachium przywiózł sobie jedynie żonę, niemiecką Annę. Było to stworzenie dobre, jasnowłose i z błękitnymi oczyma. U babki w Katowicach wisi w pokoju duży portret olejny jej matki, malowany przez jej ojca.

Na obrazie - moja prababka Anna przedstawiona jest w naturalnej wielkości. Tło obrazu ciemne, prawie czarne i zwłaszcza wieczorem zdaje się, że jasna postać pragnie wyłamać się z ram i wyjść naprzeciw patrzącemu. Nie znam innych obrazów mojego pradziadka, ale ten obraz udał mi się, widać, że malował go kochanek, a nie jakiś malarz za pieniądze.

Prababka na obrazie ma białą skromną suknię kroju swej epoki, z niebieskim przybraniem. Ozdobą jej postaci jest lekkość w pochyleniu, uśmiech na twarzy i jakieś jasne,

pełne ufności spojrzenie. Przebija wierna miłość w tym uśmiechu. Portret datuje się z pierwszych miesięcy małżeństwa.

Babcia Anna mówiła, że ze wszystkich dzieci mojego ojca tylko we mnie jest coś z postaci jej matki. Nie jestem co prawda fotograficznie podobna, bardziej związana z typem Jamborów, mam jednak coś z rodziny Kowalskich. Nawet nie z mojej matki czy babki, ale właśnie wprost z tej niemieckiej prababki z Monachium.

Babka i jej matka były jedynaczkami. Miłość prababki obfitowała w sceny mocno romantyczne. Rodzina niemiecka nie życzyła sobie zięcia w osobie jakiegoś nieznanego Polaka Gołkowskiego. Miłość jednak zwyciężyła. Babcia miała brata młodszego od niej o kilka lat, brat ten zmarł jednak przed dziesiątym rokiem życia. W rok po nim umarł ojciec babci. Troje ludzi zostało na świecie: trzynastoletnia dziewczynka, jej matka i stary powstaniec z 1830 roku. Niemiecka prababka nie uwiozła bowiem córki do niemieckiej rodziny i nie wyszła ponownie za mąż. Pozostała w Berlinie z teściem i mężnie przebijała się przez życie. Później na horyzoncie zjawił się Jan Kowalski. Urodzony na Pomorzu syn grudziądzkiego kupca. Przebywał na studiach handlowych i został wysłany dla przetarcia się w niemieckiej stolicy. Był to okres, gdy Prusy stały u szczytu rozwoju. Francja została pokonana i francuskie złoto budowało podwaliny nowej germańskiej potęgi. Nic dziwnego, że grudziądzki zamożny kupiec wysłał swego jedynaka na oszlifowanie się w niemieckim świecie. Jan Kowalski kręcił się kilka lat w Berlinie, nawiązał stosunki z tamtejszymi Polakami. Jedno z zaproszeń otworło mu drzwi domu byłego powstańca i zdarzyło się, że nie kto inny, jak Tadeusz Gołkowski przedstawił swej wnuczce jej przyszłego męża,

Nie umiałabym dzisiaj powtórzyć wiernie tego wszystkiego, co mi zwierzyła matka mojej matki. Wraz z jej cichym głosem przenikało ku mnie jakieś ciepło serdeczne, uczucie dotychczas prawie mi nie znane. Ujmowałam wąską, długą rękę mojej babki i składałam na niej pełne ufności pocałunki dziecka. A staruszka drugą ręką głaskała moje włosy i było mi dobrze. Trwałam u stóp babki. Jakże szkoda mi tych długich lat sierocych, które spędziłam bez kochającego serca, na wygnaniu w Bydgoszczy.

Nigdy w tamtym mieście nie mówiono mi o miłości, nie opowiadano o duszy, nigdy nie było tam miejsca na jakąś serdeczność. Było tylko życie codzienne, pospolite i wyliczone na marki i fenigi. W dodatku nieustannie przymierzane do jakichś dawnych miar. Mówiło się tylko o tym, jak to dawniej było dobrze, mając na myśli dobre pruskie czasy i srebrne talary kupieckich zarobków. Żelazo, bławaty i gdańskie drewno rodziny Gardenów, do której od lat przyczepił się stryj Józef. Pomimo że cała historia małżeńska z Gardenówną trwała zaledwie kilka lat, romans żony rozłączył tylko małżeństwo. Interesy w dalszym ciągu pozostały.

Własna córka poszła dalej w świat, a zięć z wnukiem pozostali jednak w rodzinie Gardenów. Nigdy na oczy nie widziałam tego jakiegoś niemieckiego Heinricha Jambora, który przyjaźni się z naszym Krystynkiem. Nigdy dotychczas nie byłam w Gdańsku, mimo że z Bydgoszczy jest tak blisko. Zresztą nie jestem ciekawa, na pewno nie umie po polsku.

Skończyło się. Czar prysnął. Wesoła trójka wróciła hałaśliwie do domu i po chwili cała rodzina usiadła przy kolacji. Na przydzielonym miejscu nasza babcia, po obu jej stronach obie Jamborówny, obok mnie Kazia, a obok Zośki wesoły grubas. Stół w tej jadalni jest niewielki, okrągły, siedzieliśmy zatem obok siebie, zdawało się nam, że tworzymy jakąś całość. Tworzyliśmy rodzinę, było nam dobrze.

W dwa dni później wróciłam do Poznania. Zośka pomagała mi w urządzaniu się w moim pierwszym pokoju w życiu, u ludzi obcych. Czy ja kiedyś stworzę sobie również taki mały okrągły stół domowy, przepojony wzajemną życzliwością i serdecznością? Czy do mnie również zawita kiedyś jakaś serdeczna, i tkliwa miłość? Przyznam się, że po raz pierwszy w życiu doświadczałam budzenia się we mnie serdeczności. Właśnie wówczas przy tym okrągłym stole katowickiej rodziny Kowalskich.

Jakże inny jest grudziądzki Kowalski. Nie dlatego, że komplikuje sobie czy też upraszcza życie z jakąś tam Julią Murską. To nieważne, to jego osobista sprawa. Ważny natomiast jest tylko charakter. Ale to są sprawy trudne do zbadania. Podobno w dzieciach wyskakują czasami charaktery dalekich krewnych, nawet sprzed wielu lat.

Z wujkiem Michałem - według opowiadań Zośki - rodzina miała sporo kłopotów i rozczarowań. Studiował medycynę we Wrocławiu, a nie w Berlinie, jeszcze przed wojną. Rok przed dyplomem zaskoczył go wybuch wojny, był na froncie we Francji, a dalsze dwa lata spędził na froncie rosyjskim. Później znalazł się w niewoli rosyjskiej. Rewolucję bolszewicką przeżył w Moskwie - jako lekarz w szpitalu. Do Polski wrócił dopiero po zakończeniu wojny, w połowie 1921 roku. W Grudziądzu zjawił się w opłakanym stanie i chory. Poleżał kilka miesięcy, później, jeszcze niezupełnie wyleczony, porzucił nagle dom i wyjechał do Lwowa w celu dokończenia pracy dyplomowej. Nie wiadomo, co wówczas poróżniło braci, lecz wujek Jan nie mówi inaczej o nim, tylko: ten bolszewik. Jego zdanie podziela nasz ojciec.

Zośka mówi, że Michał wyjechał wówczas, na wiosną 1922 roku, tak jak stał, to znaczy w podartym, starym ubraniu i bez zasiłku pieniężnego. Jedynym człowiekiem z naszej rodziny, który utrzymywał z nim wówczas stosunki, był stryj Marcin. Stale korespondowali z sobą - Marcin przebywał wówczas w Szwajcarii. Młodzi Kowalscy wybrali się w podróż poślubną nie do Włoch, jak to było w zwyczaju w rodzinie Baumanów, lecz do Szwajcarii, zaproszeni tam przez Marcina.

Rodzina doktora Kowalskiego żyje w Katowicach raczej skromnie, naturalnie w porównaniu z radcą Jamborem z Żoliborza. Mieszkanie lekarza jest wypełnione spokojnymi meblami. Całość jest jednak dziwnie radosna, dużo przestrzeni, a na ścianach wiszą małe akwarelki. Michał odrobinę maluje. Są to miłe obrazki, jasne i pogodne w ujęciu tematu, a wesołe jak mój poczciwy grubas.

Natomiast gabinet lekarski jest doskonale wyposażony. Pacjentki wyczekują na swoją kolejkę w hallu, brak w mieszkaniu normalnej poczekalni lekarskiej. Za to drugi pokój doktorski jest wypełniony różnymi wartościowymi aparatami i urządzeniami, łącznie z rentgenem. Michał specjalizuje się w ginekologii i chorobach kobiecych. Jest asystentem w szpitalu, ponadto stale studiuje nowości zagraniczne. Lekarz z rodziny Jamborów nie potrafiłby tego. Zamiast dalszych studiów usiadłby w małym miasteczku i dokonywałby niezmiennie tylko dwóch rzeczy. Łupiłby skórę z pacjentów i niszczyłby miejscową konkurencję zawodową.

A tymczasem z Michałem można się pośmiać i popatrzeć, jak godzinę lub dwie kradnie zawodowi lekarskiemu i pochyla się nad swymi akwarelkami. Tylko portrety jakoś mu nie wychodzą. Mówi z uśmiechem, że wystarcza mu do szczęścia portret monachijskiej babki. Może ma rację. Niech zatem portret babki nie ma domowych konkurencji.

Znalazłam oparcie. Nie wiem, czy właściwie napisałam te słowa, ale wydaje mi się, że znalazłam moralne oparcie w Katowicach. Bo zdaję sobie sprawę z tego, że z Wąbrzeźna mogę liczyć tylko na pieniądze. Co najwyżej od czasu do czasu na ugadanie się z poczciwą Zośką. Światowe natomiast oparcie mam w Warszawie, na Żoliborzu. W stryju Marcinie i Florencji.

Sobota - 13 października

Już wkręciłam się w życie akademickie. W tym tygodniu nie opuściłam żadnego wykładu. Obejrzałam sobie wszystkich profesorów, przyjrzałam się moim kolegom obojga płci. Przysłuchiwałam się również owemu „sławnemu” Taylorowi. Nie zrobił na mnie specjalnego wrażenia. Ma wygląd profesora, szczupły, wysoki, dodaje sobie surowości i nic więcej. Wydaje mi się, że jak dotychczas nie wnosi nic nowego do pierwszych kartek w grubym tomie „Ekonomii” Karola Gide'a, którego zresztą jest tłumaczem na język polski. Przeglądałam to dzieło; opracowane jest bardzo przystępnie. Tylko tyle, że grube - i trzeba

będzie stracić trochę zdrowia, aby je dokładnie przetrwać. Ale to się zrobi. W ciągu tego tygodnia kupiłam wszystkie książki i podręczniki wymagane do egzaminów na pierwszym roku. Byłam w Kole Prawników i zamówiłam sobie komplet skryptów.

Porobiłam trochę przygodnych znajomości wśród tych, którzy mają za sobą pierwszy rok studiów. Poznałam dwie studentki, które przebrnęły już przez Taylora. Mają mi pożyczyć do odpisania wykaz pytań i odpowiedzi, które były aktualne podczas ostatnich egzaminów. Takie odpisanie to dla mnie fraszka. Wydaje mi się, że wśród mojego otoczenia nie ma w ogóle stenografów. Można by się urządzać nawet z wydawaniem skryptów. Na razie o tym jednak nie myślę, mam przed sobą inne, ważniejsze zadanie - nauczenie się angielskiego. Naturalnie będzie to dopiero początek znajomości tego języka. Ale sprawę trzeba będzie od samego początku postawić twardo wobec Anny Jambor i przymusić ją, żeby ruszyła z miejsca galopem.

Opowiadano o śmiesznym wypadku. Mieli kiedyś w banku telefon z Londynu. Było trudno, na szczęście pod ręką był woźny, który spędził trzy lata w niewoli angielskiej. Ten wszystko zrozumiał od razu i naturalnie po tej rozmowie powiedział swoim koleżankom z wydziału zagranicznego: - Takie to jest wasze szkolne uczenie się!

Zobaczmy zatem. Od poniedziałku zaczynamy.

W tym tygodniu byłam na ulicy Wyspiańskiego, to znaczy u Michalskich. Stary doktor bardzo mnie komplementował. Józinka nie było, natomiast Mela przywitała mnie ze zwieszonym nosem. Trudno, ja jej nigdy nie będę w stanie dogodzić. Bachory niegrzeczne i dokuczliwe, mimo że przyniosłam czekoladę i cukierki. Ładnie bym wyglądała z zamieszkaniem u nich! Doktor - zdaje się - jest zawojowany przez Melę. Domem i gospodarstwem rządzi stara służąca, Mela ma też do pomocy młodą dziewczynę do dzieci. Mieszkanie mają duże i obszerne - z rodzinną graciarnią meblową. Wszystko przeładowane meblami bez najmniejszego sensu. Naturalnie dwie takie studentki jak ja mogłyby się tam wygodnie pomieścić, ale dzięki Bogu!...

Dopiero dzisiaj podczas tych odwiedzin przyszło mi na myśl, że doktor Michalski ucharakteryzowany jest - na Sienkiewicza. Taka sama bródka, takie samo uczesanie i równie łagodne zamyślenie w oczach. Widocznie to się udziela, młodzież naśladuje gwiazdorów filmowych, a starsze pokolenie ludzi sławnych. A może po prostu to tylko jedna i ta sama moda obowiązująca w danej epoce?

Na drugi dzień, ledwo otwarłam oczy, a już zobaczyłam w drzwiach mojego pierwszego gościa w studenckim pokoiku: Melę! z prezentem w postaci doniczki z alpejskimi fiołkami. Mela wszystko obejrzała dokumentnie, łącznie ze śniadaniem, które przyniesiono mi o tej porze.

Asystowała podczas mojej toalety, trzepała bez przerwy, odprowadziła mnie aż pod drzwi sali wykładowej i umówiła się ze mną w południe u Dobskiego.

- Do widzenia - powiedziała - poszłabym z tobą na wykład, ale nie wytrzymałabym tak długo bez gadania.

Przynajmniej raz powiedziała prawdę o sobie.

U Dobskiego zaraz okazało się, czym wypełnia sobie czas nasza Meluńcia. Prawie wszyscy się jej kłaniali, ona zna chyba wszystkich ludzi w tym mieście, to znaczy tych, którzy wysiadują w kawiarniach. Naturalnie brylowała na kanapce w kąciku, skąd wszystko było widać. Jest u Dobskiego bardziej w domu niż przy ulicy Wyspiańskiego. Pod koniec naszego siedzenia - trwało to dobre dwie godziny - do lokalu wpadł zadyszany doktor Michalski i zabrał synową do domu. Zapłacił rachunek i kupił paczkę ciastek dla dzieci. Szkoda czasu na takie siedzenia w kawiarni. W dodatku myśli się płaczą, człowiek jest zmęczony i całe popołudnie było na nic.

Poniedziałek - wieczorem

Pierwsza lekcja angielskiego. Dwóch panów, trzy panie, z których jedna porządnie niemłoda. Tylko tyle, że dobrze, solidnie ubrana. Na co jej angielski? Jeden z panów wygląda na urzędnika bankowego, młody, lecz z obrączką na palcu. Drugi starszy, koło czterdziestki, tak zwana pałaca uroda męska. Wzrok i ruchy bardzo pewne siebie. Pozostałe kobieciątka takie sobie, obie moje partnerki - brunetki.

Pierwsza lekcja to jakby pierwsze próby. Nauczyciel. Nie umiem na razie wypowiedzieć o nim żadnego sądu. Nauczyłam się kilku słów. Zwraca uwagę przede wszystkim na wymowę. Ilustruje słowa ruchami ust, naturalnie mocno przesadzonymi. Ta cała angielska mowa dziwnie jest odmienna na przykład od niemieckiego. Mój niemiecki jednak znakomicie pomoże mi w uczeniu się angielskiego. Powiedział mi to nauczyciel. Mówił, że powinnam była zapisać się na inny kurs, angielskiego dla Niemców. W tym wypadku obowiązują inne pojęcia i nieco inny system. Nasza gramatyka podobno przeszkadza w uczeniu się angielskiego. Wytrwam jednak tutaj, skoro już zaczęłam.

Mój Anglik zainteresował się również moją niemiecką stenografią. Nie wierzył w to, że dobrze opanowałam obie stenografie. Kiwał głową i dopiero próba z niemieckim przekonała go do mojej stenografii. Prawie bezbłędnie zanotowałam pół strony szybkiego dyktanda niemieckiego i następnie z łatwością i równie szybko odczytałam to, co napisałam.

- To się może pani przydać - mówił nauczyciel - tutaj w Poznaniu porządna niemiecka stenotypistka to obecnie wielka rzadkość, można byłoby na tym dobrze zarobić.

Bardzo mi się to wszystko podoba. Dopiero obecnie widzę, że w Bydgoszczy byłabym zaśniedziała i do reszty zgłupiała, jak wszystkie moje znajome i koleżanki biurowe. Ale obecnie, Anno, trzeba się uczyć, uczyć i nie zbaczać z wytkniętej drogi. Mam podręczniki i skrypty, ładna kupka, ale spece z Koła Prawników zapewniali mnie, że nawet same skrypty wystarczają do złożenia egzaminów. Z lekka wyśmiewali się ze mnie, gdy opowiedziałam o nabyciu wszystkich zaleconych podręczników. Mówili, że to niepotrzebna strata czasu i zdrowia. Ale co tam - i tak mam wiele czasu, można zatem czytać. Coś zawsze w głowie zostanie i przylepi się do pamięci.

Sobota - po południu

Już upłynął drugi mój tydzień akademicki. To nie jest takie straszne. Gdyby systematycznie uczęszczać na wszystkie wykłady i równie systematycznie chociażby tylko czytać literaturę zaleconą, to bez trudu można by na egzaminach zbierać bardzo dobre stopnie.

Przyglądam się moim nowym kolegom. Mam już trochę znajomości, ale na razie wszystko jest zbyt powierzchowne i urywa się po wyjściu z uniwersytetu. Rozmowy w czasie przerw - bez specjalnej treści, przeważnie w kółko tylko o wykładach, profesorach i egzaminach.

Poświęcam raczej dużo uwagi angielskiemu. Zdaje się, że właśnie ja robię najszybsze postępy. Trudno jednak mówić o tym już po pierwszych trzech lekcjach. W domu ślęczę codziennie po kilka godzin nad podręcznikiem. Muszę opanować! A to się zadziwi Marcin, gdy usłyszy moje pierwsze zdania po angielsku. Wyuczę się czegoś bardzo dowcipnego.

Niedziela - wieczorem

Wylegiwałam się. Dużo czytałam. Gide'a przeczytałam prawie całego, i to dość uważnie. Według informacji moich dwóch studentek z drugiego roku - one tylko przeleciały ten podręcznik. Mnie to nie sprawiło przykrości, nabieram ochoty właśnie do ekonomii. Ciekawe zagadnienia, ukazują mi szerokie horyzonty, o których dotychczas nie miałam zielonego pojęcia. Ciekawsze od prawa, które jest martwe i obraca się tylko w ustalonych formułkach i paragrafach. Polubiłam tę książkę, Gide'a można czytać jak powieść. Interesuje mnie, nie ma strachu z tym Taylorem...

W tym tygodniu przeczytałam również „Panią Bovary”. Jakieś dziwne i niezdrowe problemy. Staralam się umieścić tę nieszczęśliwą panią Bovary na naszym Pomorzu. Ustaliłam, że taka pani i takie sprawy nie pasowałyby do naszych pojęć i do naszego życia codziennego. Nie mieszczą się w nim. Nawet nie ma dla nich miejsca w naszym życiu niedzielnym. Raczej od czasu do czasu przydarzy się jakaś tam „pani Julia Murska” w rodzinie kawalera z bogatym składem obuwia.

Piątkowa lekcja angielskiego przełożona na wtorek, prawie wszyscy znajomi wyjeżdżają z Poznania na święta zmarłych. Ja również wyjadę już we wtorek późnym wieczorem. Do Wąbrzeźna przybiję w środę, wczesnym rankiem. Jadę na Toruń, z przesiadką.

Obejrzałam dokładnie oleodruk nad kanapą. Nietrudno było zgadnąć, autor umiał malować tylko takie „wyspy zmarłych”. U doktora Michalskiego wisi w gabinecie dokładnie taka sama reprodukcja, również w ciężkich, złożonych ramach. Ponieważ siaduję przeważnie na kanapie, mało spoglądam na ten ponury obraz. Nie przeszkadza mi. Co do obrazów, to ciekawe. Na obrazy patrzę oczami Florencji, jej Żmurków i Kossaków. Stryj oprowadził mnie po parterze willi na Żoliborzu i miałam okazję obejrzenia obrazów w różnej cenie. Obrazy bardzo mi się podobają. Gdy będę miała własne pieniądze, zakupię kilka porządnych płócien. Ale takich, które nie przemijają. Lubię kwiaty i krajobrazy. Podoba mi się portret mojej prababki, który wisi w Katowicach. Właściwie to powinien być mój obraz. Babcia dostała go po swej matce, obraz winien być dziedziczony przez córki, przez Anny, a nie przez Michała. Ależ ja jestem zachłanna! Podobała mi się naprzód złożona kozetka ciotki Katarzyny, a obecnie obraz mojej prababki...

Tymczasem posiadam tylko dwa własne obrazki: pamiątkę pierwszej Komunii Św., którą Zośka zawiesiła mi nad łóżkiem w moim pokoju studenckim, oraz małą akwarelkę z potokiem górskim, którą wycyganiłam od Michała podczas mojej bytności w Katowicach. Pozwolił mi wybrać obrazek, który mi się spodoba, i wybrałam właśnie jeden z pierwszych, malowanych przez niego w Szwajcarii w okresie poślubnych wędrówek. Obrazek zawiesiłam obok komódki z umywalnią i mogę mu się przyglądać, leżąc w łóżku. Jest oprawiony w proste drewniane ramki, nawet nie pomalowane, jedynie wypolerowane. Brak złożonych ram skupia, ciężkie złocenia rozpraszają. Gdy sam obraz nie przedstawia wartości artystycznej, takie wyłożone ramy ośmieszają obraz, jakby palcem wskazując na jego mankamenty...

Wtorek - na uniwerku.

Piszę w przerwie pomiędzy wykładami. Nie warto wychodzić na godzinę. Na dworze leje deszcz. Od razu widać, że zbliżają się święta zmarłych. Śnieg chyba jednak nie spadnie, ponieważ jest ciepło. Szkoda, lubię śnieg, ale nie znoszę deszczu. Do Poznania wrócę dopiero piątego listopada rano, w poniedziałek. Wszystko jest śmieszne. Gospodyni skrzywiła się, gdy mówiłam o powrocie za kilka dni.

- Pani pewno jedzie do domu po pieniądze? - wyrwało się głupiej poznaniance. - A ja liczyłam...

- Nie - odrzekłam - jadę odwiedzić grób mojej matki. W zeszłym roku nie byłam w tym czasie w domu. Zaziębiłam się i musiałam przeleżeć kilka dni w łóżku... - Po chwili zorientowałam się jednak i dodałam:

- Pani chodzi zapewne o pieniądze za listopad? O, te mogłabym pani nawet dzisiaj wypłacić. - Po czym wstałam od stołu i po chwili wróciłam do przechodniego pokoju z pieniędzmi. Dwie setki. Było to wieczorem po kolacji. - A resztę może mi pani oddać, gdy wrócę ze świąt.

Moją wiedzmę zatkało, wszystkiego się spodziewała, tylko nie tego. Dostrzegłam, że to zrobiło na niej wrażenie.

Tego samego wieczoru wręczyłam naszej służącej 10 złotych. Pocałowała mnie w rękę i powiedziała:

- O, teraz to ja będę się o panienkę lepiej starała!

Ciekawa jestem, jak będzie wyglądało takie lepsze staranie naszego garnkotłuka. Kiedyś zastałam ją nad książką. Zajrzałam na stronę tytułową: „Trędowata”. Jak ona wówczas powiedziała? „Jaka hecowna historia, tylko taka smutna, aż się spłakałam...” Wystarczył jeden hrabia i już płakała!

Wydaje mi się, że ta podwyżka z 5 na 10 złotych - nie była potrzebna. Nie wiem, co powie na to moja sąsiadka. To jest przecież świadome psucie interesu. Ha, ha, ha!...

Wieczorem

Za dwie godziny mam pociąg. Nie chce mi się spać, mimo że przede mną perspektywa całej nocy w pociągu. Wykupiłam bilet drugiej klasy, na pewno będzie tłok.

Moja sąsiadka zostaje w Poznaniu. W banku, gdzie pracuje, ma tylko dwa dni wolnego. Nasz uniwersytet jest hojniejszy. Nic dziwnego, to ich nic nie kosztuje, a ponadto - nasze kochane belfry nie lubią się nadwerężyć. Zresztą nie wiem, czy ona ma gdzie wyjechać. Szkoda, że nie znam bliżej jej życia. W każdym razie odwiedza ją sporo gości, ponieważ czasami słychać przez drzwi różne głosy. Te nasze drzwi - to jednak niewygodna sprawa. Szafa, która je zasłania, to tylko szafa. Człowiek jakby nie był sam w pokoju. No, ale w dawnych czasach w Poznaniu nie wynajmowano pokoi od ulicy. W dawnych dobrych czasach, jak to podkreśla przy lada okazji moja gospodyni.

Ciekawa jestem, co nowego w domu. Wszyscy u nas w rodzinie są już na ogół urzędzeni. Krystynek za rok będzie inżynierem i zostanie na stałe u swoich Gardenów w Gdańsku. Na pewno wyszukają mu dobrą niemiecko-gdańską dziewczynę z grubą forszą i przypną go na amen do jakiegoś interesu, podobnie jak to uczynili z naszym stryjkiem Józefem.

Na dworcu w Toruniu

Źle trafiłam. Trzeba czekać przeszło trzy godziny na pociąg do rodzinnego miasteczka. Siedzę na dworcu i dumam nad szklanką herbaty i paczką pierników. Podły napój dworcowy, ale to już należy do podróżniczych przykrości. Szkoda, że to noc i w dodatku deszcz leje jak z cebra. W dzień można by obejrzeć miasto. Tak blisko mieszkałam tego Torunia i prawie nigdy nie byłam w tym mieście.

Zabrałam z sobą nowy bloczek i dlatego tak galopuję z pisaniem. Taki bloczek do stenografii to cudowna rzecz, nie potrzeba go nawet zbytnio ukrywać przed ludźmi. To bardzo wierny, choć niemy przyjaciel. Może dlatego wierny, że niemy? Można mu wszystko zawierzyć, bezpiecznie, bo i tak mało kto byłby w stanie to odcyfrować. Stop. Ktoś mnie zaczepia.

Już koniec z zaczepianiem. Odwaliłam gościa i mam spokój. Ileż głupstw nawygadywał ten facet! Wysłuchałam cierpliwie. Naprzód mieliśmy pojechać zabawić się do kabaretu, a później do niego, do domu. Ma taki pokój - co to można... Z początku milczałam, lecz gość przyjął to widać za dobrą monetę i zaczął być natarczywy. Złapał mnie nawet pod stołem za kolano. Próbowałam powiedzieć mu coś do słuchu, ale nic z tego nie wychodziło. W dodatku amator był już z lekka wstawiony. Widząc, że nie dam rady, groziłam mu początkowo, że zawołam kelnera. Na takie moje oświadczenie jegomość roześmiał się i rzekł mi prosto w twarz, nachylając się ku stołowi:

- Gadaj głupiemu, tu mnie wszyscy znają. Lepiej chodź ze mną od razu. Dlaczego się opierasz? Po co takie ceregiele? Ja jestem lepszy od innych, bo ja płacę dziewczętom.

Ścierpłam. W dodatku siedziałam niezręcznie, bo prawie w kącie, a napastnik przypierał mnie niemal do ściany. Zdecydowałam się jednak momentalnie. Powstałam, co widząc

nieznajomy odchylił się od stołu i zrobił mi trochę miejsca. Może był nawet przekonany, że godzę się na jego propozycję. Tymczasem ja podskoczyłam żywo przed siebie i pospiesznie przeszłam na drugi koniec poczekalni. Oprzytomniałam. Przy pobliskim stoliku siedziały dwie panie z młodą panienką w szkolnym mundurku. Stałam przed nimi bezradna i wyszeptalam, by nie zwrócić niczyjej uwagi:

- Proszę mi pomóc. Jakiś pijany mężczyzna zaczepił mnie.

A tymczasem pijak był tuż za moimi plecami i skory do zrobienia awantury.

- Co? Ja jestem, pijany?

Jedna z pań podniosła się z krzeselka i rzekła do mnie:

- Usiądź przy nas, moje dziecko. - A do typa powiedziała: - Czy to panu nie wstyd, panie Bączyk, zaczepiać młode dziewczęta na dworcu? Ja pana znam, pan ma sklep spożywczy na Bydgoskim Przedmieściu, pan ma żonę i dzieci. Tfu!

Napastnik rozplątał się. Nawet się nie spostrzegłam, a już go nie było. Usiadłam. Podano mi drugą herbatę. Kelner przyniósł do mojego stolika walizę, o której zapomniałam w zdenerwowaniu. Nowe znajome zaczęły gadać. Okazało się, że jadą również do Wąbrzeźna. Naturalnie znają bławatny skład Jamborów. A jakże, największy sklep w Wąbrzeźnie, kupują tam.

Potoczyły się opowiadania.

Odbiegło mnie pisanie. Nie mogę się skupić. Rozboliła głowa. Trzeba będzie jednak lepiej uzbroić się na spotkania z takimi drabami. Tak, aby wynosili się sami, bez potrzeby uciekania się pod skrzydła nieznajomych pań. A gdyby nie było tych pań pod ręką? Chyba wynikłaby z tego jakaś grubsza awantura, być może nawet z policją. Głupia historia. Ale mój dowód akademicki? W każdym razie nieprzyjemności w publicznym miejscu.

W domu nie opowiem o przygodzie. Ale to niemożliwe, ponieważ nowe znajome na pewno przyłecą do ojca i pochwalą się, że obroniły mu córkę przed napaścią pijaka.

Środa - wieczorem

Paniusie naturalnie zaraz rano przyleciały do sklepu i od razu był gotowy temat do rozmowy podczas obiadu. Tuchołka się wygłupił i powiedział:

- Ho, ho, naszą Anulkę już zaczynają zaczepiać mężczyźni? Co to będzie dopiero tam w Poznaniu. Widocznie dziewczynka podoba się...

I kto wziął mnie w obronę? Naturalnie nie Pelasia, bo ona boi się swego głuptaka. Zosi nie było pod ręką, a ja jakoś nie umiałam natychmiast zareagować na docinki. Mój Krystynek, świeżo przybyły z Gdańska, powiedział mu prosto z mostu:

- Odczep się, Piotrusiu, od naszej Anny i patrz lepiej, aby ci, się nie przytrafiła jaka przygoda w twoich knajpach.

O mało co nie zrobiła się o to awantura. Ale nasz Krystynek wysportowany, a Tuchołka zgniły mydłek. Kupiec Jambor załagodził jednak sprawę, mówiąc:

- Nie róbcie, dzieci, głupstw!

I na tym się skończyło..

Krystynek postąpił bardzo porządnie. Nie spodziewałam się tego po nim. Przywiózł mi nawet prezent, jak mówił, ze swojej praktyki wakacyjnej w Magdeburgu. Nigdy w życiu nie widziałam takiego małego cacka. Elektryczna maszynka do suszenia włosów. Przyda się! Krystynek w dodatku powiedział:

- Tylko sobie nie obcinaj włosów, na to zawsze będzie czas. Młode dziewczęta powinny nosić warkocze. Ani mi się waż obciąć włosy, patrz, jak wygląda Pelasia: ostrzyżony pudel i jeszcze myśli, że jej z tym dobrze.

Zaraz po obiedzie zaciągnął mnie do kąta i wypytywał się o Poznań, jak się urządziłam i czy to, co mi przysyła, ojciec, wystarcza. Interesował się szczegółowo moim codziennym życiem. Bardzo miły. Na koniec uśmiechnął się do mnie życzliwie i szepnął:

- Trzymaj się, dziewczyno z mokrą głową! Teraz masz elektryczną suszkę do włosów, to jakoś sobie poradzisz. Za półtora roku będę inżynierem. Mam już przyrzeczoną dobrą posadę, gdyby zaszła potrzeba, licz na mnie. Pomogę, a ty, Anno, musisz skończyć uniwersytet. Szkoda, że w Poznaniu, bo to na razie nowy uniwersytet, bez tradycji. Lepiej wyglądałby Kraków, ale tam byłyby trudniejsze warunki życiowe... zbyt daleko od naszej rodzinnej bazy operacyjnej, od Wąbrzeźna.

Brat mówi stale po niemiecku, wszyscy mu odpowiadają w tym samym języku. Nie bardzo mi się to podoba. W każdym razie wszystko bym mu darowała, bo na moje pierwsze opowiadanie o przygodzie na dworcu w Toruniu Krystynek powiedział porywczo:

- Chcecie? Toruń niedaleko. Pojadę i dam parę razy po mordzie temu Bączykowi. Odszukać łatwo.

Jutro mają przyjechać nasi krewni z Brodnicy. Stryj Paweł z dziećmi. Własnym samochodem. Będzie wesoło, pomimo smutnych świąt.

2 listopada - wieczorem

Nie ma czasu do pisania. Zbyt wiele gości i hałasu. Do Poznania wrócę dopiero w środę późnym wieczorem. Przepadnie mi angielski. Może jakoś nadrobię.

Poznań - sobota

Już prawie zapomniałam o domu. W Poznaniu miałam dużo gonienia za różnymi sprawunkami. Ojciec dał mi do załatwienia interesy handlowe, wyręczyłam Zośkę. W jednym miejscu wpłaciłam gotówkę, a w hurtowni złożyłam zamówienie, obejrzałam próbki i wręczyłam weksle z podpisem ojca. Kołdrę będę miała w przyszłą sobotę. Na razie tylko jedną, drugą trochę później, bo mają dużo zamówień i wszystko na gwałt. Myślałam, że będę marzła pod pledem, ale w pracowni na poczekaniu wyjęli połowę pierza, przy mnie zważyli, a resztę oddali mi w pierzynie, po zaszcyciu otworu. W ten sposób mogę obecnie przykrywać się resztkami pierzyny do czasu wykonania mojej pierwszej kołdry. Przyznaję, że sama nie byłabym wpadła na taką kombinację.

Zośka sprokurowała mi porządne materiały na kołdry. Adamaszek. Jedna strona liliowa gładka, druga matowa słonecznikowa w delikatne wzory kwiatowe. Zośka pomyślała o wszystkim, nawet o wspaniach na poduszeczki do kołder. Firanki pierwsza klasa. O zasłony nie trzeba było się dopraszać, gdyż wszystko było przygotowane i uszyte. Powłoczki na kołdry dwojaki: po dwie pary mocnych na co dzień i po dwie pary od święta z nansuku i z koronkami. Nawet Pelasia zrujnowała się i podarowała mi dwa haftowane jaśki ze swojej wyprawy.

Maszynkę do suszenia włosów już wypróbowałam, działa znakomicie. Tylko jedna gospodyni powiedziała: - Pewnie pożera dużo prądu. - Ale to tylko z zazdrości, bo Krystynek mówi, że najwyżej tyle, ile spalają trzy zwykłe żarówki. Można wytrzymać, przecież głowy nie suszy się codziennie. Głupie gadanie. Ona z pożeraniem prądu, a ja nie umiałam wyrzucić jej tego, że nie było mnie w domu cały tydzień. Jakoś jestem zbyt delikatna, trzeba się tego oduczyć, gdy się przebywa w takim towarzystwie. Ale jak mnie wyprowadzi z równowagi, to jej chłodno przypomnę.

Podczas mojej nieobecności ktoś grzebał w pokoju. Trzeba będzie zamykać szafę na klucz, to samo z walizkami. Ale kto to mógł zrobić? Gospodyni czy służąca? A może domowy dryblas? Lepiej zamykać. Może nawet dam dorobić klucz do pokoju i będę zamykać na czas mojej nieobecności. Drugi wręcz służącej i każe jej również zamykać pokój.

Z angielskim w porządku. Kilka osób było również na świętach poza Poznaniem i nauczyciel przyłączył nas do innej grupy. Nic nie straciliśmy. Kupiłam sobie gruby podręcznik języka angielskiego dla Niemców. Polecił mój nauczyciel. Sto zeszytów, bite, duże strony, bardzo szczegółowo. Podzielę sobie na dwieście dni, mam zajęcia na cały rok. I do roboty!

Krystynek bardzo chwalił moje zamiary co do angielskiego. On włada angielskim i francuskim równie dobrze jak niemieckim; angielski jest u Gardenów językiem domowym, podobnie jak u nas w Wąbrzeźnie - niemiecki. Prawda, że łądaczy się ze studentami w tym swoim niemieckim Gdańsku, ale równocześnie uczy się solidnie. Ja miałam w pamięci naszego Krystynka z czasów pierwszego roku Hochschule, ale dzisiejszy Krystynek to zgoła ktoś inny. Widocznie służy mu pobyt na łonie Gardenów. To podobno bardzo bogaci kupcy drzewni, mają stosunki w Anglii, tam również pojedzie Krystynek, ale dopiero po dyplomie. Ma murowany rok praktyki angielskiej, to podobno wyrabia dobrą markę. Gardenowie, język angielski - nic dziwnego, że Krystynkowi tak łatwo to przyszło. W ten sposób nietrudno, gorzej, gdy się zaczyna ze stu zeszytami!

Omyliłam się co do mojego brata. Nie trzeba zatem wydawać zbyt pośpiesznych sądów. Warto naprzód każdą sprawę spokojnie przemyśleć, a dopiero później wysnuwać wnioski!

Dzisiaj rano odebrałam dużą pakę z Brodnicy. Pewnie ze dwadzieścia kilo. Jabłka, gruszki, wszystko poowijane w bibułki. Owoce zimowe, na leżenie. Miód. Dobre dwa kilo kiełbasy i trzy olbrzymie półgęski. Jako nadawca figurowała Herta Jamborówna, Brodnica. Zwróciłam uwagę na to: Jamborówna, a nie Jambor. Ja zawsze piszę: Anna Jambor, z cudzoziemska nie odmieniam mojego nazwiska. Może to wpływ kandydata na przyszłego męża Herty? Całkiem dobrze wyglądający młody człowiek. Poważny i skupiony. Pomimo że Pomorzanie, słabo mówi po niemiecku. I znów się omyliłam, wyobrażając sobie, że nasza brodnicka rodzina jest mocno zniemczona. Stryj Paweł mówi, że większość interesów zbożowych robi obecnie w dawnej Kongresówce. Bardzo mu się tam podoba i ma zamiar nabyć w tamtych stronach większy majątek ziemski w jednym kawałku, po sprzedaniu starych kilku folwarczków na Pomorzu. Nosi się z zamiarem otworzenia drugiego interesu zbożowego - w Działdowie, to jest prawie tuż nad dawną granicą niemiecką. Nie rozumiem się na interesach zbożowych.

Swoją drogą Herta jest bardzo miła, bardzo samodzielna, ale jednak gęś - domowa gęś, znająca się jedynie na gospodarstwie wiejskim i na zbożu. Nic więcej! Natomiast nasz Maksio to już nie żaden Maks, tylko polski Maksymilian. W długich butach oficerskich, jasne bryczesy i angielska kurtka w delikatną, dyskretną kratę. Nawet nie wiedziałam, że odsłużył polskie wojsko i w przyszłym roku po ćwiczeniach ma zostać oficerem rezerwowym przy ułanach.

Tyle nowości, tyle zmian rodzinnych! Nawet połowy tego nie byłabym się dowiedziała, tkwiąc w dalszym ciągu na posadzie maszynistki w Bydgoszczy. Wówczas prawie nie zwracano na mnie uwagi, obecnie wysuwają mnie na pierwszy plan: studentka.

Jutro przypadają imieniny stryja Marcina - zawczasu wysztyftowałam eleganckie życzenia. Staralam się napisać dowcipnie, przecież stryjowi, a nie komu innemu zawdzięczam mój uniwersytet. W końcu miesiąca przypadają imieniny Florencji, mam zamiar zrobić jej prezent. To moja dobra wróżka z bajki.

A może przenieść się na drugi rok do Warszawy? Florencja. Może mały pokoik z balkonikiem u stryja? Jakże ja jestem jeszcze głupia! Mnie byłoby wygodnie, lecz im? Na pewno każde z nich ma jakieś własne życie. Willa stryja otoczona jest tajemnicą, której może nigdy nie przeniknę. Florencja również chyba nie żyje w odosobnieniu klasztornym, ma swoje własne cele życiowe. Nie wiem, raczej domyślałam się wielu rzeczy. Życie ich obojga to może jakaś nie napisana powieść w rodzaju Balzaka. W dodatku na Warszawę ja jestem jeszcze za głupia. Za cztery lata, gdy się z grubsza oszlifuję w Poznaniu. Bydgoskie lata były

całkowicie stracone dla mnie. Chociaż... Ale czasami właśnie taka freblówka pomaga, tym bardziej cenię sobie obecną odmianę losu. Cierpliwości, Anno!

Moje poznańskie życie ułożyło się. Czuję się już całkowicie zadomowiona w moim kawalerskim pokoju i na uniwersytecie. Niewiele było potrzeba i wkręciłam się w tryb usystematyzowanego życia. Prowadzę dziennik moich studiów. Każdy przedmiot ma osobny brulion. Robię wyciągi i krok za krokiem odwalam to wszystko, co mi będzie potrzebne przy egzaminach. Nie notuję wykładów, lecz codziennie przerabiam z podręczników to, co słyszę na wykładach. Moi znajomi śmieją się z takiej pilności i mówią, że to zbędne. Zobaczymy z końcem roku. O moim systemie rozmawiałam z Krystynem, zdziwił się, lecz przyznał, że tylko takie studiowanie może czegoś nauczyć na trwałe i na dłużej. Był zdziwiony, że wpadłam na taki pomysł samodzielnie i już w pierwszym miesiącu studiów. Ale on nie wie tego, mój uniwersytet przeżywałam od pierwszego dnia stworzenia mi przez życie tej szansy na jawie i we śnie! Wszystko sobie zawczasu uplanowałam, w najmniejszych szczegółach.

To bardzo przyjemnie, gdy się ma w oknie firanki oraz zasłonę. Gospodyni patrzy na moje gospodarstwo mocno zdziwiona. Nasza służąca powiedziała mi po zawieszeniu firanek: - Poprzednia panienska z banku była bardzo nieporządna, wszystko rozrzuciła i w pokoju nigdy nie było porządku. Ale ona pochodziła z „jakiejś Galecji czy jak jeich tam.”

Mam wszystko, co mi potrzeba, i prosto zdążam do wytkniętego celu: pierwsza kobieta z dyplomem w naszej rodzinie! Następne kobiety już tylko będą mnie naśladowały. Ja im otwieram okno na świat. W dodatku solidne, kupieckie okno z porządnymi firankami!

Niedziela - wieczorem

Do stryja napisałam już w czwartek list, trochę rozrzewniający i pisząc różne podziękowania, prawie się rozplakałam. Nie poznaję siebie. Przecież nawet ciotka Katarzyna wymawiała mi zawsze oschłość i brak uczucia. Ale stryj jest człowiekiem, mądrym i na pewno mnie zrozumie. Gdyby było można, chętnie wycofałabym ten mój sentymentalny czy romantyczny list i napisałabym inny. Ale może właśnie tak jest dobrze?

Dzisiejszą niedzielę spędziłam pod znakiem listów. Napisałam całe mnóstwo, do Michałostwa osobno, do babci i do Florencji w odpowiedzi na ostatni list. Wysłałam również obszerny list do pułkownikowej Wirewiczowej. Opisałam moje urządzenie się w Poznaniu, wszystko dokładnie, tak mi doradzała Florencja. Może się przydać taka znajomość. Pułkownikowa serdecznie zaprasza do siebie i jak napisała w liście Florencja, podobno powiedziała do niej:

- Anna, gdy przyjedzie do Warszawy, to niech prosto z dworca wali do mnie, u nas jest cała willa, mnóstwo pokoi, a Marcin dobry chłop, ale nie wyznaje się na tym, czego potrzeba młodym dziewczętom.

18 listopada - niedziela

Czas leci. Nie mogę uzalać się na nowości. Moje studia bez zmian. Praca zajmuje mi tyle czasu, że straciłam ochotę do notowania wydarzeń. Zbyt ich wiele.

Dzisiaj w południe przed obiadem odwiedził, mnie stary Michalski. Przyszedł złożyć mi niby wizytę, ale cały czas uskarżał się na stosunki domowe. Synowa nie jest za bardzo - tak powiedział - a syn jakoś nie umie czy nie chce urządzić się poważniej. Ze słów starego lekarza przebijało: takie ja mam życie na starość!

Cioteczna siostra jakoś nie pokazuje się u mnie, a ja starannie omijam kawiarnię Dobskiego. Na co mi w ogóle kawiarnia? Mam inne zajęcia.

25 listopada - niedziela

Już prawie dwa miesiące mieszkam w tym domu. Gospodyni przyzwyczaiła się do mnie. Chyba nie sprawiam jej żadnych kłopotów? Mam kilka koleżanek. O przyjaźni na razie

trudno mówić. W tym tygodniu urządziłam u siebie małe zebranko, było nas pięć i nicowaliśmy na wylot i bez litości naszych znajomych. Jak wynika z opowiadań, tylko ja jedna urządziłam się spokojnie i tylko ja zdołałam wytworzyć sobie własny styl życia studentki, która myśli tylko o dyplomie. Moje koleżanki inaczej podchodzą do życia. W ich opowiadaniach przebija stale tylko jedna i ta sama nuta: chłopcy. Dalszy ciąg tego, co już znam z bydgoskiego biura. Wyciąganie z torebki fotek i opowiadania o tym, gdzie, kto, kiedy i w jaki sposób. Nudne. Głupie kobieciątka, a nie poważne studentki uniwersytetu. Gdybyż przynajmniej wchodziły w grę jakieś miłości. Tylko spacer, wspólne kina, uściski i pocałunki. W dodatku o tym wszystkim opowiadają bez najmniejszego skrępowania i w taki sposób, jak inni mówią o pogodzie. Czy one nie mają wstydu, czy chociażby tylko odrobiny dowcipu? Mnie jednak na Pomorzu wychowano w poczuciu osobistej wstydlivosti.

Wtorek - 27 listopada

Wczoraj coś mnie piknęło i wstąpiłam do kwieciarni, żeby się dowiedzieć, czy istnieje możliwość przesłania kwiatów do Warszawy. To dla nich codzienne sprawy. Kwiaty można przesłać nawet telegraficznie. Naturalnie nie w postaci przywiązania ich do drutów. Okazuje się, że wielkie kwieciarnie posiadają swoich stałych korespondentów w innych miastach. Wystarczy, gdy kwieciarnia wyśle do swego korespondenta telegram z odpowiednim szyfrem, a w ciągu kilku godzin można liczyć na doręczenie kwiatów, obojętne gdzie, w Paryżu czy Londynie. Nawet takie możliwości istnieją w naszym Poznaniu!

Byłam oszołomiona. Nie umiałam jednak zdecydować się na wybór odpowiednich kwiatów i dopiero w sklepie doradzono mi, po wysłuchaniu, dla kogo są przeznaczone te kwiaty. Wybrałam azalię w pięknym i najmodniejszym obecnie kolorze łososiowym. Pokazano mi taką, prawie drzewko, bardzo ładnie wyglądała. Wydatek był poważny, jak na moją studencką kieszeń, byle się tylko o tym nie dowiedział nasz ojciec. Wszystko razem 80 złotych, z tym, że azalię doręczą o godzinie wpół do siódmej rano w dniu imienin. Jeszcze przed biurem. A może Florencja tego dnia nie pójdzie do biura? Ale w każdym razie moje kwiaty będą pierwszymi kwiatami w tym dniu. Do kwiatów mają dołączyć mały bilecik: od Anny z Poznania. Nie sądzę, aby Florencja miała jakąś drugą Annę w tym mieście. Stało się - załatwiłam.

Chyba stryj Marcin nie weźmie mi tego za złe? Pragnęłabym, aby to była jego Florencja. Jej również życzyłabym Marcina. Ale cóż, nie można się mieszać między nich oboje, trzeba cierpliwie czekać, co im przyszłość przyniesie w darze.

Imieniny mam załatwione. Jestem zadowolona.

Czwartek - 29 listopada

Wczoraj późnym wieczorem otrzymałam dwa telegramy: Dziękuję kochanemu dzieciakowi w studenckiej czapeczce i całuję - Florencja.

Bardzo dobrze, Anno, dziękuję ci, dużo pozdrowień - Marcin.

Bardzo dobrze. Jakoś pewniej zaczynam stawiać kroki w moim życiu. Telegramy zrobiły mi przyjemność. Na pewno ich treść nie dotrze do Wąbrzeźna. Tego nie mam potrzeby obawiać się, ludzie z tamtego świata są dyskretni.

Nic nowego poza tym. Zimno. Moja kołdra przydaje się. W piecu palą nieszczególnie. Muszę pomówić ze służącą. Dałam jej ponownie dziesięć złotych. Mam już obie kołdry. Mogłabym ugościć nawet Florencję. Bez wstydu. Dałabym jej naturalnie powłóczkę od święta, jacy śmieszni są ci kupcy! Kołdra na codzien i kołdra na święto.

Wieczorem

Nawet nie myślałam, że do mnie zawita taki gość. Gość jak gość, co prawda tylko moja koleżanka z uniwersytetu, ale jakie opowiadania! Dziwna mania zwierzania się nieznanym

bliżej koleżance. Tylko tyle, że bardzo często siadamy obok siebie na ławkach. Nic więcej. A tu od razu odwiedziny i zwierzenia. Słuchałam bez żadnych uwag. Ja chyba w całym życiu nie przeżyję tylu i takich przygód. Usłyszałam opowieść o kilku latach życia niezdecydowanej dziewczyny, która dotychczas nie wie, czego sama chce od życia.

Koleżanka ma już 24 lata. Ojciec, wdowiec, posiada na Śląsku dobrze prosperującą aptekę. Wychowała się w Krakowie u sióstr urszulanek. Maturę zdała jak w zegarku, punktualnie, celująco i z odznaczeniem. Była już dwa lata na medycynie, lecz nie składała egzaminów i skończyło się na słomianym ogniu. Obecnie namówili ją i zapisała się w Poznaniu na prawo. Medycynę gwałciła w Krakowie - jej własne oryginalne powiedzenie - na prawo przyjechała do Poznania, bo tak jej doradzono. Ojciec dostarcza jej po trzysta złotych miesięcznie i osobno kupuje stroje (!), czym dyryguje siostra matki. Nie wiem dlaczego, ale przyszła mi na myśl studentka ze „Strasznego dziadunia” Rodziewiczówny. Nie mam specjalnego sentymentu dla tego typu łzawliwych powieści, ale owa petersburska studentka jakoś dziwnie podobna jest do mojej koleżanki.

Czego tam nie było w tym opowiadaniu. Po kilku godzinach opowiadanie skończyło się, po koleżance pozostały jedynie kłęby dymu i stos ogryzków papierosowych na spodeczku. Można mówić o przejedzeniu się i przepiciu. Ale obok tego są w naszym życiu sprawy, co do których należy przecież zachować jakiś umiar czy też wstydlivość, która już z natury swojej winna być niepodzielna. Pod koniec opowiadania czułam jakieś nudności, podobne do tych, jakie budzą się w nas na widok wymiotującego pijaka.

Znajoma po raz wtóry czy któryś tam z rzędu przeżywała przede mną swoje przygody erotyczne. W jakim celu? Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Nie wyobrażam sobie małżeństwa tej koleżanki. Czyżby były możliwe podobne wynurzenia wobec przyszłego męża? Nie wiem, sądzę, że raczej nie. Muszę jednak przyznać, że podnieciły mnie znacznie silniej niż „Dekameron” czytany w swoim czasie ukradkiem w początkach mojej kariery maszynistki.

Po wyjściu studentki bardzo chętnie byłabym stanęła pod zimnym prysznicem, aby ochłodzić moje rozpalone ciało. To jednak działa. Niepotrzebne dla mnie podniecenie nerwowe.

Zamiast zimnego strumienia wody otwierałam szeroko okno i oczyszczałam pokój z dymu, którego nie znoszę. Stałam nawet chwilę przy oknie, zimno robiło mi w tej chwili przyjemność. Na szczęście zbliżył się właśnie czas naszej domowej kolacji. Spędziłam prawie godzinę wśród normalnych ludzi i jakoś przeszło, rozmawialiśmy o rzeczach obojętnych, wrażenie zatarło się. Stracony dzień w mym życiu.

Poniedziałek - 3 grudnia

Dzisiaj rano wpadła do mnie Mela, robiła wrażenie nieprzytomnej. Spóźniłam się przez nią na wykład. Naprzód wybuchnęła najgorszymi wyzwiskami na męża, później zaczęła uskarżać się na nieszczęśliwy los kobiet, a w końcu rozbeczała się jak małe dziecko. Musiałam przeżyć wszystkie trzy akty. Usłyszałam nawet gdzieś w połowie przedstawienia, że nie posiadam serca. Nie przeszkodziło to jednak Melci pochłonąć niemal w całości mojego śniadania, szczęściem przypomniałam sobie o resztkach brodnickiej kiełbasy i jakoś moja Melcia, jedząc, uspokoiła swoje rozpacz rozczarowanej czy zawiedzionej mężatki.

Okazuje się, że Józinek nie umie pojąć dążeń „nowoczesnej” kobiety i zachowuje się tak, jak gdyby żyli gdzieś w średniowieczu! Wszystkiego jej żałuje, nie pozwala wychodzić z domu i wkrótce zabroni rozmawiać z ludźmi. Tyran. Egoista i zazdrośnik. A sam może... Przecież niedawno złapała go. I to z kim? Ze służącą. Żeby to jeszcze z własną służącą, ale z tą z trzeciego piętra, od inżynierostwa. Co ludzie powiedzą? Nie ma najmniejszego wstydu. A ona, jego ślubna żona, to najbardziej nieszczęśliwa i upokorzona istota pod słońcem.

Skończyło się na tym, że Mela pożyczyła ode mnie chusteczkę do nosa i dwa złote na Dobskiego.

Czasami kobietom wydaje się, że nastroje można zmieniać pod prysznicami zimnej czy ciepłej wody w łazience. Moja nowa koleżanka natomiast przeżywa zmiany w inny sposób. U mnie to przeszło jeszcze inaczej. Zdaję sobie sprawę, że tego dokonał w swoim czasie wypadek bydgoski. Przeżyłam pewnego rodzaju wstrząs, który był głębszy i bardziej dotkliwy od pospolitych wstrząsów przeżywanych przez młode dziewczęta gdzieś na kawalerskich budach. Czasami bywa to niespodziewane, przeważnie jednak są to następstwa czynów z góry przewidzianych, przemyślanych i przygotowanych przez obie strony. Proste i naturalne pogodzenie się dziewcząt z faktami wobec zaistnienia dogodnych czy przypadkowych okoliczności. Nawet jakiś gwałt czy przymus zdarzają się w warunkach mniej tragicznych od mojego wypadku. Może przemoc, ale w każdym razie nie wykorzystanie stanu pijanego.

Muszę zapytać moją koleżankę, w jakich okolicznościach utraciła dziewictwo. Lubię analizować życie w szczegółach. Dociekanie przyczyn w dużym stopniu uzbraja do walki z powszedniością życia codziennego. Wstrzymuje od popełniania wielkiej ilości drobnych głupstw, które najbardziej ciężą na człowieku i tym samym utrudniają mu osiągnięcie wyższych czy dalszych celów. Wyczytałam gdzieś powiedzenie, że błoto jest gorsze od krwi, krew bowiem oczyszcza duszę ludzką, błoto natomiast przylega do człowieka. Życie w błocie hańbi, krew zmywa plamy na honorze.

Dziwne pomieszanie pojęć! Okazuje się, że życie nie jest sprawą łatwą. Obowiązki człowieka w tym życiu są cięższe i bardziej dotkliwe niż przyjemność czy nawet użyteczność praw. A może życie takiej studentki finansowanej przez aptekę jest lepsze i mądrzejsze, gdyż wygodniejsze? Ale to chyba głupstwo. Na razie, póki zdrowie i młodość, a co potem? No tak, ale możliwość skrócenia tego życia ludzkiego leży w rękach każdego z nas. A zatem problem męstwa Kleopatry w obliczu takiego czy innego wroga.

Sobota - późnym wieczorem

Już mam odpowiedź na moje wątpliwości. Odwiedziłam ową znajomą studentkę. Zapowiedziałam wizytę, podjęła mnie czarną kawą i ciasteczkami domowej roboty, przysłanymi przez ciotkę ze Śląska. Siedziałam i zmarnowałam całe sobotnie popołudnie. Wyniosłam się dopiero koło ósmej, gdy do studentki przyszło dwóch studentów. Wyjście uskuteczniłam tak szybko, że nie usiłowano mnie zatrzymać. Tłumaczyłam się kolacją u siebie w domu i jeszcze czymś, zdaje się umówionym spotkaniem. Koleżanka została w mieszkaniu sama ze znajomymi, którzy wydawali się mocno zadomowieni.

Opowiadanie - bardzo zwięzłe. Studentka zdała maturę w krakowskim internacie sióstr zakonnych. Nie uważałam u jakich, ale to i tak wszystko jedno, różnice leżą jedynie w konkurencyjności opłat.

Dziewczęta były trzymane bardzo krótko, w dormitoriach paliły się nieustannie jakieś lampki, po korytarzach i przy drzwiach otwartych snuły się w nocy siostry dyżurne. A jednak do klasztornej szkoły przekradały się pisma nieprzyzwoite i także same fotografie, a co najważniejsze - opowiadania z okresów pobytu wychowanek poza murami internatu. Przynajmniej połowa dziewcząt uprawiała samogwałt, Same uściski pomiędzy dziewczętami to był nic nie znaczący drobiazg. W ostatniej klasie przed maturą było kilka dziewcząt już z „głębszymi” wspomnieniami wakacyjnymi. A nad wszystkim panował nieprzenikniony płaszcz urzędowej wstydlivosti i marka wzorowej szkoły. Fałsz pobożności, a tuż obok rwący nurt ukrywanego zaspokajania żądz cielesnych.

Moja koleżanka? Taka jak inne. Niewątpliwie większość dziewcząt była wychowywana normalniej, poza występkiem bezwstydlivosti. Normalne roślinki dobrze umocowane do ogrodniczego drążka zakonnego ogródka. Rączki złożone do przyuczonej bigoterii, pruderia

na pokaz, buzie w cnotliwie niewinny ciup oraz grzeczne dygi przed siostrą przełożoną. Powtarzam własne słowa wychowanki, oszczędzając sobie jedynie złośliwego cynizmu w intonacjach znajomej studentki.

Internatowe zatem jabłuszka były pomalowane niebiańskimi kolorkami, na drugie śniadanie i po obiedzie, posłuszna niewinność dodatkowo nagradzana deserami i pomarańczami. A tymczasem... Powstrzymam się od detalicznego opowiadania, jak praktycznie wyglądały akcesoria freblówki życia płciowego. Wystarczy, że to jeden raz słyszałam z ust studentki, która zdała internatową maturę na plus celująco.

Raczej problem pierwszego chłopca. O tego nie było trudno. Gdzieś na początku letnich wakacji, w domu, w rodzinnym miasteczku, rok przed tą celującą maturą. Przygotowanie do tego pierwszego aktu, z góry opracowane (?) i w pełni uświadomione. Coś w rodzaju praktycznego zastosowania tego, czego się już wysłuchało i wyuczyło na próbach w internacie. Wyuzdanie w uświadomieniu. Zimne zapobieganie skutkom. Zimne dopilnowanie takiego zabezpieczenia. Zimne uniknięcie ewentualnych skutków przez odtrącenie chłopaka w momencie jego - wzburzenia.

Właściwie już koniec. Wakacje zostały dobrze spędzone. Oprócz chłopca do codziennych ćwiczeń była dodatkowo niedzielna przygoda z jakimś „panem” w katowickim hotelu. Również szczęśliwa, bez skutków, bo na zimno zabezpieczona. Naturalnie bez gwałtu i bez zbytnich namów. Poznanie na ulicy, po godzinnej znajomości od razu hotel. Później spokojny powrót do domu, do swojego chłopca na co dzień, a po skończonych wakacjach - jeszcze jeden rok wspólnych dormitoriów i wspólnych zwierzeń. Wymiana doświadczeń życiowych, zdobywanie wiedzy - o nowych sposobach, potrzebnych dziewczętom i kobietom w ich nieszczęśliwym życiu; to ostatnie już według określenia naszej Meli.

A zatem to tylko tak? Gdyby nie powaga problemu, można by powiedzieć: modliły się pod figurą, a miały stu diabłów za skórą. Ale ostatecznie co mnie do tego? Każda dziewczyna traci kiedyś w życiu dziewictwo. Na końcu tej drogi jest naturalnie dziecko, dla stworzenia którego wszystko to się dzieje, a po drodze - to, za czym na ogół wszyscy gonią, to znaczy przyjemności. Na razie mogę mówić o tym jak ślepy o kolorach. Nie przeżywałam tego i wnioskuje jedynie z opowiadań koleżanek. Cóż ja mogłabym powiedzieć? Coś chyba ze snów niepokojących, omdleń czy napływania krwi do skroni lub serca w razie wzruszenia. Gdy mnie ktoś pocałuje czy uściśnie. Gdy zdarzało mi się spać w jednym łóżku z jakąś krewną - również dziewczyną. Tuliłyśmy się do siebie, było nam dobrze, może nawet całowałyśmy się. Ale to nic nie dawało, a później nogi były ołowiane i bolała głowa.

Piątek - 7 grudnia

Na dworze zimno. Siedzę w domu i czytam. Nigdzie się nie wybieram, przedpołudnie mam wolne, dopiero wieczorem jedna godzina wykładów i angielski. Jutro święto, w dodatku jutro będę miała urozaicenie. Nasza służąca powiedziała mi dzisiaj przy śniadaniu tajemniczo:

- Nasza pani z banku ma w niedzielę imieniny. Pewnie zaprosi panienkę już dzisiaj, ona zawsze urządza imieniny w sobotę, wygodniej, goście wyśpią się w niedzielę.

Muszę pamiętać zatem, kupię kwiaty, my przecież prawie się nie znamy.

Niedziela - 16 grudnia

Rzeczywiście sąsiadka zaprosiła. Przyjęcie było pierwszorzędne. Jedzenie wyborowe. Wszystko podano w pokoju sąsiadki, na stojąco. Było dużo wódek, likierów i win. Od godziny piątej po południu do godziny prawie drugiej w nocy przewinęło się ze trzydzieści osób, nie licząc domowych, gospodarzy i mnie. Przeważnie bankowe towarzystwo. Dużo młodzieży, zaledwie kilku starszych panów. Pani Leokadia była bardzo rozkoszna i gościnna. Na przyjęcie wydała chyba całą pensję. Ciekawa jestem, ile ona zarabia - chyba z pięćset

złoty, wnioskując z jej trybu życia. Niczego sobie nie żałuje. Ma widocznie krewnych na wsi, gdyż było mnóstwo wiejskiego jedzenia, drób na zimno w galarecie, ryby, dziczyzna, ptactwo.

Gospodarze wynieśli się koło dziesiątej, oni zawsze regularnie o tej godzinie zamykają się w swojej sypialni. Ja dotrwałam prawie do pierwszej, później kleiły mi się oczy i wysmyknęłam się z pokoju po angielsku. Kilka osób jeszcze zostało, dwie panie i trzech panów, prócz sąsiadki. Nie wiem, co było dalej, gdyż zasypiałam już podczas rozbierania się. Na wszelki wypadek zamknęłam się w pokoju na klucz.

Ciekawa kobieta z tej mojej sąsiadki. Ma dobrą czterdziestkę. Mąż jest postacią chyba mityczną. Raz mówi: mój mąż, innym razem: mój były mąż, na ogół jednak nie szafuje tym mężem. Podobno rozwódka, o ile wierzyć służącej, która musi się znać na tym, skoro czytuje „Trędowatą”...

Staram się utrzymywać dobre stosunki z sąsiadką, gdyż nie wiadomo, jak długo będę mieszkać przy ulicy Młyńskiej. Na razie jest mi tutaj dość wygodnie i stosunkowo niedrogo.

Spotkałyśmy się podczas piątkowego obiadu, sąsiadka ujęła mnie pod ramię i poprosiła do swego pokoju. Z miłym uśmiechem wypomniła, że od dawna wyczekiwała na moje odwiedziny, głupio to trochę wyglądało. Zamiast jednak dalszych, zbędnych słów moja sąsiadka wmusiła we mnie kieliszek likieru i kruche ciasteczko. W domu u nas piją zawsze piperment z lodem i przez słomkę, tym razem wypiliśmy sobie bez ceregieli ze zwykłych kieliszków od wina.

Zamiast kwadransa odsiedziałam małą godzinkę. W drugiej części asystowałam przy przebieraniu się, ponieważ sąsiadka w związku z jutrzejszymi imieninami wybierała się na jakieś umówione odwiedziny. Nie chciała mnie puścić, widocznie pragnęła popisać się zawartością szafy. Ma dużo łąchów, bardzo modnych i kosztownych. Dwa porządne futra, jedno karakułowe, długie i z drobno kręconych skórek. Znam się na tym, takie samo futro nosiła moja matka.

Pani Leokadia naprzód zdjęła biurową suknię i stojąc już w samej bieliźnie, radziła się mnie odnośnie wyboru właściwej sukni. Wszystko ładnie wyglądało i jak na siedzenie w biurze bielizna sąsiadki była naprawdę bez zarzutu, pierwszej klasy. A może to były tylko takie wystawne luksusy na pokaz dla skromniutkiej sąsiadki? Nie, ponieważ przy okazji obejrzałam sobie cały sklepik z różnymi fatalaszkami. Wszystko w najlepszym gatunku, widocznie ów mityczny mąż przed otrzymaniem dymisji rzetelnie zaopatrzył moją sąsiadkę w ryszczunek potrzebny pięknej kobiecie w charakterze rozwódki.

Oglądałam zatem piękną kobietę w opakowaniu podniecającym, to znaczy w bieliźnie wyjściowej. W takiej, z jakiej można by się z przyjemnością rozebrać... we wszystkich okazjach. Coś niecoś na ten temat czytywałam w powieściach. Moja pani Leokadia była cudownie wciśnięta w gorset, bezwstydnie uwydatniający to, co należy do „deseru”, a ukrywający drobne braki, które wiek dorzuca pięknej kobiecie łącznie z latami, jakie zapewne miło jej przeszły, ale bądź co bądź już przeszły! Całość była - do podobania się.

Obejrzenie wystawowej figury było tylko miłym dodatkiem do czarujących słów mojej sąsiadki. Dowiedziałam się, że ona naprawdę żałuje, iż trzeba było wyczekiwać na moją wizytę aż do imieninowej okazji. Tłumaczyłam się naturalnie zapracowaniem i studiami. Nie omieszkałam zauważyć uśmiešku na ustach mojej sąsiadki, gdy o tym mówiłam. Dowiedziałam się również, że widziała mnie kiedyś z Melą, którą zna z widzenia. I z kawiarni. Aha, tu jesteśmy w domu, Meluchna...

Wiedziała nawet coś niecoś o Meli, jej mężu i o tym, że stary Michalski jest lekarzem na Łazarzu. Ale wszystko mówiła z umiarem i jakby od niechcienia. Ma wyrafinowany sposób mówienia, który jednak nie zatraća egzaltowanym teatrem. Moja sąsiadka na pewno wie, czego chce w życiu. Nie rozbija sobie nosa o jakieś tam wątpliwości i bierze z życia tylko to, co jej osobiście jest wygodne.

Muszę przyznać, było mi przyjemnie posiedzieć z sąsiadką. Trzeba będzie nawiązać z nią bliższe stosunki, to przecież tylko przez ścianę, a wieczory zimowe są długie. Zobaczymy. Ostatecznie ja również mogę urządzić u siebie jakąś skromną kolację.

Samo przyjęcie było w dobrym guście. Nic nie zakłóciło spokoju. Nikt nikogo nie łąpał za kolana i tak dalej. Kawały opowiadano w sposób możliwy do słuchania. Pomimo że wypito sporo wódek, nikt nie krzyczał i żaden z mężczyzn nie zdjął marynarki, co się zdarza na naszym Pomorzu podczas niedzielnych boli lub w okresie świniobicia. Jednego z panów tytułowano dyrektorem, podobno z banku, w którym pracuje pani Leokadia.

Środa - 19 grudnia

Obkolędowałam wszystkich moich znajomych w Poznaniu. Złożyłam życzenia i małe: upominki. Stare przysłowie niemieckich kupców mówi: kleine Geschenke unterstutzen die Freundschaft.

Jutro wczesnym rankiem wyjeżdżam na święta do domu. Wrócę po Trzech Królach. To moje pierwsze akademickie święta Bożego Narodzenia. Pojadę dniem, uniknę nocnych przygód po drodze. Zresztą szkoda zdrowia, i tak będzie tłok w pociągach. Jadę naturalnie drugą klasą.

Melcia sama ułatwiła mi wybór prezentu. Zaprowadziła mnie do składu przy ulicy Gwarnej i kazała wyjąć sobie torebkę z wystawy okiennej. Naprzód przewróciła naturalnie do góry nogami pół sklepu. Kupcy muszą mieć cierpliwość, jakiej nabywają dopiero po kilku pokoleniach. Widocznie razem z mlekiem matki. Prezent kosztował mnie 29 złotych.

Wszystko mam już odwalone.

Ciekawa jestem, czy ojciec podaruje mi materiał na balową sukienkę. Tutaj podobno bale akademickie cieszą się dużym wzięciem. Gromadzi się na nich poznańska śmietanka z przyległościami. Rej wodzą naturalnie korporanci z wiejskich majątków. Jeszcze dotychczas nie poznałam takiego przyjemniaczka w czapeczce i ze wstążeczką. Jakoś nie mam powodzenia, może nie zachęcam? Może tak i lepiej.

Dzisiaj dokonywałam obrachunku ze studiów. Dużo przeczytałam i dużo umiem. Znacznie wyprzedzam wykłady. Prawie że mogłabym stanąć do egzaminów. Kto wie, czy już obecnie nie opanowałam więcej materiału, niż tego dokonają moje koleżanki w terminie egzaminów. Zauważyłam, że studentki więcej przykładają się do lektury. W czytelni Biblioteki Uniwersyteckiej przeważnie siedzi więcej studentek niż studentów. Ponadto studentki chodzą z teczkami wyładowanymi podręcznikami, natomiast koledzy przynoszą na uniwersytet laski bez teczek. Mówią nawet o jakichś wybrykach chuliganerii, to słowo usłyszałam po raz pierwszy dopiero na uniwerku, podobno biją się między sobą. Nie widziałam tego na własne oczy, ale mówią, że istnieją dwie grupy. Stara grupa narodowo-demokratyczna, rekrutująca się z miejscowych studentów, oraz jakaś lewicowa, która demonstracyjnie chodzi z grubymi laskami. Ta grupa lewicowa popiera legionistów Piłsudskiego i rozpycha się obecnie łokciami. Mówią również o jakiejś postępowej grupie studentów, ale nikt nie umiał mnie co do tego objaśnić i jakoś w tym wypadku informacje endeków i piłsudczyków są jednakowe: to komuniści. Nie występują oficjalnie, lecz po cichu mącą wodę przy każdej okazji i występują przeciw wszystkim innym. Ciekawe. Nic mnie to osobiście nie interesuje, my kupcy nie zajmujemy się polityką. Dla nas każdy jest dobry, byle dużo kupował i płacił gotówką. Tak mawia nasz grudziądzki Jambor, który podobno był największym kupcem w naszej rodzinie. To nic, że zbankrutował. Podobno to nie była jego wina, lecz jedynie tak się złożyły warunki handlowe w okresie zmiany państwowości na naszym Pomorzu. Tak mówi nasz ojciec, mimo że właśnie on osobiście dobrze wyszedł na zamianie Prus na Polskę. Wykupił majątki niemieckiego Żyda Wohlberga, który podobno przestraszył się Polski i uciekł do Hamburga. Ojcu klapnęło, natomiast dziadka zgubiły jakieś kombinowane interesy, o których nie mówi się głośno w naszej rodzinie. Coś nie wypadło z

domami kupowanymi za dolary, których stary kupiec nie posiadał w gotówce i które dopiero później chciał zarobić. Takie „chcenie” nie wystarcza, no i z tego zrobiła się kłapa.

Jak spędzą święta Marcin i Florencja? Może gdzieś wyjadą. Stryj lubi Zakopane i góry. Oboje kilkakrotnie wspominali o Zakopanem. Namawiali mnie, ale coś nie za bardzo, bez przekonania. Widocznie Anna na stałe nie byłaby im wygodna w Warszawie. Wirewiczowa, natomiast przyjęłaby mnie serdecznie. Jak to pięknie, że została generałową! Moim zdaniem, to bardziej pasuje do niej niż do jej męża. Jemu było dobrze właśnie w mundurze pułkownika. Jest jeszcze taki młody! Doskonale wygląda, a tymczasem lampas na spodniach i generalskie zygzaki postarzają. Mimo woli każdy nabiera szacunku.

Niedziela - w domu

Sklep otwarty, ponieważ dzisiaj jest złota niedziela dla kupców. Prezenty świąteczne bardzo często kupuje się w gorączce pośpiechu, tuż przed zamknięciem sklepu. Na moje zapytanie, jak to będzie w tym roku z materiałami na suknie balowe, ojciec przyjrzał mi się uważnie spod okularów w staroświeckiej złotej oprawie i dopiero po dobrej chwili powiedział powoli:

- Przecież ty chciałaś się uczyć, Anno, a nie balować. Daj ty sobie lepiej spokój z sukniami balowymi.

Byłam zła, ale nic nie odpowiedziałam. Krótco to jednak trwało, gdyż ojciec zaraz po powrocie do mieszkania, jeszcze przed obiadem, wręczył mi paczkę zawiniętą normalnie w papier i obwiązaną sznurkiem, jak wszystkie paczki wychodzące ze sklepów, i powiedział:

- Z balami daj sobie spokój, to mąci myśli w głowie. Zamiast sukni balowej przyniosłem ci trzy metry materiału na kostium. Najlepszy bielski granat w drobne prążki, tenis. Będzie z tego elegancki, poważny garnitur, przyda ci się na egzaminy.

I cóż miałam robić? Ucałowałam serdecznie ojca. Kocha mnie na swój własny, kupiecki sposób. Może nawet widzi we mnie materiał na coś innego niż Pelasia z Jasią i Małgosią.

Dzieciaki zdrowe i grzeczne. Rozwijają się. Widocznie bliźnięta, gdy przetrwają swój niebezpieczny okres, chowają się lepiej i łatwiej. Pelasia cały dzień tylko przy nich i przy gospodarstwie domowym. Prawdziwa kupiecka gospodyni do rodzenia dzieci i dyrygowania jedzeniem i sprzątaniami. Do sklepu natomiast za głupia - nawet mnie już by lepiej wychodziło manewrowanie łokciem i uśmiechami.

Drugi dzień świąt

Bardzo miło i rodzinie. Nie mam czasu na pisanie. Nieustannie jesteśmy w ruchu. Goście u nas albo my chodzimy w gościnę. Otrzymałam moc różnych prezentów. Teraz dopiero, gdy jestem studentką, przypomnieli sobie, że istnieję. Dawniej, gdy przyjeżdżałam do domu, to sadzano mnie w kącie i jedynie podsuwano talerze z jedzeniem. Obecnie zadają mi moc pytań i nagle troszczą się, jak się urządziłam, jak mi idą studia i jak wygląda uniwersytet w Poznaniu. Mój uniwersytet przymierzają do niemieckich, które są tutaj dobrze znane z dawnych czasów. Okazuje się, że nawet z Wąbrzeźna sporo młodzieży wędrowało na uniwersytety, przeważnie jednak po urzędzeniu się w świecie nie powracali już do domów. Jedyne wspomnienie po nich to wyliczanie „dobrych” marek - jak tutaj mówią: talarów, które rodziny posyłały im na te niemieckie studia. Przeważnie lekarze i adwokaci. O ekonomistach jakoś głucho, widocznie to są nowe przedmioty.

Ciekawe, że wszyscy równocześnie ze wspomnianiem dawnych czasów od razu przechodzą na język niemiecki. Sama w tym biorę udział, choć nie umiem sobie tego wytłumaczyć.

Piątek - wieczorem

Nowości. Równocześnie nadeszły do mnie dwa listy, jeden z Warszawy, drugi z Bydgoszczy. Mój stary dyrektor pisze:

„Szanowna Pani Anno! Proszę się nie gniewać, że piszę do domu i przerywam zasłużony wypoczynek świąteczny. Ale Pani zapomniała zupełnie o naszych sprawach. Rzeczy posunęliśmy sami dość daleko i chodziłoby obecnie już tylko o przyspieszenie tych naszych pozwoleń przywozowych. Myślę, że to nie sprawi Pani zbytnich trudności, skoro ma pani takie dobre chody...

Jestem przekonany, że uda się szybko, gdyż nam na tym bardzo zależy ze względu na terminy budowy. Proszę do mnie zatelefonować, oczekuję. Wysyłam pana Milewskiego na drugiego stycznia do Warszawy, bardzo byłbym zadowolony, gdybyście się oboje spotkali już rano tego dnia w Warszawie, Pan Milewski zamieszka w hotelu „Polonia”, tam gdzie Pani mieszkała ostatnim razem. Doręczy Pani 500 złotych, mam nadzieję, że wystarczy na wydatki, reszta tej kwoty już jako honorarium dla naszego kochanego prawnika poznańskiego... Na ręce Pani załączam życzenia Wesołych Świąt dla Kochanego Ojczulka i pozdrowienia dla całej Szanownej Rodziny”.

W liście stryja Marcina zaraz na samym wstępie było opowiadanie o moim dyrektorze:

„...odwiedził mnie w biurze przed świątami i wyobrażał sobie, że takie rzeczy można załatwić w pół godziny za pomocą jednego telefonu. W tym wypadku nie są to już jakieś drobiazgi i trzeba będzie za tym trochę pochodzić. Piszę ci o tym prawie na wyjeździe, ponieważ dyrektor na pewno uderzy do ciebie jeszcze w okresie świątecznym. Niech trochę poczeka, nie ma sensu psuć sobie wakacji. Ja wrócę z Zakopanego dopiero po Nowym Roku, a zresztą trzeba będzie dobrze się zastanowić, jak to załatwić. Tego zresztą nie da się załatwić na piękne oczy twojego dyrektora i trzeba będzie uruchomić kilka osób. Powiedz o tym w Bydgoszczy”.

Listu stryja Marcina nie pokazałam, jedynie po porozumieniu się telefonicznie z Bydgoszczą radziłam się ojca, czy mam rzeczywiście jechać do Warszawy w Nowy Rok, co mi się bynajmniej nie uśmiecha, Ojciec namawia i powołuje się na swoje własne stosunki z moim byłym dyrektorem. Co do tych pięciuset złotych, o których pisze dyrektor, ojciec uważa, że powinnam z nich zatrzymać dla siebie co najmniej połowę. Pewnie pojedę, chociaż nie jest mi to na rękę. Trzeba będzie jechać nocą i w piekielnym ścisku. Nie ma mowy o powrocie do Wąbrzeźna, z Warszawy wrócę bezpośrednio do mojego Poznania. Gorzej, bo trzeba będzie taszczyć z sobą ciężką walizę.

Dyrektor był bardzo słodki przez telefon. Teraz to umie być słodki, a nieraz w biurze miałam z nim krzyż pański, zwłaszcza w pierwszych miesiącach pracy. Tak to bywa w świecie młodych biuralistek. Wszystko, tylko nie praca w biurze. Tylko wolny zawód!

Różankowo - 1 stycznia 1929

Jesteśmy na wsi u stryja Pawła. Ojciec, Zośka i ja, Z tym dzisiejszym wyjazdem bardzo mi nie na rękę. Jadę, ponieważ przyrzekłam, i Milewski niewątpliwie stawi się jutro w Warszawie. Z przyjemnością pobyłabym tutaj do końca moich szkolnych wakacji. Duży zjazd. Sylwester się udał - tańczyliśmy do upadłego. Gdańsk dopisał, Gardenowie to wyższa klasa ludzi. Prawdziwi kupcy, a nie kramikarze. Heinrich - podobnie jak swego czasu Krystynek - przeszedł moje oczekiwania. Chłopiec z umiarem i dobrze ułożony. Na drugi rok ma jechać do Anglii na dalsze studia. Zachowuje się grzecznie i jakby z rezerwą. Jambor, ale po matce odziedziczył mocno rude włosy i pociągłą twarz. Do ojca prawie niepodobny, może cośkolwiek w spojrzeniu. Stryj Paweł, który stale kręci się w Gdańsku, powiada, że z tego chłopca będą ludzie. Po angielsku mówi jak anioł. Ależ ci się głupio napisało, moja Anno: aniołowie mówią... tylko po anielsku!

Dzisiaj, gdy wzięłam do ręki notatnik, przyszło mi do głowy, aby przetrząsnąć się na niemiecki język w pisaniu moich stenogramów. Bardzo dobry pomysł, gdyż przypomnę sobie

wiele skrótów i nie wyjdę z wprawy. Postanowiłam nawet w ciągu tego nowego 1929 roku prowadzić moje stenograficzne zapiski wyłącznie w niemieckim języku i od razu rozpoczęłam od pierwszego dnia. Dobrze byłoby móc znaleźć sobie na przykład godzinę dziennie płatnej stenografii w Poznaniu. Inną bowiem jest rzeczą, gdy się pisze dla siebie, a inaczej to wypada, gdy ktoś dyktuje, czasami nerwowo i nieporządnie. Muszę o tym pomyśleć, na razie zatem niemiecki w dzienniku.

W pociągu

Stryj Józef jest rozrzewniający. Nie kto inny, jak on sam, wsadził mnie do samochodu, a przedtem włożył mi do torebki stużłotowy banknot i powiedział:

- Kup sobie w Warszawie jakiś prezent, na co będziesz miała ochotę, ja jakoś nie umiałem się zdecydować.

Ojciec i Zośka zostają do wieczora. Ja pojechałam w dzień zamiast w nocy - był dogodny pociąg. W Warszawie będę późnym wieczorem. Na pierwszą noc urządzę się w hotelu, później zobaczymy. Dopiero obecnie, gdy już siedzę w pociągu, odczuwam zmęczenie po dzisiejszej nocy sylwestrowej. Boli mnie głowa, jestem senna.

Wieczorem

Już jestem na miejscu. Przespałam się zdrowo w pociągu, już mi jest lepiej. Mam pokój na czwartym piętrze, ale za to z telefonem. Zaraz po przyjeździe wykapałam się, a następnie prosiłam o przyniesienie herbaty do numeru. Nie warto schodzić na kolację. Trzeba zjeść chociażby coś niecoś z zapasów, które mi wetknęli u stryja na wsi. Wyśmienite, pierś indyczki w galarecie z owocami to chyba lepsze od kolacji w restauracji.

Dzwoniłam na Żoliborz. Stryja oczekują dopiero w poniedziałek rano. Okazało się, że Florencja ma u siebie również telefon. Dzwoniłam, ale nikt się nie zgłosił. Może wyjechała ze stryjem, trudno było o to pytać na Żoliborzu, zadzwonię jutro rano. Do generałowej nie wypada dzwonić o tak późnej godzinie. Pojadę do niej w południe, to będzie przyzwoiciej. Z Milewskim chyba nie będę miała dużo do rozmawiania.

Bardzo mi się podoba mój pokój. Dziesięć i pół złotego dziennie, nie mam pojęcia - drogo czy tanio, w każdym razie pokój jest miły i elegancki.

Środa - wieczorem

Mieszkam u generałowej. Do hotelu już nie wróciłam. Po odbiór rzeczy wysłano samochód z pokojówką. Moja protektorka zajmuje całą willę przy ulicy Szustra. Niezbyt blisko centrum, ale oni mają samochód na każde zawołanie. Willa duża, wygodnie umeblowana. Mój pokój na pierwszym piętrze, obok cudowna łazienka. Kaloryfery, troje służby. Ile zarabia generał? Jego samego nie ma, wraca również późnym wieczorem w niedzielę, podobnie jak stryj Marcin.

Z Florencją widziałam się bardzo krótko. Odwiozła mnie na Mokotów i oddała w ręce mojej obecnej protektorki. Oni wszyscy dobrze się znają, Florencja jest po imieniu z generałową. Obie uradziły, aby nie rozpoczynać żadnej akcji aż do przyjazdu Marcina. Od Milewskiego odebrałam wszystkie papiery i oddałam je Florencji do przewertowania. W biurze mają jakiegoś specjalistę od podobnych historii, jutro ma wydać swoją opinię. Same nie wiemy, jak się obrócić ze sprawą bydgoską. Milewski ma przyjechać do Warszawy ponownie za tydzień - we wtorek rano. Odpowiemy mu po naradzie ze stryjem Marcinem.

Dobra sobie ta generałowa. Gdy opowiedziałam jej o tym, że w Warszawie znalazłam się całkiem niespodziewanie i zostałam właściwie wyrwana ze świątecznego grona, opiekę nade mną rozpoczęła od podarunku. Zaprowadziła mnie do sypialni, otworzyła jedną z szaf i prawie przemocą ubrała mnie w coś w rodzaju szlafroka. Ma on dwie strony. Z jednej jest ciemnomorelowy aksamit, a z drugiej czarny jedwab. Całość jest mocno podpikowana czymś

ciepłym, pewnie watą lub puchem, ponieważ bardzo lekkie. Na dowód, że jej nie zbywa na tego rodzaju strojach, generałowa zaprezentowała mi kilka podobnych, w różnych kolorach i fasonach, mówiąc:

- Ten szlafroczek mój Władek przywiózł mi niedawno z Paryża. On zawsze kupuje to, co się jemu podoba. Nie zawsze uchwyci właściwy wymiar i czasem jest prawdziwa bieda z tym, bo trochę za małe lub za duże. W tym wypadku na mnie trochę za szczupłe i za długie. Nie wystarczy obciąć, bo i tak byłoby za ciasne w ramionach. Widocznie, psiakrew! - dodała śmiejąc się - mój generał patrzył na jakąś szczupłą sprzedawczynię i zapomniał o... grubej żonie.

Przymierzyłam. W ramionach pasowało, z biodrami prawie dobrze, tylko tyle, że z przodu coś niecoś brakuje mojej figurze. Ale generałowa wmówiła we mnie:

- Tu z przodu trochę na wyrost... nie masz co się spieszyć, moja Anno, do większych piersi.

Ślicznie dziękowałam. Kiedy ja zacznę robić innym takie prezenty?

W poniedziałek ma być na Mokotowie małe przyjęcie wieczorne. Ciekawa jestem, jak wyglądają takie warszawskie przyjęcia. I kto na nie przyjdzie. Generałowa wygląda czasami jak dragon; gdy komenderuje, nikt się jej nie sprzeciwi.

- Florencja - powiedziała protektorka - wprowadzi cię w grono naszych znajomych lepiej niż ja...

W generałowej nie ma za grosz sztuczności, mówi to, co myśli, i czyni to w sposób naturalny, bez jakiegokolwiek afektacji.

Niedziela - 6 stycznia

Nie mam czasu na pisanie. Wszystko opiszę dopiero po powrocie do domu. Dzisiejsze przedpołudnie spędziłam u Florencji. Ona leżała w negliżu na tapczanie, ja zagłębiłam się w fotelu. Florencja zmusiła mnie do zdjęcia sukni i okryła jakimś fantastycznym kimonem. Ona opowiadała, a ja prawie tylko słuchałam. Opowiadania Florencji były znacznie lepsze od czytanych powieści. Szkoda tylko, że nic nie mówiła o sobie. Nie zgłębiłam żadnych tajemnic, w dalszym ciągu wiem tylko tyle, że jest córką przedwojennego generała rosyjskiego, ale o tym wiedziałam już z opowiadania stryja Marcina. Florencja traktuje mnie jak rodziną - młodszą - siostrę, lecz równocześnie onieśmiela. Jest naprawdę wielką damą, a ja jestem w dalszym ciągu tylko... sama nie wiem, jak napisać. Chyba można by napisać o debutantce?

Stryj wraca podobno już dzisiaj późnym wieczorem, prawie w nocy, tak informował Florencję w mojej obecności telefonicznie żoliborski famulus. Z jaką pewnością siebie rozmawiała z nim moja Florencja.

Wtorek - w nocy

Wypadki migają jak w kalejdoskopie. Milewskiego już odesłałam z powrotem do Bydgoszczy razem z pięciuset złotymi, tak mi doradził Marcin. Sprawa mocno skomplikowana. Stryj zaśmiewał się ze starego dyrektora z Bydgoszczy. Zjawił się u niego w taki sposób jak niejaki pan Mazurkiewicz z Radomia, ów słynny Mazurkiewicz z wodewilu „Żołnierz królowej Madagaskaru”. Stryj opowiedział mi treść tej starej sztuki teatralnej na południowej kawce w Europie. Była z nami Florencja.

Dyrektor odegrał rolę naiwnego wujaszka z głębokiej prowincji. Wyobraził sobie, że warszawiacy z własnej kieszeni finansują załatwianie interesów swoim krajanom z Pomorza.

Krótko mówiąc: aby taką rzecz załatwić, trzeba wydać dobre 20 tysięcy, nie licząc różnych normalnych opłat stemplowych i innych. Rzecz jest do zrobienia w sposób normalny przy daniu prezentów za parę tysięcy złotych, powiedzmy trzy do pięciu tysięcy, oraz przy zapłaceniu pełnego cła w wysokości trzydziestu tysięcy. Razem około 35 tysięcy złotych.

Równocześnie jednak można by załatwić to szybko przy uzyskaniu zniżki celnej do 10 tysięcy. Ale w tym wypadku trzeba byłoby różnicę kosztów przedzielić na równe połowy, z czego jedną połowę przeznaczyć z góry na tak zwane... koszty.

Zrozumiałam wszystko, pomogła mi w tym znakomicie moja dokładna lektura Gide'a. Nie potrzebowano mi tego dokumentnie tłumaczyć. Poza tym ze względu na kraj pochodzenia importu jest możliwa tylko wiązana zapłata. Trzeba coś wywieźć do Szwajcarii i skutecznie tamtejszy zakup z dewiz uzyskanych za nasz wywóz. Właśnie to są owe sadzeniaki. Kartofle wywozi się dopiero na wiosnę, ale banki, naturalnie za opłatą, udzielają Szwajcarom gwarancji na wykonanie przyszłej dostawy kartofli. Co do samego wywozu kartofli, to jest znów inna sprawa, w tym wypadku trzeba uzyskać licencję na tego rodzaju eksport.

Daleka droga, ale grunt, że od razu wszystko połąpałam. Podchwyciłam spojrzenie Florencji w kierunku Marcina: dzięki Bogu, że Anna nie jest głupia!

O licencję trzeba się również starać i może ją uzyskać jedynie tak zwany koncesjonowany rolnik. Stryj od razu wymienił brata Pawła w Brodnicy. Interes winien zostać w rodzinie, dyrektor z Bydgoszczy mógłby co najwyżej otrzymać od tego jakąś prowizję, dwa lub trzy tysiące złotych.

Milewski wrócił do Bydgoszczy jedynie z ogólnymi wiadomościami, że sprawy na razie nie można załatwić i że radzimy odczekać. Żadnych zwierzeń, równocześnie Marcin zabronił mi pisać w tej sprawie do Bydgoszczy, a nawet zalecił wstrzeźliwość w rozmowach telefonicznych. Gdy zajdzie konieczność rozmówienia się z dyrektorem, stryj doradzał mój wyjazd do Bydgoszczy - to mogłabym skutecznie w jednym dniu - i rozmowę w cztery oczy, bez mieszania w to drobnego urzędnika Milewskiego.

Misja moja skończona. Jak dotychczas, miałam tylko straty handlowe, bilet kolejowy do Warszawy i trochę wydatków, ale w dalszym ciągu zawsze tylko w granicach pensjonarskiego kieszonkowego. Tutaj wszyscy za mnie płacą, uważają to za naturalne. Nawet Florencja płaci cukierniane kawy za nas obie. Śmieje się, mówi, że odbije sobie, gdy zawita do Poznania. Bardzo byłabym rada, taki przyjazd Florencji jest możliwy, ponieważ od połowy maja będzie u nas wystawa. Będę miała zapewne dużo gości, z czego cieszę się już naprzód.

Stryj śmiał się z opowiadania o szlafroczku z Paryża. Skorzystałam nawet na tym, ponieważ po wyjściu z kawiarni wstąpiliśmy do sklepu i stryj kupił mi odpowiednie w kolorze, prawdziwie warszawskie pantofelki domowe, czarne, aksamitne, z puszką w kolorze zbliżonym do morelowego szlafrocza. Florencja zabrała mnie do fryzjerów i mistrze uczesania i żelazek dokonali nowych kreacji z moimi warkoczami. Upięli je w rodzaju korony na tyle głowy. W dodatku nauczyli mnie, jak to mam robić sama. Florencja zdradziła im, że jestem z Poznania. Żalowali mnie, że nie mieszkam w Warszawie, co ten Poznań ma niezbyt miłą opinię w naszej stolicy. Nic dziwnego, tutaj ludzie mają przysłowiowy łut szczęścia oraz co najmniej o beczkę dowcipu więcej. Marcin mówi, że w Poznaniu i na naszym Pomorzu w dalszym ciągu chodzą różni Mazurkiewicze z parasolami i w kaloszach. Ciekawe, że nie bronię moich rodzinnych stron. Biorę nawet udział w wysmiewaniu się - już tym samym, że nie oponuję.

Mogłabym pozostać w Warszawie jeszcze jeden dzień, ale szkoda mi jutrzejszej godziny angielskiego. Na uniwerku wykłady już od wtorku, straciłam dwa dni. Wracam. A może gdybym nawiązała bliższe stosunki z Gardenami, wysłaliby mnie kiedyś do swoich krewnych w Anglii? A zatem angielski na pierwszym planie. Lipcowe egzaminy - to drobiazg. Żegnaj mi, Warszawo, może kiedyś tutaj zamieszkać.

Środa - w pociągu

Jadę bardzo wygodnie dziennym pociągiem pospiesznym. Stosunkowo słaby ruch, ludzie wyjeżdżili się już w święta, obecnie odpoczywają u siebie w domu i medytują, skąd

wziąć pieniądze na związanie końca z końcem w styczniu. Na dworzec odwiozła mnie generałowa, wsadziła do pociągu i położyła mi na kolanach pudełko z czekoladkami, jak małemu dziecku lub kochankowi. Już stałam w oknie, gdy moja opiekunka szepnęła mi w górę:

- Tylko nie daj się wykiwać, Anno, temu staremu dziadkowi do orzechów z Bydgoszczy. Florencja opowiadała mi o wszystkim. Pamiętaj, że pieniądze pomagają w życiu.

Pociąg ruszył, było machanie chusteczkami. Jak dotąd, dziwnie odmieniło się w moim życiu. Od razu poznałam tyle życzliwych ludzi!

W dodatku wyjechałam prawie z pustą walizką, a obecnie wracam obładowana. Zaraz po przyjeździe do mieszkania ubiorę się w mój generalski szlafrok i zaprezentuję mojej sąsiadce. Naturalnie morelami do spodu, poważnie, na czarno. Mam dla niej również prezent: pudełko z prawdziwymi papierosami egipskimi. Dość spore pudełeczko, nie można go jednak otworzyć, ponieważ blaszane i zalutowane - podobnie jak sardynki. Powiem, że to gwiazdkowy prezent, będzie wyglądać bardzo nobliwie.

Florencja podarowała mi francuskie perfumy - Guerlain. Flakon niewielki, lecz mocno pachnie poprzez korek. Chyba prawdziwy kryształ. Fiołki. Perfumy to nic, ale Florencja powiedziała mi, że przysłała jej siostra, która mieszka w Paryżu. Ciekawa jestem...

Uperfumuję się, gdy włożę szlafrok.

W Poznaniu będę koło godziny drugiej. Obecnie przejdę do wagonu restauracyjnego, zapraszali na drugie śniadanie. Zobaczymy, to nie kosztuje majątku, a przy tym warto przyrzeć się ludziom. Ja, Anna, nie jestem już głupim cielęciem!

W wagonie restauracyjnym

Już skonsumowałam śniadanie. Trzy plasterki szynki, dwa małe korniszonki, trochę chrzanu, cienkie plasterki chleba, masło, herbata i cytryna. Ciastek nie ruszyłam, jestem porządnie opchana przyjęciami świątecznymi w Wąbrzeźnie, Różankowie i Warszawie. U generałostwa również pielęgnują kult jedzenia, żarcia - jak to nazywa po imieniu moja Zośka. W tej chwili wiozę z sobą do Poznania placek, tak zwany u nich mazurek. Na kruchym spodzie, bardzo zresztą cienkim, czterocentymetrowa warstwa różnych bakalii, wszystko, co nam przysyłają z zagranicy: figi, daktyle, orzechy itd., itd., doskonale zapieczone, oblane gorzką czekoladą i przybrane migdałami. To są już krakowskie specjalności, u nas nie znaję czegoś podobnego.

W wagonie żadnych przygód. Ludzie są jacyś ociężali i zmęczeni, widocznie każdemu święta dały się poważnie we znaki. Ja zresztą nie wymagam, aby mi się wszyscy rzucali na szyję. Widziałam co prawda w „Bristolu”, jak wielu mężczyzn podnosiło się z krzesel lub wychylało głowy, gdy na salę wchodziła jakaś piękna kobieta, ubrana jak bóstwo. Imiennie nawet pokazano mi żonę jakiegoś koncernowego bogacza, prezesa Szymona Landaua. W chwili wejścia jej na salę czuliśmy się jakby tylko jakimiś przygodnymi statystami na galowej operze. Nie chodziło w tym wypadku tylko o samą urodę czy bogactwo męża tej pani, podziwiać należało maniery i pewność siebie. Ciekawa była reakcja naszego towarzystwa: stryj Marcin przymrużył lekko oczy, u Florencji pojawił się jakiś niedostrzegalny, drwiący uśmiech, generałowa przesunęła wzrokiem po sali, jej mąż zrobił głową jakiś ruch, który można było wziąć jako dyskretne powitanie. Skończyło się na samej demonstracji wejścia na salę. W chwilę później uwaga publiczności przesunęła się w innym kierunku, na sławną Messalkę.

Wrażenia, wrażenia, moc tych wrażeń przywożę z sobą do mego uniwersyteckiego Poznania. No, ale Anna jest tylko skromną studentką. Florencja powiedziała mi w niedzielę, że na świecie jest bardzo dużo naprawdę pięknych kobiet, na które nikt nie zwraca uwagi, ponieważ są one bez odpowiedniej oprawy i bez pielęgnacji w dobrobycie. Podobno nawet na

wsiach zdarzają się cudowne okazy, ale z dala od miasta i prawdziwych znawców. Nie piękność bowiem sama przez się jest pięknnością, lecz staje się nią dopiero po odkryciu jej przez innych. Dziki człowiek postawiony po raz pierwszy w życiu przed lustrem nigdy w ten sposób nie określi, kim czy czym jest. Co najwyżej będzie usiłował zamordować swego domniemanego konkurenta...

Stryj Marcin powiedział:

- Piękna buzia u kobiety to jeszcze nie wszystko, kobieta wymaga oprawy, strojów, pięknych sukien, uczesania, ruchów i ogłady w mówieniu - o wszystkim i o niczym, to znaczy o tym, o czym aktualnie rozmawiają w jej towarzystwie. To jest dopiero całość, która składa się na pojęcie kobiety jako damy.

Trudne jest życie dla biednej dziewczyny. Na świecie trzeba się dobrze rozpychać, aby coś więcej zobaczyć i coś ciekawszego przeżyć. Kobieta musi iść przebojem, inaczej zginie. Życie ją rozdepcze, a ludzie oplują...

Ale koniec rozważaniom. Września. Trzeba wracać do przedziału. Chyba mi nie ukradli walizek? Wiozę przecież nowe skarby...

Gospodyni pewnie przywita mnie z wykrzywionym nosem. Dzisiaj jest już dobrze po Trzech Królach, a ja nie zapłaciłam za styczeń. Oni zawsze wyczekują na pieniądze jak diabeł na duszę. Ale jeżeli coś powie, zaraz jej przypomnę, że nie było mnie przeszło dwa tygodnie i nie jadłam... Właściwie powinnam wytrącić za jedzenie.

Tego samego dnia - wieczorem

Na wstępie przywitała mnie gospodyni:

- Dla panny Anny nadeszły pieniądze, pewnie z domu, trzysta złotych, ale listonosz nie chciał zostawić. Awiz leży na stoliku nocnym.

Baba zdębiała, gdy jeszcze w płaszczu i kapeluszu otwarłam torebkę i wyliczyłam jej 140 złotych.

Niepotrzebnie uniosłam się jak jakaś smarkata, niedowarzona dziewczynka, trzeba było potargować się trochę o te dwa tygodnie. A zresztą niech ją diabli wezmą, szkoda zdrowia, przeżyję i to.

Do sąsiadki poszłam koło godziny siódmej wieczorem - pół godziny przed kolacją. Mój szlafrok przebył podróż w doskonałym stanie, nie był ani trochę zgnieciony. Otworzyła oczy, nie spodziewała się mnie w takim stroju. Serdeczność wzrosła tak szybko, jak rtęć w termometrze podgrzewanym na kaloryferze. Była słodziutka. Ucałowała mnie, gdy jej ofiarowałam, blaszane pudełko z egipskimi papierosami, prawdziwe Simon Arzty, nigdy takich nie paliła, lecz słyszała o nich, najlepsze papierosy na świecie. Co prawda, ja nawet nie słyszałam, ale ja prawie nie palę. Nie spodziewała się takiego prezentu. Widocznie ludzie w Poznańskiem nie są skłonni do dawania prezentów, tutaj jest jeszcze gorzej niż na naszym Pomorzu.

Szlafrok zrobił furorę. Sąsiadka zauważyła nawet zręcznie wszytą paryską reklamę firmową. Była zdziwiona, pytała o pochodzenie; Coś niecoś opowiedziałam o Żoliborzu i jakoś połączyłam stryja Marcina z Paryżem.

Na kolację poszłyśmy obie w stroju domowym. Sąsiadka w kimonie, ja w paryskim szlafroku. Rozmawiałyśmy tylko z sobą, naszą gospodynią diabli brali ze złości. Była ubrana w jakąś mocno wyświechtaną czarną suknię. Gospodarz zachowywał się demonstracyjnie szarmancko i robił oko, tym razem do pani Leokadii. Ale też ona prawie bezczelnie odchyłała wyłogi kimona na piersiach i pokazywała głęboko wycięty dekolt. Jestem przekonana, że oprócz koszuli nie miała nic na sobie pod kimonem. Gospodyni wyraźnie była niezadowolona z naszej swobody.

Po kolacji przeszłyśmy razem z Leokadią do mojego pokoju; sąsiadka zapaliła pierwszego egipskiego, a ja prezentowałam jej moje skarby. Pantofelki stryja są cudowne, o

takich nawet nie można marzyć w Poznaniu. Warszawskie arcydzieło, pewnie kosztowały tyle, ile w Poznaniu płaci się za solidne obuwie. A może i więcej? Kto ich tam wie, oni w Warszawie prowadzą inny tryb życia. Ojciec mówi zawsze z przekąsem, że tam, gdzie my zarabiamy pięć groszy, oni wydają od razu całą złotówkę. Podobno umieją robić interesy z niczego. Ich życie, nawet codzienne - ma inną kalkulację.

Leokadia - prędko przeszliśmy na ty - mówiła, że ma doskonałego krawca na kostiumy. Podobno warszawiak, który ożenił się z poznanianką i w ten sposób utknął w Poznaniu. Dobrze robi, ale obdziera ze skóry i każe sobie płacić za warszawski fason. Pójdziemy do niego jutro zaraz po obiedzie. (Teraz nie jest sezon dla krawców, będzie można mieć gotowy kostium najdalej za tydzień). Podobno on ma już wiosenne żurnale. Co do ceny, to warto zapłacić drożej, byle nie spartolili. Materiał, o jakim tutaj nie marzyć. Leokadia zapaliła się do deseni, prosiła, by napisać do Wąbrzeźna, na cenie jej nie zależy. Bardzo się przekonałam do mojej sąsiadki.

Mazurek na krakowskim przepisie doskonały - prawdziwa nowość w naszych stronach. Napoczęliśmy, zrobiliśmy niezły początek, Leokadia lubi słodczyce, zna się na wykwintnym jedzeniu.

Ileż ja miałam wrażeń w ostatnich kilku dniach! Warto nad tym pomyśleć, warto niektóre usłyszane powiedzenia zanotować w moim bloczku. Florencja mówiła, że świeżo przeczytała kilka tomów powieści pod tytułem „Saga rodu Forsytów”. Pokazywała mi jeden z tomów i miałam okazję popisać się tym, że już potrafię odczytać angielskie łamigłówki z samogłoskami. Florencja śmiała się, lecz na drugi dzień Marcin wypytywał mnie o lekcje i był bardzo zadowolony z mojego upartego uczenia się po angielsku. Przyglądał mi się uważnie, gdy opowiadałam o moim pierwszym spotkaniu z Heinrichem Jamborem. Gardenowie naprawdę mają bliskich, zamożnych krewnych w Anglii, którzy również pracują w drzewie. To widocznie jest w tej rodzinie dziedziczne; stryj powiedział z uśmiechem, że słowo Jambor znaczy w Anglii tyle, co światowy handel drzewem i celulozą. Może było w tym trochę przesady, w każdym razie miło jest słyszeć takie powiedzenie.

A teraz spać, jutro mam dużo latania. Może nawet przed południem wpadnę do Michalskich, wypada.

Piątek - wieczorem

Dzisiaj rano wydarzyła się bomba mojego sezonu zimowego. To było lepsze od balów akademickich, na które postanowiłam nie chodzić, przynajmniej w tym roku.

Kto mnie oczekiwał, gdy przyszedłam do domu na obiad? Mój dyrektor z Bydgoszczy. Dobrze trafił, czekał tylko kwadrans. Zdążył już być w Warszawie i osobiście informował się w swoich sprawach. Obecnie... po drodze (?) wstąpił do Poznania, ponieważ miał i tutaj coś do załatwienia. Aha, bardzo w to wierzę, musiałabym jeszcze trzymać paluszek w buzi i nie mieć za sobą dwóch lat pracy w jego biurze! Był słodziutki i na samym wstępie próbował mnie uszczęśliwić zwrotem wydatku na bilety i hotel. Zrobiłam się również słodziutka i powiedziałam:

- Ależ panie dyrektorze! Nie było żadnych wydatków. I tak miałam zaproszenie na święta do Warszawy, niezależnie od tych pozwoleń. Mieszkałam u znajomej - generałowej - nic nie wydałam, przywiozłam nawet sporo prezentów świątecznych.

Jaka szkoda, że nie mogłam zaprezentować się w moim szlafroku paryskim.

Dyrektor już jest w kursie sprawy. Wie, że normalne opłaty urzędowe za cło i pozwolenia przywozowe wyniosłyby koło 30 tysięcy. Zdaje sobie sprawę, że nawet przy długim czekaniu trzeba będzie wybulić - widać, że chodzę na uniwersytet - parę tysięcy na łapóweczki i na prezenty. Ewentualnie byłby gotów, ale ja miałabym mu doradzić, do kogo się z tym udać. A to naiwniaczek! Gdzie się tacy rodzą?

Mój kochany Mazurkiewicz. Poważny dyrektor i oto chce nabrać swoją byłą biuralistkę. Powołuje się nawet na dawne koleżeństwo z moim ojcem! Ja mam mu... powiedzieć, dokładnie, z adresem, kto, gdzie, w jaki sposób, może i za ile. Dobry sobie! Jestem wykształcona w jego szkole. Coś niecoś opowiedział mi stary Milewski za cenę trzech kaw i pięciu ciastek...

Wyśmiewam się z mojego starego, ponieważ trzeba było być bardzo niemądrym albo naiwnym, by pójść po raz drugi do radcy ministerialnego Jambora, Stryj nic mu nie powiedział, przyjął go zimno, a nawet zachnął się, gdy ten mu wspomniał o wynagrodzeniu interwencji. Zakończył krótko rozmowę, że takimi sprawami się nie zajmuje, a w pierwszym wypadku pomógł jedynie bratance, gdy ona załatwiała... jakąś... drobną sprawę ze zezwoleniami. Chodziło w nich jedynie o przyspieszenie terminu, co zawsze można zrobić, o ile załączniki są w porządku. I tak dalej w ten deseń.

Dyrektor wstąpił do mnie dlatego, że radca mówił mu o tym, iż ja latałam w tej sprawie całe trzy dni (a to dobre, ładnie latałam, siedząc w Ziemiańskiej i w Europie...) i coś niecoś wspomniałam stryjowi o możliwościach szybszego czy też tańszego załatwienia tej sprawy. Ale naturalnie on, radca Jambor, nie interesował się przedmiotem samej sprawy...

Doskonała metoda. Stryj jest co najmniej generałem od robienia interesów, a Florencja w stopniu pułkownika. Trzeba w tym komplecie dobrego podoficera: to ja! A dyrektor - to zwykły rekrut. Teatr - to Warszawa z jej kulisami. Dekoracje - wewnątrz restauracji „Hotelu Europejskiego”, reżyseria w guście „Królowej Madagaskaru”.

Dyrektorowi powiedziałam, że co prawda dotarłam w Warszawie do „pewnych źródeł”, gdzie można by ewentualnie tę sprawę załatwić szybko i... nieco taniej. Zamiast plus minus czterdziestu tysięcy - podwyższyłam koszty - można by „to mieć” za jakieś 25 tysięcy, w tym już wszystkie urzędowe należności celne itp., w sumie dobre 10 tysięcy. Czysty zysk dla firmy, tak powiedziałam, koło 15 tysięcy.

Stary po usłyszeniu tego wyliczenia puścił farbę i przyznał się, że mówiono mu w Warszawie o 30 tysiącach normalnych opłat plus około 5 tysięcy dodatkowych...

- Pani rozumie, pani Anno, takich bez pokwitowań. - Dyrektor przy wymawianiu ostatnich słów, zrobił ważną minę.

- Nie wiem - odpowiedziałam. - Być może - dodałam obojętnie - ale mówiono mi, że warszawiacy umieją przyrzec, wziąć pieniądze, a następnie okpić. - Przypomniało mi się powiedzenie zasłyszane już dawniej i dodałam: - Wystawić do wiatru, oni są w tym specjaliści.

Dyrektor słuchał moich słów w milczeniu.

- A co do dalszej sprawy w tym interesie przywozowym - bąkałam - można by trochę pieniędzy odbić na sadzeniakach. Krewni na wsi - ależ ja potrafię łąć bez zmrużenia oczu - mówili, że byliby gotowi wypłacić prowizję w wysokości 15 do 20%, nie wiem, ale byłoby to również ładne parę tysięcy.

Dyrektora zainteresowała ta prowizja. Ponieważ zdawało mi się, że jest niezbyt pewny w sprawie sadzeniaków, dodałam:

- Przy tym kartoflanym eksporcie jest wymagana specjalna koncesja, gwarancje bankowe i dodatkowe pozwolenie na związanie tego wywozu z naszym importem maszyn.

- Skąd pani, panno Anno, nabrała tylu informacji handlowych? W Bydgoszczy u nas nie zdradzała pani ani odrobiny zainteresowania tymi sprawami. Siedziała pani cichutko przy maszynie i wypisywała listy.

Roześmiałam się. Pokazałam stos książek ustawionych na szafie.

- Studiuję - odpowiedziałam. - Uczę się dniami i nocami. A poza tym napisałam w życiu tyle listów właśnie w Bydgoszczy... pod dyktandem pana dyrektora. Moja koleżanka nie zastanawiała się nad treścią pisywanych listów, lecz ja... Przecież pochodzę z kupieckiej rodziny, panie dyrektorze.

Tak by wyglądał protokół jakiejś konferencji handlowej, zestawiony krótko przez inteligentną sekretarkę - ze znajomością stenografii.

Reszta była już pospolita. Była godzina prawie czwarta, zjadłam tymczasem obiad; dyrektor poczekał u mnie w pokoju, poczęstowałam go... mazurkiem generalowej. Później ubrałam się i towarzyszyłam dyrektorowi do „Esplanady”, gdzie wypiliśmy kawę i odsiedzieliśmy małą godzinkę na kanapce przy orkiestrze. W końcu dyrektor pojechał na dworzec, a ja spóźniłam się o dziesięć minut na lekcję języka angielskiego. Przy rozstaniu - był zdziwiony moimi lekcjami angielskiego - powiedział mi:

- Sprawa jest poważna, trzeba ją będzie dobrze przepuścić przez głowę i porozmawiać z właścicielami naszej firmy. Ale kto mi da gwarancję, że to się uda? Sama pani mówiła, że w tej Warszawie jest tyle oszustów...

- Sprawa jest kupiecka, panie dyrektorze. Zwykły interes. Przecież interesy udają się, inaczej nie byłoby na świecie handlu. Pan dyrektor będzie miał do czynienia z ludźmi, którzy robią dużo interesów i którym zależy przecież na opinii. Tylko jedno, panie dyrektorze, ani słowa o naszej rozmowie i w ogóle... jeżeli ja mam się zająć tymi sprawami. Przede wszystkim proszę nie wtajemniczać Milewskiego, to przechodzi jego... sama nie wiem, jak to określić, powiedzmy, możliwości myślenia. To biuralista, który umie rachować tylko do stu złotych, powiedzmy - poprawiłam się - powiedzmy, do 500 złotych.

Dyrektor roześmiał się i powiedział, rozmawialiśmy bowiem już na ulicy:

- Ma pani rację, jeżeli zdecydujemy się, to przybędę osobiście do Warszawy, od razu z pieniędzmi.

I na tym rozstaliśmy się. Na razie moja strata: zaniedbanie angielskiego.

Środa - 16 stycznia

Kostium wypadł doskonale. Mogłam go zabrać już dzisiaj, ale Leokadia zauważyła jakiś drobiazg przy ramionach. Przyniosą mi do domu w piątek po południu. Ojciec przesyłając 300 złotych dopisał na przekazie, że 200 złotych na utrzymanie w styczniu, a dodatkowe 100 złotych na robotę kostiumu, kapelusz i buciki. Trochę to za mało, jak na te wszystkie wydatki, ale trudno, pieniądze pochodzą z Wąbrzeźna, a wydatki są w Poznaniu.

Niedziela - 20 stycznia

Przerywam pisanie dziennika. Przynajmniej na razie. Nie mogę. Przeżycie było zbyt nieoczekiwane. Muszę się uspokoić. Dawka była zbyt silna, przygniotła mnie.

Wszystko, co mogę na razie uczynić, to zagłębić się w moich skryptach i podręcznikach. Nie wiem, czy kiedyś zdobędę się na to, aby opisać moje nowe przeżycie, mimo że ono mnie osobiście nie dotyczyło...

Wtorek - 22 stycznia

Bardzo krótko: dzisiaj w południe doręczono mi przesyłkę pocztową z Gdańska. Sześć grubych tomów po niemiecku, świeże tłumaczenie: „Forsyte Saga”. Ciekawe, to samo widziałam ostatnio u Florencji po angielsku. Na pierwszym tomie skreślona dedykacja: Nieznanej kuzynce Annie - Elfryda Garden z Gdańska.

Niemal równocześnie inny listonosz przyniósł mi list pochodzący od Heinricha, który pisze, że opowiadał o mnie kuzynce - i oto prezent. W dopisku zaproszenie od rodziny Elfrydy Garden do Gdańska, przy najbliższej okazji. Elfryda jest cokolwiek starsza ode mnie, o rok, tak pisze Heinrich Jambor, mój brat stryjeczny, który nie umie po polsku.

Może w tych sześciu tomach znajdę jakieś wypełnienie czasu w godzinach wolnych od nauki? Może zapomnę? Nie wiem. Tylko tyle, że na razie nie umiałabym pisać - nie mogłabym.

Gdy przełamie wstrząs, opiszę to sobotnie wydarzenie.

Dopisuję jeszcze jedno: gospodyni podniosła mi cenę mieszkania o dziesięć złotych, podobno wszystko zdrożało w związku z tą wystawą, której jeszcze nie ma. Głupstwo. Nic nie powiedziałam z wyjątkiem krótkiego słowa: dobrze.

W połowie kwietnia

Powoli przełamuję się. Nie pisałam blisko dwa miesiące, później któregoś dnia kupiłam nowy bloczek do stenogramów i prawie jednym tchem opisałam dokładnie wszystko, co wówczas oglądałam przez górną część szyby w drzwiach pomiędzy pokojem moim a pokojem sąsiadki.

Nawet nie zadałam sobie trudu, aby odczytać, co napisałam. Odetchnęłam po ukończeniu, następnie ubrałam się i mimo deszczu, o dość późnej porze dobiegłam do mostu Chwaliszewskiego. Bloczek przedarłam na kilka części i wrzuciłam kartki do brudnej wody, w której przeglądały się światła domów i latarni. Po dokonaniu tego wszystkiego ulżyło mi.

Później znów upłynął jakiś miesiąc i oto dopiero dzisiaj notuję w bloczku...

Zacząło się od tego, że któregoś dnia, zdaje się w okresie bytności w Poznaniu mojego dyrektora, Mela wpadła do mnie wieczorem. Nie zastała mnie i postanowiła zaczekać do mojego powrotu, służąca otworzyła jej pokój. Mela urozmaicała sobie czas czekania zaglądaniem w różne kąty i ostatecznie wobec zagadnienia zamkniętej szafy, z nudów czy ciekawości stanęła na kanapce, odsunęła brzeg zasłony na drzwiach dzielących dwa pokoje i przytknęła swoje ciekawe oko do brzegu szyby drzwiowej. Po moim powrocie do mieszkania od razu z wielkim zadowoleniem opowiedziała mi o swym odkryciu.

- Można by tam niejedno zobaczyć w pokoju twojej sąsiadki. Słyszałam... Dba o siebie, ma podobno pieniądze. Pokazywano mi ją u Dobskiego. Tylko - objaśniała Mela - trzeba to robić bardzo ostrożnie, przy zgazonym świetle i przy oknie dobrze zasłoniętym, aby nie zauważono jasnej szczeliny z drugiego pokoju.

Po wyjściu Meli usiadłam na kanapie, okryłam się pledem i wetknęłam nos w książkę. Coś mnie jednak korciło i natarcywie przypominało opowiadanie Meli. Zgasiałam światło, przedtem sprawdziłam możliwość odgięcia zasłony. W istocie, po zbliżeniu oczu do szyby drzwiowej można było przez nie zmatowiony fragment szyby pomiędzy wytrawionymi kwiatami zobaczyć wewnątrz całego pokoju, jak na dłoni. Pokój sąsiadki był oświetlony jedynie przyćmionym światłem lampy na biurku. Moje pierwsze spojrzenie uchwyciło obraz Leokadii siedzącej przy biurku, odwróconej do mnie plecami. Wnętrze pokoju było doskonale widoczne, choć panował półmrok. Na pierwszym planie u dołu kanapka przyrzucona materia, toaletka pomiędzy oknami, w głębi po prawej stronie łóżko z odsuniętym na bok parawanem, a w środku ciemne plamy foteli klubowych. Na wszystko patrzyłam z góry, wygodnie, podobnie jak w teatrze z galerii na scenę. Pierwsze podpatrywanie nie trwało długo. Nie było nic ciekawego'.

Dalszy ciąg zdarzył się w najbliższą niedzielę po południu. Może nie byłabym po raz drugi zaglądała do pokoju sąsiadki, ale moja wyobraźnia była w tych dniach dziwnie podniecona. Dawniej nawet nie zwracałam uwagi na szmery w pokoju sąsiadki, na jakieś przytłumione głosy, przyzwyczaiałam się do nich i nie istniały dla mnie. Pierwsze spojrzenie tego dnia było - jakby to powiedzieć - niewinne, towarzyskie. Na okrągłym stoliku leżała biała serweta, w klubach siedzieli: Leokadia i jakiś barczysty blondyn. Twarzy gościa nie widziałam, jedynie jego szerokie barki wystawały ponad niskie stosunkowo oparcie fotela. Światło figlarnych różowych abażurków stwarzało nastrój... Leokadia siedziała twarzą na wprost mojej „dziurki od klucza”, w specjalnym wydaniu a la Melcia. Na serwecie odcinały się szczegóły nakrycia. Dwie butelki, większa i mniejsza, kilka kieliszków, półmisek z zakąskami, ciastka, filizanki, owoce. Na brzegu biurka stała oświetlona lampą biurkową spirytusowa maszynka do parzenia kawy, dobrze mi znana z moich odwiedzin u sąsiadki. Nic ciekawego, wszystko razem - takie sobie przyjęcie. A może to ów legendarny mąż Leokadii?

Zeszłam cichutko, nie zapalałam światła i starym zwyczajem wtuliłam się w oparciu kanapki, podciągając do góry moje długie nogi. Było ciepło, w tym dniu specjalnie napalono ze względu na silne mrozy.

Może nawet trochę spałam. W każdym razie niezbyt mocno, ponieważ po upływie jakiejś godziny moją czujność zbudziły przyciszone szmery, tuż za szafą.

Chciałam przyjrzeć się twarzy tego być może mitycznego męża. Przy zachowaniu bardzo wielkiej ostrożności i po zdjęciu pantofelków stanęłam na oparciu kanapki. Wsparłam się wygodnie na górnej części mojej szafy i odgięłam materię. Pokój był pusty. Nic się w nim jednak nie zmieniło, zgaszono jedynie lampę na biurku. Na okrągłym stole tkwiło w dalszym ciągu nakrycie - brakło jedynie ludzkich figur. Moje pierwsze spojrzenie pobiegło mimo woli ku łóżku. Łóżko przy odsłoniętym parawanie było jednak nietknięte. Co to znaczy obserwować z góry, wszystko widzi się bardzo dokładnie, z perspektywy. Może wyszli? Ale dlaczego pozostawili zapalony żyrandol? Wtem szmer. Tuż przede mną. Spojrzałam. W powieści jakaś Mniskówna napisała: spojrzałam i skamieniałam. Takie rzeczy jednak zdarzyły się po raz ostatni w Starym Testamencie. Było to podobno w Sodomie i Gomorze, ale już wielki król Salomon nieźle sobie radził ze swoim tysiącem żon i nałożnic...

Ano stało się. Tuż w dole, ale jeszcze w zasięgu moich oczu, na kozetce spoczywały dwa mocno splecione nagie ciała...

Nazwijmy to seansem filmowym. Pewnie trwało dobrą godzinę. Niecodzienny seans. Być może i codzienny, lecz w każdym razie niezbyt często oglądany przez jakieś dziurki w drzwiach. Nie jestem już dzieckiem, istota rzeczy jest mi znana od dawna, wówczas jednak zobaczyłam ją na własne oczy w bogatym wydaniu... wszystkich możliwości. Partnerzy nie żalowali sobie chyba niczego. W końcu jednak, jak w każdym teatrze, odegrali swoje role i rozłączyli się. Naprzód zaczął się ubierać mężczyzna, w którym bez trudu poznałam jednego z bankowych kolegów mojej sąsiadki, znanego mi z jej imieninowego przyjęcia. Tymczasem Leokadia, otulona w znane mi kimono, przyglądała się kochankowi siedząc spokojnie w fotelu klubowym. Przyglądałam się jej twarzy jasno oświetlonej przez różowe światła świecznika. Była zadowolona. Sprawiała wrażenie dziewczynki, gdy się obje rurkami z kremem.

Partner zabawy ubierał się. Podczas gdy wiązał sobie krawat przed lustrem toaletki, pani Leokadia zsunęła z siebie kimono, nie podnosząc się z fotela. Wysoki blondyn runął na kolana. Nic sobie nie zrobił... dywan Leokadii jest bardzo miękki, puszysty. Długi był ten osobliwy ostatni pocałunek.

Sąsiadka po dobrej chwili odsunęła głowę mężczyzny i narzuciła z powrotem kimono na ramiona. Gość ubrał się w palto z futrzanym kołnierzem. Leokadia odprowadziła go aż do drzwi na korytarz. Słyszałam odgłosy leciutkiego otwierania i zamykania drzwi. Później nastąpił powrót pani Leokadii do pokoju. Byłam ciekawa, co ona robi w dalszym ciągu, już w samotności.

Nawet nie zamknęła drzwi na klucz. Podeszła do toaletki, odsunęła na bok fotelik bez oparcia i powoli, leniwym ruchem zsunęła z ramion kimono. Równie powolnym ruchem umieściła je na foteliku. Następnie, naga, podniosła ramiona do góry i kilkakrotnie przeciągnęła się przed lustrem. Wyglądało to na chęć wyprostowania się oraz obejrzenia swojej nagości w lustrze. Później Leokadia - w dalszym ciągu obnażona - podeszła do szafy, przyjrzała się swej postaci w lustrze umieszczonym w drzwiach szafy i otworzyła jedno ze skrzydeł tejże szafy. Wyjęła z niej płaszcz kąpielowy z materii frotte w kolorze ciemnoczerwonym, okryła nim swe kształty i idąc ku drzwiom wiązała powoli sznur na biodrach. Jeden z ważnych aktów w życiu kobiety na co dzień: łazienka. Przedostatni równocześnie akt w popołudniowej sjeście niedzielnej pięknej pani Leokadii...

Niemal przykleiłam się do mojej dziurki w szybie. Po długiej chwili moja sąsiadka wróciła do pokoju. Tym razem zamknęła za sobą drzwi na klucz. Naprzód zapaliła różowy

abażurek na stoliku nocnym, później wygasła światła w świeczniku. Odsunęła na bok kapę z łóżka wraz z pościelą. Zdjęła płaszcz kąpielowy, który zsunął się na białego niedźwiedzia. Po raz ostatni Leokadia zaprezentowała swoją nagość wobec kobiecego aktu na ścianie nad łóżem. Powolnymi ruchami pogładziła kilkakrotnie swoje obie piersi, od dołu do góry. Przed ułożeniem się na prześcieradle nacierała dłońmi oba biodra ruchami z góry ku dołowi. Stała obrócona ku mnie bokiem, plecami do abażurkowej lampki nocnej. Różowe światło od dołu oświetlało korpulentną postać pani Leokadii. Czar, gdyby taki istniał, prysnąłby w tym momencie. Obraz pięknej kobiety był pociągający jedynie en face, z przodu. Profil natomiast tej nagości - z biodrami, brzuchem i piersiami - już nieco szwankował.

W oświetleniu lampki był widoczny jedynie boczny kontur jej postaci od tyłu, wszystko jakby owiane różowym kolorem. Na ścianie nad łóżkiem przeblyskiwała w mocnym półcieniu inna kobieta, podobnie obnażona, kobieta z portretu. Raczej wyczuwałam tamtą, niż ją dokładnie widziałam. Portret był mi jednak znany. Jasna plama ciała siedzącej kobiety na tle obecnej ciemni pokoju.

Nastąpiło pieścizotliwe jakby pogłaskanie piersi rękoma od dołu i kilka chwil przyglądania się bądź co bądź pięknemu własnemu ciału, wyciągniętemu już w tej chwili na prześcieradle łóżka. Wdzięczna nawet poza z rękami podłożonymi pod piersi. Wyglądało to tak, jak gdyby Leokadia pragnęła podać komuś te piersi do pocałunku. I już koniec. Jeden ruch ręki i pokój pogrążył się w ciemności.

Zsunęłam się bez szmeru z mojego posterunku. W ciemności wyrównałam sukno zasłony, wygładziłam je jakimiś kocimi ruchami rąk. Sprawowałam się cichutko. Nie zapalałam światła i w najgłębszym milczeniu wcisnęłam się w róg mojej kanapki pod oleodrukiem Boecklina.

Głowa mi płonęła, ciało przebiegały ognie. Ciało moje prężyło się, głowę miałam obolałą. Byłam całkowicie rozbita jako człowiek, jeszcze więcej jako kobieta.

Zbudziła mnie dopiero nasza służąca.

- Proszę panienki, u nas już kolacja, prosimy do stołu...

Odmówiłam, podziękowałam, tłumaczyłam się bólem głowy i tym, że dzisiaj nie będę jadła kolacji. W następstwie tego jednak wkrótce potem odwiedziła mnie moja sąsiadka. Głosem pełnym przyjaźni czy sympatii zapytywała mnie kilkakrotnie, czy nie jestem chora. Wymówiłam się kobiecą słabością. Próbowała mi pomagać, radzić - ledwie mogłam patrzeć jej w oczy, popełniłam przecież świństwo. Całe szczęście, że mój abażur oświetla jedynie powierzchnię okrągłego stołu. Światło nie zaglądało mi do oczu - jak zawsze, gdy leżę zagłębiona w rogu kanapki.

W końcu zostałam sama. Historii tej nocy lepiej nie przypominać. W końcu wszystko przeszło, wspomnienia przytępił czas, najlepszy lekarz... Może jednak to i dobrze? Obecnie znam już „menu”, być może przyda mi się w życiu. Taka widocznie jest treść naszego życia i takie jego wypełnienie. Tylko że głupi przypadek odarł mnie być może z jakiejś rozkoszy niespodzianki. Rozkoszy? No, zobaczymy, dni, miesiące i lata lecą... Jestem uzbrojona w świadomość.

Ostatnia niedziela kwietnia

Za dwa tygodnie otwarcie naszej Powszechnej Wystawy Krajowej. W mieście duży ruch. Zapowiada się wielki zjazd. Pewnie i do mnie przyjedzie rodzina. Tymczasem całkowicie pogrążyłam się w skryptach. Chciałabym oba egzaminy zdać przed wakacjami. Oba z wynikiem bardzo dobrym. To, że zdam, to wiem na pewno. Umieję już obecnie więcej niż ci, co będą zdawać egzaminy w lipcu. Zgłoszę się w pierwszy dzień zapisu. Przynajmniej jeden z tych egzaminów: bardzo dobrze! Naprzód chciałabym odwalić egzamin sekcji ekonomicznej, później dopiero prawniczy.

Dużo czytam. Angielski normalnie. Już zakończyłam pierwszy kurs półroczny. Jeszcze nie mam wiadomości o terminie rozpoczęcia następnego kursu. Nauczyciel bardzo dobry - namawia mnie na indywidualne lekcje. Może, przecież mam dosyć pieniędzy. Zobaczę.

Postanowiłam nie mieszać się do drobnych interesów wystawowych. Obecnie wszyscy w Poznaniu rozmyślają jedynie nad tym, w jaki sposób już teraz obedrzeć ze skóry tych, którzy zjadą na wystawę jako wystawcy i goście. Tysiące drobnych, brudnych interesów. Spekulują wszyscy, każdy pragnie tylko dorwać się do wystawy. Podobno biją się o posady do obsługi klozetów na przyszłej wystawie...

Co to wszystko może mnie obchodzić? To małe interesy, interesy męczące. Dla mnie tylko egzaminy, później wyfrunę gdzieś na wakacje. Na razie do Brodnicy, ale na krótko. Może do Zakopanego, to przecież nie kosztuje majątku, można się urządzać za grosze, po studencku. Przecież nie mam wypisane na czole, że marynuję pieniądze na książeczce PKO.

Tyle wydarzeń! Zaledwie naszkicowałam przyjazd mojego bydgoskiego dyrektora - w roli naiwnego Mazurkiewicza. Dalszy ciąg sprawy pozwoleń potoczył się wówczas jak w kinematografie. Szybko i prędko. Cóż to za określenie? Chyba że szybko dla firmy, a prędko - dla mnie?

Ano Mazurkiewicz pojechał jeszcze raz do Warszawy. Trafił nieszczególnie, bo usiłował chodzić własnymi, prostymi ścieżkami. Postawił kilka kolacji i wyobraził sobie, że w ten sposób okpi radców ministerialnych. Ci kolacje zjedli, a później twardo postawili dalsze warunki gotówkowe, naturalnie, w pierwszej wersji normalnych stawek i normalnych ceł. Dyrektor wydał na takie restauracyjne ceregiele pewno z tysiąc złotych - jakże go to musiało boleć! - i nic nie załatwił. Później wezwał mnie do Warszawy. Wyobraził mnie sobie zapewne w hotelowym pokoiku, podczas gdy ja podjechałam mu pod nos czarną, lśniąca limuzyną. Omal się, przed nią nie uklonił. Pytał mnie później, skąd wytrzasnęłam takiego packarda? Dobry sobie! Ceremoniały trwały cztery dni, łącznie z ostatnią sobotą, którą spędziłam już u Florencji, bez starego osła.

Interes załatwiali właściwie inni ludzie. Prawie ich nie widziałam. Nawet z nimi nie rozmawiałam - to jest jakaś przyjaciółka Florencji, która siedzi w Centralnej Komisji Przywozowej. Opłaty wyniosły 11 tysięcy, a resztę do 35 tysięcy podzielono na równe połowy: dyrektor czy jego firma zarobili 12 tysięcy, a drugie 12 tysięcy różni pośrednicy. To znaczy Florencja i ja oraz owa znajoma Florencji i jej kompania. Stryj walnie nam pomagał, wysiadywaliśmy wspólnie na jego koszt w różnych lokalach.

Dyrektor jeszcze przed załatwieniem wpłacił na moje ręce 12 tysięcy gotówką, a w trzy godziny później regulował już przez konto czekowe PKO opłaty przywozowe. Jeszcze tego samego dnia osobiście wręczyłam mu wszystkie dokumenty. Był zdziwiony pośpiechem w załatwieniu. Powiedziano mu bowiem w banku, że normalna droga z cłem i opłatami w normalnej wysokości to byłaby sprawa kilku dobrych miesięcy. Był do tego stopnia naiwny, że opowiedział mi o tym z rozbijającą szczerością!

Zabawna była historia z doręczaniem mi tych 12 tysięcy. Prawie domagał się ode mnie pokwitowania. Uśmiełam się, banknoty włożyłam obojętnie i bez liczenia do torebki i powiedziałam:

- Przecież nie ucieknę panu dyrektorowi do Ameryki. Zbyt mała kwota - dodałam - nie opłaciłoby się.

Podział łupów w moim pierwszym interesie handlowym w życiu obfitował w momenty humorystyczne. Było to w garsonierze Florencji - po raz pierwszy używam tego określenia - gdzie umówiliśmy się z Marcinem w sobotę, koło godziny drugiej. Florencja miała się przebierać, ja wypoczywałam w foteliku. Po przyjeździe Marcina Florencja w wesoły sposób otworzyła swoją torebkę i wysypała na stół banknoty. Powiedziała z humorem:

- Uważajcie, zbójcy, dzielimy się łupem. Jak się podzielimy? Ile tego jest? Dzielmy na trzy kupki.

Było 5 tysięcy i osiemset złotych. Stryj Marcin roześmiał się. Wyglądał w tym momencie nie na radcę ministerialnego, ale na jakiegoś studenta po zrobieniu psoty. Ułożył dwie kupki banknotów po dwa tysiące, resztę wrzucił do swojej teczki pomiędzy gazety. Potem uśmiechnął się i rzekł do nas:

- Bierzcie, dziewczęta, przyda wam się na ciastka i na puder. - A do mnie zwrócił się zapytaniem: - No a teraz, nasza kochana studentko - stryj zrobił w tym momencie minę komiczną - powiedz, ile dostałaś od Mazurkiewicza z Bydgoszczy? Przyznaj się i mów prawdę jak przed sądem!

Śmialiśmy się wszyscy. Stryj jak student na wakacjach, Florencja jak wielka dama, z umiarem, a ja jak zakłopotana pensjonarka. Mój były dyrektor zapomniał tym razem zapytać się mnie nawet o koszty podróży. Rozstał się ze mną tak, jak byśmy mieli się zobaczyć następnego dnia w biurze...

- A teraz, moje panie, jedziemy na obiad. Oblejemy... pierwszy interes przyszłego magistra Anny Jambor. Ja, rodzony stryjek, funduję.

Krótką chwilą, wypchnięcie Marcina za drzwi do drugiego pokoju i zwykła kobieca toaleta. Zejście ze schodów, spotkanie się z generałostwem w „Bristolu”, historia już poprzednio uzgodniona telefonicznie. Po drodze mały przystanek przed firmą futrzarską, wejście do sklepu, zażądanie przez stryja dwóch srebrnych lisów, dyskretne uregulowanie rachunku gdzieś na boku, włożenie nam lisów na szyję i wypchnięcie z uśmiechem za drzwi. Delikatnie, bez jednego słowa wprost w drzwiczki samochodu.

Obiad odbył się w dobrym nastroju - udany obiad. Odwiezienie stryja generalską limuzyną na Żoliborz, przejazd na Mokotów po moje rzeczy, towarzystwo Florencji aż do wsadzenia mnie do pociągu, ostatnie pocałunki z przyjaciółką i szepnięcie mi do ucha poprzez mojego pierwszego w życiu i od razu srebrnego lisa:

- Nasz Marcin dopłacił parę złotych do tego interesu.

Do Poznania wróciłam w radosnym nastroju. Torebkę miałam ładowaną banknotami. W przedziale zdjęłam płaszcz, a natomiast prawdziwie po kobiecemu zarzuciłam lisa na ramiona, mimo że było ciepło. Starłam się nie opierać plecami, aby nie zmiąć lisa. Tym razem bilet drugiej klasy wykupiłam za własne pieniądze.

W tych dniach nie myślałam o historii z podglądaniem. Osobiste emocje wypłoszyły z moich myśli filmowe obrazki. Nowe zdarzenia zacierały stare. Nowe zawsze jest silniejsze od starego. Świat należy przeważnie do dnia jutrzejszego.

Dopiero w domu, po powrocie do mojego pokoju i po przekręceniu kontaktu, spojrzałam na wnętrze mojego pokoju i przypomniała mi się cała historia sprzed kilkunastu dni. Ale wówczas byłam zmęczona Warszawą, szybko się rozebrałam i już zasypiając mówiłam jedynie sama do siebie: „Mela, wszystkiemu jest winna wścibskość Meli, ona jest prawdziwa...” Starłam się znaleźć jakiś wyraz określający Melę, ale nie zdołałam - i usnęłam.

Po niedzielnym wypoczynku chwycił mnie w swoje objęcia poniedziałek, nowy tydzień zajęć studenckich. Straciłam dwie godziny angielskiego, musiałam dorobić lekcjami indywidualnymi.

Z dyrektorem załatwiłam również. Rozbrajający. W dwa miesiące później zrobił z moim stryjkiem kartoflany interes. Jeździli razem do Warszawy i po załatwieniu sprawy dyrektor rozliczał się ze stryjkiem Pawłem. W tym momencie przypomniał sobie o byłej stenotypistce:

- A to 10% dla panny Anny. To sprytna dziewczyna!

To była właściwie pierwsza pochwała dla mnie z ust starego Mazurkiewicza, którym już zostanie w mojej pamięci na całe życie. Oprócz pustego słowa tym razem było dokładnie 630 złotych. Dokładność prawdziwie pomorska w detalicznym wydaniu. Stryj przekazał mi tę kwotę do Poznania przez bank; przypadek zdarzył, że był to bank, w którym pracuje moja sąsiadka. Tylko że stryjek Paweł dodał dalsze 630 złotych i napisał w liście: „Nie chcę być

gorszy od bydgoskiego dyrektora. Ja również zarobiłem na tym, a ty, Anno, napędziłaś mi rybkę do sieci. Niech ci służy!”

Nie mogłam otworzyć sobie konta w banku. Dopiero w maju skończę 21 lat i dopiero wówczas będę mogła zostać pełnoletnim klientem bankowym. Jeszcze zatem kilkanaście dni będę nosiła z sobą książeczkę oszczędnościową ze śmiesznie wysoką sumą - jak na studentkę pierwszego roku prawa i ekonomii. Później zlikwiduję obecną książeczkę PKO, całość wpłacę na konto bankowe, w kilka dni potem podejmę z niego 500 złotych i wpłacę je na nową książeczkę oszczędnościową - już jako studentka uniwersytetu. Pięćset złotych to w sam raz odpowiednia kwota dla takiej osoby.

Na Wielkanoc byłam cztery dni w domu i zdążyłam ochrzcić jeszcze jedną Tuchołkównę, którą na moją intencję obdarzono imieniem Anny. Pelasia po córce zdrowa - dziewczynka również. Pomimo że nie Jamborówna, obdarowałam ją, jak każe zwyczaj rodzinny, medalikiem z Matką Boską, na złotym łańcuszku, oraz na szczęście, by się jej w życiu dobrze układało - złotą monetą, jedną z moich dwudziestomarekówek. Wszyscy byli ze mnie zadowoleni. Nawet ojciec patrzył jakoś jaśniej i powiedział do Zośki:

- Z Anny będą ludzie, wie, jak należy się zachowywać, nie trzeba jej tego przypominać.

Z Wąbrzeźna przywiozłam sobie materiały na dwie letnie sukienki. Ojciec już wówczas, w połowie miesiąca, doręczył mi 300 złotych, mówiąc:

- Reszta - na wiosenne historie dla młodej panny.

Podobno wszyscy oczekują w Poznaniu drożyzny w związku z tą głupią wystawą. Na co komu ona jest potrzebna? Mnie na nic, tylko tyle, że będzie mi przeszkadzać w okresie egzaminów. Tutaj u nas wszyscy szaleją. Poznaniak jest chciwy na pieniądze, stryj Marcin mówi, że powiesiliby się za pięć złotych, byle mieli zapewnienie, że ich w porę odratują. Później sprzedaliby własny stryczek na szczęście, po wisielcu... Handlarze, drobni handlarze.

Kilka dni później

Dopiero wczoraj wieczorem odjechała moja ciotka Magda, rezydentka w wiejskim domu stryjka Pawła. Młodsza co prawda o jakieś cztery lata od mojego ojca, ale mocno przedpotopowa. Egzemplarz co najmniej sprzed stu lat, zablakany w naszej epoce, mam na myśli jej poglądy na świat. Stara panna w autentycznym wydaniu. Dziwny człowiek z tego stryja Pawła. Krótco żył z żoną, umarła mu przy drugim dziecku. Zamiast się ożenić sprowadził na wieś swoją siostrę i w ten sposób ciotka Magda utknęła tam od dwudziestu lat. Absolutnie nic nie czuję do niej. Nawet gdy dawniej jeździłam na wakacje szkolne do Różankowa, nie okazała mi nigdy serca. Tylko tyle, że miałam wszystko. Nadmiar jedzenia - nic więcej; brakowało mi jednak serdecznych słów.

Może nie miała czasu? Życie swoje dzieliła bowiem na dwie części: wychowywała bratu dzieci i pomagała mu w robieniu majątku. Daleka to była droga wiejskiego nauczyciela do dobrego gospodarza wiejskiego. Schwartzowie mieli tylko 200 morgów ornej ziemi, ale to wszystko otrzymał stryj bez grosza długu. Rodzina była niemiecka, nic wspólnego nie mająca z Jamborem, człowiekiem pochodzenia polskiego. Pewnie tkwiła w tym miłość jędynaczki, gdyż trudno to inaczej wytłumaczyć. Stryj Paweł potroił to wszystko i w dalszym ciągu robi grube pieniądze na handlu zbożem. Maksiu i Herta patrzają - jak mówi ciotka Magda - wyłącznie w polską stronę, mimo ścisłych kontaktów z gdańskimi krewnymi i gardenowskim drzewem.

A ciotka Magda w dalszym ciągu pilnuje wiejskich interesów brata. Prawdziwa szara eminencja, stryj nie miesza się do tych starych morgów, myśli zapewne tylko o kupnie poważnego majątku w Kongresówce. Wszędzie w mojej rodzinie, na każdym kroku pieniądze.

Ciotka pobyła w Poznaniu dwa dni i dwie noce. Może to był jakiś wywiad rodzinny? Zaciekawienie, jak się ta Jamborówna „prowadzi” w wielkim mieście. Spała naturalnie w

moim łóżku - podpinka pod kołdrę świąteczna z koroneczkami, natomiast umyślnie sobie założyłam zwykłą gospodarską, codzienną. Posiadam przecież odrobinę dowcipu.

Zlustrowała wszystko. Dogadała się nawet z gospodarzami. Doszukali się wspólnych znajomych jeszcze z owych dobrych czasów. Znów jakaś rodzina matki mego ojca, Rozrodzona nadmiernie rodzina gburów Kawczyńskich z okolic Nowego Miasta. Nigdy nie pojmę tych pokrewieństw rodzinnych ze wsi. Podobno moja babka po ojcu miała czternaścioro rodzeństwa, dziewięciu braci i pięć siostr. Nie jestem w stanie tego strawić i policzyć. Za dużo. To są wujkowie i ciotki mego ojca.

Ciotka Magda potrafiła wręcić się nawet w odwiedziny do mojej sąsiadki, naturalnie w godzinach moich wieczornych wykładów. Powiedziała o niej:

- Stateczna kobieta, pracuje, jest prokurentką w banku. To wysokie stanowisko dla kobiety, może i ty, Anno, po skończeniu uniwersytetu zostaniesz kiedyś prokurentką w banku?

A to dobre! Ja i bank. Ja i marzenie: prokurentką w banku. Ale to wszystko jeszcze nic. Leokadia stateczna kobieta! Szkoda, szkoda... Już wiem, Anno, co masz na myśli.

Magda była u mnie w przejeździe do naszej świątobliwej Róży w krakowskim klasztorze. Siostra zakonna podobno wezwała ją do siebie, a przełożona zezwoliła na odwiedziny. Przez dwie kraty, z daleka, ale zezwoliła. Jakoś lekko o tym piszę, ale nie mogę się przymusić do powagi. Leokadia - stateczna kobieta... wzór dla mnie do naśladowania.

Ciotka zapraszała na wakacje, stryj kazał mi przypomnieć moje przyrzeczenie sprzed roku. Zobaczymy. Różankowo - nie wakacje, a Brodnica - nie wypoczynek.

Poznań - 10 maja 1929 roku

Ważna data w mym życiu. Podjęłam z PKO wszystkie moje oszczędności, wypowiedziałam je już przed tygodniem. Zlikwidowałam starą książeczkę PKO, jeszcze tamtą z biurowych czasów. Otworzyłam sobie nową książeczkę, wpłaciłam na nią 500 złotych, a po otwarciu konta w banku wpłaciłam na to konto okrągło pięć tysięcy złotych. W gotówce zostawiłam sobie koło trzystu złotych. Mądrze się rządziłam w tym moim pierwszym roku życia - po przebudzeniu się. Po wytknięciu nosa znad maszyny do pisania. Po zamianie bloczka do notowania listów handlowych na bloczek do notowania tylko tego, na co mam sama ochotę.

W taki to sposób uczciłam dzień uzyskania pełnoletności. Oprócz tego kupiłam sobie wiązanek świeżych kwiatów i umieściłam ją we flakonie na środku mojej serwety na nie moim stole. Na razie jeszcze w pokoju studenckim. Nie kupiłam sobie natomiast cukierków i czekoladek. Wyrosłam z tego. Muszę się jednak przyznać, że były mi one niepotrzebne, ponieważ Magda - jakoś nie ciotka, a po prostu Magda - przywiozła mi dużą torbę kandyzowanych owoców. Oni to robią u siebie w domu i następnie sprzedają hurtowo do sklepów, dotarli już nawet do Warszawy! Pewnie ze trzy kilo.

Nikt nie przysłał mi żadnych życzeń, nawet ci z rodziny, którzy niemieckim obyczajem obchodzą urodziny. Wszyscy jakoś zapomnieli o mojej dacie. Nawet ojciec. A przecież mogłabym, już jako pełnoletnia, zażądać na przykład podziału majątku po mojej matce. Przecież jedna z naszych wąbrzeskich kamienic jest zapisana hipotecznie na nazwisko naszej matki. Przy podziale jakaś część należałaby się i mnie. Ale żadne z nas czworga tego nie uczyniło, a zatem niech to wisi w powietrzu. Wspólna własność, plajta ojca jako kupca dotknęłaby jednak tylko jego części. Ocalałyby części należące do dzieci.

Pełnoletność.

Cóż napisać na zakończenie tego samotnego wieczoru? Chyba to, że za dwa miesiące będę miała za sobą dwa pierwsze egzaminy. Podobno najwięcej studentów przepada właśnie przy pierwszym egzaminie. Drobiazg, mnie to nie grozi. Mogłabym zdawać nawet zaraz. Ale ja muszę zdać na bardzo dobrze. Zawiozę świadectwo do Wąbrzeźna, po raz pierwszy pojedę

tam z radością i konkretnym celem. Pokażę ojcu. Cóż z tego jednak? Ojciec obejrzy, pochwali córkę, ale równocześnie pomyśli: Pierwszy rok kosztował mnie dwa i pół tysiąca złotych. Jeszcze trzy dalsze lata. Tyle pieniędzy! Można by to włożyć w interes, w sklep, w nowe towary, w nową kamienicę. Byłoby dziewczynisko siedziało w Bydgoszczy u mojego kumotra na posadzie w biurze i byłoby samo zarabiało na życie. Od czasu do czasu posłałbym jej parę metrów bławatów i nie byłoby kłopotu. Co najwyżej przy wydawaniu za męża. A tak?

Wstąpię również do Bydgoszczy. Tylko ten jeden raz. Nie w celu pokazania się, lecz ciotce Katarzynie należy się. Jaka była, to była. Wychowała mnie, u niej zdałam maturę, mój pierwszy lufcik na świat, na razie od podwórza, ale to był już lufcik na jakieś świeższe powietrze.

16 maja

Nareszcie otwierają tę wymęczoną i wypoconą wystawę. Głupstwo. Pójdę ją obejrzeć, gdy trochę obeschną świeże farby i gdy przewali się pierwsza hałaśliwa fala zwiedzających. Szkoda mojego eleganckiego kostiumu, mogłabym się powalać przy okazji. Pójdę naturalnie którejś niedzieli - w moim srebrnym lisie. Całość doskonale wygląda. Chciałabym pójść również z Florencją. Może nawet zaczekam na nią, napiszę do niej. Dwie eleganckie damy w jednakowych lisach. Cóż? Ona ma oprócz tego pelerynkę z sześciu takich lisów.

Dzisiaj pojmuję tę całą historię w sposób właściwy. Im, to znaczy Marcinowi i Florencji, nie była ona potrzebna do szczęścia. Na pewno wyreżyserowali komedijkę, by przyjrzeć się, jak się zachowa ta jakaś debiutantka z głuchej i durnej prowincji, Anna Jamborówna. Ja byłam w tym wypadku w roli dziczki, nad którą dobry ogrodnik zastanawia się: czy warto ją zaszczepić?

Niedziela - 19 maja

Wczoraj wieczorem przyjechali oboje. Florencja i stryj. Marcin urzędowo - mieszka w „Continentalu”, Florencja u mnie. Nie mam czasu do pisania. Jestem szczęśliwa.

Środa - wieczorem

Przed chwilą odprowadziłam ich oboje do pociągu. Szkoda, że tak krótko. Było cudownie. Puściłam wszystko w trąbę, uniwerek, nawet mojego nauczyciela angielskiego, mimo że obecnie biorę u niego indywidualne lekcje. Marcin taktowny, złożyliśmy wizytę Michalskim. Mela wybałuszyła oczy na widok Florencji, sytuację ratował jedynie stary doktor, zna się z Marcinem od kilku lat. Wysadził się z przyjęciem, szkoda było jednak czasu na takie siedzenie w domu. No ale trudno, odwaliliśmy rodzinną wizytę. Józinek zachowywał się jak baran, jest całkowicie przegrany w oczach naszych warszawiaków. Leokadia podziwiała moją Florencję, ja również.

31 maja - wieczorem

A to dobre! Gospodyni uprzedziła mnie, że mogę mieszkać u nich tylko do końca czerwca. Później są akademickie wakacje, to i tak nie potrzebuję tkwić w Poznaniu, a ona musi zarobić na wystawie, ponieważ potrzeba dużo pokoi i zapowiada się masa przyjezdnych, do Poznania ma się zwalić cała Polska. Przesada, oni tutaj tak zawsze, gdy chodzi o „ich” Poznań. Płacą podobno po dziesięć złotych dziennie od łóżka - w porządniejszych domach. A u niej doskonały punkt, śródmieście. Rozumiem ją doskonale.

Przed chwilą wpadła do mnie wzburzona Leokadia. Mieszka w tym domu prawie pięć lat i gospodarze wypowiedzieli jej pokój, musi go opróżnić również na pierwszego lipca. To jednak bezczelność! To może przydarzyć się jedynie w Poznaniu. Co ona robi, ma tyle gratów.

Mnie wszystko jedno. Wystawę obejrzałam, egzaminy drugiego lub trzeciego lipca, już się zgłosiłam. Najwyżej zapłacę gospodyni po 10 złotych za te kilka dni - a później do widzenia! Ale z sąsiadką to beczelność! Mieszkała u nich pięć lat, była dla nich uprzejma, wечно pożyczali od niej pieniądze, sama widziałam. Ja przyjąłam wypowiedzenie obojętnie, po swojemu powiedziałam zimno i krótko: dobrze.

1 czerwca

Koniec z pisaniem. Nos tylko w książkę. Przerwywam nawet angielski. Tylko egzaminy. Wykłady kończą się zresztą już trochę wcześniej. Głupstwo, gospodyni podniosła mi za ten ostatni miesiąc o 30 złotych, podobno podrożało. Dopłaciłam. Śmieszna chytryść małych ludzi. Nie warto się irtować, szkoda zdrowia za takie 30 złotych!

5 czerwca

Leokadia zgodziła się na to, że zamieszka do końca wystawy w pokoiku drągala, który za kilka dni zdaje maturę. Po maturze mają go wysłać do krewnych na wieś. Mały pokoik, jak się tam zmieści Leokadia?

8 czerwca

Drągala oblali na amen, musi chodzić drugi rok do ósmej klasy. Dobrze im tak, myśleli jedynie o wymuszaniu pieniędzy i nie dopilnowali przyjemniaczka nad książką. Bujał po świecie, jak chciał, i kopał piłkę zamiast się uczyć. Jutro wyprawiają go na wieś, daleko, gdzieś pod Rawicz. Będzie miał sporo czasu, pomoże u krewnych paść krowy i będzie nauczał wiejskie dziewczęta różnych... sportów. Parobcy obiją mu mordę, a wujkowie pomogą płacić alimenty w razie potrzeby. Wszystko to ma związek z naszą Pewuką...

9 czerwca

Leokadia już w pokoju drągala. Narzeka. Niemądra - przecież ci goście wystawowi zniszczą jej meble. Podobno gospodarze wystawili cenę 30 złotych dziennie za ten pokój! Świat się kończy, a ludzie głupieją.

20 czerwca

Niedobrze, nie tak pragnęłam. Mam zdawać naprzód prawo, a dopiero później ekonomię. Drugiego lipca prawo, a szóstego ekonomię.

28 czerwca

Ta przeklęta gospodyni domaga się opróżnienia pokoju już ostatniego czerwca zaraz po obiedzie. Nie chce dopłaty. Ma jakiegoś amatora, wystawcę, który chce zapłacić z góry za lipiec 400 złotych tylko ze śniadaniem. Baba triumfuje. Mam mało czasu. Gdzie ja się podzieję?

Wieczorem

Na ulicy spotkałam Melcię. Jaka ona jest, to jest, ale od razu pomogła. Wyjeżdża z dziećmi ostatniego czerwca rano na wieś do stryja Pawła, na całe dwa miesiące. Zaprosiła ich ciotka Magda, a nic mi o tym nie wspomniała. Ładny kwiatek, ja również miałam tam jechać, no ale zobaczymy, może pójde tylko do Brodnicy - pomagać stryjowi w zbożu.

Melcia zabrała mnie do Dobskiego, nie byłam tam od czasu wyjazdu warszawiaków. Telefonowałyśmy do domu, w godzinę później stary doktor Michalski przyjął mnie z otwartymi rękami, śmiejąc się:

- Przyszła koza do woza.

Doktor jest bardzo miły.

Koniec, pokoiku! Ani myślę powracać do ciebie po wakacjach. Powiem to jutro mojej gospodyni. Może powiem coś więcej. Przypomnę, że w sumie nie jadłam u nich pewnie ze 30, a może i więcej dni, a zapłaciłam za wszystkie miesiące punktualnie. Zresztą, pal ją lichu...

30 czerwca - wieczorem

Już mieszkam u starego doktora. Mojej gospodyni wygarnęłam wszystko, co myślałam. Delikatnie, ale wszystko. Pomimo to stara robiła słodziutką minę i dopytywała się, czy u nich zamieszkać po wakacjach. To znaczy po przewaleniu się złotego runa wystawowego. Nie odrzekłam nic konkretnego, ale w sposób możliwie nonszalancki odpowiedziałam, że przypuszczalnie będę szukać pokoju bardziej komfortowego, z łazienką na każde żądanie, z kaloryferami, telefonem i tak dalej... A zresztą mój stryj, dyrektor - jakże ja kłamię! - ministerialny, chciałby, abym przeniosła się na warszawski uniwersytet.

Gospodyni kłaniała się, sam gospodarz pilnował osobiście ładowania bagażu. Tacy to są ludzie, kłaniają się przed pieniędzmi, to znaczy przed tymi, którzy je mają! Z Leokadią umówiliśmy się, że ją odwiedzę w banku po egzaminach.

Pocziwy jest ten stary doktor. Urządził mnie bardzo wygodnie. Wstawili nowoczesny tapczan do gabinetu, a raczej biblioteki doktora, której okna wychodzą na wcale miły ogródek. Pokój sąsiaduje z pokojem do przyjęć. Jedną z szaf bibliotecznych przesunięto na drzwi do tego pokoju, a na jej miejsce wstawiono tapczan. Jestem całkowicie odcięta od doktora i jego pacjentów. Obok przez ścianę, z drugiej strony, znajduje się łazienka, a dalej, w osobnym korytarzu prowadzącym ku kuchni - inne pokoje mieszkalne, zajmowane przez Józinków.

Doktor Michalski wyśmiewał się z zachłanności naszych gospodarzy z ulicy Młyńskiej. Podobno, jak mi to później powiedział na osobności, młodzi namawiali go, aby mieszkanie przerobić w okresie wystawy na pensjonat. Ale to była tylko mrzonka Meli, on lubi spokój i dzięki Bogu, nie musi czekać na wystawę, by się dorwać do gotówki. Sympatyczny jest ten stary Michalski, a ma takiego jedynaka! W dodatku oboje, Józinek i Mela, dobrali się...

Mam spokój, dużo światła, dużo powietrza. Meli nie ma, dzieciaki nie włożą do każdego kąta, a Józinek dorwał się do jakiejś reprezentacji na wystawie. Wychodzi o szóstej rano, do domu wraca podobno po dziesiątej wieczorem. Jeszcze go nie widziałam, wiem wszystko jedynie z opowiadań doktora. Mój Marcin bardzo mu się podobał, przedtem widywali się tylko krótko, przelotnie. Doktor powiedział:

- Pan Marcin ma przyszłość przed sobą, a pani Florencja to prawdziwa dama, szkoda jej na naszą tuzinkową Warszawę!

Uśmiechnęłam się. Doktor chwalił naszych warszawiaków, wybaczyłam mu tę tuzinkową Warszawę. A zresztą, ja przecież nie wiem dobrze, jak naprawdę wygląda ta Warszawa. Grunt, że obecnie jest mi wygodnie, kto wie, czy nie lepiej niż na Młyńskiej. Być może, gdyby nie Mela, zamieszkałabym tutaj po wakacjach, ale...

Jutro przed egzaminem dzień całkowitego odpoczynku, usiądę sobie gdzieś w jakimś parku, by łyknąć trochę świeżego powietrza. Ale gdzie? Poznań wypełniony jest hołotą, która napływa ze wszystkich stron, to był głupi pomysł z tą wystawą w Poznaniu. Pojutrze prawo, w sobotę ekonomia. Koniec z nauką, kucie w ostatniej chwili nic nie daje!

Niedziela - 7 lipca

Już po wszystkim. Prawo zdałam śpiewająco, z wynikiem bardzo dobrym. Jako pierwszy student w tym roku. Ekonomię zdałam tylko dobrze. Taylor oblał dwie studentki z naszej piątki, jednego studenta puścił z oceną dostateczną, a drugiemu wlepił poprawkę po wakacjach. Oglądał mój indeks z wynikiem egzaminu z prawa, już wiedział o tym wydarzeniu, musiałam odpowiadać tylko na te pytania, na które nie odpowiedzieli moi

współmęczennicy. To było bardzo trudne. Później jako ostatniej z kolei oddał indeks i powiedział:

- Owszem, dość dobrze. Panią stale widywałem na moich wykładach. Dlaczego pani nie notowała treści wykładów?

Moje onieśmienie minęło, byłam raczej zła na sposób stawiania mi pytań, no i na to powiedzenie: dość dobrze. Odpowiedziałam zatem prawie półgębkiem:

- Przed zapisaniem się na uniwersytet pracowałam jako stenografka. Gdy coś stenografuję, czynię to całkiem mechanicznie i nie zastanawiam się nawet nad treścią tego, co notuję. Ponieważ systematycznie czytałam lekturę, było mi dogodniej przysłuchiwać się wykładom pana profesora - z większą dla siebie korzyścią, niżbym to była mogła uzyskać przy notowaniu wykładów.

Nie wiem, czy temu profesorowi ktoś już w życiu odpowiedział w ten sposób. Taylor podniósł jedynie brwi do góry, musnął mnie spojrzeniem swoich bladych, rybich oczu i bąknął:

- Do Widzenia.

Koniec z egzaminami. Teraz mogę odpocząć. Należy mi się. Oddycham lżej.

Musiałam wydać lampkę wina. Oboje mnie do tego namówili. Osobno doktor, osobno Leokadia. Tylko tyle, że doktor przyprowadził Józinka, a ja Leokadię. Przyjęcie urządziłam wspólnie, z fasonem, w „Hungarii”. Kosztowało mnie to przeszło sto złotych. Józinek osłupiał, gdy mnie zobaczył w srebrnym lisie. Pytał skąd mam, kto mi podarował. Głupiec, kiwał głową, gdy mu powiedziałam: stryj Marcin. Akurat dzień wczorajszy był chłodny, w sam raz. Zresztą srebrne lisy służą więcej do ozdoby niż dla ciepła. Do tych celów służy raczej bielizna jaegerowska.

Leokadia czarowała starego Michalskiego. Józinka natomiast otaksowała w umywalni jako wymoczka. No cóż, Leokadia ma chyba wprawę w... ocenie.

Do Florencji wysłałam telegram po zdaniu pierwszego egzaminu, do Marcina po drugim. Oboje odpowiedzieli natychmiast, każde z osobna: wieszujemy, podziwiamy, całujemy.

Jutro wyjeżdżam przez Bydgoszcz do domu. Ciotka, ojciec, tydzień odpoczynku, a potem zobaczymy, co będzie dalej...

Bydgoszcz - wtorek - 9 lipca

Ciotka przyjęła mnie w sposób poważny. Traktuje mnie obecnie inaczej, jako gościa i z godnością. O przeszłości nie ma mowy. Po przeczytaniu w indeksie zaświadczeń o złożonych egzaminach spojrzała na mnie spokojnym, życzliwym wzrokiem i powiedziała poważnie, bez zazdrości:

- Ojciec się ucieszy, przecież ty jesteś pierwszą kobietą w naszej rodzinie, która „odważyła się” na uniwersytet.

Usłyszałam różne nowości domowe, a po drugie - na czwartek był zapowiedziany przyjazd naszej Zośki. Ciotka oświadczyła sucho:

- Ten wasz Tuchołka zwariował. Przed dwoma miesiącami zapisał się do jakiegoś tam Bebewueru i tworzy „Strzelca” w Wąbrzeźnie. Nie chcieli ci o tym pisać, by nie przeszkadzać w egzaminach.

Gdy prosiłam o dalszy ciąg wiadomości, ciotka zachnęła się i dokończyła:

- Już mu obiecali dobrze płatną posadę i wynosi się od was czy coś podobnego. Zośka więcej wie, to ci opowie.

Nic dziwnego, że na Zośkę czekałam jak na rozżarzonych węglach. Tymczasem trochę włączyłam się po Bydgoszczy, próbowałam odwiedzać znajomych, ale nikogo ważnego nie spotkałam. W biurze pustki wakacyjne, króluje jedynie inżynierek z Galicji i jego nowa flamma biurowa, przyjęta na moje miejsce. Taka sobie pulchna blondyneczka z dołeczkami w

buzi, umiejąca się podobać mężczyznom pomimo braku stenografii. Natomiast z czerwonym nie tylko manicurem, lecz również z takim samym pedicurem, wystawionym na pokaz w ażurowych trepkach bez pończoch. Mój stary dyrektor nieobecny, bawi na kuracji w Marienbadzie. Widocznie wydaje pieniądze w szybszym tempie ode mnie, nic dziwnego, zarobił więcej na naszym interesie. Ciekawa jestem, jak oni to wszystko zaksięgowali. Pewnie z konta właścicieli „w ciężar” rachunku wystawionego dla odbiorcy. Stary kawał kupiecki. Koszty się nie liczą, bo płaci w rachunku klient - łącznie z różnicą na podatku dochodowym. Kupiec tylko się kłania i od czasu do czasu wyjeżdża do Marienbadu na kurację. A może i ja się gdzieś machnę? Co powie Zośka? Co mi przywiezie Zośka?

Czwartek - po południu

Zośka wyszła gdzieś z ciotką i mam odrobinę samotności. Siostra przyjechała w nocy, spałyśmy w jednym łóżku, obok w drugim ciotka. Obie, pomimo późnej nocy, wysłuchiwałyśmy rodzinnych nowin.

Rzeczywiście Tuchołka zwariował. Już przed kilku miesiącami wydały się po części jego knowania. Nie na darmo łąził po karczmach. Moczył mordę nie w piwie, jak tego chciała ciotka, lecz w polityce. Krótco po świętach pękła bomba, gdy naszego Piotrusia wybrano prezesem strzeleckiej organizacji. Szukano dla niego posady, lecz na wstępie przepadł przy wyborach na burmistrza. Ładny burmistrz - dostał tylko cztery głosy. Ludzie na razie wyśmiewali się, ale obecnie śmieje się Piotr Tuchołka. Nie pomógł mu przy wyborach wojewoda, pomógł na miejscu starosta. Uwinęli się gładko, starego dyrektora posłali na emeryturę i od miesiąca Piotruś jest dyrektorem Powiatowej Kasy czy Banku Komunalnego, osiemset złotych miesięcznie na rękę. Całe miasto jest obecnie na jego „kredytowej” łasce. A to fajna heca! Tylko tyle, że zostawili mu do roboty dawnego kasjera w charakterze prokurenta. Zośka mówi, że dzięki temu nie będzie kryminału, ponieważ do podejmowania pieniędzy i wypłaty potrzeba dwóch podpisów, dyrektora i prokurenta.

A teraz, druga sprawa. Ojciec nie może już znieść zięcia, a nie mogąc się go pozbyć, usuwa się z willi. Koniec ze wspólnym gospodarstwem. W willi zostają Tuchołkowie, a ojciec i Zośka już się wynieśli do kamienicy w rynku. Ojciec skorzystał z zakończenia na „święty Jan” kontraktu z adwokatem, który zajmował drugie piętro nad sklepem, i oboje z Zośką urządzają się obecnie w nowym mieszkaniu.

- A co na to wszystko mówi Pelasia? - wypytywałam się chciwie.

- Nic - powiedziała Zośka - ona patrzy w swego wielkiego dyrektora jak urzeczona i karmi Annę. Nie można jej obecnie drażnić, trzeba nawet wobec niej hamować się z językiem i robić dobrą minę do złej gry, jak to mówią. Tuchołka dostał manii wielkości i rozpoczął od tego, że zakupił dla siebie nowe meble do gabinetu. Żebyś, Anno, widziała... Zresztą zobaczysz, ponieważ trzeba będzie pójść z wizytą do naszego dyrektora banku, dla spokoju Pelasi. Kupił nawet kilkadziesiąt książek. Wszystko na raty i od razu całą masę. Jak świat światem, nikt w naszej rodzinie nie kupował niczego dla domu na raty. My kupujemy tylko za gotówkę lub w otwartym rachunku, a przy towarze wystawiamy umówione weksle kupieckie. Na co jemu książki? I to jeszcze jakie, ekonomiczne!

To wszystko - mówiła siostra - przyszło tak nagle, że nie potrafiliśmy się ucieszyć twoim egzaminem z prawa, tak jak byśmy tego chcieli. Cierpniemy tylko i zachodzimy w głowę, co będzie dalej z tą polityką naszego Piotrusia. Na co nam kupcom polityka? To nam tylko psuje interesy. Siedział sobie w cieple, w domu, podsuwano mu pod nos różne dobre kąski, ubrań miał, ile chciał, od czasu do czasu podbierał mi kasę - tylko ojcu nie wygadajcie się o tym, bo ja bym dostała po głowie - ale udawałam, że nie widzę, dla miłej zgody, dla naszej Pelasi. Niech tam, mówiłam sobie, niech ma swoje kieszonkowe, skoro jest głupi i nie potrafi nic innego. Dzieci są ładne i zdrowe, dużo mu wybaczyliśmy, ojciec nawet miał do niego słabość, po jego ojcu... Ale naraz ta głupia polityka. W dodatku taka dziwnie

niekupiecka! Ci legioniści bowiem mają dziurawe portki i tylko tyle, że się puszą. Kilku urzędników w starostwie i na tym koniec. A całe miasto, wszyscy kupcy... Ale cóż? Trzeba cicho siedzieć, gdyby zechcieli, mogliby nam kupcom dokuczyć... Nie masz pojęcia, Anno, jak się obecnie zamąciło i zakręciło z powodu tych strzelców pana Tuchołki z... banku.

Wąbrzeźno - 16 lipca

Ojciec skwaszony, nadrabia miną, lecz nie bardzo udaje mu się udawanie obojętności. Co chwilę wybucha bez powodu, odbija się to na interesach. W nowym mieszkaniu na razie są gotowe dwa małe pokoje od podwórza i kuchnia. W jednym śpi ojciec, w drugim Zośka i ja w jednym łóżku. Ciasno. Wszędzie malarze. Zaduch od farb i pokostu. Wprost nie chce się wierzyć, że w tym mieszkaniu żył i pracował adwokat. Bardzo brudno. Trzeba gruntownie remontować. Adwokat wyniósł się do swojej willi, zdążył się już dorobić, chociaż nietutejszy, z Grudziądza. Wędrówka kilku rodzin jedynie dlatego, że Tuchołkę legioniści ze starostwa zrobili dyrektorem banku!

Ale mieszkanie będzie pierwsza klasa, gdy ostatecznie wyjdą z niego rzemieślnicy. Ojciec mówi, że ten cały szpas będzie go kosztował grubo ponad tysiąc złotych.

Sklepowa kamienica jest duża. Obszerna i masywna, budowana w czasach, gdy nie żalowali cegieł. Na dole olbrzymi sklep z dwoma oknami wystawowymi, pośrodku wejście do sklepu, a z boku wejście do klatki schodowej i w osobnej sieni wjazd na podwórze z magazynami. Wygodne schody wewnątrz sklepu na pierwsze piętro, gdzie mieści się dział gotowych ubrań męskich i damskich. Na dole sprzedaje się tylko materiały, owe kupieckie bławaty, oraz galanterię, tak zwane u nas z niemiecka - krótkie towary. Na dole pośrodku stoi wspaniała kasa, królestwo Zośki, uniwersalny punkt obserwacyjny na wszystko, co się dzieje w sklepie. W głębi kantorek właściciela, oszklony, z widokiem na sklep, jeszcze jeden pokój dla buchaltera, a dalej już tylko składy i składy.

Na drugim piętrze trzy wielkie pokoje i jeden mniejszy od frontu, duży hall, w głębi trzy mniejsze pokoje z widokiem na podwórze, łazienka, kuchnia, ubikacje gospodarskie i dodatkowe zejście na podwórze.

Historia przejścia tego domu w posiadanie rodziny Jamborów jest niesłychanie skomplikowana. Dawny właściciel domu ze sklepem oraz willi, w której obecnie mieszkają Piotrusiowie, Żyd niemiecki, przestraszył się w roku dwudziestym Polski i uciekł do Niemiec. Stary Jambor prowadził główny skład z artykułami żelaznymi w Grudziądzu i natychmiast po ucieczce Niemców z Pomorza rozpoczął swoje operacje z domami, na których ostatecznie zbankrutował. Naszemu ojcu powiodło się lepiej. Umówił się z kupcem żydowskim odnośnie kupna całego majątku w Wąbrzeźnie, wypłacił mu natychmiast zadatek, w ciągu tygodnia sprzedał za gotówkę posagową kamienicę matki w Grudziądzu, wszystkie pieniądze wpłacił zaraz na poczet kupna wąbrzeskiego, a co do reszty umówił trzy terminy, za pół roku, za rok i za dwa lata. Rodzina żydowska natychmiast wyniosła się do Niemiec, a ojciec „usiadł” jako prawny właściciel całej spuścizny. Interes został załatwiony błyskawicznie. Ludzie byli jeszcze mocno wystraszeni i nie myśleli o zabezpieczeniu się w dolarach. Reszta wąbrzeskiego kupna była notarialnie umówiona w zwykłych markach i zabezpieczona jedynie na hipotece obu domów. Był to tylko dług markowy!

Naturalnie wszystkie te pociągnięcia były niezwykle brutalne w szybkości. Ojciec miał kilka nieprzyjemnych dni pomiędzy sprzedażą posagowej kamienicy w Grudziądzu a wpłatą w Wąbrzeźnie. Nasza matka była wówczas nie bardzo zdrowa, w dodatku nerwowo nieprzygotowana na takie wstrząsy majątkowe. Dotychczas bowiem kupcy w naszej rodzinie zarabiali pieniądze powoli, codziennie, a majątki gromadzili cierpliwie w ciągu długich lat. Nic dziwnego, że w końcu tego roku, w okresie Bożego Narodzenia, zmarło się naszej matce. Była to wówczas jeszcze bardzo młoda kobieta, niespełna czterdziestoletnia. Ojciec rozpacział po śmierci, chciał wszystko rzucić i wynosić się z Wąbrzeźna. Podtrzymały go jakoś obie

starsze córki. Pelasia nie była jeszcze wówczas „cieplą kluską”, to przyszło dopiero po ślubie z Tuchołką. Krystynek był poza domem na stacji, mnie zabrała do Bydgoszczy ciotka Katarzyna. Ojciec uspokajał się powoli, ale nie ożenił się. W dwa lata później spłacił resztę ceny kupna, wszyscy wiemy, w jakich pieniądzach... Podobno żydowskim uciekinierom powiodło się w Niemczech równie dobrze. Uruchomili natychmiast pierwsze pieniądze wywiezione podczas ucieczki z Polski, stracili jedynie resztę. Przynajmniej nas nie klęli! Ojca uratowało wówczas to, że grudziądzki dom sprzedał od ręki, za gotówkę. Wziął znacznie mniej, ale od razu wpłacił w Wąbrzeźnie.

Wszystko to opowiedziała mi moja starsza siostra. Sypiamy obecnie w jednym łóżku - Zośka lubi opowiadać. Teraz wiem, że Tuchołkowie całkowicie pokwitowali naszego ojca z przypadającej na Pelasię części działu majątkowego po matce. Pelcia dostała swoją posagową kamienicę czynszową bez długów, dobre umeblowanie kupieckie i dziesięć tysięcy gotówką. Za pomoc w sklepie otrzymywali Piotrusiowie bezpłatne utrzymanie i mieszkanie w willi. Oba domy w Wąbrzeźnie zostały kupione na nazwisko małżonków Benona i Anny Jamborów, są zatem w połowie własnością naszego ojca, w drugiej połowie własnością nas trojga: Zośki, Krystynka i moja. Realności są wolne od długów, sklep z jego zawartością stanowi dorobek ojca. Co do mnie - wolałabym, aby realności zostały podzielone na dwie połowy idealne i hipotecznie wydzielone, to znaczy część ojca i część naszą, jako dzieci już pełnoletnich. Zawsze taka wspólna własność niepodzielona jest niebezpieczna dla dzieci kupca. Nieruchomość i hipoteka to jest murowany majątek, a kupiectwo ojca to rzecz mocno płynna. No, ale trudno powiedzieć rodzonemu ojcu: my chcemy urządzić to inaczej - skoro ojciec stara się o nas, płaci nam nasze pensje. Przynajmniej mnie już od roku, Krystynkowi zapewne dłużej. Zośka na pewno coś dostaje, ale ona haruje za nas wszystkich. Tak to sobie obecnie rozważam na zimno, mimo że złożyłam dopiero pierwszy egzamin prawniczy. Ale jak złożyłam!

Zośka mówi, że na szczęście posagowa kamienica naszej Pelasi jest w całości na nią zapisana. Byle tylko, głupia, nie uległa w przyszłości namowom „dyrektora” Tuchołki, gdy zacznie spekulować na giełdzie. Ale miejmy nadzieję, że ta zaraza nie dotrze tak prędko do naszego Wąbrzeźna.

W każdym razie teraz wiem, co mam. Ojciec jest zamożnym kupcem, ale i my mamy już cośkolwiek własnego majątku po naszej matce, z dawnych dobrych czasów, jak by to określiła moja poznańska gospodyni.

Muszę napisać, jeszcze dzisiaj, do Poznania. Do starego doktora i do Leokadii. Mimo wszystko - podoba mi się. Obrotna i sprytna, z legendarnym mężem... Może to wszystko właśnie dlatego?

Mam wolne do końca września. Moich kołder i reszty bagażów pilnuje mi stary lekarz, mogę wrócić na drugi rok studiów do Poznania nawet tylko z wykałaczką do zębów. To wiem: u Michalskich na stałe nie zostanę, na Młyńską nie wrócę, poszukam sobie innego locum. Zmiana mieszkania podobno odmładza. A to dobre!

Muszę mieć absolutny spokój. Styl życiowy mniej więcej sobie nakręciłam, umiem już dobry tyśiąc słówek angielskich, porządnie, z dobrą wymową. Z moim „bardzo dobrym” egzaminem bardzo mądrze zadebiutowałam na uniwersytecie. Wpisane w indeks i każdy następny belfer naprzód ogląda indeks, a dopiero później wypowiada sądy o studencie. Zawsze to łatwiej będzie takiej jak ja zdawać następne egzaminy z wynikiem dostatecznym niż tylko dostatecznemu zdać ostatni egzamin z wynikiem bardzo dobrym. To już jest taka wyższa matematyka profesorów. Oni wszyscy są jednakowi, w szkółce początkowej i na uniwersytecie. Tylko że tamci walili linijką po łapach, a ci nowi łypią oczami po buziach i po nogach. Ano trudno, to są również mężczyźni, tylko tyle, że w stopniu belfrów. Mój początek był dobry.

A teraz już tylko jakoś wyrwać się z domu, żeby ojciec nie wpadł przypadkiem na mądry pomysł postawienia mnie za ladą w zastępstwie jakiejś urlopowanej ekspedientki. Trzeba będzie wyklamać się z tego nowego mieszkania nad sklepem. W naszej willi można było przynajmniej położyć się w ogrodzie na leżaku. Tutaj można by co najwyżej obserwować ruch na kupieckim podwórzu. Konie, skrzynie, hałasy i nic więcej. Wiej stąd, moja Anno, byle prędko...

Środa - wieczorem

Ojciec krzywił się na moje pomysły. Jakby się napił octu z piołunem. Pomogła jednak Zośka - ona jedna mnie rozumie w tym Wąbrzeźnie. Powiedziała ojcu:

- Cóż ojciec sobie myśli? Tuchołkę starzy przepchali z trudem przez gimnazjum. Z jego inżynierią nic nie wypadło. Nie był nawet roku i wrócił do domu. W wojsku niemieckim również nic z niego nie zrobili, nawet na front był za głupi. A po wojnie pojechał właśnie do tego samego Poznania, co nasza Anna, i również nie wypadło. Dla niego małżeństwo z naszą Pelasią było ostatnim ratunkiem życiowym. Tuchołka to taki „strzelecki” dyrektor, który nigdy w życiu nie spotkał się z prawdziwym legionistą. Umie krzyczeć przy piwie i przy kartach, funduje ludziom i tyle. Zdobywa sobie w ten sposób popularność. Ale ludzie piwo wypili i na burmistrza go nie wybrali. A nasza Anna uczyła się tylko rok i od razu ma dwa państwowe egzaminy. Widział ojciec indeks? Bardzo dobrze... tego nigdy nie było w naszej rodzinie, nawet stryjek Marcin nie zdawał nigdy w ten sposób swoich egzaminów!

Być może to ostatnie powiedzenie przeważało; pocziwa Zośka przegadała ojca. Dał mi nawet trzysta złotych i tylko powiedział:

- Trzysta złotych powinno ci wystarczyć, w Zakopanem można się urządzić już po sześć, siedem złotych dziennie, a ty jesteś przecież studentką.

A więc forsa jest i zgoda ojca na Zakopane. Muszę tylko odczekać z wyjazdem, ponieważ do niedzieli mają być gotowe pokoje od frontu i ojciec wydaje przyjęcie z okazji nowego mieszkania. Chce się zaprezentować znajomym, pokazać córkę z celującym indeksem. Miał do mnie żal, że nie kupiłam sobie studenckiej czapeczki. W jego czasach wszyscy niemieccy studenci chodzili tylko w czapczkach. Pewnie nie zdejmowali ich nawet w łózkach, zwłaszcza gdy wracali do domu w stanie...

Może nawet byłabym sobie kupiła warszawską białą czapczkę z czerwienią i złotym sznurkiem, bo poznańskie są mniej efektowne. Wyśmiała mnie jednak Florencja. Zośka przyniosła mi ze sklepu materiał na sukienkę. Lekka popelina w barwne paseczki, wszystkich kolorów. Nasza stara krawcówka przyrzekła zrobić do wyjazdu. Wybrałyśmy już model, sukienka dość luźna, z paseczkiem i obszyciami przy szyi i przy mankietach w kolorze czerwonym. Dobrałyśmy do koloru jednego z paseczków. Odpowiedni kapelusz kupię sobie po drodze w Krakowie.

Warszawiacy nic mi nie napisali. Tylko rzeczy ogólne, nie wiedzą, dokąd pojedą na wakacje; stryj pisze, że na razie ma jakieś ważne sprawy i musi siedzieć murem w Warszawie. Z listu Florencji nie można również zorientować się, co zrobi z sobą podczas wakacji.

Muszę naciągnąć ojca na nowy prochowiec, może przydać się w Zakopanem. Pójdę wprost do sklepu i zwyczajnie zaciągnę ojca na pierwsze piętro. Wpierw upatrzę sobie jakiś odpowiedni, a potem przy ojcu przymierzę i zapytam, czy jest mi w nim dobrze. Przecież byłoby mu głupio odmówić córce przy subiektach.

Tymczasem już tylko cztery dni w Wąbrzeźnie. W niedzielę generalny pokaz: moja córka Anna, która zdała egzaminy uniwersyteckie na bardzo dobrze!

Niedziela - wieczorem

Przyjęcie udało się znakomicie. Kupiec Jambor wystawił się i pokazał, że ma pieniądze. Było ze czterdzieści osób. Drzwi się nie zamykały. Wszystkie meble, chociaż niektóre pochodzą z bardzo dawnych czasów, zostały wyczyszczone i wypolerowane; wyglądają jak nowe. W willi meble były mocno stłoczone, nasze stare i nowe po żydowskim kupcu. Obecnie pokoje są olbrzymie i wszystko wygląda lepiej. W mieszkaniu jest dużo powietrza, podoba mi się.

Układali i ustawiali przez całą sobotę. Wszyscy pomagali i robili dużo harmideru i hałasu, ale ustawili do wieczora. W nocy dwie kobiety sprzątały, szorowały, wiórkowały i froterowały, pomagał im nasz stróż sklepowy. Było gotowe na siódmą rano. Równocześnie już od kilku dni kuchnia wyglądała niczym mały skład kolonialny.

Byli sami miejscowi goście, stryjów nie było, zjawiła się tylko ciotka Świetlikowa, ale dopiero koło południa. Dla pokazu mieliśmy również Tuchołków. Pelasia była naturalnie bardzo krótko i tylko podczas kulminacyjnego punktu. Siedziała obok ojca jako najstarsza córka, gospodyni. Zośka dyrygowała służbą. Szwagier zachowywał się poważnie i z dystynkcją wielkiego dyrektora, który nie może popolitować się z byle kim. Może się obawiał, że znajomi kupcy będą usiłowali wyciągać go na rozmowy o kredytach? Głupi, tutaj na ogół wszyscy kupcy mają majątki, gotówkę i mogliby kupować takich „tuchołków” na wagę.

Piotruś naturalnie usiłował przypiąć mi szpileczkę i przy znajomych adwokatach szepnął złośliwie:

- Zobaczmy, do końca jeszcze daleko, pełne trzy lata. Anna pewno nie wytrzyma, takiej ładnej dziewczynie nie pozwolą spokojnie studiować. Zakochają się i Anna zamiast dyplomu przywiezie do domu męża. Prawda, panie mecenasie?

Głupi, głupi, tysiąc razy głupi! Jamborowie - to uparty naród, to nie glisty bez kręgosłupa. Niedoczekanie. Co Anna Jambor rozpocznie, dokończy. Musi dokończyć!

O reszcie nie warto pisać. Parę miejscowych Mazurkiewiczów, dla ozdoby i osłody parę miejscowych pudeł w guście Mniszkówny. Tylko tyle, że bez herbów i bez karet, ale kubek w kubek tak samo nadętych i podobnie histeryzujących. Ale stosunkowo niewiele, tyle akurat, ile potrzeba soli i pieprzu w solidnym jedzeniu kupieckim. Na pociechę trzeba zanotować dla pamięci, że nasza arystokracja ma więcej półgłówków i histeryczek niż nasze kupiectwo, nawet w tak pospolitym wydaniu jak w małych miasteczkach na Pomorzu. Tutaj przynajmniej ludzie wiedzą, czego chcą. Gromadzą majątki, grosz po groszu, powoli i cierpliwie, i równocześnie nie są skorzy do rzucania pieniędzmi. Zostawiają to wiejskim szlachicom i takim tytkom jak ów galicyjski hrabia w krakowskim „Grand Hotelu”. Albo owa hrabina, która wypracowała swoje herby na karecie w Wiedniu, wiadomo, w jaki sposób. Później syn czy wnuk takiej pary będzie czarował w salonach opowiadaniem o zasługach przodków, co to na polach... bitew.

Ale w każdym razie wycygałam od ojca prochowiec. Dobra metoda, stary nawet nie zmrużył oczu. Zachował się obojętnie, z godnością prawdziwego kupca. Chyba nie przyśle mi rachunku i nie potrąci z następnej pensji? Zresztą niedrogo, tylko 68 złotych i 50 groszy, obliczając według ceny zakupu, już zdążyłam poznać się na naszych sklepowych szyfrach. Parę drobiazgow z galanterii wybrałam również w obecności Zośki.

Poniedziałek - południe

Wieczorem odjazd. Już jestem spakowana. Nie zabieram zbyt wiele fatalaszków. Dwa płaszcze, popielaty kostium, cztery sukienki i dwie pary zapasowego obuwia. Tylko jedną parę warszawskich kombinacji z koronkami. Poza tym wszystko miejscowe z ojcowskiego sklepu. W Zakopanem podobno trzeba mieć jakieś specjalne buty do chodzenia po górach. Kupię na miejscu, gdy się tam rozejrzę. A zatem kierunek: po raz pierwszy samodzielna podróż i Zakopane.

W pociągu

Zośka odwiozła mnie na dworzec i wsadziła do wagonu. Głupie połączenia, dopiero w Inowrocławiu przesiadę się na właściwy pociąg pospieszny. Na razie jadę wygodnie, ale konduktor informował mnie, że w pospiesznym będzie tłok. Jakaś starsza pani obok mnie jedzie do Katowic, będę miała towarzyszkę do podróży i do przesiadek. O pisaniu nie ma jednak mowy, światło liche.

Katowice

Usiadłam. Znalazłam miejsce, pociąg trochę natłoczony, ale można było jakoś wytrzymać. Wszyscy spaliśmy. Trzecia klasa była tylko na stojąco. Towarzyszka już wysiadła. W pospiesznym było dobre światło, ale zgasiliśmy, by móc spać. Koło godziny piątej rano dobijemy do Krakowa. Mam prawie zaraz pociąg do Zakopanego, lecz wysiadę i pojedę nocnym pociągiem, nie jestem zmęczona.

Kraków - 23 lipca

Godzina szósta rano. Na razie piję herbatę w restauracji dworcowej i wyczekuję na zakończenie deszczu. Podobno padał całą noc, może zatem się wypadał? Wczoraj w Krakowie był upał, po deszczu będzie czystsze powietrze. Kelner twierdzi, że na pewno wyjaśni się. Walizę już umieściłam w przechowalni i zatrzymałam sobie jedynie mój nowy prochowiec.

Po wyjeździe z Wąbrzeźna doznałam wielkiej ulgi. Ta cała do mowa atmosfera ciąży na mnie jak góra ołowiu. W dodatku nigdy nie wiadomo, co wypadnie. Brak jakby powietrza nie tyle do oddychania, ile do życia. Ci, którzy nie opuszczają swego miasteczka, nie odczuwają tej różnicy. Po prostu Mazurkiewicz z Radomia, tfu, chciałam napisać z Bydgoszczy. W każdym razie mój dyrektor moczy grzechy swojej młodości w zagranicznym badzie, a ja napędziłam mu pieniądze do kabzy, jak to określił stryj Paweł. Nie warto liczyć na ludzi i na ich dowcip. Pochwalił mnie, a nawet łaskawie i wspomniałomyślnie dał mi 10% od swej prowizji kartoflanej. Po sprawiedliwości powinien był tę prowizję przepołowić, takie zwyczaje panują w stosunkach kupieckich, ale cóż, to był tylko Mazurkiewicz! Zresztą głupstwo, wszystko już przeszło i pozostanie nieodwołalnie głupstwem. Jedynie przyszłe dni mają dla mnie wartość.

Trzeba zobaczyć, jak z deszczem. Już prawie siódma. Wyjdę nawet w deszcz, w kawiarni mogę siedzieć również w mieście, na przykład u Noworolskiego w Sukiennicach.

Wieczorem

Znów siedzę na dworcu. Za godzinę mam pociąg. Niepotrzebnie zostałam w Krakowie. Wałęsałam się po mieście bez celu, próbowałam zwiedzać zabytki, wyszłam nawet - jak głupia - na wieżę Mariacką. Nic osobliwego, tylko tyle, że z wysoka ogląda się całe miasto. Dachy i dachy, a dopiero gdzieś za nimi jakieś zamglone horyzonty, ponieważ dzisiaj w Krakowie było pochmurno. Dużo kościelnych wież. Szkoda było nóg na wychodzenie. Na taką wieżę można wyjść tylko jeden raz w życiu, powtórzenie mi już nie grozi.

W południe usiadłam naprzód u „Maurizia” a później w „Europejskiej.” Na obiedzie nie byłam, zapchałam się ciastkami. W walizce mam kilka pieczonych kurcząt, zabiorę się do nich w pociągu. To jest jakiś bummelzug, tak mnie objaśnili kolejarze. Wlecze się do Zakopanego całą noc. Dla mnie może. Nie spieszy mi się.

Pod Zakopanem

Dojeżdżamy. Nad ranem usłudźni towarzysze podróży udzielili mi tylu rad, jak mam się urządzać w Zakopanem dobrze i tanio, że prawie znam już całe miasteczko. Powietrze cudowne, ale inne niż w Krynicy, ostrzejsze. Góry widać znakomicie. Z pogodą na razie

podobno gorzej, zapowiadają halniak, po którym ma się już ustalić murowana pogoda z upałami, bo tego właśnie pragną wszyscy.

Uprzedzono mnie, abym rzeczy zostawiła na dworcu i nie uległa namowom pośredników i dorożkarzy, którzy przed dworcem łapią głupie ofiary i wiozą, gdzie chcą. Oni później dostają po złotówce dziennie od takiego złapanego naiwniaczka. Trzeba rzeczy zostawić na dworcu i bez wdawania się w rozmowy iść prosto na Krupówki. Z dworca na lewo, a później mały kawałeczek i najbliższą ulicą na prawo prosto na Krupówki. Tam już podobno nie łapią i można spokojnie chodzić. Ogłoszenia o pokojach i pensjonatach są poumieszczane wszędzie, na słupach i w oknach wystawowych, podobnie jak w Krynicy. Pokoi jest mnóstwo, ponieważ w tym roku wszyscy walą do Poznania na Pewukę. A więc i tutaj dotarł szal wystawowy i Poznań zrobił konkurencją Zakopanemu.

Powietrze rzeczywiście cudowne. Zamykam bloczek, szkoda mi pięknych widoków, siedzę wygodnie przy oknie.

Sobota - 27 lipca

Z wynajęciem pokoju nie było tak łatwo. Nachodziłam się kilka godzin i wybrałam dopiero po południu, po obiedzie. Domki z drzewa, niby w stylu zakopiańskim, ale z wygodami nieco gorzej. Inne znów są sklecone nie wiadomo z czego lub poprzerabiane z góralskich domów. Wszystko stare i zaniedbane, koło domków brudno, stopy rupieci, prawie nie istnieją ogródki. W pokojach łóżka od siedmiu boleści, ze słomianymi siennikami, zamiast kołder jakieś skąpe kocyki, lichota, a w nocy podobno chłodno. Ściany nie wyglądają na to, aby chroniły przed zimnem. Moje pierwsze wrażenia były ujemne, obleciałam całe centrum. Według mnie byłoby najlepiej spalić te wszystkie rudery i następnie zbudować solidne osiedle z komfortowymi hotelami. Dziwię się różnym znajomym, którzy zawsze tak wychwalali Zakopane. Naturalnie powietrze, ale i ono na Krupówkach i w centrum przepojone jest dymem z kominów i różnymi innymi smrodami.

Ale w końcu znalazłam pokoik na pięterku z połową jakiegoś małego drewnianego balkoniku. Obok mojego pokoju poprzez ścianę jest drugi taki sam, pomiędzy nimi są nawet drzwi zastawione z mojej strony szafą.

Jadalnia bardzo ciasna. Cztery stoliki i jeden większy stół. Na razie wygodnie. Gospodyni narzeka, że goście w tym roku nie dopisali, wszystkiemu jest winna wystawa w Poznaniu. Płacę osiem złotych dziennie, ale jedzenie jest dobre i jak dotychczas nie mogę narzekać. Tylko tyle, że willa nie posiada bieżącej wody, kanalizacji, no i w wiadomych sprawach trzeba udawać się do małego domku przyczepionego do budynekczku po drugiej stronie podwórza. Całe szczęście, że podwórko jest małe, gorzej z tym w zimie. Ale teraz jest lato. Gospodyni pouczyła mnie zresztą, że można sobie te spacerunki jakoś uregulować, byle pamiętać o tym przed snem; a co do nocy, to może oddać pewne usługi szafeczka w stoliku nocnym! Zresztą gospodyni pocieszała mnie, że w nocy jest bezpiecznie, można śmiało wyjść na podwórze... Dobra sobie!

Nie byłam co prawda zmuszona do zamieszkania w takim prymitywie, ale postanowiłam wytrwać w mojej roli studentki na wakacjach. Oglądałam porządne pensjonaty, ale wszystko powyżej 10 złotych dziennie, przeważnie po 12 i 14 złotych. Droższych nie widziałam. Powiedziano mi w jednym miejscu 12 złotych za pokoik podobny do mojego, tylko z bardziej ludzkimi meblami i wytynkowanymi ścianami.

Myślę, że dobrze trafiłam. Śmieszy mnie jedynie napuszony styl moich sąsiadów. Sama Galicja. Czuję się w roli jakiejś biednej sieroty. W dodatku jestem najmłodsza i wszyscy uważają za święty obowiązek opiekować się mną. Najgorzej z naszymi paniami - tych jest przewaga. Na górze przez ścianę mieszka nauczycielka gimnazjalna z Krakowa, dama w średnim wieku, o której absolutnie nie można by nic napisać. Brak możliwości zaczepienia o coś. Jakieś zjawisko bezosobowe, rozplywające się w przestrzeni i uchodzące w ten sposób

obserwacji. Następne dwa pokoiki na pięterku są zajęte przez jakąś urzędniczkę również z Krakowa i przez młodego człowieka w wieku około 25 lat. Taki sobie brunet, szczupły, dość wysoki, małowówny, nic o nim nie wiem. Przychodzi jedynie na posiłki i zaraz znika.

W pokoiku na dole mieszka bardzo tęgi jegomość, którego tytułują inspektorem. W dwóch innych pokojach dwa starsze małżeństwa, w obu wypadkach już dobrze po czterdziestce. Jednego pana tytułują profesorem, drugiemu, jak dotychczas, nie wynaleziono jeszcze tytułu. Nie zdekonspirował się. Na razie panuje tutaj u nas jakaś niezrozumiała dla mnie mania tytułowania. Bawi mnie to wszystko: lubię obserwować ludzi we wszystkich odmianach.

Jedzenia nie będę opisywać. Dla mnie dobre. Bez frykasów, ale czyste, smaczne i obfite, wyrównujące niewątpliwie inne braki, łącznie ze spacerkami... Cielęcina i drób, pewnie również trochę baraniny, w każdym razie przyrządzają ją smacznie i bez zapachu. Góry, chowają barany, cóż zatem mieliby robić z takim mięsem? Trzeba przyznać bezstronnie, że kuchnia jest o całe niebo lepsza niż u moich gospodarzy na ulicy Młyńskiej, nie żałują masła.

Mnie interesują raczej ludzie. Otóż dogadałam się. Moja sąsiadka przez ścianę bawi tutaj już drugi raz i wszystko wie. Opowiedziała mi, że mąż naszej gospodyni pracuje w Krakowie i jest urzędnikiem w dyrekcji kolejowej. W Krakowie mają mieszkanie i tam dzieci chodzą do szkoły, opiekuje się nimi babka. W Zakopanem gospodarują na swój rachunek, jako dzierżawcy willi. Dom należy do zupełnie kogoś innego, właściciel mieszka daleko, w jakimś miasteczku pod Lwowem. Nasi kolejarze dorabiają się na prowadzeniu pensjonatu i tutejszym zwyczajem kupią lub postawią sobie w przyszłości, za kilka lat, własny domek. Kolejarz przyjeżdża na niedzielę do Zakopanego, przywozi prowianty, pomaga żonie w grubszych pracach, mieszkają w malutkiej przybudówce w podwórzcu. Kucharka i pokojówka mieszkają w jakiejś komórce nad naszym pięterkiem, gdzieś na stryszku.

Prowadzę spokojny żywot. Staram się nie chodzić po śródmieściu, nie mam tam nic do szukania i znalezienia. Na razie spaceruję na drodze pod Regłami. W przyszłym tygodniu wybieram się w głąb Doliny Strążyskiej, o ile dopisze pogoda - na Giewont.

Dotychczas nie spotkałam nikogo znajomego. Tylko w przelocie zauważyłam kilka twarzy znajomych z uniwersytetu, ale tylko z widzenia. Obyło się bez witania i bez rozmów. Może mnie nie poznali, trudno zaś mnie pierwszej uśmiechać się czy też podejść jedynie dlatego, że to Zakopane. Na spacerzy chodzę z moimi sąsiadkami z pięterka.

Czwartek - 1 sierpnia

Lipiec już się skończył. Wczoraj opuściła mnie moja sąsiadka zza ściany. Przebywała w Zakopanem cały miesiąc, na sierpień jedzie do rodziny gdzieś do Tarnowa czy Tarnobrzegu. Na razie pozostałam na górze sama z urzędniczką z naprzeciwka, która odjedzie dopiero w połowie sierpnia.

Ciekawa jestem, kogo mi bogi przyniosą do sąsiedniego pokoju.

Dzisiaj byliśmy już po raz drugi w Strążyskiej. Jest tam bardzo ładnie, można podejść prawie pod samą ścianą Giewontową patrząc od strony Zakopanego. Wyjście jednak na tę górę jest z innej strony, podobno łatwe, chodzą nawet dzieci.

Niedziela rano - po śniadaniu

Dzisiaj wczesnym rankiem miałam przygodę. W nocy spałam tak mocno, że nie słyszałam, jak wprowadził się do sąsiedniego pokoju nowy lokator. Przyjechał około północy, ciekawa jestem, jak trafił od razu do naszego pensjonatu. Ja przecież na to samo zmarnowałam prawie cały dzień. Widocznie fiakier lub ofiara naganiacza.

Była godzina jakaś ósma. Leżałam jeszcze w łóżku, okno, a raczej połówka oszklonych drzwi była otwarta na balkon, uchyliłam wczesnym rankiem dla świeżego powietrza i następnie z powrotem zasnęłam. Nagle jakaś głowa wjechała do mego pokoju. Oboje

zglupielismy i dopiero po chwili facet, w spodniach od pidzamy i z gołym torsem, cofnął się na balkon, mówiąc spokojnie, jak gdyby nigdy nic:

- Aaa, przepraszam... -- Nie cofnął się jednak do swego pokoju i w dalszym ciągu tkwił przy barierce balkoniku.

Także zwyczaję! Ja leżałam w dalszym ciągu w łóżku przykryta jedynie kocykiem i w takim stanie, że nie mogłam opuścić łóżka. Drzwi na balkon były w dalszym ciągu otwarte, a goła pierś w spodniach tkwiła przy poręczy. Co robić? Dzwonek. Zadzwoiłam, po chwili ktoś zapukał do zamkniętych drzwi. Owinięta kocykiem smyknęłam szybko ku drzwiom. Na razie koniec. Śniadanie zjadłam u siebie w pokoju. Ale typ w dalszym ciągu jest mocno bezczelny, mimo że pokojówka jako tako zasłoniła okno w drzwiach jakąś serwetą.

Po południu

Typ jest rzeczywiście bezczelny. Podczas obiadu podszedł do naszego stolika i zamiast normalnego przedstawienia się powiedział do nas:

- Panie pozwolą? - Potem biorąc w rękę oparcie krzeselka, dopowiedział z pewnym siebie uśmiechem: - A my to właściwie już się znamy od rana.

Obie spojrzaliśmy na siebie, koleżanka pensjonatowa z jakimś niemym zapytaniem. A młody człowiek rozpoczął od razu trajlowanie bez przecinka. Nie zraził się ani naszym milczeniem, ani półgębkowymi odpowiedziami. Po obiedzie, bez jakiegokolwiek inicjatywy z naszej strony, zaprosił nas obie bezosobowo na dansing, mówiąc:

- Tak koło czwartej moglibyśmy wyjść z domu. U Trzaski jest trochę potańcówki, panie tam bywają? A zatem koło wpół do piątej? Zapukam do pań... a druga pani gdzie mieszka?

Moja koleżanka z piętra i od wspólnych spacerów wybawiła mnie z kłopotu, mówiąc:

- Dziękujemy panu, mamy już inne projekty na dzisiaj.

Już mówiłam pokojówce. Gospodyni przyrzekła jeszcze przed wieczorem zaopatrzyć moje szyby drzwiowe w odpowiednią zasłonę. Pokojówka natomiast powiedziała bardzo szczerze:

- Oni, ci panowie, to zawsze są tacy, leżą nawet do naszej komórki na strychu, opędzić się nie można. Nasza kucharka ma na nich sposób, jak im powie, to od razu mają dosyć. Ona jest mocna w mówieniu, wiadomo, ona z dużego miasta i odważna.

A zatem to tak? Ktoś puka, proszę.

Wieczorem

To jednak jest bezwstydnny typ. Albo niesłychanie odważny. Nie umiem nazwać. Naturalnie wlaźł do mojego pokoju. Naprzód zaczął od tego, że powiedział:

- Już piąta, a panie jeszcze w domu! Panie opowiadały, że idą gdzie indziej, a pani jeszcze siedzi w domu?

Następnie typ usiadł swobodnie na drugim krzeselku przy stoliku i na razie nie patrząc na mnie, prawie wyjął mi z ręki bloczek do stenografii.

- A to co? Stenografia? Czy pani uczy się nawet na wakacjach? Na dole mówiono mi, że pani studiuje w Poznaniu.

I tak dalej w kółko. Jak tu się od niego odczepić? Nie umiałam. Była rzeczywiście godzina piąta. Trochę odpowiadałam, czyniłam to niechętnie i myślałam, że nieproszony gość po zorientowaniu się sam opuści mój pokój. Ani trochę. Jaki typ? Taki przeciętny, którego można spotkać codziennie w tramwaju czy na ulicy i nie zapamiętać. Może ze trzydzieści dwa lata. Wąsik krótko przystrzyżony, usta mięsiste. Włosy bardzo ciemne, przedziałek na środku, fryzura ulizana i mocno skropiona wodą kolońską. Ubranie jasne, noszone przez tysiące mężczyzn. Koszula sportowa, otwarta, bez krawata. Marynarka rozpięta.

Obserwowałam niezwykle chłodno. Zaryzykowałam w końcu:

- Proszę pana... pan mnie nie zna, ja pana nie znam, jaki cel w ogóle mają pańskie odwiedziny w moim pokoju? To, że mieszkamy pod wspólnym dachem i przez ścianę, to jeszcze nie powód do...

Typek nie zmieszał się:

- Nie znamy się? - powiedział pretensjonalnie i dodał: - Jerzy Ledworski, z Warszawy jestem. Następnie usiadł i mówił dalej: - No teraz to już mnie pani zna? Wakacje, kto by tam zwracał uwagę na jakieś chińskie ceremonie. Pogoda, słońce, góry, czego nam jeszcze więcej potrzeba w Zakopanem?

Było to w dodatku powiedziane w sposób fryzjersko-filuterny, jak gdyby ten pan Ledworski oczekiwał ode mnie tylko jednej odpowiedzi: Ach tak! tylko pana mi brakowało do tego kompleciku!

Patrzyłam z niepokojem na wariata. Próbowałam i w ten sposób:

- Proszę pana, każdy ma swoje własne sprawy. Może pan dobrać sobie inne towarzystwo? Jak pan widzi, uczę się. Nie mam czasu i ochoty na dansingi. Tyle jest innych pań w Zakopanem.

Mówiłam jeszcze coś, czego nie zapamiętałam. W końcu byłam zła, gość jednak nie myślał ustępować. Gadał i gadał, wywracając przy tym oczami. Co robić? Powstałam z krzesła, postąpiłam ku drzwiom. Typ wstał również, jakby z zamiarem zastąpienia mi drogi. Wysłałam jednak nie oglądając się i zostawiłam go samego w pokoju. Zapukałam do drzwi naprzeciwko, koleżanki już nie było, widocznie wyszła. Typ stał tuż za mną, prawie mnie brał za rękę. Odtrąciłam go. Coś mu powiedziałam. Wyciągnął rękę i nagle bez żadnego ostrzeżenia pochwycił mnie mocno w ramiona i pocałował w usta. W pierwszej chwili zeszytniałam i zgłupiałam, krew uderzyła mi do głowy. Tego się nie spodziewałam i nie byłam na to przygotowana. Trwało to jednak krótko. Drugi pocałunek pobudził mnie do akcji. Wyrwałam mu się z ramion i z całej siły rąbnęłam pięścią w nos.

Był to czyn najmniej oczekiwany przez napastnika. W małej sionce nie było zbyt jasno, światło padało jedynie od strony otwartych drzwi do mojego pokoju. Ale tylko jedno widziałam. Przestraszenie i zdziwienie. Dalej już nie patrzyłam. Zbiegłam szybko ze schodów na dół. Na dole nie było żywej duszy. Otworzyłam drzwi do kuchni. Nareszcie. Gruba kucharka siedziała na niskim stołeczku i obierała kartofle.

- Państwo poszli oboje do kina. Prawie wszyscy od nas poszli do kina, ja również poszłabym, ale cóż? Kto by wam ugotował kolację? Grają tacy... komedianty, ale dobrzy, Pat i Patachon, cóż, kiedy ja mam wychodne dopiero w przyszłą niedzielę.

Powoli się uspokajałam. Przeczekałam do kolacji u kucharki. Wysłałam ją na górę, zamknęła mi pokój i przyniosła klucz. Podczas kolacji umyślnie przysiadłam się do innego stolika. Małżeństwo, które siedziało przy tym stoliku, było zdziwione taką zmianą miejsca, ale na razie oboje nic nie mówili. Dopiero pod koniec żona powiedziała do mnie:

- Obserwowałam podczas obiadu. To z tego powodu?

Jakoś na razie wykręciłam się od jasnej odpowiedzi. Nawiązałam jednak rozmowę, okazało się, bardzo mili ludzie. To właśnie są ci, o których wspomniałam, że nie znaleziono dla nich jeszcze żadnego tytułu. Dowiedziałam się dopiero obecnie, że pochodzą również z Krakowa i że są właścicielami małego składu z papeterią, nazywają się trochę osobliwie: Bębenkowie.

A więc kupcy, to już dobrze. Mogłam zaufać. Opowiedziałam im o zdarzeniu. Byli oburzeni, kupiec chciał od razu zrobić typkowi awanturę. Nie było go jednak pod ręką. Co robić? Naturalnie w pierwszym rzędzie opowiedzieć gospodarzom.

Kolejarska para dzierżawców nie umiała czy też nie chciała zająć stanowiska. Wykręcili się, nowy gość zapłacił im dzisiaj rano z góry za całe dwa tygodnie. Jakże więc wyrzucić „takiego” gościa? Kupcy twardo stanęli po mojej stronie. Okazało się, że tamten zadzwonił i kazał przysłać sobie kolację na górę do pokoju. Podobno chory - boli go głowa.

W końcu nastąpiło Salomonowe załatwienie sprawy. Przeniesiono mnie do podwójnego pokoju na parterze. I oto już obecnie leżę na nowym łóżku i rozpamiętuję wypadek z ołówkiem w ręce. Co robi typ? Pewnie przyniesiono mu octanu glinkowego i przykłada sobie na pokrwawiony nos. Opowiadała mi pokojówka, że mój były sąsiad odwrócił się do niej tyłem, gdy zamawiał kolację na górę. Co będzie jutro? A może lepiej byłoby wynieść się do innego pensjonatu? W każdym razie zrobiłam doświadczenie: kupcy zawsze trzymają się razem. Pomagają sobie, gdy chodzi o ich wspólne interesy życiowe, to znaczy tam, gdzie nie wchodzi w grę interesy zarobkowe. Oboje ujęli się za mną i energicznie wystąpili wobec kolejarskich dorobkiewiczów. Tacy dorobkiewiczowie z urzędników są najgorsi, pierwsze pokolenie kramarskie. Nawet w moim wypadku usiłowali zarobić, żądali o dwa złote więcej ze względu na większy pokój, lecz pan Bębenek wyraźnie postawił sprawę:

- Niech pani więcej nie płaci, jutro wyszukamy sobie wszyscy troje inny pensjonat. Cóż pani jest temu winna, że... wynajęli pokój jakiemuś bydlakowi z Warszawy?

Na tym się skończyło, kolejarzom zrobiło się żal, mogli utracić od razu troje gości, powiedzieli: dobrze, ale bardzo niechętnie.

Parter dość wysoki. Sprawdziłam; chyba się nie wyskrobie i nie wybije szyby? Taki typ jest na wszystko gotowy. Ciekawa jestem, jak się ułoży nasze najbliższe spotkanie, jak się zachowa wobec mnie. Koleżanki dotychczas nie ma. Wyszła zaraz po obiedzie, miała zamiar pójść na jakieś przedstawienie teatralne w Morskim Oku. Kazała zostawić sobie w pokoju zimną kolację. Prosiłam kucharkę, aby ją przyprowadziła do mnie po powrocie z teatru, warto ją uprzedzić. Ona mieszka również na górze, tylko tyle, że jej sąsiad zachowuje się całkiem przyzwoicie.

Późną nocą

Urzędniczka oburzona. Siedziała u mnie przeszło godzinę i uspokajała mnie. To podobno jest na porządku dziennym w Zakopanem. Tutaj na odmianę wszyscy mężczyźni są agresywni. Z wyjątkiem tylko tych, którzy całymi dniami chodzą po górach; ci się wyżywają w inny sposób i po powrocie do domu zaraz z wieczora zasypiają na amen. Tutaj w Zakopanem w brydża grywają tylko starsi ludzie, młodszy natomiast zabawiają się romansami, w rozmaity sposób... Nie warto opisywać. Sąsiadka zaraz jutro przysiadzie się do naszego kupieckiego stolika i w ten sposób typ będzie miał do dyspozycji oddzielny stolik. Na dobranoc pocieszała mnie, mówiąc:

- Ja byłabym pozbyła się faceta w inny sposób. Szkoda było ręki. Wystarczyło porządnie wykpić i powiedzieć coś do słuchu. U nas w biurze również miałyśmy takich zdobywców, ale ostatnio ochłodli i dali spokój. Jest nas w biurze pięć kobiet, sprawę załatwiłyśmy raz na zawsze i mamy spokój. Przecież chłopcy powinni czekać na zachętę z naszej strony, a nie tak od razu brać pod gardło. Już podczas obiadu pani sąsiad był nienormalny. Dziwnie błyszczały mu oczy. Warszawiak, my ich znamy w Krakowie zbyt dobrze. Rozpychają się. Im się wydaje, że tylko w stolicy są mądrzy. Ich Warszawa - górą, a my wszyscy - to tumany. Zresztą dobrze pani mu zrobiła, co ma, to ma, i będzie miał nauczkę na całe życie.

Nie mogę jakoś zasnąć. Szukam pocieszenia - jak zwykle - w moim notatniku. To naprawdę dobry pocieszyciel, można się przed nim użalić. W naszym krynickim pensjonacie podobny wypadek byłby niemożliwy, typ wyleciałby w ciągu pół godziny. No, ale trudno, widocznie trzeba w życiu doświadczać różnych rzeczy.

Środa

Ułożyło się. Typ uspokoił się. Patrzy na mnie jak na powietrze. Siedzimy przy stoliku w czwórce. Teraz dopiero rozkręcają się moje wakacje. Jutro jedziemy landem (?) do Morskiego Oka. Idziemy wcześniej spać, by mieć siły do tej wycieczki. Wczoraj minęły dwa

tygodnie od mojego przyjazdu. Podczas dzisiejszego obiadu przysiadła się do nas nasza gospodyni i powiedziała tonem pojednawczym:

- Widzicie państwo, wszystko się wyrównało. To było tylko małe nieporozumienie. Podobno pan Ledworski spotkał przed południem kilku kolegów, byli na śniadanku, wypili po kilka kieliszków, no i... Ale obecnie zachowuje się całkiem grzecznie, i jest... korekt. -
Ano niech i tak będzie, z tym... korekt!

Czwartek - w nocy

Morskie Oko. Po powrocie do domu zastałam telegram. Umarł dziadek Jambor. Pogrzeb w sobotę po południu o trzeciej. Czy zdążę do Grudziądza? O północy mam pociąg. W Grudziądzu będę gdzieś w nocy z piątku na sobotę. Czekam na górala, który zawiezie mnie na dworzec.

Piątek rano

Już przesiadłam się do warszawskiego pociągu. Nie ma sensu jechać jakąś łamigłówką na Łódź i Kutno. W Warszawie będziemy koło godziny trzeciej. Piątek. W nocy po drodze z Zakopanego nie mogłam spać. Drzemałam i budziłam się co chwilę. Myślałam o zmarłym dziadku. Zamykałam oczy i stawał przede mną obraz dziadka Jambora. Nawet nie dziadka Benona, a po prostu starego i przygarbionego Jambora. W obrazie tych wspomnień było wszystko, co mnie łączy z Jamborami, i równocześnie wszystko, co mnie od nich odpycha i wypędza w inny świat.

Obecnie siedzę w pospiesznym pociągu, jest w nim wyjątkowo dość przestronnie, mam wygodne miejsce przy oknie, tyłem do kierunku jazdy. Robi się śliczny dzień. Będzie świeciło słońce, a ja jadę właśnie na pogrzeb mojego jedyne go dziadka, którego znałam. Na pogrzebie ojca mojej matki nie byłam. Nie zabrali mnie z sobą, jedynie powiedzieli: „Bądź grzeczna, jedziemy na pogrzeb twojego dziadzi”. I na tym był koniec. Pamiętam, miałam wówczas pięć lat. To było pierwsze wydarzenie w życiu dziecka, które zostało mi w pamięci. Można powiedzieć, że od tego momentu zaczęło się życie mojej pamięci.

Mój dziadek Jambor. Raczej bałam się tego dziadka. Zawsze przyglądał mi się spod czoła, poważny i zamyślony. Zawsze jednakowo całowałam go w rękę jak jakiegoś księdza, on jednak nigdy mnie nie pocałował, nawet w czoło, jak to czynili inni dziadkowie w stosunku do wnucząt. Dziadek jest bardzo stary, nie wiem, ile ma lat, podobno grubo ponad osiemdziesiąt. Dawniej, jeszcze w kupieckich czasach, dziadek Jambor pomimo swego wieku wyglądał kwitnąco. Wyprostowany, zawsze ubrany w ciemne kolory, ze sztywnym kołnierzykiem, w krawat wpinał różnego rodzaju staromodne szpilki. Przeważnie były to korale, pamiętam jednak również odświętną szpilkę z dużą perłą, otoczoną wianeczką brylancików. Matka mówiła, że ta szpilka warta jest co najmniej dwa tysiące marek. Pochodziła podobno z bardzo dawnych czasów, jeszcze po dziadkach mojego dziadka. Co się z nią stało? Może znajduje się jeszcze w spuściźnie po dziadku?

Właściwie co zostawił po sobie dziadek Jambor? Ojciec zawsze opowiadał, że dziadek zbankrutował nie na interesach z żelazem, lecz na spekulacjach domami - po zmianie państwa. Ciekawe, że ojciec dorobił się na kupnie w Wąbrzeźnie, a dziadek stracił. Podobno dziadek napiął interesy do niemożliwych granic i przyjął zbyt bliskie terminy regulacji. Stosunki natomiast dość szybko ustabilizowały się, handel powrócił do równowagi, zapasy towarowe zwyżkowały, natomiast domy stały. Tymczasem trzeba było regulować ceny kupna, a z gotówką w porządnym dolarach stało się nagle krucho. Dopiero długo potem ceny zaczęły skakać, a papierowe marki spadać. Wytworzyła się trudna sytuacja - było już za późno i dziadek przyplacił grynderstwo stratą interesów żelaznych. Naprzód poszła filia w Wąbrzeźnie, krótko potem centrala w Grudziądzu i gdańska agentura. Być może nawet strata filii w Wąbrzeźnie została spowodowana przerwaniem się naszego ojca na żydowskie

blawaty. Podobno właśnie to nasz dziadek zawsze wypominał swemu imiennikowi. Natomiast sam dziadek zmarnował żelazną spuściznę po swoim dziadku. Nie przetrwała ona nawet trzech pokoleń kupieckich. Dzisiaj, po rocznym rozejrzeniu się w ekonomii, zgola inaczej patrzę na te sprawy.

Ciekawa jestem tego wszystkiego, co nastąpi po pogrzebie. Dwie córki z różnych matek, bo zakonnica, się nie liczy, Katarzyna z Bussów i Magda z Kawczyńskich. Czterech synów, ojciec, Paweł, Józef i Marcin, bo znów nie liczy się stryj Juliusz, mieszkający gdzieś bardzo daleko, w Chicago. Przyjadą pewnie wszyscy, prócz tego będzie mnóstwo Kawczyńskich. Dziadek lubił wiejską rodzinę swojej drugiej żony, natomiast w starości nie mógł znieść rodziny Bussów, kłuli go widocznie w oczy swymi milionami zarobionymi na kominiarstwie i lichwie. Kawczyńscy, oni zawsze stali murem za naszym dziadkiem. Przyjedzie pewnie ten nasz rodzinny, gruby kanonik. To będzie ładna dekoracja pogrzebowa, taki kanonik sprowadzi na pogrzeb moc księży, przynajmniej wszystkich grudziądzkich. Jak to będzie wyglądać?

Żalobę przywiezie mi chyba Zośka, ona o wszystkim pamięta. Zresztą będzie na to czas jeszcze przed południem w Grudziądzu. Pogrzeb o trzeciej. W Warszawie mam kilka godzin czasu. Spróbuję zadzwonić do Florencji, Marcin pewnie już pojechał do Grudziądza. Ale na tym kończę, brak mi spokoju do pisania. Dziwne, za życia rzadko wspominałam mojego dziadka, obecnie po śmierci staje mi ustawicznie przed oczami, muszę tylko o nim myśleć.

Warszawa

Już dzwoniłam. Stryj Marcin jedzie do Grudziądza dopiero późnym wieczorem, gdańskim pociągiem. Na razie czekam w poczekalni na dworcu. Mają przysłać po mnie samochód. Na pogrzeb pojedę razem ze stryjkiem. Florencja mówiła, że zaraz zamówi dla nas pokoje w „Królewskim Dworze”. W Grudziądzu będziemy koło godziny drugiej w nocy, sprawdziłam w rozkładzie. Bardzo dobrze, że pojedę ze stryjem Marcinem.

Grudziądz - sobota późną nocą

Już po wszystkim. Pogrzeb był bardzo wystawny. Dużo księży, szli parami, przed nimi zakonnice w kornetach. Cała rodzina. Nie wiadomo, po co razem z Frankiem Świetlikiem przyjechał doktor Michalski z Poznania. Widocznie w braku własnej rodziny garnie się do naszej. Miły, starszy pan, bardzo go lubię. A może przyjechał pilnować, by Mela nie zrobiła jakiegoś głupstwa?

Jestem zmęczona, lecz nie mogę spać. Po pogrzebie synowie podejmowali gości w osobnym gabinecie w hotelu. Było ponad pięćdziesiąt osób, bardzo wystawnie, z winami. Po raz pierwszy widziałam tak wielkie zebranie rodzinne. Na pierwszym miejscu prezydiował nasz kanonik. Było mu z tą funkcją bardzo dobrze. Po jego prawej stronie siedział mój ojciec, po drugiej Marcin. Obok Marcina ja, a obok mojego ojca ciotka Katarzyna. Na cmentarzu było paręset osób. Dziadka pochowano w grobowcu rodzinnym, obłożonym czarnymi marmurami. Na froncie grobowca figuruje wyzłocony gotycki napis: Familie Jambor. Na najstarszej płycie: Martin Jambor geb. 1792.- gest. 1871. Tyle zapamiętałam, muszę obejrzeć dokładnie płyty na grobowcu.

Jutro w południe zebranie rodziny w mieszkaniu zmarłego dziadka. Notariusz mówił, że dziadek zostawił testament. Ciekawe, ja trzymam się stryjka Marcina, mój własny ojciec jest zupełnie pochłonięty pogrzebem. Wydaje się, że zapomniał o swej najmłodszej córce. Zośkę przygarnęli Bussowie, mnie chcieli również, ale się wymówiłam. Jest mi wygodniej w hotelu. Świetlikowie naturalnie również u naszych kominiarskich krewnych. Jakżeby inaczej? Tylko stary doktor razem z nami w hotelu. Pelasia została w domu z dziećmi. Na pogrzebie paradował jedynie szwagier Tuchołka - w czarnym ubraniu i z cylindrem na głowie. Świat się kończy, skąd jemu do cylindra? A może wyobraża sobie, że to jest urzędowy strój dyrektorów

banku, albowiem z takim Tuchołką to nigdy nie wiadomo. Marcin zaśmiewa się w kułak z naszego Piotrusia. Jeszcze więcej z jego polityki. Stryj mówi, że widocznie strzelcom nie starczyło własnych ludzi do obsadzenia wszystkich Wąbrzeźn i byli zmuszeni uciec się do pomocy miejscowych... tuchołków.

Stryj Józef z synem umieścili się u znajomych kupców, zapewne również kupców drzewnych. Paweł i Herta podjechali z Brodnicy samochodem i wieczorem odjechali, ale wrócą jutro, na otwarcie testamentu.

Niedziela - 11 sierpnia

Pozostaję jeszcze w Grudziądzu. Stale w hotelu. W rodzinie prawdziwe zamieszanie. Sama jestem również zdenerwowana, gdyż stało się inaczej, niżby tego można było się spodziewać. Całkiem nienormalnie. Rodzinę zatkało. Było tak:

Rozsunięto drzwi pomiędzy olbrzymią jadalnią a gabinetem dziadka. Przy stole jadalnianym usiadło ponad dwadzieścia osób, u szczytu umieścił się notariusz, a po jego obu rękach mój ojciec i kanonik Kawczyński. Ja gdzieś daleko, nawet nie przy stole, wtulona w fotel stojący w kącie. Spróbuję odtworzyć z notatek testament naszego dziadka.

„W imię Jezusa Chrystusa, Pana naszego, pożegnanie serdeczne dla wszystkich moich dzieci, wnuków i prawnuków. Wzywam was, byście trwali w miłości do Boga i w zgodzie rodzinnej. Pomagajcie sobie wzajemnie i pamiętajcie o tym, że wszyscy pochodzicie z jednej rodziny. Niech was wszystkich jednoczy w tym córka moja Róża, która już w młodości poświęciła się służbie Bożej i usunąwszy się z tego świata, w zamkniętych murach klasztornych modli się o zbawienie wieczne wszystkich nas, bez względu na to, do jakiego wyznania należymy.

Jeżeli chodzi o doczesne sprawy tego świata, ja, Benon Jambor, w pełni świadomości tego, co czynię, majątkiem moim rozporządzam i proszę moje dzieci, aby wolę moją ostatnią uszanowały.

Majątek nie jest duży, ponieważ w ostatnich latach życia odstąpiłem od dobrych zasad kupieckich moich przodków i w starszym już wieku, oślepiony żądzą zgromadzenia bogactw, w zaślepieniu porzuciłem spokojny zawód kupca i utraciłem przedsiębiorstwo przekazane mi przez moich świętej pamięci Rodziców. Spotkała mnie za to słuszna kara Boża. Wszystko, co zdołałem uratować, to jedynie ten dom, w którym wy, moje dzieci, obecnie siedzicie zgromadzeni i wysłuchujecie mojej ostatniej woli.

Przestrzegam was zatem przed gorączką złych, spekulacyjnych interesów i w spuściźnie po mnie daję wam zalecenie, abyście każde w swoim zawodzie żyli spokojnie i zawód swój wykonywali bez pożądania milionów i wielkich zysków czy majątków. W tym was błogosławię, w przeciwnym razie błogosławieństwo moje i Boskie was odstąpi, podobnie jak to stało się ze mną.

W ostatnich latach udało mi się wyrównać wszystkie złe skutki moich szaleństw i równocześnie dzięki niezwykle spokojnemu i oszczędnemu postępowaniu pozostawiam moją grudziądzką realność w stanie wolnym od długów. Z ruchomości pozostawiam umeblowanie i inne rzeczy wartości szacunkowej w kwocie 33 tysiące i 750 złotych, spis tych rzeczy jest w załączeniu do testamentu. Na moim koncie bankowym znajduje się ponad 19 tysięcy gotówki, prócz pieniędzy, które znajdują się w chwili śmierci mojej w mieszkaniu, w szafie żelaznej. Długów żadnych nie posiadam, ze wszystkimi wierzycielami z okresu zaburzeń finansowych ugodziłem się i spłaciłem ich w całości. Imię moje, Benona Jambora, byłego kupca grudziądzkiego, jest czyste i synowie moi w uczciwości swojej mogą się na nie powoływać.

Majątkiem moim rozporządzam w sposób następujący:

Córka moja Katarzyna - urodzona z mojej pierwszej żony Elżbiety, została przeze mnie całkowicie wyposażona przy ślubie. Otrzymała realność w Bydgoszczy wartości dwudziestu tysięcy talarów, gotówkę i wyprawę kupiecką, stanowi naszemu odpowiednią. Synowi

mojemu Benonowi pomogłem w roku 1920 i dzięki temu mógł ustalić się we własnym przedsiębiorstwie w Wąbrzeźnie. Syna Józefa, kupca drzewnego w Gdańsku, wyposażyłem na drodze samodzielnej, jak należało mnie, ojcu. Syn Paweł dzięki swemu małżeństwu oraz dzięki swojej niestrudzonej pracy i wytrwałości dorobił się własnego majątku, który w zupełności zapewnia przyszłość jego dwojgu dzieciom. Córka moja Róża poświęciła się Bogu i nie potrzeba jej nic oprócz naszych modlitw. Córka Magda złączyła swój los z rodziną swego brata Pawła i według jej własnych zapewnień niczego jej nie potrzeba. Syn mój Juliusz opuścił nasz kraj i naszą rodzinę i osiedlił się w Ameryce. Według jego zapewnień powodzi mu się nieźle i na własną rękę ustalił swój byt. Najmłodszy natomiast z moich synów porzucił stan kupiecki, skończył uniwersytet i poświęcił się karierze urzędniczej. Mnie osobiście, jako kupcowi, nie podobało się ani jedno, ani drugie. Jako ojciec jednakże mam obowiązek zatroszczyć się o jego przyszłość, tym bardziej że nie ja pokrywałem koszty jego studiów. Wyręczała mnie w tym moja najstarsza siostra Pelagia ze swoich sum posagowych umieszczonych w naszym grudziądzkim przedsiębiorstwie rodzinnym.

Mając to wszystko na względzie, i po głębokim namyśle, moją nieruchomości w Grudziądzu w całości zapisuję mojemu najmłodszemu synowi Marcinowi w tym celu, aby mu zapewnić dobre i solidne podstawy materialne dla jego ambitnych zamierzeń jako urzędnika, co jest nowością w naszej kupieckiej tradycji rodzinnej, zapoczątkowanej przed stu laty przez mojego dziadka Martina, po którym imię dziedziczy właśnie mój syn najmłodszy.

Ruchomości pozostawiam moim córkom i synom do zgodliwego podziału. Dopilnuje tego córka Magda, z którą już rozmawiałem kilkakrotnie o tych sprawach. Dzieci moje proszę, aby meble i inne rzeczy, z których wiele jest spuścizną jeszcze po moich pradziadkach, zachowali w swym posiadaniu i ich nie sprzedawali! Niech to będzie trwała i widoma pamięć po naszych przodkach, prowadząca was wszystkich do zgody i miłości rodzinnej.

Pieniądze złożone w banku przeznaczam do równego podziału pomiędzy moich wnuków i wnuczki: Franciszka i Melanię z córki mojej Katarzyny, Pelagię, Zofię, Krystyna i Annę z syna mojego Benona, Henryka z syna mojego Józefa oraz Maksymiliana i Hertę z syna mojego Pawła. Niech to będzie dla nich wspomnieniem po dziadku, któremu zawsze okazywali oznaki przynależnego mu szacunku i miłości. Wnuków moich również przestrzegam, aby się wzajemnie kochali i wzajemnie sobie pomagali. Niech utrzymują pomiędzy sobą łączność rodzinną, ponieważ rodzina jest podwaliną życia uczciwego człowieka. Pozostawiam im moje błogosławieństwo dziadka i najstarszego członka rodziny Jamborów.

Moje ubrania i osobistą bieliznę należy oddać ubogim naszego miasta, w domu starców. Z gotówki będącej w moim mieszkaniu w chwili śmierci należy pokryć wydatki związane z pogrzebem.

W zakończeniu pozostawiam dwa legaty gotówkowe. Pierwszy z nich dotyczy mojej długoletniej gospodyni Wilmy Krauthof, która pracowała w mojej rodzinie ponad trzydzieści lat. Na jej imię obciążyłem hipotekę mojej nieruchomości kwotą złotych pięciu tysięcy, w uznaniu za jej wierną i oddaną pracę, nacechowaną przywiązaniem do naszej rodziny. Równocześnie proszę mojego syna Józefa, aby dotrzymał danego mi za życia przyrzeczenia, umieścić Wilmę Krauthof w swoim gdańskim domu i zabezpieczył jej w ten sposób spokojną starość.

Drugi legat dotyczy mojej wnuczki Anny, córki Benona. Doniesiono mi, że Anna przed kilku miesiącami wybrała trudną drogę dla kobiety i postanowiła ukończyć uniwersytet. Ponieważ sam dyplom akademicki nie daje od razu kawałka chleba, postanowiłem obdarzyć wnuczkę Annę pewną kwotą, która umożliwi jej i pomoże rozpocząć pracę zawodową po skończeniu uniwersytetu. W związku z tym proszę syna Marcina, jako mojego generalnego spadkobiercę, aby wypłacił Annie w dniu uzyskania dyplomu kwotę złotych dziesięciu

tysięcy. W wypadku gdyby wymieniona wnuczka nie ukończyła uniwersytetu, kwota ma zostać wypłacona jej w dniu ślubu. Osobiście jednak zwracam się do mojej wnuczki z wezwaniem, by zamiar swój zrealizowała i doprowadziła do końca, ponieważ Jamborowie nigdy nie cofali się w połowie drogi.

Rozporządziwszy tym wszystkim, co pozostawiłem na tej ziemi, proszę o wybaczenie mi zła i przykrości, których mogłem się dopuścić w moim długim życiu. Módlcie się, moje dzieci, za moją biedną i grzeszną duszę”.

I jeszcze dopisek o znaczeniu prawnym: „Wykonawcami mojego testamentu czynię mojego kuzyna, księdza i kanonika Józefa Kawczyńskiego, oraz mojego długoletniego doradcę i przyjaciela, notariusza...”

To byłoby wszystko. Trumna ze zwłokami dziadka Jambora została wczoraj zamknięta w grobowcu rodzinnym i oto w dniu dzisiejszym zapanowało milczenie przy rozsuniętym stole w jego mieszkaniu. Długie milczenie, krzyżowanie się spojrzeń, jakieś, mało ważne, ceremonialne przemówienie osoby duchownej. Pomimo to nie nastąpiło jeszcze jakieś odprężenie. Dopiero po dobrej chwili gdzieś w połowie stołu siedzący stryj Marcin powstał i oświadczył spokojnym, poważnym głosem:

- Jestem wdzięczny naszemu ojcu za tak hojny zapis. Co prawda podobno w naszej rodzinie obowiązywała tradycja, że zwykle suciej obdarzano najmłodszego syna, ja jednak uważam, że będzie daleko milej i serdeczniej, gdy wszyscy synowie i córki podzielimy się w równych częściach spuścizną po naszym ojcu. Mam na myśli nieruchomości w Grudziądzu. Co do reszty, to nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy rodzinne meble umieścili w naszych domach jako drogie sercu pamiątki po rodzinie naszego ojca, według spisów znajdujących się w rękach siostry Magdy. To samo dotyczy wnuków i wnuczek naszego ojca.

Nikt nic nie odpowiedział na przemówienie stryja. Jakże urósł w moich oczach Marcin! Żaden z jego braci nie mógłby mu dorównać. O moim ojcu nie ma nawet mowy. Wszystko dziwne, bardzo dziwne. Co do mnie, to naprawdę spoważniałam po dzisiejszym dniu. Rozum mój zyskał, można powiedzieć: upełnoletnił się.

Jak reagowali inni? Notariusz był mocno zdziwiony, nie spodziewał się tego. Kanonik podszedł do Marcina, ujął go pod ramię, podprowadził do okna i coś mu obszernie tłumaczył. Stryj Marcin kręcił głową, potem machnął ręką i sprowadził kanonika z powrotem do towarzystwa przy stole. W chwilę później podano nam wino i ciasta. Rozmowy stały się luźne, zebrani podzielili się na grupki. Stryjowie Marcin i Józef uprowadzili mnie w zamieszaniu z mieszkania dziadka. Poszliśmy następnie do małej restauracyjki na uboczu, gdzie spożyliśmy spokojnie obiad. Z moim ojcem spotkałam się dopiero wieczorem w hotelu. Podczas obiadu we troje stryj Józef nie pochwalał bynajmniej postępków Marcina.

- O mnie nie chodzi, ja już mam moje pieniądze, ale tobie, Marcinie, przydałyby się jakieś grubsze. Z tej twojej pensji... Wiesz co, Marcinie? - tylko ty, Anno, zachowaj to w tajemnicy, bo ja nie chciałbym zadzierać z rodziną. Po twoim geście ojciec Anny obstawał przy tym, aby z podziału wyłączyć Katarzynę, a ta znów gdzieś na uboczu wyklinała od podziału naszego Juliusza. Ale upominki z dolarami to od niego zawsze mile przyjmowała. Widzisz, testament ojca zamiast połączyć nasze rodzeństwo narobił nieporozumień i niechęci, w dodatku twój gest...

Stryj Marcin jest cudowny. Również stryj Józef. Ten ostatni powiedział mi:

- Tobie, Anno, nie opłaci się już wracać do Zakopanego, Umówiłem się z naszymi w Gdańsku. Właśnie wróciła Elfryda i dopomina się o ciebie. Spędzicie kilka tygodni razem w Gdańsku, teraz trwa jeszcze główny sezon, będzie wam wesoło. Będzie z was dobrana trójka: ty, Elfryda i mój Heinrich. Poznasz bliżej Gardenów.

A zatem jutro wieczorem wyjeżdżam do Gdańska. Stryj Józef już załatwił podobno sprawę z moim ojcem. Podczas kolacji wezwano mnie do telefonu, w budce był stryj Józef.

Elfryda ponowiła zaproszenie. Będą czekać na nas w samochodzie przed dworcem. Cudownie!

Ciekawa jestem, czy również i ja dostanę coś z umeblowania po dziadku. Widziałam kilka ładnych obrazów. Marcin mówi, że to są dobre kopie monachijskich malarzy. Podobno dziadek miał ładne srebro stołowe i starą porcelanę. Komu to przeznaczył?

Poniedziałek - wieczorem

Koniec z grudziądzkimi historiami. Najgorzej klóciła się Mela, więcej od matki. Gdyby mogła, zabrałaby wszystkie meble, a nawet całą kamienicę. Widocznie mało jej udziału w bankowej gotówce. To w każdym razie przeszło 2 tysiące na głowę, ale jej zawsze mało. Stryj Marcin utwierdził już swoje postanowienie w osobnym akcie notarialnym. Moje dziesięć tysięcy ma być złożone w depozycie sądowym. Kamienicę mają sprzedać. Podobno w ten sposób przy podziale na drobne części podatek spadkowy będzie również mniejszy. Z kupnem kamienicy ofiarował się mój wujek Kowalski, ten - od składu z obuwem. Może ją kupi na nazwisko Julii Murskiej - ludzie na starość głupieją, tak powiedziała ciotka Katarzyna. Nie mam pojęcia, ile jest warta kamienica po dziadku. Podobno koło dwustu tysięcy. Tyle pieniędzy!

Naturalnie nieznanym nam bliżej stryj Juliusz uczestniczy również w spadku, głupie gadanie ciotki Katarzyny nie miało w tym wypadku żadnego znaczenia, przecież to tylko dobra wola stryja Marcina. A może przyjedzie do Polski? Widziałam go raz w życiu, gdy po zakończeniu wojny zjawił się u nas w mundurze hallerczyka. Ale zaraz wrócił do Ameryki, jest obywatelem amerykańskim i ma w Chicago jakieś interesy. Nikt w rodzinie nie wie dokładnie, czy jest żonaty. Dzieci nie ma, to wiemy na pewno, gdyż sam pisał. Mela mówiła, że w Ameryce łatwiej o rozwód, niż o żonę. Taką żonę na dłuższy okres, na stałe. Ale chyba przesadza jak zwykle, opowiada o tym, co by sama pragnęła przeżywać. W Ameryce kobiety mają dużo praw, rzucają mężów, gdy same zechcą i tyle. Nie trzymają się tych mężów na siłę i na wymyślania, jak to czyni Mela ze swoim Józkiem. Gdyby jej było aż tak źle, to by go była już dawno porzuciła. Ale trzyma się go, bo głupi, i Meli jest z tym wygodnie.

Z meblami było zamieszanie. Marcin mówił, że bym się do tego nie mieszała, są również sztuki przeznaczone dla mnie i z całym spokojem będę mogła je zabrać po powrocie z Gdańska. Usłuchałam stryja, mam pełne zaufanie do ciotki Magdy, ona tego już dobrze przypilnuje. Niech się zatem trochę pokłóca. To znaczy ciotka Katarzyna i jej Mela. Podobno bracia śmieją się z tego kina, tylko mój ojciec jakoś nijako, pewnie też by chciał urwać coś dla siebie. Ale spis w rękę poważnej ciotki Magdy, która zawsze była najbliższą dziadka.

Wilma Krauthof zgorzonna tym widokiem. Za jakiś tydzień przyjedzie do Gdańska na stały pobyt. To pewnie najlepiej, ona mówi bardzo słabo po polsku i trudno byłoby się jej przyzwyczaić do polskich rodzin. Chociaż ja na miejscu ojca zabrałabym Wilmę do Wąbrzeźna na nowe gospodarstwo w rynku. Przydałaby się; taki człowiek to prawie jak daleki krewny. Tyle lat w naszej rodzinie - dokładnie 36 lat! Ale już za późno, widocznie ona była zawsze najbliższą z rodziną stryja Józefa. Widzę po tym, że Heinrich jest dla niej niesłychanie grzeczny. Ona również patrzy w niego jak w obrazek, nic dziwnego, to jest Heinrich, a nie polski Henryk, a ona przecież Wilma, Wilhelmina. Trudno, trzeba to uszanować, ona urodziła się Niemką i nie myśli zmieniać narodowości, a Gdańsk jest dla Wilmy częścią niemieckiej ojczyzny, ona się tam urodziła.

Szkoda tylko, że mam z sobą jedynie zakopiańskie sukienki. W Gdańsku ruch i w pełni sezon kąpielowy. Chyba żałoba nie przeszkodzi mi bywać w Sopotach? Ech, chyba nie! Na pogrzeb kupili mi co prawda żałobne odzienie, czarne pantofelki i kapelusz z krepą, ale to chyba tylko na pogrzeb. Zapytam o to w Gdańsku stryja Józefa.

Marcin również dzisiaj wraca do Warszawy. Znalazłam moment samotności i zapytałam go wręcz, dlaczego zrzekł się spadku po ojcu. Uśmiechnął się do mnie naprzód smutno, a potem odparł z jakimś błyskiem radości, jednak jakby przez łzy:

- Widzisz, Anno, są różne sprawy na świecie. Treść testamentu nie była mi znana, u ojca nie bywałem, zawsze chodziłem własnymi drogami. Właściwie wszystko, co o mnie wiedział mój ojciec, wiedział od innych ludzi. Przeważnie od Józefa i od Pawła, gdyż z twoim ojcem - jak sama widzisz - zachowujemy raczej uprzejmą rezerwę. Z Juliuszem trochę koresponduję - i tyle.

W momencie, gdy notariusz przeczytał o moim spadku - mówił stryj Marcin - przyznaję, że zrobiło mi to przyjemność. Nawet już sobie wyobrażałem, co zrobię po otrzymaniu spadku. Trwało to jednak bardzo krótko i wówczas, by się uchronić od różnych pokus, od razu zrezygnowałem z całego domu. To znaczy zabezpieczyłem się w ten sposób przed realizowaniem tego, czego w owej chwili zapragnąłem. Nie wiem, czy zrobiłem dobrze, czy źle. Na razie jednak to, co zrobiłem, wydaje mi się właściwe. I na tym polega moja korzyść z tego, że zrzekłem się domu.

Ciesz się mnie to, że ty, Anno, jedyna z naszej rodziny zauważyłaś, że nie dokonałem tego wyłącznie dla miłości siostr i braci. Wiem, że nie wszyscy z nich na moim miejscu mieliby tyle odwagi wobec własnego egoizmu, by zrzec się tak poważnego majątku. Przecież jestem „tylko” radcą ministerialnym, jak mi to rzucił w oczy kanonik Kawczyński... a tacy radcowie nawet za cenę pracy całego życia nigdy nie dochodzą do takiego majątku.

Może kiedyś za kilka lat, gdy niektóre problemy dojrzeją i gdy moje rozstajne drogi jakoś się ustalą, opowiem ci, Anno, dlaczego postąpiłem wczoraj tak, a nie inaczej. Ty będziesz również starsza i dojrzała, a ja? Ano, powiedzmy, i ja spoważnieję - I w tym momencie stryj Marcin roześmiał się, ale wyszło to jakoś gorzko.

Oliwa - 17 sierpnia

Już prawie tydzień przebywam w nowych, warunkach. Wszystko jest zupełnie inne, niż sobie to wyobrażałam z daleka, ongiś, w moich bydgoskich czasach. Dopiero obecnie wyznaję się we wszystkich najbliższych pokrewieństwach Gardenów.

Stary kupiec drzewny, nieżyjący już od dawna Fryderyk Garden, miał dwoje dzieci, była żoną mojego stryja Józefa - Felicję, mającą dzisiaj już koło pięćdziesiątki, i syna, również Fryderyka, nieco młodszego od mojego stryja. Szwagier Fryderyk kompletnie rozminął się z zawodem swego ojca, nie miesza się do drzewnego handlu Gardenów. Nic dziwnego, że Gardenowie nie wypuścili z rąk jedyne go zięcia z wnukiem, mowa w tym wypadku o naszym Heinrichu Jamborze. W dodatku stryj Józef ożenił się z Felicją Garden za cenę zrezygnowania z katolicyzmu.

Szwagier stryja, Fryderyk, wysiaduje całymi dniami przy fortepianie i niewątpliwie lepiej zna się na nutach niż na księgach handlowych. Prawdziwy artysta, nie tylko z wyglądu, z długich włosów i fantazyjnego czarnego krawata, lecz przede wszystkim z niezwykle delikatnych manier. Gdzież jemu do handlu! Po raz pierwszy spotykam mężczyznę w takim typie. Nie wyobrażałam sobie, aby w rodzinie starych kupców można było pozwolić sobie na takie artystyczne ekstrawagancje. W dodatku jest to artysta wyłącznie dla siebie i dla swojej najbliższej rodziny. Mowy nie ma o jakichś publicznych występach. Lubi samotność, mimo że posiada czarujące wzięcie. Przy poznaniu od razu przedstawiono mnie jako niemuzykalną. Zaprzeczyłam naturalnie, mówiąc że mimo braku słuchu muzycznego posiadam wycucie dobrej muzyki. O mało nie wpadłam, na szczęście przyznałam się, że wolę lekką muzykę. Gdy wymieniłam walce Straussa, muzyk uśmiechnął się z lekka, lecz nic nie powiedział. Później dopiero wytłumaczyła mi Elfryda, że jej ojciec uznaje wyłącznie poważną muzykę klasyczną.

Fryderyk ożenił się z jedną z dwóch sióstr Jung, Eddą, podczas gdy druga siostra, Elfryda, wyszła za gdańskiego adwokata Bruna. Edda zmarła po dziesięciu latach małżeństwa, Elfryda owdowiała już w drugim roku i po śmierci męża przeniosła się do siostry i szwagra. Po śmierci Eddy rodzina namawiała oboje wdowców do małżeństwa, Elfryda jednak odmówiła, tłumacząc się wspomnieniami po swoim mężu.

Do dzisiejszego dnia żyje stary Grossvater Willy Jung senior, tytułarny szef firmy drzewnej Jung und Garden. Firmę Gardenów odziedziczył po ojcu muzyk Fryderyk. Firma ta wchłonęła później firmowego zięcia Józefa Jambora.

Tyle jeśli idzie o pokrewieństwa. W rzeczywistości stary Willy Jung jest tylko ozdobą kilku zebrań w roku. Fryderyk Garden siedzi przy fortepianie, Elfryda Brun zajmuje się wewnętrznymi sprawami gospodarczymi, natomiast moja rówieśnica Elfryda II przygląda się wszystkiemu po trochu. Stary Jung posiada kilka domów czynszowych w nowszych dzielnicach mieszkaniowych i mieszka we własnej willi we Wrzeszczu, na drodze do Oliwy. Fryderyk Garden z córką i szwagierką zamieszkują we własnej willi, również w Oliwie. Mój stryj korzysta z letniego mieszkania w willi swego szwagra. Zajmuje część pierwszego piętra, a muzyk ma do swej wyłącznie dyspozycji ogromny taras, mocno wciśnięty w dobrze utrzymany ogród, ozdobiony bardzo starymi drzewami. Na owym tarasie, częściowo oszklonym, z dala od gwaru i ludzi, Fryderyk Garden grywa sobie, muzom i ptactwu. Nie lubi popisów i tylko rzadko toleruje słuchaczy, zwłaszcza obcych. Ściana pokoju muzycznego przyległego do tarasu jest cała oszklona, od sufitu do podłogi, rozsuwalna, a równocześnie zaopatrzona w żaluzję typu sklepowego na zewnątrz i zasłonę z fałdowanej materii, grubą i gęstą, od wewnątrz, co umożliwia całkowite odcięcie od światła. Pokój w kolorze ciemnofioletowym, podobnie jak zasłona. Lekkie i raczej skąpe złożenia, kilka masek pośmiertnych na ścianie, dywan osłaniający podłogę bez reszty i dwa fortepiany. Długi, koncertowy, i krótszy - Bechstein i Pleyel. Kilka fotelików złożonych, stonowanych z fioletami. W oszklonej części tarasu jeszcze jeden fortepian i fisharmonia.

Inny świat. W domu Willy Junga panuje zimny, surowy, bezkompromisowy protestantyzm. Stary Grossvater do dzisiejszego dnia nie przebaczył córce Elfrydzie, że wyszła za męża za katolika doktora Bruna. Nie może przebaczyć nawet samemu sobie, że nie przewrócił wówczas świata do góry nogami i nie uniemożliwił mieszanego małżeństwa. Tylko tyle, że zemścił się na córce, prawie nie dając jej posagu. Ale małżeństwo było z miłości i doktor Brun wziął Elfrydę bez pieniędzy.

Dlaczego stary Jung zgodził się na ślub Eddy z muzykiem? Odpowiedź bardzo prosta. Fryderyk pochodził ze starej rodziny gdańskiej posiadającej liczne odgałęzienia i stosunki w Anglii, natomiast Willy Jung jest dorobkiewiczem w pierwszym pokoleniu. Sobie samemu wszystko zawdzięcza. Imponowali mu Gardenowie wywodzący się ze starego patrycjatu kupieckiego.

Na starość Grossvater, tak go bowiem nazywają wszyscy w rodzinie bez innych dodatków, uderzył w jakąś pobożność. Samo wczytywanie się w Biblię, a zwłaszcza w Stary Testament można by jeszcze jakoś wytłumaczyć. Pozostaje jednak do rozważenia niechęć i ustawiczne odcinanie się od wszystkiego, co katolickie.

Inaczej jest u Fryderyka Gardena. Również protestancki dom, lecz bez problemów wyznaniowych, Sztuka Fryderyka i jego artystyczny styl życia stawiają go w płaszczyźnie pozawyznaniowej. Jest to jakiś kosmopolityzm religijny, a może nawet zobojętnienie dla tych spraw. Widocznie jego muzyka nie odczuwa potrzeby kościoła. Z Elfrydą, moją rówieśnicą, jest odmiennie. Jakieś poważne ustosunkowanie się do religii, lecz mało serdeczne. Po prostu zwyczaj, tradycja, dalszy ciąg porządnego wychowania. Elfryda jest rudowłosą pięknoscią - z owych ciemnomiedzianych odcieni przy jasnej, idealnie gładkiej cerze. Gdzie te bujne włosy porównywać z moimi! Moje włosy są obfite, natomiast włosy Elfrydy są bogate, mocne i zdecydowane w kolorze. Włosy prawdziwej Niemki. Sama uroda - chłodna, rysy poprawne w

rysunku, nos delikatny. Całość zachęcająca. Mogąca stworzyć malarzowi model do obrazów klasycznych kobiet germańskich z dawnych czasów. Usposobienie Elfrydy jest miłe i szczerze.

Elfryda I, czyli ciotka, jak ją tu wszyscy nazywają, to również niemiecka kobieta w każdym calu. Dziwne, stryj wspomniał, że nie chodzi do żadnego kościoła. Porzuciła zbór przy ślubie, porzuciła kościół w chwili śmierci katolickiego męża.

Stryj Józef. Jedyne wesoły typ w tych wszystkich sprzymierzonych rodzinach. Jowialny, czasami rubaszny, zawsze dowcipny, wypruty z majestatycznej powagi. Byłam również u tego Grossvater Junga. Zaprowadzili mnie - stryj, młodsza Elfryda i Heinrich - zaraz następnego dnia po moim przyjeździe do Gdańska. Przyjęcie było chłodne, Grossvater nie patrzył wiele na mnie, natomiast nie spuszczał oczu z Heinricha, który zachowywał się wobec starca z niebywałym szacunkiem.

Wieczorem grała Elfryda Brun. Bardzo pięknie, miękko. Usiadłam cichutko w kąci. Uśmiechnęła się do mnie i po skończeniu nie znanego mi utworu przeszła gładko na naszego Chopina. Grała bez nut, z wyczuciem. Miła kobieta. Biedna. Kochała męża i straciła go szybciej, niż mogła się do niego przyzwyczaić. Przyglądałam się portretowi tego męża. W typie Heinego. Twarz pociągła, lekko wzburzone ciemne włosy, w oczach błysk romantyzmu. Wiem z opowiadania, że był to adwokat, doktor Carl Brun. Nic więcej, tylko tyle, że katolik, małżeństwo z miłości. Obecnie, od lat wdowa, Elfryda żyje zupełnie samotnie w domu szwagra-artysty.

O naszym Krystynku nic dotychczas nie napisałam. Nie ma go obecnie w Gdańsku. Na początku lipca, zaraz po ukończeniu rysunków, pojechał do Magdeburga na ostatnią praktykę szkolną, w styczniu lub lutym zostanie dyplomowanym inżynierem. Nie wezwali go na pogrzeb dziadka, nie chcieli mu przerywać nauki. Stryj mówił mi, że Krystynek marzy o praktyce w Anglii, już mu to przyrzekli angielscy Gardenowie. W Krystynku nieustannie kłócą się dwie natury i dwa charaktery. Gdy potrzeba, potrafi przysiąc fałdów i nie wstaje znad rysunków i obliczeń. Później kolejno nachodzą go fale wesołości i na odmianę hula z tymi kolegami, którzy źle się uczą. Uczy się jednak doskonale i kto wie, czy nie złoży końcowych egzaminów z wyróżnieniem.

Stryj śmieje się i mówi, że nasz Krystynek prowadzi bardzo spokojne życie i dużo się uczy. On, Józef, gdy po skończeniu grudziądzkiego gimnazjum ojciec kazał mu kierować się na kupca drzewnego, mocno szumiał i uspokoił się naprawdę dopiero wówczas, gdy na horyzoncie pojawiła się Felicja Garden. Była o trzy lata starsza od niego (!), miała już prawie trzydzieści lat, i bardzo wybredzała. To była trudna sprawa dla mało znanego w Gdańsku Józefa Jambora - owo ożenie się z Felicją Garden. Pomagał mu w tym brat Felicji, w końcu udało się. Stryj opowiada o tym wszystkim na wesoło, sobie samemu nawet przypisuje rozbięcie się małżeństwa, które nie przetrwało próby rozłąki wojennej. Józef Jambor przebywał wówczas na francuskim froncie, pobił go dusseldorfczyk, pruski oficer von Hartmann.

Stryj wspomina o rozwodzie bez gniewu i bez urazy, mówi, że poznam Hartmannów, bywają w Oliwie, bywają nawet u niego na Hundegasse. Stosunki są zupełnie poprawne. Gardenowie korzystają nawet z adwokackiego biura doktora Johanna von Hartmann.

Gdzieś na dalszym planie żyje i działa kilka dalszych kuzynek z rodziny Gardenów. Mają wspólnego pradziadka z Elfrydą. Pięć dziewcząt z dwóch ojców, wszystko jasne blondyny z niebieskimi oczami. Opowiadała mi o nich Elfryda.

Dobrze mi jest, nawet bardzo dobrze. Przyjechałam do Gdańska w poniedziałek w nocy, w środę rano stryj zawiózł mnie do gdańskich magazynów i ciotka Elfryda wybrała dla mnie różne drobiazgi damskie potrzebne do pobytu nad morzem. Nawet nowe pantofelki, kapelusze, dwa kostiumy kąpielowe i plażowe. Cała fura. Jest tego więcej niż mój zakopiański ekwipunek. Niczego mi nie brakuje, stryj się śmieje, ciotka Elfryda uśmiecha się, każe nazywać się ciotką, Elfryda młodsza dogadza mi, muzyk Fryderyk jest uprzejmy, mówi mi po

imieniu, każe mówić do siebie: wujku. Grossvater przyglądał mi się uważnie, wypytywał o mojego ojca, zna go, orientuje się nawet w naszych interesach kupieckich. Znał naszego dziadka i zaraz na wstępie wspomniał o tym, że bardzo go cenił - jako kupca starej daty, tak się wyraził. Było to powiedziane jako pochwała; jeden stryj Józef z lekka się na to uśmiechnął. Ale...

Jest jedno ale... Inaczej sobie to wszystko wyobrażałam. Pomimo wesołości wszystko jest dla mnie zbyt poważne. Może to są skutki owej surowości odmiennego wyznania religijnego. Może również działa w tym wypadku moje stopniowe, lecz systematyczne odzwyczajanie się od niemieckości, od niemczyzny. Gdybym przybyła do Gdańska i Gardenów tuż bezpośrednio z Bydgoszczy, po maturze nawet, na pewno otworzyłabym szeroko usta i starałabym się podziwiać na zapas ten inny, solidny świat niemieckiego Gdańska i gdańskich kupców. Dziś jednakże, pomimo całej mojej ciekawości i wydzierania się do innego życia, wydaje mi się, że po pewnym czasie, nawet już po kilku latach, starałabym się wydrzeć z tego gdańskiego świata znów do jakiegoś innego.

Dopływ polskiej krwi przytłumił niemczyznę w rodzinie Jamborów i oto dzisiaj jesteśmy już zdecydowanymi Polakami, mającymi tylko jakieś odległe wspomnienia niemieckich przodków. Pozostały nam jeszcze nawyki kupców niemieckich, lecz temu nie można się dziwić, boć przecie właściwie polskość nie wytworzyła sobie własnego kupiectwa.

I tutaj właśnie w Gdańsku, owym Gdańsku, na który czekałam jeszcze tak niedawno z takim zainteresowaniem i ciekawością, cała moja istota wydiera się stąd - stryj Marcin, Florencja, Warszawa, lżejszy, dowcipniejszy styl życia. Lekki i wykwinny. Nie zawsze bowiem zimna solidność może zaspokoić ciekawość czy pragnienie człowieka. Być może nawet niekiedy taką poważną i spokojną solidnością można by się udławić. To niewesołe, wszystkie dni są jednakowe, tylko że w dobrobycie. Lecz w dalszym ciągu szare dni, mimo że za nimi tkwią domy, firmy drzewne, pieniądze na kontach bankowych.

Życie tyle jest warte, ile się z niego bierze, ile się z niego korzysta. Skąpiec siedzący na worku złota w gruncie rzeczy jest nudny nie tylko dla otoczenia, lecz również dla samego siebie. Z czasem taki skąpiec umiera i jego złoto służy innym - o tyle, o ile potrafią użyć je na wesoło. W ogóle użyć.

I dlatego mój dowcip życiowy łaknie innej, weselszej atmosfery. To gdańskie życie jest dla mnie zbyt kamienne, zbyt posągowe i nie pociąga mnie. Wolę mojego stryja Marcina. Ubóstwiam Florencję i jej styl życia, pomimo że nie znam szczegółów. Bardziej intymnych, bardziej osobistych... Mile wspominam nawet Leokadię, z nią przynajmniej można się trochę ugadać. A tutaj jedynie stryj Józef od czasu do czasu wrzuca jakiś kamyk swej wesołości do ponurego rodzinnego stawka Gardenów, cóż - kiedy to szybko mija i już w następnej chwili stawek powraca do swojego poważnego spokoju czy sytego majestatu.

Wtorek

Wczoraj po południu byliśmy ze stryjkiem i Heinrichem u Kawczyńskich. To jeden z licznej rodziny Kawczyńskich, braci mojej babki Jamborowej, który osiedlił się w Gdańsku jeszcze przed wojną. Ma dobrą sześćdziesiątkę, ale jest krzepki i pracuje jeszcze w banku. Również gdański obywatel, ale dom całkowicie polski. Stryj Józef określa to po cichu, że aż za bardzo wyzywający i prowokujący tą swoją polskością. Jest to najmłodszy z wujków mego stryja. Co do mojego ojca - to podobno posegregował Kawczyńskich, jednych lubi, innych nie znosi. Moja babka była najstarszą z córek; podobno dostała grube talary w posagu. W tym drugim małżeństwie to już nie mój dziadek wybierał. Wyboru dokonali rodzice, pradziadek Johann i siostra mojego dziadka, ów postrach rodziny - stara panna Pelagia. Ta stała twardo przy polskośći rodziny i trzymała z Kaczmarkami, katolikami i polusami, z których wywodziła się nasza prababka Jamborowa. Sytuacja nie była łatwa, ponieważ zaraz po

śmierci pierwszej żony kominiarska rodzina Bussów podtykała dziadkowi swoją kolejną córkę.

Poważny dom gdańskich Kawczyńskich. Dwoje młodszych dzieci jeszcze w szkołach, obecnie na wakacjach u krewnych na wsi.

Starsza córka wydana za mąż gdzieś daleko, na Śląsku. Najstarszy syn - lekarz, również daleko, w małym miasteczku Szczuczynie. U dziadków przebywa teraz właśnie ta synowa z małym trzyletnim chłopczykiem, warszawianka. Nic dziwnego, ponieważ młody Kawczyński skończył medycynę w Warszawie.

Synowa - miła kobiecina, uśmiechnięta, odgadująca każde życzenie dziadków. Chłopiec niesłychanie grzeczny, popisujący się wierszykami „Dziad i baba” oraz „Powrót taty”. Poważne dziecko, z ciemnymi włoskami i brązowymi oczkami, wykapaną matką.

Przyjęto nas serdecznie. Miałam wrażenie, że byłam w tym domu już dziesiątki razy. Żadnego przymusu, wszystko nacechowane naturalnością. Głupio tylko z naszym Heinrichem. Trudno mu jakoś z brakiem języka polskiego. Zna co prawda kilkadziesiąt wyrazów, ale jakoś mu nie idzie. Wina w tym stryja, może wpływy Gardenów, ale przecież, na miły Bóg, mieszka tyle lat razem z naszym Krystynkiem. Może jednak i nasz brat mówi po polsku tylko przy okazjach pobytu u nas w domu? Oni ustawicznie spotykają się z sobą, Gardenowie mówią wyłącznie po niemiecku i angielsku, wszystko się kręci wokół Gardenów, nic więc dziwnego...

Moja kuzynka Kawczyńska jeździ na plażę do Brosen, które po polsku nazywają: Brzeźno. Tam jest bardzo słaby ruch, łatwiej zatem z dzieckiem. Ja przebywam z Gardenami na plaży sopockiej.

Pani Kawczyńska każe nazywać się babcią. Tak nazywa ją również Heinrich i nasz Krystynek. Ale u nich znów wszystko jest dla mnie odmienne i inne, dom i sposób bycia. Zapraszali na wieś do krewnych - podobno gdzieś pod Nowym Miastem, za Brodnicą, blisko granicy mazurskiej.

Mieszkanie umeblowane zamożnie, bez graciarni. Rodzina utrzymuje ścisły kontakt z wiejskimi krewnymi, wujkami i ciotkami. Ruch w rodzinie. Przyjeżdżają i odjeżdżają, o jednym stale pamiętają, że są Kawczyńskimi i katolikami. Zauważyłam, że Heinrich bawił się z małym chłopczykiem. Starał się nawet, by nie raził jego brak polskiego języka. Mógłby się przecież nauczyć. Ale ja się do tego nie mieszam - on ma ojca, a ten ma swoje interesy i politykę. Jakże to dziwne. Tak blisko siebie, na tej samej ziemi i jakże różne światy! Ale trudno się dziwić - po opuszczeniu tego polskiego domu wszyscy troje powróciliśmy prawie natychmiast do niemieckiej mowy.

Środa - 28 sierpnia

Poznałam już wszystkie gdańskie Gardenówny. Zaciągnęły mnie do siebie. Było nas kilkanaście dziewcząt, prawie wszystkie w wieku zbliżonym do mojego, najmłodsza koło siedemnastu lat. Elfryda i ja, pięć Gardenównien z dalszej linii, a reszta to różne kombinacje rodzinne dyrektora banku i maklera giełdowego. Same dziewczęta bez chłopców - różne typy, różna uroda. Jak to dobrze, że władam domowym językiem naszej rodziny. Naturalnie mój akcent pozostawia cokolwiek do życzenia, ale oni tutaj w Gdańsku mówią też inaczej. Cała hałastra zwała się wieczorem po plaży do mieszkania dyrektora, Bez żadnego ostrzeżenia. Trzy córki okupowały pokój stołowy, matka została na dalszym planie. Nawet ojciec zjawił się dopiero pod sam koniec, porozmawiał tylko na stojąco z młodymi gośćmi i wkrótce wycofał się do swego gabinetu. Taki starszy pan w dobrze skrojonym garniturze, z brzuszkiem i z nieodłącznym cygarem w ustach. Matka - rodowita Angielka. Nic dziwnego, że w domu rządzą córki, tam panują podobno takie obyczaje, że każdy członek rodziny zaprasza sobie gości na własną rękę.

Z przyjęcia zrobiła się bogata kolacja, tylko tyle, że z przewagą zimnego jedzenia i ciast. Wyczarowali wszystko jak na zawołanie. Matka zachowywała się jak starsza koleżanka na zjeździe szkolnym. Szczupła, wysoka, ze wspaniałymi włosami i zębami. Blondyna - podobnie jak córki. Ojciec ciemny, z siwiejącymi włosami na skroniach. Tylko że wygląda na mocno zmęczonego i przepracowanego. Przyjęcie skończyło się jednak o dziesiątej - równie nagle, jak się zaczęło. Wszyscy wyszli równocześnie, na schodach były ostatnie hałaśliwe pożegnania. Po niemiecku i angielsku, jak się której chciało mówić, a raczej wykrzykiwać. Na nas czekał samochód.

To już trochę weselszy dom. Nawet życie jakby wystawniejsze - dogadzają sobie. Trzy córki domagały się wina i wino momentalnie podano. Podawała pokojówka w czarnej jedwabnej sukience i z koroneczkami na fartuszkach i nad czołem. Wszystkim dyrygowała matka i najstarsza córka, obie w sposób niezwykle dyskretny. Mnie traktowano całkiem naturalnie, nie robiono żadnej różnicy pomiędzy mną a Elfrydą. Nikt mnie nie wypytywał o moje stosunki rodzinne, nikt nie wspominał o Polsce. Tylko tyle, że doktor Garden, gospodarz, przywitał się ze mną na osobności i zapytał, czy miałam już wiadomości od mego brata z Magdeburga. Pytał również, kiedy on wraca do Gdańska, i zapraszał nas wszystkich do siebie. Rad by nas widzieć w komplecie, stryja Józefa i obu chłopców. Wypytywał przelotnie o doktora Martina - zna go również.

Gdy opisywałam przyjęcie, przyszło mi na myśl, że u naszych Gardenów nie dostrzega się bogactwa, natomiast u Gardenów z dzisiejszego przyjęcia odczuwa się krążenie pieniędzy. Widocznie finanse wymagają większej wystawy i przepychu. Być może takiego bankiera oceniają właśnie po wystawności życia. Tymczasem drzewo - to tylko wagony kolejowe, frachty, rachunki, wszystko rzeczy i sprawy odległe. Szare i rozwleczone na wielkiej przestrzeni. Być może nawet pieniądze są tam większe, ale skazane na długie wyczekiwanie od kupna drzewa do złożenia go na składach i następnie do wysyłki w świat. W dodatku interes mocno sezonowy. Bankier natomiast - to synonim pieniędzy, gotówki: das Geld ist rund, es rollt... A owa angielska żona? Może wspomnienie studiów, może również tylko w prezencie od angielskiej rodziny? Trudno pytać o wszystko.

Sobota - południe

Jesteśmy zaproszeni do Hartmannów! Dla mnie to będzie chyba największe przeżycie wakacyjne. Bardzo jestem ciekawa. Idziemy w trójkę, stryj, Heinrich i ja. Oboje Gardenowie wędrują jak zwykle do Groszger Junga, ciotka Elfrydą zostaje w domu.

Wieczorem

Wróciliśmy bardzo późno, dobrze po dwunastej. Stryj Józef od razu ustawił wszystko właściwie, przedstawiając mnie:

- To nasza Anna, córka Benona, to, Anno, twoja jeszcze jedna ciotka.

Co do doktora Hartmanna, ten mówi stryjowi przeważnie: mein lieber Freund, a stryj jemu: doktorze, kochany doktorze, jak wypadnie z okazji i sensu zdania.

Felicja? Kobieta gdzieś na pograniczu pełni dojrzałości oraz, jak się to mówi, „ze śladami dawnej, bardzo wielkiej urody”. Kobieta prawie pięćdziesięcioletnia. Nic więcej na razie nie umiem napisać, może chyba później, gdy obserwacje... narosną.

Kolacja przy okrągłym stole, porcelana i srebro w dobrym starym guście. Być może zostało przywiezione gdzieś z Nadrenii, z ojczystych stron byłego oficera von Hartmanna. Wskazuje na to sygnet na palcu i wzięcie pełne ledwie dostrzegalnej wyższości. Ale wszystko jest doskonale stuszowane manierami człowieka światowego. Problem: były oficer - adwokat i kupiec.

Najważniejsza sprawa - brydż. Mój pierwszy, jakby reprezentacyjny brydż. Wszyscy chcieli grać. Od Krynicy prawie nie miałam kart w ręku, a tam dopiero się nauczyłam. Moi

partnerzy grali niewątpliwie bardzo dobrze. To nieważne, że przegrałam 17 guldenów. Stryj Józef był również zadowolony, mimo że przegrał. Sprawiałam mu przyjemność tym, że usiadłam do stolika i jakoś sobie poradziłam przy kartach, nie przynosząc mu wstydu. Nie spodziewał się, że w ogóle umiem grać. Jakoś stryjkowie więcej się mną opiekują niż rodzony ojciec. Taki to mój los, całe szczęście, że mam stryjków.

Co do mnie, nabywam coraz więcej pewności siebie. Przychodzi mi to szybko i łatwo. I pomyśleć, że jeszcze przed rokiem patrzyłam niemal z trwogą na mojego bydgoskiego Mazurkiewicza, choć wiedziałam o jego dobrej znajomości z mym ojcem!

Wszystko zależy od otoczenia, w jakim się człowiek obraca. Całe szczęście, że wyostałam się na bystre wody. W Bydgoszczy byłam tylko jakąś małą i niezgrabną kijanką, którą byle jaki ptak mógł wyjąć bezkarnie z bajorka i zjeść na śniadanie lub na obiad.

Niedziela - 1 września

W piątek byliśmy ze stryjem w kasynie gry. W tajemnicy przed wszystkimi, w godzinach, małego ruchu. Coś koło ósmej. Stryj nigdy nie bywa w kasynie, mówi, że to nie wypada poważnemu kupcowi. Klienci nie mają zaufania do takich kupców, którzy bywają w kasynie. Tutaj większość graczy rekrutuje się z przybyszów z Polski. Kasyno jest urządzone z przepychem, już sam budynek robi duże wrażenie. Dużo służby. Goście rozmaici. Od razu można poklasyfikować i podzielić ich wyraźnie na dwie grupy: bogatych i biednych; dla tych ostatnich marzeniem byłoby wygrać to, co niektórzy z bogaczy przegrywają bez bólu w ciągu jednego wieczoru. Ludzie są chciwi na pieniądze. Stryj przestrzegał mnie, abym nie uległa gorączce. Sam patrzył na grających z politowaniem, mimo że na przykład lubi pograć w karty. Ale w domu, a nie publicznie, w dodatku z ludźmi nieznanymi, z ulicy. Staliśmy w tyle za graczami, już przedtem stryj objaśnił mnie, o co idzie w tej grze. Czarne i czerwone, parzyste i nieparzyste, szesnaście numerów z dołu i tak samo z góry. Oprócz tego stawki na numery, wypłata prosta, w pierwszych wypadkach dodatkowy gulden w razie wygranej, przy numerach wygrana w wysokości 36 stawek, tylu, ile jest numerów. Zero dla banku, ale na zero również można stawiać. Całość mało skomplikowana, w środku olbrzymich stołów koło rulety z numerami i kręcąca się kulka szczęścia, puszczana rękami krupiera. Z obu stron koła rulety wymalowane są kwadraty z numerami i kupki sztonów kładzionych i rzucanych nawet przez graczy na numery, na rogi, na różne kombinacje. Zimne, beznamietne grabki krupierów zgarniające przegrane sztony i tuż zaraz ustalony ceremoniał następnej gry - następnego złudzenia...

Kobiety zwłaszcza są chciwe na pieniądze. Widać to w ruchach rąk, gdy sięgają nawet po drobne wygrane. Co do mnie, gorączka mnie nie pochwyciła, mimo że przegrałam dziewięć sztonów po dwa guldeny. Stawiałam na numery. Mając w ręku już ostatni szton, postawiłam na czerwone i wygrałam. Zabrałam wygrany szton, a przegrany odsunęłam dla krupiera. Przegrałam, ale wygrany szton zabrałam sobie na pamiątkę - może go komuś pokażę jako dowód, że odwiedziłam kasyno gry. Stryj śmiał się, gdy zobaczył, że chowam wygrany szton do torebki.

Mała godzinka wystarczyła mi w zupełności. Później stryj zaprowadził mnie do restauracji. Bardzo miły lokal, tu pokrępiają się gracze pomiędzy jedną przegraną a następną. Wypiliśmy pół małej butelki wina i zjedliśmy parę biszkoptów. W domu czekała nas kolacja. Stryj nie postawił ani jednego guldena, jak zasady, to zasady...

- Ale ty, Anno - mówił równocześnie - nie graj w kasynie. Jeżeli chcesz dojść do pieniędzy, to już lepiej składaj na PKO, to pewniejsze. Ale a propos, co zamierzasz uczynić z tym „dziecinnym” spadkiem po dziadku Jamborze; na każde z was wypadnie coś ponad dwa tysiące...

Wtorek - 3 września

Już trzy tygodnie od chwili mojego przybycia do Gdańska. Jak ten czas szybko leci. Już sobie wszystko ułożyłam. Wkręciłam się w nowe stosunki rodzinne. Pomimo serdeczności nie czuję się jednak tutaj tak swojo, jak na przykład w Warszawie. Tyle ciotek, tylu krewnych, takich czy innych, ale w dalszym ciągu czuję się tylko jak gość, którego wszyscy lubią. Nawet Elfryda jest dla mnie za poważna - jakaś bardzo dobra koleżanka, nic więcej. Natomiast Florencja - to materiał na przyjaciółkę pomimo znacznej różnicy wieku pomiędzy nami. Z Marcinem może będę kiedyś kompletnie na „ty”, ale ze stryjkiem Józefem to zawsze zostanie tylko owo: stryjkę kochany.

Środa - 4 września

Wiadomości rodzinne, nie tyle z domu, ile z Grudziądza. Pisał stryj Paweł, że już jest kupiec na dziadkową kamienicę. Podobno do notariusza zgłosił się wujek Kowalski. Chce kupić dom i daje gotówką 140 tysięcy. Stryjowie śmieją się z ceny, stryj Paweł pisze, że dom jest wart co najmniej dwakroć. Teraz podobno jest dobry czas na domy. Zobaczmy, co będzie dalej, stryj Paweł pisze, że znajdują się inni kupcy, tylko trzeba jeszcze odczekać jakieś dwa miesiące. Może znajdzie się kupiec ze wsi, ziemianie po zniwach lokują swoje oszczędności w domach. Z Wąbrzeźna był w tych dniach również obszerny list. Nic ciekawego, piszą wyłącznie o swoich własnych sprawach. Ojciec rozszerza sprzedaż gotowych ubrań, nawet Zośka jest tym pochłonięta. W list były włożone dwie karty adresowane do mnie. Stary doktor serdecznie zaprasza, pisze, żebym się nie krępowała, mieszkanie u niego jest duże, mogę się w nim doskonale pomieścić, a jemu będzie bardzo miło. Leokadia przesyła moc miłych słów, ale równocześnie narzeka i wzdycha do końca wystawy, to znaczy do wyjazdu gości, którzy zajmują jej pokój. Gospodarze z Młyńskiej załączają pozdrowienia, pewnie, głupi, myślą, że do nich powrócę... ani mi w głowie!

Sobota

Wkręcono mnie w koło tylu znajomych, że nie mam czasu na pisanie. Ubył mi Heinrich jako towarzysz, ponieważ już rozpoczął swój ostatni rok gimnazjalny. Tak się składa, że tym razem nie zobaczę mojego brata, który wraca do Gdańska dopiero w pierwszych dniach, października. W przyszłym tygodniu stracę również towarzystwo Elfrydy - wyjeżdża do Anglii. Na razie tylko w odwiedziny do krewnych; nie mają żadnych projektów, jeśli idzie o moją kuzynkę. To znaczy Grossvater, ponieważ ojciec, Fryderyk, się nie liczy. Być może wyjadą obie Elfrydy i willa w Oliwie opustoszeje. Sezon wakacyjny na ukończeniu i mój stryj ustalił się już w swoim gdańskim mieszkaniu na Hundegasse. Tam mieszka Heinrich ze względu na bliskość szkoły. W połowie miesiąca spodziewają się powrotu Wilmy Krauthof z Niemiec. Ruch i zmiany, gdańszczanie przygotowują się już do snu zimowego.

Czwartek

Dzisiaj w południe spotkałam na ulicy w Gdańsku panią Felicję. Nie byłabym poznała - gapiałam się na wystawie. Doskonale wygląda. Zaciągnęła mnie na kawę z ciastkami, bardzo mile spędziłam z nią prawie godzinę. Ubrana z szykiem i w dobrym guście. Nie dziwię się stryjowi Józefowi, że szalał dla tej kobiety, nawet dzisiaj jest jeszcze mocno pociągająca. Teatralna piękność, która tylko przypadkiem znalazła się w zamożnej kupieckiej rodzinie. Teraz rozumiem von Hartmanna, ówczesnego eleganckiego oficera z monoklem w oku. Von Hartmann... Wówczas to małe von jeszcze coś znaczyło. Pomogło mu w romansie, a później, już po ślubie i w innych czasach, zostało zdegradowane na pospolite w tych stronach: dr iuris. Całe szczęście, że takie: dr... było w rezerwie u byłego oficera.

Napisałam to wszystko z powodu głupiej zazdrości. Przyznaję się, że zazdroszczę Felicji wszystkiego. Ma bardzo dużo szyku, umie obracać się efektownie, a ja w dalszym

ciągu jestem jeszcze jakąś mc nie znaczącą panienczką z głębokiej prowincji. Ubogą nawet krewną, mimo że - jak słyszę - mojemu ojcu nie brakuje pieniędzy.

Sobota - 14 września

Moje ostatnie dwie noce w Oliwie. W poniedziałek obie Elfrydy jadą przez Berlin do Londynu. Po drodze zatrzymają się dwa dni w Brukseli, tam Gardenowie mają jakichś bardzo bliskich przyjaciół. W Oliwie zostaje tylko wuj Fryderyk, ale on i tak nie odczuje ubytku kobiet wśród swoich fortepianów. Zapomniałam dodać, że nasz muzyk gra również na skrzypcach - bardzo miękko i z przejęciem. Ciekawa jestem, czy odwiedzi go Grossvater, gdy wyjedzie Elfryda Brun.

Niedziela - wieczorem

Willa wypełniła się gośćmi. Różne ciotki, wujkowie, koleżanki Elfrydy. Pożegnalny wieczór - wszystko już jest spakowane. Było bardzo tłoczno i gwarno. Nasza jamborowska trójka była gdzieś jakby na uboczu. Ale na pocieszenie trzeba dodać, że również ojciec Elfrydy nie zajmował w tym harmidrze pierwszego miejsca. Muzyk był nie z tego świata - patrzył gdzieś przed siebie niewidzącymi oczyma, widocznie przeżywał w myślach swoje melodie. Ale przyszedł i uśmiechał się do ludzi. Rej wodzili tamci Gardenowie, ci mocniej spokrewnieni z Anglią. Jak się dowiedziałam, to wszystko jest pomiędzy sobą mocno skrzyżowane i obie strony, gdańska i londyńska, dostarczają sobie wzajemnie zięciów i synowych. Nawet Heinrich korzysta z tych stosunków, naturalnie w stopniu ograniczonym, wymienia na razie z angielskimi kuzynami marki pocztowe. Co do mnie, nie jestem w stanie pojąć tej skłonności czy namiętności, to dobre chyba dla takich jak doktor Hartmann...

Wtorek - 17 września

Już mieszkam na Hundegasse. W pokoju Krystynka - naturalnie nie grzebię się w jego tajemnicach. Tylko tyle, że posłali mi w jego łóżku za kotarą. Przed swoim wyjazdem obdarowały mnie obie Elfrydy. Ciotka podarowała mi bardzo piękną wenecką broszkę z drobnociętej mozaiki, przedstawiającą wazon z kwiatami. Od Elfrydy dostałam piękny garnitur do manicure, wykładany perłową macicą, w portfeliku ze skóry krokodylowej. Zdażyła nawet zaopatrzyć portfelik moimi inicjałami w złocie. Obie przyrzekły pisać do Poznania. Wrócą przypuszczalnie dopiero za rok. Być może Elfryda rozejrzy się w Londynie za jakimiś kursami, ojciec pragnąłby naturalnie, żeby to było konserwatorium. Elfryda gra dobrze, lecz bez przejęcia, mechanicznie. Ma dobrą szkołę, ale to już wszystko i na tym się kończy. Ojciec jest prawdziwym artystą, córka natomiast umie oddać tylko to, co jest zanotowane w nutach. Pomiedzy jej grą a grą ciotki Elfrydy - niebo i ziemia, nawet ja to mogę pojąć.

Było mi jakoś głupio, nie miałam pod ręką żadnych prezentów, nie przewidziałam takich możliwości. Stryj podarował Elfrydzie na podróż zegarek na rękę. Omega, złoty, również na złotej bransoletce. Heinrich wystąpił z pudłem czekoladek na drogę dla ciotki - jak mówił; wszystko zaś, co ja ofiarowałam w ostatniej chwili, to była jedynie wiązanka czerwonych róż. Odjechały, a ja zostałam sama wśród naszych mężczyzn.

9 września

Notuję bezmyślnie to, co przyszło mi w tej chwili do głowy. W ciągu gdańskich wakacji prawie nikt mnie nie zaczepił jako kobiety. Kilka głupich kawałów na plaży, to się przecież nie liczy, tam wszyscy rozmawiają ze wszystkimi. Na ogół w sezonie był duży ruch, każdy był zajęty sobą, wszyscy się spieszyli. Goście przyjezdni starają się przebywać jak najdłużej na plaży. Lokali prawie nie widziałam - z wyjątkiem kilku cukierenek i sali restauracyjnej w kasynie. Wszystkie przyjęcia odbyły się w mieszkaniach.

W poniedziałek późnym wieczorem opuszczam Gdańsk. Jadę prosto do Wąbrzeźna, nie wstępuję nigdzie po drodze.

A jednak nikt mnie nie zaczepił; nie wiem, czy mam się z tego cieszyć, czy smucić. W każdym razie jestem zadowolona, urozmaicenia mi nie brakowało.

Sobota - 21 września

Pozostawiono mnie samej sobie. Stryja nie ma w Gdańsku od trzech dni, wraca dopiero dzisiaj w nocy. Już mi się tutaj nudzi, czego dowodem jest pójście wczoraj do kina. Głupi program, jakieś miłości i koniecznie niemieckie hrabiny z początku tego stulecia. Olbrzymie kapelusze ze strusimi piórami i dla większej sensacji pojedynki na pistolety. Jeden trup, rozprawa w sądzie i tak dalej. Naturalnie Henny Porten... stare dzieje i stara już artystka.

Przedemną drugi rok studiów. Długi rok złożony z dziewięciu miesięcy. Trzeba będzie powrócić do studenckiej samotności, do wykładów i skryptów, do mojego angielskiego. Tylko tyle, że w ciągu całych wakacji codziennie rano powtarzałam sobie regularnie 20 słówek angielskich - bez względu na okoliczności; czyniłam to zamiast gimnastyki. W tym roku pomyślę jednak o Azetesie, trzeba trochę czasu poświęcić również ciału.

Za dwa tygodnie będę z powrotem w Poznaniu. Jak będzie wyglądał mój nowy studencki pokój? Może w tym roku spotkam jakąś interesującą koleżankę, byle nie taką, jak ta ze śląskiej apteki.

Wieczorem

Stryj telefonował, że wraca dzisiaj koło dwunastej w nocy.

Niedziela - 22 września

Wczoraj przegadaliśmy prawie całą noc, Warto było nie spać, dowiedziałam się mnóstwa szczegółów rodzinnych. Ojciec nigdy nie rozmawiał z nami na te tematy. Być może moje starsze siostry wiedzą o tym, nie zgadało się jednak lub one nie przywiązują do tego wagi.

O tym, że poskładałam różne wizyty pożegnalne, nie warto pisać. Bardzo serdecznie zegnała mnie pani Felicja. Mówiła, że stryj Józef ceni mnie najbardziej z młodszego pokolenia w naszej rodzinie. Mówiła, że osobiście wierzy w moją przyszłość po skończeniu uniwersytetu. Dawniej podobno jedyna możliwość dla kobiety łaknącej jakiejś nowości - to było zostać artystką. Nie było innego wyboru, albo dom i dzieci, albo teatr i podróżowanie po świecie.

Aha, być może pani Felicja od męża uciekła naprzód na deski teatralne? Chyba nie, ona była wówczas na to już za stara, do teatru uciekają tylko młodziutkie kandydatki na ofiary. Ale w każdym razie w tym coś jest. Pewnie i o tym się dowiem, trzeba tylko cierpliwie poczekać, życie nie kończy się już jutro. Ale nie to jest ważne. Natomiast opowieść stryjka Józefa o naszej rodzinie jest następująca:

Martin Jambor, kalwin, jak wieść rodzinna niesie, podobno student uniwersytetu, dał się porwać duchowi niemieckich walk wyzwoleniczych i walczył przeciw Napoleonowi. Bił się z Francuzami pod Gdańskiem; po wyrzuceniu ich z tego miasta został przywieziony do lazaretu wojskowego jako ranny żołnierz czy też oficer pruski. Jak było naprawdę, tego w rodzinie nikt nie dochodził i nikt nie sprawdzał. Przybycie Martina Jambora do Gdańska jest osłonięte rodzinną legendą. Później, po wyzdrowieniu, żołnierza przesunięto do grudziądzkiego garnizonu. Wojny się skończyły, Martina, wówczas już oficera pruskiego, zwolniono z wojska; został jednak w Grudziądzu i poślubił jedynaczkę tamtejszego kupca żelaznego, Zofię Wildorf. Było to dokładnie w roku 1817. Miłość złączyła byłego studenta i oficera, który dla ślubu porzucił swój kalwinizm i złączył swój los z niemieckimi katolikami, Wildorfami. W rok po ślubie zjawił się na świecie Johann Jambor, któremu dane było zostać

jedynakiem. Zofia zmarła gdzieś w połowie wieku, natomiast dawny żołnierz z czasów napoleońskich dożył nowej wojny prusko-francuskiej. Urodził się, jak to odczytałam na płycie naszego grobowca rodzinnego, w roku 1792, a umarł w roku 1871. Rodzina utrzymała się w katolicyzmie, lecz w dalszym ciągu była z gruntu niemiecka.

Syn Johann został wychowany w wielkim dobrobycie. Właściwie nie był przeznaczony na kupca, ojciec - jako były student - marzył dla jedynaka o niemieckim uniwersytecie. Stało się jednak inaczej. Młodziutki student Johann Jambor zawędrował podczas wakacji do spokojnej wsi pomorskiej i z miejsca zakochał się w niespełna siedemnastoletniej córce mazurskiego gburza Kaczmarka. Zamiast wracać na uniwersytet utkwiał na wsi. Ożenił się. Rodzice nie sprzeciwiali się. Patronowali nawet temu małżeństwu z wielką serdecznością. Były to jakieś czterdzieste lata zeszłego stulecia. Młoda dziewczyna wiejska, Zofia Kaczmarkówna, wniosła do rodziny Jamborów pierwszą polskość. Musiała ona być bardzo silna, ponieważ w rodzinie młodych Jamborów pojawiła się polska mowa. Nie sprzeciwiali się temu rodzice, pozycja synowej zwyciężyła. Dzieci uczono obu języków, w Grudziądzu pojawiły się ciotki ze wsi. Pomagały w gospodarstwie kupieckim, lecz zamiast zniemczyć się polszczyły rodzinę Jamborów, powoli, lecz systematycznie, krok za krokiem, rok po roku.

Wszystkie dzieci zjawily się na świecie jeszcze za życia niemieckiej babki Zofii Wildorf: Pelagia, Zofia, Jan, a na końcu nasz dziadek Benon. Pelagia, jako stara panna, utknęła na zawsze u brata, Zofia wyszła za mąż do Berlina, Jan zaginął gdzieś bez wieści na morzu, a Benon, najmłodszy z rodzeństwa, całe swoje życie spędził w Grudziądzu, tam również ukończył gimnazjum.

Dziadek przeżył w swym życiu dwa okresy. W pierwszym - odskoczył od rodziny. Nieoczekiwanie i wbrew woli matki ożenił się z Elżbietą Busse, córką mistrza kominiarskiego w Grudziądzu, podówczas jeszcze człowieka niezamożnego. Było to w latach siedemdziesiątych, dziadek miał wtedy około 25 lat, natomiast Elżbieta Busse była, jak na owe czasy, prawie starą panną liczącą już ponad lat trzydzieści. W dodatku Elżbieta pracowała jako akuszerka, a więc już z tej racji zdawała się mocno niepożądanym nabytkiem dla rodziny z tradycjami kupieckimi. Była to niemal obraza dla całej rodziny. W tym roku wszystko zbiegło się na raz: wojna, ślub młodszego syna Benona i urodzenie się jego córki Katarzyny, śmierć starszego syna Jana na morzu, a na koniec zgon Martina Jambora. Był to rok tragiczny dla naszej rodziny. W dwa lata później zmarło się Elżbiecie, nie trzeba dodawać, ku cichej radości całej rodziny.

Stosunki z rodziną mistrzów kominiarskich poprawiły się dopiero później, gdy Bussowie dorobili się znacznego majątku na budowie domów czynszowych. Dla pamięci trzeba dodać, że córeczka Katarzyna przy urodzeniu została zapisana do wyznania protestanckiego, nawet ślub dziadka odbył się w luternym zborze. Było to bardzo przykre przeżycie dla matki Benona, głęboko wierzącej katoliczki.

W drugim małżeństwie mojego dziadka zjawila się po raz drugi w rodzinie Polka, Agnieszka Kawczyńska, a wraz z nią nastąpiło utwierdzenie się wpływów Kawczyńskich. Agnieszka wniosła do rodziny Jamborów duży posag. Wiejscy ludzie dobrze wyposażyli swoją córkę i dali jej tym samym do ręki oręż do walki z niemczyzną. Wspierała ją w tym zresztą pierwsza Polka w rodzinie, moja prababka Zofia - owa wiejska miłość Johanna Jambora, dla której porzucił niemieckie uniwersytety.

Dom w Grudziądzu wypełnił się polską mową. Babka Agnieszka mocno wrosła w rodzinę Jamborów. Mowa niemiecka powoli stawała się jedynie językiem studiów i interesów handlowych, w domu ustalała się polskość. W momencie powstania nowego państwa zwyciężyła ostatecznie polskość rodziny Jamborów, a język niemiecki stał się, podobnie jak angielski u Gardenów, jakimś dodatkowym językiem domowym. Tam również działają angielskie żony, tylko że role są inaczej rozłożone. Gardenowie uważają się za gdańszczan,

co w ich pojęciu jest równoznaczne z niemieckością. Gdańskość jednakże zbliża ich do kosmopolityzmu, trwale podpartego stosunkami z krewnymi w Anglii.

Obecnie już wiem prawie wszystko. Luka istnieje tylko jedna: skąd przywędrował ów pradziad, założyciel naszej rodziny na tych ziemiach, ów Martin, urodzony w roku 1792...

Po wysłuchaniu tych opowiadań zadałam stryjkowi otwarte, prawie męskie pytanie: do jakiego narodu my właściwie należymy? Do niemieckiego czy polskiego? Stryj uśmiechnął się, była to już bardzo późna noc, ale odpowiedział smutno i poważnie:

- Każdy człowiek sam decyduje o wyborze narodowości. Wpływają na to warunki, w jakich się wychował, otoczenie, rodzice, krewni, stosunki i sympatie do innych osób, wreszcie małżeństwo i znów jakaś mieszanina tego wszystkiego tam i z powrotem. Sam nie wiem, Anno, jak mam ci odpowiedzieć. Ty z ojcem zostaliście na waszym Pomorzu i wiązaście się coraz silniej z polskimi krewnymi i znajomymi. W roku 1920 wybraliście Polskę. Ze mną było odmiennie. Obracałem się wyłącznie w Gdańsku i w Niemczech. Już we wczesnej młodości opuściłem dom rodzinny, a następnie wsiąknęłam w rodzinę Gardenów i w ich niemieckie interesy. Mnie wygodniej było zostać gdańskim obywatelem, serdecznie jedynie wspominającym polską matkę i jej polską rodzinę. Gdybym zamiast Gdańska wybrał Berlin czy Hamburg, byłbym został niemieckim obywatelem, przyzwyczajonym do miasta mojej młodości, moich interesów handlowych. Mógłbym ci powiedzieć, że ojczyzną kupca jest cały świat, ale byłby to tylko mocno wyświechtany frazes.

Różnie, Anno, bywa na świecie. Nasz brat Juliusz Jambor prysnął w dalekie strony i pewnie w tym Chicago stworzył sobie jakiś własny świat i nową ojczyznę. Być może ojczyzną jego stało się miasto Chicago, podobnie jak ja z moim synem znajdujemy tę ojczyznę w niemieckim Gdańsku. Mój brat Paweł jest polskim rolnikiem, twój ojciec Benon jako kupiec zżył się z polskością Wąbrzeźna, a doktor niemieckiego uniwersytetu Marcin kieruje się na polskiego dygnitarza urzędniczego. Wasz Krystynek pewnie pryśnie w angielski świat Gardenów, tak mu to patrzy z oczu i jego osobistych pragnień...

Ojczyzna? Dla jednych są nią pieniądze, dla innych - suma przyzwyczajęń i tradycja, inni znów tworzą sobie ojczyznę we własnych myślach. Nie wiem, Anno, być może twój stryj Marcin wytłumaczyłby ci to inaczej. Ja jestem kupcem i myśli moje zacierają się w interesach.

Poniedziałek

Dzisiaj w nocy wyjeżdżam do Wąbrzeźna.

Czwartek - 26 września

Wąbrzeźno. Nie warto opisywać. Obie siostry pomagają mi w przygotowaniu nowej wyprawy akademickiej. Trochę sukien, bielizna. Straciłam do wszystkiego ochotę. Jest mi jakoś dziwnie po ostatniej rozmowie ze strykiem Józefem.

W wąbrzeskim domu urządzili mi jeden z tylnych pokoiów jako mój własny pokój w tym mieszkaniu. Pomieszczono w nim wszystko, co odziedziczyłam z mebli po dziadku. Wszystko dobre stare meble. Jest tego pełen pokój. Trochę nawet graciarnia, ale bardzo miła.

Staroświeckie łóżko mahoniowe, ciężkie w rysunku i ozdobione złożonymi brązami. Szafa na rzeczy w tym samym stylu. Komódka półokrągła tak samo. Biureczko biedermajerowskie, to oceniłam od pierwszego wejrzenia. Odpowiedni do tego biureczka fotel. Na komódce zegar w marmurowej jasnej oprawie, otoczony wyłaczanymi liśćmi. Na podłodze dywan, porządny stary dywan, w solidnym deseni i kolorze. Dwa obrazy, jeden to dobra kopia znanego obrazu dziewczyny z owocami, drugi to portret mojej praprababki Zofii Wildorf. Portret kobiety w wieku już dojrzałym, zapewne w okresie, gdy wydawała syna swego Johanna w ręce jego miłości, drugiej Zofii w naszej rodzinie. Portret dobrego pędzla, popiersie w wymiarach naturalnych. Kobieta w czerni. Pod szyją kołnierz obwiedziony

jedynie listewką wąskiej białej koronki. Ręce delikatne, długie palce kobiet z rodu wielkich kupców, które nigdy nie pracowały. Rządziły one domem, lecz tylko słowem, bogate kupieckie jedynaczki.

Początkowo stawiałam sobie pytanie, dlaczego właśnie mnie przypadł w udziale ten portret, straciłam jednak wątpliwości, gdy spojrzałam w lustro. Jest coś we mnie również i z owej praprababki. Moja twarz jest w rysunku nieco inna, lecz my obie, zmarła i żyjąca, mamy wiele wspólnych cech. Trzeba będzie o tym pomyśleć w spokoju, kiedyś już z dala od Wąbrzeźna.

Ojciec wspomniał krótko, że stryj Marcin otrzymał w darze portret swego imiennika. Również z tego samego okresu. W ten sposób rozdzielono portrety kochanków sprzed stu lat. Dokonała tego testamentowa wola zmarłego.

Termin wyjazdu do Poznania już ustalony. Wyjeżdżam w poniedziałek rano. Michalscy uwiadomieni. Tym razem nie odwozi mnie Zośka. Jadę sama - traktują mnie już jak dorosłą...

Niedziela

Notuję krótko. Ojciec nie chciał temu wierzyć, ale przyszedł urzędowy list od notariusza z Grudziądza, Stryj Juliusz nadesłał zalegalizowany akt zrzeczenia się przez niego spadku po swoim ojcu na rzecz wnuków naszego dziadka. Podział nastąpi równocześnie z rozliczeniem po sprzedaży kamienicy.

Suchy list adwokacki i nic więcej. Jakoś spadek rozłazi się na drobne części. Są wiadomości z Grudziądza, że znaleźli się już inni reflektanci na dom, dają grubo więcej niż Kowalski. Nasz ojciec, choć żyje w przyjaźni ze szwagrem i robi z nim stale różne interesy, mówił, że Kowalski chciał zrobić dobry interes na kupnie domu po dziadku, licząc na to, że spadkobiercy zechcą pozbyć się domu jak najszybciej.

Na razie ojciec wręczył mi 300 złotych na wrzesień, ale zastrzegł się, że dwieście na życie, a sto na opłaty uniwersyteckie. Nie ma widocznie zamiaru podwyższenia mi pensji. W dodatku wypytywał mnie, co mam zamiar zrobić z pieniędzmi spadkowymi; jest zdania, że powinny zostać w jego interesie. Mówił, że płaciłby za nie extra 10% rocznie, jako za pieniądze pozostające w obrocie kupieckim. Zośka nic się nie odezwała, ja również. Ciekawe jest podejście naszego ojca. Rozmawiał ze mną o tym nie jak z córką, lecz jakby z jakimś współnikiem. Ojciec i pieniądze, ojciec i córka. Kupcy!

Wtorek - 1 października

Poznań. Przyjechałam wczoraj wieczorem. Na dworcu oczekiwała mnie Mela - bynajmniej nie z miłości do ciotecznej siostry. Była cała rozgorączkowana, ponieważ otrzymała wiadomość od swojej matki, że nasz amerykański stryjek zrezygnował ze swojej części spadku. Już na samym wstępie wypytywała mnie, czy dom dziadka został sprzedany i za ile. Widocznie liczy nie tylko na nasze rodzinne udziały, lecz również na część matki.

Pomimo końca wystawy poznaniacy w dalszym ciągu są podenerwowani, niektórzy robią jakieś interesy na rozbiórce stoisk.

Mieszkam jak poprzednio, stary doktor porządny człowiek, z kośćmi porządny. Chciałabym w przyszłości mieć teścia choćby w połowie takiego jak on. Na razie nie szukam mieszkania, muszę odczekać kilka dni, zanim poznaniacy nie ochłoną z gorączki. Mam wrażenie, że Mela włóczyła się z moim lisem po wystawie, ponieważ worek zawiązałam na specjalny węzeł. Trudno było jednak zamknąć szafę na klucz. I tak dobrze, że jej lisa nie ukradli, bo takiej mogło się wszystko wydarzyć.

Środa

Byłam w banku Leokadii, nieobecna, otrzymała urlop i gdzieś wyjechała na kilka dni. Pewnie do swoich bambrów pod Leszno. O mało nie wpadłam w ręce owemu tęgiemu

blondynowi z wiadomej historii. Jakoś wymanewrowałam i otrzymałam informację od paniąki w rachunkach bieżących. Jestem przecież klientką, z leżącymi u nich pieniędzmi.

Sobota

Jeszcze jestem bez pokoju. Doktor śmieje się i namawia do pozostania u niego. To niemożliwe. Od poniedziałku rozpocznę intensywne starania.

Mój nauczyciel również zarabiał na wystawie jako tłumacz języka angielskiego. Nie wiem, ile zarobił, ale obecnie, już po zamknięciu wystawy, opowiadają, że najlepiej zarabiali przedstawiciele przy klozetach. Oprócz napiwków mieli okazje do zatrzymywania sobie zgubionych przedmiotów. Zdarzały się podobno również portfele z grubszą gotówką. Pijacy mieli lekką rękę, złodzieje dobre żniwo. To samo było z restauracjami, nawet najpodlejsze, takie, do których normalnie mało kto zagląda. Podobno jeszcze dzisiaj liczą wystawowe ceny, trudno im się pożegnać z przyjezdnymi frajerami, którzy rozrzucali pieniądze na prawo i lewo, a poznaniakom tylko w to graj...

Niedziela - wieczorem

Po południu byli goście. Michalscy chcieli zrobić mi przyjemność. Jakie to blade po Gdańsku i Gardenach, byłam jednak uprzejma i starałam się nawet... Odetchnęłam, gdy drzwi zamknęły się za ostatnim gościem i mogłam zamknąć się w moim gabinecie.

Poniedziałek

Oglądane pokoje są beznadziejne, ludzie zdemoralizowali się na wystawie, operują fantastycznymi cyframi. Już cały tydzień tkwię u Michalskich, co mnie krępuje.

Piątek

Leokadia wróciła do Poznania. Nie wypytywałam, jakoś się nie zgadło. W moim dawnym pokoju mieszka obecnie jakiś aplikant sądowy, ale gospodarze nie są zadowoleni. Wynajął pokój tylko ze śniadaniem za 95 złotych miesięcznie, ale musieli mu dać pościel, gdyż swojej nie posiada. Podobno gospodarze już go przychwycili na sprowadzaniu kobiet, ładny kwiatek!

Sobota - 12 października

Dzwoniła Leokadia, ma dla mnie pokój. Spotkamy się jutro przed kościołem, pójdziemy oglądać razem. Właściwie bardzo chętnie zostałabym na Wyspiańskiego, gdyby nie młodzi Michalscy. Stary doktor jest bardzo uprzejmy i równocześnie nie narzuca się. W rozmowie potrafi być czarujący, kupuje i czyta wszystkie nowości, mogłabym na tym skorzystać. Ostatecznie mogłabym jakoś wytrzymać z głupim Józkiem, z Melą nigdy!

Tak sobie dzisiaj rozmyślałam, jakie na ogół są kobiety. Na przykład Mela i Leokadia. Mela pragnie obżerać się swoją erotyką podobnie jak ciastkami, Leokadia natomiast spożywa ją z umiarkowaniem jak chleb razowy, bo zdrowy.

Równocześnie nie jestem naiwna i doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że nie czekając na okazję czy zaproszenie, Leokadia rewanzuje mi się w myślach równie siostrzaną obmową! Ja także daję liczne powody do krytyki. Leokadia myśli sobie o mnie w taki deseń:

Głupia koza z Pomorza. Wyrwała się z domu i wyobraziła sobie, że po skończeniu uniwersytetu spotkają ją jakieś nadzwyczajności. W rzeczywistości dyplom schowa do szafy, pójdzie lub nie pójdzie na posadę, lecz w każdym razie wyjdzie za męża, no i dalej już wszystko normalnie. Mąż, dzieci, kuchnia, goście, kochanek raz lub wiele razy, w średnim wieku brydż, a później obmawianie znajomych i nieznajomych.

Owszem, owszem. Ale Leokadia myśli również: głupia koza, żyje w dalszym ciągu tak, jak ją nakręciły jakieś głupie ciotki i cnotliwa rodzina. Wykłady, lekcje angielskiego, nawet

do kina nie chodzi. Lubi lub nie lubi kina, lecz nie chodzi. Zgrywa się w roli kujona i wygłupia ze zdawaniem egzaminów na bardzo dobrze. Ja w jej wieku...

W jej wieku! W wieku młodej Leokadii, gdzieś w Lesznie. Nie wiem, co ona tam robiła, tylko tyle, że przez całe życie dłuwała w buchalterii. Głupie, mocno ogłupiające zajęcie. Ja bym tego nie potrafiła. Może jednak dowiem się kiedyś czegoś bliższego o jej poprzednim życiu.

Niedziela - 20 października

Już mieszkam. Pokój wynajęłam na osobliwych warunkach. Czterdzieści złotych za próżny pokój, około piętnastu metrów podłogi, trzydzieści za opał i usługę, sto za utrzymanie, połowę rachunku za gaz i trzecią część rachunku za światło. Jedzenie przynoszą do mojego pokoiku. Sama nie wiem, czy dobrze, czy źle i czy drogo, czy tanio. Wszystko okaże się „w praniu”, jak mawia ciotka Katarzyną. Co prawda powiedzenie nie bardzo a propos, ponieważ moja Meluńcia zdążyła mnie w swoim czasie uświadomić o pikanterii tego powiedzonka. No, ale zobaczymy.

Próżny pokój. Pościel mam swoją, łóżko z materacem dostarczyła mi Leokadia, nie wiem dotychczas skąd; stary lekarz wyciągnął gdzieś ze strychu stare, co najmniej sprzed stu lat biureczko, małe, śmieszne ze swymi galeryjkami, szufladkami i szafeczkami. Po obmyciu jednak i odkurzeniu przejrzało, znalazł się nawet połysk na starym mahoniu. W całkiem dobrym stanie, nie zniszczone. Dziwię się, że go nie wytropiła Mela i nie sprzedała. Do kompletu z biurkiem przywędrował owalny stolik, również mahoniowy, oba kawałki na krzywych nóżkach, z okresu, gdy nasze prababki pisywały czerwonym atramentem miłosne liściki do swoich adoratorów. Takie na różowym lub niebieskim papierze z obowiązkowym gołąbkim w lewym rogu u góry.

Na razie przespałam się w próżnym pokoju ze stosem bagażu na podłodze, nawet pierwszego krzesła użyczyli mi tymczasem moi gospodarze. Dopiero w piątek po południu zjawiono się biureczko, fotelik do biureczka, owalny stolik i dwa krzeselka wyściełane i obite brokatem.

Mieszkanie należy do młodego małżeństwa. Naprzód do Poznania przywędrował „pan domu” w charakterze urzędnika bankowego, przeniesionego z Warszawy, z centrali do filii, na wyższe stanowisko. Po upływie roku młodzieniec zdecydował się na małżeństwo i ożenił w rodzinnych stronach, to znaczy gdzieś w Galicji pod Krakowem. Nie dokończony student prawa. Ona taka sobie panienczka z maturą, lecz bez pieniędzy. Starczyło im na sypialnię, którą urządzili sobie w pokoju od frontu. Pokój sąsiadujący z moim został umeblowany na kredyt. Taniutka jadalnia uzupełniona ciemnym biurkiem. Wszystko jeszcze bez dywanów, ściany gołe. W kuchni skromniutko, lecz czysto. W głębi jakiś delikatny parawanik, za nim łóżko służącej. Ta ostatnia również importowana z kraju rodzinnego. Prostoduszna i nie zepsuta dziewczyna, szkolona przedtem podobno od kilku lat w rodzinie młodej „pani domu”.

Trzeci rok małżeństwa. Przede mną pokoik wynajmowano jakiemuś starszemu panu, ale były nieporozumienia, ponieważ stary kakier (?) - wyrażenie pana domu - miewał różne fanaberie.

Bawi mnie ta Galileja, kilka zaledwie dni upłynęło od mojego zainstalowania się, a mam już moc obserwacji. Inny świat - odmienni ludzie. Trzy dzielnice - trzy typy ludzi. Ciekawe. Jestem zadowolona, że tak trafiłam. Leokadia mówiła, że tylko małe rozmiary pokoiku wstrzymywały ją od zamieszkania u kolegi bankowego. Jej graty, jak określiła, są zbyt wielkie. Moja podstawowa obserwacja: galicyjscy gospodarze zachowują się w Poznaniu jakby na emigracji, stale tylko: u nas w domu i u nas w Krakowie.

Brakuje mi szafy. Doktor Michalski przyrzeka pomoc, ale dopiero za jakiś tydzień. Jutro kupię karnisze do okna, to nie kosztuje zbyt wiele. Kupię od razu w dobrym gatunku, mogą się przydać kiedyś w przyszłości, na przykład do pokoju gościnnego. Dywan. Może coś

wycygnię w domu, jeżeli się nie uda, kupię sobie mały dywanik przed łóżko. Parkiet lśni jak lustro, ale w każdym razie jakiś, bodaj skromniutki dywan złączyłby to wszystko w miłą całość.

Sobota - 26 października

To nie szafa, lecz staroświecka landara. Cóż to byłaby za uciecha w dzieciństwie. Jaka zabawa w chowanym. Całkiem swobodnie można stanąć we wnętrzu tej szafy. Dużo półek do bielizny. Wyładowałam z koszy i waliz cały mój szmaciany dobytek i zostało jeszcze sporo miejsca. To nie zwykła szafa - to królowa szaf. Skąd doktor wytrzasnął taki zabytek?

Za dywanik przed łóżko zapłaciłam 32 złote. Już mam prawie wszystko. Tylko z lustrem bieda. Hotelowe lustro nad umywalką dobre tylko dla kawalera, to znaczy dla mężczyzny. Oni potrzebują lustra tylko do golenia i do wiązania krawatów. Śmieszny jest ten mój pokoik. Nad lustrem mleczna kula szklana, taka sarna, lecz większa zwisa z sufitu, zupełnie jak w hotelu lub w biurze.

Jedzenie odmienne, lecz dobre, naszą Walerkę musieli dobrze wytresować u tych galicyjskich teściów. Na imię ma Waleria, bardzo pretensjonalne imię, ale wołają na nią: Walka. Widocznie taki tamtejszy zwyczaj, ja zmiękczam i mówię: Walerciu, tak samo mówi do niej Leokadia.

Moje firanki są trochę za szerokie do okna w tym pokoju, ale to nic nie szkodzi, gorzej, gdyby było odwrotnie. Młodzi gospodarze byli zdziwieni, gdy zawieszałam firanki, pomagał mi przy tym pan domu, ale czynił to dość niezgrabnie. Oni tam w Galicji podobno nie używają firanek, tak opowiadali mi zawsze w Bydgoszczy. U moich gospodarzy są firanki w oknach, lecz bardzo skromne, widocznie nie przywiązują do tego większej wagi.

Mój nowy gospodarz - taki sobie drobny brunecik z grubymi szklami na nosie. Coś mocno zawiądnętego czy przedwcześnie zwiądnętego, pomimo młodego wieku: najwyżej trzydzieści pięć lat. Żona - tłustawa blondynka ze zbyt widoczną skłonnością do tycia. Z oczu patrzy jej bardzo pocziwie. Cura domestica, widać to od razu na pierwszy rzut oka. Mąż ma coś za bardzo wklęsniętą klatkę piersiową. Może chory? I tacy się żenią! Obie kobiety mu dogadzają, każda po swojemu. Żona owija go w watę, Walerka patrzy w swego pana jak w święty obrazek. Chodził na prawo, czemuż, u licha, nie skończył? To przecież nie jest trudna sprawa, można śpiewająco studiować i pracować równocześnie.

31 października

Nic nowego, koniec pierwszego miesiąca. Wszystkie moje zajęcia jak w zegarku. Moi gospodarze jak dwa gołąbki w klatce. W tej chwili ona pracuje w dużym pokoju nad serwetą z haftem richelieu, on czyta Karola Maya. Sprawdziłam, gdy przed godziną zносиłam im pieniądze. Na karteczce wypisali mi rachunek, jak w małym hoteliku. Policzyli mi za pół miesiąca, mimo że mieszkałam 16 i pół dnia. Pokój 20, przyszły opał i obecna obsługa 15, jedzenie 50, elektryka i gaz 8, razem 93 złote. Jest to drożej o jakieś 20 do 30 złotych miesięcznie, ale jakoś wygodniej. Walerka przynosi mi jedzenie do pokoju, do łazienki blisko i jak się okazało, ta hotelowa umywalka to nienajgorszy wynalazek. Przydałby się jednak dywan i stolik nocny. Nocną lampkę już kupiłam, na razie stawiam ją na parapecie okna.

Walerka to porządna dziewczyna. Robotna. Gdy jej dałam „na pierwszego” pięć złotych, powiedziała, że na kino. Spojrzała na mnie zgorziona z wyrzutem i od razu odpowiedziała, że ona do kina nie chodzi i matuś przestrzegła ją przed kinem, bo to zaraza i obraza Boża. Skąd biorą się na świecie takie okazy i takie pojęcia? Ona pochodzi gdzieś ze wsi pod Kalwarią, to jest po drodze do Zakopanego. Niezepsuta dziewczyna. Dwa lata w Poznaniu i jeszcze niezepsuta. Jakoś mi zaufała i powiedziała, że ten pan, który mieszkał przede mną, to był... świnia. Proponował jej różne głupie rzeczy, ale ona zaraz dała mu

porządnie po nosie. Pocałowała mnie w rękę za te pięć złotych. To dla niej dużo pieniędzy, bo od moich gospodarzy otrzymuje tylko 20 złotych miesięcznie i na obuwie.

Walerka jest dużą, rosną dziewczyną, mocno piersiastą, ma ciemne włosy, a sarnie oczy patrzy na człowieka, to znaczy na nas troje, z dużą życzliwością. Jest mi tutaj bardzo dobrze. Idealne warunki do nauki - nikt się do mnie nie wtrąca.

W tym tygodniu, co idzie - dla mnie nowe wyrażenie - ma być wielkie pranie. Dowiedziałam się przy tej okazji, że pranie zostało już włączone do owych 30 złotych za opał i obsługę. A więc w sumie moje mieszkanie jest niewiele droższe od poprzedniego, gdzie pranie stanowiło oddzielną pozycję moich wydatków.

Dzień Wszystkich Świętych

Siedzę samotnie w domu. Nikt do mnie nie napisał, tym razem nie zrobili ceremonii z zaproszeniem do Wąbrzeźna. Zapomnieli, może nawet powoli całkiem o mnie zapomną? Zapomnieli o mnie również Marcin i Florencja, już bardzo dawno nie miałam od nich listu. Jakiś skąpy liścik z Gdańska i nic więcej. Pisali, że się pewnie dobrze bawię i nie chcą mi przeszkadzać...

Ani mi w głowie oddawanie ojcu moich paru tysięcy po dziadku. On przecież dostanie koło trzydziestu tysięcy. Zresztą nie jest mu potrzebna gotówka, opowiadała mi o tym ostatnio Zośka: ojciec myśli raczej, gdzie by korzystnie ulokować pieniądze. Podobno pożycza różnym drobnym fabrykantom na dobre zabezpieczenia. Leokadia doradzała mi akcje Banku Polskiego, to ma być spokojna i pewna lokata. Te akcje stale idą w górę. Zobaczę, przy okazji zapytam o to stryja Marcina, on kręci się u źródła w Warszawie, to pewnie będzie się znał na tym. Leokadia ma również dobrego nosa!

Znów wracam do moich gospodarzy. Wiem od Leokadii. Mój gospodarz ma w banku na rękę 420 złotych. Za mieszkanie płacą drogo, 160 złotych miesięcznie - świeżo wybudowany dom - a ode mnie biorą 40 złotych, bo bez mebli. Gdy się dorobią, to kupią do pokoju umeblowanie i będą go drożej wynajmowali. Na żywność wydają najwyżej 200 złotych na miesiąc razem ze mną, po spłaceniu rat za meble zostaje im niecałe sto złotych na wszystko inne, w tym ich część za gaz i elektrykę. Podobno żyją z ołówkiem w ręce i na nic sobie nie pozwalają. Czasami otrzymują z domu paczki z żywnością, ponieważ oboje lubią dobrze zjeść. Całe szczęście, ja na tym korzystam i nie mogę narzekać. Nie przeżeramy się wieprzowiną.

Takie to jest życie urzędnika bankowego, jeżeli nie jest dyrektorem banku, jak na przykład, nie przymierzając, nasz kochany szwagierek. No ale wszyscy nie mogą należeć do „Strzelca”, a zresztą nie wszyscy by chcieli. To są unikatki na naszym Pomorzu i nic dziwnego, że oni tak oburącz chwycili się naszego rodzinnego lenia.

Leokadia ma w banku przeszło 900 złotych miesięcznie, ale takim buchalterom dobrze płacą, jest ponadto prokurentką. Mój gospodarz opowiadał mi, że ona dużo znaczy w ich banku. Widocznie umie kręcić się koło swoich interesów.

Jeszcze nie mam wiadomości od Elfrydy z Anglii, mimo że przy wyjeździe podałam jej adres doktora Michalskiego. Może zgubiła adres? Trzeba będzie napisać do Gdańska - do Krystynka.

Dzień Zaduszny - wieczorem

Jest mi bardzo smutno. Prawie że nie wychodzę z domu. Żałuję, że nie pojechałam do Katowic. Właściwie mogłam to zrobić. W tym rozgardiaszu rodzinnym, jaki dotąd panuje po śmierci dziadka Jambora, przeszłoby to bez echa. Dlaczego stale miałabym się obracać wyłącznie pomiędzy krewnymi naszego ojca? Już i tak odczepiłam się od Wąbrzeźna i podążam własną ścieżką życiową. Wszystko, co mnie z nim łączy, to tylko fakt, że Benon Jambor jest moim ojcem i przysyła mi na razie dwieście złotych miesięcznie na utrzymanie w

Poznaniu. Ale dopiero obecnie, gdy chodzę na uniwersytet. Przedtem w Bydgoszczy pracowałam na siebie całe dwa lata i ojciec prawie nie wiedział o tym, że gdzieś u ciotki poniewiera się jego najmłodsza córka. Jediną wierną siostrą jest dla mnie Zośka, z brata mam niewiele - prawie nic, a Pelasia jest dla nas wszystkich stracona. Obecnie, gdy mieszkają osobno, Tuchołka przerobi ją całkowicie na swoje kopyto. Tylko tyle, że dzieci, ale co do mnie, to pamiętam o nich jedynie wówczas, gdy je widzę. Potem, gdy wyjeżdżam, od razu o nich zapominam.

Wniosek taki, że trzeba żyć dobrze ze stryjami, oderwać się na dobre od Wąbrzeźna i poszukać sobie rodziny i przyjaciół na własną rękę. Na początek zbuntuję się i spróbuję pojechać na święta Bożego Narodzenia do Katowic. Do babci. Ojciec nie może powiedzieć mi złego słowa, to jest rodzona matka mojej matki, a nie jakaś tam oschła przyrodnia siostra ojca, ciotka Katarzyna. Z przyjaciół mam dobrego doktora Michalskiego i Leokadię. Florencja osobno, jako wspólna pozycja ze stryjem Marcinem. Generałowa w rezerwie, to materiał na moją protektorkę dopiero w przyszłości, gdy skończę poznański uniwersytet. Już kilka listów do niej pisałam, na wszystkie otrzymałam serdeczne odpowiedzi. Uwaga: listy były bardzo porządnie napisane, Madame Sans-Genie nie umiałaby takich napisać, mam na myśli nie tylko ortografię, lecz również treść i w ogóle.

Stale mądrzeję, z każdym dniem, powoli, ale stale. Obserwuję ludzi, analizuję moje własne czyny. Ustaliłam się, drugi rok akademicki przejdzie szybko, jak z bicia strzelił. Wykłady, codzienna lektura podręczników i skryptów, słówka angielskie i konwersacja z moim Anglikiem. Mówi, że robię postępy; dotychczas w swojej praktyce nie miał takiej zawziętej uczennicy. Podziwia moją wytrwałość. Śmieje się tylko na widok moich codziennie wypisywanych karteczek ze słówkami i z wymową. Podobno nie trzeba się uczyć tak wielu słówek, ale ja już jestem taka chciwa. Nie chciałabym, aby mi kiedyś w przyszłości brakło jakiegoś właściwego słówka do wyrażenia moich uczuć czy interesów.

Niedziela - 17 listopada

Długo nie pisałam - nie było o czym pisać. Nic się nie wydarzyło, a ja z miejsca wzięłam wielkie tempo w mojej pracy na uniwersytecie. Równocześnie czytam bardzo dokładnie Forsytów. Pomimo że całość mam dobrze w pamięci - po raz drugi przeżywam losy wszystkich bohaterów, nawet męskich przedstawicieli tego rodu. Obecnie po gdańskim miesiącu wiele problemów inaczej przedstawia się w moich oczach. Ta sama treść, ale przeżywam ją w nowym oświetleniu i obserwuję pod innym kątem.

Sobota - 23 listopada

Herta przysłała mi pakę wiejskich przysmaków. Trochę ofiarowałam w prezencie Leokadii i przy tej okazji przyjaciółka zaproponowała mi urządzenie małego przyjęcia. Sama nasunęła myśl zaproszenia wszystkich Michalskich. Nie bardzo się na tych rzeczach wyznaję, toteż całość złożyłam w ręce Leokadii, która od razu zaczęła latać za różnymi zakupami. Ponieważ mój pokój jest zbyt mały, posiadam tylko trzy foteliki, Leokadia zdecydowała, że przyjęcie odbędzie się w dużym pokoju u moich gospodarzy. Już wszystko jest nakręcone, Leokadia dysponuje gospodarzami, jakby u siebie w domu. Widocznie ten mój gospodarz to jakiś taki sobie ciapuś bankowy, mimo że razem z Karolem Mayem na kartach jego książek zabija Indian i bawoły.

Na przyjęciu będzie osiem osób. Goście mają przyjść dopiero o godzinie siódmej wieczorem, ze względu na przyjęcia pacjentów u doktora. Leokadia ma zjawić się już o piątej, aby wszystkim zadyrygować. Moja gospodyni patrzy na Leokadię jak zaczarowana, widocznie nasza poznanianka z Leszna rodem imponuje galicjance z małego miasteczka. O Walerce nie ma co mówić, ta chłonie wszystko z otwartymi z podziwu ustami.

Na przyjęciu będzie wszystko: starka, likiery i wino, sardynki i łosoś. Bez kawioru, ale tutaj nie ma tego zwyczaju, to tylko w Warszawie...

Niedziela

Przyjęcie udało się. Doktor był zachwycony, prosiłam go, aby wszystkie podziękowania przelał na moją przyjaciółkę Leokadię.

Po kolacji - była gotowana kolacja (!) - złożyła się partia brydzowa, ale jakoś na szczęście nie rozkręciła się na dłuższą metę. O godzinie pierwszej był koniec ze wszystkim. Goście wyszli razem, nie wiem, co było dalej, brak mi wiadomości. W brydża grał jedynie sam doktor z trzema kobietami. Leokadia, moja chętna do zwierzeń koleżanka, Irenka, i ja. Józinek - który wypił cośkolwiek za dużo - przyczepił się z kolei do mojej gospodyni, a Mela ze złości do mojego gospodarza. Przynajmniej kibice nam nie przeszkadzali przy brydżu.

Dzisiaj w niedzielę nie poszłam do kościoła. Wylegiwałam się, śniadanie zjadłam koło dziesiątej w łóżku, a obiad w generalskim szlafroku. U siebie, jak zwykle na mahoniowym stoliku. Walerka była zgorzozona, ponieważ tego dnia nikt z domu nie poszedł na mszę. Tylko ona jedna nie zasnęła i poleciała do kościoła na wpół do siódmej. Dziewczyna zadowolona, bardzo się jej podobało przyjęcie. Od razu wszystko mi opowiedziała: stary doktor, Józinek i Leokadia dali jej po dwa złote, a Irenka wszystkie drobne, jakie wygrała: przeszło sześć złotych z groszami. Ja wygrałam osiem złotych, przegrali oboje, doktor z Leokadią.

Bardzo dobrze, że urządziłam przyjęcie. Trzeba się pokazać ludziom, tym bardziej że od starego lekarza doznałam dużo uprzejmości. Tylko dlaczego Irenka tak spoważniała? Co wpłynęło na taką zmianę usposobienia u tej trzpiotowatej dziewczyny? Przypadkowo od Meli dowiedziałam się o pochodzeniu szafy, również ze składu na strychu, ale przedtem powędrowała do stolarza. Ktoś inny byłby mi przywiózł do mieszkania połamany grat, oceniam w tym delikatność i dobre wychowanie doktora.

Jutro zadysponuję kwiaty dla Florencji, po dawnemu azalia w najlepszym gatunku, list mam już zawnazapisany.

Niedziela

Dzisiaj już pierwszy grudzień. Na dworze robi się coraz chłodniej. Zima. Postanowiłam nieodwołalnie, że na te święta pojedę do babci i do Michałostwa. Napisałam o tym do Zośki. Ojciec nie może mieć do mnie pretensji, że jadę do mojej babki, co mnie obchodzą jakieś nieporozumienia między szwagarami.

Dziewiątego grudnia imieniny Leokadii, urządza już siódmego w sobotę, zaprosiła do siebie wszystkich uczestników ostatniego przyjęcia. Trzeba będzie pomyśleć o jakimś odpowiednim prezencie. Sama nie wiem, zapytam się Meli albo lepiej Irenki. Kupię pewnie flakon perfum, trzeba będzie tylko wybadać delikatnie, jaki rodzaj zapachu. Perfumy dla kobiety - to zawsze taki mniej więcej neutralny upominek, krytyce ulega głównie cena. Co do prezentu dla Leokadii, to chyba ze trzydzieści złotych, mniej nie wypada, ona przecież urządziła mnie w obecnym mieszkaniu. Sypiam na łóżku dostarczonym przez nią. Wypada ofiarować porządne perfumy, powiedzmy: 50 złotych, nobliwie, zresztą zobaczę, co będzie można nabyć.

Wtorek - 3 grudnia

Siedziałam wczoraj na wykładzie prawa cywilnego. Wykład był nudny i drobiazgowy. Właściwie sprawdzałam tylko to, co już w domu u siebie przewertowałam na wszystkie strony. Przyszło mi na myśl, że to rozwleczenie studiów na cztery lata - to jeden z wielu nonsensów. Studenci na ogół nie chodzą na wykłady i w ciągu roku zajmują się czymś innym. Jedni pracują, inni hulają, co w gruncie rzeczy na jedno wychodzi, jeżeli wziąć pod uwagę stosunek studentów do wykładów. Dopiero pod koniec roku wszystkich ogarnia szła

przedegzaminowy i studenci na gwałt starają się wykuć na poczekaniu odpowiedzi na najważniejsze pytania. Uprawiają istne polowania, a nawet zestawiają spisy pytań i odpowiedzi. Do czego to podobne i co komu przyjdzie z takich sztuczek? Trzeba również napisać wyraźnie, że same wykłady z nielicznymi wyjątkami są niesamowicie, beznadziejnie nudne, niektóre wprost bezwartościowe. Powolne przeżuwanie tego, co prawdziwi uczeni starali się podać w zwartej, mądrej i syntetycznej formie.

Po egzaminach wszyscy oddychają lżej, studenci, że są o rok bliżej dyplomu, profesorowie, że mogą wyjechać na wakacje. Jedni do Rabki ze względu na chore dzieci, inni do Krynicy lub do Karlsbadu, w zależności od posiadanej gotówki. Później nastaje nowy rok akademicki i rozpoczyna się nowe oszustwo z nauczaniem i wzajemne obełgiwanie. Mnie się wydaje, że profesorzy są w pełni świadomi tego, że studenci ich nabierają. Naturalnie trochę inaczej - trudniej dla studentów - jest na wydziałach o konkretnie ustalonym kierunku: medycyna, rolnictwo i w ogóle nauki, wymagające ćwiczeń i laboratoriów. Ale prawo? Może jeszcze ekonomia jest czymś bardziej myślącym. Ale prawo - to tylko czysto pamięciowa sprawa. Udzielenie studentom bardzo zresztą ogólnych informacji; później dopiero kute lisy prawnicze w sądzie czy adwokaturze poganiają młodych adeptów i zmuszają ich do małego opanowywania paragrafów. Procedura sądowa niby zasady gry w piłkę przychodzi w życiu sama, mocą osłuchania się i przystosowania do atmosfery, resztę wykonują różni Świetlikowie. Prawo wymaga sprytu w sprawach cywilnych i tupetu w karnych, inteligencja jest rzeczą zbędną, raczej przeszkadza tam, gdzie się ma do czynienia z przeciwnikami brutalnymi.

Ciekawa jestem, co by powiedzieli moi profesorzy, gdyby mieli możliwość posłuchać tych wywodów? Oni są tacy dumni ze swoich słów, które wygłaszają z wysokości tak zwanej katedry. Dla mnie to wszystko służy tylko do uzyskania papierka zwanego dyplomem. Jeżeli nawet kiedyś w życiu to i owo przyda mi się, i tak nie będzie decydujące to, co będę w danej chwili umiała, lecz to, jak zareaguję w tym czy innym wypadku. Te moje studia to właściwie tylko pewnego rodzaju gimnastyka myślowa i gromadzenie sporej dozy różnych wiadomości o charakterze encyklopedycznym. Rodzaj nawozu, na którym wątła roślinka własnej indywidualności może rozmaicie wzrósć czy wykwitnąć - w postaci pięknego, lecz bezużytecznego kwiatu lub praktycznych owoców. Teraz dopiero rozumiem, dlaczego przed kilkuset laty do niektórych miast włoskich czy Paryża ciągnęły tłumy scholarzy z całego ówczesnie znanego świata. Tam wykładali prawdziwi uczeni, przyciągał nie uniwersytet, lecz światło i potęgą ich wiedzy.

No ale dyplom to w naszych czasach coś koniecznego, jakiś dalszy ciąg świadectwa szczepienia ospy, jakieś minimum potrzebne do swobodniejszego obracania się w świecie. Dzięki dyplomowi miernoty mają zapewnione spokojne życie, eksploatują świstek papieru, nie usiłują niczego zgłębić na własną rękę i w ten sposób wymieniają oportunistycznie dobrobyt. Dla mnie, jako kobiety, dyplom ważny jest o tyle więcej, że oddala mnie od perspektywy kuchni i bezpośredniego obcierania nosa dzieciom nie swoim i własnym, o ile takowe będą miała w przyszłości.

Ale to wszystko głupstwo. Na razie lepiej wziąć się do angielskich słówek, to może dać we wcześniejszym terminie coś więcej niż wyczekiwanie na pięćdziesięciozłotowe podwyżki w banku czy gdzie indziej. Dyplom, a dopiero później zobaczymy, dokąd się skierować. W każdym razie nowego życia nie rozpocznę od tego, na czym skończyłam przed półtora rokiem w Bydgoszczy, to znaczy od 250 złotych na miesiąc. Na pewno nie. Nie jestem taka głupia, potrafię się urządzać inaczej.

Piątek - 6 grudnia

Dzisiaj rano zwalili się do mnie stryjek Paweł z Maksiem. Właściwie nie do mnie, bo przyjechali już w nocy i urządzili się w „Continentalu”. Przyjechali samochodem bez szofera.

Tylko tyle, że wiejskim zwyczajem obudzili mnie już o siódmej rano i zaraz kazali mi ubierać się i wyjść razem z nimi. Przywieźli znów furę różnych prezentów.

Zostają do poniedziałku wieczorem. Mają do załatwienia jakieś zbożowe interesy. Musiałam oprowadzać ich przez cały dzień po naszym mieście. Wszystko ich zaciekawia. Chcieliby od razu zobaczyć w Poznaniu więcej różnych rzeczy, niż ja zobaczę w ciągu czterech lat moich studiów.

Prezentują się znakomicie, widać, że pochodzą ze wsi. Zdradza ich ubranie, bogate świtki i ruchy. Obaj mają wielką pewność siebie - właśnie w tych ruchach. Występują śmiało i energicznie, mówią głosem zdecydowanym. To nie są jakieś tam miejskie lebiody urzędnicze.

Wieczorem byliśmy w teatrze, a później na skromnej kolacji w „Hungarii”. Bez wystawy, bo obaj krewni byli zmęczeni podróżą. Odprowadzili mnie do domu, jutro przed południem będą załatwiać swoje interesy handlowe, o szóstej mają zjawić się u mnie, aby pójść razem na imieniny. Program na niedzielę również został ustalony. Wyjazd we wtorek rano, chcą wracać za dnia, przed nimi daleka droga. Jadą na Toruń, tam mają zanoćować - jakieś dalsze interesy.

Niedziela - w nocy

Nie mogę spać. Głowę mam nabitą nowościami. Wobec nich zbladły nawet wrażenia imieninowe.

Nie warto opisywać samego przyjęcia. Naturalnie Leokadia bezsprzecznie była najpiękniejszą kobietą w tym towarzystwie. Inne gasły wobec niej, pomimo swojej młodości. Umie nosić suknie, które ma w pierwszorzędnym guście, trzeba jej to przyznać. Mela wyglądała przy niej jak cokolwiek tylko młodsza siostra. Pomimo że była wystrojona, nawet bogato. Józinek nie wiedział, przy kim się ustalić, przy Leokadii czy Irencie. Ale ta ostatnia w dalszym ciągu była smutna.

Krewni bawili się doskonale. Obaj grają świetnie w brydża. Maksiu opowiadał, że to była jego jedyna rozrywka na ostatnich manewrach wojskowych. Podarował mi swoją fotografię w ułańskim mundurze, już ma pierwszą gwiazdkę oficerską. Znakomicie wygląda. To przecież pierwszy Jambor w polskim wojsku, w dodatku oficer. Ale to wszystko drobiazgi. Dzisiaj rano Maksiu przyniósł mi prezent, jak mówi - gwiazdkowy. Już wszyscy w rodzinie wiedzą, że jadę na święta do Katowic. Oni byli po drodze w Wąbrzeźnie i sam ojciec im to zakomunikował.

- To przecież jest jej babka, niech jedzie. Co ją obchodzi, że ja coś mam z Michałem? Zresztą stare dzieje...

W dodatku stryjkowi Pawłowi ojciec wręczył gwiazdkowy prezent dla mnie w postaci trzech metrów ciemnozielonej gabardyny bielskiej. Ma to związek z prezentem Maksia: błam wspaniałych lisów i osobno dwa sute lisy na kołnierzu. Wszystko to są podobno myśliwskie trofea Maksia z czasu jego pobytów na Wileńszczyźnie. Stryj Paweł - śmiejąc się - wręczył mi od siebie dwieście złotych na krawca i kuśnierza.

- Czy ja mam być gorszy od Marcina, który młodym pannom po drodze na kolację w „Bristolu” kupuje po srebrnym lisie? - mówił. Stryjek o wszystkim wiedział i wyśmiewał się ze mnie, że dałam się okpić mojemu dawnemu dyrektorowi. Musiałam opowiadać historię z pozwoleniami od początku do końca i dopiero, gdy okazałam wyciąg z konta bankowego, stryjek spowaźniał i powiedział do Maksia:

- No, chwała Bogu, że nasza Anna wypływa tak pewnie na inne wody. Poradzi sobie w życiu bez mierzenia metrem bławatów u ojca w Wąbrzeźnie.

Dowiedziałam się następnie reszty nowości rodzinnych. Dom jest już właściwie sprzedany. Kupują do spółki obaj stryjowie w idealnych połowach: Paweł i gdański Józef. Zawarli z sobą umowę, że na życzenie każdy z nich może spłacić drugiego, ułożyli się w

dolarach po kursie kupna domu i po ewentualnym kursie w dniu kupna drugiej połówki przez któregoś z nich. Cena sprzedaży domu została ustalona w wysokości ofiarowanej przez obcego kandydata. Na tę cenę zgodził się mój ojciec i ciotka Katarzyna pisemnie u notariusza, nie wiedząc jeszcze o zamiarach dwóch braci. W ten sposób raz na zawsze zostało zlikwidowane ewentualne źródło nieporozumień rodzinnych. Tak im doradził stryj Marcin, u którego byli obaj bracia. Po zapłaceniu podatku spadkowego i obu legatów, dla Wilmy Krauthof i dla mnie, na każde z rodzeństwa przypadnie coś koło 27 tysięcy złotych. Wszystko zatem znacznie wyżej niż gotówka ofiarowywana przez Kowalskiego, w dodatku dom zostanie w posiadaniu rodziny Jamborów. Cena sprzedażna wynosi 218 tysięcy złotych, a nie jakieś marne 140 tysięcy, które w zamieszaniu podtykał Jan Kowalski. Poza tym na realności ciąży okrągło sto tysięcy długu hipotecznego, wygodny, ponieważ Warszawskiego Towarzystwa Kredytowego. A zatem kupiec Benon Jambor, mimo swoich niepowodzeń grynderskich, pozostawił po sobie wcale ładny majątek.

Herta ma wyjść za mąż ostatecznie w przyszłym roku - pod koniec karnawału. Obecnie ciotka Magda dyryguje na gwałt szyciem wyprawy ślubnej. Państwo młodzi mają zamieszkać w grudziądzkim mieszkaniu dziadka, którego w związku z tym dotychczas nie wynajęto. Kamienica zostanie kupiona od razu na nazwiska dzieci: Herty i naszego gdańskiego Heinricha.

A zatem do Katowic pojedę już w futrze, w moim pierwszym w życiu futrze. Kolor gabardyny bardzo twarzowy, ciemna i miła rezeda, materiał praktyczny. Lisy bardzo lekkie, dobrze wyprawione, jak piórko, wcale nie czuć ciężaru puszystego błamu. Zawsze mi mówili, że damskie futra podbite lisami noszą bogate dziedziczki wiejskie.

Stryj powiedział, że Marcin postąpił niezbyt mądrze. Dwieście tysięcy złotych byłoby mogło dać mu do ręki klucz do zrobienia dalszego majątku. A tak rozdrobnił całość na małe kupki jedynie dlatego, aby uniknąć jakichś nieporozumień w rodzinie. Ale stryjek dodał równocześnie:

- Chyba tylko z naszą siostrą Katarzyną, bo ona zawsze była chciwa na gotówkę, oraz z waszym ojcem, który całe życie usiłował przewodzić innym braciom. Ten pański gest Marcina był niepotrzebny, najlepiej napisał do nas w liście Juliusz z Chicago...

I stryj pokazał mi ten list, nasz Amerykanin pisze dokładnie tak: „Nie chcę być gorszy od Marcina. Obaj prawie nic nie otrzymaliśmy od naszego ojca, nawet szyfkartę do Ameryki kupiła mi ciotka Pelasia. Ja zatem prawie nic, a Marcina przepychała na uniwersytetach również ciotka za swoje posagowe pieniądze po naszym dziadku. Skoro jednak Marcin tak podzielił, niechże mu zatem tak będzie. Ale te pieniądze nie są dla mnie. To byłoby najwyżej parę tysięcy dolarów, a więc dodatkowo jakieś kilka procent tego, co już posiadam i co sam zdobyłem. Ani mnie zbawi, ani pomoże. Osobiście nieustannie obracam całym moim majątkiem, dzięki czemu zarabiam nieźle. Niechże zatem nasze dzieci dostaną ode mnie również po cukierku. Czemu amerykański stryjek ma być gorszy dla nich od grudziądzkiego dziadka? A nasz Marcin zrobił źle, trzeba mu było nie upierać się przy podziale, sprzedać dom, pieniądze przywieźć do Chicago i obaj razem, mając sto tysięcy dolarów, inaczej kręcilibyśmy naszymi głowami. Chemia to jest dobra rzecz, ale chemicy nie powinni siedzieć w jakichś tam głupich ministerstwach w Warszawie. Business to jednak dobra rzecz, to nie jakieś obgryzanie ołówków w biurze”.

- Stryjku - zapytałam odważnie - Florencja to taka szampańska dziewczyna, prawdziwa dama, dlaczego Marcin nie ożeni się z Florencją?

Stryj Paweł spojrział na mnie mocno zdziwiony, byliśmy sami, bez Maksia, i rzekł:

- Widzisz, Anno, nie zawsze to, co bliskie i dobre, akurat jest możliwe do zrealizowania. Owszem, Florencja; ale skąd tobie, dziecko, przychodzi do głowy takie myśli? - Po chwili dokończył, już raczej niechętnie:

- Marcin jest inaczej zaangażowany, tamto jest znacznie silniejsze, a wszystko razem tak splątane, że... A zresztą postaw kiedyś przy okazji to samo pytanie Marcinowi, może on tobie szczerzej odpowie, to jego sprawy, on ma do ciebie sentyment, a my wszystko, co w ogóle wiemy, wiemy od ludzi innych, od obcych...

Jutro pójdziemy z Leokadią do krawca. Jeżeli się uda, pojedę do Katowic jak dziedziczka w nowym futrze. Babcia się ucieszy. Chyba zrobią mi przed świętami? Mogę specjalnie dopłacić, dostałam znów pieniądze, mimo że siedzę na worku z moimi własnymi pieniędzmi. Jakoś posuwa się życie.

Mój legat wpłaca na depozyt sądowy - zgodnie z intencją dziadka. Po skończeniu uniwersytetu nie będę zmuszona patrzeć ojcu na rękę. To dla mnie ważna rzecz, decyduje o mojej samodzielności. Zrobię i obrócę się, jak sama zechcę.

Poniedziałek

Futro będzie za 10 dni. Jeszcze przed świętami. Leokadia ma dobre znajomości. Komu innemu nie zrobiliby futra przed świętami, nawet za droższą cenę. Nie zawsze pomagają same pieniądze, czasami cenniejsze są znajomości i stosunki, zwłaszcza w takich drobnych sprawach codziennego życia. Stryjek namawiał mnie na coś w rodzaju świtki czy bekieszy ze sznurowaniami z przodu, z obcisłą piersią i sutym dołem kloszowym. Tak widocznie chodzą w ich wiejskich okolicach, chociaż stryj kilkakrotnie podkreślał raczej Kongresówkę. Leokadia natomiast wybrała mi nowszy fason, nazywany pelisą. Taka sobie francuska nazwa, aby trudniej było zgadnąć. Ramiona jak przy raglanie, całość mocno obfita, kloszowa od samej góry. Bardzo mi się spodobał właśnie ten fason. Przymierzałam u krawca takie futro, już gotowe, podbite tchórzami, z wydrzanym kołnierzem szalowym. Moje chłopięce biodra i deski piersiowe jakoś giną, a całość jest jakby przewiewna. Bekiesze zresztą wychodzą z mody, są dobre raczej dla kobiet niższych ode mnie i z pełnym biustem. Dopiero wówczas bekiesza zyskuje linię. Do mojego futra zrobią mi również pasek z materiału, przyda się w razie dużego mrozu, ale to pewno zbytteczne. Lisy grzeją jeszcze lepiej niż moje puchowe kołdry.

17 grudnia

Z Katowic mam już bardzo serdeczne zaproszenia. Czekają na mnie. Wczoraj rozgryzłam Irenkę. Przyszła na nią znowu fala zwierzeń i prosiła jedynie o dyskrecję. W okresie przed egzaminami ktoś zaraził ją chorobą weneryczną. Nawet nie wie, który z kochanków. Było - jak mówiła - kilku w tym okresie. Podczas wakacji odsunęła się od wszystkiego. Zamieszkała u znajomych w Krakowie, leczyła się starannie i równocześnie nauczyła swojej poprawki lepiej niż na plus bardzo dobrze. Obecnie już koniec z przygodami miłosnymi. Obrzydło jej to wszystko. Nie chciała wierzyć, że ja nie posunęłam się jeszcze z chłopcami poza granicę zapomnienia. Trochę to było fałszywe z mojej strony, że na zwierzenia Irenki nie odpowiedziałam opowiadaniem o moim wypadku, ale postanowiłam, że ta historia nigdy nie wyjdzie na światło dzienne. Sama również pragnęłabym o tym zapomnieć - na amen!

Biedna Irenka. Mnie również dodatkowo mogło spotkać i to nieszczęście. Dzięki Bogu obyło się bez takiego tragicznego zakończenia. Co ja byłabym zrobiła? Chyba do Brdy, bo przecież ciotka Katarzyna! Irenka mówiła, że kuracja była bardzo dotkliwa. Nie chodziło w tym wypadku o bolesne zabiegi, ale o wstyd przed ludźmi, przed lekarzami. Dobrze przynajmniej, gdy się ma pieniądze. Nie przyznała się ojcu, lecz zaufała ciotce. Powiedziała mi, że taka choroba to coś znacznie gorszego niż skrobanka. Ta przechodzi po tygodniu, gdy się poleży w szpitalu, a po miesiącu już się o tym nie pamięta.

- Nauka - mówiła mi Irenka - aby uważnie postępować w życiu. Nauczyło mnie, że trzeba dobrze oglądać widelce i noże przed przystąpieniem do jedzenia. I trzeba trochę więcej myśleć, a nie rzucać się w ramiona pierwszemu lepszemu chłystkowi, jedynie dlatego, że jest

chłopcem. Siostry w internacie mówiły nam w kółko tylko o grzechu i o Panu Bogu, trzeba nam było raczej tłumaczyć inaczej: to jest krótka przyjemność w ciągu kilku godzin, a może być tragedia na całe życie. Do ludzi trzeba przemawiać ludzkim językiem.

A zatem mój styl życiowy okazał się lepszy. Byle tylko w nim wytrwać, moja Anno! Ale przecież ja już niejedno „widziałam”, a obecnie już i wysłuchałam. Biedna Irenka.

18 grudnia

Florencja dopiero teraz odpisała na moje listopadowe życzenia dla niej. Dziękuje za kwiaty - niech żyje Fleuropa! Píše, że zostaje na święta w Warszawie, natomiast Marcin wyjeżdża na dwa tygodnie do Paryża. Oboje uradzili, że w końcu lutego pojedą na narty do Zakopanego, ostatni tydzień lutego i pierwszy tydzień marca. Podobno to najładniejszy okres zimowy w górach, dużo słońca. Namawiają mnie, abym sobie urządziła małe wakacje w tym czasie. Już wiedzą o moim wyjeździe do babci. Florencja wina mi dwóch spadków dziecińczych; wie nawet, że w naszej rodzinie wyśmiewają się z tych rozdrobnionych części dla wnuków. „Co do mnie - píše moja Florencja - rozdrabnianie majątków uważam za niewłaściwe. Drobnym spadkobiercom niewiele przyjdzie z takich cząsteczek, majątek zbierany czasami w ciągu wielu lat marnuje się w ten sposób w krótkim czasie. Wasz stary dziadek na pewno dobrze przemyślał nad tym i pragnął dobrze urządzić najmłodszego syna. Marcin ma jednak swoje pomysły, jest uparty i w dodatku mocno tkwi w polskim romantyzmie. On zawsze jest taki, gdyby był inny, toby nie był Marcinem... Tylko jemu o tym nie wspominaj, moja Anno, bardzo o to proszę. Marcin to jest duże dziecko i trzeba mu wybaczać nawet takie gesty, jak z tym spadkiem.

A zresztą to już przeszło, nigdy nie należy myśleć o rzeczach, które już przeminęły. Lepiej marzyć o śniegu, słońcu i nartach. Namyśl się, Anno, my w górach mamy dobre locum, nauczysz się jeździć na nartach, będzie nam razem wesoło i miło”.

20 grudnia

Futro wypadło doskonale. Zupełnie inny ze mnie człowiek, właściwie powinnam napisać: inna kobieta. W każdym razie kobieta w futrze wygląda lepiej niż ta sama kobieta tylko w płaszczku z kołnierzem futrzanym. Byłyśmy u krawca wszystkie trzy: Leokadia, Mela i ja. Moje futro jest bardziej efektowne niż popielice Meli. Naturalnie Leokadia wyglądała bardzo dostojnie w swoich karakułach pierwszej klasy, w dodatku umie je nosić.

Do Katowic jadę jutro dniem, aby uniknąć tłoku, w nocy podobno jest tragicznie na tej linii. Umówiłyśmy się i jedziemy razem z Irenką. Wszystko mam już gotowe, nawet prezenty dla babci, Michała i Kazi. Za kilkanaście dni już nowy rok 1930! Prawie połowa mojego drugiego roku akademickiego, Czas szybko leci.

Katowice - 26 grudnia

Święta upłynęły w serdecznym nastroju rodzinnym. Pomimo braku dzieci była duża choinka aż pod sufit. Posłano mi w pokoju stołowym właśnie pod tą choinką. Zapach świec i rozgrzanego igliwia. Gdy wieczorem ułożyłam się na kanapce i zamknęłam oczy, wróciło do mnie dzieciństwo i zdało mi się, że jestem dziesięcioletnią dziewczynką. W tym bowiem wieku przeżywałam jeszcze bajki choinek i podarunki gwiazdorów z przyprawianą brodą z waty.

Przyznaję się, że tej nocy wigilijnej, po powrocie z Pasterki, ogarnęło mnie wzruszenie. Znowu przypomniałam sobie, że od śmierci matki nikt nie okazywał mi serca. Dlatego być może spoważniałam przed czasem. Trudno, muszę napisać, że rozbeczałam się jak małe dziecko. Pomimo że pod choinką były złożone dla mnie upominki kochających serc. Babcia

podarowała mi trzy poszeweczki na jasiek z jej własnoręcznymi hafcikami, Kazia narty z kijkami, a wujek - ołówek i wieczne pióro marki Pelikan w skórzanym futeraliku.

Leżałam i popłakiwałam. Wdychałam równocześnie zapach choinki i rozmyślałam o przyszłych losach dużej już obecnie Anny Jambor. Co jej przyniesie przyszłość? Jakie choinki i jakie wieczory wigilijne przeżyję w swym życiu? Gdzie i z kim? Dobrze czy źle? Zasnęłam dopiero nad ranem. Nikt mnie nie budził, pozwolili mi wyspać się, sami spożyli śniadanie w innym pokoju. Dom był cichutki, bez wrzawy i bez hałasu, jaki zazwyczaj towarzyszy wszystkim świętom w domu mojego ojca.

Poznań - 10 stycznia

Długie dni rodzinne aż do Trzech Króli były wypełnione mnóstwem rozmów. Ale wszystkie następne noce były już krótkie i ze snem kamiennym. Dobrym snem dziecka, które nieświadome trudności i niebezpieczeństw przyszłego życia, z wiarą w Dobre, przykłada główkę do poduszki i pogrąża się w błogim śnie, pełnym ufności do otoczenia, do matki, rodziców i rodzeństwa. W dzień ulatywały ode mnie złe wspomnienia i żyłam wśród miłych chwil i słów serdecznych. Było bardzo dobrze, naprawdę rodzinnie.

Ale święta skończyły się i znalazłam się znów z powrotem w mym mieście uniwersyteckim. Przyjechałam już w środę rano i zaraz z miejsca pochwytyły mnie w objęcia inne wizyty. Doktor Michalski i Leokadia. I tu, i tam dalsze serdeczności świąteczne z przechowaniem dla mnie kawałków tortów świątecznych, jakby dla małego dziecka. Obowiązkowe przyjęcia. Nawet moi gospodarze zdołali namówić mnie do śpiewania kolęd pod choinką w ich dużym pokoju.

Tutaj jeszcze w dalszym ciągu panuje nastrój świąteczny.

Niedziela - 12 stycznia

Zamiast pisać - rozmyślałam. Czytam powieści. Wczoraj byłam w kinie „Apollo” na filmie detektywnym; dopóty interesujący, póki patrzy się na ekran. Później, po wyjściu z kina, wszystko ulatuje i nic nie pozostaje z tego w głowie. Chyba jakieś trociny - dla głupców. Poza tym wykłady, lektura podręczników i słówka angielskie, wszystko normalnie jak w zegarku. Trochę przyjaźni z Irenką. Już uspokojona, lecz bez dawniejszej wesołości. Całkiem inna dziewczyna, dostała porządnego prztyczka w nos, sama to uznaje. Dalsze opowiadania - słucham - studiuje życie, jak dobrą sztukę z odległości miejsca na galerii. To bardzo cenne, o ile człowiek myśli.

Byłam również u Franka Świetlika. Ta jego żona jest niesympatyczna. Myślę, że on ożenił się z nią jedynie dla pieniędzy. Nie lubię tych wszystkich kominiarskich koligacji z Grudziądza. Posiadają sporo pieniędzy, lecz nie mają za grosz oglądy. Podobno między nimi jest tylko pięć lat różnicy, ale Stasia wygląda na pięćdziesiątkę. Zniszczona i bardzo nieapetyczna. Ostatnio opowiadała mi Zośka, że oboje mają lewe miłostki. Franka jeszcze rozumiem, bo jest wesoły i da się lubić, ale skąd to wyblakłe pudło?

Franek robi jakieś interesy i posada buchaltera to jedynie wygodna pokrywka dla innych interesów.

Poniedziałek

Dzisiaj dokonałam przewrotu w moim pokoju. Dotychczas szafa stała w kącie przy drzwiach z lewej strony. Obecnie znalazłam jej lepsze miejsce. Ustawiliśmy z Walką szafę w jednej linii z umywalką, tak że szafa dość dobrze zasłania umywalkę, tworząc jakby pewnego rodzaju framugę. Mam zamiar umocować pręt firankowy pomiędzy framugą drzwi a bokiem szafy. Kilkanaście kółeczek na tym pręcie, jakaś zasłona stonowana z kolorem ścian i umywalka znajdzie się w ukryciu. Tym razem nawet nie napiszę w tej sprawie do mojego

miasteczka z bławatami. Sama kupię sobie ten drobiazg, czas już powoli odcinać się od pępka ojcowskiego sklepu. Kupię u znajomych na Starym Rynku.

Środa

Zasłona już wisi. W kolorze złotawym, ciemniejsza od moich kołder. Ściany pokoiku są pomalowane jakimś nieokreślonym piaskowym kolorem, mniej więcej pasuje. Z uszyciem poszło bardzo łatwo, domowa Emilcia dostała w posagu maszynę do szycia, a już przedtem nauczyli ją szyc. Ja tego nie potrafię.

Drażni mnie jeszcze mleczna kula na suficie. Patrząc na nią, przypominam sobie moje panięskie sny o wyposażeniu dwóch pokoików z hallem i łazienką. Bez kuchni naturalnie - do tego nie mam powołania. Moje kawalerskie czy panięskie wymagania nie przekraczają kuchenki elektrycznej, maszynki do parzenia kawy i patelki do usmażenia jajecznicy. Zrobienie omletu przechodzi moją wyobraźnię, a naleśniki u ciotki Katarzyny tak długo przypalałam, że później nie powierzano mi już tego odpowiedzialnego zajęcia... Na początek zafunduję sobie przy okazji maszynkę do kawy i kilka kompletów filiżanek, podstawek i łyżeczek. Talerzyki i różne drobiazgi warto mieć pod ręką swoje własne.

O dywanie zapomniałam, natomiast korci mnie brak jakiegoś małego tapczaniku. Ale na to brak miejsca w moim pokoju, trzeba się zadowolić tylko marzeniem i w dalszym ciągu układać po południu na brzegu łóżka. Tapczan zamiast łóżka? Ale właśnie łóżko jest wygodniejsze, najwygodniej byłoby mieć jedno i drugie, ale cóż? Mój pokoik jak dla lalki, niespełna szesnaście metrów kwadratowych.

Sobota - 25 stycznia 1930

Dzisiaj rano otrzymałam równocześnie dwa listy, jeden od notariusza z Grudziądza, a drugi z banku. Notariusz, nadesłał rozliczenie ze spadku: 2 110 złotych po dziadku, a 3 122 złotych z rezygnacji stryjka Juliusza. W ten sposób koniec ze spadkowymi historiami. W poniedziałek pójdę do mojego banku i wpłacę na moje konto grudziądzkie pieniądze. Saldo podwyższy się do dziesięciu tysięcy i 232 złotych. Dobrze, że o tym nie wiedzą moi gospodarze, dla nich to byłby już prawdziwy majątek. Ale może i wiedzą, ponieważ na pewno w banku wszyscy mówią o tym, że mieszkam u nich. Osobiście zdążyłam poznać sporo kolegów Leokadii i mojego gospodarza.

Ale co powie ojciec, gdy się dowie, że notariusz przesłał spadkowe pieniądze bezpośrednio do moich rąk? Jak to dobrze, gdy spadkobiercy nie są już dziećmi! Napiszę zaraz jutro do stryja Marcina, niech mi poradzi, co zrobić z pieniędzmi. Może lepiej kupić akcje, na przykład Bank Polski, jak mi radziła Leokadia?

Poniedziałek - 27 stycznia

Już napisałam do Marcina.

Sobota - 1 lutego

Stryjek radzi odczekać z kupnem Banku Polskiego do czerwca, w tym czasie wszystkie akcje zawsze tanieją, ludzie wyzbywają się ich w przededniu wakacji. Najlepiej kupować w okresie ogórkowym lub przed świętami, najtańsze są jednak w lecie. W liście stryjka znalazłam karteczkę od Florencji. Napisali listy do mnie w biurze, abym otrzymała jak najprędzej. Florencja radzi uszyć kostium narciarski w Poznaniu, natomiast buty narciarskie będzie można kupić gotowe na miejscu, w Zakopanem. Podobnie z nartami, nie wiedzą o prezencie Kazi.

Poniedziałek - 3 lutego

Nie napisałam do domu o materiał na ubranie narciarskie. Podjęłam z banku końcówkę 232 złote oraz odsetki za rok 1929 w kwocie 124 złote i 85 groszy. Obejdzie się bez Wąbrzeźna. Już byłam u krawca - ten sam, u którego robiłam futro - doradził mi spokojne ubranie narciarskie ze specjalnego materiału, diagonal. Spodnie i kurtka dopasowana w pasie i zamykana na błyskawiczny zamek. Prócz tego radził kupić jedwabną wiatrówkę w kolorze jasnym. Ubranie będzie gotowe już w tę sobotę. Warto trzymać się jednego krawca.

Wtorek - 11 lutego

Otrzymałam bardzo serdeczny list od Krystynka. Już ma dyplom. Dyplomowany inżynier mechanik - tak to się u nich nazywa. Píše do mnie z Warszawy, gdzie odwiedził stryja Marcina. Jedzie z nami na dwa tygodnie do Zakopanego na narty. Z Warszawy wraca do Gdańska, gdzie ma do załatwienia różne interesy, a następnie wstąpi po mnie do Poznania i dalej pojedziemy już razem. W Poznaniu będzie w czwartek wieczorem dwudziestego i zanocuje u mnie. Gdzie ja go pomieszczę - chyba u doktora Michalskiego? Krystynek dobry sobie, pisze jak do panny z mokrą głową: „...z Gdańska wyślę ci 500 złotych na różne drobiazgi, jak ubranie narciarskie itp., potrzebne młodej panie w zimowym sezonie górskim. Niech to będzie prezent gwiazdkowy ode mnie, nie miałem czasu przedtem, ponieważ myślałem tylko o dyplomie. Obecnie jestem bogaty po dwóch spadkach, nawet przydadzą mi się te pieniądze na rozkręcenie się po dyplomie. Bardzo dobrze, że nie muszę prosić o to naszego ojca. Ty również licz tylko na siebie i staraj się urządzić w taki sposób, aby każdej chwili móc dokończyć uniwerku o swoich siłach, to znaczy ze spadkowych pieniędzy. Resztę opowiem ci, gdy się zobaczymy. O kosztach wakacyjnych nie myśl, to w dalszym ciągu będzie prezent od twojego Krystynka”.

16 lutego - wieczorem

Dzisiaj rano przyszły pieniądze z Gdańska. Coś za dużo tych różnych pieniędzy, trzeba będzie odpukać; szkoda tylko, że nie mam pod ręką deski bez gwoźdźcia i bez sęka. Ale co mi tam, grunt, że jadę do Zakopanego. Nie przeszkodzi mi to w studiach, ponieważ już jestem doskonale obkuta. Studenci to szczeniaki w porównaniu ze mną, mogłabym urządzać komplety przedegzaminacyjne!

17 lutego

Sprawa łóżka już załatwiona. W tej samej kamienicy ktoś z sąsiadów ma składane łóżko. Moi gospodarze zawsze od nich pożyczają, gdy przyjeżdżają do nich krewni. Pościeli mam dosyć, zafunduję Krystynkowi spanie pierwszej klasy w łóżku z adamaszkową kołdrą puchową, z koronkami. Niech wie, że jego siostra ma głowę na karku i dobry gust.

Ubranie narciarskie leży znakomicie. Chodziłyśmy z Leokadią po sklepach i zdecydowałyśmy się na jedwabną wiatrówkę w kolorze jasnoamarantowym, do tego podobna czapeczka, również jedwabna. Na miejscu kupię sobie kremową narciarkę z sukna, w Poznaniu takiej nie było, najmodniejsza. Jeszcze skarpetki i rękawiczki w tym samym kolorze. Może w Zakopanem, tam podobno wielki wybór.

Wtorek - 18 lutego

Przełożyłam sobie godziny angielskiego. Trochę się krzywił mój nauczyciel, bo to są godziny indywidualne, płacę mu obecnie po cztery złote za godzinę. Ale w górach będę miała konwersację, jak nigdy, przecież oni, wszyscy troje, doskonale mówią po angielsku. Cóż stoi zatem na przeszkodzie, abyśmy rozmawiali tylko w tym języku? Naturalnie słaba to pociecha dla mojego Anglika...

Namawiałam Leokadię na wyjazd w góry. Uśmieła się serdecznie, podziękowała, lecz odpowiedziała szczerze:

- Owszem, ale cóż by ze mnie była za pociecha? Na narty dla mnie już jest za późno, ważę trochę za dużo. Wy będziecie fruwać po górach, a w brydża można grać jedynie wieczorami. Co bym robiła w dzień? Ja zresztą wybieram się w tym roku do Krynicy, potrzeba mi trochę kąpieli, już sobie uzgodniłam urlop na sierpień. W zeszłym roku nie puścili mnie na urlop z powodu głupiej wystawy. Pojadę w sierpniu i zostaną do połowy września.

Irenka również odmówiła, lecz się spokojem w samotności, tak powiedziała.

Nie udało się zorganizowanie większej gromadki. A zresztą może i lepiej, bo nie wiadomo, jak by się na to zapatrywali Florencja i Marcin.

Ciekawa jestem, dlaczego brat pisał z taką niechęcią o naszym ojcu? Widocznie ojciec musiał mu coś zrobić. A Krystynek jest bardzo samodzielny i nie pozwoli sobą dyrygować. Szkoła gdańskich Gardenów, u nich wzajemnie szanują swoje indywidualności i jedno drugiemu pozwala mieć swoje własne poglądy. Mnie się wydaje, że nasz Krystynek bardziej jest związany ze strykiem Józefem niż z rodzonym ojcem. Dowiem się zresztą, gdy przyjedzie. To już pojutrze, a zatem cierpliwości, moja Anno, była panno z mokrą głową.

Piątek - 21 lutego

Mam dwie godziny czasu i piszę w przerwie pomiędzy wykładami. Krystynek przyjechał wczoraj wieczorem i ugościłam go jak królewicza z bajki. Przegadaliśmy do godziny drugiej w nocy i oboje dzisiaj zaspaliśmy, z czego wyśmiewała się moja Walerka.

Okazało się, że my wszyscy nie znaleźliśmy dotąd naszego ojca, w każdym razie Krystynek i ja, to znaczy te dzieci, które wychowywały się poza domem. Krystynek również był naiwny do niedawna, ale przejrzał po ostatnim pobycie w Wąbrzeźnie, gdy przyjechał do domu w celu pokazania dyplomu.

Brat zastał ojca w najgorszym usposobieniu. Ojciec zionął niepohamowaną złością na wszystkich braci. Głównie na Pawła i Józefa, że podeszli go i kupili dom u notariusza. Okazało się, że nasz ojciec natychmiast po otwarciu testamentu zmobilizował wszystko, co było możliwe, i podstawił swego szwagra ze śmieszną ceną kupna. Wyobraził sobie, że wszyscy będą tak mocno zaskoczeni zrzeczeniem się całości spadku przez Marcina, że w zamieszaniu zgodzą się na pierwszą lepszą cenę gotówkową, tym bardziej że pochodzącą od spowinowaconego z nami Jana Kowalskiego. Tymczasem nie udało się, notariusz, jako jeden z wykonawców testamentu, zaczął rozglądać się za innymi reflektantami i ostatecznie obaj stryjkowie zapłacili za dom tyle, ile dawał najpoważniejszy z obcych kandydatów.

Ojciec podobno był tak wściekły, że wymyślał nawet na Marcina. Krystynek trafił właśnie na okres największego rozjątrzenia ojca, a ponieważ przy okazji dostało się również Józefowi, Krystyn stanął w jego obronie. Obecnie ojciec pokłócił się ze wszystkimi, jeszcze tylko politykuje z Marcinem. Ja nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, że Krystynek ostatnie cztery lata przed maturą był na całkowitym utrzymaniu stryjka Józefa, dopiero później ojciec posyłał do Gdańska po sto złotych miesięcznie, a w ostatnich dwóch latach po dwieście złotych. Jak na Gdańsk nie było tego za wiele i w dobrobycie stryjka Józefa mogło starczyć Krystynkowi za ledwie na drobne wydatki studenckie. Czasami nawet i nie, jak mi się do tego przyznał.

Brat nie wytrzymał i wygarnął ojcu całą prawdę o swoich studiach. Gimnazjum, a następnie dyplom Krystynka były niemal całkowicie sfinansowane przez stryjka Józefa. Dalsza pociecha była ze stryjka Pawła, który stale pamiętał o Krystynku i podczas częstych pobyków w Gdańsku zaopatrywał go również w gotówkę. W ten sposób Krystynek mógł się utrzymać w pozycji studenta z zamożnego domu. Tymczasem nasz ojciec zbijał grube pieniądze na wąbrzeskich interesach. O tym opowiadała ostatnio Zośka, która również zaczyna się buntować. Ojciec usiłuje traktować Zośkę jak smarkulę, ale to w pewnym momencie może się urwać i zostanie w Wąbrzeźnie sam bez Zośki, a wówczas zobaczymy.

Podobno ojciec zebrał koło 160 tysięcy gotówką i poszukuje odpowiedniej kamienicy, również w Grudziądzu, na złość, jak mówi, obu braciom. A to ładne historie! Krystynek zapowiada, że ojciec przypuszczalnie urwie mi przesyłki pieniężne. Cała nadzieja w stryjk Marcinie, który ma jeszcze u niego jaki taki posłuch i znaczenie. Z pozostałymi braćmi stosunki są, zdaje się, zerwane na amen. Taki kwiatek!

Krystynek bronił swego stryjka i za to dostało mu się porządnie. Ojciec żądał od niego, by się wyniósł z Gdańska, i dlatego też Krystynek znalazł się w Warszawie u stryja Marcina. Ojciec wyobrażał sobie, że Marcin znajdzie dla Krystynka jakąś posadę w ministerstwie, natomiast stryj Marcin rozwiązał zagadnienie w inny sposób. Okazało się, że już przedtem obaj stryjkowie rozmawiali z sobą o przyszłych losach Krystynka. Braciszek na razie odpocznie sobie jakieś dwa miesiące w Gdańsku, a następnie powróci do fabryki maszyn w Magdeburgu, gdzie był poprzednio na praktyce. Gdańska rodzina ma tam swoich krewnych i Krystynek wypłynie od razu na głęboką wodę. To znaczy, że się nie rozbije na jakiejś mieliźnie pracy w biurze. Najważniejsze - o czym nasz ojciec nie wie i o czym na razie nie może się dowiedzieć - jest to, że Gardenowie starają się dla Krystynka o gdańskie obywatelstwo, które ma otrzymać najdalej w czerwcu. To jest również jedna z rad stryja Marcina. Brat wyjedzie do Niemiec już jako obywatel gdański i to ułatwi mu nie tylko sam pobyt, ale wręcz pracę w Magdeburgu. Ma odroczenie z polskiego wojska do połowy lipca, więc gdy wszystko dobrze pójdzie, uzyskanie gdańskiego obywatelstwa ocali go przed niepotrzebną służbą wojskową, która byłaby dla niego poważną stratą czasu.

Na razie to wszystko dzieje się w głębokiej tajemnicy i Zakopane dla Krystynka stanowi niemal ostatni pobyt w Polsce. Nie wiadomo bowiem, jak polskie władze ustosunkują się do zmiany obywatelstwa, lepiej będzie zatem dla Krystynka, gdy na razie wstrzyma się z przyjeżdżaniem do nas. Później, gdy upłynie kilka lat, wszystko się ułoży, zapomną i nowe obywatelstwo zestarzeje się, przyschnie, jak to określa sam Krystynek.

A więc nieprędko zobaczymy naszego Krystynka. Przynajmniej obecnie muszę się nacieszyć moim bratem - na zapas. Później zostanie mi jedynie wierna Zośka i stryjkowie.

Oboje mamy cholerne bagaże. Ja wiozę dwie walizy i narty, Krystynek również dwie walizy, bez nart, kupi sobie na miejscu. Jego stare są połamane i nie zabierał ich z sobą. Teraz dopiero dowiedziałam się, że Krystynek stale jeździł na narty do Niemiec, gdzieś nad granicę czeską. Naturalnie z Gardenami, z Elfrydą i Hildą - ową jasnowłosą Gardenówną, której matka jest rodowitą Angielką.

Wszystko to są stare dzieje. Mnie również trzymano w Bydgoszczy jak wiejską kurę za piecem. Byliby mnie wydali za mąż za jakiegoś Tuchołkę, no i na tym koniec. Do interesu ze sklepem wystarcza ojcu jedna Zośka.

Ale, psiakrew, stary ma 160 tysięcy złotych w gotówce i zaczyna spekulowanie domami. Byle nie powtórzyły się dziadkowe historie! Będę się broniła; dlaczego ja mam wydawać moje spadkowe pieniądze, bo ojcu zachciewa się nowej kamienicy w Grudziądzu? Pomówię o tym ze stryjkiem Marcinem. Ja tutaj w Poznaniu żyję oszczędnie, odmawiam sobie wielu rzeczy...

Odwołali wykład, belfrowi wypadło coś ważniejszego. Mam znów godzinę czasu, a z Krystynkiem umówiłam się na mieście. Wobec tego piszę...

Wczoraj kupiłam ślubny prezent dla Herty. Długo szukałam i dopiero stary doktor naprowadził mnie na pomysł kupna serwisu do czarnej kawy na dwanaście osób. Prawdziwy Rosenthal, wewnątrz wyłożone prawdziwym dukatem, a z wierzchu ciemny kobalt. Grubo i dobrze złożone, do tego tuzin małych talerzyków deserowych. Dałam za to prawie trzysta złotych, bo bez dwudziestu. Trudno, trzeba się pokazać, oni również pomogli do przeforsowania mojego uniwerku. Trzeba było naruszyć moje skarby, ponieważ na książeczkę było już tylko 80 złotych.

Ślub Herty w dniu św. Józefa - w dniu imienin pana młodego. Młodzi mają już wszystko przygotowane, wyjadą do Włoch zaraz po uczcie weselnej. Herta odgraża się, że zostaną tak długo, dopóki starczy im pieniędzy po dziadku. Pewnie im jednak stryjek Paweł coś dołoży. Herta ma zresztą swoje własne oszczędności, sama o tym wspominała. Ile tego może być? Już mają załatwione wszystkie formalności.

Krystynek mówi, że mamy zostać w górach do piętnastego marca, on zostanie nawet dłużej, pewnie do końca miesiąca.

Dużo opowiadał mi o Elfrydzie. Tyle lat żyli pod jednym dachem. Chciałabym mieć w Elfrydzie bratową! Na ślubie Herty Krystynek nie będzie, ponieważ nie chce obecnie pokazywać się bez potrzeby na Pomorzu z wiadomych powodów. Z Gdańska przyjadą obaj Jamborowie, ojciec i syn, oraz państwo Kawczyńscy, u których byliśmy z odwiedzinami. Już wiem, co nasi gdańscy krewni ofiarują Hercie w prezencie ślubnym: Heinrich starą tacę z kutymi ręcznie liśćmi w srebrze, Krystynek olejny obraz z widokiem Krantoru, który zawsze podobał się Hercie, a stryj złoty pierścionek typu męskiego z szafirem i dwoma brylancikami.

Ciekawa jestem, czy nasze Wąbrzeźno będzie obecne na ślubie. Może ojciec pokłócił się specjalnie dlatego, aby ominąć ten ślub? Po naszym starym wszystkim można się spodziewać...

Straciłam serce do mojego ojca. Może jestem niedobłą córką, ale trudno, nie potrafię stanąć w obronie Benona Jambora, mimo że jest moim ojcem. Jest mi przykro, ale nie potrafiłabym nagiąć się do tego. Od ojca nie mogę oczekiwać serdeczności i serca.

Poniedziałek - 24 lutego

Umieściliśmy się na razie w hotelu „Morskie Oko”. Mamy dwa pokoje, ja z Florencją, Krystynek ze stryjkiem. To bardzo nobliwie w ten sposób. Florencja jest niezwykle miła w pożyciu codziennym. Do Zakopanego przyjechaliśmy w sobotę koło godziny dziesiątej rano. Umieściliśmy się zaraz w hotelu, a następnie spożyliśmy w pokoju coś w rodzaju śniadania. Okazało się, że jedna z ciężkich waliz Krystynka zawiera wiejskie przysmaki, prezent ciotki Magdy na naszą wspólną wyprawę.

Kupili mi już buty narciarskie i różne drobiazgi z włóczki; zapłacili, jak za małe dziecko. Wszyscy troje się śmiali, a Marcin dopytywał się, czy dużo mi jeszcze zostało z dziecinnych pieniędzy spadkowych po dziadku, ponieważ słyszał od mojego ojca, że już wszystko przepuściłam. Ofiarowywał się nawet z pożyczką. Oni są bardzo mili. A ze mnie jest dziewczyna całkiem pozbawiona ambicji, ponieważ przyjmuję wszystko bez zmrużenia oczu, nawet się nie czerwieniąc. Ciotka Katarzyna powiedziałaaby zaraz, że nie posiadam wstydu. Ale ciotka na szczęście jest daleko, a góry blisko. Hej, hej, jak tutaj mówią.

Warszawiacy przywieźli z sobą deski, Krystynek kupił na miejscu u Bujaka. Trzeba było widzieć, jak wybierał. Przerzucił wszystkie w składzie, a dopiero później w warsztacie wybrał parę stojącą w kącie pod ścianą i powiedział Bujakowi:

- To te!

Dzisiaj po południu mamy pójść do Trzaski na dansing w strojach narciarskich, to jest podobno największy fason. Moje narciarskie ubranko aż razi w oczy swoją nowością, mógłby mi byle kto nawymyślać od ceprów, ale jakoś to będzie. Dziwna rzecz, że o jeźdzeniu na nartach myślę bez obawy. Florencja mówi, że moje długie nogi nadają się do tego doskonale. Przynajmniej raz w życiu moje długie giry przydadzą się do czegoś...

Kalatówki - środa

Nie ma czasu na pisanie. Tutaj jest ślicznie. Duże schronisko położone jest na skraju prawie płaskiej hali, tuż u podnóża gór. Cudowny śnieg, dużo słońca. Pokoiki prymitywne, ale miłe i ciepłe. Cały dzień siedzimy na słońcu, opalamy się. Po obiedzie od razu jest ciemno, siedzimy na dole w restauracji i gadamy. Mamy moc znajomych, tutaj wszyscy się

znają. Nie ma żadnych ceremonii. Jedzenie dobre. Trochę pijemy, ale nie za dużo. Zapasy przywiezione przez Krystynka okazały się bardzo pożądane, mamy inne apetyty niż w mieście. Czuję się jak na prawdziwej wycieczce studenckiej. Bardzo miło, nawet nie marzyłam o takiej atmosferze.

Tyle nowych wrażeń, że trudno o spisywanie. Po prostu szkoda czasu. Zaraz dzisiaj wziął mnie w obroty nauczyciel jazdy na nartach. Moja trójka wywiała na wycieczkę, gdzieś wysoko w góry, a mnie jak sierotę zostawili samą aż do obiadu. Stryjek mówi, że narciarz albo od pierwszego razu nauczy się jeździć w ciągu trzech dni, albo może dać się sfotografować z nartami na pokaz i zaraz je odsprzedać jakiemuś następnemu ceprowi z miasta.

Nie liczyłam, ile razy się przewróciłam. To nie boli, bo na Kalatówkach mnóstwo śniegu. Nasz instruktor zaraz na wstępie pokazał nam, jak należy się przewracać, i jakoś idzie. Dzisiaj, już po lekcji, próbowałam przewracać się na własną rękę, bez pomocy nauczyciela. Idzie doskonale, już oswoiłam się z kijkami. Trzeba myśleć tylko o posuwaniu się naprzód, a nie o upadkach. Idzie. Po tygodniu spróbuję pójść razem z naszą trójką. Ho, ho!...

Niedziela - 9 marca

Trochę leżę. Wypadło mi nieszczególnie, ale nie zawsze można dostosować wydarzenia życiowe do innych wydarzeń, które mają swoją przymusową regularność. Wszyscy wywiali, jestem sama, w pokoju ciepło, napalili nam specjalnie, ponieważ w nocy był silny mróz. Jest mi miło. Przed chwilą zastanawiałam się, dlaczego nasi warszawiacy upatryli sobie akurat takie dwa łamane tygodnie, a nie inne? Roześmiałam się, gdy przyszła mi do głowy gotowa odpowiedź: widocznie Florencja woli poleżeć sobie w Warszawie niż tutaj w górach. Ano, zawsze lepiej być słońcem, koło którego wszyscy się kręcą, niż gwiazdeczką, która w ogóle jest rada, nawet wówczas, gdy może kręcić się koło czegoś. Ano, ano, gwiazdeczka - to ja! A może nawet tylko jakieś lustro?

Dotychczas nie mam żadnych adoratorów oprócz moich partnerów do brydża. Florencja trzyma nas jednak krótko i punkt dziesiąta wygania do spania, bez względu na stan rozgrywki.

Na święta wielkanocne nie pojedę do domu. Zostanę w Poznaniu i w spokoju popracuję nad skryptami. Mam zamiar również i w tym roku zdawać oba egzaminy przed wakacjami, możliwie w pierwszych dniach. To zawsze lepiej się kalkuluje, profesorzy dobrze wiedzą, że na ostatnie dni pchają się ci studenci, którzy dopiero w ostatniej chwili rzucają się na skrypty i na różne skróty. W dodatku belfrzy nie są jeszcze zmęczeni egzaminowaniem - pod koniec z nudów zadają studentom jak najdziksze pytania, aby się na nich zemścić za cały rok.

Z moim angielskim w czerwcu będzie również koniec, później ograniczę się jedynie do lektury i pisania opracowań. Dobrze byłoby znaleźć sobie w Poznaniu kogoś do konwersacji. Moi partnerzy wakacyjni nie chcieli o tym słyszeć, zakrzyczeli mnie, a Krystynek powiedział, że wakacje - to wakacje i kujonostwo trzeba było zostawić w domu. Może ma i rację? W dodatku stryj Marcin szepnął:

- Tutaj w górach wyglądałoby to na snobizm miejskich ceprow, w Zakopanem do fasonu należy góralska gwara, gdy kto umie.

A więc szlus z kuciem, po wakacjach zwalniam i trochę sportu dla zdrowia. Może poprawi to moją figurę, jeszcze obecnie jestem podobna do chłopca. To znaczy niezgrabna, mogę to sobie sama powiedzieć, lustro potwierdza. Z wycieczkami również koniec, tylko trzy dni na weselu u Herty, następnie Wielkanoc u siebie w Poznaniu i nauka do egzaminów. Potem trzeba będzie dotrzymać zeszlórocznego przyrzeczenia i zameldować się u stryjka w Brodnicy lub Działdowie. W ciągu trzech miesięcy będę kupować i sprzedawać zboże i różne rzeczy, których obecnie nie znam nawet z nazwy, cóż dopiero mówić o cenach.

Z małych górek już dość dobrze zjeżdżam. Nauczyłam się ugiąć przy zjeździe kolana, miękko, a nogi trzymać razem. Już się te moje nogi nie rozjeżdżają i nie grozi mi rozerwanie się na dwie części. Gdy przyjadę w góry następnym razem, przypnę deski, machnę kijkami i sypnę się prosto przed siebie z jakąś wycieczką. Ale kiedy to będzie ten - drugi raz? Nie chce mi się już pisać. Ciepło, morzy mnie sen. Dobranoc!

Wtorek - 11 marca

Telegram z Brodnicy. Ojciec narzeczonego zmarł, pogrzeb jutro. Od nas nikt nie pojedzie, ponieważ już i tak byłoby za późno. W telegramie krótka informacja: ślub odłożony, wiadomość w liście. Wszystko pokręcone. Rozjeżdżamy się w piątek, Krystek zostaje do końca marca, my w trójkę zjeżdżamy w południe do Zakopanego, wieczorem do Krakowa. Następnie na pociąg, każde w swoją stronę.

Niedziela - 16 marca

Poznań. Wszystko bez zmian; pieniądze z domu nadeszły w terminie, gospodyni odebrała bez przeszkód. Jestem wspaniale opalona, na uniwersytecie zwracałam uwagę. Niedobrze, od razu wszyscy widzą, że byłam na wagarach.

17 marca

Dzisiaj napisałam dwa listy: z życzeniami imieninowymi do stryja Józefa i z wyrazami współczucia do Herty i jej narzeczonego. U mnie bez zmian. Z domu nie mam żadnych wiadomości,

Coś mnie to niepokoi. Na mój ostatni list do Zośki, napisany jeszcze przed Zakopanem, nie otrzymałam żadnej odpowiedzi.

Wczoraj Leokadia wyciągnęła mnie do kina, a później siedziałyśmy prawie do dziesiątej w „Esplanadzie”. Leokadii nie brakuje towarzystwa, kłaniają się jej na wszystkie strony, przeważnie mężczyźni; mówi, że to są bankowi klienci, ale wierzą jej tylko w połowie. Ciekawa jestem, ile ona ma naprawdę lat.

Środa - 19 marca

Dzisiaj nad ranem zwała się do mnie Zośka. Obecnie śpi, a ja poszłam na wykłady. Zostawiłam, w domu karteczkę, że wrócę na obiad o godzinie drugiej. Walerka załatwi śniadanie. Prawie nie rozmawiałyśmy z sobą. Zośka przyrzekła mi, że zostanie u mnie dwa dni. Wraca z Bielska do domu, przedtem była w Łodzi, to zwykła jej tura kupiecka. Mówi, że w domu wszystko dobrze, ojciec uspokoił się.

Piątek - 21 marca

List od stryja Pawła. Ślub Herty w drugie święto Wielkanocy. Proszą, aby przyjechać do Brodnicy już w Wielki Piątek. Z powodu żałoby cichy ślub, nawet nie na wsi, lecz w stryjowskim mieszkaniu w Brodnicy. Młodzi wyjadą w podróż poślubną tego samego dnia wieczorem. Zabawy weselnej nie będzie i po ceremonii w kościele odbędzie się jedynie małe przyjęcie dla najbliższej rodziny.

Z Zośką były bardzo długie rozmowy. Całą noc ze środy przegadałyśmy, wczoraj nie byłam na wykładach. Do opisanie tych rozmów na razie nie mam ochoty, odczekam, gdy się to wszystko jakoś ułoży w mojej głowie.

Wielki Czwartek

Dzisiaj wieczorem jadę do Brodnicy.

Niedziela - 27 kwietnia

Ślub odbył się w poważnym nastroju. Byli wszyscy stryjowie, brakło jedynie mojego ojca i ciotki Katarzyny. Ciotka listownie wymówiła się chorobą, lecz przysłała ładny prezent w postaci staroświeckiej broszki i kolczyków, które zawsze podobały się Hercie. Ojciec przysłał telegram wprost na ręce państwa młodych z pominięciem swego brata Pawła. Bez prezentu. Ciotka może i naprawdę jest chora, lecz ojciec? Nie umiem tego nazwać, ale wstrzymuję się od oceny. W każdym razie było mi przykro, że to jest mój ojciec. Z Wąbrzeźną przyjechali obydwójce Tuchołkowie i zachowywali się bez zarzutu. Ofiarowali Hercie bardzo ładny serwis obiadowy. Moja Zośka wpadła tylko na sam ślub i przywiozła prawdziwe brukselskie koronki - bardzo kosztowny prezent; musiała je kupić gdzieś okazjnie podczas swoich wędrówek handlowych. Stryj Marcin zjawił się już w sobotę rano, podarował Hercie pelerynkę z nurków, a jej mężowi pięknie rzeźbiony sygnet.

Zośka mówi, że osobista wyprawa Herty jest warta dobre kilkanaście tysięcy złotych. Niezależnie od połowy grudziądzkiego domu po dziadku, zapisanej przez ojca przy kupnie wprost na imię Herty, ciotka Magda ofiarowała swej wychowance prawie całą część swojego spadku po dziadku Jamborze, dwadzieścia tysięcy złotych, naturalnie na koncie bankowym. Jamborowie większość mebli przypadających na nich po dziadku pozostawili w Grudziądzu, to znaczy ciotka Magda i stryjek Paweł, a stryj Józef zabrał do Gdańska tylko niektóre, związane z jego osobistymi wspomnieniami po dziadkach. Inne meble, bardziej nowoczesne, Herta miała już zakupione przedtem, jeszcze za życia dziadka Jambora. Ponadto stryj Paweł ma urządzić młodemu lekarzowi gabinet podczas ich pobytu w podróży poślubnej.

Młodzi są urzędzeni na całe życie. Na początek musi wystarczyć im połowa komornego z kamienicy, a pieniądze na koncie bankowym mają służyć jako zabezpieczenie życiowe. Tak powiedziała młodym ciotka Magda. „Każdy człowiek ma większą pewność siebie, gdy wie, że posiada własne rezerwy pieniężne. Podobnie jest na wojnie, tylko głupi generał rzuca do walki od razu wszystkich żołnierzy. Mądry wódz tworzy rezerwy i ma w ten sposób spokojną głowę podczas bitwy”. Nie wiedziałam, że z Magdy jest taki generał w rodzinie...

Sobota - 3 maja

Już tylko dwa miesiące do egzaminów. Douczam się spokojnie. W moim położeniu gra idzie tylko o to, czy zdam bardzo dobrze, czy tylko na dobrze. Ale to tak bardzo nie zależy ode mnie samej. Raczej od belfrów - którą nogą wstaną z łóżka, lub od tego, czy poprzedniego dnia pani profesorowa nie przypali pieczeni na obiad. Trudno, można nawet umieć dość dobrze, a natrafić na jakieś głupie lub złośliwie podstępne pytanie i oblać się. Mnie to nie grozi, ponieważ mam w indeksie talizman w postaci tego bardzo dobrze zdanego pierwszego egzaminu. To zawsze działa i zobowiązuje nawet takie wolno myślące głowy, jak naszych profesorów. Asów zresztą nie mamy na naszym uniwerku. U nas odbywa się tylko przeżuwanie badań naukowych innych sław profesorskich, które umieściły się w Krakowie czy w Warszawie. Taki sobie smarkaty uniwerek, jak się ostatnio wyśmiewał stryj Marcin. Takie sobie lepsze liceum. Ale koniec końców nawet taki uniwerek daje dyplom, a przecież tylko o to chodzi! Całe szczęście, że jak dotąd porządnie przykładałam się do nauki i jestem przekonana, że moje przedmioty zdałabym nawet w tak wychwalanym Krakowie, w najgorszym razie na dostatecznie, ale w każdym razie: zdałabym na pewno!

Z tym imaginowanym dawniej przez stryja Marcina zlewaniem się różnych elementów dzielnicowych właśnie na naszym uniwersytecie to również była omyłka lub branie pobożnych życzeń za rzeczywistość. Nikt i nic się nie miesza, każdy sobie i po dawnemu fruwiąją Kongresówki i Galicje. Poznańskie jest zimne, dumne i nieprzystępne, a „Galicja - z Kongresowy” skora do robienia awantur o byle co. Co do mnie, nie mieszam się do niczego, na wykłady i z wykładów, nie wypowiadam żadnych poglądów i nikomu nie przyznaję racji, dlatego że tego oczekuje... Nie przejmuję się sprawami studenckimi, na nic ich nie potrzebuję.

Jakoś mam dzisiaj trochę ochoty do pisania. Problemy rodzinne czy osobiste... Sprawa dotyczy Zośki. Od wczesnej młodości utykała na nogę, podobno była możliwa operacja w wieku dziecięcym, ale Wąbrzeźno było daleko od świata, zabite deskami na amen. Drobiazg w gruncie rzeczy, a rzecz nieprzyjemna. Zośka próbowała nadrobić to sobie centymetrowymi wkładkami w obuwiu, a potem również taką samą różnicą w obcasie. Utykania nie było dzięki temu widać, ale bądź co bądź Zośka czuła się z tym nieszczęśliwie. Po prostu to ją peszyło. O tym, że równocześnie posiadała zrosty, wiedziała również. Dopiero obecnie opowiedziała mi o awanturach, ale uczyniła to w sposób rozbijającą wesoły. Podobno kilku amatorów na próżno usiłowało uczynić z dziewicy kobietę i nie udało się... Zośka opowiadała wesoło i obszernie, z detalami. Wymieniała nawet okoliczności, wspominała o trwodze podczas pierwszych usiłowań, wyśmiewała się z kilku następnych seansów - jak mówiła - gdy dla żartów kładła się chłopcom do łóżka, wiedząc, że jej nic nie grozi. Nie warto byłoby opisywać tych usiłowań, zbyt nudne i zbyt drażniące. „Dekameron” - głupstwa. Następnie upłynęło kilka lat, Zośka spoważniała, głupie figle skończyły się, a pojawili się lekarze, na razie z racji utykania na nogę. W pewnym momencie specjaliści połączyli jedno z drugim i gdzieś przed rokiem Zośka poddała się w krakowskiej klinice zabiegom chirurgicznym. Uzyskała nawet urzędowe zaświadczenie o przecięciu zrostów!

- To taki dokument, na wypadek gdyby mój przyszły mąż usiłował czynić mi zarzuty, że mu nie dochowałam dziewictwa - śmiała się i odtwarzała mi z pamięci pompatyczną treść owego zaświadczenia Krakowskiej Kliniki Uniwersyteckiej.

Nawet dodatkowy świadek w postaci ginekologa doktora Michała Kowalskiego z Katowic, który osobiście oddał ją w ręce krakowskich specjalistów.

- No i w ten sposób klinika pozbawiła mnie dziewictwa - mówiła wesoło Zośka.

A teraz dalszy ciąg: zamiast zdecydować się na małżeństwo, co jej doradzano, Zośka poszła własnymi drogami. W ciągu roku miała czterech kochanków, ostatecznie ustaliła się przy drugim z kolei. Kochankowie nieważni, wszystko na szlaku jej wędrówek - jeden w Łodzi, dwóch w Krakowie i jeden w Bielsku. Właśnie ten ostatni - żonaty, dwoje dzieci, kilka lat starszy od niej.

Reszta już normalna - i ludzka, jak to określa moja Zośka. Ostrożności, zabezpieczenia oraz niewkładanie w to wszystko jakiegokolwiek sentymentu. Zwykle spotkania co pewien czas i nic więcej. Obojętność w momentach rozstawania się. Faworyzowanie mężczyzny żonatego, jako bezpieczniejszego, liczącego się bardziej z przygodami ze względu na żonę i dzieci. Kawalerowie traktowani przez Zośkę jako element niebezpieczny; większa szansa choroby oraz ewentualność przyszłego szantażu. Zośka ma 28 lat, nie chce wychodzić za mąż. Nie umiała wytłumaczyć dlaczego, po prostu nie chce i tyle. Powiedziała mi, że wybrała sobie z małżeństwa tylko to, co było dla niej interesujące, a całą nudną resztę odrzuciła. W dodatku to, co chce - ma, kiedy sama chce i jakie sama chce. I gadaj tu z taką dziewczyną...

Z Włoch przychodzą różne widokówki. Jak im się chce wypisywać tyle adresów i tyle pozdrowień. Bardzo są uprzejmi. Od Elfy mam również prawie co miesiąc różne wiadomości, lubią pisać. Ja na ogół nie lubuję się w wypisywaniu długich epistoł.

W tym tygodniu otrzymałam list od Krystynka. Już wrócił do Gdańska i przygotowuje się do wyjazdu do Magdeburga; posadę ma objąć od maja. Na razie tylko trzysta marek, ale podobno taka jest pensja początkującego inżyniera, zawdzięcza to jedynie Gardenom. Przypieszyli mu sprawę obywatelstwa i Krystynek ma już w rękach nowy paszport - gdański. Świat jest przed nim otwarty. Z trzystu marek można się tam utrzymać, nawet wygodnie, naturalnie bez luksusów. Dzięki Bogu, że mu się tak udało.

Na razie wszystko pozalatywane. Nie przewiduję niczego aż do wakacji. Nauka, nauka i nic poza nauką! Zdecydowałam, że natychmiast po egzaminach wyjadę do Brodnicy. Już napisałam w tej sprawie do stryjka Pawła - klamka zapadła, trzeba będzie dotrzymać. Ucieszył się i zaraz w tydzień później otrzymałam nową pakę wiejskich wiktuałów. Stryjek

napisał, żebym się dobrze odżywiała przed egzaminami, to na pewno dobrze pójdzie i zdam na bardzo... I co tu robić z takim stryjkiem? Sama tego nie zjem, ale pomyślę o prezentach.

Leokadia narzeka na swoich gospodarzy. Nie mają szczęścia, w moim pokoju stale zmieniają się lokatorzy. Wszyscy wynajmują pokój jedynie ze śniadaniem i robią różne awantury, na czym cierpi głównie moja przyjaciółka. Dobrze im tak, mogli nie robić wystawowych sztuczek, przypuszczalnie mieszkałabym u nich do końca moich studiów - mam w sobie pewien, jakby koci konserwatyzm.

Wtorek - 22 maja

Wpadła do mnie Zośka. Na jeden dzień. Podobnie jak poprzednio, odsypiała do obiadu. Dostałam bardzo ładny granat na sukienkę i dwa barwne materiały na letnie sukienki. To zakupy łódzkie. Z domu przywiozła mi trochę bielizny, prosiła tylko, żeby za to nie dziękować ojcu. Tym razem nie wypytywałam specjalnie Zośki, ona zaś, jak to mówią, nie miała drygu do zwierzania się.

Z wiadomości domowych: ojciec kupił dużą kamienicę w Grudziądzu z placem budowlanym. Całość ponad trzysta tysięcy, na hipotecę zostało okrągło sto tysięcy. Obiekt pod wielu względami podobny do posesji po dziadku, tylko z gorszymi perspektywami dochodowości: zamiast składów w podwórzu - plac budowlany w linii zabudowania ulicy. Stary wypompował z interesu całą gotówkę, zwiększyło się nasze zadłużenie wekslowe w Łodzi, ale towary idą dobrze.

Piątek - 27 czerwca

Wysłałam serdeczne życzenia do stryjka Pawła. Młodzi wrócili. Dziadkowe mieszkanie ożyło. Gabinet lekarski urządzony, mąż Herty od pierwszego lipca obejmie pracę w szpitalu miejskim. Razem z nimi zamieszka świekra. To nie jest dobrze, ponieważ mężowskie matki zawsze widzą w swych synkach ósmy cud świata. Może będzie wyjątek dla Herty, pani Kunicka wygląda bowiem na dobrą i spokojną kobietę. A moja babcia w Katowicach? Przecież ona kocha Kazię jak rodzoną córkę. Zobaczymy.

Poniedziałek - 30 czerwca

Zakupiłam akcje Banku Polskiego po bardzo korzystnym kursie, okazjnie z prywatnych rąk, bez pośrednictwa bankowego. Po sprzedażnym kursie z gazety. Leokadię zawiadomiłam już o tym kupnie, sprawdziła u fachowców; mówią, że w jesieni pójda w górę. Na koncie zostało mi tylko dwieście złotych. Sukienek na razie nie robię, nie mam do tego głowy - egzaminy.

Sobota - 5 lipca

Już po wszystkim. Wczoraj egzamin prawniczy, dzisiaj po południu uzupełnienie ekonomiczne. Oba egzaminy: dobrze. Właściwie to obojętne, dobrze czy bardzo dobrze. Nie byłam w humorze. Wczoraj od samego rana miałam zły dzień. Krótko przed wyjściem z domu na egzamin otrzymałam list od ojca. Píše, że mam przyjechać do domu zaraz po egzaminach. Nie przysyła pieniędzy na lipiec, nie będą mi potrzebne, skoro jadę do domu. W dodatku wypomniał mi: „W zimie jeździłaś do Zakopanego, to przynajmniej obecnie trochę posiedzisz w domu...” Ojciec!

Na list odpiszę dopiero z Brodnicy, po naradzeniu się ze stryjkiem Pawłem. Zresztą gwizdę na wszystko. W najgorszym razie to, co mam, wystarczy mi na końcowe dwa lata uniwerku, później otrzymam dziadkowy legat, dziesięć tysięcy, poradzę sobie... Nie będę podchlebiać się ojcu. To już znana historia w naszej rodzinie, to samo przeżywał stryj Marcin. Nie będę się prosić. Jutro rano jadę do Brodnicy.

Późnym wieczorem

Rozliczyłam się z gospodarzami. Za pokój zapłaciłam do końca sierpnia. Na książeczkę PKO mam okrągło 50 złotych, drugie tyle gotówki w torebce. Do Brodnicy w każdym razie mi wystarczy. Spróbuję popracować, przecież przydam się na coś stryjkowi, skoro pozbył się z domu córki. Ale czy podołam? Przecież nie znam się na gospodarstwie domowym, a na zbożu to już ani odrobiny. Ale nie tracę nadziei. Na świecie nie ma rzeczy niemożliwych do opanowania. W życiu czekają mnie niewątpliwie jeszcze trudniejsze sprawy i sytuacje. W każdym razie miły tatuś... W dodatku tuż przed egzaminami.

Niedziela - 6 lipca

Jeszcze w Poznaniu. W nocy przyjechała do mnie Zośka, tym razem z Łodzi. Nie było jej przeszło tydzień w domu i nic nie wiedziała o liście ojca. Kręciła głową, ale równocześnie powiedziała serdecznie:

- Nie rób sobie nic z tego. Puść kantem Wąbrzeźno razem z ojcem. Ja mam nienaruszone moje pieniądze po dziadku i coś jeszcze ponadto. Również nie oddałam ojcu. Nie przejmuj się i myśl wyłącznie o dyplomie. Ojciec dostał obecnie szalu kupowania domów. Na to nie ma rady, byłoby szkoda naszego zdrowia.. Ja na miejscu pilnuję interesu z bławatami i nigdy nie zgodzę się na jakieś machlojki, to jest nasz wspólny dorobek i w tym tkwi posag naszej matki. Jedź do Brodnicy, rozejrzyj się dobrze, jak wyglądają interesy handlowe, w gruncie rzeczy to jest obojętne, zboże czy bławaty. Może ci się przydać w przyszłości. Stryj Paweł to całkiem inny człowiek. W naszym ojcu jest bardzo dużo z ciotki Katarzyny, a prawie nic ze stryjków.

Poniedziałek - wieczorem

Zośce pokręciły się interesy. Dzisiaj poleciała ze znajomymi do teatru, ja jeszcze wypoczywam, czuję się jak po jakiejś dłuższej chorobie. Nerwy również nie dopisują; dobiło mnie, a chciałabym zjawić się u stryjka w dobrej formie. Jedziemy jutro na noc, Zośka musi być w Wąbrzeźnie w środę rano. Na mój indeks nie zwróciła większej uwagi i powiedziała jedynie bardzo szczerze:

- Wolalabym widzieć już dzisiaj gotowy dyplom na dostatecznie. Co tobie, Anno, po tych dobrych stopniach? To przecież nie jest szkółka ludowa. - Może ma rację? Straciłam niepotrzebnie, dwa lata w Bydgoszczy.

Mówiłam Zośce o akcjach. Nie pochwaliła - nie zgañiła. Mówi, że nie zna się na papierach, lubi tylko gotówkę w kasie i towar na półkach w sklepie. A jeszcze lepiej towar, którego się nie widzi na oczy. To znaczy próbki, zamówienia, gotówka, sprzedaż i - ewentualnie weksle. Na dowód, że robi jakieś dodatkowe interesy, otwarła moją torebkę i zgorszyła się widokiem drobnych i saldem na książeczkę PKO. Wepchnęła mi gwałtem do torebki dwieście złotych; mówi, że coś niecoś zarobiła w Poznaniu. Nie odmówiłam, lecz chciałabym już wreszcie stanąć na własnych nogach. A tymczasem jeszcze całe dwa lata!

Będziemy u doktora na obiedzie. Prosił o przyprowadzenie Leokadii, mówił, że ta kobieta działa mu dobrze na nerwy. Ciekawe. Co u diabła mężczyźni widzą w mojej przyjaciółce? Podoba się nawet Zośce, mimo że ona jest bardzo wybredna w odniesieniu do obcych kobiet.

Zośka przyniosła mi dzisiaj do domu czarny kitel z alpaki. Mówi, że przyda się w brodnickim interesie.

- Musisz przecież wyglądać jak prawdziwa siła biurowa. W czym chciałabyś tam chodzić?

Piątek - 11 lipca

W Brodnicy zastałam tylko Maksia. Ucieszył się. Obecnie mają pełne ręce roboty. Maksiu przemawiał mi do ambicji, wręczył klucze od kasy żelaznej, pokazał, jak się ją otwiera, i powiedział:

- Ojciec wraca w sobotę wieczorem, radź sobie dalej sama. Usiądź w kantorku, przyglądaj się interesom i naszym klientom i zachowuj się tak, jakbyś wszystko wiedziała, co potrzeba. W kasie masz cztery i pół tysiąca złotych. Będą różne wpłaty i wypłaty. Możesz polegać na starym Barczaku. On pracuje u nas przeszło dwadzieścia lat. Powie ci, komu można płacić pieniądze, pamiętaj jednak, że ty, a nie on masz klucze od kasy. Gdy w składach będzie większy ruch, zamknij kasę na klucz i postój sobie przy ważeniu. Nauczysz się przy tym wielu rzeczy. Patrz własnymi oczami, ucz się sama. Obserwuj. Poza tym głowa do góry i nie daj się. Nie należysz przecież do ślimaczących się kobiet. Kobiety z rodu Jamborów były dzielne. To były żony kupców od wielu pokoleń.

A wieczorem obejdz wszystko dokładnie i obejrzyj kłódki. Włóż klucze do żelaznej kasetki i zabierz ją do pokoju, w którym śpisz. Zresztą ja mam ciebie uczyć? Bądź zdrowa, Anno!

Potem Maksiu Jambor szerokim ruchem przygarnął mnie do siebie i pocałował w czoło. Zostałam sama w pokoju, na stoliku przede mną leżała kasetka i pęk kluczy na łańcuszku. Klucze od kasy. Równocześnie została we mnie świadomość, że nie odróżniam żyta od pszenicy.

Nie miałam jednak wiele czasu do namysłu, ponieważ do pokoju weszła kucharka i zapytała:

- Co pani każe jutro?

Połapałam się. Widocznie już we krwi wszystkich kobiet leży dyrygowanie domem, kuchnią i jedzeniem. Odpowiedziałam na pytanie zapytaniem: co Wikcia radzi? Do stołu siadają oprócz mnie trzy osoby, dwie panienki z biura i starszy pan, który prowadzi buchalterię - pracownicy z pełnym utrzymaniem, mieszkają nawet w tym domu.

Zrozumiałam jeszcze jedno: tutaj jestem panią, a nie panienką. Panienki - to takie, które siedzą w biurze od godziny do godziny i którym płacą pensję na pierwszego. Tutaj jestem panią Anną Jambor, bliską krewną właściciela i dziedzica. Ciotka Magda na wsi bywa zawsze starszą panią, Herta była w interesie panią, a tylko na wsi mówiono o niej: nasza panienka.

I oto upłynęły już dwa dni. Byłam osobiście przy otwarciu magazynów i przy ich zamykaniu. Spałam, a na stoliku nocnym obok mojego łóżka spoczywa stalowa kasetka z kluczami. W dzień kasetka leży na biurku w kantorku, w którym siedzę. Różni ludzie przychodzili do nas, do naszego biura, zadawali mi różne pytania. Starłam się wszystko załatwiać dobrze. Wołałam Barczaka, pomagał mi, całkowicie podporządkował się moim zarządzeniom. Powiedział sobie widocznie: była Herta Jambor, teraz będzie Anna Jambor, nic się nie zmieniło!

Działdowo - 17 lipca

Stryjek wrócił rzeczywiście w ową sobotę wieczorem. Wszyscy powitali go, jak powieściowego Marka Czertwana w „Dewajtisie”. Tylko tyle, że nie było pod ręką Irenki Orwidówny, była natomiast bratanica Anna Jambor. Czekałam na boku, aż się uspokoi. Przysłuchiwałam się. Dopiero później, podczas kolacji, kucharka Wikta powiedziała przy jakiejś okazji:

- Tak kazała nasza pani.

Stryjek popatrzył na mnie swymi jasnymi, wesołymi oczami i dopiero wówczas przypomniał sobie o tym, że widzi mnie u siebie po dłuższej przerwie. Widzieliśmy się bowiem na ślubie Herty podczas świąt wielkanocnych. Powiedział na początek:

- No i jakże z uniwersytetem? Oba egzaminy pewnie na bardzo dobrze? Nie? Tylko dobrze? To pomyślny znak, na pewno skończysz studia w terminie i czegoś się nauczysz.

Mądrzy ludzie zdają egzaminy tylko z poprawkami. Bardzo dobre noty niczego nie dają w późniejszym życiu. Kujony przeważnie nie zdają egzaminu w prawdziwym życiu. No, ale to głupstwo, rozchmurz się, moja Anno, i opowiadaj, co u was słychać w domu. Czy brat Benon już otrzeźwiał? Czy wyleczył się z zazdrości? A czy ojciec podziękował bodaj Marcinowi za jego gest średniowiecznego rycerza?

Sobotni wieczór był poświęcony obchodzeniu przez stryja podwórzy i magazynów. Wszystko go zaciekawiało, każdy drobny szczegół budził w nim zainteresowanie. Przyglądałam się stryjkowi i zadawałam sobie pytanie, dlaczego taki zdrowy i stosunkowo młodo jeszcze wyglądający mężczyzna nie ożenił się po śmierci żony. Przecież nie ma jeszcze pięćdziesięciu lat, w najlepszym wieku, zdrowy i krzepki. Ma w sobie więcej energii od niejednego młodzika. Dobrze wygląda, nie na pomorskiego chłopca czy gbura, lecz na dostatniego dziedzica z Kongresówki. Można to zauważyć w jego obejściu: rubaszny, ale w miarę i z dużym wdziękiem. Ponadto ma szeroki pański gest i uśmiech, nie tak jak mój ojciec. Podobne cechy posiada również nasz stryjek z Gdańska.

Stryj był zadowolony z mojego płaszcza biurowego. Czarna alpaka zrobiła mu więcej przyjemności, niż gdyby mnie był zobaczył w jakimś strojnym kostiumie. Uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Wysłuchał mojego opowiadania o czterech dniach spędzonych przeze mnie w Brodnicy oraz o instrukcjach udzielonych mi przez Maksia. Zagadnął wesoło:

- Ale z odróżnianiem żyta od pszenicy to jeszcze niezupełnie dobrze? - Poklepał mnie po ramieniu, jak chłopca, i dodał: - Nie martw się, Anno, twój ojciec także nie odróżnia, już ja lepiej się znam na jego bławatach. Ale to głupstwo, nauczysz się. Jutro pojedziemy do Działdowa, tam będzie twoje królestwo do końca wakacji akademickich.

W poniedziałek rano stryj wprowadził mnie w interesy działdowskie. Następnie zjedliśmy wspólny obiad już z moimi obecnymi gospodarzami czy też quasi opiekunami i zaraz po obiedzie stryj wsiadł do swego fiata i odjechał. Zostałam sama na obcym terenie. Naturalnie z kluczami od nowej kasy żelaznej i kluczami do biura i magazynów. Co tydzień w sobotę rano stryjek będzie przyjeżdżał do Działdowa i co tydzień w niedzielę będziemy zasiadać do stołu obiadowego z gospodarzami małego domku w ogrodzie, w którym mnie umieszczono. Od poniedziałku do soboty będę samotna z moimi kluczami, przedsiębiorstwem, interesami zbożowymi, kupnem i sprzedażami, od wczesnego ranka do zachodu słońca. Stryj powiedział mi na osłodę:

- Herta wyszła za mąż i z naszego domu ubył Jambor, ty musisz ją na razie zastąpić, Na wsi Magda i Maksiu, w Brodnicy ja, a ty w Działdowie. Zobaczysz, jak prędko przeleci czas. Ani się nie obejrzyysz, a już będzie październik...

Przede mną prawie trzy miesiące w tym domu. Coś w rodzaju praktyki wakacyjnej. Nie narzekam, dość się już wyjeździłam w tym roku. Krystek również musiał co roku tkwić na praktykach wakacyjnych, a Maksiu w wojsku na ćwiczeniach. Taka praktyka przyda mi się nawet w ekonomii, będę mogła powiedzieć profesorom:

- A handel zbożem wygląda inaczej w rzeczywistości niż w opowiadaniach pam... psorów...

31 lipca

Życie płynie monotonnie. Drobne zajęcia wypełniają mi cały dzień. Wieczorami jestem zmęczona, zaraz po kolacji kładę się do mojego panińskiego łóżeczka z niebieskimi firanczkami i zasypiam snem sprawiedliwego. O piątej rano budzi mnie służąca. Czas na umycie się, ubranie i zjedzenie śniadania jest bardzo krótki i już pięć minut przed szóstą jestem na miejscu w biurze firmy „Paweł Jambor i Syn”. Całe szczęście, że mieszkam blisko biura, parę kroków. Przeważnie już z rana są telefony od stryja lub Maksia. Zlecenia, które trzeba natychmiast załatwić, ponieważ wszyscy czekają: kolej na załadowanie wagonów, dostawcy na gotówkę, i tak dalej; codziennie to samo. Zmieniają się tylko adresy i nazwiska

oraz wagi przesyłek. Nie fakturujemy, to załatwia już Brodnica, my wykonujemy tylko zlecenia. Co sobotę stryjek, jak w zegarku.

Niedziela - 3 sierpnia

Do ojca napisałam z porady stryjka, że do domu przyjadę po zakończeniu pracy w Działdowie, gdzie pracuję i gdzie jestem bardzo potrzebna. Nic więcej, ani słowa o moich dwustu złotych. Stryj mówi, że ojciec ochłonie i może przyjdą mu do głowy jakieś rozsądniejsze myśli. W to nie wierzę, znam dobrze naszego ojca, jest zawzięty.

Święto Matki Boskiej - piątek

Już wiem, jaka jest różnica pomiędzy rodziną właściciela a obcymi pracownikami. Urzędnicy pracują od ośmiu do dziesięciu godzin dziennie, krewni nie mają określonych godzin, to znaczy myślą o interesie przez całe 24 godziny na dobę.

Byłam dzisiaj w kościele. Po trochu przyglądają mi się ludzie. Widocznie różne mamy obwąchały interes i zwróciły uwagę na kupiecką córkę.

Nie nawiązałam z nikim znajomości poza codziennymi klientami naszej firmy. Nie warto.

Powoli poznam wszystko i o wszystkim się dowiem, kto z kim, kiedy itp. Działdowo to małe miasteczko. Połowa Niemców, połowa kobiet i dzieci. Wszystkiego mało, w sumie jakieś pięć tysięcy osób. Tęskne wspomnienia o świetnej przeszłości, gdy w tym miejscu robiono interesy na szmuglu. Obecnie - dziura. Całe szczęście, że nie mam czasu na chodzenie po spacerach, bo nie byłoby gdzie. Chyba peregrynacje we wspomnienia historyczne, opowieści o Krzyżakach, o Szwedach, o bitwie Napoleona i tak dalej. Nasłuchiwałam się tego, ponieważ regularnie w każdą niedzielę odwiedza naszych gospodarzy miły pieczeniarsz, stary kawaler i gimnazjalny profesor na emeryturze. Opowieściom nie ma końca, każdy kamień w Działdowie ma swoje ważne miejsce w tych opowiadaniach. Słucham bardziej z grzeczności niż z ciekawości, ale zaraz wypuszczam drugim uchem. Co to mnie obchodzi?

21 sierpnia

Dzisiaj otrzymałam list od Leokadii. Krynica bardzo jej służy, zostaje do połowy września. Kto przyjechał do Krynicy na kilka tygodni? Stary doktor Michalski - przysłali mi właśnie wspólne zdjęcie. No, no!...

Koniec sierpnia

Za miesiąc wracam do Poznania. U nas w interesie wielki ruch. Ceny wszystkich zbóż spadają. Najgorzej z żytem. Stryj sprzedał zboże ze swego majątku jeszcze po dobrej cenie - z terminem dostawy na później. Miał nosa czy szczęście - to na jedno wychodzi, udało się. Skutki amerykańskiego kryzysu. Tymczasem my kupujemy bardzo ostrożnie, ludzie się proszą. Fiksujemy sprzedaż, odczekujemy kilka dni i korzystamy z różnicy cen. Stryj trzyma się z wielką rezerwą, codziennie wyskakują nowe ceny. W tygodniu są okienka z lekką zwyżką na giełdzie zbożowej, trzeba z nich korzystać, gdy się ktoś zna na tym. Okazuje się, że nikt nie chce trzymać zboża na składzie. Sprzedaje się tylko to, co się ładuje. Od razu wędruje dalej. U siebie widzimy obecnie tylko frachty kolejowe i dokumenty bankowe. Stryj zapowiada niewesołe czasy. Jeszcze w ubiegłym roku płacono za żyto na giełdzie w Poznaniu po 28 złotych z groszami, dzisiaj trzeba mocno uważać przy dziewiętnastu złotych. Loco Hamburg z trudem po 26 złotych, Ameryka psuje ceny, sprzedają po każdej cenie, byle dorwać się do gotówki. W Ameryce podobno krach, jakiego jeszcze nie było.

Zapowiada się kryzys na dłużej; dzięki Bogu, że stryjek uskoczył w porę. Z domami podobno kiepsko - zmieniło się w ciągu jednego miesiąca. Upewniałam się co do mojego

Banku Polskiego, kurs spadł jeszcze niżej niż przed wakacjami, ale od kilku dni zaczyna powoli windować się do góry. Wczoraj w Warszawie było już prawie tyle, co w Poznaniu w czerwcu. Chyba nie stracę? Stryjek mówi, że w jesieni te akcje pójną w górę, ponieważ Bank Polski to spokojna lokata i oparta na złocie. Trudno, kryzys wyskoczył nieoczekiwanie.

Przed tygodniem pisali do mnie moi poznańscy gospodarze. Wysłałam im komorne za wrzesień. Pisali pewnie dlatego, aby się przypomnieć z tym komornym. Trudno im się dziwić, skoro muszą oglądać każdą złotówkę przed wydaniem. To są tylko drobni urzędnicy.

Poniedziałek - 8 września

Wczoraj stryj zrobił mi niespodziankę i zabraliśmy się wczesnym rano samochodem do Grudziądza. Warto było jechać sto kilometrów. Mieszkanie dziadka ożyło - to wszystko robi młodość. Matka męża Herty jest bardzo miła. Byli niezamożni, ale znać na nich dobre wychowanie. Inni ludzie. Spokojni i bardzo łagodni w obejściu. Herta zwierzyła mi się, że jest w ciąży; już czwarty miesiąc, jak to szybko poszło. Z tego wszystkiego widać, że stryjek jeszcze o tym nie wie. Lub może udaje, że nie wie?

Spędziłam bardzo miłą niedzielę. Stryjek został w Grudziądzu, gdzie ma sprawy do załatwienia w banku, a ja wróciłam późnym wieczorem do Działdowa koleją.

Niedziela - 14 września

Pisała Zośka. Radzi, aby przyjechać do domu, po drodze do Poznania. Z Warszawy miałam kilka listów. Pisał również Krystynek, powodzi mu się doskonale, jest zadowolony z pracy.

Wtorek - 23 września

W sobotę rano przyjechała do nas Marysia Kawczyńska. Moja babka Jamborowa była z domu Kawczyńska, a brat mojej babki to w prostej linii dziadek Marysi. Staruszek jeszcze żyje, ma przeszło 90 lat. Najmłodsza wnuczka. Bardzo miła dziewczyna. Prawdziwa wiejska wiochna. Przy tym bardzo skupiona i poważna. Chrzestna córka stryjka Pawła. Od razu poczułam do niej wielką sympatię. Śpimy obie w moim pokoiku, gospodarze wynieśli kanapkę ze złoconych bambusów i wstawili małą leżankę. Jest nam wygodnie, ciasno, ale miło. Szkoda, że już za kilka dni wyjeżdżam.

Nie wiem, czy zdążę do Poznania na otwarcie nowego roku akademickiego. Działdowo opuszczam w niedzielę, razem, ze stryjem. Podwiezie mnie samochodem do Brodnicy. Być może zastaniemy tam stryjka z Gdańska, przebywał cały miesiąc koło Grodna, gdzie skupował wyręby leśne. Bardzo się cieszę. W tym tygodniu będę wprowadzać Marysię w nasze kombinacje zbożowe. Ona pojmuje to znacznie łatwiej ode mnie, nic dziwnego, wychowała się na wsi. Co do mnie, odróżniam już zboże nawet w ciemności, po dotyku ziarna. Jakoś poszło.

Brodnica - 30 września

Ślicznie. Do Wąbrzeźna jadę dopiero pojutrze. Mamy mały zjazd rodzinny. Są wszyscy: obaj stryjkowie, Herta z mężem i Maksiu. Jutro przyjedzie ciotka Magda. Nowe wiadomości. Heinrich już wyjechał do Berlina - na medycynę. Obie Elfydy wróciły z Londynu, dokąd kolejno udała się Gardenówna.

Wczoraj obaj stryjkowie wzięli mnie w obroty. Buntowali mnie i wbijali w głowę, aby nie dopraszać się u ojca pieniędzy na uniwersytet. Obaj śmiali się z zakupu akcji Banku Polskiego. Złożyli się i wręczyli mi dwa tysiące złotych. Stryj Paweł twierdził, że tysiąc od niego za „kierownictwo” filii w Działdowie, a stryjek Józef - że obecnie został zupełnie sam w Gdańsku i nie będzie miał na kogo wydawać pieniędzy. A Heinrich? Berlin przecież jest na pewno drogi, medycyna również. Cóż miałam robić, dziękowałam.

W Działdowie prawie nic nie wydałam - po dziesięć złotych miesięcznie dla służącej. Została mi nawet cała reszta z pieniędzy Zośki, jutro kupię za te wszystkie pieniądze bogate podarunki dla Jasi i Małgosi oraz dla mojej córki chrzestnej. Jacy są Tuchołkowie, to są, ale nie zrobiliby mi takiego kawału jak ojciec! Tego listu przed egzaminami nie jestem w stanie zapomnieć. Nigdy nie zapomnę.

Niedziela - 5 października

Już jestem z powrotem w Poznaniu. Z uniwersytetem gładko załatwiłam: kwestia opłaty w kwesturze. Wszystko w porządku. Jak to miło wracać na studia po wakacjach i móc położyć się we własnym łóżku. Na wstępie niespodzianka. Widocznie Leokadia wspomniała coś o mojej tęsknocie za dywanem i kanapką. Stary doktor zaraz po powrocie z Krynicy wy dostał z lamusa stary dywan, dość podniszczony, lecz jeszcze miły w kolorach i deseni. Poprzesuwano meble i tuż przy ścianie łóżka ustawiono małą kanapkę. Również stara, podniszczona, lecz miła, Zaczynam przekonywać się do antyków. Można się na niej trochę wyciągnąć, ja naturalnie z podkurczonymi nogami, ale mogę. Od biedy można by się na kanapce przespać przystawiając jeden z fotelików.

Dzisiaj byłam na obiedzie u Michalskich. Rabka posłużyła dzieciom. Młodzi jakoś się nie kłócą. Józinek zamyślony. Mela jakby straciła swoją jędzowatość. Obiad przeszedł w miłym nastroju. Dzieciom ofiarowałam prezenty przywiezione z Brodnicy.

O Wąbrzeźnie nie warto pisać. Zośki nie zastałam. Ojciec był jak zwykle skrzywiony. W moim pokoju przespałam tylko jedną noc, nie wypadało zaraz odjeżdżać. Dopiero drugiego dnia przed wyjazdem ojciec wysupłał się z jakimś przemówieniem umoralniającym.

- Masz swoje własne pieniądze, Anno, te po dziadku. Chwilowo nie potrzebujesz pieniędzy z domu. Ja mam obecnie wydatki w związku z kupnem kamienicy w Grudziądzu. Gdyby ci było potrzeba pieniędzy, napisz. Sądzę jednak - dodał ojciec - że Paweł zaopatrzył cię w pieniądze. Przecież pracowałaś u niego prawie trzy miesiące.

- Owszem - odparłam ojcu. Nie dodałam nic więcej. Rozstaliśmy się bez rozdrabniania problemu, na zimno. Obojętnie. Gwizdzę na Wąbrzeźno. Ojciec tym razem zapomniał nawet o tym, że córce przydałyby się jakieś bławaty na zimę, na przykład na wełnianą sukienkę.

Za najważniejszą zdobycz w tym roku akademickim uważam to, że już zarobiłam mój pierwszy tysiąc złotych po opuszczeniu bydgoskiego biura. Być może jakaś obca pracownica byłaby dostała od stryjskiego cokolwiek mniej, zawsze jednak znaczną część tych pieniędzy zarobiłam pracą. Powiedzmy nawet cały tysiąc stryjskiego Pawła.

Jeszcze tylko z tym drugim tysiącem. Na razie w dalszym ciągu jest to prezent, upominek dużego stryjskiego dla małej dziewczynki. Prezent nawet bardzo duży, jak na normalne stosunki. Ale ten stryjski jest bardzo bogaty, nie można mierzyć taką miarą. Może kiedyś w przyszłości i ja przydam mu się na coś? On zawsze ma różne interesy, a interesy mają to do siebie, że nieustannie krzyżują się w różnych kierunkach.

Czwartek - 16 października

Jakaś niepotrzebna znajomość. We wtorek była rocznica ślubu naszych gospodarzy. Zaprosili kilku kolegów z banku, w ich liczbie Leokadię, która świeżo wróciła z Krynicy, i mnie. Pozostali - wszystko młodzież, wśród nich jakiś łyśy blondynek z cwikiem na nosie. Od samego początku przykleił się do mnie; zaczął od tego, że chodzi na trzeci rok prawa i przygląda mi się od roku. Cóż to mnie obchodzi? Podczas przyjęcia siedziałam obok niego. Nie pamiętam dokładnie, co plótł, nie musiało to być jednak zbyt ciekawe. Odetchnęłam, gdy zbliżyła się godzina jedenasta i rocznicowi goście rozeszli się do domów. Blondynkowi nie chciało się wychodzić, dopiero nasza Walerka zgasła światła w żyrandolu i niemal wypchnęła go za drzwi. Zachciało mu się dalszych rozmów ze mną, nie wiadomo nawet, dlaczego typ ucieszył się, gdy się dowiedział, że mieszkam na miejscu, jak się wyraził.

Przyjęcie to jeszcze nic, ale zaraz nazajutrz zobaczyłam typa niemal na pierwszym rannym wykładzie. Widocznie nie zasnął, lecz zamiast pójść do banku, przyszedł wagarować na wykładach. Znam takie typasy, czasami tylko przyjdą na jakiś wykład i znudzonym okiem rozglądają się po sali, jakby chcieli powiedzieć: patrzcie, poświęciliśmy się i oto jesteśmy. Usiadł przy mnie i rozpoczął jakieś dalsze ciągi wczorajszych rozmów. Chętnie byłabym mu powiedziała: „Kochasiu, odczep się, nie podobasz mi się ze swoim haczykowatym nosem i głupią miną!” Dlaczego nie można tak powiedzieć? Świat jest głupi, ponieważ panują na nim głupie obyczaje, tak zwane kłamstwo towarzyskie.

Albo i takie pytanie: dlaczego zapisałam się na trzeci rok ekonomii, a nie prawa? Już wie i to, zapewne od mojego gospodarza. Nie sądzę, żeby od Leokadii, bo skądże jemu do naszej Leokadii? Co by ona z nim robiła? Użyłaby go chyba, sama nie wiem do czego. Nudny typ. Narzucający się.

Sobota -- 18 października

Leokadia wspaniale wygląda, promienieje. Wpadła do mnie wieczorem i zaciągnęła nas wszystkich do „Esplanady”. Gospodarze usiedli naprzeciw siebie i Henryk wpatrywał się w swoją Emilkę, jak modlący się dziad w święty obrazek na odpuście, gdy ludzie na niego patrzą. Kiedy oni pozwolą sobie na dziecko? Chyba że ono przyjdzie nieoczekiwanie. Leokadia opowiadała nam o swoich przygodach w Krynicy. Ze starego doktora podobno miły kompan, mimo że ma koło siedemdziesiątki.

- Gdybym miała o dziesięć lat mniej, kropnęłabym się za niego - mówiła Leokadia - ale tak, cóż by mi z niego przyszło? - kończyła z uśmiechem.

Przy okazji dowiedziałam się trochę szczegółów o moim prześladowcy. Nazywa się Faustyn Kruczek, pochodzi gdzieś spod Kalisza. Miał bardzo trudne życie. Ojciec jest robotnikiem, w domu fura dzieci. On ma już przeszło trzydzieści lat i dopiero przed dwoma laty zjawił się na uniwersytecie. Podobno przedtem był nauczycielem na wsi, ale wyrzucili go i miał jakieś trudności. „Czerwony”. Do banku przyjęli go z łaski, zarabia tylko 175 złotych miesięcznie. Ustawicznie zwalnia się i patrzą na niego kosym okiem. Czekają tylko okazji, aby go wywalić. Do banku dostał się w okresie Pewuki, gdy brakowało ludzi na gorzej płatne stanowiska, i tak został, ale z jego posadą jest nie bardzo. Jakoś bardzo biednie koło niego, obszarpany, z brudnym kołnierzykiem i krawatem skręconym w jakiś sznureczek. Trzymają go głównie dzięki protekcji mojego gospodarza, któremu dziwnie jakoś przypadł do gustu. Podobno jest mocno odczytany, prawdziwa chodząca encyklopedia, można z nim rozmawiać na wszystkie tematy. Oba egzaminy prawnicze natomiast zdał z wielką trudnością i oba z poprawką. Równocześnie - ustaliła Leokadia - nudny typ, od którego trudno się odczepić. Lubi rozmawiać na drażliwe tematy, na przykład o polityce. Wszystko mu źle. Chciałby reformować cały świat; to chyba komunista?

Wtorek - 28 października

W południe przyjechała Zośka. Zmęczona i zaraz po obiedzie położyła się do łóżka. Wieczorem będziemy gadać. Wyjeżdża jutro na noc. Lecę na seminarium. Widziałyśmy się przed wakacjami. Dawno.

Niedziela - 2 listopada

Zośka zawadziła o Katowice. Ciekawe, o tym nie było mowy u Józinków. Przecież chodzę do nich przynajmniej raz w tygodniu. Franek rozwiódł się ze swoją żoną. Oboje natychmiast rzucili się w objęcia nowych małżeństw. Pani Stanisława znalazła sobie dwudziestopięcioletniego chłopca, ona ma podobno pięćdziesiątkę! Świat do góry nogami. Franuś poszedł na trwałe w objęcia swojej kochanki od kilku lat. Obecnie wszystko wyszło na jaw. Zośka dowiedziała się o tych wydarzeniach od biurowych kolegów Franka Świetlika. Na

razie nawet z biurem Franka przerwa, ponieważ nowa żona jest bardzo bogata. Franuś został mężem Nr 3, poprzedni żyją i cieszą się dobrym zdrowiem, obaj zawarli już nowe związki małżeńskie.

Nowa pani Świetlikowa starsza od poprzedniej. Franuś naprawdę tym razem zwariował, jak Boga Kocham! A taki miły i wesoły chłopak, można by z nim konie kraść. Zawsze trzymał moją stronę przeciw rodzonej matce.

Zośka mówi, że dobrze zrobiłam, traktując naszego ojca zimno i obojętnie. Mogłabym zażądać jeżeli już nie wydzielenia mi spadku po matce, to przynajmniej mojej części dochodu z obu domów w Wąbrzeźnie, a kamienica w rynku ze sklepem „mocno” przynosi. W tym wypadku ojciec musiałby określić czynsz z bławatów! Ale to nie jest droga w chwili obecnej, mam na głowie moje studia. W dodatku mam z czego żyć.

Środa - 5 listopada

Byłam dzisiaj w banku w celu podjęcia pieniędzy. Badałam kursy giełdowe. Wędrowałam po cedulach zbożowych. Okazuje się, że przewidywania stryjka Pawła były dobre. Ceny zboża spadają w dalszym ciągu, dużo rolników zbankrutuje, zdołałam się już poznać na tym. Sprzedałam moje akcje. Zarobiłam na nich prawie trzysta złotych. Mówili mi w banku, że może jeszcze pójdą nieco w górę, radzili odczekać z decyzją do ostatniego tygodnia listopada. Sprzedałam, na koncie bankowym mam 11 tysięcy i dwieście złotych, utrzymanie za listopad zapłacone. Lubię sytuacje wyjaśnione. Lepiej było wycofać się z tych akcji, to niepewny interes w związku z kryzysem, o którym wszyscy mówią. Niektóre ceny już spadły. Ale to zawsze tak bywa, podniosą o dwa złote, a potem obniżą o jeden złoty, na tym zyskują tylko kupcy, o ile mają głowę na karku. Z tym kryzysem to pewno również jakiś szwindel bankowy.

Na razie rozmyślam. Jeszcze trochę odczekam, ale zdaje mi się, że będzie lepiej wynieść się z banku prywatnego do państwowego. Otworzę sobie nowe konto w Banku Gospodarstwa Krajowego, mimo że tam płacą niższe odsetki. Na początek wpłacę pięć tysięcy, przepełnię ryzyko, jak mówią kupcy.

Sobota - 8 listopada

Wybrałam ekonomię dlatego, że za dużo prawników kręci się po świecie. W Galicji podobno w każdym domu mieszka po dwóch adwokatów, widziałam to na własne oczy w Krakowie, naturalnie w śródmieściu. Co kogo się tam pozna, to od razu: dr iuris, w Galicji zdrowo nafabrykowali tych doktorów. Ekonomia, jak na razie, nowość. W dodatku coś jeszcze nie tyle nieokreślonego, ile mało znanego. W Poznaniu na każde piętnaście dyplomów prawniczych tylko jeden ekonomiczny. W dodatku Taylor obrzydza studiowanie ekonomii zwłaszcza kobietom. To woda na mój młyn, ja sobie jakoś poradzę i przebrnę jeszcze raz przez Taylora. Obkuję się i na złość pójdę do niego na egzamin w eleganckim kostiumie. Jak się opanuje przedmiot, to belfer nie może oblać, można odwołać się do pełnego składu komisji. Ale wówczas trzeba umieć!

Ekonomia - to taki sobie elegancki przedmiot. Magister ekonomii brzmi lepiej, bardziej zachęcająco. W dodatku z tą poznańską przyczepką: magister nauk ekonomiczno-politycznych. Doktor brzmiałoby lepiej, ale bardzo trudno jest zostać u nas doktorem ekonomii. Podobno tych doktorów można by wyliczyć na palcach. Na to trzeba byłoby poświęcić dalsze dwa lata. Nie ma sensu, gdy się nie zamierza pracować naukowo. Nauka - dyplom dla mnie jest tylko środkiem do celu, lecz nie samym celem.

Pojutrze są imieniny Marcina, ciekawa jestem, jak wygląda u niego przyjęcie imieninowe. Wysłałam list, w poniedziałek dodatkowo wyślę telegram.

Niedziela - 9 listopada

Tym razem Mela zaprosiła mnie na obiad. Katowickie nowości miały być dla mnie rewelacyjną bombą. Mela nie mogła mi darować, że nie przyprowadziłam do niej Zośki z wiadomościami. Ona dowiedziała się o historiach z Frankiem dopiero wczoraj z listu od znajomych. To nieprawda, że Stasia ma 50 lat, jest urodzona w roku 1889, a zatem ma czterdzieści lat. A jak staro wygląda! Ludzie zawsze dodają - zwłaszcza znajome i przyjaciółki. Nowa żona ma na imię Jadwiga i ta ma podobno naprawdę 51 lat. Trochę to za wiele dla Franka, który liczy sobie dopiero trzydzieści pięć. Podobno przystojna - tak piszą w liście katowiccy plotkarze, znajomi Meli. Dokładnie wyliczyli, że różnica wieku pomiędzy Frankiem a nową Jadzią wynosi „szesnaście” - napisali to w cudzysłowie i podkreślili! Jeżeli to prawda, to jak na kobietę mogłaby już być Frankową matką. Głupstwa i głupstwa.

Poniedziałek - 10 listopada

Zapisałam się do Azetesu. Na razie dwa razy tygodniowo po godzinie gimnastyki. Zobaczmy w lecie, może tenis i pływanie? Może siatkówka? Nie wiem, rozejrzę się, jutro pierwsza lekcja.

Wtorek - 11 listopada

Z gimnastyką dobrze. Myślę, że przyda się. Naturalnie bez namiętnego entuzjazmu. Dla zdrowia - tak jak wskazania lekarza: trzy razy dziennie po łyżce stołowej, pół godziny po jedzeniu.

Czwartek

Paka z Brodnicy. Zawartość jak zwykle. Jako nadawca ciotka Magda.

Sobota - 15 listopada

List od ojca. Jedna stroniczka. Przed dwoma tygodniami umarła nasza zakonnica. Siostra przełożona nadesłała krótką wiadomość o pogrzebie. Ten klasztor nie dopuszcza do zmarłych nawet rodziny. Grzebią wewnątrz murów w grobach nie oznaczonych nazwiskiem. Ojciec pisze, że bym zakupiła w Poznaniu mszę św. za duszę zmarłej ciotki i abym się za nią pomodliła.

W liście nic więcej, na końcu: pozdrowienia od wszystkich, Mógłby jednak napisać bodaj parę słów. Czuję, że nasze drogi rozchodzą się coraz bardziej.

Środa - 19 listopada

Dzisiaj rano modliłam się za moją nieznaną ciotkę na mszy u oo. franciszkanów. Nie jestem specjalnie pobożna. Przyznaję się sama przed sobą, że do kościoła chodzę jedynie dla zwyczaju i dla tradycji. Nie przyjmowałam sakramentów chyba ze trzy lata. Ostatni raz na Wielkanoc, w rok po maturze. A później była długa przerwa, Bo jak tu pójść i wyznać na przykład moją bydgoską przygodę? Nie potrafiłabym. Przyszło mi to na myśl w chwili, gdy uklękałam po mszy św. i odmawiałam moje ostatnie zdrowaśki żałobne. Nie umiałabym pójść na przykład dzisiaj do spowiedzi, uklęknąć i poprzez kraty wyznać nie tyle mój grzech, ile sam fakt.

A może to nie był grzech? Przecież byłam nieprzytomna wówczas, gdy uczyniono ze mną, co chciano uczynić. To samo zresztą, co czyni na świecie codziennie miliony kobiet i mężczyzn. Nie umiałabym jednak tego wyznać i opowiedzieć. To przekracza moje możliwości. Nie wiem. Ale wątpliwości mógłby rozstrzygnąć jedynie ksiądz podczas spowiedzi. Trudno bowiem byłoby zadać takie pytanie jakiemuś znajomemu księdzu nie podczas spowiedzi. Nie znam takiego księdza; trudno byłoby w dodatku rozmawiać na takie tematy młodej dziewczynie. Spowiednik nie wdawałby się w subtelności odczuć, załatwiłby

to w sposób szablonowy, potępiający, bez wdawania się w jakieś delikatności. To przecież tylko mężczyzna. Cóż on może o tym wiedzieć?

Nie pójdę do konfesjonału. Wystarczy mi od czasu do czasu uklęknąć w ciszy wieczornej w kącie kościoła i odmówić dziecienny pacierz. To daje więcej skupienia niż obnażanie własnej duszy przed nieznanym spowiednikiem. Cóż zresztą mógłby mi on powiedzieć? Tylko coś z szablonu ustalonych opowiadań i przemówień księży do grzesznych duszyczek. Tak wygląda to zapewne w ich pojęciach. Nie pójdę. To mogłoby raczej odstraszyć mnie od kościoła niż przybliżyć. Czy Bóg koniecznie musi być związany z kościołem? Czy koniecznie muszą być pośrednicy pomiędzy Panem Bogiem a człowiekiem?

Spowiedź - to jakieś przyłożenie sztucznej i wymyślonej miary do nieszczęścia człowieka: albo zbyt duża, albo zbyt mała. Zbyt duża do obserwowania wszystkiego, zbyt mała dla pomieszczenia w niej naszej wrażliwości. Spowiednik na ogół przykłada pierwszy lepszy pospolity szablon i później już na ślepo i bez czucia macha po nim pędzlem potępienia. Samo zaś słowo pociechy brzmi jako zakaz. Tak właśnie rozumiałam naukę naszych szkolnych katechetów, ci mówili ponadto wyraźnie: Bóg jest tylko w Kościele, bez Kościoła nie ma Boga prawdziwego, nie ma zbawienia.

Samej sobie mówię: niedobrze, Anno, oddalasz się od katolicyzmu. Ale równocześnie jakiś głos buntu podpowiada mi grzeszną być może myśl: powracasz, Anno, do wiary swych przodków sprzed dwustu czy stu nawet lat, tych kalwinów.

Pozostawmy ten problem otwarty, przyjdzie czas, znajdzie się odpowiedź na wiele pytań. Może nawet rozwiązanie wielu nurtujących mnie wątpliwości? W co jednakże nie wierzę! Człowiek bowiem, który nie ma żadnych wątpliwości, nie wypełnia swego posłannictwa na tym świecie. Rolą człowieka jest dociekanie tajemnicy bytu i jego znalezienia się na świecie. Nawet wbrew temu, co mówi religia. Raczej wbrew temu, co mówią księża w imieniu... ich... religii. Ich religii, sami bowiem wyznawcy nie mają nic do mówienia, mają tylko wierzyć ze spuszczoną w dół głową. Problem biblijnego upadku pierwszego człowieka.

Nie wiem. O tym trudno pisać. Ograniczę się jednak do moich cichych skupień. Na kolanach, w kąciaku kościoła i w porze, gdy w kościele jest cisza i nie ma hałaśliwego tłumu rozkrzyczanych głosów, śpiewów i organów. Taki nastrój odstrasza moją duszę. Cisza pociąga i skupia. Zaczekamy. Tymczasem cisza i Bóg, w ciszy do serca przychodzący. Bez kraty konfesjonału i pomstowania spowiedników.

W siódmej klasie przed maturą spowiednik wypytywał się mnie, czy nie sięgam rękami do nieskromnych części mego ciała i czy nie ściskam lubieżnie kolan...

Ciekawe, że takie właśnie myśli przychodziły mi do głowy w dniu modlitwy za naszą zmarłą zakonnicę. Czy nasza Róża patroluje moim myślom w niebie? Co zresztą ludzie mogą wiedzieć o niebie?

Ale dość tego, moja Anno. Módl się dalej w ciszy. Bóg wybacza. Bóg nie grozi i nie wygraża. Czynią to tylko ludzie, którzy Go nie rozumieją. Modlitwa prowadzi do takiego właśnie Boga, wszystko zaś inne wiedzie albo do ateizmu, albo do dewocji. Ta ostatnia przychodzi poprzez konfesjonał.

Poniedziałek - 24 listopada

W piątek imieniny Florencji. Podobno moja pierwsza azalia jeszcze się trzyma. Wysadzają ją na lato do ogrodu na Żoliborzu, rodzi kwiaty. Pielęgnuje ją ogrodnik. Tym razem dam zlecenie w kwieciarni na doręczenie koszyka z kilku doniczkami najładniejszych fiołków alpejskich. Takich w mocnym kolorze. Podobno trzymają się długo, ale w chłodzie. To ciekawe, że kwiaty lubią zimno. Ja natomiast lubię ciepło, dużo ciepła. Ale ja nie jestem kwiatem. To nieprawda, że kobiety są kwiatami. Kobiety tylko lubią kwiaty. A może wmówiono w nas, że lubimy kwiaty? Przesada. Kwiaty w życiu kobiet to tylko jakieś

sentymentalne dodatki do praktycznych sznurów pereł, pierścionków z brylantami, kosztownych futer i ostatecznie do czeków bankowych... Kwiaty jako teatralna dekoracja - być może - dla ofiarodawców pereł i czeków? Wszystko obłuda, wyliczenie korzyści...

W każdym razie kwiaty między kobietami stanowią symbol przyjaźni. Florencję bardzo lubię. Chciałabym bodaj w części stać się do niej podobną i posiadać jej wdzięk i styl życia. Raczej styl bywania i obracania się w świecie między ludźmi, to określenie wydaje mi się bardziej właściwe.

Przyczepił się do mnie ten Kruczek. Tego nie lubię. Chyba Leokadia powie mu, że mnie nudzi. Żeby poszedł sobie do diabła. Właśnie do mnie się wybrał. Może poszukuje pani Kruczkowej? Pani Anna Kruczkowa z domu Jambor. Może potrzeba mu pieniędzy na dokończenie uniwerku? Małżeństwo studenckie: on chodzi na wykłady, ona stara się za oboje. Znam takie małżeństwa. W dodatku: Faustyn. Skąd ludzie biedni biorą takie imiona? Chyba z pomocą kalendarza - ksiądz patrzy w kalendarz i mówi rodzicom: Faustyn. Święci nadają imiona dzieciom, mogli przynajmniej podarować temu Faustynkowi trochę lepszy nos. Tak, to żarty, ale jak się od niego odczepić?

Piątek - wieczorem

Telegram od Florencji: ślicznie dziękuję i ślicznie całuję. Bardzo ładnie, ponieważ nie opuszczone „i” między słowami. Widać, że nie żona kupca pomorskiego, ta napisałaby: ślicznie dziękuję całuję.

1 grudnia

Jak te dni lecą. Nawet się nie obejrzałam i już dwa miesiące po wakacjach. Gdzie pojechać na święta? Może w góry, mam przecież pieniądze. Byłoby przyjemnie na przykład pojechać z moją Zośką, ona zawsze dodaje mi otuchy.

5 grudnia - w pociągu

Zdążyłam jeszcze na południowy pociąg do Bydgoszczy. Telegram był krótki, lecz zrozumiałą: „Przyjedź natychmiast do ciotki Katarzyny nikomu nie mów słowa przede wszystkim Meli czekam dzisiaj Zośka”. Co tam mogło się wydarzyć? Przecież nie śmierć i nie choroba ciotki, boby wezwali Melę, a nie mnie. Głowię się nad tym, ale chyba niczego nie wymyślę. Dopiero Gniezno.

Sobota - 6 grudnia

Jadę nocnym pociągiem do Marcina. W Warszawie będę wczesnym rankiem. Jutro niedziela, rozmawiałam z nim telefonicznie, jest w domu i będzie mnie oczekiwał. Mam przyjechać taksówką. Dopytywał się, o co chodzi, nie mogłam mu opowiedzieć przez telefon. Notuję obecnie krótko:

Tatusz znalazł sobie pocieszycielkę. Nie wiemy, jak długo trwał ten romans, ona poprzednio była ekspedientką w składzie obuwia u Jana Kowalskiego w Grudziądzu. Stamtąd zabrał ją ojciec przed rokiem do Wąbrzeźna. Jej ojciec jest robotnikiem w odlewni Herzfelda w Grudziądzu. Stefcia obecnie ma najwyżej osiemnaście lat. Średniego wzrostu z dużymi, wydatnymi piersiami. Ciemne włosy ostrzyżone na polkę. Ręce nie zniszczone. Dostatecznie głupia. Jedną z takich, które nie odmawiają, gdy się im powie: chodź, zaraz idą. To samo co biurowe aniołki, tylko tyle, że robią błędy ortograficzne piórem do pisania, ponieważ nie znają remingtonów. Kociątko, kiciuś, psiakrew!

Sprawę miała załatwić w Bydgoszczy Zośka przy pomocy ciotki Katarzyny. Ojciec zadarł ze wszystkimi, została mu tylko przyrodnia siostra i Zośka, pod ręką, na miejscu. Tuchołkowie nie są do pomocy w takich przypadkach.

Dziewczynisko już tkwiło w Bydgoszczy trzy czy cztery dni, a sprawa nie posuwała się naprzód. Lekarze powiedzieli wyraźnie: dziewczyna jest zdrowa, nie ma obaw co do komplikacji przy porodzie. Serce zdrowe, krew zdrowa, ciąża normalna, już czwarty miesiąc. Zaprowadzono w końcu ofiarę do jakiejś fabrykantki aniołków, cóż kiedy Stefcia zlekła się baby, gwałtem wyrwała się im z rąk i uciekła, trzeba było ją gonić na ulicy. Ktoś nastraszył dziewczynę, że od tego można umrzeć.

Ojciec wyprawił Zośkę z dziewczyną do Bydgoszczy z wyraźnym poleceniem - tymczasem kłapa. Tylko tyle, że już nie wróci do Wąbrzeźna; ale pojedzie do Grudziądza, do swoich rodziców. Zośka zdecydowała, że będzie dostawać w dalszym ciągu pensję. Sto sześćdziesiąt złotych miesięcznie. Przy mnie wyjęła z torebki pieniądze i kazała jej pokwitować odbiór pensji za grudzień. Wręczyła dziewczynie równe dwie setki, nie żądała reszty.

Nasze rozmowy ze Stefcią mogłyby natchnąć jakiegoś literata do napisania nowej „Pani Dulskiej”. Widziałam tę komedię w swoim czasie w Bydgoszczy. Już po maturze. Zrobiła na mnie wówczas duże wrażenie. Było to jeszcze przed...

Stefcia zarykiwała się: co powie ojciec? a nasza trójka wyglądała jak postacie z sabatu czarownic na Łysej Górze. Ciotka w roli starej czarownicy, a my we dwie z Zośką w roli praktykantek na wiedźmy. Takie jeszcze młode wiedźmy, które się gzą z czartami. Przecież namawialiśmy głupią dziewczynę do złych rzeczy. Psiakrew, z takim ojcem! Jakie dziwne wymagania, by córka załatwiała mu tego rodzaju przypadki.

Ale sama nie wiem dlaczego - bez namysłu przyłączyłam się do tej akcji. Dla mnie wstrętnej. Co innego, gdy sama kobieta decyduje w ten sposób o swoim własnym losie. Ale oto przed nami głupi kociak.

- Pan Jambor już od dawna... jeszcze w Grudziądzu, gdy pracowałam w składzie u pana Kowalskiego... Pan Kowalski? On... nigdy, to bardzo porządny pan. Ale pan Jambor zawsze kusił i kupował mi prezenty. Prowadził mnie w Grudziądzu do hotelu, a potem zabrał mnie do siebie, do Wąbrzeźna. Dał mi 40 złotych więcej i ubrał mnie. Płacił za mieszkanie... Przychodził do mnie zawsze wieczorem. A jak panienka wyjeżdżała... za... towarami, to pan kazał mi przychodzić do swego mieszkania na drugim piętrze. Piliśmy dużo wódki, a pan nakręcał gramofon...

Jak ja to wszystko opowiem stryjkowi Marcinowi? Dziewczyna pewno już jest u rodziców w Grudziądzu. Nie chciałabym przeżyć tej sceny, gdy jej ojciec przyleci do Wąbrzeźna, Zośka mówi, że mu się zamałuje gębę pieniędzmi. Czy ja wiem? A może to był głupi pomysł z tym wyjazdem do stryjka Marcina? Przecież on może mi powiedzieć: ja jestem doktorem chemii, a nie akuszerem. I miałby rację. To nawet podobne do niego.

Co do ciotki Katarzyny, ta ma zdrowy pogląd na świat. Wyraźnie nam powiedziała:

- W rodzime ani słowa o tych wybrykach Benona. Jak już koniecznie było mu potrzeba baby, mógł to sobie inaczej urządzić i nie powinien był brać do tego smarkuli ze sklepu. W dodatku umieścił ją we własnym sklepie! Wstyd. Tego nigdy dotychczas nie było w naszej rodzinie. Do łajdaczenia się są przecież inne kobiety! Mógł się wreszcie ożenić, skoro nie mógł się obyć bez baby. Byłaby go karmiła tym jadem, ażby mu się odbijało. - Ciotka mówiła po niemiecku, lecz na koniec powiedziała po polsku: psiakrew! I zastrzegła się: - Przede wszystkim ani słowa mojej Meli. Ta by nas wszystkich urządziła! A gdy przyjdzie co do czego - wyprzemy się w żywe oczy. Taki ojciec robotnik to może wszystko zrobić, nie tyle z rozpacy, ile z zemsty. Najlepiej na ugodę. Dać pieniądze i zamknąć mu gębę. By się nie rozniosło. Jak memu bratu ta historia wyciągnie pieniądze z kieszeni, to będzie w przyszłości dobrze uważał, gdzie ma... pójść. Czy ja wam muszę dokładnie mówić gdzie?... Przecież nie jesteście głupie!

Ciotka Katarzyna była naprawdę zła. Rozwód i nowe małżeństwo Frania nie zrobiły natomiast na niej najmniejszego wrażenia.

- Czy to ja będę żyć z jego żoną? Ma, co sam chciał; jeżeli jest głupi, nie ma na to żadnej rady. Chwała Bogu mam własny dom i nie opuszczę tego mieszkania aż w karawanie na cmentarz. Żony, och, te żony. Nie znałam tej pierwszej, natomiast dużo o niej słyszałam. Do poznawania drugiej również się nie kwapię, nie mam nawet ochoty wysłuchiwać opowiadań, jaka jest. Znam ja dobrze mojego synka.

I w tym miejscu ciotka Katarzyna bezwstydnie określiła to w taki sposób:

- Pierwsza żona była stara, wyranżerowana klacz, druga jeszcze starsza kobyła. U pierwszej wyleniało, a u drugiej jeszcze nie wychłódkło, pomimo że stara. A Franek służył im obu za taki... kolek małżeński...

I przy tych słowach splunęła, nie dbając o to, że pluje na parkiet w swoim pokoju sypialnym.

Ciotka ma naprawdę niewyparzoną gębę. Z taką lepiej nie zadzierać. Ale mówi prawdę i nie jest obłudna. To jest dużo warte.

Już mi się nie chce pisać. Jak ten czas się wlecze. Pociąg dopiero za dwadzieścia minut. Trzeba wypić na zapas jeszcze jedną herbatę.

Niedziela - 14 grudnia

Już tydzień upłynął od mego powrotu z Warszawy. Nie mogłam zdecydować się dotąd na opisanie rozmowy ze stryjem. Całe szczęście, że nie było przy tym Florencji. Tym razem nie widziałam jej nawet, rozmawiałam z nią jedynie przez telefon. Rozmowa ze stryjem była bardzo krótka. Wsadził mnie do najbliższego pociągu, mówiąc:

- Szkoda drugiej nocy na takie brudne sprawy, moja Anno. Wracaj do Poznania i nie nabijaj sobie głowy erotycznymi awanturami twojego papcia. Dziewczyzna zdrowa, jak sama mówiłaś i widziałas na własne oczy. Niech rodzi. Światu potrzeba nieustannie nowych ludzi, aby robili nowe świństwa. Dlaczego przeciwdziałać? Może ojciec otrzeźwieje, gdy go to będzie kosztować trochę pieniędzy, on nie lubi na raz dużo wydawać. Ciotka Katarzyna ma rację. A jak tam twój uniwersytet?

I stryj zagadał o czym innym. Famulus wyczarował nam na poczekaniu obfite śniadanko, niczym w gabinecie restauracyjnym. O godzinie dziesiątej rano - po dwa kieliszki koniaku, a na zakończenie czarna kawa z benedyktynką. Tym razem jeden z moich dobrych stryjków nie wsunął mi do torebki banknotów. Zamiast tego obdarzył mnie po studencku: włożył mi do walizki dwie spore butelki, jedną z francuskim koniakiem, drugą z dobrym tokajem.

Stryjek powiedział:

- Zaprosz Leokadię - nawet Marcin wie o niej - i wypijcie sobie w kilku posiedzeniach. Nie od razu, ale po kieliszeczku. To bardzo pomaga w myśleniu i dla zdrowia jest niezłe.

Wczoraj były imieniny Leokadii. Przełożyła na sobotę, jak zwykle. Ofiarowałam jej kwiaty i butelkę koniaku. Tokaj wypijemy razem, kieliszek po kieliszeczku, może zaproszę starego doktora? Kruczek był również. Wyprowadza mnie z równowagi. Mela przysłała z teściem, Józinek był gdzieś w drodze. Mela milczy tajemniczo i tylko się uśmiecha. Dziwnie spoważniała, nawet jej z tym nie do twarzy. Doktor wysadził się na dużą butelkę perfum i kosz kwiatów. Przyjęcie było huczne i trwało do drugiej w nocy. Bęcwał wyrывał się z odprowadzaniem mnie do domu, ale przed nosem wsadziłam sobie i moich gospodarzy do taksówki i zostawiłam kochanego Faustynka na ulicy. Lekarz z Melą zostali dłużej, ponieważ nie mogli jakoś dokończyć rozgrywki brydżowej.

Leokadia zafundowała sobie aparat radiowy z głośnikiem. Założyli jej jeszcze przed imieninami. Funkcjonuje wyjątkowo dobrze, znacznie lepiej niż nasze w Wąbrzeźnie. Tańczyliśmy trochę przy tej muzyce, jakoś udawało się. Kruczek depcze po nogach, nie potrafi nawet tańczyć, nic dziwnego, że się z niego śmieją jego koledzy bankowi. Tylko nasz gospodarz popiera go w dalszym ciągu. Co on w nim widzi? Leokadia mówi, że jest bardzo

oczytany i znacznie inteligentniejszy od swego otoczenia w banku. Ale co jemu z tego przyjdzie? Odczytanie to jeszcze bardzo mało. Nie podwyższą mu z tego tytułu wynagrodzenia i będzie klepał biedę w dalszym ciągu. Głupich kwiatków nie przyniósł Leokadii...

Aparat radiowy w dalszym ciągu na baterię. Słyszałam u stryjka w Warszawie radio na sieć, to zupełnie co innego. Nie ma tyle drutów, bateria i anodówka kłopot; odczekam, może jeszcze więcej ulepszą. Na razie byłoby mi żal wydać półtora tysiąca na taką grającą skrzyneczkę. Obejdę się. Doktor odgrażał się, że założy radio u siebie jeszcze przed świętami.

Dotychczas jeszcze nie wiem, dokąd pojedę na święta. Do Katowic jakoś nie wypada dwa razy pod rząd. Do domu nie warto jechać, tam będzie nastrój pogrzebowy. Ojciec już obecnie oswaja się z myślą, ile go będzie kosztował wpadunek ze Stefcia.

Bądź co bądź, to będzie dziecko mojego ojca, tylko tyle, że nieślubne. Choćby i było, ale nie z taką Stefcia! Przecież gdyby ojciec oszalał do reszty, mógłby się z nią ożenić sposobem całkiem normalnym, nawet w kościele. Wdowiec. Macocha. Ładna macocha. Smarkula. Co w niej widział nasz ojciec? Chyba te piersi mocno wypchnięte naprzód i opięte ciasną bluzką. Guziki ciągną się z dziurek i wyłazi przybrudzona bielizna. A może buziak kociaka i cielejące oczy? Wyłupiaste. Taka to wszystko robi, czego się zachce mężczyźnie. Małżeństwo - ale wówczas musielibyśmy wynieść się wszyscy z Wąbrzeźna, nasze miasteczko nie wybaczyłoby tego kupcowi Jamborowi.

- Można się łajdaczyć - pocieszała nas ciotka Katarzyna - lecz nie wolno się żenić. A od łajdaczenia się są prostytutki. - Jasno postawiła sprawę.

Poniedziałek - 15 grudnia

Zapisuję zaraz dzisiaj. Na świecie dzieją się same głupstwa. Albo cudy. Irenka znalazła sobie narzeczonego! Wygląda słabiutko, wąski w piersiach, za rok kończy filozofię i kieruje się na nauczyciela gimnazjalnego. Przedstawiła go na uniwerku. Wiezie go na święta do ojca i ciotki. Mają pewnie zadecydować, czy nadaje się na męża aptekarskiej jedynaczki. Zdaje się, że Irenka przeprowadzi ten numer.

Nie spodziewałam się tego po niej. Ostatnio zaczęła wyglądać bardziej normalnie, a tu masz: naręczony! Zapomniałam zapytać, skąd pochodzi ten rzadki egzemplarz i gdzie go wystrasnęła. Chyba go nie wypisała z katalogu Biblioteki Uniwersyteckiej? A może z ogłoszenia w Ikacu? Na poznaniaka w każdym razie nie wygląda. Irenka mówi, że kto wie, czy nie pobiorą się zaraz po świętach. Ona nie będzie już potrzebowała wyszukiwać sobie kawalerów do łóżka, a on będzie miał spokojną głowę do studiów. Tak właśnie tłumaczyła mi pewna koleżanka, która niedawno w ten sposób ułatwiła sobie życie. Nie mają własnego mieszkania i odnajmują umeblowany pokój z możliwością pitraszenia potraw. Pobrali się, a obecnie obawiają się tylko dziecka, ponieważ to uniemożliwiłoby im ukończenie studiów. Wszyscy obawiają się dzieci, nawet w małżeństwach, a tymczasem różne Stefcie... Ale już koniec ze Stefcia, bo czuję, że dostanę szału. Ten wypadek niedobrze działa na moje nerwy. Można zwariować - i jak tutaj się uczyć?

Tylko gimnastyka mnie uspokaja. To był dobry pomysł z Azetesem.

Środa

Spotkałam na mieście doktora i zaciągnął mnie do Beelego przy placu Nowomiejskim. Świeże wiadomości. Ciotka Katarzyna rozeźliła się na Franka i podobno urządza sklep dla Meli. W Bydgoszczy, ponieważ stara pragnie mieć interes na oku i osobiście pilnować pieniędzy. Doktor nie wie, jaki to będzie interes. Józinek zapytywał tylko ojca, czy mógłby dostać od niego z hipoteki 15 do 20 tysięcy. Wszystko wygląda bardzo poważnie według oceny doktora. Po Bożym Narodzeniu zapowiedziała wizytę w Poznaniu ciotka Katarzyna, chce osobiście naradzić się ze starym Michalskim, mówi o potrzebie trwałego zabezpieczenia ich dzieci. A może Józinkowie naprawdę się ustatkują?

Piątek - 19 grudnia

Zdecydowałam, że zostanę w Poznaniu. Młodzi Michalscy jadą z dziećmi na święta do babki. Wyjeżdżają już jutro rano. Z szykiem, zabierają nawet pannę do dzieci. Doktor specjalnie zaprosił mnie na Wigilię do siebie, może mu się uda zatrzymać Leokadię w Poznaniu. Nie miała dotychczas nic na widoku. Byłoby wesoło. Doktor jest bardzo gościnnie; zobaczyłabym, jak wygląda taka Wigilia w troje.

Już wysłałam niemal wszystkie życzenia świąteczne. Przeszło dwadzieścia pocztówek i listów, było co pisać! Z każdym rokiem przybywa znajomych, trzeba pisać, gdy się pragnie utrzymać miłe stosunki. Na uniwersytecie już ferie świąteczne. Moja ekonomia polega głównie na czytaniu lektury. Jest tego sporo. Robię sobie wyciągi na karteczkach, lecz nie stenografuję. Przydałaby się maszyna do pisania, czasami zaczynam odczuwać jej brak. Lubiłam uderzać palcami w klawisze. Można było nawet nadać temu pewien rytm. Piszę wszystkimi palcami nie patrząc na klawisze. Właściwie gdybym miała się zdecydować, wybrałabym maszynę, a nie radio.

Otrzymałam zaproszenie na święta nawet od Marysi Kawczyńskiej, gdzieś z Domniewa pod Nowym Miastem. Przez rzeczkę - już Niemcy. Dopisał się jej dziewięćdziesięcioletni dziadek, brat mojej babki Jamborowej.

W tym roku spędzę Boże Narodzenie bez choinki. A może doktor urządzi nam choinkę, jak małym dzieciom?...

Poniedziałek - 22 grudnia

Kupiłam już prezenty. Dla doktora ustnik do papierosów, nobliwy, zapłaciłam 25 złotych. Jest trochę złota w oprawie. Dla Leokadii skórkowe rękawiczki w jej guście, gospodarzom - jemu czarną teczkę skórzaną ze srebrnym monogramem, dla Emilki torebkę z węzowej skórki. Wydałam przeszło sto złotych. Dziewczętom dam po dwadzieścia złotych, naszej Walerce i kucharce doktora. Nie umiałabym dobrać dla nich prezentów, a tak kupią sobie według własnego gustu.

Środa rano - Wigilia

Z Wąbrzeźna nadeszła paczka ekspresowa. Karteczka od Zośki z życzeniami. Kilka metrów prawdziwego, ciężkiego jedwabiu w kolorze różowym i kawałek złotego brokatu. - Dużo ucałowań, pisze Zośka, przyjemnych świąt, zrób sobie ładną sukienkę balową. Dlaczego miałabyś siedzieć w domu, gdy inne chodzą po balach? Przecież nie wybierasz się do klasztoru - raz człowiek żyje! Leokadia doradzi z krawcową. O ojcu ani słowa, od ojca - również.

Drugie święto - wieczorem

Wigilię święciliśmy we troje. Stary lekarz nabił się we frak, Leokadia wystąpiła we wspaniałej sukni, Szkarłatna tafta. Doskonale wygląda, mogłaby pozować malarzom do obrazu: królowa. Widziałam ją również w innym stroju, jako boginię, ale to nie jest ważne, to było już bardzo dawno, to znaczy, że tego w ogóle nie było. Wieczór był elegancki. Doktor urządził dla nas choineczkę, ustawioną na okrągłym stoliku gabinetowym. Metr wysoka, ubrana wata i obsypana srebrnymi włosami anielskimi. Do tego małe białe świece. Prezenty i prezenty. Dla Leokadii srebrne pudełko na papierosy do ustawienia na biurku, dla mnie bardzo ładna lampa na biurko. Leokadia dla doktora figurkę z brązu, a dla mnie sześć filizaneczek do czarnej kawy, maciupęńkie, filigranowe, kobalt ze złotem, W tym samym guście, co mój prezent ślubny dla Herty, małe, ale bardzo wdzięczne.

Radio doktora zdało egzamin. To jednak musi być przyjemnie leżeć w łóżku i słuchać muzyki operowej z odległego świata. Ale równocześnie jakoś trudno wydać na taki aparat od razu prawie dziesiątą część swojego majątku. Nie mogę.

Leokadia również zauważyła, że młodzi Michalscy ostatnio zmienili się na lepsze. Jest zdania, że mogliby się ustalić i stanąć na własnych nogach, gdyby im pomogli rodzice, to znaczy ciotka Katarzyna i stary lekarz. Chodzi również o nadanie pewnego kierunku i przypilnowanie, zwłaszcza w początkach.

Wydaje mi się, że mój prezent dla Leokadii był mało efektowny. Nie można żałować pieniędzy w takich wypadkach. Prezenty są rzeczą stałą, do której mimo woli powraca się często w myślach. Ale trudno, stało się. Może przy okazji wycygnię jakiś materiał od Zośki i podaruję Leokadii.

W pierwsze święto było przyjęcie również u doktora. Leokadia, na odmianę, zjawiała się w innej kreacji. Na czarno, w jedwabiach, bez biżuterii. Jej we wszystkim dobrze, ale trzeba przyznać, że umie nosić stroje. Figura bez zarzutu, gorset jak na lalce. Gdy jesteśmy razem, Leokadia gasi mnie z miejsca. Nie zazdroszczę jej jednak. Ja dopiero wchodzę w życie, ona zaś niedługo zejdzie z desek teatrum życiowego. Ja mam młodość, ona doświadczenie i wdzięk, wynikający z dłuższego kręcenia się między ludźmi. Dodajmy: pomiędzy ludźmi zamożnymi.

W przyszłym tygodniu mamy pójść razem do krawcowej. Leokadia obiecuje mi suknię w ciągu kilku dni. Na pewno dokaże tej sztuki, jej wszystko się udaje. Doktor zaprasza się do naszego towarzystwa na najbliższym balu.

Poniedziałek - 29 grudnia

Dzisiaj rano przysłano dwie paki ze wsi. Od Maksia cztery zające, od Magdy świąteczne przysmaki. Stryjek osobno włożył do paczki Magdy trzy butelki szampana. Piszą na karteczce, abym urządziła dla przyjaciół w Poznaniu przyjęcie sylwestrowe. Ludzie umieją się bawić. Bardzo ładnie, że z odległości pamiętają o mnie! Wszystko oddałam tym razem w ręce Emilci i Walerki.

Cały dzień ganiałam za różnymi drobiazgami. Musi się udać moje przyjęcie. Już byłam u Leokadii. Przyjdzie. Krawcowa dopiero po Trzech Królach, ale zaraz zabierze się do mojej sukni.

Piątek - 2 stycznia 1931

Szaleństwa skończyły się. Przyjęcie u mnie udało się. Walerka zdała egzamin. O godzinie dwunastej w nocy wypiliśmy w domu wszystkie trzy butelki szampana, a później wywialiśmy do lokali. Zaczęliśmy od „Moulin Rouge”, a skończyliśmy w „Palais Royal”.

O godzinie siódmej rano zaprosiłam gości po raz drugi do siebie i Walerka musiała parzyć nam czarną kawę. Chciałam otworzyć butelkę mojego tokaju, ale nie pozwolili gospodarze. Wydobyli skądś butelkę z likierem Kasprowicza. Mieliśmy dobrze zaproszone głowy. Później doktor odjechał do siebie, a Leokadia została u mnie. Gdy się chce, można skulić się na mojej kanapie. Leokadia wypoczywała w łóżku, przedtem wzięła zimny tusz w łazience. Mówiła, że zimna woda konserwuje urodę, a w gorącej ciało rozłazi się na wszystkie strony. Komu wierzyć? Ja bardzo lubię wejść do wanny wypełnionej po szyję gorącą wodą z ziołami.

Spaliśmy do godziny piątej po południu. Gdy wstałyśmy, gospodarze usiłowali nas gościć, ale bolały nas głowy i byliśmy bez fasonu. Całe szczęście, że byliśmy sami, gospodarzy liczymy jako swoich. Wiadomość: w południe był mój Faustynek i koniecznie chciał złożyć mi życzenia noworoczne. Także pomysł. Ledwo mu wytłumaczono, że śpimy po wczorajszym balowaniu. Głupi smarkacz. Haczykowany nos z cwikierami. Ważna figura, chce mi składać życzenia.

Moja garderoba jest więcej niż skromna. Brak mi sukien wizytowych. Paraduję jeszcze w warszawskim ekwipunku sprzed dwóch z górą lat! Córka bławatnika. Trzeba będzie o tym pomyśleć. Trzeba jakoś bardziej upodobnić się do kobiety, gdyż jak dotychczas noszę się jako

coś pośredniego między mężczyzną a kobietą. Na uniwerku może dobrze, poza nim - trochę źle, ubogo. Całe szczęście, że w moich lisach wyglądam jak wiejska dziedziczka. A mojego srebrnego lisa nie mam do czego włożyć. Jeszcze w jesieni i na wiosnę do kostiumu na ulicę, ale do lokalu? Do czego?

Przyszło mi na myśl, że czas by już skończyć z wylegiwaniem się w domu. Można by na początek przynajmniej raz w tygodniu chodzić wieczorem do lokali. Leokadia na pewno chodzi częściej, mogłabym sobie to urządzić.

Gimnastyka dobrze mi robi. Moje ciało zyskuje formę, dawniej z lekka garbiłam się, obecnie jestem wyprostowana i mam już inne, lepsze przegięcie się w pasie. Mamy dodatkowo brać lekcje rytmiki, za dopłatą, ale to kosztuje niewiele. Warto. Czuję, że moje ciało zaczyna przybierać na wadze, widzę pewne zmiany nawet w piersiach. Nie chciałabym się rozjechać jak Mela, ale małe piersi znakomicie poprawiłyby moją kobiecą figurę. Krawcowe nie zawsze mogą wyrównać te braki, narzekają.

Święta prawie na ukończeniu, a jeszcze nie zabrałam się do pracy nad studiami. Źle. Zamiast się uczyć - labuję. Ale to po raz pierwszy w życiu, dopiero w dwudziestym trzecim roku. Można mi wybaczyć. Anno, odpuszczam tobie winę... Idź, dziewczę, w spokoju, baw się trochę, tylko nie grzesz...

Poniedziałek - 5 stycznia

Wczoraj zjawiła się w Poznaniu ciotka Katarzyna. Przyjechała razem z zięciem, Mela z dziećmi została w Bydgoszczy. Ciotka zaczyna traktować mnie poważnie, bo zaprosiła na Wyspiańskiego i radziliśmy w czwórkę: ciotka, obaj panowie Michalscy i ja.

W połowie stycznia młodzi przenoszą się na stałe do Bydgoszczy. W tym czasie opróżnia się bliźniacze mieszkanie obok ciotki na tym samym piętrze. Mają zamiar przebić ściankę i połączyć oba mieszkania wspólną antrejką. Józinek już wpłacił zadatek, dziesięć tysięcy złotych, na kupno składu z galanterią damską i męską przy ulicy Dworcowej, w dobrym punkcie. Całość ma kosztować 65 tysięcy, z czego 35 tysięcy ma być płatne gotówką do końca stycznia, a reszta weksłami po pięć tysięcy złotych od marca do czerwca. Ciotka Katarzyna płaci pierwsze 45 tysięcy w całości, weksle wykupią młodzi Michalscy, a obecnie chodzi już tylko o zdobycie plus minus 20 tysięcy do obrotu.

Zośka była w Bydgoszczy w charakterze eksperta, oceniła interes jako korzystny, przyrzekła pomoc w organizowaniu pierwszych zakupów. Właściwie starego doktora nie trzeba było specjalnie namawiać do pomocy. Ofiarował się z zaciągnięciem pożyczki bankowej na hipotekę domu. Kiwał głową, ale w końcu powiedział:

- Nigdy nie pochwalałem tego nieokreślonego życia u mojego Józka. Co prawda marzyłem dla niego o czymś innym, a nie o kupiectwie. W każdym razie lepszy jest sklep aniżeli głupie pośrednictwa. Pośrednictwo - to życie z powietrza, nigdy nie wiadomo, czy będzie pogoda, czy będzie padał deszcz albo śnieg. Pośrednictwa - to życie niebieskich ptaków, które nie sieją ni orzą, a którym tu i tam trafi się jakiś kłosik. To było niepoważne. Również taka sama była idea Józka założenia biura pośrednictwa sprzedaży domów i majątków rolnych. W tym interesie więcej wypije się wódki z rzekomymi klientami, niż sprzeda się domów, chyba swój własny, na wódkę...

Właściwie dam trzydzieści tysięcy, a nie dwadzieścia, jak to zawyrokował nasz rodzinny kupiec, to znaczy panna Zosia. Z tym, że dodatkowe dziesięć tysięcy zostaną wpłacone na konto pani Katarzyny, która mieszka w Bydgoszczy i na pewno pomoże młodemu, gdy zajdzie potrzeba. Niech to będzie nienaruszalna, żelazna rezerwa. Ponieważ matka Melci daje 45 tysięcy, zobowiązuję się i ja również dopłacić dalsze piętnaście tysięcy, jednakże nie teraz, lecz dopiero wówczas, gdy interes rozwinie się. Powiedzmy za rok. W tym czasie młodzi pokażą, co umieją!

A ostatecznie - kończył stary doktor - jeżeli to wszystko jakoś nie wypadnie, zawsze zostanie coś z likwidacji tego przedsięwzięcia; wówczas dołożymy te moje piętnaście tysięcy i wspólnie pomyślimy o czymś innym. Myślę, że dobrze wyłożyłem?

A zatem, kochana pani Katarzyno, po raz drugi wydajemy za męża, zenimy nasze dzieci i po raz drugi je wyposażamy. Za zdrowie i pomyślność! - Po czym pan Michalski starszy poprowadził nas do kredensu i nalał cztery kieliszki sztabowe. Wypiliśmy. Ciotka była zdziwiona, Józinek poważny, stary doktor uśmiechnięty, a ja z otwartymi ze zdziwienia ustami. Po raz pierwszy asystowałam przy narodzinach interesu organizowanego w ten sposób.

A propos interesów: zboże spada w dalszym ciągu. Kryzys. Zdrożeje na wiosnę, gdy to samo zboże, może nawet nasze, będziemy sprowadzać z Niemiec - na przednówku. Takie to są koleje handlu, który nie ma żadnego oblicza i którego bożkiem są jedynie pieniądze, gotówka i weksle. Długie kolumny cyfr, kredyt, debet, a w pośrodku tego saldo, świadczące o wielkości lub upadku kupca.

Wniosek: kto wie, czy właśnie owe trzydzieści tysięcy spadku po dziadku Benonie, a właściwie... po Marcinie nie pobudziły ciotki Katarzyny do myślenia? Kupiecka córka nagle znalazła się w posiadaniu większych pieniędzy i od razu zaczęła myśleć.

Niedziela - 11 stycznia

Wszystko miga jak w kalejdoskopie. Pożyczka hipoteczna załatwiona, pieniądze w Bydgoszczy, interes do przejęcia już od piętnastego stycznia, na Wyspiańskiego zaczęli pakować rzeczy. Za tydzień nie będzie śladu po gospodarstwie młodych w Poznaniu, do trzech pokoików wejdą malarze, a w pierwszych dniach lutego zamieszkamy we dwie u starego lekarza. Wszystko już zostało uzgodnione, znaleziono nawet następnego lokatora do mojego obecnego pokoiku. Leokadia wyprowadzi się nareszcie z ulicy Młyńskiej, gdzie obecnie zrobił się istny młyn. Ósmy lokator. Najgorsi są podobno aplikanci sądowi, których zwabia do mojego dawnego pokoiku bliskość sądów. Tak się ustaliło, że jeden podaje drugiemu mój pokój, z ręki do ręki, krótki pobyt każdego z nich znaczy się jednak jakąś grubszą awanturą. Podobno moi gospodarze oswoili się z tym i wykazują gruboskórność, nic dziwnego, hałasy do nich nie docierają, mieszkają w korytarzu od podwórza. Najwięcej ucierpiała z tego powodu Leokadia. Do zanotowania: stół z marmurową płytą zakończył swój żywot. Aplikanci potrafili go przewrócić na podłogę, płyta się zbiła, gospodarze policzyli sprawcy koszty marmuru, lecz nie sprawili nowej płyty. Przykryli drewniane pozostałości serwetą, i powiedzieli nowemu lokatorowi: - Oto stół... - Ano takie to są poznańskie opowieści o pokojach umeblowanych.

Młodzi Michalscy zajmowali trzy pokoje w amfiladzie z oknami na podwórze i ogród. Pokoje leżą w głębi mieszkania w długim korytarzu, który kończy się małym hallem, mającym osobne wyjście na ogrodową klatkę schodową, drzwi do kuchni i do pokoju służbowego. Każdy z trzech pokoi posiada wyjście na korytarz. Na początku korytarza, jako pierwsza na prawo, znajduje się duża łazienka i dwa pokoiki służące do wiadomych celów. Mieszkanie duże, nic dziwnego, że urządzono aż dwa takie pokoiki. Jeden z nich wyłącznie do użytku lekarskich pacjentów. Największy z tych pokoi jest ów najbliższy do wyjścia ogrodowego, środkowy najmniejszy, a pierwszy od łazienki - średni. Największy zajmie Leokadia ze względu na swoje meble. Jest to pokój o dwóch dużych oknach. Oba pozostałe pokoje posiadają po jednym oknie. W średnim pokoju mają mnie umieścić - na zamianie zyskują co najmniej dziesięć metrów podłogi.

Mamy płacić po dwieście złotych miesięcznie z całkowitym utrzymaniem i w ogóle ze wszystkim. Cena jeszcze do ustalenia, w zależności od kosztów wspólnego prowadzenia gospodarstwa domowego. Mamy się rozliczać, sami nie wiemy jeszcze, w jaki sposób. Może na trzy części z doktorem, może jeszcze inaczej. Doktor mówi, że nie może to nas kosztować

drożej niż dotychczas, z tym, że cała przyjemność z takiego obrotu rzeczy będzie po jego stronie, ponieważ nie będzie go pożerać nuda samotności.

Nie wiem, czy robię dobrze, ale wiadomo, że byłam, czy jestem, panną z mokrą głową. Leokadia w takim razie również, tylko tyle, że na pewno nie panna, skoro ma męża, bodaj legendarnego i mitycznego, ale podobno ma...

17 stycznia

Polecony list od Zośki. Dopisek, aby go spalić po przeczytaniu. Dobra jest ta Zośka, przyszło jej widocznie na myśl, że ja kolekcjonuję takie listy rodzinne!

Grudziądzki robotnik zawitał do Wąbrzeźna i od razu trafił do ojca przyszłego dziecka. Na samym wstępie poinformował go, że o mało duszy nie wybił ze Stefci, ale ostatecznie opowiedziała mu o wszystkim dokumentnie, od samego początku. Musiała chyba opowiadać kilka godzin, tyle tego było w tym, co mówił jej ojciec. Groziła grubsza awantura. Ojciec zaczął od pięciuset złotych. Temperatura wyzwick podnosiła się w miarę, jak postępował z pieniędzmi. Ostatecznie stanęło na tysiącu złotych i tym, że dziewczyna będzie otrzymywać swoją pensję biurową aż do czasu urodzenia dziecka. Potem zobaczy się, co będzie dalej.

Zośka była przy zakończeniu rozmowy, ale cały czas podsłuchiwała pod drzwiami. Ojciec zawołał ją, ponieważ to było wieczorem i trzeba było schodzić na dół do sklepu po pieniądze. Całe szczęście, że skrzywdzony dziadek nieślubnego dziecka przyszedł po swoje pieniądze nie do sklepu, lecz wprost do mieszkania kupca.

Ten robotnik chyba nigdy w życiu nie widział tylu pieniędzy na raz. Tysiąc złotych - kosztowna zabawa. Ktoś powiedział niedawno w naszym towarzystwie, że ceny kobiet rosną w miarę podwyższania się wieku amatorów. Owszem, sprawdziło się.

Litkup był w postaci szklanki wódki. Ojciec usiłował poczęstować ojca Stefci kieliszkiem, ten jednak wyjął mu z ręki butelkę i nalał sobie do szklanki od wody, która stała obok na stoliku. Później obtarł usta ręką i wyszedł z pokoju, mówiąc tylko: Do widzenia! Widocznie ma zamiar częściej przychodzić. Co najgorsze, że powiedział naszemu ojcu w oczy:

- Moja Stefcia nie miała skończonych szesnastu lat, gdy to było pierwszy raz...

Moja suknia jest już gotowa, mają odesłać jutro po południu. Pierwsza suknia balowa! Pójdę z Leokadią, doktor odgraża się, że będzie nam towarzyszył. Trochę mam tremy przed tym pierwszym występem publicznym, w dodatku to będzie jakiś mocno reprezentacyjny bal. Zdaje się, że na pierwszy ogień pójdzie doroczny bal lekarzy.

Niedziela - 18 stycznia

W najbliższą sobotę mój pierwszy bal w Poznaniu. I w życiu. Idziemy w trójkę, Leokadia i doktor. Irenka dla mnie stracona. Za dwa tygodnie wywozi swego narzeczonego do Mikołowa i tam biorą ślub. Później poślubne dwa tygodnie w Zakopanem i powrót do Poznania. Wspólny umeblowany pokój z utrzymaniem i wyczekiwaniem na dyplom przyszłego pampсора. Można ostatecznie i tak, skoro komuś brakuje w życiu dowcipu. Obecnie już wiem, że szczęśliwy wybraniec pochodzi z Wilna i jest, jak to piszą naiwnie w powieściach, poczciwość człowiek; słyszałam w Warszawie również określenie: dusza-człowiek, tłumaczono mi, że to z ruskiego. Zobaczymy zresztą, co będzie dalej. Podobno po uzyskaniu dyplomów wyniosą się do tego dalekiego Wilna. Młodzieniec zawział się i postanowił zrobić doktorat, to zawsze lepiej brzmi: profesor i doktor. Ciekawa jestem, czy Irenka wtajemniczyła go choć trochę w swoje przygody.

Bal. Bal. Bal. Zobaczymy zatem Annę na balu. Już sobie kupiłam pantofelki odpowiednie do złotego brokatu. Leokadię rażą moje długie włosy upięte w warkocze, ale wolę posiadać długie włosy niż posiadając zbyt krótkie, przypinać do nich cudze loki, bo i to się zdarza. Wszystko zależy od fryzjera, niech on się nad tym męczy!

Mój czarny charakter, czyli Faustyn Kruczek, odgrażał się dzisiaj, że przyjdzie również na ten bal. Po co? Wpadł do nas w momencie, gdy piliśmy herbatę po obiedzie, i siedział dobrą godzinę. Gadał bez przerwy. W niedzielę jemy obiad przy wspólnym stole, to zawsze weselej. Emilka poczęstowała go herbatą i ciastem. Dosyć łąpczywy na jedzenie, je bardzo szybko, jak by się spieszył, że zabraknie dla niego. Męczą mnie jego rozmowy na poważne tematy. Obecnie mają w banku dylemat, ponieważ grożą redukcje. Nasz Faustynek wpadł na głupi pomysł i ma zamiar zorganizować pracowników do walki o obniżenie wszystkim o jednakowy procent, co w jego pojęciu miałyby uchronić niektórych pracowników od zwolnienia. Henryk i Emilka słuchali go z zainteresowaniem, mimo że mojemu gospodarzowi nie grozi takie kryzysowe zwolnienie. Ja z miejsca wyśmiałam pomysł. Głupi. Dyrekcja naprzód zgodzi się na taką kombinację, bank na tym nic nie straci, ponieważ za mniejsze pensje będą mieli tę samą ilość ludzi do pracy. Po kilku miesiącach, gdy się ludzie przyzwyczają do zmniejszonych wynagrodzeń, dyrektorzy po cichutku zwolnią jednego po drugim, kogo będą chcieli. Tłumaczyłam to Kruczkowi, ale durny i nie mógł tego pojąć. Dobrze, że nie zdecydował się na ekonomię, miałby kłopot w przyszłości ze zrozumieniem różnych zagadnień. Z głupimi trudno rozmawiać, tłumaczyłam mu, że właśnie socjaliści zwalczają ideę takich dobrowolnych obniżek zarobków pracowniczych i organizują nawet strajki w razie usiłowań przeprowadzania takich machinacji. Groch o ścianę. Widocznie papierowy idealista, w dodatku jemu najbardziej grozi redukcja. Gdy oficjalnie wystąpi z taką propozycją, może się zdarzyć, że powiedzą mu w oczy: cudzym kosztem chcesz ratować własną skórę.

Kruczek prawie miał ochotę wpakować się do mojego pokoju, ledwo mu wytłumaczyłam, że idę przebrać się przed pójściem na wizytę. Chciał mnie odprowadzać i gadaj tu z takim. Ledwo się odczepiłam.

Bal, w każdym razie bal. To już nie jakiś dansing czy też domowa potańcówka. Z doktorem Michalskim będziemy wyglądać bardzo elegancko.

Czwartek - 22 stycznia

Dzisiaj wpadła do Poznania Zośka - tylko na kilka godzin, w przejeździe do Bielska. Odszukała mnie na uniwersytecie, spieszyła się na pociąg. Ojciec wyjeżdża do Krynicy na dłuższą kurację. Podobno żołądek i serce, dwie choroby od razu. Wypokojniał. Zośka jest w kłopotcie, ponieważ obecne interesy wymagają poświęcenia co najmniej jednego tygodnia w miesiącu na podróże handlowe, a tutaj nieoczekiwany wyjazd ojca, nie wiadomo na jak długo.

W poniedziałek musi być z powrotem w Wąbrzeźnie. Ojciec wyjeżdża ostatniego stycznia, może wstąpi do Poznania. Zośka nie umiała mi tego wyjaśnić. Chyba nie. Co najwyżej widzenie na dworcu, ale wątpię. Co ma do mnie ojciec? Co może mi powiedzieć? Odmówił wypłacania zasiłków na studia pod pozorem, że ma różne płatności, a w tym samym czasie walił pieniądze w swoją Stefcie! Szkoda o tym wspominać.

Nie śmiałam wypytywać Zośki o to, czy łączy tym razem w Bielsku interes handlowy z... higieną kobiety dorosłej, jak ona to po swojemu określa. Była zbyt zdenerwowana i roztrzęsiona, niemniej kazała mi ubrać się w sukienkę balową i obracała mną na wszystkie strony. Była zadowolona ze swego dzieła, to przecież jej prezent.

Przywiozła mi trochę drobiazgów ze sklepu, mówiąc z satysfakcją, że część sklepu jest również moja, kupiona została bowiem w lwiej części za posagowe pieniądze naszej matki. Lepiej, że ja mam coś z tego sklepu, niżby ojciec miał obdarzać różne swoje kochaneczki!

Piątek - 23 stycznia

Już jutro. Co prawda tylko bal lekarzy, ale na początek może lepszy taki spokojny bal. Zresztą w „Bazarze”, a tam podobno gromadzi się tylko przyzwoite towarzystwo. Leokadia zrobiła sobie bardzo obcisłą suknię ze złotej lamy, z dość głębokimi dekolcami z przodu i tyłu.

Widziałam u niej nowy gorset do sukni balowych. Suknia śliczna, ale gorset prawdziwe чудо. Przecież dobrze pamiętam, jak moja Leokadia wygląda au naturel. Piersi jej w tym gorsecie wychylają się z dekoltu jak dwa małe pączki róży. Reszta gdzieś podziana i schowana. A wszystko przeznaczone dla mężczyzn! Co prawda jest w tym trochę oszustwa, ale oni pragną być oszukiwani, mają zatem to, czego pragną. Za czym gonią.

Wtorek - 27 stycznia

Początkowo byłam oburzona, nawet mocno wzburzona. Zepsuł mi całą zabawę. Co to za bałwan! Przyłazł na bal w jakimś pożyczonym i mocno przybrudzonym smokingu i od samego początku grał mi na nerwach. Nie umie tańczyć, depta po nogach, ale pcha się na pierwsze miejsce. Gorzałam ze wstydu, w końcu poszukałam naszego doktora, który pomógł mi w ten sposób, że oddał go pod opiekę dwóch młodych lekarzy. Nie było innej rady, jak spławić Kruczka w taki sposób. Potem oddał Kruczka w ręce znajomych w bufecie, którzy byli już pod dobrym gazem. Dopiero wówczas odetchnęłam. Bal zaczął się dla mnie dopiero od momentu zniknięcia głupca. W dodatku - co to za nazwisko? Wprost kompromitujące. Kruczek, nawet nie Kruk, tylko Kruczek. Nie wiadomo nawet, czy to jest zdrobnienie od kruka, czy też liczba pojedyncza od... kruczków. Jestem zła! Kruczek... tylko jeszcze zagwizdać i Kruczek leci...

Druga połowa balu zrobiła mi wiele przyjemności. Byłam co prawda długo speszona, gdyż ludzie patrzyli z ironią na studenta w wygniecionym smokingu i mogli sobie różnie o mnie pomyśleć. Przy wejściu na porządny bal gospodarze powinni oglądać takich gości, odbierać im zaproszenia i podawać adresy mniej wykwintnych lokali. Tak bez gniewu, dobrodusznie. Ale cóż? Student to zaraz wyjmie legitymację i powie: - Bojkotujecie nas? A sami, gdy byliście studentami, czy zawsze mieliście własne smokingi?

Leokadia królowała. To jednak jest bardzo piękna kobieta. Ma dużo w sobie, jak to mówią u nas: sznytu. Ja zyskiwałam w jej towarzystwie, ma sporo porządných znajomości. Ta kobieta mogłaby jeszcze dobrze wyjść za mąż, gdyby chciała. Nie rozumiem, dlaczego tego nie robi? Jakiś rozwód to przecież głupstwo w naszych czasach. Zmiana wyznania, inny kościół i koniec.

Ale muszę zapisać dokończenie „rzeczy o Kruczku”. Tym razem chyba ten student został całkowicie wymazany z mojego otoczenia. Najwięcej jednak to złości mnie w tej hecy, że nikt inny, lecz właśnie taki Kruczek był pierwszym mężczyzną, który nie tylko zwrócił na mnie uwagę, lecz ośmielił mi się oświadczyć!!! Kruczek oświadczył się o moją rękę. Nie jestem co prawda jakąś hrabianką z herbem i karetą, lecz skąd taki Kruczek do mnie? Nigdy go nie ośmielałam, nigdy mu nie stwarzałam nawet cienia możliwości. Zachowywałam się nawet czasami wręcz drwiąco i z kpinami. A tu od razu i nagle.

Było to tak: wczoraj po południu student upolował mnie w domu, czekał kilka godzin u moich gospodarzy i doczekał się. Przyniósł z sobą nawet jakiś wiechetek w bibułce. Ostatecznie biedne róże, cóż one były temu winne, że kupił je wariat? Co one były winne, że pod koniec rozmowy, gdy odprowadzałam pana Kruczka do drzwi, opatuliłam je z powrotem w bibułkę i wetknęłam do ręki odpalonemu konkurentowi? Był zresztą tak zaskoczony osobliwością mojej odpowiedzi na jego oświadczenia, że zatrzymał kwiaty w ręce i wyszedł z pokoju prawie tyłem. Ja pod koniec słów wstałam, on uczynił to samo, a już nawet nie wiem dokładnie, jak się to wszystko zakończyło. Wieczorem opowiadała mi Walercia, że Kruczek nie opuścił zaraz naszego mieszkania, lecz powrócił do pokoju gospodarzy i... podobno płakał przed Emilką. Ona nie przyznała się do tego, ale coś niecoś podsłuchiwała Walerka, która sprzątała w pokoju sypialnym.

Zaczął od tego, iż mnie bardzo przeprosza, że wczoraj tak niefortunnie skończył na balu. Wszystkiemu jest winne towarzystwo, z którym go poznał pan doktor Michalski. Ale on się pohamuje i już nigdy...

Przerwałam mu z miejsca, mówiąc:

- Panie Faustynie, skądże znowu, to może przydarzyć się każdemu mężczyźnie, pan zresztą nie przyszedł na bal w moim towarzystwie i mógł pan ostatecznie postępować według własnego... upodobania.

Nie warto było zaczynać w ten sposób, ponieważ w dwie minuty później Faustyn Kruczek upadł przede mną na kolana i wyznał mi bez jakichkolwiek komentarzy, że już od samego początku kocha się we mnie... Od pierwszego spotkania... Co dalej plótł, nie pamiętam, gdyż byłabym spodziewała się raczej trzęsienia ziemi w Poznaniu niż takich głupich słów. Z wariatem miałam do czynienia, więc próbowałam mu powiedzieć w ten sposób:

- Niechże pan wstanie, nie robi głupstw i usiądzie na foteliku. Cóż to za forma oświadczyć? Chyba wyczytał pan to w jakimś podręczniku dobrego zachowania się - sprzed stu lat?

Starałam się obrócić całą sprawę w żart: nie pomagało. Student podniósł się co prawda z kolan i usiadł na fotelu, ale w dalszym ciągu majaczył: on nie mógłby żyć beze mnie i ja... powinnam zostawić mu bodaj iskierkę nadziei. Zrobi wszystko, aby stać się godnym mnie. Powinnam wierzyć w jego głęboką miłość, on widzi we mnie nie tylko kobietę - powiedział: piękną kobietę, widocznie brak mu rozeznania, jak wyglądają piękne kobiety - ale on się poprawi... on się weźmie w karby, aby na mnie... zasłużyć.

Słuchałam tych tyrad i starałam się skupić, aby w jakiś mądry i ostateczny sposób pozbyć się natręta. Byłam równocześnie zła do ostatnich granic. I takie mają być moje pierwsze oświadczenia w życiu, i takie wspomnienie ma utrwalić się w mej pamięci? Przecież to jest typ jeszcze głupszy od tylekroć wyśmiewanych karykatur z humoresek Jana Lama! Powiedziałam mu ostatecznie w ten deseń:

- Proszę pana, jestem mocno zdziwiona pańskimi słowami. Nigdy czegoś podobnego nie oczekiwałam. Na uniwersytecie poznaje się moc kolegów i koleżanek. To, czy ja się panu podobam, czy nie podobam, w małym stopniu mnie obchodzi. Małżeństw w mojej sferze nie zawiera się jedynie dlatego, że się komuś podobamy. Nie wiem zresztą, jak pan sobie to wyobraża. Jest pan dopiero studentem, a nawet po uzyskaniu dyplomu nieprędko będzie pan posiadał warunki do zapewnienia mi odpowiedniej sytuacji materialnej.

Faustyn Kruczek dziwnie spoważniał i zaczął mnie zapewniać, że posiada zdolności i przyłoży się do zdobycia stanowiska. Jednym słowem, miłość moja czy małżeństwo ze mną miało mu pomóc w podniesieniu tej ukrytej w nim energii w kierunku zdobycia przyszłego stanowiska.

Znudziła mnie taka jałowa i do niczego nie prowadząca rozmowa. Zakończyłam krótko:

- Proszę pana, czy pan zdaje sobie sprawę z tego, ile kosztowała moja ostatnia suknia balowa? Na pewno więcej niż pańskie dwie pensje w banku. To dopiero suknia balowa, a reszta? A może pan liczył na mój posag? Może pan już się informował i powiedział sobie: ona ma duży posag, to starczy z mojej strony tylko sama miłość. Panie Kruczek, to było bardzo niemądre z pańskiej strony. Co to mnie może obchodzić, że pan akurat kocha się we mnie? Mam całkiem inne zamiary życiowe. Może kiedyś wyjdę za mąż, ale to nie będzie na pewno jakaś romantyczna miłość, lecz po prostu małżeństwo z rozsądku i w mojej sferze majątkowej. Dla ustalenia pozycji w świecie, rozumie pan? W towarzystwie. A dokonam tego w sposób, jaki będzie... mnie... odpowiadał. Ja nie mam potrzeby dorabiać się.

Może nawet powiedziałam coś więcej, nie pamiętam, gdyż byłam naprawdę zła. Pierwszy bal i pierwszy napotkany w życiu matoł ni stąd, ni z owąd oświadcza mi się i bredzi o tym, że poczeka tak długo, póki nie zdobędzie mojej wzajemności. Ile lat zamierza on żyć na świecie? Tysiąc również nie starczyłoby. Nawet wyspa bezludna tego by nie dokonała. W dodatku czy ten Faustyn Kruczek nigdy nie przegląda się w lusterku?

To prawdziwa bezczelność. Prawda, Irenka również pochodzi z zamożnej rodziny, ale przynajmniej narzeczony ma dobre maniery. Inteligent - na pewno nie w pierwszym pokoleniu, i ma dobrze ułożone w głowie. Ale student Faustyn Kruczek? Po prostu wstyd byłoby się komukolwiek przyznać, że taki się oświadczył. Gospodarzy zapytam przy okazji, czy on przypadkiem nie jest pomyłony, w ten sposób przetną możliwość jakiejś dyskusji na ten temat. Stary lekarz jest mądrym człowiekiem, jak on mi zręcznie ułatwił na balu pozbycie się niewygodnego fatyganta. Jemu opowiem. Z Leokadią - zobaczę jeszcze. Może wyśmieję w naszym towarzystwie amatora na małżeństwo z posagiem. Wariat. Głupiec. Brudas. Żebrak!

Powoli przemija moja złość. Niech go zresztą! Ciekawa jestem nawet, z kim się ten durny Faustynek pocieszy po mojej odmowie. A może się powiesi - sznurek na szczęście. Chyba jednak nie, przeboleje i kolejno innej pannie runie do nóg. Ale co typ, to typ, z kalendarza.

Wtorek - 3 lutego

Już po wszystkim. W piątek rano zajechała platforma i zabrała na Wyspiańskiego wszystkie moje klamoty. Poszło bardzo łatwo, suknie i drobiazgi wpakowałam nocą do koszu z wikliny i do waliz. Pożyczyłam sobie nawet kosz od gospodarzy, by tego wszystkiego na siłę nie upychać.

Po południu w czwartek urządziłam pożegnalną kawkę. Tak mi doradzono, nie było czasu na pieczenie w domu i w cukierni zakupiłam stos pączków i chrustu. Była czarna kawa i likiery. Dwa rodzaje, Souverain i Pipperment, oba Baczewskiego. Zebrało się kilkanaście osób, naturalnie z Leokadią i starym doktorem na czele. Nie wiadomo po co, przyplątał się nawet Faustyn Kruczek. Przyszedł nie proszony, zachowywał się mniej więcej bez zarzutu. Trzymałam się doktora Michalskiego i jakoś osoba doktora nie ośmieliła Kruczka do nawiązywania ze mną rozmowy.

W niedzielę odbyło się poświęcenie naszego nowego mieszkania. Doktor zadysponował galowy obiad z winem, my wystąpiłyśmy u siebie z czarną kawą i likierami.

Mieszkanie jest pierwsza klasa. W moim pokoju znalazła się normalna, mała leżanka przykryta starym dobrym dywanem w taki sposób, że dywan opada z leżanki na podłogę i tworzy przed nią coś w rodzaju dywanika. Nowością dla mnie jest również bardzo miły pięcioramienny świecznik u sufitu. W pokoju Leokadii doktor kazał odmurować drzwi do klatki schodowej i w ten sposób Leokadia, niezależnie od wejścia z korytarza, dysponuje oddzielnym wejściem wprost ze schodów. W swoim czasie nie zauważyłam tej możliwości, ponieważ na drzwiach od strony pokoju była ustawiona dziecinna szafa.

W środkowym pokoju - naszym wspólnym - stoją zupełnie nie znane mi mebelki. Garnitur w czarnym drzewie, kryty ciemnopąsowym pluszem. Kanapka, dwa fotele i cztery krzeselka. Stół okrągły na słupku z czterema nogami-łapami, silnie rozłożonymi u spodu. U sufitu staroświecka ampla z drobnych kryształków. Przy oknie portiery w tym samym stylu, pąsowe, z czarnymi sznurami. Całość wygląda niezwykle poważnie i nobliwie. Prawdziwy perski dywan. Jakoś nie wypadało, nie miałam okazji wypytywać się o pochodzenie tych mebli, których dotychczas nigdzie nie widziałam. Może są własnością Leokadii? Zresztą i tak się dowiem. W każdym razie salonik jest do naszego wspólnego użytkowania. Do przyjmowania gości, którym już nie będzie trzeba prezentować łóżka.

W moim pokoju książki znalazły nareszcie przyzwoite pomieszczenie na półce ustawionej tuż obok biureczka.

W tym miesiącu mam przed sobą dwa bale i imieniny ciotki Katarzyny. Oni w Bydgoszczy odłożyli obławianie sklepu Józinków do imienin ciotki. Trzeba będzie pojechać na jeden dzień, już wszyscy troje mamy zaproszenia. Leokadia przyrzekła ze względu na doktora, Zośka przyjedzie również. Pojadę, stracę tylko jeden dzień, piątek, mało wykładów.

Ale nie chcę nocować. W dwa dni później bal prasy w Zamku, trzeba będzie dobrze wyglądać.

Niedziela - 8 lutego

List od Zośki, mam koniecznie przyjechać do Bydgoszczy, podobno pisał ojciec.

Trzeba kupić solidny prezent dla ciotki, sama nie wiem co. Pochodzę po sklepach, może coś doradzą. Chociaż zazwyczaj kupcy przy takich okazjach starają się pozbywać swoje lager-hüttery po najdroższych cenach. Wiem, nie na darmo jestem kupiecką córką. Należy unikać również wszelkiego rodzaju wyprzedazy i białych czy innych tygodni, wówczas pozbywają się ze sklepu wszystkich szumów...

Na wczorajszym balu podobał mi się pewien kapitan. Wysoki, z czarną czupryną i ciemnymi oczyma. Wspaniale tańczył. Imponujący, pięknie przeginał w tył głowę podczas tańca. Naturalnie nie poznałam go. Był otoczony rojem ślicznie ubranych dam. Niemal że biły się o niego. Podobno jakiś kurlandzki baron z pochodzenia, bez majątku i mocno w długach. Ale kobiety zawsze są głupie i lecą na takie rzeczy. Co prawda długi - to kwestia posagu, i co baron, to baron... Ale ja nie myślę dobijać się o takiego męża. To trwa krótko, a później znów nowe długi i nowe kłopoty. Poślubne kobietki pana męża... Lepiej wybrać coś solidniejszego. Małżeństwo to raczej pewnego rodzaju spółka do urządzenia sobie gospodarstwa domowego w sposób możliwie najwygodniejszy. Miłość - to Faustynek, który pada na kolana i gada głupstwa. Namiętność - to moja Zośka i jej przygody na trasie podróży handlowych. Na miejscu w Wąbrzeźnie byłoby jej znacznie trudniej, tam wszyscy wszystko wiedzą i widzą. A Stefcia? Tak, ale to tylko ekspedientka.

Dziecko. Właściwie dziecko, takie czy inne, to wszystko jedno. Na świecie jest tyle dzieci nieznanymi rodziców, w Polsce rodzi się, jak to klarował Marcin, sześć procent nieślubnych dzieci. Co piętnasty człowiek w takim razie jest bękartem. A wśród tego istnieje niezmiennie moralność forsowana przez Kościół i religię, to znaczy przez religię Kościoła, bądźmy dokładni. Przecież nie ludzie stworzyli tak zwaną opinię, tylko wytworzyły ją nawarstwienia pojęć o etyce i moralności. Pojęcia powstały zresztą w naszym klimacie i mocno dogodne dla naszego ustroju społecznego. Bierze w tym udział w najlepszym razie jedna piąta ludności całego świata. A pozostała reszta gwizdże na te pojęcia, które nas od dziecka uczono szanować i otaczać jakąś aureolą obrazkowej świętości. Ale to tylko dziedziczna tresura. I po co tyle o tym myśleć? Na pewno w życiu naszego ojca była niejedna Stefcia, może nawet - i niejedno dziecko nieślubnej trudno dopytywać się o to, sprawca i tak by się nie przyznał. Mnie się takie dziecko nie zdarzy. Skrobanka - to problem trzystu złotych i odrobiny uwagi, aby tego dokonać w porę.

Ciekawe, że to ja właśnie rozważam takie zagadnienia. Ja, która, jak dotychczas, byłam jedynie widzianą na cudzych przedstawieniach. Ale ja jestem zimna, mówi to nawet Zośka. Mogłabym się co prawda oddać Faustynkowi, a potem dopiero wyśmiać jego propozycje małżeńskie. Ale to byłby tylko pomysł powieściowy, niebezpieczny nawet z takim typkiem, myślącym na serio, jak pan Kruczek. Brrr... Kruczek. Nie wydołałabym nawet, gdyby był hrabią lub księciem. Kruczek - to dla mnie typ fizycznie niemożliwy.

Czwartek - wieczorem

Do Bydgoszczy jadę jutro rano o szóstej, właściwie jedziemy w trójkę: doktor z jakąś broszką po swej nieboszczce żonie, Leokadia z azalią, ja z kryształową wazą. Nic mądrzejszego nie umiałam wymyślić. Wracamy tego samego dnia, późnym wieczorem, coś koło godziny drugiej w nocy. Leokadia musi być w biurze, a na lekarza oczekują pacjenci.

Wtorek - 17 lutego

Wszystko po kolei. Józinkowie wysadzili się. Było koło dwudziestu osób. Ciotka w swoim żywiolu - niemal odmłodziła Sklep wygląda solidnie, wyrzucili staroświeckie półki, donajęli w tyle pokoik na magazyn i w sklepie nie przygniata klientów nadmiar towaru. Stosują psychologię w sprzedaży - skąd takie wyrażenie w ustach młodego Michalskiego? Zośka mówi, że interes pójdzie, dobry punkt. Podobno starzy właściciele plują sobie w brodę, że tak tanio sprzedali. Wyrażenie ciotki. Mela jest w sklepie taktowna i uprzejma. Józinek spoważniał, tak twierdzi jego ojciec. Ale ojcowie zawsze widzą ideały w swych synach.

Bydgoszcz jest nieważna.

Bal prasy wypadł wspaniale. Podobno jest to najbardziej okazały bal w Poznaniu, posiadający już ustaloną tradycję. Na tym samym Zamku, gdzie mamy wykłady i seminaria. Tylko w innym końcu. Moja różowa sukieneczka wyglądała bardzo skromnie. Mówią, że młodość stroi, ale w oczach tej mojej młodości ćmiło się od brylantów i butonów wiejskiej arystokracji. My, kupcy, nie posiadamy takiej biżuterii. Za te brylanty można by spłacić sporo wiejskich długów. Cóż, kiedy oni wolą mieć jednocześnie brylanty i długi - chwilę efektownego olśnienia i kłopoty. Równocześnie posiadają swoje herby, które obnoszą po świecie razem z długami. Ale za długi nie siedzi się już dzisiaj w więzieniu, a herby długo jeszcze będą oddzielać jednych i drugich trudną granicą, nie do przebycia, ponieważ martwą i skostniałą w swojej istocie. Przybysze z tamtej, kupieckiej strony to zawsze tylko intruzi, którym udaje się przemycić za pomocą złotego klucza. W dodatku gdy z takim intruzem wciśnie się naprawdę dużo pieniędzy...

Koniec z balami w tym roku. Na przyszły rok trzeba będzie lepiej się przygotować. Moje tegoroczne bale - to były tylko stojące miejsca na galerii.

Trzeba wspomnieć również o rzeczach innych. O kawałku chleba. Zośka domaga się, abym przyjechała do Wąbrzeźna na cały tydzień i zastąpiła ją w kierowaniu sklepem. Ojciec napisał z Krynicy, że możemy spodziewać się go dopiero w połowie kwietnia. Podobno jest niewesoło z jego zdrowiem i wzywa Zośkę do Krynicy w celu omówienia bieżących interesów. Pelasia nie nadaje się do zastępstwa, a Tuchołka w dodatku zabrania żonie zajmować się sklepem. Zresztą dzieci chorują, tym razem obie bliźniaczki na raz. Zośka ma dać znać, kiedy wypadnie mój dyżur w bławatach, pewnie gdzieś koło piątego marca. Nie wykręcę się od tego. Zośka mówi, że to leży w naszym wspólnym interesie, personel jest podobno mocno zdemoralizowany. Przypuszczalnie sprawa Stefci ujawniła się. Najlepiej byłoby przyjąć nowych ludzi. Teraz wszędzie zwalniają. Zwolnieni wynieśliby się z Wąbrzeźna, gdzie o pracę jest bardzo trudno, i od razu byłby spokój. Nowi ludzie staraliby się inaczej - w trosce o swoją skórę. Muszę pomówić na ten temat z Zośką. Trzeba byłoby zrobić trochę porządku i odświeżyć sklep Jamborów, jest okazja. Tymczasem przez dwa tygodnie nie chcę myśleć o niczym innym, tylko o skryptach. Jest tego bardzo dużo. Ekonomia - to nie matematyka, gdzie można odpowiadać monosylabami i jest dobrze. Ekonomia - to szkoła gadatliwości. Lekturę zabiorę z sobą do Wąbrzeźna, samotne wieczory będą długie.

Zapomniałam dodać, że na imieninach ciotki Katarzyny zjawił się stryjek Józef z Gdańska. Bardzo się podobał mojej Leokadii, mówi, że to prawdziwy wielki kupiec, a nie jakiś kupczyk, aluzja odnosiła się do Józinka - byliśmy same.

Stryjek oglądał sklep bardzo dokładnie i powiedział: - Dobrze. - Józinkowie byli z tego zadowoleni, zrobiło im to dużo przyjemności. Stary doktor zapraszał stryjka Józefa do nas, to bardzo ładnie, gdy wszyscy w rodzinie trzymają się razem. Ciotka traktuje mnie zupełnie inaczej niż dawniej. Powiedziała:

- Już tylko rok i parę miesięcy, Anno, już blisko do końca. Nie potrzeba cię namawiać do wytrwania, dyplom masz prawie w garści.

Stryjek wspominał o obietnicy danej jego bratu, że przyjadę na wakacje do Działdowa. Pewnie, że przyjadę, zobaczę znów mój pokoik ze złoconymi bambusami. Ale przedtem zrobię sobie jakieś małe wakacje. Gardenowie zapraszają na Wielkanoc do Gdańska. Sama

nie wiem. Może jednak w Wąbrzeźnie, skoro ojciec zostanie na święta w Krynicy? Zobaczymy, jak się to wszystko ułoży. Stryjek zapraszał na swoje imieniny do Gdańska, ale sam chyba nie wierzył w możliwość takich wędrówek dla studentki. Naturalnie popiera żądanie Zośki zastąpienia jej w sklepie. Interesy zakupów wiosennych wymagają co najmniej tygodniowego objazdu dostawców i Zośka zgromadziła już potrzebne zapasy gotówki. Stryjek ofiarowywał się z gotowością kredytu, ale może się obejdzie, mimo że ojciec podobno bardzo głupio postąpił z tymi kupnami w Grudziądzu. Dom jak dom, ale place są nie wykorzystane i w dalszym ciągu koło stu tysięcy długów. Trzeba płacić procenty i jakieś raty, o których Zośka ma dowiedzieć się od ojca dopiero w Krynicy. Obawiam się, aby nie powtórzyła się dziadkowa spekulacja domami po wojnie. Ale ojca żarła ambicja, zapragnął jeszcze większej kamienicy niż spadkowa po dziadku. I masz diabła pociechę! Pragnął pokazać braciom: a ja mam dom własny, bez wyczekiwania na jakiś spadek. Głupstwo.

Środa popielcowa

Smutny dzień. Byłam w południe w kościele i dopełniłam ceremonii. Popiół - to przypomnienie śmierci. Grossvater Jung twierdzi podobno, że człowiek winien być przygotowany do śmierci za pięć minut, a równocześnie urządzać się tak, jak by miał żyć tysiąc lat. Zbyt poważna filozofia dla mnie. Protestancka filozofia rada odmawiać modlitwę przed każdą czynnością, a gotowa zmrozić swym zimnem każdą radosną chwilę w życiu człowieka. Ortodoksja smutku. Śmierć i tak przyjdzie do każdego z nas, to prawo nieubłagane, nie należy jednak wszystkich poczynąń w życiu rozpoczynać od takich smutnych haseł. Na śmierć zawsze będzie czas. Nawet gdy przyjdzie w momencie niepożądanym.

Całe szczęście, że środa popielcowa zdarza się w kalendarzu tylko raz w roku.

Niedziela - 1 marca

Meble w naszym wspólnym saloniku są własnością Leokadii. Kazała przysłać je z Leszna, tam podobno gospodaruje jej starsza siostra, wdowa. Nie pytałam o nic więcej.

U doktora mieszka się znakomicie. Nie odczuwam przymusu czy też jakiejś sztywności, jak tego doświadczałam w pokoiku na Młyńskiej. Wpłaciłyśmy obie z Leokadią na początku miesiąca po dwieście złotych, to samo wpłacił doktor, zobaczymy, z tego wypadnie. Doktor prosił Leokadię, aby się trochę zajęła rozliczeniami z naszą gospodynią. Ona zna się na tym i nie odmówiła prośbie naszego przyjaciela. Gospodarstwo jest duże, w sprzątanii pomaga rodzina dozorców. W godzinach przyjęć urzęduje w mieszkaniu pielęgniarka w białym fartuchu. Wspólny pokój stołowy, staramy się jadać wspólnie, to zawsze dla nas przyjemniej, wygodnie dla kucharki. O ile naturalnie udaje się to ze względu na rozkład naszych zajęć.

Wiadomość nieprzyjemna: panu Kruczkowi wypowiedziano w banku posadę. To może go załamać, ponieważ podobno nie ma szans na uzyskanie posady w Poznaniu. Niewątpliwie wciągną go na czarną listę. Wszystko z powodu głupiego pomysłu z propozycjami obniżenia pborów zamiast zwolnień. W banku zrobiło się zamieszanie i nic dziwnego, że sprawcy wypowiedziano. Ma, do czego dążył. Tłumaczyłam mu ten nonsens podczas przyjęcia u Emilki. Marzec, kwiecień i maj. Leokadia mówi, że dyrektorzy zamierzają wypłacić mu z góry pensję za trzy miesiące, aby nie buntował pracowników. Wypłacą i każą się zaraz wynosić. To musi być przykre dla pracownika, gdy z nim tak postąpią. Prawdziwy policzek moralny, tym bardziej, że niektórym ze zwolnionych mogą jeszcze cofnąć wypowiedzenie przed zakończeniem trzymiesięcznego okresu.

Faustyn Kruczek postąpił wobec mnie dość nieszczególnie, ale ostatecznie nie biorę mu tego za złe. Każdy próbuje w życiu tak, jak uważa, że może być lepiej. Kruczek próbował i nie udało mu się. Na loterii także nie wszyscy wygrywają. Chociaż na co liczył, oświadczając się? Może on naprawdę wierzy w swoje zdolności? Na razie nie bardzo mu one pomagają,

skoro wylali go nawet z tak lichej posady w banku. Najlepiej byłoby, gdyby się wyniósł z Poznania. Tylu studentów mieszka i pracuje poza Poznaniem, dojeżdżają tylko na egzaminy. Prawo to tylko wykucie na pamięć pewnego, bardzo ograniczonego zresztą materiału. Można by wyuczyć się tego jak papuga lub na pamięć, jak wierszyków w dzieciństwie. W prawie nie ma żadnej filozofii ani spekulacji. Z filozofii prawa jedynie pobieżne polizanie rozdziałów, a z kodeksów wyznanie się w tematyce grup pojęciowych. Sto czy dwieście ważniejszych paragrafów, to jakby owe Habakuki i Jeremiasze ze Starego Testamentu. Gdy komu potrzeba, każdej chwili może zajrzeć do odpowiedniego tomu czy paragrafu. Bujda pamięciowa i nic więcej. Reszta na wycucie i otumanienie jeszcze głupszego od siebie sędziego czy adwokata. I stąd właśnie owo tak zarozumiałe pojęcie: *dura lex sed lex*. Ładne mi prawo czy sprawiedliwość, skoro są ślepe. Bogini z zawiązanymi oczami. W rękach ślepy miecz i szale wagi, na których nie może zważyć, skoro nie widzi. Nonsens. W wytłumaczeniu: bezstronność, ano niechże i tak będzie...

Wszyscy popełniliśmy coś w rodzaju gafy, zapomnieliśmy o imieninach Faustyna Kruczka. Było to akurat w okresie balu prasy. Mała rzecz, ale trzeba było przesłać mu życzenia, bodaj przez Leokadię. Chociaż może i lepiej, że się tak stało, bo i czegoż mu życzyć w okresie utraty posady? Chyba tego, by zmądrzał - a to znów nie wypada...

Wtorek - 3 marca

Otrzymałam telegram od Zośki, mam zaraz przyjechać. Jadę dzisiaj nocą. Strata całego tygodnia. Muszę napisać jeszcze serdeczne życzenia, jutro są imieniny Kazi w Katowicach. Jakoś urywa się z Warszawą. A może oni mają również jakieś kłopoty? Kto ich nie ma w dzisiejszych czasach.

CZEŚĆ TRZECIA

OSTATNI ROK - KOCHANKOWIE

Marzec 1931 - wrzesień 1932

Niedziela - 8 marca

Zostałam samiuteńka w Wąbrzeźnie. Na pomoc Pelasi nie ma co liczyć. W marcu - niedobre powietrze dla dzieci. Zośka powtórzyła zeszłoroczny kawał Maksia. Wprowadziła mnie do interesu przed południem w czwartek i tego samego dnia wyjechała do Łodzi. Już od dwóch dni jestem sama w sklepie. Z metrem coś nie za bardzo. Według mnie w naszym interesie jest obecnie za duży personel, stara metoda, by klient nie czekał ani minuty. I tak nie pójdzie do konkurencji, ponieważ tylko u nas jest duży wybór. Na naszych wystawach jest czasami więcej towaru niż w którymś z konkurencyjnych składów! Cztery sprzedawczki, trzech ekspedientów, krawiec do poprawek, woźny, praktykantka i stara buchalterka, która równocześnie prowadzi mniej ważną korespondencję. Nikt z tego bractwa nie umie porządnie pisać na maszynie, mimo że wszyscy stukają jednym palcem po klawiszach. W składach ponadto magazynier i pomocnik, furman, para koni i rodzina stróżów. Czy ja wiem? Nie znam się na tym interesie. W dodatku prawie połowa klientów bierze towar na kredyt, płacą, kiedy chcą. Tak mnie się wydaje. Ale Zośka mówi, że zawsze tak było, ponieważ w ten sposób związuje się klientów z naszą firmą. W tym głupim miasteczku są jeszcze trzy sklepy ze szmatami. Brudna konkurencja, ponieważ gdy nie mają gotówki, sprzedają po cenie kosztów. Nie rozumiem, jak się kręcą takie małe sklepiki, ale Zośka znów mnie pouczyła w tym względzie, że jeżeli taki mały kupiec zabrnę w długi, to dostawcy dają mu w dalszym ciągu towar na kredyt, tylko tyle, że żądają lepszych zabezpieczeń. Wówczas bank szwagra Tuchołki ma pole do popisu, a hipoteka trochę pracy, interesy się zająbiają i wspólnie kręcą. Mnie się wydaje, że ogólne saldo wszystkich mieszkańców tego miasteczka jest mocno ujemne. Ale co to mnie obchodzi? Gdyby to zależało ode mnie, rozliczyłabym się z klientami

i sprzedawała cały kram za gotówkę, tanio, byle pręcej i od razu. Później można by gotówkę uruchomić w Warszawie w znacznie korzystniejszych interesach. Ale Zośka znów wsadza w moje pomysły swoje trzy grosze doświadczenia i mówi, że nasz interes bławatny posiada skomplikowane powiązania i nie można by tego wszystkiego tak szybko zlikwidować i upłynnić. Ale dość o tym sklepie, który już po trzech dniach staje mi kością w gardle. Ja nie nadaję się do bławatów, mimo że to jest taki „delikatny” interes. Mówią, że czysty, ponieważ nie brudzi; dziwne pojęcie, a pieniądze to brudzą?

Wczoraj zlatywali się do naszego sklepu różni znajomi. Może myśleli, że najmłodsza Jamborówna wróciła do domu w charakterze dodatkowej ekspedientki? Zimno przyjmowałam te wszystkie odwiedziny. W ogóle do wszystkich w sklepie odnoszę się chłodno, nawet do naszej kucharki czy gospodyni. Jeszcze nie rozgryzłam tego typu. Taka sobie pani w średnim wieku, jeszcze wcale, wcale... Na pewno wiedziała doskonale o stosunku ojca do Stefci. Miała być może wrażenie czy nadzieję, że nawiąże ze mną poufałe stosunki, lecz omyliła się. Ja jestem panią, a ona - w rodzaju służącej. Stosunki bez poufałości, zwłaszcza w naszym obecnym, dość głupim położeniu. Najchętniej przyjąłabym nowych ludzi.

Dla klientów jestem uprzejma, lecz nie nadskakująca. Traktuję ich podobnie jak urzędnicy bankowi swoich klientów. Z rezerwą. Już zdążyłam obejrzeć nasze księgi handlowe. Buchalterka dość niechętnie przyniosła mi je do kantorku ojcowskiego. Zasiadłam naturalnie w fotelu ojcowskim. Było to w okresie słabego ruchu w sklepie, normalnie wysiaduję miejsce Zośki w kasie. Podobnie jak w Brodnicy, zjawiłam się w sklepie z biurową teczką i w ciemnym kostiumie, fason zbliżony do męskiego. Czarnego kitla nie założyłam, szef firmy nie chodzi w takiej liberii.

Przedsiębiorstwo ojca dało w zeszłym roku dokładnie 38 tysięcy 642 złote i 17 groszy czystego dochodu. Nieźle. Na razie nie badałam więcej. Oburza mnie tylko ponad dwadzieścia tysięcy u dłużników. To są bieżące, tegoroczne zadłużenia kupujących, nie umiałam sama znaleźć odpowiedzi co do reszty dłużników, nie chciałam stawiać pytań. Po powrocie zaindaguję Zośkę o całość tych spraw.

Ciekawa jestem, w jaki sposób ekspedienci kradną. Niby towary są policzone, lecz wszystko prowadzi się staroświeckim sposobem, bez kartotek. A może ojciec sprzedaje oprócz tego poza buchalterią? Na razie nie będę tego dociekać. W każdym razie sprzedaje się bez wypisywania kwitów do kasy, sama zaś kasa prowadzona jest „rodzinnym” systemem, na nieporządnym kartkach. Dopiero ogólne pojęcie: dzienny utarg - jest wnoszone do buchalterii. Ale tego dokonuje już sam ojciec lub w jego zastępstwie moja siostra. Ano, ano.

Dzisiaj byłam na obiedzie u Pelasi. Szwagier w stosunku do mnie zachowuje się bez zarzutu, zaprzestał dawnego nabierania i traktowania jak pensjonarkę. On jeden z całej rodziny wypytywał mnie o studia, zna niektórych profesorów i widać nawet, że czyta książki, które zakupił i z których tak wyśmiewano się w rodzinie. Widocznie Piotruś jest w swoim żywiole i natrafił na właściwy grunt do działania. Dowód, że dotychczas nie wylali go z banku. Mówił ogólnikowo, że obecnie ma inne propozycje i zamierza wynieść się z Wąbrzeźna. Powiedział mi nawet bardzo rozsądnie, że gdzieś do innego, nowego miasta przybędzie nie jako Piotruś Tuchołka, którego zna każde dziecko, ale już jako dyrektor Tuchołka. Nowe warunki i nowe życie od samego początku wiele znaczą. Bardzo mądre słowa. Doświadczyłam tego na własnej skórze, gdy porzucałam Bydgoszcz, gdzie wszystkie łobuziaki na ulicy Nakielskiej wołały za mną: Anna, Anna, Anna. Gdy niedawno bawiłam w tej samej Bydgoszczy na imieninach ciotki, nikt za mną nie wykrzyknął: Anna, jedynie parę poważniejszych osób grzecznie się uśmiechnęło i powitało. Co prawda bardzo bogato wyglądałam w mym futrze i z lisami, może myśleli, że wyszłam dobrze za męża na wsi i że jestem już dziedziczką.

Wiele razy rozmyślałam nad tym, co to jest małżeństwo. Obecnie coraz częściej zastanawiam się nad tym problemem. Ustaliłam z góry, że małżeństwo to tylko interes

określonego rodzaju, loteria wreszcie, gdzie do wygrania jest pozycja towarzyska. Dwa pokoje z kuchnią i biedą, trzy pokoje z łazienką i kupowaniem mebli czy ubrań na raty, to samo z kłopotem przy marzeniach o fortepianie czy samochodzie, ciułanie w końcu na kupno małego domku z ogródkiem i różami na starość czy willi adwokata lub lekarza. Majątek ziemski z długami i brylantami lub tylko z długami i zgryzotami bankowymi w okresie płacenia procentów - lub taki sam majątek z hipoteką czyściutką jak łąza, bo i takie wyjątki zdarzają się na świecie. Jakże wielki jest wachlarz różnych możliwości dla młodej dziewczyny. A wszystko zależy od tego, kto upadnie na kolana przed nią! Chociaż co do mnie, to wolałabym raczej amerykańskie oświadczyzny przez telefon: halo, Anno, może się pobierzemy? Jak wiesz - posiadam willę z pięknymi meblami, sześciocyfrowe konto w banku, dwa samochody, szkatułkę z drobiazgami biżuteryjnymi, dobre stosunki z ludźmi, grono interesujących znajomych, twarz podobną do czegoś, nie nazywam się Faustyn Kruczek, nie dłubię w nosie, mam przyjemną rodzinę; matkę jak twoja babcia Anna, ojca jak stary doktor Michalski, cztery siostry, jak Florencja, Kazia, Herta i Elfryda, braci jak Marcin, Paweł, Józef i Michał. Posiadam gładkie obejście, jestem czytany, podobają mi się bohaterowie z sagi rodu Forsytów, jestem usłuchany, nie uparty, nie posiadam nałogów, zawiadomię cię, gdy będę dobierał sobie kochankę, umiem tańczyć, nie depczę w tańcu po palcach i tak dalej. Nie chrapię, ale dość już tego, to trąci wygłupianiem się.

Ale tak myślą właśnie młode dziewczęta. Mimo że te szczegóły nie przychodzą im na myśl od razu i wszystkie razem, lecz powoli, podczas różnych okazji - zazwyczaj nawet gorzej, ponieważ dopiero po ślubie...

Problem przyjaciela. Również nie do pogardzenia w małżeństwie. Pocięcha w starości, gdyż sam brydż nie wystarcza, trzeba chociażby móc z kimś omówić te rozgrywki, które już były. Nikt nie gra w brydża rano, a właśnie o tym czasie każdy z nas, po obudzeniu się, otwiera oczy i nadśluchuje: co się zdarzy właśnie dzisiaj? No, ale pewnie łatwiej jest o kochanków. Kobieta, gdy posiada odrobinę rozumu, może sama regulować te problemy. Raczej w jej rękach spoczywa zawsze klucz do związywania i rozwiązywania przygód. Co prawda nie jest w zwyczaju porządnych kobiet mówić pierwszej: chodź, podobasz mi się, ale zawsze jest tysiąc sposobów, by osiąść mężczyznę. Chłopcom jest trudniej - ci muszą starać się o dziewczęta, by je zdobyć. Dziewczęta chcą lub nie chcą.

Trudno, bardzo trudno jest z tym małżeństwem. Leokadia posiada dużo warunków do wyjścia za mąż, a jednak uprościła sobie życie, wybierając z małżeństwa tylko to, co ją - powiedzmy - interesuje. Dobrze czy źle, ale ostatecznie, co komu do tego? Zośka to samo, tylko w sposób mało subtelny, za to bardzo przemyślny. Irenka na prościutkiej drodze do religijnego nieba i bez przeszkód w dalekim Wilnie. O jednej tylko Florencji niczego nie mogę powiedzieć, Kobieta w dobrej trzydziestce wiosen i jesieni. Kobieta chłodna, lecz z wdziękiem. Mój własny ideał. Jak dotychczas, przybliżyłam się już nieco do mojej Florencji wewnątrz. Zamiast chłopcom oddaję się na razie moim własnym myślom, które mnie szlifują dzień po dniu. Czynią ze mną daleko więcej, niżby to było miało miejsce z powolnym obciosywaniem mnie przez złe losy i biurowe siekiery w Bydgoszczy i na ciotczynym łonie przy ulicy Nakielskiej. No i obecnie byłabym może... pracownicą do wszystkiego... w konfekcyjnym sklepiku młodych Michalskich.

Czwartek - 10 marca

Dzisiaj upłynął tydzień od mojego wyjazdu z Poznania, Zośka nie daje znaku życia. W sklepie boją się mnie i zaraz cichną rozmowy, gdy wychodzę z mojej klatki. Nie jestem lubiana, nie zachęcam ludzi do siebie. To dobra metoda wychowawcza wobec pracowników. Dobroć szefa bywa wykorzystywana przez personel jako objaw słabości. Ze względów taktycznych nie zwracam uwagi na różne fatalaszki, które mogłyby się przydać w moim kobiecym gospodarstwie. Te same rzeczy można kupić w innych sklepach. Tutaj, w

Wąbrzeźnie, trzeba zostawić u pracowników ojcowskiego sklepu opinię, że Anna Jambor - to zimny drań. Cieszyłabym się, gdyby tak o mnie mówili. Wolę to niż donosicielstwo i przypochlebianie się. Trzeba oziębic sytuację powstałą po aferze ze Stefcią.

Sobota - późnym wieczorem

Co, u diabła? Od Zośki ani znaku życia, jedynie nadchodzą masy wiosennych towarów, niektóre dla pośpiechu bagażem.

Niedziela - 15 marca

Obiad jadłam w moim pokoju. Zadysonowałam tak wczoraj rano i uczyniłam to głosem wykluczającym sprzeciw. Co się dzieje z tobą, dziewczyno? Gdzie podziała się twoja dawna miękkość i nieśmiałość? Ale podkreślam w ten sposób wobec siebie samej, że nic nie mam wspólnego z tym domem, z tym mieszkaniem. W pokoju - wypełnionym moimi własnymi meblami - jestem u siebie. Jest pociecha, że będę umiała przepychać się kiedyś przez życie. Nie pozwolę się potrącać, prędzej ja kogoś potrącę. Jestem zła. Mam własne interesy w Poznaniu, a tutaj muszę tkwić w sklepie i uśmiechać się codziennie do paru tuzinów ludzi. Tfu! Nie mam w sobie talentu na kupczyka czy bławatną kupcową. Już daleko więcej interesuje mnie stryjowski handel zbożem. Cedulę giełdową można czytywać niczym pociągający romans, każde dziesięć groszy różnicy w cenie - to dwadzieścia złotych zysku lub straty na wagonie. Do bławatów natomiast potrzeba jedynie metra do mierzenia, gdy zjawi się w sklepie kupujący; w zbożu potrzebna jest orientacja, szybka decyzja, dowcip i trochę szczęścia. Najgorzej zaś, gdy w sklepie zjawi się jakaś znajoma rodzina, adwokatowa czy inna, w celu kupienia kilku metrów tasiemki lub paczki zatrząsków. Co ta Zośka wyrabia?

Poniedziałek - 16 marca

Nareszcie! Zośka przyjechała dzisiaj nad ranem. Jutro wracam Poznania. Jadę dniem, szkoda zdrowia.

Piątek - 20 marca

Urodzaj na gości. Zwalili się na raz obaj stryjowie z Pomorza i Maksiu. Stanęli już wczoraj w nocy w „Continentalu”, ale dopiero dzisiaj dali znać o sobie. Szykuje się sporo nowości, szkoda, że tak krótko, ale jadą do Grudziądza. Podobno nasza Herta już „na ostatnich nogach” i przyszły dziadek pragnie być na miejscu.

Niedziela - 22 marca

Piszę, jak zwykle, w nocy. Goście już odjechali i nareszcie będę mogła powrócić do nauki. Chociaż nie żałuję tego zamieszania. I tak zdam egzamin, tylko tyle, że gorzej niż poprzednie, ale to ostatecznie nic nie szkodzi. Nie będę przez to głupsza! Człowiek uczy się przez całe życie, a w szkołach uczą jedynie prostej tabliczki mnożenia; dwa razy dwa jest koniecznie cztery! Z reszty przedmiotów pozostaje z czasem w głowie tak mało. Ja sama, zapytana dzisiaj o logarytmy czy całki, niewiele miałabym do powiedzenia na ten temat. Wywietrzało. Tyle, że mniej więcej wiem, o co chodzi, i w najgorszym razie umiałabym zorientować się jeszcze w szkolnym podręczniku. Ale na suchy kawałek chleba nie mogłabym zarobić za pomocą tych logarytmów, które w szkole były postrachem dziewczynek z warkoczami. Ponadto w życiu jest znacznie łatwiej dygać przed pampsorami niż zarobić pierwszy tysiąc w ten czy inny sposób.

Ja już to wszystko mam za sobą. Pampsorów, egzaminy, a nawet pierwsze dwa tysiące, jeden zarobiony za współdziałanie w warszawskich kantach, a drugi zdobyty już własną pracą w Działdowie. Tych tam stukilkudziesięciu złotych miesięcznie, płaconych mi jako maszynistce

w bydgoskim biurze, nie wliczam do rachunku. To były jedynie grosze. A potem dyrektor nabrał mnie z pozwoleniami. Pierwsze pozwolenia wypadły mu gratis, przy drugich zapomniał nawet zwrócić mi koszt biletów kolejowych, a dopiero przy trzecim interesie wspaniałomyślnie wysupłał do rąk stryjka „aż” sześćset trzydzieści złotych.

A więc zaczynam od stryjków. Oni kręcą razem jakieś grubsze interesy, opowiadali dużo o zbożu. Podobno lekko idzie w górę. Stryj Józef z Gdańska wkłada w to obecnie dużo pieniędzy, ponieważ w handlu drzewem panuje chwilowo zastój. Sprzedaż drzewa nie kalkuluje się, a stryjkowi nie potrzeba chwilowo gotówki - idzie na przeczekanie do lepszych cen. W dodatku ma za sobą kredyt całej rodziny Gardenów. Oni handlują przeważnie z londyńską odnogą Gardenów. Mają rację, przynajmniej cały zarobek zostaje w rodzinie.

Może to wszystko zrozumieć, gdy się rozkręci interes. Strykowie nawiązali w Poznaniu stosunki z dwoma bankami, w tym z bankiem, w którym pracuje Leokadia. Przy tej okazji nasza trójka wystąpiła dzisiaj z niedzielnym obiadem dla stryjków, którzy byli zachwyceni naszym wspólnym gospodarstwem. Tylko trochę podśmiewali się z układu naszej spółki domowej. Starszy siwy lekarz ze srebrną kozią bródką, piękna dama w niebezpiecznym wieku i coś w rodzaju starszego podlotka z upiętą nad czołem koroną jasnych warkoczy. Pytali - kto płaci za wina i likiery, dowcipni...

Co do mnie, to figurowałam w tym komplecie jako jakaś młodsza krewna, tylko tyle, że bardzo lubiana przez wszystkich. Natomiast Leokadia grała rolę Zuzanny wśród trzech starszych panów. Maksiu się nie liczy, ponieważ jest zakochany w jakiejś pannie z Kongresówki. Strzyjek wspominał o tym tylko ogólnikowo, a sam Maksio, zapytany o to przeze mnie, wybałuszył swoje poczciwe oczy i powiedział:

- Czy ja wiem? Naprawdę sam jeszcze nie wiem.

W każdym razie już tam coś w tym jest.

Ciekawe, że nie odczuwam zazdrości, gdy patrzę na Leokadię. Cieszy mnie jej powodzenie. Czasami zdaje mi się, że jest mi równie bliska, jak na przykład Zośka. Życzę jej dobrze, a to już wiele znaczy w pożyciu kobiet między sobą!

Strykowie coś bąkali o tym, że mam otrzymywać prowizję od ich poznańskich interesów, ale wyraźnie tego nie określili. Będę otrzymywać zlecenia listownie lub telegraficznie i wykonywać je natychmiast. Będzie z tym trochę chodzenia, ale nic więcej. Zależy tylko na terminowym i dokładnym wykonywaniu tych poleceń, nic trudnego, z grubsza poznałam to w Działdowie. Zobaczmy, co z tego wypadnie.

Leokadia podobała się wszystkim trzem panom, królowała przy stole, wszyscy trzej ofiarowali jej kwiaty. Śmieszne, ponieważ ona jest tak samo lokatorem starego lekarza jak i ja! Co prawda Maksiu przyniósł i mnie doniczkę z kwiatkami, ale to było co innego. Doktor Michalski ma już dokładnie 68 lat, strzyjek Józef 52 lata, stryj Paweł jest od niego młodszy o dwa lub trzy lata.

A może moja poznańska przyjaciółka wyjdzie za kogoś z naszych wspólnych znajomych? Wówczas przy stole przyszło mi na myśl, czy nie byłoby dobrze wydać Leokadię za naszego ojca. Interes ze sklepem walnie by na tym zyskał, a ojciec może uspokoiłby się przy takiej żonie. Natychmiast po powstaniu takiej myśli zjawily się przede mną dwa wspomnienia. Przymknęłam na moment oczy i zobaczyłam wewnątrz pokoju oświetlonego różowymi abazurkami. Ale trwało to bardzo krótko, gdyż nagle zjawila się przede mną zjawa pucołowatej twarzy kociaka i usłyszałam głupie słowa, powiedziane nam, córkom lubieżnika:

- A gdy panienki nie było w domu, to pan kazał przychodzić do siebie i nastawiał gramofon.

Chyba byłoby jednak szkoda Leokadii dla naszego ojca. Mnie się wydaje, że raczej pozycją do darowania i zapomnienia jest ów barczysty blondyn niżeli ta smarkata i wulgarna ekspedientka. Kochankowie i kochanki to bardzo różne pozycje w życiu naszych matek i ojców. W tym wypadku wszystko na niekorzyść mojego ojca!

Goście już odjechali. Zrobili wiele szumu i tyle. Z codziennych spraw: ojciec kończy kurację w połowie kwietnia, a do Wąbrzeźna wróci nie zatrzymując się po drodze. Wobec tego nie pojedę na święta do Gdańska, jak to sobie planowałam, a spędzę je razem z Zośką. Siostrze należy się to za tyle trudów podejmowanych za nas wszystkich - uładamy się spokojnie.

Zośka przywiozła z sobą długi rejestr różnych zleceń ojcowskich. Okazało się, że Benon Jambor ma w Grudziądzu różnych dłużników na przeszło 70 tysięcy złotych! Zośka przełamała upór ojca i wszystkie te sprawy zostaną oddane w ręce naszego adwokata. Ojciec co prawda pokłócił się z nim w okresie sprzedaży domu po dziadku, ale Zośka pozostaje z nim w dobrych stosunkach. Jakoś pójdzie, gdy się go poprosi. To zresztą stary przyjaciel naszej rodziny.

Zośka załatwiła również zakupy dla bydgoskiego sklepu młodych Michalskich. W przyszłości ma zabierać z sobą Melę, by się przy niej poduczyła. Józinek bardziej nadaje się do siedzenia w sklepie, ze względu na klientki, do których, jak twierdzi Zośka, wywała gały. Ano będą sobie używali wzajemnie, on na klientkach, Mela podczas swoich podróży handlowych. Zośka twierdzi, że ojciec jakoś spowaźniał i zajmuje się w Krynicy wyłącznie leczeniem. Ma strach przed ciężką chorobą i przed śmiercią. Nie bardzo delikatnie przedstawiała to moja siostra, ale ostatecznie i ja nie mam powodu do specjalnego rozczulania się nad naszym ojcem. Ale niech żyje jak najdłużej i w zdrowiu. Tylko niech nie robi głupstw ze Stefciami - można przecież inaczej...

W ciężką chorobę ojca nie wierzę. Po prostu afera ze Stefcia przyprawiła go o wiele wstydu i Benon Jambor opuścił na kilka miesięcy nasze kochane miasteczko. Gdy powróci, sąsiedzi i znajomi zapomną, a tymczasem w Wąbrzeźnie wydarzy się jakaś inna awantura. Taka sobie zatem dyplomatyczna choroba.

Wtorek - 24 marca

Na uniwerku podoba mi się pewien student z mojego roku. Już kilkakrotnie rozmawialiśmy z sobą o tym i o niczym. O wykładach oraz o balach w okresie karnawału. Ja byłam tylko na trzech, on prawie na wszystkich, na które jego zdaniem było warto pójść. Inny typ od Faustyna Kruczka. Elegancki, z sygnetem na palcu. Również i on nie pracuje, przysyła mi pieniądze z domu. Ma na imię Stanisław. Interesujący, dowcipny, z manierami.

Dzisiaj byliśmy razem w kinie, naturalnie każde z nas za swoje pieniądze. Nie sprzeciwiał się. Tylko w kawiarni wyglądało to cokolwiek dziwnie. Tutaj kelnerzy nie są do tego przyzwyczajeni, przy płaceniu kelner spojrzął na mnie zdziwiony. Ale co to mnie obchodzi?

Wysoki, brunet, z krótko przystrzyżonym wąsikiem. Mało pali. Na ludzi spogląda nieco z góry, po pańsku. Muszę się dowiedzieć, skąd pochodzi. Wnosząc z akcentu - na pewno nie z Poznańskiego, pewnie z Kongresówki, nie śpiewa jak wileński mąż Irenki.

Czwartek - 26 marca

Byliśmy w kawiarni również i dzisiaj. Widziała nas Leokadia i podczas kolacji szepnęła znacząco do doktora:

- Nasza Anna ma kawalera.

Spieklam rumieńca i zaczęłam się wypierać, ale właśnie to było nienajlepiej. Rozmowa zesłała na kawalerów i na panny. Doktor opowiadał nam, jak to było z pannami w dawnych czasach, w jego latach młodości. Opowieści nie z tej ziemi!

Sobota - 28 marca

Franusiowie zjawili się u nas dzisiaj jak meteor. Stanęli w „Bazarze”, w luksusowym apartamencie. Nie wiem, czy się ucieszy ciotka Katarzyna, młoda oblubienica nie jest bowiem

w jej guście. Rzeczywiście - kobieta niemłoda. W kącikach oprawy oczu sporo drobnych zmarszczek, mimo starannego makijażu. Zaprosili nas na obiad do „Bazaru”, my ich na kolację z winem do nas, na Wyspiańskiego. Wyrównało się. Pani Jadwiga zjawiała się w restauracji z butonami wartości co najmniej trzydziestu tysięcy złotych. Na palcach drugie tyle. Tak szacowała Leokadia, ponieważ ona również asystowała przy tej presentation de la richesse.

Dama z wzięciem i umiarem. Znacznie starsza od Leokadii. Tylko tyle, że Leokadia czyni wszystko z naturalnym wdziękiem i bez wysiłku, natomiast nasza pani Jadwiga wydaje to z siebie, jak dobra artystka rolę na deskach teatralnych, Trochę za wiele w tym przesady i afektacji, ale reszta - bez zarzutu, z taką żoną można się wszędzie pokazać bez wstydu. Widać, że pieniądze nie z pierwszego pokolenia. Mówiła sama, a raczej tylko mimochodem wspomniała, że jej ojciec był dawniej właścicielem apteki w Katowicach. Ale było to powiedziane naturalnie, nie na pokaz i tylko przy okazji rozmowy o innych rzeczach.

Na damie znać dobrą pielęgnację urody i stałe abonamenty w salonach piękności. Ma jednak równocześnie dobre maniery pomijając zbyt wielkie butony w uszach podczas zwykłego obiadku rodzinnego w restauracji. Reszta jest również bogata. Dwa futra, karakuły oraz wspańiałe nurki. Przyjechali samochodem - olbrzymi austro-daimler, musi żreć dużo benzyny. Czy nie było lepiej przyjechać sleepingiem? Ale oni widocznie chcieli imponować własnym samochodem i szoferem w liberii. Szofer - Niemiec, a Franuś: Herr Direktor, od razu z buchaltera dyrektor! Nawet w tej samej firmie, w której był buchalterem. Stary mąż i nowy mąż to obecnie dwaj bardzo zgodni wspólnicy! Obaj zresztą mają nowe żony, jak to nazywa po imieniu nasz poczciwy stary doktor. Żona Franusia Nr 1 również wyszła za mąż za swego kochanka. Kobiety, gdy zechcą, zawsze mogą wywijać takie kawały. Ostatecznie to i lepiej, gdy małżeńskie trójkąty i wielokąty regulują sobie w ten sposób swoje erotyczne zainteresowania. Później mogą już na miejscu w domu u siebie wodzić się za łby i poniewierać, jak mawia ciotka Katarzyna.

Wyobrażam sobie występy Franusiów w Bydgoszczy. Obawiam się nawet, czy nasz hotel „Pod Orłem” nie będzie za skromny do pomieszczenia takich gości. Ale to wszystko tylko głupie gadanie, ponieważ pani Jadwiga powiedziała nam całkiem szczerze już po kolacji, przy czarnej kawie i likierach:

- Lubię mojego Franusia za to, że jest taki wesoły. Mój poprzedni mąż - pytanie, który? - miał usposobienie bardzo poważne, nie grał w karty, nie palił papierosów, nie pił wódki i nie umiał tańczyć. Cóż ja miałam z takiego męża, a ja lubię sobie poskakać.

I po wypowiedzeniu tych słów, pani Jadwiga uniosła się z kanapki, na której siedziała, i pocałowała Franusia w czoło. Uczyniła to w sposób niekłamany i szczerze swego powiedzenia posunęła tak daleko, że pozostawiła na czole Franusia miłą pamiątkę w postaci lekkiego odcisku swych ust w modnym kolorze łososiowym. Franuś ma zapewnioną posadę małżeńską, byle tylko się śmiał i byle wypełniał resztę normalnych obowiązków sypialnianych. Wiemy, co mamy na myśli. O tym wiedzą na całym świecie nawet patentowane dziewice z plombą. Właśnie dlatego, że o tym się nie mówi, lecz jedynie szepcze w różnych zwierzeniach dokonywanych w kawiarni oraz w domowych kącikach z szydełkiem lub z drutami w paluszkach.

Jeżeli jednak Franusiowi to jest wygodne, czemuż nie miałyby być również dla nas? Naturalnie oboje zapraszali w odwiedziny do Katowic, a nowa kuzynka powiedziała mi przy pożegnaniu:

- Wiesz co, Anno? Zabierz się z nami na wakacje do Krynicy, zobaczysz, od razu wydamy cię bardzo dobrze za mąż. Mamy w Katowicach sporo znajomych i dużo solidnych partii.

Wierzę, ale nie skorzystam. Jeżeli wyjdę za mąż, dokonam tego na swoje własne ryzyko. Bez pośrednictwa.

Niedziela - 29 marca

Moja sympatia odwiedziła nas po południu. Uprzedził mnie telefonicznie o wizycie. Zachowywał się powściągliwie, podejmowałam go czarną kawą i ciastkami w naszym wspólnym saloniku. Pod koniec wizyty wpadła do nas przypadkowo Leokadia, nie wiedząc o moim gościu. Rozmowa potoczyła się w dalszym ciągu interesująco i w trójkę poszliśmy na ostatni seans do kina. Było bardzo miło. Właśnie przed chwilą Leokadia opuściła mój pokój i powiedziała mi na dobranoc:

- Uważaj, moja Aniu, to bardzo przystojny młodzieniec i można dla niego stracić głowę. Nie wiem, co ty sobie kalkulujesz, ale mnie się nasuwa od razu: albo mąż, albo kochanek. Z kochanka zawsze bywa lichy mąż, a jeżeli dobry kochanek, to nie warto przerabiać go na złego męża. Trzeba się od razu zdecydować, moja droga.

O mało nie zachnęłam się na te słowa, ale Leokadia, która siedziała na brzegu mego łóżka, przygarnęła mnie do siebie i serdecznie uścisnęła. Uczyniła to z umiarem starszej siostry, która dobrze życzy młodszej. Nie czekała nawet na odpowiedź z mojej strony i uśmiechnęła się do mnie. Następnie wyszła i zostawiła mnie z moimi myślami.

Poniedziałek - 30 marca

List od Maksia. Siedzieli do końca w Grudziądzu i przedwczoraj rano Herta urodziła córeczkę. Chrzest odbędzie się później, dziewczynce na imię naturalnie Magda. Chrzestna matka bezkonkurencyjna, Maksio pisze, że następna córeczka będzie moja z imienia i ze chrztu. To bardzo ładnie z ich strony, że o mnie pamiętają. Muszę pomyśleć o prezencie. Ale komu, matce czy dziewczynce? Chyba matce, Herta zawsze była dla mnie serdeczna.

Leokadia zabiła mi klina do głowy. Pan Stanisław jest niemal pierwszym mężczyzną, który mi się podoba.

Środa - 1 kwietnia

Spotykamy się, jak od tygodnia, codziennie.

Wielki Piątek

Koniec pieśni - iluzje skończone. Nie pisałam wczoraj, ponieważ jeszcze dziś czuję się jakby wypompowana z myśli. Historia bardzo krótka. Znacznie krótsza niż w romansach. Od jednej niedzieli do drugiej. Pośrodku był tydzień niewinnych spotkań w cukierenkach. I rozmowy, rozmowy. W drugim tygodniu epilog rozegrał się w jego mieszkaniu. Odwiedziłam go bez wielkich zapraszań, normalnie, by dać świadectwo temu, że jestem samodzielną, nowoczesną studentką. Skończyło się naturalnie również normalnie. Trochę likieru, jakies ciasteczka, papierosy, nowe opowiadania, już tym razem nieco swobodniejsze, i kilka pocałunków. Te, przyznaję, były nawet przyjemne. W Bydgoszczy niejedyn chłopiec mnie całował i uściskał. Ale bez zakończenia. Tymczasem mój ideał męski już po niecałej godzinie bez ostrzeżenia rzucił mnie na tapczan. Początkowo myślałam, że to są takie sobie głupie figle, ale gdy młodzieniec sięgnął śmiało ręką pod suknię, zrzuciłam go z siebie i coś mu tam powiedziałam. Był wzburzony, zdziwienie, a później pospolite odezwanie się:

- Nie? W takim razie po co przyszłaś do mnie?

W milczeniu wpakowałam siebie w futro, nałożyłam na głowę kapelusz i porwawszy w pośpiechu torebkę, szybko i bez słowa wybiegłam z pokoju. Dopiero na ulicy przyszła rozważa i złość. Złość na samą siebie, że uległam namowie i odwiedziłam kolegę w jego mieszkaniu. Ale cóż było w tym złego? Czy to od razu trzeba rzucać się na kobiety, gdy odwiedzają, gdy nadarza się okazja pobytu w pokoju we dwoje?

A może uczyniłam niedobrze? Może właśnie dlatego, że spodobał mi się ten pan Stanisław, trzeba było pójść utartą drogą wszystkich kobiet od stworzenia świata? Może

trzeba było mu się oddać i nareszcie przekroczyć ten urojony Rubikon oddzielający dwa podstawowe okresy w życiu kobiet? Ten czy tamten to w gruncie rzeczy obojętne, a po kilku latach i tak wszystko zaciera się we wspomnieniach. Mężczyzna i tyle.

Koniec Wielkiego Tygodnia - już nie ma wykładów - nie było okazji do zobaczenia go dzisiaj. Mojego ideału w dalszym ciągu, ponieważ obecnie przynajmniej wiem, jak mniej więcej wygląda mój typ męski. Wysoki, brunet, twarz pociągła, rysy regularne, głos o tonacji łagodnej, ściszonej i głęboki równocześnie. Błyskotliwy i narrator. Nie mówiący o jedzeniu i krawatach. Inteligentny i czytany, o miękkich ruchach. Byle tylko bez rzucania mnie na tapczan. To ostatnie można by uzgodnić w inny sposób. Z uśmiechem i po wzajemnym porozumieniu. Ale bez gwałtu. I dlatego chłopiec przegrał. Stawiałam na potencjalnego męża, a wyskoczył tylko normalny chłopak polujący na koleżanki przy niedzieli.

A może to właśnie ja przegrałam? On każdej chwili może mieć głupie, które gładko dokończą gry miłosnej na tapczanie lub rozbiorą mu się, jak nasza Stefcia z Grudziądza. Ale właśnie dlatego: nie! Wypuściłam z rąk kandydata na kochanka. Trudno. Trzeba będzie w przyszłości inaczej to aranżować. Zresztą mam jeszcze dużo czasu. Jeszcze niezbyt rozejrzałam się po świecie.

Niedziela - 12 kwietnia

Już po świętach. Zapomniałam o nich prawie. Były bez wyrazu, ot takie sobie święta i nic więcej. Zośka, pochłonięta interesami, miała zamiar zostawić mnie znów na domowym gospodarstwie, by prysnąć w świat na kilka dni. Odmówiłam, tłumacząc się bliskim terminem egzaminów oraz tym, że w moim trzecim roku ekonomii zaniedbałam się w studiach. Bo też to jest i święta prawda, zbyt wiele było różnych marginesowych wrażeń...

Długie rozmowy z Zośką, ona lubi ugadywać się po nocach. Przychodziła do mojego pokoiku z obrazem naszej praprababki i wślizgiwała się pod kołdrę. Wyznała mi bezwstydnie, że przydałby się jej stały kochanek, tuż pod ręką, w Wąbrzeźnie, ale przynajmniej raz w tygodniu na całą noc. Nie częściej jednak.

A więc to tak? Problem dziewczyny, prawie już trzydziestoletniej, bez męża? Ciało, higiena erotyczna tego ciała, wymagania fizjologiczne lat trzydziestu i przyzwyczajenia, pogłębiające się wobec nieregularnego wyżywiania się z kochankami. Gra nerwów i wyczekiwanie na okazje. Biedna jest ta moja Zośka! Może i ja kiedyś pójde w jej ślady? Kto wie, co mnie czeka.

Ale to wszystko nic. Za dziesięć tygodni koniec trzeciego roku mego uniwersytetu i przedostatni egzamin. Najlepiej zatem rzucić się w objęcia podręczników.

20 kwietnia

Mój ideał nawet nie uśmiechnie się do mnie. Jestem dla niego powietrzem, Zresztą ma już nowe sitko na kołku. Mała, drobna blondyneczka z loczkami koło uszu. Powodzenia! Serce mnie nie boli. Nie włożyłam w to uczucia, jedynie studiowałam jakiś dalszy ciąg wydarzenia filmowego, jednego z tych, jakich się nie wyświetla. Czyżby? Ej, Anno...

Zajmuję się jedynie lekturą ekonomiczną. Na co się to przyda? Balast. Ale nawet czasami okręty ładują taki balast - dla równowagi - w przewidywaniu burz na morzu. W przerwach, gdy się zmęczone, czytam. Dużo czytam. Nie ulegam nawet namowom Leokadii, która co dzień prawie przypomina o konieczności uszycia sobie nowych sukienek.

Wczoraj spotkałam Emilkę i od niej dowiedziałam się, że mój pierwszy konkurent dostał w banku odprawę i laufpas i zaraz wyjechał gdzieś w nieznane. Widocznie pragnie w spokoju przygotować się do egzaminów. Ale obecnie nie obchodzą mnie mężczyźni. W samą porę zabrałam się do pracy, ostatni dzwonek, później mogłoby być za późno. Bardzo dużo pracy. W tym trzecim roku studiowałam nieporządnie.

Środa - 13 maja

Obojętne listy z Warszawy. Zośka w przejeździe do Katowic. Podobno w Grudziądzu przyszło na świat dziecko. Chłopczyk. Zdrowy. Sprawę ma w ręku jakiś młody adwokat i ojca całkiem odsunięto od targów z rodziną matki dziecka. Tak jest najlepiej, mam uznanie dla taktyki. Zośka jest za załatwieniem sprawy jednorazowo, by raz na zawsze odczepić się od Stefci. Podałam myśl, by dziewczynę wydać za męża i w ten sposób przeciąć historię z dzieckiem. Dobra myśl i Zośka przekaże ją adwokatowi. Specjalnie pojedzie w tym celu do Grudziądza. Nasz stary adwokat dusi dłużników. Podobno kryzys i brak gotówki. Cośkolwiek stracimy, ale najwyżej kilkanaście tysięcy. Najgorzej z długiem na realności ojca w Grudziądzu. Tamten wielki dług wisi nad naszymi głowami jak miecz Damoklesa i musimy spłacić całą kwotę, już nam wypowiedzieli - równe 90 tysięcy, a to nie jest fraszka w dzisiejszych czasach. Radziłam, by sprzedać place przyległe do kamienicy, one prawie nic nie przynoszą, a podatki trzeba płacić. Najlepiej byłoby pociąć na części i sprzedać, bodaj tanio. Sprzedać, sprzedać i wyczyścić hipoteki. Kupcy nie powinni mieć zabagnionych hipotek. Ale bądź co bądź po uregulowaniu tych 90 tysięcy dom w Grudziądzu z placami będzie wart jakieś ćwierć miliona złotych, a to już coś znaczy!

Do diabła jednak z domami, które mają hipoteki, i do diabła z lokowaniem pożyczek w małych interesach, które plajtują już przy byle jakim kryzysie. Ale nasz ojciec zawsze lubował się w takich detalicznych interesach.

Wtorek - 2 czerwca

Wiadomość o zgonie męża Leokadii. Wiadomość nadeszła za pośrednictwem adwokata w Lesznie. Dowiedzieliśmy się przy tej okazji wielu nieznanych dotąd szczegółów. Mąż Leokadii istniał w rzeczywistości. Był w swoim czasie znanym kupcem zbożowym w Lesznie, nazywał się Godfryd Braunhold i był starszy od Leokadii. Mieli z sobą jedyną córeczkę, która umarła w ósmym roku życia, po czym małżonkowie rozeszli się. Leokadia powiedziała ogólnikowo, że mieli z sobą umowę na przeżycie, zapisaną na sporej realności, w Lesznie. Obecnie została pełną właścicielką. Rozvodu nie przeprowadzali, nie chciał do tego dopuścić Godfryd Braunhold, który w grudniu 1918 uciekł do Niemiec, sprzedawszy na gorąco swoje przedsiębiorstwo jakiemuś Polakowi. Zagrzebał się gdzieś daleko u swojej niemieckiej rodziny i tylko od czasu do czasu dawał złośliwe znaki życia. Obecnie Leokadia jest wolna. Na wiadomość o śmierci męża dziwnie spoważniała i rzekła:

- Nareszcie skończyło się. Zmora wspomnień odejdzie ode mnie!

Byłam pierwszym człowiekiem, któremu Leokadia zakomunikowała tę wiadomość. Po południu, gdy wróciła z biura, jeszcze przed obiadem, weszła do mojego pokoju z adwokackim zawiadomieniem w ręce i do mnie właśnie wypowiedziała te słowa. Później, jakby odczuła potrzebę ukojenia, objęła mnie i ucałowała w czoło. Mogłabym być jej córką, tak sobie pomyślałam, i w myślach życzyłam Leokadii lepszej i radośniejszej przyszłości. Dawniej nazywała się całkiem pospolicie: Ratajczak i była córką bogatego rolnika z okolic Leszna. W samym mieście miała ciotkę, u której mieszkała w okresie ucześnieństwa do szkół.

Piątek - 5 czerwca

Moja pomyłka życiowa zaczęła mnie dzisiaj przed rozpoczęciem proseminarium historii gospodarczej. Podszedł do mnie w sposób naturalny i bez podawania ręki powiedział:

- Dobry wieczór; pani chyba nie gniewa się na mnie?

Zmrużyłam oczy i odpowiedziałam równie spokojnie i bez najmniejszej afektacji:

- Każdy człowiek postępuje tak, jak umie i jak mu wygodnie.

Udała mi się moja odpowiedź, nie udał się jedynie kochanek.

Jestem zadowolona z siebie - tamto już minęło.

1 lipca

Dzisiaj środa. Wypoczywam. Akurat wypadła mi słabość. Jak na złość - jutro mój egzamin. Czuję się nieszczególnie, ale wycofywać się z egzaminu byłoby głupio. Całe szczęście, że zdaję dopiero po południu. Na noc zażyję luminalu, gdy się porządnie wyśpię, będzie mi lepiej. Mam w domu lekarza, ale wstydzę się przyznać do osłabienia, nie chciałabym zresztą martwić moich bliskich.

Piątek - 3 lipca

Egzamin zdałam. Nawet z dobrą notą, ale umiałam tylko na dostatecznie. Sama czułam, że ów dobry stopień zawdzięczam jedynie mojej dotychczasowej opinii. Myślenie sprawiało mi w tym dniu trudność, głowę miałam dziwnie pustą, byłam naprawdę rozbita, gdy szłam do egzaminu. Obecnie leżę w łóżku. Wszyscy dreczczą koło mnie i starają się, aby mi było jak najlepiej. Uderzenia do głowy. Doktor mówi, że nie wypuści mnie z łóżka przed niedzielą. Leokadia bardzo miła. Wieczorami siedzi w foteliku koło mojego łóżka i bardzo serdecznie rozmawia. Ja tylko słucham. Wczoraj, po powrocie z egzaminu, wszyscy domowi okazali mi dużo serdeczności.

Niedziela - 5 lipca

Już mi lepiej. To były tylko nerwy. Teraz napięcie zelzało wreszcie. Jutro rano jadę do Wąbrzeźna. Dotrzymam słowa Zośce i urządzimy sobie wspólne wakacje nad morzem. Ona zawsze marzyła o Helu. Nie wiem, czy dobrze, podobno prymityw, ale spróbujemy. Zawsze będzie można powrócić do Gdańska i umieścić się u stryjka. Pisali niedawno, że Krystynek nie przyjedzie na wakacje. Podobno dobiegają końca rozmowy z angielskimi krewnymi i przypuszczalnie nasz Krystynek wyjedzie na dłużej do Anglii, w tym wypadku już na posadę.

Leokadia wybiera się na sierpień do Krynicy. Obecnie ma jakieś historie prawne ze spadkiem. Zbiera potrzebne dokumenty, pragnie zabezpieczyć sobie również spadek w Niemczech, wszak nie miała z Braunholdem rozvodu. Nie wiem, co zrobi w tym roku doktor Michalski, byłoby najlepiej, gdyby dotrzymał towarzystwa naszej Leokadii.

Wąbrzeźno - 8 lipca

Ojciec przywitał mnie obojętnie. Niby pocałował w czoło.

- To już trzy lata? Jak ten czas szybko leci... za rok dyplom? A co zrobisz później, Anno? Takie same słowa mógł powiedzieć do mnie ktoś z dalszych znajomych. W dodatku ojciec przemawiał takim tonem, jak gdyby mój uniwersytet był wyłącznie jego zasługą. Ojcowskie dwieście złotych miesięcznie, odliczane skąpo w dwóch pierwszych latach, a w trzecim roku - już na własnym garnuszku, jak to się mówi. Wydałam w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy akademickich przeszło trzy tysiące złotych. Na kontach bankowych pozostało mi niecałe siedem tysięcy. W torebce mam dwieście złotych gotówką i książeczkę PKO z kwotą równego tysiąca. Zapowiedzi wielkich interesów zbożowych w Poznaniu spaliły na panewce. Poznańskim kupcom brakło w tym wypadku szybkiej orientacji i nie mogli nadażyć za naszymi pomorskimi Jamborami.

Przede mną wakacje na Helu, dwa miesiące pracy w Działdowie, następnie ostatnie dziewięć miesięcy do dyplomu. A potem? Nie wiem, moja Anno, tyle tylko, że świat będzie dla mnie otwarty. Bez Wąbrzeźna. Jak sobie pościelę, tak się wyśpię.

Ojciec chłodno przyjął wiadomość o naszych wspólnych wakacjach na Helu. Dał Zośce urlop tylko na dwa tygodnie, wspomniał, że ma zamiar powtórzyć krynicką kurację w letnim sezonie najpóźniej od połowy sierpnia. Zośka zostanie znów sama w interesie, ale na razie nie było o tym mowy, bym ją zastępowała. Ojciec nawet nie podziękował mi za dwa tygodnie stracone w Wąbrzeźnie. Ani słówkiem. Żeby chociaż powiedział jakieś zdawkowe słowa:

dziękuję ci, Anno, żeś pomogła siostrze, gdy byłem chory. Ja również nie podnosiłam tej sprawy. Wystarczy sobie sama, przecież to ostatni rok moich studiów.

Od Marcina miałam list jeszcze przed egzaminem. Bierze dłuższy urlop i wyjeżdża za granicę na dodatkowe studia. Na co doktorowi chemii i radcy ministerialnemu jakieś dalsze studia? Florencja pisała, że wybiera się również za granicę, skoro tylko otrzyma urlop. Rozumiem, dziwię się jej nawet, dlaczego siedzi w Polsce, gdy ma krewnych w Paryżu. Gratulowała mi już naprzód trzeciego egzaminu i przypomniła: już tylko jeden rok, Anno!

Gdańsk - 9 lipca

Szesnastego lipca Heinrich wyjeżdża do Magdeburga - do naszego Krystynka. Mają spędzić razem cały miesiąc w Alpach Bawarskich, Później zatrzyma się tydzień w Dreźnie, a Krystynek jedzie nieodwołalnie do Anglii. Na razie na jeden rok, już ma wszystkie papiery i engagement od Gardenów. Biura mieszczą się w centrum Londynu, a mieszkanie w odległości godziny jazdy na przedmieściu. Tam wszystko jest urządzone. Dobrze, że Krystynek ląduje w ten sposób. Jeszcze lepiej byłoby, gdyby wyjechał do Ameryki i porzucił naszą krainę biedy i groszowych zarobków. W Ameryce miałby od razu oparcie w naszym chicagowskim stryjkku.

Hel - niedziela - 12 lipca

Cały czas wypełniony. Mamy pokoje u rybaków na głównej ulicy. Stary dom rybacki, wynajmują dwie izby z frontu i dwie od podwórza. Wszystko przedzielone na pół starą sienią. Sami gnieźdzą się na jakiejś górce. Małe okienka, które pamiętają chyba czasy Napoleona. Czy tutaj dotarły jego wojska? Chyba tak, bo władaly Gdańskiem. Muszę sprawdzić po powrocie do domu. W każdym pokoiku po dwa łóżka. Prymityw pierwszej klasy. Na śniadanie dostajemy mleko i jajka, o resztę same się staramy. Na obiady i kolacje chodzimy do jadalni - bo tego zakładu nie można by nazwać restauracją. Jedzenie możliwe, nie umrzemy z głodu.

Na razie tylko tyle. Bloczek chowam na samo dno walizy i wakacje opiszę dopiero po przyjeździe do Działdowa.

Plaża cudowna, woda cudowna, pogoda cudowna. Szkoda byłoby czasu na pisanie, bo zresztą i kiedy?

Działdowo - niedziela - 16 sierpnia

Już jestem dobry tydzień na straży zboża rodzinnego. Od czego zacząć? Na razie zboże ma tendencję niewyraźną. Wszyscy grzeszą ostrożnością, nikt pierwszy nie chce wykladać kart na stół, to znaczy pierwszy mówić o wysokości cen. Ale nie o to chodzi. Upłynęło dużo czasu i dokonało się dużo wydarzeń. Równocześnie wszystko, co zaszło, wspominam już z pewnego oddalenia.

Dzisiaj mam wolne. Maksiu wpadł do mnie wczoraj, w święto Matki Boskiej. Przyznał się, że ma pannę, o którą się stara. Wesele - w Boże Narodzenie, ale na razie tylko w jego fantazji. Zapowiedział, że obaj z ojcem będą w Działdowie dopiero na początku września. Tymczasem radź sobie, Anno, jak umiesz, a będzie dobrze.

Wróćmy więc do wspomnień z Helu.

Zaraz pierwszego dnia na plaży zaczepiali nas chłopcy, ale okazałyśmy im całkowitą obojętność. Zośka ma duże doświadczenie i doskonale umiała poradzić sobie z natrętami. Jeden z chłopców zdybał mnie w wiklinie i nic nie mówiąc, pochwyił w pół i pocałował w usta. Nim się spostrzegłam, chłopiec uciekł.

Już po kilku dniach oswoiliśmy się z towarzystwem na plaży i wspólnie nabijałyśmy się z nowych przybyszów, których od razu można było odróżnić po braku opalenizny. My obie z Zośką od pierwszej bytności na plaży zastosowałyśmy nacieranie się olejkami do opalania,

którego sobie nie żałowałyśmy. Doskonale robi polewanie się wodą morską i w tym celu zabierałyśmy na plażę blaszany garnuszek.

Na plaży wszyscy opowiadali doskonale kawały, ale niektóre z nich bardzo dwuznaczne i nie wiedziałam, jak się zachować. Najlepiej było śmiać się razem z innymi i dopominać o następne. Najgorzej - obrażać się, ponieważ wówczas wszyscy wyśmiewali się z nieobecnego.

Towarzystwo było bardzo mieszane. Od razu mogłyśmy odróżnić mężczyzn, którzy lecą na kobiety. Inaczej patrzą i zachowują się. Po kilku dniach miałyśmy już bliższych znajomych. Któregoś dnia moja Zośka wróciła późno z dansingu, a na moją uwagę odpowiedziała wesoło:

- Co mam sobie żałować, rób to samo, co ja, wakacje są krótkie, później w domu będziesz żyła jak zakonnica.

I zaraz opowiedziała mi dokładnie, że po dansingu była dwie godziny u jednego z chłopców.

Na drugi dzień po dansingu Zośki zaczepił mnie w sieni jeden z lokatorów naszego domu, który mieszka sam w pokoju od podwórza. Nasz pokój jest od frontu. Poszłam zobaczyć, jak mieszka, i zaraz na wstępie pocałował mnie kilka razy. Bardzo mi się podobał już od pierwszego wejrzenia. Wyższy ode mnie o pół głowy, prawie brunet, tylko tyle, że ma głowę ostrzyżoną dość krótko. W tyle głowy miał jakby łysinę, mimo że nie wyglądał na więcej niż 32 lata. Poważny, a na plaży zauważyłam, że zawsze chodził samotnie i nie mieszał się z innymi ludźmi. Doskonale zbudowany i dobrze opalony na ciemny brąz. Ucieszył się, gdy mu powiedziałam, że jestem studentką, i szepnął mi wesoło, że to lepiej, gdyż będziemy mogli się szybciej porozumieć. Pytał mnie, czy domyślam się, o co chodzi, na co mu nic nie odpowiedziałam i tylko się roześmiałam. Na początek przyrzekłam mu, że dzisiaj nie pójde z siostrą na dansing i żeby spróbował do mnie przyjść wieczorem, gdy zobaczy, że siostra już wyszła. Ale zastrzegłam się, aby nie myślał o czymś złym i aby był grzeczny.

Stało się, jak zamierzałam. Zośka zaraz z wieczora wywiała na dansing i zapowiedziała, że wróci dobrze po północy. Miała pukać w okiennicę, abym jej mogła otworzyć drzwi wejściowe do domu. Zaraz po jej wyjściu ubrałam się w moją jedwabną pidżamę w paski czerwone i czarne i pociągnęłam mocniej niż zwykle pomadką po wargach. Zapaliłam papierosa i usiadłszy przy stole, położyłam przed sobą papier listowy i ołówek. Nie upłynęło nawet dziesięć minut, gdy lekko zapukano i do izby wszedł mój ranny znajomy. Był również w pidżamie, ale grubszej niż moja, w kolorze kawowym z czerwonymi lamówkami. Na razie usiadł przy stoliku, na drugim krzeselku. Naftowa lampka dawała niewiele światła, w pokoju było bardzo duszno, ale nie chciałam otwierać okna, aby nas ktoś nie zobaczył. Przedtem jeszcze dobrze zasłoniłam nasze oba okienka. Mogła być godzina dziewiąta. Z rozmowy z tym panem pamiętam tylko tyle, że pytał mnie, jak jest u mnie z chłopcami i ilu już ich miałam. Bardzo mi się to spodobało, że mój znajomy mówił o chłopcach, których ja miałam, a nie zapytał, ilu chłopców mnie miało.

Reszty dokładnie nie pamiętam. Cóż by mi nawet przyszło z tego, gdybym mu powiedziała, że on właśnie będzie pierwszym mężczyzną w moim życiu, pomijając już wypadek opisany w pensjonarskim pamiętniku, który przychwyciła moja ciotka. I tak by nie uwierzył.

Pierwsze wrażenie było dziwne, nawet raczej bolesne. Wyczuwałam, jak to będzie, nie umiałam jednak nigdy określić tego w ten sposób. Odczułam u mojego kochanka pewne zdziwienie, tym więcej, że moje onieśmienie minęło już po kilku minutach. Opanowałam się, oprzytomniałam i starałam się wynieść z nowej dla mnie sytuacji to wszystko, o czym opowiadała mi Zośka wprost i o czym w pewnych przenośniach wspominała Mela. Nastąpiło

dalsze zdziwienie u mojego partnera, tym więcej, że w pewnym momencie mocno odepchnęłam go od siebie. W samą porę.

Na tym skończyło się tego pierwszego dnia. W izbie było bardzo ciemno i duszno. Lampka naftowa kopcila. Mojego kochanka bez jednego słowa wyekspediowałam za drzwi. Następnie wywietrzyłam pokój, uregulowałam knot lampy i po ponownym zasłonięciu okna poświęciłam dobry kwadrans na zabiegi z myciem. Zmieniłam jedwabną koszulkę i spodnie od pidżamy, były pokrwawione. Natychmiast wrzuciłam je na miednicę, zaprałam plamy i rozwiesiłam obie sztuki na poręczy krzesel. Otuliłam się we włochaty płaszcz kąpielowy i po zgaszeniu lampki ułożyłam się na wznak w łóżku i oddałam rozmyślaniom.

Stało się. I tak musiało stać się wcześniej czy później. W dwudziestym czwartym roku życia - to i tak późno, bardzo późno. Ostatecznie nic wielkiego. Nie nastąpiło trzęsienie ziemi i nie zawaliło się niebo nad moją grzeszną duszą. A raczej nad grzesznym ciałem! Było to ósmego dnia pobytu nad morzem, dokładnie w sobotę - 18 lipca 1931 roku.

Następnego dnia, na odmianę, znów ja odwiedziłam mojego kochanka. Nie było tym razem żadnych wstępów, zbędnych opowiadań czy pocałunkowych czułości. Nie w tym celu go odwiedziłam. Przykręciłam mocno knot lampy i następnie powtórzyło się dokładnie to samo, co pierwszego dnia. Byliśmy w dalszym ciągu oboje na: pan i pani. Przy rozstaniu powiedziałam mu w sposób zimny:

- Na plaży nie znamy się i w ogóle starajmy się nie rozmawiać.

Wymawiając te słowa, uśmiechnęłam się do kochanka. Był zdziwiony, ale odpowiedział:

- Dobrze, skoro pani tego sobie życzy, mnie to również dogadza.

Już przy drzwiach odwróciłam się do niego i dodałam:

- Proszę pamiętać o tym, że to nierówna gra, ja jestem kobieta, a pan jest tylko mężczyzną. Czy pan mnie rozumie?

Kochanek skłonił się w milczeniu, a ja opuściłam jego pokój. Później jeszcze dwukrotnie odwiedziłam go, dzień po dniu, w poniedziałek i wtorek. W środę wyjechał na jeden dzień do Gdyni i oto skończyły się piękne dni Aranjezu! Gdy wychodziłyśmy z Zośką na plażę, spotkał nas po drodze listonosz i doręczył nam list do jednego z lokatorów naszego domu. Na kopercie było wyraźnie napisane: Wielebny Ks. Dr. ..., a Zośka od razu ustaliła:

- To jest ten wysoki facet w cywilnym ubraniu, na lewo od podwórza. Bardzo przystojny - dodała - szkoda tylko, że ksiądz... miałabym na niego ochotę, wygląda apetycznie.

Przypuszczalnie w tym momencie zatrzęsły się nogi pode mną, ale nic nie powiedziałam. Trudno, trzeba będzie i to przeżyć, pomyślałam i w głowie mojej zrobiła się pustka. Tymczasem Zośka wyjęła list z moich rąk, powiedziała:

- Ja mu oddam ten list - i schowała go do torebki.

W następnych dniach zesłam z drogi mojemu fatalnemu kochankowi, który trzeba przyznać, nie narzucał się. Wychodziłam z domu bardzo wczesnym rano, starałam się go nie spotykać i do końca wakacji nie zamieniliśmy z sobą ani słowa. My z Zośką wyjechałyśmy już w piątek przed pierwszym sierpnia, mój znajomy został w dalszym ciągu na Helu. Gdy wychodziłyśmy z domu na przystań, on szedł na plażę; nie wymieniliśmy ukłonów.

Dopiero w Gdańsku Zośka wskoczyła do mojego łóżka i jak zwykle zaczęła się zwierzać ze swoich przygód miłosnych na Helu. Dwóch innych kochanków było zgoła nieważnych, na pierwszy plan wysunęło się opowiadanie o lokatorze izdebki od podwórza. Romans rozwinął się z miejsca. Każdego dnia w przelocie w piątek i sobotę wieczorem, a w ostatnią niedzielę przez pałą noc. Zośka opowiadała z dziwną ochotą. Mówiła odważnie:

- Cóż z tego, że ksiądz? Widocznie niewiele w tym jest grzechu... skoro nawet ksiądz. Ale coż on ma czynić lepszego, krew nie woda, a z niego jest spory kawał mężczyzny. - Nastąpiła również pochwała z ust Zośki: - Zna się na rzeczy.

Jedno muszę zapisać: moja osoba pozostała w tajemnicy.

Niedziela - 23 sierpnia

Interes leci bez żadnych wstrząsów. Dzień po dniu to samo. Nie warto opisywać. Z Krynicy dużo wiadomości. Pół rodziny się zjechało. Stary doktor, stryj Paweł, mój ojciec i Leokadia. Jakoś się pogodzili, ponieważ wszyscy przebywają razem, jak to widać na fotografii. Ciekawa jestem szczegółowych opowiadań. Ale te usłyszę dopiero po powrocie do Poznania - od Leokadii.

Przyglądam się od kilku dni pewnemu urzędnikowi ze starostwa. Prawie się poznaliśmy, gdyż byłam u niego w biurze w sprawie naszej firmy. Siedzi w osobnym pokoju, można było rozmawiać spokojnie. Zrobiłam na nim wrażenie, nic dziwnego, pochodzi z Warszawy, ja z Poznania, a wokoło nas jest ludzka pustynia działdowska. W tym małym miasteczku panuje duży ruch, lecz wszyscy myślą jedynie o tym, kogo by oszukać, to znaczy zarobić. Zbyt wiele ludzi, jak na działdowskie możliwości zdobycia pieniędzy.

Szkoda, że nowego znajomego nie mogę zaprosić do siebie, na przykład na kawę i ciastka z likierami. Ale dokąd? Do mojego pokoiku na górcie niemożliwe, a w biurze - wykluczone. Głowią się nad tym, w jaki sposób to urządzić. Warunki idealne, żona i dzieci w Warszawie, a jego wysłali do Działdowa na trzy miesiące - w celu, jak mówi, zrobienia porządku w tym pomorskim Grajdołku.

Myślę o nowym znajomym zupełnie podobnie jak o kupnie na przykład nowej sukni. Zresztą przygotowałam się bojowo do zagadnienia. W Gdańsku śmiało i obojętnie weszłam do drogerii i stanąwszy przed ekspedientką, nabyłam, co chciałam. Na zapas trzy pudełeczka. Korona mi z głowy nie spadła, a ekspedientka odniosła się do zakupu całkiem obojętnie. Do kompletu zakupiłam dwie butelki prawdziwej Johann Maria Farina, qeqenüber dem Dom, z niebieską etykietką, kilka mydełek, trochę drobiazgów toaletowych, razem na sumę około trzydziestu guldenów. Rzadki klient w tej cenie i sprzedawczynie uśmiechnęła się do mnie. Wszystko odbyło się dyskretnie. W życiu nie jest na ogół trudno, chodzi jedynie o odrobinę dowcipu i wynalazczości.

Od jutra zabieram się do polowania na mojego drugiego czy trzeciego mężczyznę. Gdy nabiera się ich kilkunastu, ów pierwszy pójdzie w zapomnienie. Zośka by powiedziała: zginie w tłoku.

Poniedziałek

Bez zmian. Znów poszłam z jakimś głupstwem do starostwa. Nie do niego, lecz zablądziłam niby o poradę, jak mam załatwić. Okazało się, że to magister praw z warszawskiego uniwersytetu. To jest już coś. Ale w jaki sposób? I gdzie?...

Czwartek

Byliśmy razem w kinie. Na początek bawił się moją ręką, lecz nie posunął się dalej. Dotykaliśmy się kolanami, bo w tutejszym kinie jest ciasno, ale na tej linii nie było ataku. Trzyma się w fasonie.

Piątek

Spotkaliśmy się w kawiarence, niby przypadkowo. Rozmowy o Zakopanem i nartach. Wspólne tematy, zna wszystko w górach, stary narciarz. Rozmowa koleżeńska z wykluczeniem tematów kobiecych. Fason w dalszym ciągu. Skarży się na brudne mieszkanie, jak to rozumieć? Gdzieś na przedmieściu, w przeciwnej stronie niż mój dworek w ogródku. To już dobrze - krok naprzód. Mieszka na parterze, pokój ma dwa okna, które wychodzą na ogród. Może opowiada mi to wszystko dla zachęty? Ja mówiłam już o moim pokoiku na górcie, zna dobrze ten dom oraz mojego gospodarza, który ma liczne kontakty ze starostwem.

Sobota - 29 sierpnia

Rozmowy w kawiarence. Już znacznie śmielsze. Wydaje mi się, że brak mu odwagi. Nie wie, jak zacząć. Na pewno oboje myślimy o jednym i tym samym. On boi się mnie urazić zbytnią natarczywością, ja nie mam doświadczenia w tych sprawach. Trudno bowiem tak od razu powiedzieć: ja chcę, ja proszę...

Wtorek - 1 września

Dzwoniłam w poniedziałek rano do biura, spotykamy się dopiero jutro wieczorem w kawiarence. Na razie czytam po raz chyba dziesiąty nowele Maupassanta.

Czwartek - 3 września

Sprawa się wyjaśniła. W sobotę w nocy przyjechała z Warszawy ślubna żona mojego kandydata na kochanka. Kandydata naturalnie w myślach i zamiarach, choć z tego może nic nie wypaść. Na wesoło potraktowaliśmy oboje tę wizytę, co nas wreszcie zbliżyło do siebie. Powiedziałam śmiało:

- A cóż? Każda żona dochodzi swoich praw małżeńskich. Trudno.

Roześmialiśmy się oboje i reszta poszła już znacznie łatwiej.

- Żona daleko - powiedział mój znajomy - a Działdowo blisko.

Tym razem ja roześmiałam się i szepnęłam:

- Cóż to? Zaraz po odwiedzinach żony przychodzi panu do głowy takie myśli?

Żonaty „chłopiec” przysunął się do mnie śmiejąc. Nasze kolana spotkały się pod stolikiem. Wszystko inne poszło już naturalnie bardzo pospolicie, jeśli brać pod uwagę dekoracje. Wyszliśmy z kawiarenki powoli i bez pośpiechu, udaliśmy się w kierunku jego mieszkania. Zachowaliśmy wszelkie ostrożności przy wchodzeniu do jego pokoju i po zamknięciu się za nami drzwi uśmiechnęłam się do mojego przyszłego kochanka i szepnęłam:

- A co teraz?

Po dwóch godzinach wróciłam do siebie. Kazałam przynieść na górę dużo gorącej wody, a później, naga, owinęłam się w mój stary generalski szlafrok i po chwili, już bez jakichś dodatkowych pożądań czy pragnień, zasnęłam syta, jak po dobrej kolacji. To było wczoraj.

Umówiliśmy się we wtorek - wieczorem.

Poniedziałek - 7 września

Maksiu powiedział mi zaraz na wstępie:

- Co się z tobą stało, Anno? Dziwnie się rozjaśniłaś i wyprzystojniałaś. Straciłaś swego marsa na czole.

A stryjek dodał:

- To wszystko dlatego, że siedzi całymi miesiącami w Poznaniu nad książkami. Nic dziwnego, gdy trochę odetchnęła świeżym powietrzem, zaraz przyszła do siebie. Ale już niedługo, niespełna rok, prawda, Aniu? A tutaj, w Działdowie, jak zwykle nudy? Nie ma nawet porządnego kina, programy sprzed kilku lat, stare szmiry, ale za to w szafie na dole po staremu romanse Aleksandra Dumas. O, znam tę szafę, sam z niej korzystałem, uspokaja i usypia. Już niedługo, Anno, miesiąc przeleci i adieu, Działdowo. Nie wierzę - mówił stryjek - że przyjedziesz do nas w przyszłym roku. Wyfruniesz zapewne w świat. Ale a propos: pisał do mnie twój ojciec; podoba mu się pani Leokadia, ta twoja przyjaciółka z Poznania.

Mnie podoba się również - ciągnął - bawiliśmy się wspólnie trzy tygodnie w Krynicy. Nawet twój ojciec przestał się bocyć na mnie o głupią kamienicę i jakoś się rozruszał. A twój stary doktor z Poznania - to godny kompan. Mimo wieku dotrzymywał nam towarzystwa. Bawiliśmy się wyśmienicie!

Ano, twój stryjek buja po świecie i podkochuje się w twojej przyjaciółce, a ty, bidulo, siedzisz samotnie na wygnaniu.

Później wręczył mi duże pudło wedlowskich czekoladek, wsiedli do samochodu i tyle ich widziałam! Przyjadą za dwa tygodnie. Jutro spotkanie z kochankiem - zjemy czekoladki.

Środa - 9 września

Traktujemy sprawę, jak byśmy się znali już bardzo dawno. Nie mówimy jednak sobie: ty. Tak nam wygodnie. Resztę traktujemy bezosobowo. Całość zamyka się w czasie od godziny dziewiątej do jedenastej. W domu u mnie nazywa się, że chodzę do kina, treść filmu znam z opowiadań biurowych.

Nie zadajemy sobie żadnych pytań, szanujemy swoje własne warunki życiowe. Ja wiem, że on ma żonę, on wie tylko tyle, że kończę w przyszłym roku uniwersytet w Poznaniu. Właściwie w mieszkaniu staramy się rozmawiać jak najmniej. Reszta to praktyczne zastosowanie prawideł i tematu widzianego ongiś przez szparę w szklanych drzwiach. Są rzeczy, które nie wymagają bliższych omówień. Są, bo są, i na tym koniec, i na to nie ma rady. Zależy jedynie od tego, jak kto sobie je urządzi.

To jednak jest bardzo przyjemnie - po tym... wszystkim wyciągnąć się na miękkim posłaniu. Zaczynam rozumieć Leokadię. Trudno kobiecie wyżyć samej na świecie - znacznie trudniej niż mężczyźnie. Ale obecnie tylko jedno stoi przede mną: jak sobie to urządzić po powrocie do Poznania? Jak urządzić sobie - taki jeden raz w tygodniu? Chyba nie częściej, raczej rzadziej, lecz regularnie. Bez wkładania nerwów w poszukiwania...

Przyszło mi na myśl, że dla kobiety mężczyzna to tylko jakiś pożądany zwierzak o właściwościach osobliwych, lecz określonych i równocześnie pospolitych. Antyteza kociaka. Taki sobie, powiedzmy, męski kociak, lecz podstawowy warunek: posłuszny i niegadatliwy. Ale gdzie takiego szukać i gdzie znaleźć?

A jednak Leokadia ma rację. Krzepki w krzyżach mężczyzna i bez głupich gadań. Zrobił swoje - poszedł sobie. Tak mi to pewnego razu klarowała, niby żartem. Ciekawa jestem, czy w dalszym ciągu korzysta z tego swojego wysokiego blondyna. Blondyn dobrany do jej ciemnych włosów, ale to głupstwo. Najłatwiej byłoby powiedzieć przyjaciółce: odstąp mi twojego kochanka, zafunduj sobie jakąś odmianę - i tak od razu, z ręki do ręki...

Jaka szkoda, że nie żyję w czasach antycznych. Kupiłabym sobie zwyczajnie i po prostu pięknego niewolnika greckiego, chłopię, takiego, o jakich się czyta w opowieściach rzymskich, To były czasy szczęśliwe dla kobiet! I nikt się nie gorszył, ponieważ to było wówczas przyjęte. Kwestia ówczesnej obowiązującej mody. A dziś o to samo jest tyle krzyku!

Trzecie nasze spotkanie wyznaczę również we wtorek. Dzień wygodny i niewygodny. Ale tak jest akurat wygodnie dla mnie z racji znanego kalendarzyka. Na wszelki wypadek - mimo hojnego korzystania z gdańskich zakupów. Sama tym dysponuję, za każdym razem w podwójnym wydaniu. Naturalnie odtrącam, wymówiłam to sobie wyraźnie. Powiedziałam chłodno: tylko pod tym warunkiem, w wypadku nadużycia zaufania - widzimy się po raz ostatni.

Mam szczęście, mój drugi miłośnik jest opanowany i raczej flegmatyczny. Zgadząmy się. Nie zniosłabym nerwowego wariata.

Niedziela - 13 września

Nabyłam dwa tomiki Pitigrillego: „18 karatów dziewictwa” i „Kokaina”. Bzdurstwa, nie podniecają mnie w najmniejszym stopniu. Dziwię się, że cenzura puściła.

Pojutrze dwie godziny dla higieny.

Wtorek - 15 września

Idealny kochanek. Rozumiemy się, o co nam chodzi, jedno drugiemu nie przeszkadza. Całujemy się bardzo mało; to mi dogadza, pocałunki nic nie dają, prowadzą jedynie do niepotrzebnego spoufalania się. W tym - nie potrzeba pocałunków, to dobre tylko dla romantycznej młodzieży na letnich wycieczkach. Miałam tego dość w Bydgoszczy - łącznie ze szczypaniem i łapaniem za piersi, których wówczas prawie nie posiadałam. Kochanka opuściłam zaledwie przed godziną.

Piątek - 18 września

Z moją kobiecością normalnie. Jutro tylko pokręcę się po interesie i zaraz po zamknięciu położę się na mym „panieńskim” łóżeczku z książką w ręce. Okazało się, że „Dumasy” na dole są nie do wyczerpania, nic dziwnego, gdyż czytam historie doktora Balsamo po raz drugi.

Wtorek - 22 września

Przekładam sobie wtorek na piątek. W sobotę rano przyjeżdża Maksiu. W poniedziałek 28 września zabiera mnie i moje toboły samochodem do Grudziądza. Tam postój dwa dni i kierunek wprost na ostatni rok poznańskiego uniwerku.

W piątek zatem ostatnie pożegnanie. Nie powiem nic mojemu partnerowi, jedynie wpadnę do biura na kilka minut przed wyjazdem i:

- Do widzenia, zapomnijmy o sobie, niech każde z nas zachowa takie wspomnienie, jakie mu dogadza.

Piątek - wieczorem

Rozstanie w samą porę. Kochanek tym razem rozdzikczył się i usiłował zatrzymać mnie dłużej, może na całą noc. Wykpiłam się z humorem, mówiąc:

- Do wtorku niedaleko.

Szczegółów nie warto powtarzać i opisywać. Nie powstałoby i tak nic nowszego czy ciekawszego od „Dekameronu”. W dodatku to samo inaczej wygląda w dzisiejszych czasach, w wieku rozwoju przemysłu chemicznego i drogeryjnego...

Kochanek tym razem był zdziwiony czy też podniecony, gdy go, jak zwykle, odtrącałam. Kobieta w tych razach nie powinna tracić panowania nad sobą. O ile naturalnie nie jest cielęciami lub Stefcią. Psiakrew - znów to wspomnienie, w dodatku w tej chwili!

Wakacje wykorzystałam pod każdym względem. W dodatku bardzo śmiało otwierałam furtkę do ogródka z napisem: kradzież jabłek surowo wzbroniona! Co innego jednak biblijne jabłka, a co innego nowoczesna higiena. Ludzie byli głupi jedynie wówczas, gdy na kilometr kwadratowy wypadało pół mężczyzny i pół kobiety. W dodatku zgrzeszyłam po raz pierwszy właśnie ze strażnikiem tego pięknego ogródka. To, co było później, już się nie liczy, to były tylko takie sobie małe grzeszki codzienne.

Mam na razie dość. Najważniejsze, że wycofuję się wówczas, gdy sama tego chcę. Najgorzej, gdy kobieta przywiąże się do jednego kochanka w sposób histeryczny.

Sobota - 26 września

Maksiu jest już na miejscu. Żegnam się ze wszystkimi. Na moje miejsce nie będzie nikogo. W Działdowie ma zamieszkać Maksio, razem z samochodem, jak się wyśmiewał sam ze siebie. W tym roku czeka wszystkich ciężka batalia zbożowa.

Grudziądz - 28 września

Wieczorem. Już jestem na miejscu - w dawnym domu dziadkowym. Bardzo miły dom Herty. Dziewczynka zdrowa i ładna. Jutro oczekujemy stryjka Pawła.

O rzeczach osobistych: u kochanka byłam niespełna dziesięć minut. Nie wierzył moim słowom. Miał nadzieję i namawiał, ale podprowadziłam go pod okno i wskazałam samochód. Zrozumiał. Wyglądało to tak, jak by żałował, że tak mało sobie użył. Mężczyźni zawsze są większymi egoistami niż kobiety. Nie umieją stanąć na wysokości momentu, gdy i tak nie może być inaczej. My, kobiety, jesteśmy lepszymi aktorami. I większymi wodzami; umiemy wycofać się w porę. Chociaż to może tylko przechwałka dwudziestu kilku lat mojej młodości. Niewątpliwie, im kochanka jest starsza, tym silniej trzyma, a przynajmniej stara się utrzymać kochanka przy sobie, idąc na każdy kompromis. Ale ostatecznie koniec z figlami! Koniec z letnimi manewrami! Czas wrócić z powrotem do szarego życia. Jakoś to będzie. Jako kobieta, nie jestem wybuchowa, raczej zimna. Bardzo dobrze, przynajmniej nie stracę głowy na widok jakiegoś reklamowanego cudu męskiego.

Poznań - 2 października

Wczoraj wieczorem wylądowałam w Poznaniu. Jak zwykle - z prezentami. W Grudziądzu, jak na zamówienie, zjawili się obaj stryjkowie i każdy z nich wręczył mi po dwie pięćsetki. Pierwszy - za dwa miesiące pobytu w Działdowie i za jakieś prowizje od nieudanych interesów poznańskich, drugi - jak powiedział - jako pożyczkę na lichwiarski procent, abym go zawsze wspominała.

Stryjek Paweł dodatkowo wręczył mi bilecik zaadresowany do Leokadii: dużo serdecznych pozdrowień i dużo próśb o miłe wspomnianie miłych tygodni, spędzonych wspólnie w Krynicy. Ponadto sto złotych na kupno pięknych kwiatów.

Zlecenie stryjka wypełniłam z prawdziwą przyjemnością. Leokadia była uszczęśliwiona i rozpromieniona, gdy zobaczyła orgię kwiatów. Ucałowała mnie serdecznie i zapowiedziała małe przyjęcie z gośćmi spoza domu już jutro, w sobotę.

Stary doktor kiwał głową zyczliwie. Nic nie mówił, ale przeczuwam, że jutro -zjawią się w pokoju Leokadii nowe kwiaty. Stary Michalski nie jest centuś i ma pański gest. Cieszę się z powodzenia mojej przyjaciółki. Obecnie jakoś inaczej patrzę na świat. Zauważyli to doktor i Leokadia, a nawet nasza kucharka!

Sobota - 3 października

Przyjęcie już się skończyło. Goście rozeszli się koło godziny pierwszej w nocy. Właściwie to już niedziela, a nie sobota. Nie mogę spać i kręcę się w łóżku. Jestem mocno wypompowana beznadziejnym gadaniem i niemal odurzona dymem papierosów. Sama palę mało - mogłabym obejść się bez papierosów. Gdy jestem sama, palę z nudów, aby coś zrobić. Głupie przyzwyczajenie.

W tym roku akademickim nie odczuwam jakoś żadnego drygu do uczenia się. Już dzisiaj widzę, że upchnę ten ostatni rok byle jak, byle skończyć i zapomnieć. Dopiero trzy dni, jeszcze nie zdążyłam zapisać się i już rozmyślam nad tym, kiedy będzie koniec z tym uniwerkiem. To wszystko, czego nauczyłam się w ciągu trzech lat, mogłabym opanować znacznie szybciej na własną rękę. Wykłady nic nie dały. Było to albo rozwodnienie treści podręczników, albo jakieś dukanie przez profesorów tekstu ustalonego już w skryptach. Podobno w Krakowie wykłada jakiś profesor, który wymaga uczenia się na pamięć treści podręcznika prawa rzymskiego! Nic dziwnego, że tam jest tylu adwokatów, skoro do ukończenia prawa wystarczy nauczenie się na pamięć kilkuset stron. I takie typki zasiadają następnie na fotelach sędziowskich lub ubierają się w adwokackie togi! A biedny klient patrzy na paragrafy przez kratki więzienia i zasadniczo nie ma nic do powiedzenia przed sądem na własną rękę i we własnej sprawie. Sędziowie ziewają z nudów, a adwokaci skaczą sobie do oczu, usiłując przebić swych przeciwników ostrzem pamięci paragrafowej. Prawo to mącenie prawdy obiektywnej i należy je traktować jedynie jako źródło zarobkowania dla ludzi pracujących w tym „zawodzie”.

Szczęście, że wybrałam ekonomię; tam można również wiele gadać, ale przynajmniej nikomu to nie zaszkodzi! Nikt nawet nie oponuje, ponieważ nikt się na tym nie zna. W ekonomii operuje się faktami, które już się przydarzyły, w dodatku bardzo na okrągło, taka sobie szkółka nie tyle analiz, co różnych przypuszczeń.

Leokadia mimo powagi, w jaką odziała się po otrzymaniu wiadomości o śmierci człowieka, który kiedyś był jej mężem, promieniała dowcipem i wesołością. Ta kobieta ma w sobie dużo zdrowej witalności. W dodatku jest to witalność mocno zaraźliwa i udzielająca się otoczeniu. Na przyjęciu było towarzystwo znane nam już z bankowych przyjęć imieninowych. Dowiedzieliśmy się sporo nowości. Leokadia dobija obecnie targu ze sprzedażą lesznieńskich realności i ma zamiar nabyć kamienicę w Poznaniu. W cztery oczy powiedziała mi:

- Ten dom w Lesznie wypełniony jest dla mnie smutnymi wspomnieniami. Na cóż mi trzymać taki dom? To jak fałszywy pieniądz, który zawsze wraca, trzeba się go zatem pozbyć jak najprędzej. Nowy dom, nowe życie, nowy oddech, szeroki i głęboki, moja Anno. Świeże powietrze!

Doktor jest smutny, ponieważ kupno przez Leokadię kamienicy w Poznaniu - to utrata miłego domownika. Leokadia rozjaśnia nam atmosferę domową. W dodatku przyjaciółka niedwuznacznie powiedziała doktorowi:

- Zabiorę z sobą Annę, nie wypada, aby mieszkała razem z panem, doktorze.

Niby to było żartem, wszyscy roześmialiśmy się, ale fakt, że takie słowa zostały wyrzeczone.

Piątek - 9 października

Przyszła mi do głowy myśl niedorzeczna. Ale chyba nie? Obliczałam dokładnie - przede mną tydzień niepewności. To byłoby niemądre! Odrzucam od siebie złe myśli. Spokoju, Anno.

Niedziela - 11 października

Niepokój w dalszym ciągu. Głupia historia. Jeszcze cztery dni niepewności. Dlaczego kobieta rzucona jest na pastwę ryzyka? Dla mężczyzny to głupstwo, wszystkie niemal skutki obciążają wyłącznie kobietę.

Boli mnie głowa. Doktor powiedział dzisiaj podczas obiadu, że w ostatnich dwóch dniach jestem dziwnie zgaszona. Leokadia nic nie dodała do słów doktora, odczułam raczej, niż dostrzegłam jej zdziwione spojrzenie. Nie postawiła jednak żadnych pytań i wstrzymała się od uwag. Po obiedzie zamknęłam się u siebie w pokoju, a doktor wybrał się z Leokadią na popołudniówkę do teatru. Oni mają zdrowie do chodzenia po teatrach. Leokadia, aby pokazać swoje gustowne toalety, a doktor - by go widziano w towarzystwie eleganckiej damy.

Poniedziałek - rano

Nad ranem zwała się do mnie Zośka. Mówi, że prosto z Krakowa. Wygląda nienajlepiej. Zapowiedziała, że wstanie dopiero koło południa. Śpi, tymczasem skoczę na uniwersytet. Może zapytać Zośkę? Zobaczą - to będzie zależało od okoliczności.

Wtorek - wieczorem

Zośka już odjechała. Odprowadziłam ją na dworzec i znów zostałam sama - z troską. Odczekam jeszcze do piątku, nawet później będzie jeszcze wiele czasu. Co ma być, to i tak będzie. Ładnie się pocieszam, a tymczasem czuję się bardzo głupio. A jeżeli to wydarzy się również i mnie?

Krótko i węzłowato: Zośka zaszła w ciążę i przed dwoma tygodniami urządziła sobie w Krakowie skrobanę. Była u dwóch lekarzy, wszystko udało się pomyślnie, poleżała sobie

prawie tydzień w prywatnej lecznicy. Później pojechała do Wąbrzeźna i we wskazanym czasie powróciła do Krakowa w celu dokonania powtórnych badań. Pomyślnie. Tylko jest mocno blada i jakby wystraszona. Powiedziała do mnie poważnie, całkiem nie w stylu wesołej Zośki:

- A to wszystko dlatego, że na Helu było bardzo wiele wody w morzu, lecz w domu brakowało porządnej łazienki! W dodatku nigdy nie należy łączyć dansingów i pijaństwa - z tym... trzecim. Osobno zabawa w dansing, a innego dnia zabawa w higienę - dodała już weselej, lecz w dalszym ciągu z wyrazem jakiegoś bólu na twarzy.

Nie mogę się skupić, nie mogę pisać. Gdyby to miało mi się przydarzyć na samym początku mojej kariery...

Jeszcze środa i czwartek.

Środa - 14 października

Jestem zła na siebie. Unikam spojrzeń doktora i Leokadii.

Czwartek - 15 października

Ledwo trzymam się na nogach. Coś rwie mi się w piersiach. Nie wiem dlaczego, ale ogarnia mnie strach, choć tłumaczę sobie, że pierwszy miesiąc bez regularności - to drobiazg.

Ładny drobiazg! Zaciskam zęby, na siłę wstrzymuję się od krzyczenia. Wyobrażam sobie, że to by mi pomogło. Byłoby mi lżej.

Piątek - rano

Nie podniosłam się jeszcze z łóżka, a już sięgam po notatnik. Plamy. Plamy czerwone - dużo plam! Nie dam do prania tej pidżamy. I tak stara. Zawinę w papier, zostawię sobie na pamiątkę. Cóż to za głupie myśli i pomysły. Ale czuję silne uderzenia krwi do głowy. Takie wzruszenia nigdy dotychczas mi się nie przydarzały. Przeszło. Odetchnęłam.

Przed chwilą wróciłam z łazienki. Leżę w łóżku. Wyciągnęłam się jak długa i rozkoszuję tym, co jest. Jakże mało potrzeba człowiekowi do szczęścia. Kobiecie trzeba znacznie więcej: świadomości, że to, co było, już się nie liczy. Że przeszło i szczęśliwie odeszło.

Piątek. Robię sobie labę do poniedziałku rana. Zasłużyłam na taki urlop. Ale strachu to się najadłam. Teraz wypoczynek - i również koniec z pisaniem. Mam właśnie pod ręką nową książkę kupioną przez doktora, Romain Rolland „Colas Breugnon”. Już ją zaczęłam czytać. Stroniczki wypełnione są słońcem i pogodą. Już sama dedykacja dużo jest warta: Świętemu Marcinowi Patronowi Clamecy - Święty Marcin pije wino, wodę pozostawia młynom.

Niedziela - 18 października

Uspokoiliam się. Nie mogłam odmówić doktorowi, gdy przyszedł do mnie zatroskany. Zbadał mnie bardzo szczegółowo. Później uśmiechnął się i doradzał, abym po wyzdrowieniu odwiedziła specjalistę od chorób kobiecych. Bo on, mówił, to jest tylko taki uniwersalny omnibus, a tymczasem wiedza lekarska mocno się posunęła w różnych specjalnościach od czasu ukończenia przez niego medycyny. Nie było sposobności do dalszych wynurzeń, ponieważ Leokadia otworzyła cichutko drzwi do mojego pokoju i doktor zakończył konsultację:

- Dobrze, że pani przyszła, Leokadio, naszej Annie trzeba by pomyśleć o zmianie stanu. Małżeństwo, pani Leokadio.

Zaczęliśmy się śmiać, po chwili zostaliśmy same w pokoju. Doktor ulotnił się, a Leokadia, usiadłszy tuż koło mnie na brzegu łóżka, ujęła mnie za rękę i zapytała cichym głosem:

-- Powiedz mi, Anno, prawdę, co się stało?

Spojrzenie przyjaciółki było przepełnione tak wielką serdecznością i troską o mnie, że wyznałam jej wszystko. O głupim wydarzeniu w Bydgoszczy, o mężczyźnie na Helu i mężczyźnie w Działdowie. Krótko, lecz dokładnie, a na końcu zaufanie za zaufanie. Zapytałam z kolei Leokadię: i co dalej?

Przyjaciółka wysłuchiwała mnie w milczeniu. Nie przerwała mego opowiadania i w dalszym ciągu zachowała na twarzy uśmiech pełen tkliwości. Później, gdy z mojej strony nie miałam już nic do wyznania, ona z kolei opowiedziała mi o swoim życiu, spokojnie, od początku aż do dni obecnych. W miarę jak mówiła, głos jej nabrzmiewał i przechodząc szereg tonacji, wolny jednak od skargi, wypełniał się jedynie smutkiem.

- Miałam lat osiemnaście - mówiła - gdy wydano mnie za mąż za bogatego kupca zbożowego. Parękroć w markach, owych dobrych markach niemieckich z początku naszego wieku. Była to kariera dla młodej dziewczyny, która w skromnym posagu otrzymała jedynie umeblowanie i wyprawę wartości dwudziestu tysięcy.

Do małżeństwa przystępowałam z onieśmieleniem, dla mnie był to święty sakrament, o którym mówiono mi w domu i w kościele. W dodatku nikt mnie nie uświadomił przed ślubem, co to jest małżeństwo, i zaraz po ukończeniu uczty weselnej znalazłam się w objęciach męża, starszego od mnie o całe 37 lat. Tak to bywało w dawnych czasach, gdy majątek dawał starym lubieżnikom możliwość brania młodych dziewcząt. Mąż potraktował mnie podczas tej pierwszej nocy jak prostytutkę. Tak to sobie później uświadomiłam.

W dwa lata po ślubie przyszła na świat córeczka. W tym okresie moje małżeństwo było już dostatecznie splugawione. Bogaty kupiec nie przepuszczał żadnej kobiecie. Czynił to prawie w moich oczach. Podczas mojej ciąży obłąd erotyczny posuwał do tego stopnia, że sprowadzał do naszego mieszkania różne dziewczęta. Na wymówki mówił mi cynicznie: „Cóż mam robić, czyż nie widzisz, że ja ciebie w ten sposób oszczędzam?” Przyszła na świat dziewczynka, a szaleństwa zwariowanego męża trwały w dalszym ciągu. Dużo wycierpiałam w tym okresie. Dla dziecka, które swoim urodzeniem zamknęło mi drogę do rodzenia innych dzieci! Przy porodzie były komplikacje.

Cierpiałam. Zagryzałam nieraz zęby, ale poddawałam się erotycznym szaleństwom szybko starzejącego się męża. Później - nagle, w ciągu kilku dni choroba zabrała mi dziecko i w tym momencie, tuż po pogrzebie córeczki, rzuciłam zwyrodnialca i uciekłam z jego domu. Było to w pierwszych dniach wojny.

Urządziłam się. Początkowo z wielkim trudem, ale z czasem przebrnęłam i jakoś poszło. Nie wiem, czy mąż pożałował, gdy od niego uciekłam. Mówił wszystkim znajomym: „Ona i tak wróci do mnie, żony zawsze wracają do bogatych mężów”. Braunhold wierzył tylko w swoje pieniądze i za nie kupował ludzi, kupował kobiety, kupował zboże.

Potem skończyła się wojna. Z Poznańskiego uciekali Niemcy, mój mąż uciekł również. W ostatnim momencie udało mu się sprzedać przedsiębiorstwo, pochwycił, co mógł, i uciekł. Obawiał się zostać, ponieważ miał zbyt wiele na sumieniu różnych brudnych spraw. W momencie przewrotu miałam 33 lata, obecnie mam już czterdzieści sześć.

Zostałam sama, na rodzinę nie mogłam zbyt liczyć, brat był zajęty gospodarstwem, a siostra świeżo opłakiwała męża zabitego na wojnie. Jediną rzeczą, która łączyła mnie z mężem, była realność w Lesznie zapisana w hipotece na przeżycie, gdyż tak urządził mój ojciec przy ślubie. Była to cena młodej dziewczyny rzuconej w małżeńskie objęcia starego rozpustnika. Do opowieści można by dodać jedynie to, że mój ojciec chodził razem do szkoły z Gotfrydem Braunholdem.

Obecnie, moja Anno, Braunhold umarł już przed pół rokiem, a ja zdecydowałam się powrócić do mojego starego nazwiska: Ratajczak. Polskie nazwisko, uczciwe, bo chłopskie!

Milczałyśmy obie. Po chwili Leokadia sięgnęła po papierosa i dalszą część opowiadania kończyła już nerwowo:

- Ustaliłam się w banku. Wówczas potrzeba było ludzi, a ja miałam dobrą praktykę, naprzód w firmie Braunholda, a później w niemieckim banku podczas wojny. Powiodło mi się materialnie w okresie inflacji, jedynie za moją kobiecością powlokło się wspomnienie i przyzwyczajenie do wyżycia seksualnego. Myśli co prawda były inne, poważniejsze, lecz ciało pozostało to samo, rozbudzone. Różnie bywało... W pierwszych latach ulegałam fali przyływów krwi gorącej i wzburzonej, później jednak zdołałam oprzytomnieć i urządzić się w sposób spokojniejszy, na chłodno. Butelka wódki i kieliszek wódki mają ten sam smak, tylko tyle, że butelka szkodzi zdrowiu, natomiast kieliszek dobrej wódki, używany w miarę, zaostrza apetyt. Brzmi to, Anno, nieco cynicznie, lecz bliskie jest prawdy i życia.

Milczałam, a Leokadia mówiła dalej, głosem już opanowanym i spokojnym. Cedziła słowa, jakby je odmierzała, jakby ich skąpiła.

- ...Lata bieły. Na nowe małżeństwo nie miałam ochoty. Po wyjściu z jednego jarzma nie chciałam wkładać szyi w następne. Urządziłam sobie spokojną kuchnię. Zrezygnowałam z błyskotliwych zabaw i ustaliłam sobie wyrozumowany styl życia. Spokojny, chłodny, świadomy swoich pragnień i znający rozsądne granice. Zamiast wędrować od jednego kochanka do drugiego, wybierałam sobie tylko jednego i starałam się wychować go odpowiednio do moich potrzeb. Gdy zmieniałam kochanka, porzucałam go już na stałe i koncentrowałam się wyłącznie na nowym. Dotrzymywałam mu jakby wierności i w zamian tylko tego samego wyczekiwałam i żądałam. Warunki określałam jasno, jakby po kupiecku. Nie oszukiwałam, z góry wykladałam, czego chcę i czego oczekuję.

Filozofię, o której opowiadam, odkryłam dopiero w moich czterdziestych latach. Sześć lat temu. W tym czasie miałam kolejno tylko dwóch kochanków, pierwszy odpadł po dwóch latach, drugi w czerwcu, natychmiast po nadejściu wiadomości o śmierci Gotfryda Braunholda.

Zadrzałam przy tych słowach, a Leokadia zapytała mnie zdziwionym głosem:

- Dlaczego cię to uderzyło, Anno? Tak, porzuciłam kochanka. To był dobry kochanek. Znasz go zresztą, tak, to Jerzy, ów kolega z banku.

Po chwili dodała:

- Postanowiłam wyjść za mąż. Mam już, jak słyszałaś, czterdzieści sześć lat. Jestem zatem w takim wieku, gdy mężczyźni nie mogą oczekiwać od kobiety rodzenia dzieci. W ten sposób, wychodząc obecnie za mąż, nie odrę mego przyszłego męża ze złudzeń, że mógłby jeszcze ewentualnie zostać ojcem. Bo i tacy bywają mężczyźni, nie wszyscy są źli i nie wszyscy idą drogami... Braunholda. Zrywając z kochankiem, pragnęłam wobec samej siebie stworzyć trwałe usprawiedliwienie, że uczciwie zabieram się do tego małżeństwa, które w moim wieku może być jedynie małżeństwem opartym na przyjaźni.

No, i - dokończyła Leokadia z łagodnym uśmiechem - trzeba dokonać wyboru mężczyzny, który by zrozumiał zdrowe wymagania? Czy nie tak?

Uścisnęłam jej obie ręce i podnosząc się z lekka znad poduszek, powiedziałam jej:

- Dziękuję ci, kochana Leokadio, dziękuję, to dla mnie temat do rozmyślań o mojej przyszłości. Ale powiedz mi, jak to urządzić? Ty masz dużo doświadczenia, a ja mam jedynie pragnienia, które tak trudno zaspokoić. Dość już zaznałam strachu w ciągu ostatniego tygodnia. Takie tygodnie postarzają kobietę, a ja - dodałam weselej - w tym wszystkim chodzi przecież właśnie o utrzymanie młodości!

Leokadia roześmiała się. Spojrzała następnie na mnie i żywo powiedziała mi na pożegnanie:

- Trudna i niebezpieczna byłaby jakaś rada! Niestety, każda z nas musi na własną rękę podejmować próby. Idealny kochanek, to znaczy powolny naszym marzeniom, to bardzo rzadki okaz.

Wymawiając te słowa, Leokadia nachyliła się nade mną, pocałowała mnie w czoło i prawie uciekła z mego pokoju.

Utrwaliłam słowa przyjaciółki w moim czarodziejskim bloczku i oto stoję wobec nowych zagadnień. Dowiedziałam się różnych rzeczy. Blondyn otrzymał dymisję. Zdziwiająca jest stanowisko Leokadii. Ma mocny charakter. Córka twardych chłopów z polskiej wsi. Blondyn jest do wzięcia. Śmieszny pomysł z mojej strony. Rzymski niewolnik, raczej niewolnik rzymskiej kobiety. Przedmiot - a tylko one były podmiotami. Własność. Jerzy własnością Anny. Szkoda, że nie można nabyć lub wypożyczyć. Ach, wypożyczyć...

Wtorek - 20 października

Dzisiaj Irenka złożyła mi wizytę. Po raz pierwszy z mężem. Przed egzaminami byli mocno zajęci. Studencki mąż już po magisterce i obecnie ślęczy całymi dniami w bibliotekach nad gromadzeniem materiałów do swego doktoratu. Poważny chłopiec, ale i w obecnej Irencie nie można by się ani trochę dopatrzeć dawnej lekkomyślnej studentki. Zdała trzeci egzamin prawniczy - o dziwo - z wynikiem dobrym. Całkowita odmiana. Zaprosili mnie do siebie na sobotę. Bardzo delikatnie wspomnieli o imieninach - Rafał. Naturalnie pójde z prezentem. To jedyna inteligentna koleżanka na uniwersytecie, z którą można porozmawiać na mądrzejsze tematy.

Już wkręciłam się w kierat ostatniego roku. Zdecydowałam się napisać pracę u Nadobnika. Wszyscy mówią, że to człowiek o gołębicim sercu. Chciał dać mi trzy tematy do wyboru, ale gdy spojrzałam w jego pocziwe oczy, zrezygnowałam z wybierania pracy i zatrzymałam się na jego propozycji: „Śmiertelność w Polsce”. Naturalnie pracę napiszę bez jakichś zamiarów ogłoszenia jej drukiem. Takich ambicji nie posiadam, pracę napiszę, bo muszę, lecz na tym koniec.

W późniejszym trochę terminie rozpoczęłam lekcje języka francuskiego. Zakwalifikowano mnie na średni kurs, poszło zupełnie dobrze i odtąd codziennie rano będę zabierała do mojej torebki dwie karteczki, jedną z repetycjami słówek angielskich, drugą z francuskimi, których jeszcze nie znam. Jestem uparta, opanowałam już przeszło dwa tysiące słówek angielskich z pisownią i wymową. To była bardzo dobra metoda w odniesieniu do języka angielskiego ze względu na odmienny rodzaj gramatyki. Z francuskim pójdzie łatwiej, od lutego będę uczęszczać dwa razy w tygodniu na wykłady o literaturze i kulturze francuskiej.

W życiu trzeba sobie stawiać odważne cele. Przemyślałam to dobrze podczas mojego pobytu w Działdowie. Nie ma najmniejszego sensu wędrować ustawicznie między Krynicą i Zakopanem.

Po dyplomie wyjadę na wakacje do Francji. Może jakoś przełamie woale tajemnicy Marcina i Florencji, gdy wyląduję w domu krewnych Florencji, o których mówią, że nie brakuje im pieniędzy.

Niedziela - 25 października

Przyjęcie było skromne. Goście z Wilna, siostra naszego magistra z mężem. Lekarz dentysta. Mili ludzie, nawet weseli, ale ta ich wileńska wesołość owiana jest jakimś smętkiem. Osobliwa wymowa, przeciągająca i śpiewna. Irenka mieszka wygodnie. Duży pokój z dwoma oknami na drugim piętrze przy ulicy Działyńskich, Widać staranność w prowadzeniu gospodarstwa. Męski gabinet, w ciężkim niemieckim stylu, uzupełniony nowoczesnym tapczanem. Pokój z całkowitym utrzymaniem, bez studenckiego pitraszenia. Życzę im jak najlepiej. Ona zapłaciła ponury haracz za lata, powiedzmy... lekkomyślne.

Poniedziałek - 26 października

Dokonyję manewrów strategicznych. Podjęłam dzisiaj z Banku Gospodarstwa Krajowego dwa tysiące i wpłaciłam je w banku Leokadii i pana Jerzego. Tak manewrowałam, aby ze mną rozmawiał. Udało się. Pytał mnie nawet, dlaczego marynuję się w domu.

Ciekawe, on chodzi obecnie na trzeci rok prawa. Zaczął późno, ale zaczął. Powiedział dzisiaj, że do tego namówiła go Leokadia. Tyle wyniosłam z bytności w banku, że były przyjaciel Leokadii odwiedza małego Dobskiego. To jest już coś warte, ponieważ tam nie chodzi obecnie moja przyjaciółka. A może lepiej zapytać Leokadię? Ale to byłoby mocno głupie, w dodatku - jak?

30 października

Byłam w kawiarni. Rozmawialiśmy pół godziny. Nie wypadało dłużej, udawałam, że umówiłam się z koleżanką, później wycofałam się pod pretekstem wykładu. Rzeczywiście niegłupi chłopak. Dobrze zbudowany. Spokojny typ. Pochodzi z Torunia, brat ma tam zakład stolarski, po ojcu. Opowiadał o narzeczonej! Ciekawe. Czy Leokadia o tym wiedziała? A to dobre! Ale do ślubu jeszcze daleko, jest dopiero na trzecim roku prawa. Marzy o adwokaturze, ale to są sprawy bardzo odległe. Po skończeniu uniwersytetu wróci do swego rodzinnego Torunia i tam pójdzie na aplikację. A kiedy ślub? O tym nie wspominał. Nie ma jeszcze trzydziestu lat. Trochę jednak późno, jak na historii z aplikanturą.

Dlaczego mężczyźni zawsze opowiadają kobietom o swojej przeszłości i aktualnych zamiarach? Przecież ja rozmawiałam z nim tylko parę razy w życiu, ot tak, przygodnie, podczas przyjęć u Leokadii. Może on uważa mnie za jakąś jej powiernicę?

Czy ona rozmawiała z nim o mnie? Nie umiem odpowiedzieć sobie na te pytania, brak mi dowcipu.

W każdym razie spokojny, wysportowany, ma zdrowe zęby i nie pali papierosów. Ubrany jest bez zarzutu. Bez przesady i solidnie. Paznokcie ma gładko obcięte, oszlifowane, lecz bez malatury, jak to obecnie jest modne u mężczyzn. Na przykład u mojego „znajomego” z Działdowa.

31 października

Rozmawiałam przygodnie z Irenką. Zapytywałam odważnie, jak sobie radzą z problemem dziecka. Powtarzała mi, dość zdziwiona tym pytaniem, historię o japońskim kalendarzyku, a w zakończeniu wspominała o gorących kąpielach i zażywaniu dawek sporyszu, co podobno pomaga w samych początkach. Naturalnie dość zręcznie retuszowałam moje pytania, mówiąc, że pytałam jedynie z uwagi na to, że w ich wypadku dziecko zakłóciłoby okres kończenia studiów i doktoratu pana Rafała. W odpowiedzi usłyszałam całkiem naturalne opowiadanie, że ostatecznie urządziliby się z gospodarstwem trochę inaczej, wynajęliby mieszkanie, sprowadzili meble, przyjęli służącą. Jak to dobrze, gdy się ma pieniądze. Można nie tylko spokojnie studiować, ale nawet rodzić dzieci bez ograniczeń. Ale Irenka dodała równocześnie, że na razie nie chcą dzieci, i na tym zakończyła się nasza rozmowa.

Mąż bardzo często przychodzi po swoją Irenkę na uniwersytet i zabiera ją z sobą, jak matka małe dziecko z ochronki.

Czwartek - 5 listopada

Jak zwykle, Zośka nad ranem z Katowic. Z powrotem w dobrej formie i z dobrze przysnurowanymi piersiami. Moje piersi są już znacznie większe, ale jej piersiątką jak u mamki. Dobrze wygląda i zadowolona. Śpi, ja piszę to w przerwie wykładowej, gadanie będzie jak zwykle w nocy.

Sobota - 7 listopada

Robi się coraz zimniej. Paraduję już w moim futrze podbitym lisami. W dalszym ciągu bez zmian. Trwam w niewinności. Jakoś o tym na ogół mało myślę. Mam tyle zajęcia, że wieczorem najchętniej wyciągam się na łóżku i wypoczywam. Nie myślę nawet o niebieskich

migdałkach i wysypiam się. Nic mi się nie śni, przynajmniej nic nie pamiętam i rano trudno mnie obudzić.

Kolosalnie dużo wiadomości. Ojciec kupił na licytacji drugi dom za 60 tysięcy. Stracił na tym interesie ponad pięć tysięcy, ale Zośka mówiła, że adwokat i to wybębni na dłużniku; to są sprawy wekslowe i podobno jakieś ukryte wartości... Ojciec widać zaczyna ruszać się w interesach i otrząsnął się już z apatii.

Druga wiadomość: Stefcia wyszła za mąż za jakiegoś rzemieślnika z fabryki, gdzie pracuje jej ojciec. Wszystko poszło bardzo zręcznie, nazwisko ojca nie dotarło do sądów. „Posag” Stefci wyniósł okrągło pięć tysięcy złotych, a jej ojciec dostał dodatkowo tysiąc złotych za pośrednictwo w tym interesie. Wszystko załatwiono bez ojca. Zośka mówi, że na pewno wetknął Stefci do ręki jeszcze trochę pieniędzy, ale to nie jest ważne. Grunt, że sprawa się skończyła i mąż Stefci uznał dziecko za swoje, tak zapisano w papierach urzędu stanu cywilnego. Nareszcie! Ale komu była potrzebna ta cała histeria z lataniem, jeżdżeniem i ciągnięciem głupiej Stefci po doktorach i po fabrykantkach aniołków? Ojciec, a taki histeryk.

Zośka mówi, że wróciła do swego regularnego fatyganta. Postanowiła wystrzegać się przygodności i tak zwanych okazji. Ma rację. Niech się trzyma stałego abonamentu, jeżeli teatr jest dobry i solidny. Lepszy tak zwany murowany, żelazny repertuar aniżeli modne sztuki, grane jeden raz wobec pustej sali. Pusta sala to takie sobie pokoiki z przyciemnionym światłem i bez gorącej wody w łazience.

Łapię się w tej chwili na pewnego rodzaju ekshibicjonizmie. Nie wymagam bowiem zaciemnienia, wprost przeciwnie, uważam, że ciemność nie tyle dodaje uroku, ile właśnie światłość... wygody. W dodatku również inne rzeczy...

Poniedziałek - 9 listopada

Obie z Leokadią otrzymałyśmy zaproszenie do Warszawy na imieniny Florencji. Leokadia jest bardzo zadowolona z zaproszenia i mówi, że pojedzie. Ja tym bardziej!

Niedziela - 15 listopada

Kruczek rozwiął się we mgle. Dostał poprawkę przed wakacjami, a następnie oblali go na amen po wakacjach. Opuścił całkowicie Poznań, nie będzie kręcił się w mym pobliżu ze swoją twarzą, która stanowi ciężką obrazę dla każdego lustra. Dość nieszczególnie wygląda to podzwonne dla mojego pierwszego kandydata do ręki, no, ale trudno. Pana Stanisława również nie widuję. Może zjawi się w Poznaniu dopiero w okresie karnawału, z niego zdaje się taki właśnie karnawałowy student...

Z blond-niewolnikiem jakoś nie posuwa się naprzód. Obchodzę się własną samotnością. Leokadia dotrzymuje mi wiernie towarzystwa.

W tym tygodniu mamy razem z doktorem obejrzeć dom, który następczą do kupna. Doktor doradzał kupno willi z ogrodem, lecz ja osobiście głosowałam za kupieniem porządnego domu z większymi mieszkaniami i porządnymi lokatorami, bez hałasów. Doktor wyśmiewał się z mojej praktyczności kupieckiej i z miejsca zaofiarował Leokadii swoją kamienicę przy ulicy Wyspiańskiego, gdzie mieszkamy. Podchwyciłam subtelność wyrażenia doktora: ofiarowywał kamienicę, a nie sprzedaż swojej kamienicy. Podczas wymawiania tych słów bardzo miękko patrzył na Leokadię, lecz ona była tak zaaferowana domami, że tego nie zauważyła. Przy okazji powiem jej o tym.

Leokadia mogłaby cedować mi tego swego byłego przyjaciela, jej już nie jest potrzebny, a ja oszczędziłabym sobie czasu i starań. W dodatku brakuje mi dowcipu. Ale to głupstwo, na pierwszym planie obecnie imieniny Florencji. Wydam na tę eskapadę z pięćset złotych, ale warto.

Niedziela - 22 listopada

Kupiliśmy kamienicę. Na Matejki, w naszym pobliżu. Sto osiemdziesiąt pięć tysięcy. Trzydzieści tysięcy zostaje na hipotecę, a resztę zapłaciła Leokadia gotówką u notariusza w naszej obecności. Poszliśmy na tę ceremonię wspólnie z doktorem, później starzy właściciele zaprosili nas na śniadanie do „Hungarii”.

Nie myślałam, że Leokadia rozporządza takim majątkiem w gotówce. Mówiła w dodatku, że mogłaby ostatecznie nabyć dom bez hipoteki, ale procent niewysoki i niech obecne komorne spłaca resztę ceny kupna.

Wtorek - 24 listopada

Popęłiłam szaleństwo. Weszłam do jubilera, aby nabyć jakiś upominek w cenie stu złotych, a kupiłam pierścionek za 650 złotych. Nie przyznałam się do tego nikomu, nawet Leokadii. Włożę go na palec Florencji i tak ją ucałuję, że nie odmówi przyjęcia. Ładny w kolorze kwadratowy szmaragd i prawie nic złota. Moc zielonej jasności. Dla Florencji - co powinna należeć do Marcina, który pije wino, a młynom pozostawia wodę... Bardzo mi się podoba to stare przysłowie francuskie i bardzo jest podobne do mojego stryjka...

Czwartek - rano

Już jesteśmy gotowe i jedziemy zaraz po obiedzie. Teraz mamy pójść obejrzeć dokładnie nasze przyszłe mieszkanie, to znaczy Leokadii, w którym i ja mam również zamieszkać. Trochę mi żal mojego pokoju w mieszkaniu doktora Michalskiego i naszych wspólnych rozmów. Doktorowi będzie smutno bez nas.

Niedziela - 6 grudnia

Już bity tydzień upłynął od mojego powrotu z Warszawy. Było krótko, lecz dobrze. Moc nowych wiadomości.

W pociągu jakoś zgadło się i Leokadia wspomniała, że doktor Michalski oświadczył się jej niemal tuż po otrzymaniu przez nią wiadomości o zgonie Braunholda. Już wówczas Leokadia bardzo grzecznie podziękowała starymu doktorowi za tyle życzliwości, doktor nie dał jednak za wygraną i po raz drugi oświadczył się w Krynicy. Moja przyjaciółka i tym razem wykazała wiele taktu i w dalszym ciągu pozostała w mieszkaniu doktora. - Całe szczęście - mówiła - że mieszkamy właściwie we dwie razem. Tym razem służę za przyzwoitkę.

Nie na tym koniec. W Krynicy koło Leokadii kręcili się dwaj Jamborowie. Mój stryj i ojciec. Zdobyłam się na odwagę i zapytałam Leokadię, który z nich miał więcej szans, na co mi odpowiedziała z miejsca: „w każdym razie nie pan Benon Jambor”. Pytałam w dalszym ciągu i usłyszałam, że Leokadia pragnęłaby urządzić sobie życie równocześnie spokojnie i wesoło, a mój ojciec nie daje gwarancji co do pierwszego warunku, a o drugim nie ma nawet mowy.

- To tylko kupiec - wyrwało się mojej przyjaciółce - a w moim wieku potrzeba już trochę wspaniałości i gestu. Samo robienie pieniędzy dobre jest jedynie w młodości, gdy się myśli o ustaleniu sobie przyszłości. Później cały dowcip leży w tym, by umieć w sposób przyzwoity i nobliwy używać majątku. Spekulacje z domami itp. powiększają co prawda majątek, lecz przeszkadzają w używaniu życia.

Mój ojciec, według Leokadii, nie nadaje się do podróżowania po świecie i stworzenia sobie przyjemnego otoczenia wśród przyjaciół. Nawet gra w brydża nie może być wymuszona, a mój ojciec, gdy siada do stolika z kartami, ma podobno taką minę, jak by robił z siebie jedynie ofiarę towarzyską. W życiu trzeba się śmiać często, a nie marszczyć w milczeniu brwi, ludzie tego nie lubią.

- W dodatku - uśmiechnęła się do mnie Leokadia - jeszcze tylko co najwyżej dziesięć lat, a później nastąpi już próba wielkiej przyjaźni, starość, trzeba o tym pamiętać. A twój

ojciec, Anno, nie nadaje się na przyjaciela i powiernika. Jego ewentualna żona byłaby zmuszona robić wszystko, sklep, dom, łóżko, ale przede wszystkim życie jej byłoby wypełnione metrem, rachunkami i klientami. Mam już dość banku, mimo że tam sytuacja była mocno odwrócona - było raczej lekkie życie, klienci uśmiechali się do mnie. A w takim waszym Wąbrzeźnie żona musiałaby osobiście pilnować upieczenia szarlotki z cynamonem i przygotowania niedzielnej boli z wina dla panów kupców, którzy graliby w skata po dziesięć groszy, w spodniach i kamizelce bez marynarek.

Jak ta Leokadia dobrze zna nasze stosunki! Gdy opowiadała, niemal widziałam przed oczami obraz naszego niedzielnego popołudnia w Wąbrzeźnie. Nic dziwnego, że nawet szwagier Tuchołka uciekł z tego domu i odczepił się od wspólnego gospodarstwa.

Byłam tak zaaferowana szczerością Leokadii, że nie dopytywałam się o stryjka Pawła. Później nasz przedział wypełnił się pasażerami, co położyło kres rozmowom bardziej osobistym.

Mieszkałyśmy w „Bristolu”, w podwójnym numerze z własną łazienką. Bardzo elegancko, nie wypadło zostawiać Leokadii samej w hotelu, a z drugiej strony było takie urwanie głowy z przyjęciem, że nawet Florencja straciła równowagę. Właściwie były trzy wieczory imieninowe: w piątek - w mieszkaniu Florencji oraz dwa duże przyjęcia, w dzień imienin i w niedzielę. Te odbyły się w willi na Żoliborzu. Otworzono parterowe apartamenty, zdjęto pokrowce z mebli i przebywałyśmy w atmosferze wiejskiego pałacyku. Dopiero teraz ożyły ściany i błysnęły dziełami sztuki malarskiej. Zgromadzono tam pamiątki bogactwa i sławnej przeszłości rodziny kresowej, która straciła ziemię, lecz przypadkiem ocalała z pożogi wojennej wiele miłych ruchomości.

Nie rozumiem tego wszystkiego. Parter willi stoi nie zamieszkały, stryjek zajmuje pierwsze piętro, a Florencja gnieździ się w dwóch pokoikach w śródmieściu Warszawy. W dodatku oboje pracują i pozostają raczej na skromnych posadach. Pensja stryjka wynosi koło tysiąca złotych, Florencji zaledwie połowę tego, natomiast jako dekoracja czy tło życiowe - willa wypełniona zabytkowymi meblami i drogocennymi obrazami. Generałowa mówi, że stryjek siedzi w różnych radach nadzorczych, ale to nie może chyba przynosić majątku. W dodatku tkwi za granicą, na jakichś studiach. Nie rozumiem również willi w Bazylei, która podobno jest własnością stryjka. Nic a nic nie rozumiem, jestem jak tabaka w rogu, a nie mam się kogo zapytać. Nie wypada czy jakoś nie wychodzi.

Na obu przyjęciach było w ogólnej sumie ponad sto osób. Główne przyjęcie odbyło się w sobotę i trwało prawie do rana. W mieszkaniu zjawiała się dodatkowa służba, przyzwoicie ubrana. Przyjęcie kosztowało dobre parę tysięcy - ocena Leokadii. Prezenty, które otrzymała Florencja, były warte drugie tyle. Cóż, kiedy przeważnie kwiaty i kwiaty. W mieszkaniu znalazło się w tych dniach znacznie więcej kwiatów niż w niejednej, nawet dużej kwociarni. Leokadia ofiarowała również kwiaty, wspaniale kwiaty; mówiła, że nie wypadało ofiarować czegoś innego wobec zbyt świeżej znajomości.

Z moim prezentem było rozbrajająco miło. Florencja ucałowała nie serdecznie, natychmiast zdjęła z palców inne pierścionki i zostawiła jedynie sygnet z szafirem, który nosi na małym palcu lewej ręki. Mój szmaragd włożyła również na palec lewej ręki, na prawej pozostawiła sobie jedynie wąską obrączkę platynową, obłożoną dookoła brylantami, podobno pamiątka po matce. Na przyjęciach Florencja wystąpiła bez biżuterii, zatrzymując jedynie to, co opisałam.

Obaj moi stryjkowie byli zadowoleni ze szmaragdowego upominku, którym Florencja od razu się pochwaliła. Mój ojciec nie przybył na imieniny, mimo że zapraszali go obaj bracia. Nadesłał jedynie listowne życzenia, tłumacząc się, jak zwykle, chorobą. Dodał jeszcze ważne zajęcia na miejscu; to ostatnie było niezręczne, widać, że mój ojciec nie nadaje się do szerszych stosunków towarzyskich.

Leokadia wyglądała bardzo dobrze i obracała się bez jakiegokolwiek onieśmienia. Zabrała z sobą do Warszawy całą furę różnych toalet. Dowiedziałam się przy tej okazji, że odpowiedni dobór toalet wymaga nie tyle wielkich sum gotówkowych, ile uwagi w doborze oraz systematycznego odświeżania i dokonywania różnych przeróbek. Co do mnie, to tylko Leokadii zawdzięczam moje ostatnie trzy kreacje typu wieczorowego i wizytowego. Kosztowały mnie stosunkowo tanio. Różową suknię balową przerobiono mi bardzo zęcznie na sukienkę nadającą się właśnie na imieniny. Ze złotego brokatu krawcowa zmajstrowała coś w rodzaju małego bolerka. Oprócz tego miałam dwie sukienki z czarnego jedwabiu, jedną z połyskiem, a drugą przybraną starym srebrem. Dwie pary płyciutkich czółenek. Naturalnie warszawskie. Jeden z czarnych materiałów ofiarowała mi Zośka na imieniny jeszcze w okresie gdańskiej eskapady. W każdym razie doprowadzenie mojej garderoby do porządku kosztowało ponad tysiąc złotych. Srebrny lis, pierwszy dar stryjka Marcina, na razie dopełnił całości.

Po powrocie do Poznania zaraz zaczęłam rozglądać się za strojami na nadchodzący karnawał. Trzeba o tym pomyśleć zawczasu, później będzie tłok u krawcowych. Za pół roku koniec z uniwersytetem. Posiadam jeszcze przeszło pięć tysięcy złotych - nie ma sensu ścisnąć pieniędzy w kieszeni i patrzeć, jak się inne bawią.

Już sobie zrobiłam obliczenie. Siedem miesięcy po trzysta złotych, tysiąc złotych na stroje w karnawale, tysiąc złotych na zimowe wakacje w Zakopanem i tysiąc złotych w ręce po uzyskaniu dyplomu. Niezależnie od dziesięciu tysięcy po dziadku nacisnę ojca o pieniądze na urządzenie się, a gdy nie da, zażądam rozliczenia z obu domów wąbrzeskich, które stanowią niepodzielony jeszcze spadek po naszej matce. To byłoby głupstwo, gdybym ja miała ścisnąć grosze i może pracować za byle jakie pieniądze, podczas gdy ojciec wyposaża różne Stefie! Kto wie, czy tam znów nie kręci się jakiś kiciuś...

Poniedziałek - 7 grudnia

Napisałam do Zośki w sprawie materiału na dwie suknie balowe. Przecież tkwiłam dwa tygodnie w sklepie, należy mi się takie wynagrodzenie.

W tych dniach będę miała sporo latania. Trzeba kompletować ciepłe rzeczy na wakacje w Zakopanem. Wesoło nam będzie. Przyjadą obie Elfrydy, Heinrich i Florencja. Gdańsk zwali się naprzód do Poznania i dalej już pod moją opieką. Oni nie umieją przecież po polsku. Doskonały pomysł ze świętami w górach.

Szkoda, że Leokadia zostaje w Poznaniu, ale musi pilnować świeżo kupionej kamienicy. Coś tam przerabia i doprowadza do porządku.

Studia nie sprawiają mi wiele kłopotu. Dobrze, że już niedługo koniec, mnie to wszystko przestało już bawić, a czasami nawet wręcz denerwuje. Puste formalności, stracony czas, niewiele przydadzą mi się te dodatkowe wiadomości, chyba jedynie sam dyplom. W dodatku przekonałam się, że grubsze pieniądze można robić również bez dyplomu.

Krystynek napisał kilka mądrych listów. Powodzi mu się dobrze i pisze, że mieszka w pokoju, który przed rokiem zajmowały obie Elfrydy. Angielscy kuzynowie są podobno bardzo dystyngowani. My, pisze mój brat, wyglądamy przy nich jak barbarzyńcy. Ale powoli się przetrze i Krystynek zadomowi się w Anglii, czego mu życzę z całego serca. Ja jedna z całego rodzeństwa dobrze go rozumiem.

Z Jerzym jakoś w zawieszeniu. Ani w prawo, ani w lewo. Może on nawet nie byłby temu przeciwny, lecz boi się zapewne dawnej kochanki. Któż to może odgadnąć? Mężczyźni nigdy nie wiedzą, czego chcą, i rozdrabniają się na zbyt wysublimowane wyobrażenia.

Środa - 9 grudnia

Zbliża się moja trzydniówka. Jestem rozdrażniona. Stary doktor radzi, abym w obecnym okresie dbała o całkowity odpoczynek. Mam leżeć i powstrzymać się od wzruszeń, póki moje dolegliwości jakoś same nie przejdą.

Niedziela - 13 grudnia

Dzisiaj po obiedzie zostałam w mieszkaniu zupełnie sama. Doktor wywędrował na trzecie piętro do inżynierostwa na brydża, a kucharka ma swoje niedzielne wyjście do kumoszek. Ktoś od dłuższego czasu niepokoił dzwonek, co mnie w pewnym momencie zdenerwowało; ostatecznie nałożyłam na siebie generalski szlafrok jedwabiem do góry i otworzyłam frontowe drzwi. W pierwszej chwili myślałam, że to jakiś pacjent do doktora, i bezmyślnie wpuściłam go do hallu, jak to się zwykle czyni w wypadku, gdy nie ma pod ręką nikogo ze służby, a trzeba otworzyć drzwi.

Nie poznałam gościa. Dopiero gdy odgarnął kołnierz futra, jakieś nie znane mi przedtem ciepło przeszło moje ciało z dołu do góry. Odważnie wezwałam gościa do zdjęcia okrycia i zaprosiłam do naszego saloniku. Podczas gdy zdejmował futro, ja owinęłam się mocniej szlafrokiem i ściągnęłam sznurem w pasie. Chłodziłam. Szłam przodem, wskazując gościowi drogę, i różne myśli przebiegały mi przez głowę. Naprzód zapaliłam światło w kryształowej amplii u sufitu, następnie w lampie z abażurem, umieszczonej na kręconym postumencie w rogu pokoju. Po zgaszeniu amplii usiadłam w jednym z foteli w ten sposób, aby moja twarz znalazła się w cieniu, a gość raczej w świetle. Stół przedzielił nas na dobre i wówczas powiedziałam coś w rodzaju: - W jaki sposób dotarł pan do mnie? - co mogło równie dobrze oznaczać: w jakim celu zjawił się pan u mnie w dniu dzisiejszym?

Opowiadanie nie trwało długo. Gość był mocno zdziwiony chłodem przyjęcia. Tym bardziej że specjalnie przyjechał do Poznania, po drodze z Działdowa do Warszawy. Mówił, że miał zamiar zjawić się już dawniej, ale mu nie wychodziło z rozkładem czasu. Jeszcze dzisiaj tkwi w Działdowie. Co to mnie mogło obchodzić? Jego interesy nigdy nie były moimi interesami!

Atmosfera zrobiła się po kilku minutach jakaś niewyraźna, duszna. Rozmawiało dwoje całkiem sobie obcych ludzi. Magister prawa wyczuł osobliwość sytuacji, nie umiał jednak powstrzymać się do końca w chłodnym umiarze. Bąknął coś o miłych wspomnieniach i braku przyjemnych wrażeń po moim wyjeździe, ale to wszystko były tylko usiłowania nawiązania do dnia dzisiejszego, zszywane zbyt grubą i ordynarną nicią. Dodał nawet, że po tym, co... zaszło... spodziewa się, że nasza znajomość nie przerwie się, i tak dalej. W taniutkim guście. Słuchałam w milczeniu i po krótkiej już chwili mojemu gościowi zbrakło wątku do dalszej rozmowy. W dodatku byłam oddzielona od niego stołem. Siedzieliśmy uroczyście w fotelach Leokadii. Bordo aksamit i czarna oprawa z drzewa. Poważny perski dywan na podłodze. Bogata atmosfera.

Rozmyślałam na zimno. Taksowałam chwilę i okoliczności. Zastanawiałam się, czy równie chłodno zachowywałabym się w tych dniach, gdy kobietom otwierają się ręce na przyjęcie kochanków. A tymczasem mój gość paplał.

W końcu padły jakieś słowa: - No, i jakże będzie z nami?

Sytuacja w dalszym ciągu była dziwna. Gość był tak zmieszany otwarciem przeze mnie drzwi i moim zjawieniem się w domowym szlafroku, że przy powitaniu zapomniał podać mi rękę czy pocałować mnie w rękę. Być może dlatego, że ja nie podałam mu ręki, ponieważ byłam również mocno zaskoczona jego zjawieniem się w Poznaniu.

- To było już bardzo dawno - przemówiłam w końcu - trzy miesiące temu. Niewątpliwie każde z nas ma teraz nowe zainteresowania. Pan, ja... również. Miesiące rozdzielają, życie posuwa się stale naprzód - dodałam nieco sentymentalnie, lecz w dalszym ciągu z jakimś zimnym i mocno wymuszonym uśmiechem. - A zresztą to wszystko dla mnie zakończyło się bez powrotu. Bez powrotu - powtórzyłam.

Siedzieliśmy jeszcze kilka minut w milczeniu, rozdzielił nas nowy dzwonek do drzwi. Wyszedłam z saloniku, zostawiłam otwarte drzwi na korytarz. Tym razem był to pacjent do lekarza. Usadowiłam go w hallu, prosiłam zaczekać, porozumiałam się telefonicznie z trzecim piętrem i usłyszałam odpowiedź starego doktora, że zejdzie za kwadrans.

Po powrocie do saloniku zastałam mojego byłego kochanka zajętego oglądaniem obrazów na ścianie. Podeszłam cicho z tyłu i powiedziałam niskim głosem:

- Pan zapewne wyjeżdża dzisiaj? Na mnie również czas.

Młody człowiek tym razem schylił się do mojej ręki i złożył na niej jakiś zdawkowy pocałunek. Taki pocałunek za trzy grosze, jeden z tych, jakie składają znajomi mężczyźni na ulicy, w tramwaju i na imieninach u znajomych. Następnie spojrzał na mnie jakimś mętnym wzrokiem i wkrótce zostało już jedynie wspomnienie po odwiedzinach. Gdyby nie ślady popiołu w kryształach na stoliku, można by było uważać te odwiedziny jedynie za wytwór fantazji czy sen.

Przez jakiś czas siedziałam jeszcze w fotelu i wpatrywałam się w miejsce, na którym zasiadał mój gość. Jednak nie. Nie należy powracać do kochanków, od których już się odeszło i których oddzielił od nas czas i przestrzeń. Niewątpliwie były u niego inne kobiety. Nie warto byłoby zajmować miejsca w takim szeregu. Nie warto wylizywać talerzyków po konfiturach, skoro można fundować sobie następne dania z innych talerzyków. Leżę w łóżku rozbita i myślę jedynie o tym, by zasnąć.

Wtorek - 15 grudnia

Zośka przywiozła mi całą walizę różnych fatalaszków. Zabawiła w Poznaniu tylko kilka godzin i zaraz odplynęła do Katowic i Bielska. Nawet nie zdążyła porządnie rozmówić się ze mną, ponieważ latała po Poznaniu za interesami. Ojciec również już na dobre zajmuje się sprawami handlowymi, ale w dalszym ciągu jest ponury i zamknięty w sobie. Interesy z domami w Grudziądzu jakoś się wyglądają, adwokaci ściągają pieniądze od dłużników w sposób bezwzględny. Okazało się, że oprócz wiarygodności, podanych przez ojca Zośce w Krynicy, istniały jeszcze inne, mocno zawikłane. A zatem było tylko pół szczerości - jak to nazwała moja siostra. Jeszcze w dalszym ciągu pozostają poważne płynności wąbrzeskie, ale to dłużnicy bławatni, a zatem nieszkodliwe kwoty po paręset złotych. Płacą stare długi i zaraz biorą nowe materiały na kredyt. W ten sposób trzymają się starej firmy Jambor.

Mam dwa materiały na kostiumy. Jeden popielaty fresco, drugi dobre marengo. Zośka mówiła, że kobieta z dyplomem magistra powinna chodzić zawsze tylko w kostiumach według mody angielskiej. Nie wiem, czy ma rację, ponieważ obecnie coraz więcej kobiet uzyskuje dyplomy, a ulice nie tak bardzo są wypełnione kobietami w poważnych, urzędowo wyglądających kostiumach. Ale co mam, to mam. Ponadto Zośka przywiozła czarny materiał smokingowy i kazała mi zrobić sobie coś a la damski smoking. Mówi, że to będzie na poważne przyjęcia, gdy dostanę posadę.

- Przecież nie posadzą cię przy maszynie do pisania, lecz dadzą ci jakiś gabinet i paru kancelistów do pomocy.

Zośka jest niepoprawną optymistką. W każdym razie ma rację, ponieważ to już tylko pół roku, a później: do widzenia, kochany Poznaniu!

Trzy gotowe białe bluzki, moc bielizny i tuzin pończoch to dodatek do transportu Zośki. Pytam, co to ma znaczyć, ale siostra wyśmiała mnie, mówiąc:

- Kazałam to w Wąbrzeźnie zapisać na rachunek magistra Anny Jambor i udzielono ci kredytu. Na święty Nigdy - dodała po swoim.

Materiał na dwie suknie balowe mam otrzymać pocztą, bezpośrednio z Łodzi. Jeden w kolorze seledynowym, a drugi - biała mora.

Piątek - 18 grudnia

Rano. W tej chwili otrzymałam telegram z Gdańska. Podpisana ciotka Elfryda, przyjeżdżają już jutro rano. Wieczorem jedziemy do Katowic i po drodze odwiedzimy Michałów. W niedzielę dalej. Dobrze, że jestem już prawie gotowa.

Na jutro szykujemy wystawny obiad dla gości z Gdańska. Uśmiechnę się do naszej gospodyni. Ona lubi, gdy przyjeżdżają goście, wówczas jest w swoim żywiole. Uproszę Leokadię, aby była specjalnie miła. Ale do tego nie trzeba jej namawiać. Ta kobieta posiada wiele zalet towarzyskich. Umie uśmiechać się nawet do osób obojętnych i to właśnie zdobywa jej wielbicieli. Ale dość pisania - śniadanie, trzeba jeszcze lecieć do miasta załatwiać różne sprawy. Po gości wyjdę na dworzec, zjawię się na peronie, może kupić jakie kwiaty dla ciotki Elfrydy? To przecież miłe, że do mnie już przyjeżdżają goście! Widocznie wyrosłam z pensjonarki i zaczynają dostrzegać mnie w rodzinie. Oby jak najprędzej dyplom!

Czwartek - 17 grudnia

Dzisiaj rano odwiedził mnie szwagier Tuchołka. Dziwnie spoważniał ostatnio. Przybył do Poznania w sprawach swego banku. Zwierzył się, że już niedługo wyniosą się z Wąbrzeźna. Ma jakoby zostać starostą. Nie bardzo temu wierzę, ale zobaczymy. W każdym razie Piotruś traktuje mnie obecnie bardzo poważnie i z godnością. Rozmawia rozsądnie. Nie wiesz psów na naszym ojcu, o sprawach rodzinnych mówi z umiarem i powściągliwie. Ale skąd jemu do takiego stanowiska? To nie do wiary: Pelasia - panią starościna!

Mówił, że obecnie obsadzają starostwa ludźmi, którzy znają się na sprawach gospodarczych i politycznych. Wspominał, że i ja powinnam poświęcić się służbie państwowej. Ma jakichś znajomych w Warszawie, którzy go obecnie forsują. Podobno jest kurs na ludzi z Pomorza i Poznańskiego, którzy uchodzą w Warszawie za tęgich gospodarzy. Słucham tych opowiadań jak bajki o żelaznym wilku. Doktor potwierdza, mimo że sam jest nieprzejednanym endekiem. Szwagier zrobił dobre wrażenie na naszym starym przyjacielu. Gdzie się podział dawny Piotruś, który buchał po kilkanaście złotych z kasy sklepowej i wmykał się na piwo do wąbrzeskich knajp?

Wieczorem

Ostudzono mnie. Oblano zimną wodą, ale to może i lepiej. Wpadłam do Dobskiego i usiadłam jak zwykle w kąciку. Po jakimś kwadransie zjawił się pan Jerzy w towarzystwie mniej więcej duplikatu Leokadii. Tylko tyle, że duplikat w znacznie gorszym wydaniu. Podobna różnica jak między luksusowym wydaniem jakiejś książki a wydaniem popularnym. Blondynek uklonił się grzecznie, ale raczej chłodno i obojętnie. Dama ubrana wcale dobrze, ale bardzo daleko jej do Leokadii. Posiedziałam nad gazetami jeszcze z pół godziny. Niby czytałam krakowskiego Kurierka, ale było mi przykro i miałam uczucie, jak bym przegrała partię brydża, pomimo dobrych kart w ręce. Przufujarzyłam tego chłopczyka. Jego opowiadania o domu, narzeczonej i tak dalej... były mocno pociągające na bliższą metę, a tylko o to mi chodziło.

Z kawiarni wyszłam ze skwaszonym humorem. Idąc do Dobskiego, wyobrażałam sobie, że jakoś przygotuję dalszy grunt, a tutaj zaraz na samym wstępie spotkał mnie zawód. Podczas kolacji, rozmawiając z Leokadią, wspomniałam o dzisiejszym spotkaniu z blondynkiem. W cztery oczy, ponieważ doktora nie było w domu i jadłyśmy kolację w samotności. Przyjaciółka roześmiała się i powiedziała:

- No cóż? Pan Jerzy należy do mężczyzn, którzy zawsze muszą być pod władzą jakiejś kobiety, nawet w okresie narzeczeństwa z jakąś toruńską panienczką. Wiem o tym, ale to jest mi obecnie całkiem obojętne. Pocieszył się już dawno - w jakieś dwa miesiące. Tylko że niepotrzebnie afiszują się razem po lokalach. To stara klientka naszego banku, ma już dorosłe dzieci. Nieszczęśliwy gust. - Wymawiając te słowa, moja przyjaciółka skrzywiła się i zmieniła temat rozmowy.

Cieszę się, że po drodze wstąpimy do Katowic. W ostatnich czasach dużo myślałam o babci, śniła mi się nawet kilka razy. Zawsze pisuje do mnie bardzo serdeczne listy, interesuje się wszystkim. Może nie bardzo rozumie nasze dzisiejsze czasy, ale trudno, lata lecą i czasy zmieniają się nieustannie.

Właściwie za pół roku będę miała magisterkę, a sama nie wiem dobrze, co pocznę z tą moją „elegancką” ekonomią.

Ale to wszystko głupstwo. Przegrałam na innym polu. Ten Jerzy nie posiada widocznie gustu.

Swoją drogą takie wdowy robią nieuczciwą konkurencję młodym dziewczętom. Wdowom wszystko jest obojętne, mało ryzykują, mają już doświadczenie, na wszystko są gotowe bez zmruczenia oczu. W dodatku nie mają już wstydu w tych sprawach, są z tym otrzaskane. Wiedzą, czego mężczyźni potrzeba i co ich pociąga. I jak tu wyżyć! No, ale od jutra wakacje, a to ważniejsze od chłopców.

Już jestem prawie spakowana. Biorę dwie walizy, pled i narty. Pojadę w ciemnym kostiumie, nie wypada pokazywać się babci w narciarskich spodniach. Bardzo się cieszę na te wakacje. W dodatku nie będę się tłukła samotnie, jak to miało miejsce podczas mojej pierwszej bytności w Zakopanem. Zrobię, jak sobie przyrzekłam: przypnę narty do buciarów, machnę wesoło kijkami w tył i naprzód i tyle mnie będzie widać! Tyle łamagów jeździ na deskach, to i ja potrafię. Zresztą moja szkoła na Kalatówkach nie była zła, nie święci garnki lepia.

Obecnie bardzo dobrze wyglądam w kostiumie narciarskim. Jakoś zaczynają się wypełniać moje kształty, gimnastyka w Azetesie pomaga. Na wiosnę kupię sobie raketę i strój tenisowy. To pomaga do nawiązywania porządných stosunków. Dzięki Bogu, że hołota nie gra jeszcze w tenisa, na to trzeba mieć sporo czasu i głowę wolną od kłopotów. Mam nadzieję, że to pójdzie mi łatwo. Jestem wysoka i mam długie ręce i nogi. Już nawet nogi, a nie giry, zaokrągliły się moje łydki. Stopy cokolwiek za długie, ale nie rażą przy moim wzroście. Zresztą to tylko kłopot ze znalezieniem porządnego szewca i zapłaceniem trochę drożej. Od eleganckiego obuwia wiele zależy - trzewiki mogą zeszpeciść nawet najlepszą sukienkę. Pozostają jeszcze kostki u nóg, zbyt może grube są te „pęciny”, ale to znów kwestia umiejętnego trzymania nóg.

Jestem zemocjonowana jutrzejszą wizytą, byle wszystko dobrze wypadło. Naszej kucharce obiecałam prezent, jeżeli się wysadzi. Będzie indyczka z borówkami, a przedtem sandacz w galarecie. Sama kupowałam jubileuszowy koniak Winkelhausena, podobno dobry, mimo że krajowy. Ostry, mocny, z naszego Pomorza rodem. Wina dostarczy doktor Michalski, on ma niewyczerpany zapas win. Mówi, że lepszy niż w niejednym składzie. Kucharka zrobiła dwa torty, mocca i Fedorę, ona ma talent w tym kierunku.

Sobota - rano

A to niespodzianka! Przed chwilą dzwonił stryjek. Zamiast dzisiaj rano - przyjechali o północy i umieścili się w „Continentalu”. O dziewiątej spotkanie. Stryjek dzwonił, by mnie powstrzymać od leczenia na dworzec. Tyle zmian! Do kompanii przyłączył się stryj Józef, ale na krótko, bo nie pozwalają mu interesy. Przywieźli Marysię Kawczyńską. A to będzie wesoło! Pół naszego Gdańska w Zakopanem, moglibyśmy wypełnić jakiś mały pensjonacik!

Obiad udał się doskonale. Leokadia była cudowna. Wieczorem uroczysta kolacja i odjazd wagonem sypialnym do Katowic. Gdańszczanie wiozą dla siebie furę nart. Nawet stryjek Józef umie jeździć na nartach. Oni zawsze jeździli do Bawarii lub pod jakiś Hirschberg za Wrocławiem.

Wtorek - 22 grudnia

W Zakopanem wielki ścisk. Spadło wyjątkowo dużo śniegu i wszyscy pchają się na święta w góry. To podobno bardzo praktycznie, ponieważ nie trzeba urządzać w domu przyjęć, a z tym zawsze jest sporo kłopotu. Przeważają krakowianie i lwowiaczy. Gdyby nie znajomości Florencji, nie byłibyśmy dostali pomieszczeń dla wszystkich razem. Mamy trzy pokoje w hotelu „Stamary”. To bardzo blisko dworca. Heinrich z ojcem, Florencja z ciotką Elfrydą, a wszystkie dziewczęta w trzecim pokoju. Dwa potężne łóżka zestawione razem. Chciałyśmy losować kanapkę, ale kanapka jest zbyt mała i wąska. Nie nadaje się do spania. Będziemy się zmieniały. Bawiłyśmy się jak małe dzieciaki. Przypomniały się nam czasy pensjonarskie i rzucałyśmy w siebie poduszkami. Później losowałyśmy zapalkami i Marysia wylosowała dla siebie spanie w osobnym łóżku. Było śmiechu co niemiara, gęby się nam nie zamykały i pomimo zmęczenia przegadałyśmy do północy. Rano nie chciało się nam wstawać, ledwie wydostano nas z łóżek. Śniadania naturalnie pod brodę.

Korzystam z przerwy, ponieważ wszyscy wywiali kupować buty narciarskie dla Marysi. Florencja doskonale wygląda i bardzo się ucieszyła z przyjazdu Józefa Jambora. Marcin wraca do Polski w połowie stycznia, podobno ma wstąpić po drodze do Poznania. Koniec z pisaniem, trzeba gonić na Krupówki, mamy spotkać się u Trzaski. Pojutrze Wigilia.

Babcia bardzo się ucieszyła z naszego najazdu. Mnie specjalnie wyróżniała. Kilkakrotnie wspominała o moim bliskim dyplomie. Michałowie byli uprzedzeni z Gdańska. Michał dwoił się i troił, bo na złość, jedna pacjentka po drugiej, wiadomo - ginekolog.

Poniedziałek 28 grudnia

Siedzę sama w pokoju i płaczę. Babcia umarła w Boże Narodzenie. Telegram nas nie odszukał. W drugie święto cała nasza paczka wyjechała w góry, naprzód na Hałę Gąsienicową, a później do Morskiego Oka. Wróciliśmy dzisiaj w południe i zastaliśmy opóźniony telegram. Właśnie dzisiaj o godzinie trzeciej odbył się pogrzeb babci w Grudziądzu.

Nie mogę więcej pisać. Wakacje straciły dla mnie cały urok. Wszyscy mnie pocieszają, jak mogą, ale cóż z tego? To była moja babcia. Płaczę jak małe dziecko.

Sama nie wiem, co zrobię. Chyba wrócę wcześniej do Poznania.

Czwartek - 31 grudnia

Zrobiłam im duży kłopot. Rozchorowałam się ze zmartwienia. Sprowadzili nawet lekarza. Kazał mi zostać kilka dni w łóżku. Nic mi się nie chce, obrzydło mi nawet czytanie. Sylwester, a ja leżę w łóżku.

Nowy Rok - 1932

Jacy oni poczciwi. Wszyscy zostali ze mną aż do północy. Stryjek zakupił kilka butelek szampana, przy moim łóżku wypili za pomyślność Nowego Roku i dopiero po północy wyszli z hotelu, aby szaleć w lokalach. Ledwo ich uprosiłam, bo chcieli zostawić mi jedną z dziewcząt jako towarzyszkę samotności. Obie chciały równocześnie, Marysia i Elfryda, ale to byłoby nonsensem. Mnie nic nie jest, trochę zaziębienia i trochę rozklejonych nerwów, ale to przejdzie. Po wyjściu naszej paczki od razu usnęłam. Obecnie obie moje rówieśniczki śpią obok mnie w drugim łóżku. Nawet nie wiem, kiedy wróciły.

Nowy Rok. Koniec studiów. Co mi ten rok przyniesie? Na razie zaczynam go ciężką żalobą. Byłam niewdzięczną wnuczką. Nie pamiętałam o mojej babci. A ona pisywała do mnie tak często wyczerpujące listy i zawsze wypełnione dobrymi radami. Mnie zawsze coś ścisnęło pod sercem, gdy je czytałam, ale później zapomniałam o nich i myśli moje dążyły innymi torami. Babcia to była serdeczność, a ja od życia żądałam czegoś, czego sama nie umiałam i nie umiem w dalszym ciągu nazwać i określić.

Sobota - 2 stycznia

Już mi lepiej, jutro wyjdę na dwór po raz pierwszy. Ale tylko na krótko i w południe. Stryjka już nie ma, wyjechał w Nowy Rok wieczorem. We wtorek ubędzie nam Heinrich, zostaną same kobiety. Lekarz zatrzymuje mnie na miejscu do połowy stycznia. Mówi, że nie ma mowy o wcześniejszym opuszczeniu Zakopanego. Z nart nici, mam leżakować owinięta pledami. Nasz pokój ma balkon na południe. Nigdy nie liczyłam się z możliwością choroby i w dodatku teraz, podczas wakacji. A to prawdziwy pech! Z tegorocznymi projektami balowymi również koniec. Zbyt bliska śmierć babci. Zresztą wszystko mnie odbiegło i całe życie wydaje mi się jakieś szare i zamazane.

Poniedziałek - 4 stycznia

Florencja otrzymała nowy list z Francji, od Marcina. Nie pokazała go, tylko powiedziała krótko, że wraca koło dwudziestego stycznia. Jeszcze napisze o dokładnym terminie przyjazdu i na pewno zatrzyma się w Poznaniu. Przyjęłam tę wiadomość obojętnie.

Trzech Króli

Zostałam sama z Florencją. Ona również czuje się niedobrze, ale wiadomo, z jakich powodów. Zaprosiła mnie do swego pokoju i przegadałyśmy kilka godzin. Elfrydy poszły z Marysią na jakiś koncert do „Morskiego Oka”. Ciekawe. Florencja mówi, że przypuszczalnie ciotka Elfryda i stryj Józef pobiorą się w najbliższych dniach. Kiedy indziej byłabym przyjęła tę wiadomość z wielkim zaciekawieniem i hałaśliwą radością. W każdym razie to będzie dobre małżeństwo dla naszego stryjka. Elfryda Brun jest poważną kobietą. Skupiona i trochę w sobie zamknięta, ale ma dużo kobiecego wdzięku. Zapytam o to moją rówieśnicę. Właściwie ciotka Elfryda wychowywała wszystkich troje, nie tylko córkę swojej siostry, lecz również obu naszych młodych Jamborów. Stryjek zajmował się raczej wyłącznie interesami handlowymi, a Elfryda Brun trzęsła całym zjednoczonym gospodarstwem rodzinnym. Dlaczego oni wcześniej o tym nie pomyśleli? Na co czekali? Przecież chyba stryjek nie liczył na to, że Felicja powróci do niego? Ona ma obecnie inne dzieci ze swoim drugim mężem. Każda kobieta kocha zawsze więcej małe dzieci, zazwyczaj najmłodsze, ostatnie z dzieci.

7 stycznia

Dużo słońca i dużo śniegu. Owijają mnie kocami i leżą całymi godzinami wpatrzona w masyw Giewontu. Tuż pode mną przewala się cały ruch. W jednym kierunku, do dworca, i w odwrotnym kierunku, na Krupówki. Różni ludzie. Fiakry. Sanki. Narciarze. Piesi z tobołkami i walizami. Do Zakopanego i z powrotem do domu. Tutejsi i przyjezdni. Zakopane w dodatku jest już małym miasteczkiem i niezależnie od turystów mieści sporo chorych. Wszystko to wymieszane jest z sobą, turystyka i choroby, interesy, chęć dorobienia się, wyzdrowienia i użycia. Stare domki, a wśród nich nowe, na każdym kroku dwie jakby idee: wydania jak najmniej ze strony obcych przybyszów i obłupienia ich do ostatniej skóry ze strony tubylców oraz spekulantów, którzy zalegli tutaj, u stóp gór, by w różny sposób eksploatować krainę pięknych widoków i najlepszego powietrza w Polsce. To samo zapewne jest wszędzie, na całym świecie.

Elfryda potwierdziła przypuszczenia Florencji. O tym mówi się w rodzinie od dłuższego czasu, lecz na razie po cichu. Jej ojciec również się żeni. Daleko, w Anglii, z kuzynką Gardenów, z jakąś bliską krewną żony gdańskiego bankiera. Podobno niezbyt młoda, pisuje wiersze. Dobrali się, muzyk i poetka. Ojciec wybiera się nawet na stałe do Anglii, lecz córka zostanie w Gdańsku razem z ciotką Elfryda. Ile zmian!

A co obecnie robi młoda Elfryda? Bardzo prozaicznie pomaga stryjkowi Józefowi w drzewie na Hundegasse. Muzyk nie miesza się do spraw handlowych. Obecnie od miesiąca przebywa w Londynie. Dlaczego więc stryjek i ciotka nie pobrali się wcześniej? Na co

czekali? Stryjek ma równe 50 lat, ciotka jest niewiele młodsza od Leokadii. Tyle lat przebywali obok siebie i stykali się codziennie w tych samych mieszkaniach i prawie w jednym gospodarstwie.

Piątek - 8 stycznia

Dzisiaj leżałyśmy obie z Florencją obok siebie na leżakach. Rozmawiałyśmy serdecznie i w końcu odważyłam się zapytać.

- Dlaczego ty, Florencjo, nie wychodzisz za męża? Dlaczego Marcin się nie żeni? Przecież bardzo sobie odpowiadacie. Ja zawsze łączę w myślach was oboje.

Zaskoczyłam ją. Drgnęła, lecz uśmiechnęła się do mnie:

- Nie zawsze dzieje się tak, jak człowiek sobie w myślach roi. Ale skąd tobie, Anno, przychodzą do głowy takie pomysły? Owszem, Marcin i ja od lat żyjemy w wielkiej przyjaźni, ale zainteresowania Marcina idą raczej w innym kierunku. Moja siostra Patrycja...

I w tym miejscu Florencja dość krótko i bezbarwnie opowiedziała historię dawnych lat, gdy w jej rodzinie pojawił się młody doktor chemii. Było to w Szwajcarii, wówczas gdy po zakończeniu wojny stryj Marcin uciekł z Grudziądza. Dowiedziałam się wielu nie znanych mi historii. W chwili wybuchu wojny obie siostry przebywały w Lozannie, gdzie matka ich posiadała willę. Ojciec matki był bankierem w Petersburgu, a ojciec Florencji - o czym wiedziałam już poprzednio - carskim generałem. Z pochodzenia był Polakiem, lecz mocno już zniszczony - matka była prawosławna - posiadał nawet w Łukowskim mały dziedziczny mająteczek. W okresie wojny generał Zbysławski został wysłany w misji wojskowej do Francji, gdzie już został i nie powrócił do Rosji po wybuchu rewolucji. Żyje i przebywa w Lozannie. Siostra Patrycja mieszka z mężem i dwojgiem dzieci w Paryżu. Mąż Patrycji jest również z pochodzenia Polakiem, ale z powodu długiego przebywania we Francji, gdzie kończył studia, sfrancuział. Podczas wojny posiadał jeszcze obywatelstwo rosyjskie, lecz uciekł do Szwajcarii, by się uchronić od pójścia na front.

Małżeństwo z Patrycją zostało zawarte pośpiesznie i młoda para przebywała podczas wojny kolejno w Lozannie, a następnie w Bazylei, gdzie młody inżynier Krymułt przyjął posadę w fabryce chemicznej „Ciba”. W roku 1920 w Bazylei pojawił się na horyzoncie doktor Marcin Jambor i zostały nawiązane pierwsze kontakty towarzyskie.

- Marcin zakochał się w mojej siostrze - kończyła Florencja. A tuż potem zagadała o tym, że słyszała od Marcina o moich projektach wybrania się do Paryża zaraz po skończeniu poznańskich studiów. Rozmowa zeszła na inne tematy.

- Mój szwagier - powiedziała - jest człowiekiem zamożnym. Udało mu się, schwycił koniunkturę za rogi i dorobił się pieniędzy. A zresztą zobaczysz to wszystko na własne oczy. Już wkrótce, Anno. Zamieszkaż przecież u Patrycji.

Nie wypadało pytać o więcej. I tak wiele się dowiedziałam.

Sobota - 9 stycznia

Jutro wieczorem wszyscy mnie opuszczają. Florencji kończy się urlop w ministerstwie, a nasze gdańskie krewne muszą również wracać do codziennej pracy. Dzisiaj rano przysunęłam się do ciotki Elfrydy i uścisnęłam ją.

- A kiedyż to będzie?

Ciotka zrozumiała, o co pytam, i miękkim głosem powiedziała:

- Jeszcze w tym miesiącu, ale zrobimy to całkiem cichutko, bez rozgłosu. Weźmiemy cichy ślub w kościele katolickim. Wiesz dobrze, jak było z naszymi pierwszymi ślubami. To było już dawno postanowione, ale jakoś nie składało się...

A zatem ciotka Elfryda, Tante Elfriede, zostanie moją prawdziwą ciotką, stryjną. Dowiedziałam się również dalszych nowości. Stryj Paweł poważnie rozmyśla o małżeństwie z Leokadią. Nareszcie rozumiem rodzinną wizytę w Poznaniu! To było z powodu Leokadii, a

nie dla mnie, jak to sobie wyobrażałam w moim głupim, pensjonarskim jeszcze mózdzku! Historie muszą być zatem bardzo daleko posunięte. A właśnie ja o tym nic nie wiem i dowiaduję się na boku. Może również i sama Leokadia niewiele wie, co się kręci koło niej? Ale jeżeli odmówi również stryjkowi - odmówiła już doktorowi Michalskiemu? Ale doktor, a tutaj stryj Paweł. Chyba nie, teraz dopiero wiązę wszystko w całość. Jak ona mnie pięknie zagadała, gdy jechałyśmy do Warszawy na imieniny Florencji: opowiadała o moim ojcu, a nie wspomniała o stryjkę.

Niedziela - 10 stycznia

Wszyscy mnie już opuścili. Mam nowy pokój, z jednym łóżkiem i balkonikiem również na południe, tylko że na drugim piętrze.

Poniedziałek - 11 stycznia

List od Leokadii z Poznania. Mieszkanie gotowe. Już przeniesiono wszystkie moje rzeczy i urządzono mi pokój. Przyjadę do gotowego. Jakże prędko posuwają się różne zmiany w mym życiu.

Wtorek - 12 stycznia

Pocztówka z drogi od Elfryd i Marysi. Jutro rano wyjeżdżam. Rozkoszuję się słońcem, które jakby na pożegnanie dziwnie jest tego dnia mocne i wspaniałe. Może i zostałabym jeszcze kilka dni, ale czas ruszać. Zaczynam wracać myślami do mojego uniwerku. Trzeba będzie dobrze się przyłożyć, ponieważ nie ma sensu przewlekać do jesieni. Byle jak najprędzej uzyskać dyplom. Czeka mnie jeszcze wiele pracy. Mój ostatni rok - jak dotychczas - zupełnie nie przypomina mojego szkolnego kucia w pierwszym roku uniwerku. Gdy wspomnę, śmieję się obecnie w kulak z mojego „bardzo dobrego” stopnia na pierwszym egzaminie.

„Stamary” to miejsce, gdzie kobiety pokazują biżuterię, a panowie grube portfele. Jedno i drugie bez potrzeby. Biżuteria równie dobrze może być fałszywa, a pieniądze po prostu buchnięte z takiej czy innej kasy.

Czwartek wieczorem - w pociągu

Spędziłam cały dzień u Michałów. Jeszcze nie otrząsnęli się po stracie babci. Odeszła cichutko. Jeszcze w wieczór wigilijny była bardzo ożywiona i wspominała wszystkich wnuków, nas czworo, każde po kolei. Mocno całowała i tuliła do siebie naszą Kazię, która opowiada, że babcia, całując ją, jakby pragnęła w ten sposób ucałować nas wszystkich. Staruszka zasnęła w swoim fotelu nieoczekiwanie, gdy dzieci były w kościele. Nie zmieniła się po śmierci. W trumnie nawet miała spokojny, słodki uśmiech.

Nawet nie wiedziałam, że babcia już za życia rozporządziła obrazem prababki. Mnie on przypadł, a Michał prosił jedynie o pozostawienie go u nich na jakiś czas. Ma zamiar własnoręcznie wykonać kopię portretu i powiesić w tym samym miejscu. Obecnie doręczono mi różne drobiazgi, serdeczne upominki babci dla mnie, dla jej najmłodszej wnuczki. Zapakowane są do dwóch starych pudełek ozdobnych, w jakich dawnymi czasy przechowywano listy. Jedno z nich jest z drzewa czeczotowego, drugie wykonane zostało w stylu lat dawnych, z pluszu, obecnie już mocno wyblakłego. Niegdyś był to kolor ciemnego błękitu. Nie oglądałam jeszcze dokładnie wszystkiego. Być może nawet zbyt teatralnym ruchem ucałowałam właśnie to pudełko, gdy odbierałam je z rąk Kazi. Wsunęło mi również na palec staroświecki pierścionek. Trochę starego złota, drobna rzeźba z motywem róży, i prostokątny kawałek czarnego hebanu, w który wprawiony jest złoty herb. Stara to jest sztuka i Michał mówił, że pochodzi na pewno gdzieś z początku osiemnastego wieku. Przyglądałam mu się właśnie i rozmyślałam nad czasami, gdy moja prababka wkładała ten sygnet na swoje

długie, wąskie palce. Nigdy na pewno nie sądziła, że rodzinna pamiątka dostanie się do rąk Anny Jambor. Z córki na córkę, a obecnie wprost do rąk prawnuczki Anny. Mało złota, lecz wiele wspomnień i w tym właśnie tkwi wartość tej pamiątki po mojej babci. Michał oddał mi to wszystko bez żalu - jak mówił - tak postanowiła przed rokiem jego matka. Bardzo to ładnie z jego strony i pocziwie.

Prababka nazywała się von Rosenschwerth, na herbie figuruje jeszcze niezupełnie wytarty miecz, ostrzem do góry i otoczony jakby wieńcem z róż - stąd rodowe nazwisko. Nad tarczą - górna połowa rycerza w pancerzu i w hełmie, obróconego jednak bokiem w lewo i trzymającego w ręce taki sam miecz jak na tarczy. Wokoło labry. Tak mi to tłumaczył Michał, dodając, że o ile wyznaje się na niemieckiej heraldyce, to z układu tarczy i położenia rycerza nad tarczą wynika, że rodzina prababki pochodziła zapewne z nieprawego łoża jakiegoś znacznego rodu. Ale to były bardzo dawne czasy. Opowiadania zostały przepuszczone przez złotą siatkę legendy. Rycerskie intrygi i romantyczne miłości, zakończone w sposób banalny wiekiem czekowych kont i kawiarnianych kanapek.

Pierścionek prababki przechowam jako relikwię. Nie będę go jednak obnosiła na palcu. To byłby snobizm. Przechowam go w dalszym ciągu w pluszowym pudełku, pomiędzy pięczkami listów związanych również wyblakłymi już wstążeczkami. To są podobno listy mojej prababki pisywane w okresie monachijskiej miłości. Właśnie z okresu malowania portretu. Będę je odczytywała powoli, jeden po drugim, uważnie, po kolei, w chwilach, gdy będzie mi źle i smutno. To będą jednak listy tylko dla mnie. Dla nikogo więcej.

A teraz jeszcze raz spojrzę na pierścionek i po zdjęciu go z palca schowam z powrotem na dno pudełka. Koniec wspomnieniom. W Poznaniu oczekują mnie szare, codzienne dni w drodze ku jakiejś nieznannej przyszłości. Dlaczego wszyscy ludzie uważają się za jakieś cenne i kruche kryształki, gdy rozmyślają o swojej własnej przyszłości? Dlaczego w odniesieniu do samych siebie ceregielują się i chcieliby wymarzyć jakąś dobrą i miłą czy hojną i wspaniałą przyszłość?

Niedziela - 17 stycznia

Do Poznania przybyłam dobrze po północy. Miałam obiekcje, czy nie byłoby lepiej zanocować w hotelu, a rzeczy pozostawić w przechowalni kolejowej, ale zdobyłam się na męską decyzję i wpakowałam wszystko do taksówki. Z otwarciem bramy poszło bardzo łatwo, stróż był już uprzedzony, a w drzwiach, po zadzwonieniu, oczekiwała pokojóweczka z koronkami nad czołem i z koronkami na białym fartuszk. Wszystko od razu zauważyłam. Nawet czarną jedwabną sukienkę. Leokadia była nieobecna, wróciła do Poznania dopiero nazajutrz po południu.

Zaprowadzono mnie do „mojego” pokoju - i o dziwo - był to niemal dawny pokój Leokadii, tylko z niektórymi odmianami. Zamiast ciemnych skórzanych foteli ustawiono wesoły garnitur damski, kryty różowym jedwabiem w oprawie ze złoconego drzewa. Cztery równe foteliki przy okrągłym stole, przykrytym stonowaną w kolorze materią. Historyczny świecznik z różowymi abażurkami. Jedynie obraz Makartowski, zamiast nad łóżkiem, umieszczony w rogu nad wąską kanapką. Ze starego pokoju przywędrowało jedynie biurczko od starego doktora. Dobry dywan na podłodze, ten sam, który zdobił pokój Leokadii przy ulicy Młyńskiej. Nowe tapety na ścianach, tiulowe firanki w obu oknach do samej posadzki. Wszystko tchnie nowością i świeżością.

Pierwszą herbatę wypiałam w moim pokoju. Pokojówka nie wmawiała we mnie ciężkiego jedzenia, widać uprzedzono ją o moich gustach i zwyczajach. Przed jedzeniem stanęłam pod ciepłym prysznicem w łazience.

Dopiero na drugi dzień, wspólnie z Leokadią, oglądałam nowe cuda mieszkaniowe. Oprócz mojego pokoju trzy duże pokoje w amfiladzie z rozsuwanymi ścianami. Osobno pokój sypialny Leokadii. Duży, przestronny, również z dwoma oknami, z bezpośrednim

wejściem do łazienki, przez mały pokoik, w którym urządzono garderobę. Wszystko wypełnione nowymi meblami - prosto od stolarza. Jedyne wspomnienie z dawnych lat - to meble z dawnego poznańskiego pokoju Leokadii, ale i te pochodzą z nowszych czasów, gdy urządziła się w Poznaniu po ustaleniu się na posadzie w banku. Nie zdradziła się ze swymi projektami przed nikim, nawet przede mną. Medytowała, zamawiała, czekała i oto wszystko dostarczono jej na raz. Mieszkanie jasne, pogodne i wesołe. Sypialnia z baldachimem, podobno w guście francuskim. Lekki to jest baldachim, tiulowy, ale zasadnicza odmiana. Gdyby to nie Leokadia tu mieszkała, rzec by można, że to pokój jakiejś kurtyzany - pojęcie ustalone u mnie na podstawie widywanych filmów. Bardzo w nim wesoło, mimo Madonny Sykstyńskiej nad łóżkiem, w głowach. Dobra monachijska kopia, przywieziona osobiście z zagranicy przez Leokadię. Nawet rama złocona skopiowana dokładnie, już w Polsce. Prawdziwy majątek w dywanach. Podobno świeżo kupione i pozamieniane za stare. Dobrze to rozumiem!

Leokadia pragnęła odmienić sobie życie i po raz drugi przeżywać wszystko radośnie od samego początku. Podczas gdy urządziliśmy sobie nasze święta w Zakopanem, do Poznania - akurat w dzień Trzech Króli - przyjechał stryjek Paweł z siostrą Magdą, Leokadia mieszkała jeszcze u starego doktora, a w nowym mieszkaniu rządili malarze i stolarze. Było właściwie już na wykończeniu, pracowano pośpiesznie, mimo świąt. Leokadia - jak mi to sama opowiadała - przyjmowała gości w moim pokoju, który był już gotowy i do którego wstawiono stare jej meble. Goście siedzieli właśnie przy tym okrągłym stoliku i na tych, obecnie moich, fotelikach. Stryj Paweł był dziwnie markotny, słuchając jej opowiadań o meblach, o dywanach i o tym, że po urządzeniu nowego mieszkania zamierza wyjechać za granicę. O tym, że już skończyła z bankiem i zamierza urządzić sobie nowe życie. Jak się później wydało, stryjek przyjechał do Poznania ze zdecydowanym zamiarem oświadczenia się o rękę Leokadii, a Magda, jego zdaniem, miała mu to jakoś ułatwić. Sam nie wiedział, w jaki sposób, ale wierzył, że tak będzie.

Okazało się, że stryjek już w Krynicy zmierzał do tych oświadczyń, ale wówczas Leokadia zbywała go jakimś niezdecydowanym: nie wiem, to wszystko dla mnie jest zbyt świeże... i tak dalej. Tym razem Leokadia trzepała po swojemu o meblach i o nowym mieszkaniu, ale równocześnie patrzyła na rodzeństwo. Później ujęła ich oboje za ręce i powiedziała nieoczekiwanie do brata i siostry:

- No i cóż, pani Magdo? Chciałaby pani, abym wyszła za Pawła?

O jakże to było w stylu mojej przyjaciółki! Oświadczyła się sama i w sposób poważny. Czemuż nasza młodość nie posiada takiego doświadczenia i umiaru?

Ślub Leokadii i stryjka odbędzie się dopiero po ślubie Maksia. Tak zdecydowały obie z Magdą. Jeszcze przed zakończeniem karnawału. W odstępie jednego tygodnia. Ślub Maksia na wsi w domu jej rodziców, ślub Leokadii w Poznaniu. Pierwszy ze ślubów huczny, jak wszystkie śluby wiejskich dziedziców, drugi spokojny, poważny, w gronie najbliższej rodziny.

Leokadia - moją ciotką, stryjną, podobnie jak Elfryda Brun! Leokadia dowiedziała się o zamiarach stryjka Józefa już podczas ich ostatniego pobytu w Poznaniu. Pierwsza winszowała Elfrydzie, a ja nic nie wiedziałam i niczego się nie domyślałam!

Leokadia wspomniała również, że w Gdańsku czekają ze ślubem do powrotu Marcina, ma być ich świadkiem podczas ślubu. Kto wie, czy drugim świadkiem nie będzie Leokadia, wobec uzgodnionego małżeństwa ze stryjem Pawłem? Pojutrze oczekujemy przyjazdu Marcina z Paryża, wyjdziemy po niego na dworzec.

Boże, ileż zmian w ostatnich tygodniach! Czasami przemijają całe lata i nic się nie dzieje, a później od razu otwiera się worek z różnymi niespodziankami. A jednak sporo małżeństw kojarzy się w tej Krynicy! Tak się z niej wszyscy wyśmiewają, a jednak Krynica pomaga...

Poniedziałek - 18 stycznia

Byłam u starego doktora. Jakoś posmutniał, ale mimo tego powiedział pocziwie:

- Życzę im dużo szczęścia, twój stryjek, Anno, to bardzo porządny człowiek, Leokadia będzie z nim szczęśliwa. W pierwszym małżeństwie jakoś jej nie wypadło... Słyszałem już dawniej o tym jej niemieckim mężu, jeszcze przed wojną. Sprawy były znane.

Nie mam głowy do nauki. Żałoba, śluby i egzamin na karku. Jak z tego wybrnąć? Mieszkam obecnie jak w bajce. Gdy przeglądam się w lustrze mojej obecnej toaletki, zapytuję się sama siebie: czy to jest ta sama Anna, która cztery lata temu siedziała przy maszynie do pisania w brudnym pokoiku w Bydgoszczy?

Gdy Leokadia opowiadała mi o wydarzeniach z okresu święta Trzech Króli, byłam mocno zaskoczona. Wydało mi się, że krzywdzą mnie tą całą tajemniczością. Ale zaraz uśmiechnęłam się i przyszło mi na myśl, że zbyt wiele wymagam od innych ludzi. Dlaczegoż mieliby zwierzać się przede mną ze swoich zamiarów czy pragnień?

A może ludzie są zazdrośni o swoje szczęście i nie lubią o nim opowiadać przed czasem? Aby coś tego ich szczęścia nie urzekło, nie uroczyło.

Właściwie to ja doprowadziłam Leokadię do stryjka Pawła. Gdyby nie mój uniwersytet, stryjek pleśniałby w dalszym ciągu w Brodnicy i Działdowie. A tak dzięki mnie doczekał się swojej Leokadii. Byłam dobrą wróżką. Obym i ja kiedyś znalazła taką wróżkę!

Wtorek - 19 stycznia

Stryj Marcin przyjechał nocnym pociągiem z Berlina i stanął zwyczajem wszystkich moich stryjków w „Continentalu”. Obiad był u nas, a kolacja u starego doktora. Stryjek mocno zmieniony i dziwnie poważny. Mówi, że już niedługo pozostanie na służbie państwowej, mimo że go zrobiono naczelnikiem wydziału w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Był bardzo miły nastrój. Oboje z Leokadią zachowywali się tak, jak by się znali już od wielu lat. Rano poleciałam do stryjka do hotelu; nie chcieli mnie wpuścić do jego numeru, mimo że pokazywałam moją studencką legitymację z nazwiskiem Jambor. Gdyby chodziło o jakąś wesołą „dziewczynkę”, na pewno nie robiliby tyle ceregieli, dużo się o tym nasłuchiłam.

Marcin mówił, że bardzo się cieszy z decyzji stryjka Józefa, on już dawno go namawiał, żeby się ożenił. Równocześnie pochwała wybór Leokadii, mówi, że to stateczna kobieta, która ułoży wspólne życie w sposób mile urozmaicony.

- Paweł - powiedział stryjek - jest człowiekiem bardzo zamożnym, dzieci są na swoim, obecnie brat nie potrzebuje już gromadzić majątku, ja na jego miejscu podzieliłbym, co mam, na trzy części i moją część spożywałbym spokojnie i wesoło. W dodatku słyszałem w Berlinie od Heinricha, że moja przyszła bratowa posiada swoje własne pieniądze. To bardzo dobrze, życie w takich warunkach zawsze układa się wygodniej, bo niezależnie dla kobiety, a to dużo znaczy.

A zatem stryjek był w Berlinie i widział się z Heinrichem! A wobec mnie trzymali wszystko w tajemnicy, trudno, widocznie tak było im wygodnie. Nauka dla mnie...

Późnym wieczorem Marcin odjechał do Gdańska, wszyscy bracia mają umówione tam spotkanie. Stryjek mówił, że chodzi nie tylko o gdański ślub, lecz również o jakieś interesy. Ciekawa jestem, czy będzie tam nasz ojciec. Ślub z Elfydą ma być podobno bardzo cichutki, ponieważ ona uparła się przy kościele katolickim i stary Grossvater podobno odgraża się, że wydziedziczy córkę. Protestanci widocznie we wszystkim muszą protestować. Ciotka Elfryda ma rację, ona zmieniła religię dla swego pierwszego męża i widocznie nie chce robić z siebie błazna, wracając z powrotem do kirchy. A może chce zrobić na złość swemu ojcu, który ją maltretował milczeniem przez długie lata.

Stryjek naprzywoził nam z Paryża moc różnych drobiazgów. Mówi, że to są wszystko bardzo tanie fatalaszki, tylko tyle, że ładne, bo z innego świata. Odgrywa w tym rolę nazwa Paryża, gdzie obowiązuje lepszy gust niż u nas.

Jutro idziemy z Leokadią do krawcowej w sprawie uszycia nowych sukien dla Anny Jambor.

Środa - 20 stycznia

Dzisiaj otrzymałyśmy listy z Brodnicy. Data ślubu Maksia została ustalona już na ostatnią niedzielę w karnawale, siódmego lutego, ślub Leokadii w takim razie również w niedzielę, tydzień później. Pisze Maksio, ponieważ wszyscy bawią w Gdańsku, pojechała tam nawet ciotka Magda.

Leokadia będzie ubrana w kościele w jasnokremowy kostium, z dwoma białymi lisami, prócz tego szyje sobie białą atlasową suknię, obcisłą i ze sporym kloszem, ale dopiero u samego dołu. Suknia bez żadnych ozdób, do uczty weselnej przypnie jedynie świeże kwiaty. Moja suknia balowa zmieniała się w suknię przeznaczoną na oba śluby w rodzinie. Krój podobny do sukni Leokadii, tylko że mój dekolt mniej wcięty, a z tyłu stojący kołnierzyk stuartowski, rozpoczynający się już od klinu przedniego wycięcia. Wzdłuż całego wycięcia, aż do tyłu, naokoło kołnierzyka, rąbek ze złotej lamy. Coś podobnego na rękawach. Złota mała róża z tej samej lamy do upięcia nad lewą piersią. Siedziałyśmy u krawcowej bite trzy godziny. Moje studia diabli biorą! Ale to nic. Nie będę przez to mądrzejsza, czy zdam dostatecznie czy dobrze. Było, nie było! Byle dyplom w garści, a raczej trzy literki na bilecie wizytowym. Dyplomu i tak nikt nie ogląda, a na bilecie nie wypisuje się stopni egzaminowych.

Grunt, że robią dla mnie pierwszy elegancki gorset. Całe osiemdziesiąt pięć złotych, ale Leokadia mówi, że gorset dla kobiety jest tym, czym była dawniej zbroja dla rycerza. Gorset podobno chroni cnotę kobiety; nie wiem, na czym to polega, a Leokadia się tylko śmieje, gdy o to pytam. W dodatku to podobno jest wprost nieprzyzwoicie chodzić na bale bez grand gorsetu, moja przyszła stryjna mówi, że zawsze to lepiej, gdy kawalerowie w tańcu obejmują kobietę przez gorset, a nie wprost... Wszystko migiem, suknie, gorset, jak to dobrze, gdy się ma znajomości i nie trzeba targować się o głupie pięć czy dziesięć złotych.

Czwartek - 21 stycznia

Kłopot z tym, co kupić na prezenty ślubne. Z Maksiem jeszcze, ale z Leokadią? Przecież ona wszystko ma i nie można jej niczym zaimponować.

Sobota - 23 stycznia

Dzisiaj otrzymałyśmy faif-part z Gdańska. Małe kartoniki z brystolu ze złożonymi brzegami. Na każdej ze stron ten sam tekst w dwóch językach, po niemiecku i po angielsku. Zawiadomienie o już odbytym ślubie, lecz bez podania daty i kościoła.

Wysłałyśmy wspólny telegram, naturalnie po niemiecku.

Wtorek - 26 stycznia

Nie mam głowy do pisania, wszyscy żyjemy tylko zbliżającymi się ślubami. Moja nauka poszła na razie w las.

Wczoraj była u nas Zośka. Całe szczęście, że nie wywała przy Leokadii wszystkich wiadomości rodzinnych! Tego by jeszcze brakowało! W Wąbrzeźnie była awantura. Jeden z ekspedientów przechwalał się po pijanemu w szynku „Pod jeleniem”, że wspólnie odwiedzali Stefcię. Hier Hegt der Hund begraben. Tego było jeszcze brak do kompletu. Podobno gdy się o tym dowiedział nasz ojciec, wezwał głupca do kantorku i tam, bez świadków, dał mu po

mordzie. Na drugi dzień wypłacił, co się należało, i wyprawił go z Wąbrzeźna. Wspólnik ojca od Stefei wrócił do Łodzi, skąd go ojciec importował przed trzema laty. Ufff...

Druga wiadomość z tego samego mniej więcej czasu: dziecko umarło, podobno na dyfteryt. Bardzo łatwa droga do pozbycia się niewygodnych dzieci. Tfu! Koniec, nie warto o tym więcej wspominać.

Środa - 27 stycznia

Niespodzianka. Stryj Paweł i ciotka Magda w odwiedzinach na kilka godzin. W dodatku jutro rano ma przyjechać do Poznania ciotka Katarzyna. W domu ruch i zamieszanie.

Piątek - 29 stycznia

Goście już przeminęli. Gdzież jesteście, czasy, gdy mogłam odziać się w mój stary generalski szlafrok i snuć marzenia, wyciągnięta na kanapce? Bądź mi pozdrowion, mój skromny pokoiku u Emilki! Obecnie muszę być nieustannie wykrygowana, uczesana i gotowa do wyjścia lub do podejmowania gości. Wkręcono mnie w kierat życia dystygowanej panienci z dobrego domu.

Florencja w dalszym ciągu jest dla mnie pozycją nie wyjaśnioną. Stryjek Marcin o mało nie zaciął się przy goleniu, gdy go o to spytałam w hotelu. Nic nie powiedział, jedynie zapytał, czy rozmawiałam na ten temat z Florencją. Odetchnął, gdy widział, że niewiele wiem, i powiedział mi niezbyt zachęcająco:

- Wypytaj dalej Florencję, kobiety między sobą zawsze łatwiej umieją porozumieć się w tych sprawach.

I na tym się skończyło. Potem były już tylko opowiadania paryskie i prezentowanie fatalaszków. A gdy zapytałam o willę w Bazylei, stryjek skrzywił się, mimo że obok nas siedziała Leokadia, i powiedział:

- Jaka tam willa? Prosty, zwyczajny domek na dalekim przedmieściu i przy ostatnim przystanku tramwajowym. Trzy pokoje i kuchnia, trochę ogródka z kwiatami, tam obecnie mieszka nauczyciel z żoną i dziećmi. Ledwo starczy na pokrycie szwajcarskich podatków.

Później machnął ręką:

- Kupiłem właściwie na kredyt w pierwszym roku pobytu w Szwajcarii, s płacałem z moich zarobków w fabryce. Nie warto mówić. Bazylea jako miasto jest nieciekawa, chyba okolica; gdy ktoś z was zechce, możecie sobie zrobić tam wakacje. Na górce są dwa małe pokoiki gościnne, moje meble, sporo książek, a żona nauczyciela wcale nieźle gotuje. Takie sobie studenckie wakacje, daleko do luksusów.

Sobota - 30 stycznia

Chciałam się dzisiaj rozliczyć z Leokadią z powodu ostatniego stycznia. Wyśmiewała się ze mnie.

- Gdzie ty mieszkasz, Anno? Przecież ciotki nie biorą pieniędzy - w tym miejscu zrobiła poważną minę - od... sama nie wiem, jak się nazywają takie młode panienci. W każdym razie pamiętaj o tym, że będę twoją ciotką.

Śmiałyśmy się obie.

Niedziela - 31 stycznia

Po południu było małe przyjęcie babskie z czarną kawą i pączkami. Przyszła nawet Emilka. Było harmideru co niemiara. Pod koniec zjawił się doktor Michalski i został u nas na kolacji. Skorzystałam na tym. Zaraz mi doradził, aby kupić na prezent dla obojga młodych stary angielski zegar, odpowiedni do postawienia na kominku lub na jakiejś komódce. Odnowiony i na chodzie, chcą za niego równe czterysta złotych. Doktor mówi, że dobra, stara

sztuka, ma swoje sto pięćdziesiąt lat. Heban i kość słoniowa, Oglądał go przed kilku dniami - podobno tanio i okazja.

Maksiowie mają zaraz po uczcie weselnej wyjechać starym szlakiem do Włoch. Stryjek naśmiewał się, że Herta spisywała dla brata w zeszytach nazwy wszystkich włoskich osobliwości i zapewne ofiaruje młodemu jako dodatek do prezentu ślubnego. Co do Maksia, ten podobno odłożył sobie osobno swój dziecinny spadek w przewidywaniu podróży poślubnej do Włoch. Gabriela Orzechowska - jego wybrana - włada oboma południowymi językami bardzo dobrze, nic dziwnego, ponieważ rodzice wojażowali po świecie razem z dziećmi, a majątek tymczasem topniał. Ale to ich sprawa. Maksiu podobno zakochał się w pannie, a nie w majątku!

No zobaczymy, jak będzie. Na razie mogę jedynie wpatrywać się w fotografię mojej przysiężonej kuzynki. Ładne imię i ładna dziewczyna. Wysoka, mocna w ramionach, miła pociągnęła twarz, podobno stale przybrązowiona od przebywania w słońcu i na powietrzu. Nie jakiś tam salonowy wymoczek, jak to się nam w pierwszej chwili i z daleka wydawało! Panna do roboty - jak się wyraziła ciotka Magda. Dobrze jeździ konno, lubi wieś i gospodarowanie. Wyrodziła się z rodziny, ponieważ matka jest bardzo delikatna i całkowicie pogrążona we wspomnianiu dawnych czasów. Wszędzie ten sam problem: dobre stare czasy! Tato więcej myśliwy niż gospodarz. Oboje państwo Orzechowscy lepiej znają Włochy i Francję niż swoją rodzinną Starą Wieś.

Przeglądałam dzisiaj moje zapiski z ostatnich dni. Nie wspomniałam o tym, że nasza wąbrzeska willa stoi pusta już od dwóch tygodni. Tuchołka naprawdę został starostą - gdzieś blisko granicy bolszewickiej. Jego powiat jest podobno taki duży, jak niejedno państewko, dwa razy większy od Wielkiego Księstwa Luksemburskiego. Już po nich nie ma ani śladu w Wąbrzeźnie i ojciec na gwałt poszukuje nowych lokatorów do naszej willi.

Zaczynamy rozpraszać się po świecie. Krystynek w Anglii, Pelasia pod Dubnem, Zośki pewnie ojciec nie utrzyma w Wąbrzeźnie, o ile nie przestanie jej dokuczać. A ja? Najchętniej prysnęłabym od razu w jakiś daleki świat, nawet do chicagowskiego stryjka! Jak najdalej od Wąbrzeźna. To dobrze, że od razu dwóch stryjków się żeni - jeden już, a drugi za dwa tygodnie; będę miała porządne oparcie dla moich projektów.

Poniedziałek - 1 lutego

A zatem ślub Maksia już w niedzielę. Będzie na nim jakby nasz zjazd rodzinny, wszyscy z rodziny Jamborów, z górą dwadzieścia osób. Już mamy nasze suknie. Przyjadą wszyscy, nawet Franusiowie z Katowic. Jedziemy już w piątek rano i spotykamy się wieczorem z ciotką Magdą u Kunickich. Tam zanocujemy. W domu panny młodej zjawimy się dopiero w sobotę po południu. Z Grudziądza jedziemy dalej już samochodami. Grudziądz jest punktem zbornym dla wszystkich Jamborów.

Jeszcze nie mam prezentu ślubnego. Sama nie wiem, co kupić.

Wtorek - 2 lutego

Udał się angielski zegar naszego doktora, kupiliśmy prawie przed zamknięciem sklepu. Leokadia powiedziała, że doktor ma dobre oko do kupna takich rzeczy. Ona ma już prezenty dla państwa młodych. Maksio dostanie złoty zegarek szwajcarski na rękę, Gabrysia bardzo dystyngowany podróży neseser z krokodylowej skóry. Wewnętrzne utensylia ze srebra, pozłacane. Przy okazji podaruje Hercie staroświecką broszkę, jeszcze po swojej babce.

Środa - 3 lutego

Stryjek spadł rano jak z nieba. Zadzwoił z hotelu, gdzie się umył i przebrał, i zjawił się u nas na pierwszym śniadaniu. Przyzwyczaiłam się do stryjka Pawła w sportowym, wiejskim ubraniu, a tym razem zobaczyłam go w normalnym granacie dwurzędowym i w miejskim

futrze z wydrzanym kołnierzem. Równie dobrze mógłby tak wyglądać na przykład dyrektor banku lub lekarz. Tylko tyle, że zbrunatniała cera i jasne, śmiejące się oczy zdradzają człowieka dużo przebywającego na wsi, na świeżym powietrzu. W swojej nowej postaci wygląda bardzo dobrze, ubyłoby mu dobre dziesięć lat.

Stary doktor jest rozbrajający. Przy obiedzie powiedział wesoło:

- Panie Pawle, zapraszam się na družbę, należy mi się, ponieważ dostałem kosza od naszej kochanej pani Leokadii.

Wiadomości były dopiero wieczorem, po odprowadzeniu stryjka na dworzec. Narzeczeni zachowują się jak smarkacze. Czułe spojrzenia, nawet pocałunki!

W części sentymentalnej była wymiana pierścionków zaręczynowych. Na palcu mojej przyjaciółki zabłysły trzy czyściutkie karaty w platynie, a stryjkowi włożono na palec męski zwyczajowy pierścionek, pośrodku na okrągło szlifowany granatowy szafir, a po bokach dwa spore brylanciki.

Z wiadomości praktycznych. Paweł przyjechał do Poznania prosto od rejenta i z hipoteki. Nasz stryjek jest już od tygodnia hipotecznym właścicielem majątku Górki, nad rzeką Wkrą, w powiecie mławskim. Najbliższe miasteczko: Szreńsk, coś w rodzaju Działdowa, tylko podobno gorsze o całe niebo. Dwadzieścia dwie włóki ornej ziemi, dziesięć włók łąk i nieużytków i koło ośmiu włók lasu, ale las niewiele jest wart, ponieważ wspólnie z chłopskimi serwitutami. Dobre polowanie i poza tym - moc długów na hipotece. Sprzedano u rejenta, właściciele reprezentował adwokat z Warszawy. Stryj wpłacił gotówką równie dwieście tysięcy złotych oraz przedstawił bankową gwarancję na zapłacenie we wrześniu reszty ceny kupna w kwocie 135 tysięcy. Właścicielami są dwaj młodzi ludzie, którzy odziedziczyli majątek po ciotce zmarłej przed rokiem. Obaj złoci młodzieńcy siedzą za granicą i wyczekują na śmierć drugiej ciotki, również leciwej damy. Utracjusze sprzedali wszystko, razem z meblami, nie zastrzegłszy sobie nawet przy tej okazji wyboru przedmiotów o charakterze pretium aitectionis.

Podziwiałam Leokadię, jak spokojnie i treściwie referowała mi ostatnie pociągnięcia majątkowe. W ten sposób Górki należą do stryjka; obecnie we dworze zostali już osadzeni stryjkowi ludzie do pilnowania dzierżawcy, a Maksio zajmuje się urządzaniem małego gospodarstwa. We dworze będzie punkt zborny dla naszej rodziny i tam podadzą nam pierwsze śniadanie przed ślubem.

Spotkanie dwóch rodzin dopiero w kościele, każda strona przybędzie ze swego majątku.

Jestem dumna z mojego stryjka Pawła, powiedziałam to w oczy mojej przyjaciółce, a ta potwierdziła:

- Obie jesteśmy dumne.

I ucałowałyśmy się, jak nigdy przedtem.

Z Maksiem załatwiono również przy tej okazji. Stara Wieś jest cokolwiek mniejsza od Górek, lecz bez serwitutów. Nasza rodzina spłaciła wszystkie długi hipoteczne, ciężące na tym majątku, z wyjątkiem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, które w tej chwili stoi bardzo korzystnie dla ziemian, bo nisko, po 38 za sto. Na miejsce tych długów wpisano obciążenia wprost na imię naszego Maksia. Było tego dużo, przeszło ćwierć miliona, dokładnie 263 tysiące złotych.

Następnie uzgodniono, że jeszcze w ciągu tego roku starsi państwo Orzechowscy przeniosą się do syna w Warszawie i pozostawią samych młodych na wiejskim gospodarstwie. Syn jest lekarzem w Warszawie, ożeniony z córką profesora uniwersytetu. Jest podobno na dobrej drodze do zrobienia pieniędzy, lecz zawsze odzegnował się od gospodarowania na wsi, jak diabeł od święconej wody. Twierdzi, że aby móc gospodarować na wsi, trzeba mieć sporo pieniędzy na dokładanie. Woli pilnować własnych interesów w Warszawie, by we właściwym czasie odziedziczyć profesorską katedrę po swoim teściu.

W ten sposób w posiadanie naszej rodziny dostały się właściwie dwa majątki ziemskie, dobra rycerskie, jak to nazywają u nas na Pomorzu. Stara Wieś podobno jest w dobrej kulturze, mimo że pan Orzechowski jest raczej myśliwym niż rolnikiem. Natomiast Górki przedstawiają obraz nędzy i rozpacz. Podobno za życia dziedziczki był jeszcze jaki taki ład i porządek, ale kochany dzierżawca kradł i dewastował w ostatnim roku dzierżawy, jak i gdzie tylko mógł. Już go tam przypilnują i przycisną obaj Jamborowie, ojciec i syn: to mocni ludzie. Leokadia mówi, że wypłuje, co ukradł. Jest tam jakaś prawnicza klauzula o zdawaniu inwentarza w porządku, której zawczasu nasi przypilnują.

Ze sprawami gdańskimi - długa historia. Stary Grossvater Jung wściekł się istotnie z powodu ślubu Elfrydy ze stryjkiem Józefem. Naprzód wywarł złość na zięciu Fryderyku Gardenie, ale ten wysłuchał teścia spokojnie i następnie uciekł do Anglii. Przed odjazdem rozmówił się spokojnie ze swoim szwagrem i zostawił stryjkowi generalną plenipotencję do działania w jego imieniu. Grossvater Jung wezwał wtedy do Gdańska naszego Heinricha - było to jeszcze w listopadzie roku ubiegłego - i poza plecami jego ojca proponował mu, aby się ożenił z jego wnuczką Elfrydą. Żądał, aby Heinrich porzucił medycynę i przygotowywał się do zastąpienia go w interesach drzewnych. A to dobre! On ma dopiero dwadzieścia lat, Elfryda jest starsza od niego o pięć. W zamian za posłuszeństwo stary decydował się uczynić go swoim jedynym spadkobiercą, z pominięciem swej córki Elfrydy i zięcia.

Heinrich grzecznie odmówił i powrócił do Berlina na medycynę. Chłopiec ma charakter.

Od momentu gdańskiego ślubu zaczęły się adwokackie kruczki, jak się okazało - z dawna przygotowywane i przemyślane. Stary Willy Jung już na drugi dzień po ślubie - zgodnie ze statutem firmy - wezwał obu pozostałych współników do odsprzedania mu ich udziałów, a nasz stryjek w imieniu własnym oraz upoważniony do tego przez swego szwagra zażądał likwidacji firmy w ciągu jednego roku, O pełnomocnictwie Fryderyka Gardeny stary Jung nic nie wiedział i w pierwszej chwili zatkało go. Później adwokaci namówili go i miły staruszek ofiarował młodszemu współnikowi wykup przez niego firmy za okrągłe półtora miliona guldenów. Stryjek odmówił i odwołał się do statutowego prawa pierwokupu wartości majątkowych przez rodzinę Garden, co było zastrzeżone przy zawiązywaniu spółki w roku 1905. Obecnie firma „Jung und Garden” jest już w likwidacji, likwidatorem z ramienia większości udziałów jest mój stryjek oraz dodany mu przez sąd adwokat. Równocześnie w rejestrze handlowym została reaktywowana stara gdańska firma „Friedrich Garden, Sohn et Co” z kapitałem pół miliona guldenów.

Nową firmę, a raczej starą, sięgającą osiemnastego wieku, kredytuje bank, w którym doktor Garden gra pierwsze skrzypce, ów Garden, który jest mężem Angielki. Wszystko jest ze sobą powiązane, nawet pożyczki i pieniądze naszego stryjka Pawła wyłożone na kupno dwóch majątków ziemskich.

Leokadia wspominała mi też, że stryjek usiłował namówić ją do przyjęcia zapisu hipotecznego na jej imię na majątku Górki, ale odmówiła. Rozumiem to doskonale i z tego powodu jeszcze więcej cenię. Zresztą ona może - ma swój majątek. Ale mój Boże, za jaką cenę okupiony! Godfryd Braunhold... lepiej nie wspominać.

W ten sposób Willy Jung przestał już odgrywać rolę głowy firmy. Pobiera w dalszym ciągu dwa tysiące guldenów miesięcznie, podobnie jak Fryderyk Garden i mój stryj. Józef Jambor jako likwidator dostaje ponadto trzy tysiące guldenów miesięcznie. Tak samo bierze w reaktywowanej firmie „Friedrich Garden...”, ciotka Elfryda - półtora tysiąca, młodsza Elfryda - okrągło tysiąc. Starego muszą w istocie brać diabli, ale cóż: przewaga sześćdziesięciu procent i warunki dobrze spisanej umowy! Starzy kupcy wykiwali dorobkiewiczza.

O naszym ojcu lepiej nie wspominać. Był na zjeździe braci w Gdańsku, ale tylko biadolił i lamentował. Kiwał głową i narzekał na ciężkie czasy. Leokadia powiedziała, że stryjkowie szacują majątek naszego ojca z górą na milion złotych. Nawet nie wyobrażałam

sobie, że aż tyle. Podobno pół miliona w domach, drugie tyle w bławatach i u różnych dłużników. A żałował głupich dwustu złotych miesięcznie dla córki na uniwersytecie i wykorzystał okazję spadku dziecinnego po dziadku!

Czwartek - 4 lutego

W domu urwanie głowy przed wyjazdem, nawet ja w tym pomagam. Leokadia daje ostatnie zlecenia, dotyczące jej własnego ślubu.

Podobno mają przywieźć na wieś dla dekoracji naszego rodzinnego kanonika. Rodzina wystąpi w pełnej gali. Kwiaty zabierzemy z Grudziądza.

Dzisiaj nadeszły dwie duże skrzynie ze wsi - od brata Leokadii. Przygotowania do obżarstwa. Ale przyjęcie będzie bardzo krótkie. O piątej po południu ślub w kościele, a krótko po północy młoda para wsiądzie do sleepingu. W sobotę przed południem głupie historie ze ślubem cywilnym. Szkoda, że narzeczona mieszka w Poznaniu, a narzeczony dopiero co nabył Górki w powiecie mławskim. Mława - to Kongresówka i tam podobno nie trzeba ścisnąć zaplamionych atramentem rąk jakiegoś biuralisty w urzędzie stanu cywilnego. Chociaż kto wie, czy nie można by tego zrzecznie zastąpić wręczeniem jakiejś stówki? Ale i wówczas coś w rodzaju podania ręki. W każdym razie - zawód: właściciel ziemski, a nie rolnik, po dawnemu, jak się to u nas pisze pospolicie na Pomorzu.

Na drogę - pod futro - Leokadia bierze nowiuteńki kostium angielski z marengo, ja również kostium. Moje lisy co prawda są już dość obnoszone, ale trudno. Gdyby ojciec interesował się choć trochę swoją najmłodszą córką, byłby mi sprawił popielice lub jasne karakuły. Lecz on nie pomyślał nawet o pierwszym futrze, a gdy zobaczył je na mnie, zapytał:

- A co? To Maksiu zastrzelił tyle lisów?

Głupie popielice nie kosztowałyby chyba więcej niż dwa tysiące złotych. Szkoda, że nie pomyślałam o tym wcześniej.

Wieczorem

Podczas obiadu wspomniałam o moich zmartwieniach futrzarskich. Leokadia spojrzała na mnie uważnie i zapytała:

- A ile masz jeszcze pieniędzy?

- Pięć tysięcy.

- I na co czekasz? - powiedziała i zaraz po obiedzie pojechaliśmy do kuśnierzy.

Wszystko jak w bajce. Jak to dobrze, że mam wysoką figurę i nie jestem tęgą. Futro jak oblał. Naturalnie popielice. Trochę targowałam się i dlatego taniej. Jakieś drobne przeróbki, ale mają przynieść punkt o dziesiątej wieczorem.

Przed snem

Futro już przynieśli i oto leży obok mego łóżka na foteliku. Dzieciństwo - przed chwilą przymierzałam. Doskonale wyglądam w popielicach i w koronie jasnych włosów nad czołem. Jak to dobrze, że usłuchałam Krystynka i nie obciąłam włosów. Takie same włosy upięte w koronie z warkoczy ma nasza Gabriela ze Starej Wsi. Jak to mile brzmi, gdy się mówi: ze Starej Wsi. Szkoda, że ja nie jestem na przykład: z Górek... w powiecie mławskim! Nie wie pan? To jest nad rzeką... Wkrą, tylko piętnaście kilometrów do stacji kolejowej.

Zaraz gdy wrócimy do Poznania, zwrócę Leokadii pieniądze. Szkoda, że nie zdążyłam podjąć jeszcze dzisiaj z mego konta. Może byłabym przy tej okazji pomówiła z blondynem. On musi mieć obecnie głupią minę, gdy Leokadia wychodzi za mąż. Boże, jaka ja byłam głupia, rozmyślając o oddaniu się temu chłopakowi z banku!

Środa - 10 lutego

Wróciłyśmy w poniedziałek późnym wieczorem. Czułam się nieszczęśliwie i Leokadia wpakowała mnie zaraz do łóżka. Lekkie przeziębienie. Wyleguję się, ale po południu wstanę i wyjdę do miasta. Chciałabym to wszystko opisać, póki mam w głowie. Za jakiś tydzień wszystko będzie skotłowane nadchodzącym ślubem Leokadii.

Do Grudziądza przybyłyśmy dobrze po godzinie drugiej. Oczekiwali nas z obiadem. Stryjek Paweł był na peronie i zabrał nas samochodem. Z Gdańska - trzy samochody. Bankowy Garden pożyczył stryjkowi olbrzymiego buicka, do którego gładko wchodzi sześć osób, prócz szofera. Samochód stryjka Pawła jest na miejscu w Górkach i służy na razie jako środek lokomocji dla Maksia i ciotki Magdy, która objęła tymczasem komenderowanie w Górkach.

Do obiadu zasiedliśmy w pełnym komplecie z gdańskimi gośćmi. Elfryda tym razem w charakterze najprawdziwszej ciotki, młoda Elfryda już podwójnie zbliżona do naszej rodziny, Heinrich w nastroju poważnym i skupionym, jak zawsze, oboje starzy państwo Kawczyńscy i promieniejąca młodością Marysia Kawczyńska.

Mała Magda zdrowa i już mocno rezolutna, awanturnica. W okresie świąt Herta zakończyła karmienie, bo tak zawyrokował imć pan mąż z racji, że lekarz. I tak karmiła, według mnie, zbyt długo.

Gospodarstwo bez zarzutu. Pani Kunicka wyjątkowa kobieta, bo zwykle teściowe patrzą zezem na synowe, które zabierają im synów. Ale w Grudziądzu taktowna harmonia. Późnym wieczorem, już w trakcie kończenia kolacji, przyjechała z Górek ciotka Magda, miała do załatwienia jakieś sprawy rano następnego dnia.

Rozmowy przeciągnęły się do późnej nocy, mimo że przewidywaliśmy odjazd na wieś nazajutrz, zaraz po pierwszym śniadaniu. W pewnym momencie stryjek Paweł wyjął z teczki pudełko i podał je z uśmiechem narzeczonej. Nikt z nas nie oczekiwał czegoś podobnego, najwięcej jednak była zdziwiona sama Leokadia. W pudełku znajdował się staroświecki naszyjnik brylantowy i odpowiednie do kompletu kolczyki. Na spłówiętym aksamicie wnętrza staroświeckiego pudełka zajaśniały duże krople światła. Brylanty barbarzyńskie w swojej prostocie starego szlifu, niemniej robiące kolosalne wrażenie. O takie brylanty dzisiaj jest bardzo trudno, ponieważ, jak nas informowano tego wieczoru, starym brylantom nadają dzisiaj nowoczesne oszlifowanie, zmniejszając tym samym ich wielkość, lecz uzyskując zamiast tego lepsze efekty świetlne. W obecnym jednak stanie brylanty z podarunku stryjka Pawła są co najmniej dwa razy większe, niż byłyby po dokonaniu przeszlifowań. I dlatego wyglądają odmiennie niż nasze dzisiejsze brylanty, które załamują światło w dziesiątkach drobnych płaszczyzn. Stare klejnoty koncentrują światło w mniej licznych płaszczyznach, spojrzenie ich jednak jest głębokie, rzucają czy migają jakby reflektorami. Nowe brylanty tylko błyszczą - koncentrują jasność, lecz nie posiadają takich uroków, jak to określiłam: spojrzeń...

- Jedziemy na wiejskie wesele - powiedział stryjek do swojej narzeczonej. - Wszyscy wystąpią tam w pełnej gali, wypada, abyśmy i my wystąpili jako tako. Zrób nam przyjemność, kochana Leokadio, i zaprezentuj nam już dzisiaj swoje diamenty. Ubrano w nie naszą prababkę Zofię Wildorf, gdy brała ślub z naszym pradziadkiem, Martinem Jamborem. Dochowało się - kończył stryjek z uśmiechem - nawet pudełeczko amsterdamskiej firmy sprzed dwustu lat. Zabytek godny uwagi, diamenty zostały w tym czasie nabyte przez jednego z Wildorfów.

Wszyscy kolejno oglądaliśmy pudełko, a tymczasem Leokadia zakładała kolczyki i naszyjnik. Trochę było nam wszystkim głupio, jedynie stryjek Józef wybuchnął wesołym śmiechem i wykrzyknął:

- Uwaga, dzieci, to ten sam naszyjnik, który nasz Paweł zdobył na Grossvater Benonie w roku 1920, gdy świat przewracał się do góry nogami i nasz ojciec puścił się na spekulowanie domami.

I zaraz opowiedział nam historię przejścia starego naszyjnika w ręce jego brata Pawła.

Dziadek w okresie największego natężenia swoich spekulacji zastawił diamenty i otrzymał za nie jakąś niezwykle wysoką sumę w niemieckim złocie. Złoto należało do ciulacza, który jednak zapalił się do tego rodzaju zastawu. W złą godzinę dziadek wypuścił z rąk rodzinną pamiątkę. W dodatku zbliżał się termin wykupu zastawu, który zgodnie z umową mógł przepaść bezpowrotnie. Wszystko złe sprzysięgło się w tym momencie, ponieważ na kark dziadkowi zwalił się nasz ojciec i historie z kupnem spuścizny po niemieckim Żydzie z Wąbrzeźna. Wówczas to Paweł zadłużył wszystkie swoje morgi do ostatecznych granic na bardzo lichwiarskie procenty i wykupił z zastawu biżuterię - prawie w ostatniej chwili. Miał w rękach pamiątkę rodzinną, ale równocześnie miecz Damoklesa nad swoją głową. Nitka była bardzo cieniutka, ale już wkrótce markowa wartość długów spadła i pomorskie morgi zostały ocalone.

- Owszem, tak było - potwierdził stryj Paweł - ryzykowałem wówczas całym mieniem i właściwie całym naszym bytem. Nigdy nie uprawiałem hazardowej gry w karty, w tym jednak wypadku wszystko postawiłem *va banque!* Ale, o czym na pewno nie wie Józef - kończył śmiejąc się - nasz ojciec zastawił klejnoty bez pudełka, gołe, zawinięte jedynie w kawałek czarnego aksamitu z jakiejś sukni. Pudełko zachował dla siebie. Ileż to naprosiłem się naszego ojca, by mi oddał pudełko od biżuterii. Stary ojciec mówił: „Na co ci pudełko, skoro masz diamenty?” I dopiero po śmierci ojca znaleźliśmy w starym pudełeczku karteczkę ze słowami: „Oddać po mojej śmierci synowi Pawłowi, przyda mu się, gdy się ożeni, czego mu życzę”.

I oto - mówił stryjek - życzenie ojca spełniło się, gdyż rzeczywiście...

No i pocałowali się przy nas wszystkich. Co prawda jakoś poważnie i wielce ceremonialnie, ale pocałowali się. Mieliśmy łzy w oczach, rozkrochmaliła nas ta scena. Ucałowaliśmy również po kolei wszyscy naszą Leokadię, naprzód my, kobiety, później mężczyźni. Każdy na swój sposób. Pierwsza z kobiet ucałowała ją Magda, ostatnia pani Kunicka.

I tak siedzieliśmy w dalszym ciągu, rozmawiając przy czarnej kawie i likierach, które podała nam gospodyni domu. Mam wrażenie, że obie z Hertą myślałyśmy wówczas o tym samym. Ja o tym, że posiadam portret prababki, lecz nie posiadam jej diamentów, a Herta o tym, że jest również w prostej linii prawnuczką Zofii Wildorf i nie posiada ani brylantów, ani nawet portretu...

Światło elektryczne odbijało się w staroświeckich klejnotach Leokadii przy każdym poruszeniu głowy. Wszyscy byliśmy w dalszym ciągu wzruszeni, tym więcej że obaj stryjkowie opowiadali różne stare historie sprzed stu lat. Historię pruskiego studenta i oficera, który walczył przeciw Napoleonowi. Część tych historii była mi już znana, o innych dowiadywałam się dopiero obecnie. A wszystko działo się w promieniach różnokolorowych blasków, rzucanych przez diamenty naszej Leokadii. Ona sama siedziała dziwnie zadumana - taka, jakiej jeszcze w życiu nie widziałam. W pewnym momencie przesunęła wzrokiem po wszystkich dokoła i dłuższą chwilę zatrzymała się na naszej Hercie. Następnie otworzyła swoją torebkę i wyjęła z niej małe czarne pudełeczko.

- Zamknij oczy - powiedziała do Herty.

A gdy ta, śmiejąc się, w istocie przymknęła oczy, Leokadia podeszła do niej z tyłu i dwoma szybkimi ruchami rąk wpięła Jej do uszu butony. Zrobiła to niespodziewanie szybko, a następnie przygarnęła do swojej piersi głowę siedzącej Herty i ucałowała ją w czoło.

- Kupiłam sobie wówczas, gdy dzieliliśmy się spuścizną po moim ojcu - szepnęła - niech ci służą w długim i szczęśliwym życiu, nasza kochana Herto! Udało mi się dochować je do dzisiejszego dnia. Cieszę się... - i Leokadia rozplakała się.

Tym razem do Leokadii podeszła nasza ciotka Magda i ucałowała ją w milczeniu. W oczach ciotki - patrzyłam akurat prosto w jej twarz - pojawiło się naprzód zdziwienie, później radość, a dopiero na końcu łzy.

Wydaje mi się, że Paweł i Leokadia będą szczęśliwi w pożyciu małżeńskim. Jakaż daleka droga wiodła ich do tego ołtarza. Tyle lat i dopiero obecnie. Paweł i Leokadia, a po drodze ja, Anna Jambor. Wszystko na drodze mojego uniwersytetu, wszystko dobre.

W ten sposób nasza Herta zjawiła się na ślubie swego brata z dużymi światłami w końcach uszu. Oprawa nikła, lecz każdy z kamieni wielkości dobrego grosza. Czyste, z niebieskawym odcieniem, prawdziwe blaufuksy.

Gabriela jest śliczna. Tak zawsze wyobrażałam sobie panienki z wiejskich dworców. Dziewczyna stworzona do konia, mimo że nie kozaczek w guście pana Zagłoby. Mądra, skończyła SGGW w Warszawie, zna się na koniach i na wiejskim gospodarstwie. To nie jakaś lalka salonowa. Wysoka, prawie dorównująca wzrostem swemu mężowi. Przywitałyśmy się z miejsca bardzo serdecznie. Gdy przyszło do przywitania się ze mną, Gabriela ujęła mnie za obie ręce i powiedziała:

- To ty jesteś Anna, o której tyle opowiadał mi Maksio? Anna, która pierwsza w rodzinie odważyła się na uniwersytet?

I zaraz mnie pocałowała, naprzód w oba policzki, a na końcu w usta.

- Mogłabym mieć z tuzin drухen - mówiła - ale zatrzymałam się na sześciu.

I zaraz uprowadziła nas w głąb mieszkania i poznała z trzema koleżankami. Jedna krewna, jedna córka bliskich sąsiadów, trzecia przybyła rano z Warszawy, koleżanka ze szkoły. Wszystko morowe dziewczęta. Bruderszafty wypiliśmy winem. Powstało małe zamieszanie, trwające prawie do kolacji, ale Gabriela broniła nas przed starszymi, mówiąc:

- To przecież mój ostatni paniński wieczór, zostawcie nam trochę swobody, jutro spoważnijemy! Ale nie na amen - wykrzyknęła na koniec buntowniczo i zamknęła drzwi na klucz. Zostałyśmy same z butelką starego wina, później służba przyniosła nam czarną kawę i torty.

Pierwszy raz w życiu byłam na takim zwariowanym przyjęciu. Gabriela nie pozwalała na poważne rozmowy. Mówiła nam:

- Jutro ułożymy nasze buzie w ciup, użyjmy sobie dzisiaj!

W powietrzu fruwały trzy języki: francuski i angielski, polski, a czasami nawet niemiecki. Z moim francuskim może nie jest najlepiej, ale w tłoku uszło, imponowałam natomiast wielką ilością słówek angielskich. Za to w dalszym ciągu powoli, u innych prędko. Ale szło. Nawet nie wiedziałam, że nasza Marysia mówi płynnie po, francusku, obecnie uczy się angielskiego. Nie próżnujemy w naszej rodzinie!

Leokadii ofiarowałyśmy osobny pokoik, a wszystkie trzy wpakowałyśmy się do drugiego, w którym znajdowały się dwa łóżka. Marysię, jako najmłodszą, umieściłyśmy w jednym łóżku, w drugim przygarnęły się mocno do siebie Elfryda i Anna. Spałyśmy jak zabite, z łóżek wyciągnęła nas dopiero panna młoda.

Niby pomagałyśmy we wszystkim, ale niewiele było z tej naszej pomocy, tylko dużo śmiechu. Przed południem przybywali dalsi goście, w sumie zebrało się pewnie ponad sześćdziesiąt osób, nie licząc domowych. W tym samym czasie goście pana młodego gromadzili się w Górkach. Koło godziny dwunastej podano nam obfite drugie śniadanie, ale my, dziewczęta, mało co jadłyśmy. Było więcej psot, mimo że wokoło nas przybywało coraz więcej poważnych gości. Po śniadaniu zamknęłyśmy się w panińskim pokoju Gabrieli i zaczęłyśmy się ubierać. Gabrysię ubierała matka - taki zwyczaj. Zobaczyłyśmy ją dopiero przed przybyciem drużbów. Musieli się nam wykupić. Trwało to krótko i zaraz wszystkie drużby wsiadłyśmy do gdańskiego buicka i machnęłyśmy się po pana młodego do Górek. Maksio przyjął nas w progu i z miejsca wszystkie wycałował. Mówił, że dostał na to pozwolenie od Gabrysi. Nie bardzo mu wierzyłyśmy, no, ale przekupił nas kwiatami. Każda z

nas otrzymała sporą wiązanekę. Chciał nas częstować nawet koniakiem, ale odmówiliśmy, bo czas naglił.

Maksiu był w ułańskim mundurze. Podobno jest taki zwyczaj w jego pułku, że nawet oficerowie rezerwy biorą ślub w mundurze. Dowódca zaprosił się w charakterze pierwszego drużby, bardzo ładnie z jego strony, jeszcze bardzo młody pułkownik.

Stanęliśmy na miejscu przed kościołem pierwsi, nic dziwnego, panna młoda jechała do kościoła w staroświeckiej karecie. Wyciągnęli z lamusa stary okaz sprzed stu lat, z dużymi herbami na drzwiczkach z obu stron.

Do ołtarza prowadził pannę młodą jej ojciec. Podobno taki zwyczaj. Pana młodego prowadziła starsza pani Kawczyńska z Gdańska, ta, która każe nam nazywać się babcią. Ciotka stryjka Pawła i w ogóle wszystkich braci Jamborów.

Ślub dawał familijny kanonik w fioletach i ze złotym krzyżem na szyi. Kilku księży w komżach z miejscowym proboszczem na stronie dla asysty. Moją bystrą obserwację aniołkowie zabrali, taka byłam przejęta pierwszym wiejskim weselem w naszej rodzinie. Po ślubie wszyscy składali życzenia młodej parze, a później całe bractwo wpakowało się do karet i samochodów. Młodzi pojechali w powrotną drogę do Starej Wsi w karecie rodziców panny młodej, wspólnie z państwem Orzechowskimi i stryjkiem Pawłem. Jakoś się pomieścili w troje, naprzeciw młodej pary. Ja również jechałam w karecie sąsiadów, wszystko družbowie. Rodzeństwo, ona panienczka niespełna osiemnastu lat, on - rówieśnik Gabrieli. W zamieszaniu do naszej karety wsiadł pułkownik. Bardzo mile rozmawialiśmy po drodze. Młody chłopiec skarżył się przed nami:

- Wychowywaliśmy się razem i razem bawiliśmy się w piasku. Zawsze myślałem, że Gabrysia zostanie moją żoną, a tu naraz Maksio się zjawił i...

- Ożenimy pana - pocieszałam go i przekomarzałam się - w rodzinie mamy sporo panien, do wyboru. Możemy nawet sprowadzić panu żonę z Anglii, od krewnych.

Pułkownik-drużba zachowywał się młodzieńczo, dostosował się do naszego towarzystwa. Nie namawiał młodego chłopca do małżeństwa, ale opowiedział mu własne przeżycie. Również był drużbą na weselu panny, w której się kochał, i skończyło się na tym, że urznął się jeszcze przed rozpoczęciem uczty weselnej.

- Gdzie mnie do picia w dniu dzisiejszym - odpowiedział zawiedziony rówieśnik Gabrieli z lat dziecińczych. - Ja i picie?

- Zobaczymy - mówiła jego siostra.

Prześmialiśmy się całą drogę.

Dopiero przy stole zobaczyłam naprawdę, kto przybył na wesele. Dopiero wówczas przywitałam się z naszym Wąbrzeźnem, to znaczy z ojcem i Zośką. Przyjechali koleją do stacji, a później oczekujący samochód podrzucił ich do Górek. Nie bardzo mi się widziało, prawie wszyscy panowie byli we frakach, a nasz ojciec zjawił się po kupiecku w smokingu. Zośka była w ładnej sukni z białej lamy. Cóż, kiedy przedzielili nas inni goście, można powiedzieć, inne światy. Rozsadzono delikatnie i według konceptu rodziców panny młodej. Nawet nie wyobrażałam sobie, że w starym dworze znajduje się sala mogąca łatwo pomieścić sto osób przy stole. Ucztę urządzono w tej właśnie sali, służącej normalnie jako sala balowa. Stoły były ustawione w podkowę wzdłuż ścian, na rodzaju galeryjki umieściła się orkiestra złożona z kilkunastu osób. Dobre to musiały być czasy, gdy przodkowie Orzechowskich posiadali salę balową na sto osób!

Na honorowym miejscu zasiedli naturalnie Gabriela i nasz Maksio, który zdążył już przebrać się we frak. Po stronie pana młodego usiadła pani Orzechowska, obok niej nasz stryjek Marcin, dalej moja ciotka Elfryda. Obok Gabrysi zasiadł rodzinny kanonik, a z jego drugiej strony Leokadia. Dalej posadzono krewnego panny młodej z orderami, o którym dowiedziałam się, że to jest bliski krewny, szambelan papieski i równocześnie chrzestny ojciec Gabrysi. W środku boków podkowy zrobiono dwa dalsze centra honorowe, z jednej

strony usiadł, jako gospodarz, pan Orzechowski, z drugiej nasz stryjek Paweł, również ważna osoba w tym dniu.

Ja siedziałam gdzieś blisko centrum, po stronie panny młodej. Z lewej strony miałam za sąsiada wujka Gabrysi, starego kawalera, a z prawej mojego družbę, pułkownika. Marysi Kawczyńskiej dostał się odpalony konkurent Gabrysi i zdaje się oboje byli z tego zadowoleni. Tylko że Marysia bardzo uważnie odsuwała od niego kieliszki, by nie pił. Później dowiedziałam się, że prosiła ją o to sama Gabrysia.

Przemówień nie umiałabym powtórzyć. Znacznie lepiej poszłoby z wymienieniem potraw i napoi. Długi długami, czasy rzeczywiście ciężkie, ale równocześnie na tym weselu było prawdziwe zatrzęsienie biżuterii. Aż bolały oczy. Słyszałam później, gdy zaczęły się tańce, że starosta skonsygnował połowę policji powiatowej dla ochrony naszego wesela, gdyż właśnie w Szreńsku pojawiła się szajka bandytów złożona podobno z kilkunastu osób. Dwór był otoczony i przywieziono nawet karabin maszynowy.

Długą rozmowę przeprowadziłam w tańcu ze stryjkiem Marcinem. Uczta trwała do godziny dziesiątej wieczorem, a później zaczęło się hasanie w sali stołowej. Stryjek wyglądał we fraku bardzo uroczyście. Zapytałam go, jak jakaś mała dziewczynka: - A gdzie stryjek nzbierał tyle orderów?

Bo zobaczyłam kilka na łańcuszku w kłapie i aż dwie wstążki pod szyją, zakończone efektownymi wisiorkami. Stryjek uśmiechnął się jak do małego dziecka, gdy się naprzykrza, i powiedział:

- Załatwiałem sprawy traktatów handlowych jako ekspert techniczny, no i przysłali. Jeden rumuński, a drugi jugosłowiański. Nic ważnego, im mniejszy kraj, tym większe ma ordery. Na takie wesele - dodał ciszej - trzeba było się wystroić, i tyle. A ty, Anno - zapytał kolejno - skąd wzięłaś popielice? Ojca twojego ruszyło sumienie? Jemu przecież zawsze trudno przychodzi wyjmować pieniądze z kasy.

Wyprowadziłam Marcina z błędu, mówiąc, że połowa futra pochodzi z warszawskiego „interesu”, a druga połowa z dziecinnego spadku. Stryj zdziwił się i zapytał:

- A ileż ci jeszcze zostało po kupieniu futra? - Gdy usłyszał o trzech tysiącach, kiwnął głową i powiedział: - Stara to cnota Jamborowska taka oszczędność. - Później poprawił się i dodał: - Chciałem powiedzieć: wstrzemięźliwość. Mnie w młodości nie trzymały się pieniądze...

W tej chwili nastąpiła przerwa w tańcach i uprowadziłam stryjka na bok. Zwierzyłam mu się z mojego zmartwienia, co kupić Leokadii w prezencie.

Stryjek pomyślał chwilę i rzekł:

- Pomówię z Florencją i coś kupimy dla ciebie w Warszawie. Wystarczy przeznaczyć na to tysiąc złotych. Przyjedziemy oboje na ślub Pawła już w sobotę rano. Jestem proszony na świadka do urzędu stanu cywilnego, drugim świadkiem będzie brat pani Leokadii.

Koło północy młoda para zniknęła w czeluściach starego domu i prawie równocześnie zjawiła się Leokadia. Była w doskonałej formie i odprowadzając mnie na bok, szepnęła:

- Wiejmy na górę, obecnie młodzież będzie szaleć, a my obie jesteśmy w naszych ślubnych sukniach. W dodatku trzeba będzie wyjeżdżać jutro zaraz z rana.

Pozwoliłam się uprowadzić. Przedtem powiedziałam Marysi, że będę spała razem z Leokadią. Na górze pomogłam mojej przyszłej ciotce w rozebraniu się i już po chwili obie zasnęłyśmy tak mocnym snem, że nie obudził nas nawet najazd kuligu.

Dopiero nazajutrz dowiedziałymy się, że w sąsiednim powiecie odbywał się w pewnym dworze bal. Ktoś z młodzieży wspomniął o weselu Gabrysi Orzechowskiej i od razu cała hałastrza zrobiła kulig z pochodniami do Starej Wsi. Nie zrazili się brakiem młodej pary, podsuwali stoły pod ścianę i dalej w tany. Hulaj dusza bez kontusza! Splądrowali cały dom, a państwo Orzechowscy byli im bardzo radzi! W trójkę z wujkiem Benedyktem podejmowali młodzież. Zabawa trwała do szóstej rano, a później ktoś z psotników zatrąbił pobudkę na rogu

myśliwskim i w kwadrans nie było już nikogo we dworze. Tak to było w roku 1932, a co musiało bywać dawniej? Przed dwustu lub trzystu laty, w tejże samej Starej Wsi, która została nabyta przez Orzechowskich w połowie siedemnastego wieku.

W jesieni pojedę na polowanie. Zobaczą. Strzelby strzelają przecież w przód, a nie w tył. Zresztą nie jestem znów taka bojaźliwa. Może jeździć na polowania obecna Gabryś Jambor, mogą również i ja.

Przeszło, minęło. Obie z Leokadią jesteśmy z powrotem w Poznaniu, a młoda para dobija zapewne już do Wenecji. Chyba że skusił ich Wiedeń, ale podobno obecnie miasto straciło już swój dawny cesarski, wesoły charakter. Cesarska operetka zmieniła się w okres ponurych strajków. Dawniej nie było strajków i było dobrze. Obecnie mają w Wiedniu socjalistów, strajki i od razu jest źle.

Ale strajki są nieważne i socjaliści również. Może i przyjdą do władzy u nas, ale nie tak prędko. Należałoby życzyć sobie, by to stało się dopiero po mojej śmierci. Dla mnie zresztą strajki są ważne tylko do dyplomu. A nuż Taylor zapyta o strajki i trzeba będzie na to pięknie odpowiedzieć? Po egzaminie mogę o tym zapomnieć. To sprawa dobrego zorganizowania policji, a do nas ekonomistów należy jedynie pomnażanie majątku narodowego. Państwo wówczas jest silne i potężne, gdy ma dużo bogatych obywateli. Grunt - to pieniądze, reszta fraszka. Ale dość pisania. Pisałam nerwowo i jednym tchem. Bolą palce. Muszę zażyć środek nasenny. Chciałabym usnąć, a nie mogę.

Nawet się nie ugadałam z nikim z rodziny. Ojciec, było widać, że nie jest zadowolony, ustawicznie spoglądał tylko w stronę Leokadii. Widocznie gryzły go rodzinne diamenty Jamborów na szyi narzeczonej stryjka Pawła. Trudno wierzyć, że za naszym ojcem kryje się milion złotych. Ojciec, gdyby zechciał, mógłby sobie kupić bez kłopotu Starą Wieś i Górki. Byłoby to z fasonem dla dzieci; a tak mamy tylko bławaty i kamienice z hałaśliwymi lokatorami.

Leokadia i Paweł. Dobrze. Szczęśliwy strzyjek. Radosna Leokadia. A ja? W maju skończę dwadzieścia cztery lata - już za trzy miesiące. I cóż miałam dotychczas w życiu?

Dowiedziałam się, że nasz generał Wirewicz pracuje obecnie w przemyśle wojennym. Strzyjek Marcin jest ekspertem technicznym w kilku takich przedsiębiorstwach. A tak niewinnie wygląda. Niby urzędnik w ministerstwie, nawet nie dyrektor departamentu. Kiedy ja to wszystko pojmę? I przejrzę do głębi? Godzina druga, późno, ale nie mogę spać, jestem przejęta ślubem Leokadii...

Piątek - 12 lutego

Jutro przyjeżdżają wszyscy do Poznania na ślub cywilny. Stryj wydaje w „Bazarze” coś w rodzaju śniadania na dwadzieścia osób. Leokadia wystąpi w sukni ze złotej lamy i w pelerynce z białych lisów. Z bukietem czerwonych róż. Taka odmiana - bardzo oryginalna. Dopiero w kościele zjawi się w kremowym kostiumie i ze srebrnymi lisami. Ja mam pójść w czarnym jedwabnym smokingu. Poważnie. Biała bluzeczka z kołnierzykiem pod szyję i wążutka czarna aksamitka związana w kokardkę. Kłopot tylko z wyborem odpowiedniego kapelusza. Leokadia radzi dobrze i mocno upiąć włosy w koronę i narzucić leciuchny biały szal. Już mi ofiarowała, na zawsze. Można i tak, nie będziemy przecież wędrować po ulicy, stryjkowie na pewno sprowadzą limuzyny.

Nie umiem myśleć o moim uniwerku. Nadobnik wyznaczył mi konsultację na sobotę, szóstego marca. To nawet nie dwa tygodnie, odliczając wesele Leokadii.

Zaopatrzyłam się w nowiuteńkie dwie pięćsetki, aby z fasonem zwrócić Marcinowi za prezent, który ma mi zakupić dla Leokadii. Ciekawe, na samym początku mojej kariery studenckiej podobała mi się Florencja, a później z takiej na razie obojętnej sąsiadki zza ściany zrobiła się moja właściwie pierwsza porządna przyjaciółka!

Leokadia dobiła do spokojnego i miłego portu. Port w dodatku - jak w bajce. Własna kamienica, własny niekrepowany dochód i majątek Górki. Tym razem bez przymusowego dodatku w postaci Godfryda Braunholda. Jego fotografie powinna zniszczyć na amen. Wystarczy samo wspomnienie, a właściwie nie warto i wspominać.

Problem kochanków przedślubnych. Głupie, bardzo głupie myśli chodzą mi po głowie. W tej chwili pomyślałam, że dobry pianista, zanim pozwołam mu wystąpić na scenie, porządnie musi się namęczyć w życiu i na próbach. Nawet u krawcowej trzeba kilkakrotnie chodzić do miary, nim się ostatecznie włoży na siebie gotowy już do wyjścia kostium czy suknię. Nawet z bluzeczkami kłopot, bo albo jedno z ramion jest wyższe czy niższe, albo guziczki są źle przyszyte. W gimnastyce również nie od razu puszczają na drążki...

Słyszałam już wielokrotnie wypowiedziany pogląd, że w małżeństwach życie rozpoczyna się od dnia ślubu, a wszystko, co było przed ślubem, winno zostać wymazane z pamięci. Życiowo jest to wielce praktyczne i równocześnie nieżyciowe, ponieważ oparte na nonsense. Trzy żony po kolei i czterech mężów, wszystko legalnie rozwiedzione, bodaj nawet niesłychanie rozwyrzone i rozpustne, to bardzo dobre, i ludzie się kłaniają, i obcałowują po rękach. A równocześnie życie bez ślubu, choćby zgodne i innym w niczym nie szkodzące, to złe. Naturalnie w pośrodku mój ksiądz z Helu i urzędniczka z Działdowa. Lub blondynek z banku. Ale już bardzo źle, gdy się ujawni i zdekonspiruje jakaś tam Stefcia...

Wszystko głupie, ponieważ nie wyczaruje mi kochanka, aby zaspokoić moje ciało i uspokoić myśli. Już by mi nawet lepiej szła nauka na moim finiszu dyplomowym. Głupio, ponieważ niewątpliwie i tutaj w Poznaniu jest wielu przyzwoitych chłopców, którzy myślą to samo. Tylko że oni mają ułatwienia życiowe - stworzone dla mężczyzn i przez mężczyzn w ciągu wieków. Kwestia pieniędzy, zresztą, o ile wiem, niewielkich, lub możliwość upolowania sobie jakiegoś głupiego czy łatwego dziewczątka. W dodatku nieuczciwa konkurencja ze strony tych, którym przypuszczalnie jest już wszystko jedno... Różne wdowy i niewdowy w guście tej z cukierni Dobskiego. Właściwie szkoda tego pana Jerzego dla tej klientki z jego banku.

Ostatecznie - cóż miał robić, gdy mu porządna kochanka dała dymisję? Dlaczego się z nią nie ożenił? Ależ nonsens, Leokadia byłaby go wyśmiała, nie mniej niż ja mojego Kruczka.

Czwartek - 18 lutego

W domu wszystko posprzątane i z powrotem poukładane na swoim miejscu. Posadzki błyszczą jak lustro, dywany potrzepane, nigdzie ani jednego pyłku. Wzorowy dom, nie można nawet pokłócić się ze służbą.

Boli mnie głowa, nie mam ochoty do pisania. W dodatku za dwa tygodnie rozmowa z Nadobnikiem. Co mnie może obchodzić statystyka w ogóle, a śmiertelność w szczególności? Zamiast zmarłych mogliby policzyć lepiej ludzi zadowolonych z życia. Zamiast sypać popiół na głowy mogliby wtykać każdemu do ręki stuzłotówki, aby mógł kupić sobie, co mu potrzeba. A mnie zamiast stuzłotówki mogliby...

Niedziela - 21 lutego

Czy to prawda, że dwa tygodnie temu było wesele Maksia, a tydzień temu ślub Leokadii? Chyba tak, ponieważ z Włoch już nadchodzą regularnie co dwa dni różne widowiska.

Najlepiej zrobiłabym, gdybym sprawiła sobie paszport i dalej w świat! Mam jeszcze przeszło dwa tysiące złotych, jakoś wystarczyłoby. Później mogłabym napisać do stryjków i przysłałoby mi pieniądze. Ale dyplom! To jednak warto, już tylko cztery miesiące. A co potem? Paryż. Naturalnie, tylko Paryż! A po Paryżu?...

Trochę się uspokoiłam, ale nie na tyle, aby się przyłożyć i porządnie opisać ostatnią sobotę i niedzielę. Zostawię sobie na później - po rozmowie z Nadobnikiem. Na razie adieu pisanie. Śmiertelność i statystyka? U mnie chyba inaczej: radość i bez statystyki.

Niedziela - 6 marca

Przebrnęłam. To człowiek o gołęmbim sercu. Powiedział mi po skończeniu konsultacji:

- Gdyby pani popracowała nad tym jeszcze trochę, można by to wydać. Przydałaby się nawet taka publikacja. Ma pani trochę czasu? - Widocznie zrobiłam zbyt rozpaczliwą minę, ponieważ profesor zmienił temat rozmowy i powiedział mi na koniec:

- Ale tak również jest dobrze i wystarczy do dyplomu, dziękuję pani.

Obecnie już tylko Taylor i ustny egzamin, tym radosny, że ostatni. Wykuję tylko Taylora, na resztę machnę ręką. Wykręcę się, to wszystko są przedmioty, gdzie można pływać. Jedynie Taylor - ale to sprawa papugi. Na razie koniec z głupim uniwerkiem aż do świąt. Po świątach z powrotem kujonostwo - aż do dies irae!

Obecnie przypomnijmy sobie, że jestem kobietą. To, co prawda, samo o sobie przypomina... Trudno, dobrze, że leżę w łóżku i nie potrzebuję latać po świecie za jakimiś interesami!

Na początku o tym, że nasz ojciec wysadził się z upominkiem praktycznym. Bardzo ładny serwis rosenthalowski na dwanaście osób, obiadowy, kawowy i do czarnej kawy. Ale tylko serwis - to prezent dobry dla młodszego pokolenia. Podarunek w guście z czasów „Żołnierza Królowej Madagaskaru”. Papa w roli Mazurkiewicza z Radomia. Porcelana się zbije, wytłucze i na tym będzie koniec. Co prawda, ciotka Leokadia może odłożyć ten serwis, ponieważ ma kilka innych, swoich oraz kupionych razem z majątkiem Górki, nawet z herbami starej pani, która finansowała zagraniczne lumpki swoich siostrzeńców tak długo, dopóki nie sprzedali Górek razem z talerzami herbowymi. Nie wysadził się mój papa, szczęśliwie, że nie podarował kilku kuponów bławatnych.

Na uroczystościach zjawili się tylko starsze bractwo rodzinne. Wszyscy bracia, to znaczy Józef z Elfrydą oraz nasz ojciec i Marcin, bez żony, lecz za to z Florencją. Na co czeka Marcin? Chyba na to, żeby mu się zestarzała lub żeby mu ją ktoś sprzątnął sprzed nosa.

Marcin i Florencja zjawili się w towarzystwie generałowej i generała Wirewicza ze wszystkimi orderami i w gali, mimo że on już nie służy w wojsku, lecz pracuje w przemyśle. Przyjechali cadillakiem, aż miło było patrzeć. Byli oburzeni - ale na wesoło - że ich nie zaproszono na wesele Maksia, gafa, ponieważ dobrze znają stryjka Pawła. Przegapiliśmy rodzinną możliwość, Maksio sprowadził tylko swego pułkownika, a tymczasem co generał, to nie pułkownik, choćby od ułanów.

Stare, dostojne towarzystwo, w sumie z domowymi równo 24 osoby, w tym 11 pań, 12 panów i jedna osoba duchowna, którą po połowie można by doliczyć do pań i do panów, z powodu noszonej sutanny. Nie znam się na tym, ale również nasz poznański proboszcz ma jakieś kolory pod szyją, mówiono mu: księżę prałacie. Ten urzędowy gość przybył z dobrym apetytem, nie było z nim wielkiego kłopotu.

Leokadia siedziała dumnie jak królowa. Nie włożyła tym razem rodzinnych pamiątek z brylantami, lecz udekorowała się garniturem z kolczyków, broszki i pierścionka, ofiarowanym jej jeszcze przed ślubem cywilnym przez naszego Marcina. Koszyczki, w środku duże ciemne szafiry, a naokoło po osiem sporych, czystej wody brylancików. Ładna robota, wygląda bardzo efektownie, mimo że poważnie. Dopiero pod koniec przyjęcia musiała zmienić biżuterię, by zademonstrować rodzinne pamiątki tym, którzy ich jeszcze nie widzieli. Skorzystała z tego zaproszenia i dowiodła, że jest Leokadią. Przebrała się momentalnie w swoją szkarłatną suknię, w której jest jej bardzo do twarzy. Ale tylko na kwadrans, później wróciła z powrotem do ślubnej atlasowej bieli. Z tym atlasem kłopot, ponieważ na weselu w Starej Wsi oblali ją trochę winem, z trudem się wyczyściło. Miała

rację Leokadia, gdy mnie uprowadziła na górę. Na takie tańcówki szkoda porządnej sukni, a trudno było się przebierać. Leokadia mówi, że na rodzinne bale warto jest przywozić z sobą kilka sukien do przebierania, ponieważ nigdy nie wiadomo, co wypadnie. Ja mam już doświadczenie z Kruczkiem. Ale co innego bal, a inaczej na weselu.

Moim prezentem była staroświecka bransoletka. Czarna emalia w złocie, sam łańcuszek opasujący rękę nieważny, na froncie mała jaszczurka wysadzana kilkunastu kamkami. Każdy z nich inny: głowa z brylancika, oczy z rubinów, sam korpus z kilkunastu drobniutkich szmaragdów, a w ogonie na przemian, jeden po drugim: szafir, ametyst, różowy turmalin, topaz, reszta zatopiona już w czarnej emalii. Bardzo oryginalna bransoletka, doszła do włożenia na jakiś wąski rękaw czarnego jedwabiu. Gdy wręczałam stryjkowi Marcinowi dwie pięćsetki, uśmiechnął się do mnie i rzekł:

- No to ładnie, Anno, że masz jeszcze pieniądze. - A potem pocałował mnie w oba policzki i dodał: - A widzisz... to już tylko parę miesięcy i będziesz miała dyplom.

Ani się spostrzeżliśmy, gdy nam zniknęła młoda para. Było to co prawda umówione z góry, ale ostatecznie poczuliśmy się głupio. Leokadia i Paweł zawinęli się szybko, gdy byliśmy w najlepsze zajęci rozmowami. Po dłuższej chwili zjawili się stryjek Marcin i brat Leokadii i powiedzieli nam, jak gdyby nigdy nic:

- Wsadziliśmy ich do sleepingu.

To się nazywa angielskie pożegnanie, pytałam już różnych znajomych, nikt nie umiał dokładnie określić, dlaczego akurat angielskie, a nie inne.

Ale to wszystko jest nieważne i w dodatku ja nie mam talentu do opisywania takich rzeczy. Ważniejsze natomiast były informacje o Marcinie i Florencji. Małe pół godzinki spędzone w cztery oczy z generałową Wirewiczową w moim pokoiku otworzyło mi oczy na wszystko.

- Dobrze, gdy się dowiesz zawczasu - mówiła moja protektorka - słyszałam, że po ukończeniu uniwersytetu wybierasz się jeszcze w tym roku do Paryża. A Paryż to dla ciebie byłaby niemożliwa pozycja bez zamieszkania w domu siostry Florencji. Patrycja wie wszystko o tobie i razem z mężem serdecznie zapraszają do siebie na cały okres pobytu w Paryżu. Była nawet mowa o tym, abyś skończyła w Sorbonie jakiś jednoroczny kurs dla cudzoziemców z dyplomami. Nie wiem, jak to sobie urządzisz, ale w każdym razie Paryż - to tylko dom siostry Florencji. A teraz opowiem ci, jak się to wszystko naprawdę przedstawia.

Marcin zjawił się w Szwajcarii, a ściślej mówiąc w Bazylei, w momencie, gdy skończyła się wojna światowa. Przemysł był jeszcze mocno rozkręcony i zdolny chemik z miejsca dobrze się umieścił w „Cibie”, to jest chemiczny koncern o światowym zasięgu. Jednym z jego kolegów był Polak mocno sfrancuziały, który dekował się przed wojskiem francuskim właśnie w tej fabryce. Może to nawet nie było dekowanie się przed samym wojskiem, ile raczej zręczne manewrowanie, by nie pójść na front. Fabryka dostarczała równocześnie Niemcom i Francuzom...

W tym miejscu generałowa ledwo powstrzymała się, aby nie splunąć na dywan i powiedziała:

- Łazik, psiakrew... łazik, a poza tym mydłek!

Mowa była o mężu Patrycji, siostry Florencji. Pobrali się w końcu 1918 roku, gdy Rosję już brali diabli. Ojciec obu siostr, stary Zbysławski, w tym czasie odkreślił się z wojska, prawie natychmiast po zawarciu z Niemcami zawieszenia broni, i ustalił w Szwajcarii, gdzie zamieszkiwała bogata rodzina jego żony.

Obie strony posiadały sporo pieniędzy, a młody inżynier pracował w Bazylei raczej z musu, o czym już wspomniałam...

W chwili gdy młody Jambor pojawił się na widowni, małżeństwo Patrycji było już prawie w rozkładzie. Inżyniera trzymało przy żonie jedynie wygodne spokrewnienie ze szwajcarską rodziną żony generała. Były to dobre finansowe stosunki, które umożliwiły

inżynierowi zdobycie w krótkim czasie niezależnego majątku, już po przeniesieniu się w roku 1924 z powrotem do Paryża.

Nawiązanie bliższych stosunków pomiędzy Patrycją i Marcinem poszło bardzo szybko. Mąż niemal demonstracyjnie, po francusku, odsunął się od żony, mimo że trójkąt w dalszym ciągu pozostawał z sobą w jak najlepszych stosunkach. Takie stawianie kwestii jest możliwe jedynie u Francuzów. W rok później przyszedł na świat w Bazylei syn Patrycji, a inżynier bez zmrużenia oczu uznał dziecko za swoje. W chwili gdy na widoku było drugie dziecko, w Bazylei pojawiła się Florencja, która niemal cały okres wojenny i powojenny przebywała we Włoszech, głównie w Taorminie. Leczyła się tam na płuca i dzięki wytrwałości i pieniądзом wyleczyła się naprawdę. Tymczasem Patrycja tkwiła w ponurej Bazylei przy Marcinie Jamborze.

Kto w kim się zakochał, nie wiadomo. Patrycja z mężem wyniosła się do Paryża, tam urodziła drugie dziecko Marcina, tym razem dziewczynkę. Romans dwojga - Florencji i Marcina - zamknął się w małym domku na przedmieściach Bazylei, który być może w tym właśnie celu nabył doktor Marcin.

Tymczasem jakieś spadki rodzinne w Polsce, sprzedaż resztek majątków ziemskich, wybudowanie znanej willi na Żoliborzu i zgromadzenie w niej szczątków mebli i obrazów po Zbysławskich i Krymułtach. Nie wiadomo również, dlaczego parter tej willi jest niezajęty. Reszta osłonięta nieprzeniknioną tajemnicą. Obecnie w Paryżu panują i obowiązują całkowicie ustalone i uregulowane stosunki w rodzinie. W jednym skrzydle domu zamieszkuje inżynier, w drugim Patrycja z dziećmi. Każde prowadzi swój własny, nieskrępowany tryb życia. Bez jakichkolwiek wymówek i z najdalej posuniętą szarmancją.

Jak wyglądają bliżej stosunki pomiędzy Florencją i Marcinem, nie wiadomo. W każdym razie Marcin nie ma kochanek w Warszawie, ponieważ nie uszłoby to obserwacji znajomych. Dlaczego Florencja tkwi w nieciekawej dla niej Warszawie, również nie wiadomo. Podobno trzymają ją tam jakieś sprawy handlowe, ale Florencja nie określa ich dokładnie.

Tyle. W dodatku trudno cofnąć się z drogi i trzeba będzie pojechać do Paryża. Zobaczą na własne oczy, jak takie historie wyglądają z bliska. Dzisiaj już nie jestem głupim dziewczętkiem z Bydgoszczy, któremu wszystko się podobało i które dziwiło się byle czemu. Zobaczą na własne oczy. Może nawet przyda mi się w życiu? A może ten węzeł rozwiąże się kiedyś w sposób rozsądny?

Mówiła generałowa również o reszcie spraw. Były carski generał jest mocno zniszczony, mimo że Polak z pochodzenia i szlachcic. Kariera wojskowa poszła mu łatwo. Ożenił się z córką petersburskiego finansisty z rodziny, która przed wiekiem dla interesu przyjęła prawosławie. Żydzi, ale mocno pomieszani z Rosjanami i Francuzami. Stąd krewni za granicą. Bogaci, zamożni krewni. W dodatku zręcznie uskoczyli przed rewolucją i ocalili sporo ze swoich majątków, stracili wyłącznie ziemię. Ojciec sióstr mieszka we własnej willi w Lozannie. Ma pieniądze w akcjach szwajcarskich. Chodzi w dalszym ciągu w gimnastorce z krzyżem świętego Jerzego, na piersi. Każe nazywać się generałem, a ponieważ jest bogaty, nie przeszkadza Szwajcarom swymi dziwactwami. Patrycja ma obecnie gruźlicę - nieszkodliwą dla otoczenia. Chora. Może dlatego Marcin nie zrywa z nią?

Generałowa jeździ często za granicę. Kobiety jednak łatwiej robią w życiu karierę niż mężczyźni. Kim byłby generał, gdyby nie wojna? Jakimś co najwyżej drobnym urzędnikiem. Mieszkaliby w dwóch pokoikach w brudnej i śmierdzącej kamienicy. W dodatku w Krakowie, który posiada sporo starych zabytków, umieszczonych jednak wśród niesamowitych ruder. Wawel na przykład leży w najbrudniejszej dzielnicy żydowskiej. Przodkowie Florencji wywodzą się również z Żydów. Trudno, dzisiaj połowa arystokracji na całym świecie ma sporą domieszkę krwi żydowskiej. Ostatni król polski pochodził z rodziny włoskich Żydów, Torellich, co po przetłumaczeniu na język polski dało owego Ciołka w herbie. Kosmopolityzm finansowy. Z drugiej strony tworzy się obecnie międzynarodowy

socjalizm robotniczy. Pierwsze jest zjawiskiem konkretnym, drugie polega na utopii. Zresztą co mnie to wszystko obchodzi? O powodzeniu w życiu decydują raczej osobiste zalety i szczęście. Ważne jest to, co się widzi, nie warto zaglądać za kulisy. Wszystkie dekoracje teatralne są z tyłu mocno odrapane i brudne. W restauracji każdy z nas patrzy na to, by mu podano jedzenie na czystym talerzu i aby było smaczne i świeże. Równocześnie każdy kucharz może spokojnie i bezkarnie napluć do garnka z zupą. I cóż z tego?

Dotychczas otrzymałam tylko dwie kartki z Krynicy.

Dobra była Leokadia. W niedzielę rano pokazała mi stalową skrytkę w ścianie sypialni i wręczyła do niej klucze. Pudełka i pudełeczka, a prócz tego jeszcze stalowa kasetka z dnem przykręconym do schowka. Pieniądze, a obok nich zwykły notes. Kto bierze pieniądze z kupki, wpisuje datę i kwotę, podobnie przy wkładaniu pieniędzy. I powiedziała:

- Rządź się sama, jak potrafisz najlepiej. My wrócimy dopiero w końcu marca, po świętach.

Wtorek - 8 marca

List z Grudziądza od Herty. W sobotę będzie u nich Magda. Zapraszają już na piątek. W Brodnicy zjawię się w poniedziałek rano, może i lepiej, że po niedzieli?

Środa - 9 marca

Dzisiaj jak po ogień wpadła do Poznania Zośka. Ktoś nabajał ojcu, że doskonale leczą w Kudowie i ojciec ma już w rękach paszport. Chce wyjechać w przyszłym tygodniu. Ładnie będą wyglądać moje ostatnie egzaminy! Szczęście, że przebrnęłam już przez Znanieckiego. Niby poszło dobrze, a wpisał mi tylko: dostatecznie. Ale grunt, że zdałam za pierwszym razem. Inni chodzą po trzy i cztery razy. Dziwny profesor. Niby spokojny i opanowany, ale ma jakieś nerwowe tiki w twarzy. Od razu zapytał mnie, czy znam język angielski. Był zadowolony, że znam, ale rozczarował się, gdy mu powiedziałam, że Giddingsa przeczytałam po niemiecku. Każdy belfer ma swojego konika. Taylor wierzy tylko w Cannana, a Znaniński w swego Giddingsa. Ciekawe nawet, ponieważ „Bogactwo” przetłumaczyła na język polski Puzynianka, pod redakcją Taylora, mimo że profesor tępi kobiety na uniwersytecie. Ale Puzynianka - to zapewne księżniczka i nic dziwnego, że profesorskie gramatyki mają swoje arystokratyczne wyjątki. Bidusie nie mają powodzenia. Znanińskiemu swoją drogą powiedziałam, że wcześniej umiałam po niemiecku niż po polsku. Bo też i prawda. Ano w kościele - łacina, której prawie nikt porządnie nie rozumie, a w ekonomii czy socjologii angielski, aby było z większym fasonem.

Rozpisuję się od rzeczy. Nie mam głowy do tych ustawicznych zmian, z których nic mi nie przyjdzie osobiście. Działdowo, po drodze Grudziądz, na widoku święty Józef w Gdańsku, dwa razy po tygodniu w Wąbrzeźnie, a równocześnie egzamin i Taylor na głowie. Trzeba będzie wożować ze skryptami w walizce. Psiakrew.

Poniedziałek - 14 marca

Wszystko według programu, jak w rozkładzie jazdy kolejowej. W Działdowie niczego nie wykryłam, mimo że zjawiłam się dzisiaj rano kwadrans przed otwarciem magazynów. Pobyt w Grudziądzu był nieważny. Drobiazgowe rozwadnianie wspomnień o dwóch ślubach. Takie sobie pogaduszki w ciepłym pokoju i przy dobrym jedzeniu. Na końcu ciotka Magda wkładała mi do głowy, co mam zrobić w Działdowie. Była zdziwiona, gdy wyjęłam z torebki bloczek do stenografii i po zakończeniu przez nią wykazu robót odczytałam jej dokładnie wszystko, co powiedziała. Dziwiła się, że jeszcze nie zapomniałam stenografii. Wszyscy się dziwili, później dyktowali mi po niemiecku, poszło może i lepiej. Wróżą mi dobrą przyszłość w najgorszym razie - posadę sekretarki jakiegoś ministra lub potentata w ciężkim przemyśle. Ostatecznie wolałabym - to drugie.

W Działdowie wszystko po staremu. Umieściłam się w dworku, ale na parterze, ponieważ mój stary pokój ze złożonymi bambusami jest zajęty przez lokatorkę. Umieścili mnie w honorowym pokoju, na kanapie, na której nocują zwykle Janiborowie, gdy odwiedzają Działdowo.

Środa - 16 marca

Przeżyłam dwa wydarzenia. Świat widocznie pełen jest wariatów. Po obiedzie moja gospodyni wprowadziła mnie do swego pokoju i odegrała przede mną rolę jakiejś zapasowej ciotki. Naprzód błysnęła nazwiskami krewnych i koligacjami, oni są nawet jakimiś dalszymi kuzynami państwa Orzechowskich. W tych warunkach byłam bardzo uprzejma i starałam się sprawiać miłe wrażenie. Otóż nasza mama wysupłała wreszcie, że ja podobałam się niezwykle jej synkowi, który jest taki delikatny i romantyczny - i nie nadaje się zupełnie do dzisiejszych czasów. Dlatego ja mam się nadać do niego, dobre! W końcu, po kwadransie takich przygotowań, mama zapytała, czyby ich pociecha mogła zacząć starania o moją rękę.

Widocznie do Działdowa dotarły wieści o pieniądzech Jamborów. Mama wiedziała nawet o tym, że mamy w Grudziądzu i Wąbrzeźnie po dwa domy oraz wielki skład z bławatami. Jak to szybko rozchodzą się na świecie wieści o cudzych majątkach! Gdyby nie sprawa z Orzechowskimi oraz bliskie stosunki właścicieli dworku z moim stryjkiem, byłabym się roześmiała wesoło na takie propozycje i odpowiedziała coś w rodzaju kruczkowatym:

- A co syn pani reprezentuje? Przecież nie posiada ani majątku, ani stanowiska, a ja jestem magistrem ekonomii i posiadam spory majątek, coś koło ćwierć miliona złotych.

Ale na razie zrobiłam zakłopotaną minę i odpowiedziałam:

- Szanowna pani, w naszej rodzinie wszyscy pobierają się jedynie z miłości. Przykład - mój stryjek i mój brat Maksio, jak o tym państwo już słyszeliście. Na pewno i syn państwa, pan... pójdzie tą samą drogą i znajdzie swoje szczęście... we wzajemności. Ja już jestem poważnie... zajęta, zaangażowana, co prawda jeszcze data ślubu nie została ustalona, lecz to już bardzo blisko. Moja rodzina ma trochę obiekcji, ponieważ mój wybrany jest bardzo biedny i posiada jedynie uniwersyteckie wykształcenie, ale to nie jest ważne, gdy chodzi o szczęście całego życia.

Biedną mamę zatkało. Na pewno czyniła sobie później gorzkie wyrzuty, że wcześniej nie zauważyła w swej lokatorce sprzed dwóch lat tylu talentów na synową. Sam synalek nie był w domu obecny, rodzice wysłali go do Zakopanego, gdyż w tym czasie w starostwie udzielono mu urlopu.

To był wariat numer pierwszy, w dodatku rodzaju żeńskiego. W każdym razie ubawiłam się tą drugą propozycją małżeńską w moim życiu. Drugi wariat przyjechał do Działdowa tego samego dnia wieczorem i od razu prosto z kolei zjawił się w dworku. W dodatku natrafił na niedoszlą kandydatkę na moją teściową i ta, trochę warcząc, poprosiła go do salonu. Wzięła go widocznie za mojego wielbiciela i usiłowała odegrać rolę rodzinnej przyzwoitki. Ledwo się pozbyliśmy babsztyla, który dopiero wówczas ustąpił, gdy już zamierzaliśmy przenieść dalszy ciąg naszej rozmowy do miejscowej kawiarenki.

To był družba Gabrysi, ów, który bawił się z nią w piasku i od urodzenia był przekonany, że ona zostanie jego żoną. Gabrysia zrobiła mu kawał, a on uroił sobie, że musi się zaraz, natychmiast ożenić z Marysią Kawczyńską. Dlatego, że ona powstrzymywała go od upicia się na weselu Gabrysi, że dzięki temu nie stał się śmieszny na weselu, i w ogóle, że Marysia mu się podoba...

Wylewałam mu na głowę kubel zimnej wody, jeden po drugim. To, że Marysia jest biedna, to, że Marysia jest córką tylko rolnika spod Nowego Miasta, to, że Marysia nie jest szlachcianką, i to, że jego rodzice nigdy nie zgodzą się na taki związek.

Na to wszystko romansowy kawaler odpowiadał w kółko, że nie ma już ojca, a matka na wszystko się zgodzi, bo go kocha. Że matka już się zgodziła na tę panienkę, że jego siostra

już dobrze sobie obejrzała Marysię na weselu i sama go do tego zachęca. A on jest zdecydowany...

I gadaj tu z takim. Próbowałam wziąć to na wesoło i powiedziałam:

- Marysia na razie nie myśli jeszcze o małżeństwie, studiuje w Gdańsku handel zbożem, a ja akurat skończyłam studia. Dlaczego nie oświadczy się pan mnie, przecież naprzód poznał pan mnie, a dopiero później Marysię.

Chłopiec spojrział na mnie nieprzytomnymi oczyma i dalej swoje: tylko Marysia i Marysia zaraz... Mogą wziąć ślub już nawet w drugi dzień świąt, za dwa tygodnie, za indultem. Wyprawa nie jest potrzebna, dość wszystkiego w domu u jego matki, zresztą weźmie się wyprawę jego siostry, a jej uszyje się inną. Oni oboje z siostrą dowiedzieli się o poznańskim telefonie pani Leokadii Jambor, dzwonili do Poznania i tam powiedziano im, że ja przebywam obecnie w Działdowie. I oto natychmiast przyjechał. Tylko ja mogę mu pomóc, tak zdecydowała jego siostra! Przywiózł nawet jej bilecik do mnie: Kochana, kochaniuteńka Anno, pomóż naszemu Kubusiowi u Marysi!

Trudno, jutro rano wiozę chłopca do Marysi. Nawet nie spodziewa się bidulka, jakiego gościńca jej przywiezę! Jakub Trestka-Cieleski, herbu własnego, właściciel majątku Wólka Cieleska, właściciel, ponieważ zazwyczaj siostry spłacają na wsi pieniędzmi, a nie ziemią. Jakub, czyli Kubuś, tego w naszej rodzinie jeszcze nie było. Marysia - panią w Wólce Cieleskiej, no i na Kubusiu Cieleskim! Trudno, jutro rano odwiozę wariata do Gdańska, na razie w gościnę do stryjka Józefa i ciotki Elfrydy. Zrobią oczy, gdy mnie zobaczą z tym Kubusiem. Jak on mi pięknie przyrzekał: - Anno, pani Anno, ja pani tego nigdy nie zapomnę.

Lepiej, gdyby się ze mną ożenił. To cudo taki kandydat, nie przebiera i nie grymasi. Ślub może być zaraz lub w drugie święto Wielkanocy, to znaczy za dziesięć dni. Mnie by to było nawet na rękę, nawet bardzo, ale cóż, kiedy on chce tylko do Marysi! Miał rację Boy, gdy śpiewał w Zielonym Baloniku: „Ale dostał takiej manii, że chciał tylko od Stefanii”.

Wielki Wtorek - 22 marca

Już z powrotem w Poznaniu. W Gdańsku wszystko poszło jak z płatka.

Imienin nie warto opisywać, wszystkie są jednakowe, w dodatku w Gdańsku obchodzenie imienin nie jest w specjalnym zachowaniu. Wizyta u państwa Kawczyńskich odbyła się w nastroju poważnym. Marysia wróciła z biura nieco później. Kubuś co chwilę spoglądał na drzwi, czy nie idzie, w końcu nie wytrzymał i oświadczył się babci Kawczyńskiej. Pana Kawczyńskiego również nie było w domu.

Babcia wzięła go naprzód również za wariata. Próbowała mitygować, ale trudno i darmo: ja chcę Marysię za żonę, i tylko Marysię! Ostatecznie Marysia wróciła do domu i Kubuś, nieprzytomny z wrażenia, oświadczył się, tym razem już samej pannie. Nowa seria wrażeń i znów tłumaczenia: ależ panie Kubusiu, i panie Kubusiu. Widocznie wszyscy go tak nazywają.

Stańto na tym, że Kubuś ma czekać do czerwca, do imienin stryjka Pawła, które w tym roku mają być obchodzone w Górkach z wielką pompą. Jeżeli wytrwa tak długo, to Marysia pomyśli i da mu wówczas odpowiedź. Kubuś był uszczęśliwiony, jak by go ktoś wsadził na sto koni. Nie chciało mu się opuszczać domu, później nadszedł pan Kawczyński i zrobiła się rodzinna kolacja. W końcu wyciągnęliśmy od krewnych ociągającego się z pożegnaniem Kubusia, który w zapale wszystkich wycalaował. Babcię Kawczyńską i Marysię w oba policzki, a pana Kawczyńskiego w rękę. Bodaj to być zakochanym!

Poznań - Wielki Piątek

Jutro w południe do naszego doktora zwała się cała Bydgoszcz. Doktor ma urwanie głowy, kto wie, czy nie przyjadą Franusiowie z Katowic. Tego by jeszcze brakowało! Już zaprosiłam całe towarzystwo do siebie - chyba do nas? - w drugie święto. Wyreżam w tym

ciotkę Leokadię, trzeba będzie godnie zaprezentować poznański dom właścicieli majątku Górki, w powiecie mławskim. Nie ma z tym kłopotu, ponieważ spiżarnia zavalona zapasami, które przysłała w tym tygodniu ciotka Magda.

Wtorek - 29 marca

Bydgoscy krewni przyjechali późnym wieczorem w Wielką Sobotę, a odjechali dzisiaj w nocy. Nic dziwnego, kupcy, musieli dzisiaj rano otworzyć swój sklep.

Moje przyjęcie udało się. Wszystko zależy od dobrej służby, aby sama działała, bez popychania. Nasza kucharka wysadziła się, podawała nam subretka w koronkowym fartuszk.

Piątek - 1 kwietnia

Do Wąbrzeźna spadłam jak z nieba na ziemię. Zośka oczekiwała mnie z niecierpliwością. Święta spędziła prawie samotnie w domu. Ledwo doczekała wieczoru i na noc wyjechała do Łodzi. Przy pożegnaniu powiedziała mi, że ja mam w życiu dobrze, a ona źle. Nie wiem - może to racja.

I oto zostałam samotna w ojcowskim mieszkaniu nad sklepem. Leżę w staroświeckim łóżku, a na mnie z góry patrzy z portretu Zofia Wildorf. Tym razem uśmiech zda się błyszczeć na wyverniskowanym obliczu mojej praprababki. Portret zabiorę z sobą do Poznania. Już mi się znudziła obnażona kobieta Makartowska, dobrze przynajmniej, że obecnie umieszczono ją w kącie nad kozetką.

Niewola potrwa dobry tydzień. Zośka ma do załatwienia jakieś dłuższe rozliczenia. Otwierałam dzisiaj kilkakrotnie żelazną kasę w kantorku. Wszystko na miejscu, gotówka, książeczki czekowe podpisane na zapas, różne dokumenty, a jedynie kasetka w głębi kasy zamknięta jest na amen. Klucz ma tylko ojciec. Widocznie trzyma tam swoje poufne tajemnice. Co mnie do tego, to i tak nie moje,

Sklep w dalszym ciągu wzorowo i bogato zaopatrzonej. Wyjeżdżając, zabiorę z sobą materiały na kilka letnich sukien dla siebie i dla Leokadii. Tym razem polecę zapakować i odnieść na górę do mojego pokoju, a później, obojętnie i na zimno, każę zrobić obliczenie po cenach zakupu i zapisać sumę na mój osobisty rachunek. Jeżeli takiego nie ma, niech go otworzą. Moje dwadzieścia cztery lata i uniwersytet także coś znaczą.

Środa - 6 kwietnia

Z Poznania kartka od doktora, wszystko dobrze w domu na Matejki. Wyjeżdżając, prosiłam starego przyjaciela, by przypilnował naszego mieszkania i kamienicy. Śmiał się i powiedział, że kamienica nie ucieknie, a meble nie tak łatwo wynieść. Przynajmniej, że ściągnie komorne, jemu to nie sprawi różnicy, on ma czas na wszystko.

W sklepie nudno. Zjawiam się jak zwykle z teczką, a nie z torebką, czytam powoli, karta za kartą „Historię doktryn ekonomicznych” Gide'a i Rista. Byle przebrnąć przez Taylora, reszta drobiazg, można się wyłgać, jestem dostatecznie odczytana. Jutro jestem zaproszona na imieniny do tego adwokata, który mieszkał w naszym domu, nad sklepem. To także stary znajomy naszej rodziny, tylko że patentowane brudasy, jak można było sądzić po stanie mieszkania, gdy je opuścili. Ale pójdę, nawet z kwiatkami, przypominała mi o tym Zośka.

Sobota - 9 kwietnia

Czytam skrypt zgodnie z moim zwyczajem, kartka po kartce, robię nawet krótkie notatki. Po prostu notuję obok nazwisk ekonomistów najważniejsze ich tezy czy dowcipy. Na co komu to się przyda? Na pewno nie do zrobienia pieniędzy, najwyżej, gdy ktoś zechciałby zostać belfrem w jakiejś innej szkole. Może Taylor ma rację, że ekonomia nie jest potrzebna

kobietom. Ale prawo jest jeszcze niewspółmiernie głupsze, można wykuć na pamięć i koniec. Szkoda, że nie wybrałam czegoś praktyczniejszego.

Imieniny w małym miasteczku to taka sama heca jak imieniny w dużym mieście. Dużo żarcia, jeszcze więcej wódy, a na końcu karty, kto w co umie. Tutaj grają nawet w preferansa, ponieważ osoby duchowne z probostwa nie przestawiły się jeszcze na brydża. Wygrałam przeszło trzydzieści złotych, widocznie moja szkoła była lepsza od wąbrzeskiej. Do domu odprowadziło mnie całe towarzystwo, mieszkające w rynku, podobnie jak my.

Wypiłam za wiele i w dodatku mieszałam. Nie mam do tego głowy. Rzygałam, całe szczęście, że już u siebie w domu. Rano bolała mnie głowa, ale wstałam wcześniej i punktualnie byłam na posterunku. Jutro jestem zaproszona na babski kafeklacz do tej samej mecenasowej, mają być tylko same panie. Pójdę i zobaczę, czego mogłabym oczekiwać od życia, gdybym została panią mecenasową w Wąbrzeźnie lub gdzie indziej.

Niedziela - 10 kwietnia

I to ma być życie? Przecież wszyscy znają się w tym miasteczku jak łyse konie i właściwie brak tematu do wzajemnego obmawiania się, bo i tak wszyscy wszystko wiedzą. Wróciłam do domu jeszcze przed kolacją, tłumaczyłam się bólem głowy. Paniusie patrzyły na mnie z wyrozumieniem, jakby chciały mnie pocieszać: bóle głowy się skończą, gdy nasza panna Jambor wyjdzie za mąż. W dodatku dużo znajomych pań, które mnie pamiętają, gdy byłam jeszcze smarkulą, i z tego powodu okazują mi dużo troskliwości i serdeczności. Nie lubię tego, widocznie jestem zbyt szorstka.

Poniedziałek - 11 kwietnia

Głupi epizod. Dzisiaj w południe, gdy w sklepie był stosunkowo mały ruch, zjawił się jeden z tutejszych adwokatów, który mnie specjalnie adorował na przyjęciu imieninowym. Wszystko wiem o nim: wdowiec, ma dwoje dzieci, oboje już ponad dziesięć lat, on sam koło czterdziestu paru. Niby przyszedł zakupić materiał na letnie ubranie. Byłam zmuszona zaprosić go do kantorku, ponieważ taki zwyczaj panuje w sklepie Jamborów w stosunku do „lepszych” klientów. Nudził mnie dobrą godzinę, wypytywał o różne szczegóły, niczym spowiednik jakąś dewotkę w niebezpiecznym wieku. Dziwił się, gdy usłyszał o Paryżu, zauważyłam, że mu się mocno przeciągała mina, gdy podchodziłam do zagadnień w sposób wesoły i kpiący. Nie spodziewał się tego widocznie po córce wąbrzeskich Jamborów. Ostatecznie pozbyłam się go, a nawet wcisnęłam mu dwa materiały popielate, jeden jaśniejszy, a drugi ciemniejszy. Zgłupiał, gdy mu klarowałam, że posiadając dwa takie ubrania, ma się właściwie cztery: jasne i ciemne oraz podwójną możliwość dobierania odmiennych spodni do marynarek. Widocznie dotychczas jeszcze sam tego nie odkrył!

Mały, prawie mi pod ramię, ale za to goła pała, pozbawiona całkowicie włosów, i buzia zdradzająca przyzwyczajenie do dobrego jedzenia. W rodzaju tych, którzy oblizują się i mlaszczą podczas jedzenia. Poza tym pączek w maśle, widocznie niczego sobie nie żałuje. Najlepszy adwokat na miejscu. Dobra partia, wdowiec i dzieci już odchowane, nie trzeba byłoby już podcierać im pupy i oduczać od dłubania w nosie. Jego czterdzieści kilka lat i moje dwadzieścia cztery. Dobrana para, w najlepszym razie raz na dwa lata Rabka dla dzieci, gdy zachorują. Krynica za droga, a Paryż - wiadomo, że Gomora...

Środa - 13 kwietnia

Od rana wyleguję się w łóżku. Wczoraj w nocy wróciła Zośka. Niewyspana i wymęczona, lecz nie poruszała tematów higienicznych. Bardzo dobrze, ponieważ obecnie nie mam głowy do wysłuchiwanie tego rodzaju zwierzeń. Po południu zeszłam do sklepu, ale bawiłam tam krótko. Wystarczy, że Zośka rzuciła się na interesy jak wygłodniały wilk na

ścierwo, Niczego jednak nie zganiała, widocznie prowadzenie sklepu nie jest takie trudne, podobno gorzej z zakupami. Jutro rano wracam do Poznania.

Wczoraj nadszedł z Kudowy list od ojca. Podobno urządził się dobrze i jest zadowolony z sanatorium. Osobno nadesłał wykaz spraw do załatwienia, pamięta o wszystkim, nawet gdy przebywa na kuracji. Lepiej byłoby, gdyby myślał tylko o swym zdrowiu, no ale cóż? Jambor.

Sobota - 16 kwietnia

Praprababkę powiesiłam sobie nad biurkiem. Odtąd będzie mnie pilnowała, abym nie robiła w życiu głupstw. Chociaż sama nie wiem dobrze, co to jest naprawdę głupstwo. Wiele ludzi nie wie. Głupstwem jest chyba to, co nam szkodzi. Ależ odkryłam filozofię!

Poniedziałek - 18 kwietnia

Dzisiaj przyjechali do Poznania stryjek Paweł i Leokadia. Opaleni, syci, zadowoleni. Jeszcze raz zadowoleni ze znalezienia mojego gospodarstwa w stanie kwitnącym i nawet z menu, które w ich oczekiwaniu sama dysponowałam. W dodatku wczoraj, w niedzielę, zjechali do nas Michałowie z Katowic; w połączeniu ze starym doktorem wytworzył się miły nastrój. Kwiaty - Leokadia lubi dużo kwiatów i wszyscy o tym wiedzą. Michałowie oprócz portretu mojej prababki Anny przywieźli nowiny. Przenoszą się do Lwowa i mają tam zamieszkać w domu rodziców Kazi. Stary doktor Bauman coś niedomaga i wezwał ich do osiedlenia się we Lwowie. Michał ukończył już swoją praktykę ginekologiczną w katowickim szpitalu i nie dziwię się, że bez żalu zmieniają ponure, węglowe Katowice na wiecznie roześmiany Lwów. Na razie nie znam jeszcze tego miasta i patrzę na nie z oddali oczyma Szczepka i Tońka.

Wujkowi Michałowi jakoś nie wypadła kopia portretu prababki. Zawiózł obraz do Krakowa i profesor Policht wykonał wierną kopię. Podobno nadzwyczajnie uchwycił podobieństwo i oryginał można rozpoznać jedynie po szerniałym płótnie na odwrotnej stronie. Udało się nawet naśladowanie starego laserunku.

Portret prababki stoi na razie oparty o ścianę. Jutro zawołam dozorcę i każę mu wbić do ściany odpowiednio mocne dwa haki. Wszyscy śmiali się ze mnie, gdy powiedziałam, że portret umieszczę jak najbliżej posadzki, opierając go na listwie podłogowej. Górną część ramy lekko pochylę ku przodowi. W ten sposób wydobędzie się jakby pogłębienie portretu naturalnej wielkości. Prababka z obrazu będzie miała nieustanny kontakt z osobami przebywającymi w pokoju. Umieszczę na ścianie nie zasłoniętej niczym, w pobliżu mojego garnituru z fotelikami.

Ostatecznie mój pomysł zwyciężył, ponieważ niemal tuż przed odjazdem Michał powiedział w zamyśleniu:

- A może Anna ma rację. Takie ustawienie portretu będzie oryginalne, muzealne, pokój duży, to będzie robiło wrażenie.

Z lewej strony, u góry portretu jest wymalowany panieński herb prababki: złoty miecz na czerwonym polu, a wianek z białych róż. Rycerz w zbroi - naturalnie w srebrze, natomiast boczne labry czerwone ze złotem. Von Rosenschwerth.

Wtorek - 19 kwietnia

Wrócili, pobyli niecałe dwa dni i tyle się nimi nacieszyłam. Oboje od razu ogarnęli szal pracy i chęć urządzania obu majątków ziemskich. Stryjek wysłuchał mojej relacji o Działdowie, był zdziwiony szczegółową relacją, odczytaną przeze mnie z bloczka do stenografii, i nawet mnie pochwalił. Nigdy się to nie przydarzyło ze strony mojego rodzzonego ojca. Później oboje dokonali przeglądu różnych rzeczy, spakowali kilka waliz, zabrali z sobą na wieś naszą pokojówkę i życzyli mi dobrego wyniku końcowych egzaminów. Leokadia zastrzegła się, abym sobie niczego nie żalowała. Oddano mi w ręce mieszkanie, kamienicę,

lokatorów, komorne i naszą gospodynię. Jako generalnego doradcę wskazali mi oboje naszego doktora, - szkoda tylko, że nie jest młodszy o jakieś trzydzieści lat. Same rady w moim wypadku niewiele pomogą!

W ostatniej chwili wywiali, zabraniając mi odprowadzania na dworzec wobec zbyt ранnej pory. Żyją z sobą zaledwie dwa miesiące i już dopasowali się we wszystkim znacznie lepiej niż inne małżeństwa po dwudziestu latach. Oboje uśmiechają się do siebie, lecz nie czynią tego w sposób demonstracyjny. Nawet jakoś spoważnieli, widocznie głowy mają już nabite interesami. Stryjek opowiadał o tym wszystkim przy doktorze i mówił jak karabin maszynowy. Widocznie oboje ułożyli sobie w Krynicy dokładny plan działania.

Pomimo wili wyjazdu zdążyliśmy zagrać wczoraj cztery robry. Chcieli grać wysoko i dzięki temu wygrałam największą, jak dotąd, kwotę w moim życiu: 74 złote i 75 groszy. Wszyscy troje śmiali się, ponieważ wygrały panie, Leokadia mniej, bo niespełna 20 złotych. Wzięłam całą sprawę na wesoło i wpłaciłam dzisiaj na moje konto w banku całą wygraną. Załatwiał mnie znajomy blondynek, nie było akurat klientów i przeflirtowaliśmy dobry kwadransik. Opowiadałam mu, dlaczego wpłacam taką śmieszłą sumę z groszami, ale on nie umie grać w brydża i nie mógł pojąć pointy dowcipu. Z umysłowością u niego jest trochę gorzej, tylko tyle, że dobrze zbudowany. Pasuje nawet do koloru włosów pewnej brunetki, wiem do której... ale ostatecznie. Może go sobie jakoś upoluję. Przestałaby mnie pobołować głowa, a to byłoby wielką pomocą w okresie kucia do egzaminów. Ostatecznie to całkiem obojętne dla sprawy, trzech kochanków czy dwóch!

Jutro mamy spotkać się o godzinie szóstej u Fangrata.

Środa - 20 kwietnia

Piszę w przerwie pomiędzy wykładami. Ciekawa jestem, co będzie z tą randką. Moja gospodyni prosiła mnie o wyjście do godziny jedenastej, na wszelki wypadek powiedziałam jej, że wybieram się na kolację do doktora i może się mną nie krępować, to znaczy wrócić do domu jeszcze później. Była zadowolona, obiad dzisiaj już o wpół do drugiej. Jak to mówią, okazja znakomita.

Zawsze lepiej u siebie w domu, na własnych śmieciach. Ciekawe, jestem zupełnie spokojna. Dawniej byłabym rozgorączkowana i roztrzęsiona, ale to głupstwo, w to nie należy wkładać żadnych nerwów. Na chłodno i z wyrachowaniem. Zobaczmy. Na kogóż jednak mają polować kobiety niezamężne?

Niedziela - 24 kwietnia

Przypuszczalnie wszystko odbyło się normalnie. Godzinkę odsiedzieliśmy u Fangrata, później odprowadzono mnie do domu, a do mieszkania weszliśmy oboje bez żadnych cudów i bez podnoszenia kołnierzy do góry, jak się o tym czytuje w bzdurnych powieściach starego typu. Nikt nas nie spotkał na schodach. Do mieszkania weszliśmy, ponieważ chciałam pokazać mu... obrazy Bardzo taniutki powód czy pretekst, ale równie dobry jak inne. Niepotrzebnie zmarnowaliśmy następną godzinę. Wszystko można było urządzić znacznie szybciej i bez kluczenia. Wystarczyło powiedzieć: ja jestem młodą dziewczyną, a ty młodym chłopcem. Na co czekamy? W pewnym momencie usiedliśmy na kozetce pod obrazem Makarta. Młody człowiek jakoś drgnął, gdy spojrział na obraz, ja zaś roześmiałam się.

- Niech pan, panie Jerzy, nic sobie nie robi ze wspomnień - powiedziałam - dowcip życia polega na tym, aby korzystać z... rzeczywistości.

Chyba zrozumiał moje wyzwanie, ponieważ również roześmiał się w tym momencie.

Pokój był oświetlony tymi samymi abażurkami w kolorze różowym, co ongiś, tylko że już nie tak al giorno. Zapaliłam umyślnie tylko dwa abażurki. W pokoju panowało nastrojowe oświetlenie. W dalszym ciągu zachowałam się jak wenecka kurtyzana z czasów Aretina. To znaczy przebojowo i wyzywająco. Podeszłam do szafy, wyjęłam z niej dwa szlafroki,

jeneralski dla mnie i zwykły jedwabny w czerwone i czarne pasy. W kieszeni gościnnego szlafroka umieściłam wiadome pudełeczko... Dokonałam tego w sposób niezwykle szybki, po czyni wręczając mojemu gościowi szlafrok powiedziałam tylko tyle:

- Wracam za dziesięć minut.

Koniec opowieści. Mojego chłopca zatrzymałam prawie do godziny jedenastej. Nie zdążyłam poczęstować go kawą, jedynie pokrzepiliśmy się kilku kieliszkami mocnego wina, takiego, co to rozgrzewa kości i które pijano w Clamecy...

Nasze rozmowy skończyły się niemal całkowicie z momentem podania przeze mnie szlafroka. Każde z nas zajęło się wyłącznie samym sobą. Dzisiaj, w niedzielę, historia powtórzyła się. Wczoraj przesiedzieliśmy grzecznie pół godziny u Fangrata, i jak to mówią, w sposób męski uzgodniliśmy nasze pożycie. Otwarcie i bez żadnych niedomówień. Historia z bankową klientką całkowicie zakończona, jako główny warunek z mojej strony, postawiony w sposób zimny i bez wdawania się w szczegółowe dociekania. Podobały mi się słowa mojego nowego znajomego:

- Cóż miałem robić, skoro pani L. odstawiła mnie jak szczeniaka?

Problem został z mojej strony postawiony całkiem jasno: wiem wszystko o naszej wspólnej znajomej, ale to jest kamień w wodę! Co do nas samych postawiłam również prosto: oboje mamy przed sobą przyszłość i własne cele. W jednakim stopniu cenimy dyskrecję. Równocześnie nie mamy potrzeby zgrywać niepotrzebnych komedyjek z zalecaniem się. Oszczędzimy sobie w ten sposób sporo czasu i tak dalej. Spotkania na razie u mnie. W mieście - najwyżej raz w tygodniu w jakiejś małej kawiarence, nie na widoku.

Clara pacta conventa, niezwykle łatwe do dotrzymania. Dotychczasowy ceremoniał obowiązujący, aby się nie mylić przy ludziach obcych: pan i pani.

Niedziela - 1 maja

Odwiedziny po raz trzeci. Dwie godziny bez dodatkowych minut. Uspokoiliam się. Dzisiaj była rozmowa na tematy kalendarzykowe, ale w sposób nieosobowy, jakby to nas samych nie obchodziło. Chłopiec został dobrze wychowany przez moją przyjaciółkę. Również dobre, nawet bardzo dobre i wygodne.

Obecnie wyleguję się. Wykąpałam się w gorącej wodzie, do kąpeli nasypałam sporo ziół i wlałam butelkę Przemysławki. Dlaczegoż miałabym sobie żałować? Przecież wygrywam w karty!

Na kolację zrobiłam sobie mocnej herbaty i jadłam tartinki z masłem i szynką. Nie ma potrzeby obżerać się codziennie gorącymi daniami. Obecnie przeciągam się na łóżku jak kotka. Głupie wyrażenie, ale realne i rzeczywiste.

Czas zabrać się do mojej lektury. Czytam obecnie po raz drugi uważnie i powoli Fryderyka Skarbka „Ogólne zasady nauki gospodarstwa narodowego”. Wyczytałam przed chwilą:

„Praca więc, kapitał i ziemia to trzy pierwotne źródła dochodów. Lecz są warunki pewne, które dopełnić należy, ażeby z tych źródeł dochód można czerpać...”

Ano zanotowałam. Nie tylko na osobnej karteczce, lecz również w moim bloczku. Praca - to dla poczciwego człowieka kilkaset złotych miesięcznie, kapitał i ziemię trudno wyczarować z tego źródła. Hrabia Skarbek zapomniał dodać w tym miejscu: kapitały zdobywa się w życiu za pomocą sprytu, bezwzględności w stosowaniu środków i dzięki odrobinie szczęścia...

Trzeci Maja

Późny wieczór. Poleżę sobie moje trzy dni dla zdrowia. Nic mnie nie wygania z domu, jedzenie podsuwają mi pod nos, a lokatorów, którzy zechcą koniecznie ze mną rozmawiać,

przyjmę w szlafroku. Nie trzeba się ceremoniować, to tylko lokatorzy, a im jest obojętne, jak będę ubrana.

Środa - 4 maja

Głupia Zośka, przysłała mi dzisiaj telegram: „Przyjedź natychmiast, muszę terminowo wyjechać na trzy dni”. Wpadłam do banku uprzedzić, wyjeżdżam zaraz po obiedzie.

Niedziela - 8 maja

Znów tkwię w Wąbrzeźnie. Zośka ma wrócić we wtorek, nie wierzę. Pocieszam się, że to już po raz ostatni. Po uzyskaniu dyplomu zaraz wyjadę na wakacje do Paryża, a później urządzę się na posadzie, zapewne w Warszawie. Już im trudniej będzie ściągać mnie do sklepu.

Wybrałam sobie bardzo miękki flausz w kolorze beige na płaszcz podróżny. Trzeba o wszystkim pamiętać: egzamin, stroje, obowiązki rodzinne, to znaczy kupieckie, całe szczęście, że na razie odpadły inne kłopoty. Mam wolną głowę do myślenia o ważnych sprawach.

Do płaszcza dobrałam dwie szkockie kraty. Wielkie kraty harmonizujące z kolorem płaszcza. Jedna z nich w postaci lekkiej welenki, druga lichesy jedwab, lecz w miłym deseni.

Adwokacina w dalszym ciągu mnie nachodzi. Zabiera się na serio, mówi, że oczekuje na naszego ojca, ponieważ ma do niego interes. Już się znamy na takich interesach. Głupiec, myśli, że ma z cielęciami do czynienia. Dodatkowa korzyść z takiej żony: trochę zna się na prawie, bo skończyła przecież ekonomię, i umie pisać na maszynie.

Leokadia zarykiwała się, gdy jej opowiadałam o moich ostatnich konkurentach. Stryjek powiedział, że maminsynek z Działdowa to przecież skończony bałwan; co sobie stara uroiła? Co do adwokata, to oboje mnie uprzedzali, że nasz ojciec będzie uważał go za dobrą partię. Brrrr, dwoje cudzych dzieci do chowania i łysa pała rano, w południe i wieczorem. Można by mu natrzeć łysinę fosforem, to by się oszczędziło światła podczas wchodzenia w nocy po schodach. Ale on na pewno wieczorem siedzi w domu, to i z tego nie byłoby pociechy. Nie ma głupich.

Jak mogłam, odstraszałam go od siebie. Wymieniałam ilość sukien, moją rozrzutność w wydatkach, najgorzej go dotknęło, gdy mu oświadczyłam, że nigdy nie wchodzę do kuchni, a z kucharką rozmawiam u siebie w pokoju. Nie mógł wyrozumieć w Poznaniu, w tak małym gospodarstwie, gospodyni i pokojówki, czarowałam go, że kupujemy drugi samochód i będziemy trzymać w Poznaniu na stałe szofera. Przeciągała mu się mina, ale słuchał do końca. Później był koniec romansów, ponieważ szefową odwołano do jakiejś nieznanym mi gromadki, która przybyła do sklepu w komplecie: papa, mama, trzy córki i jakaś dodatkowa zawiędła dama. Pomorska wieś w wydaniu dóbr rycerskich. Subiekt, kuty na cztery nogi, tytułował mnie na przemian szefową i panią magistrzem. Sprawiało im to satysfakcję, że ich obsługuje ktoś godniejszy od zwykłego ekspedienta. I tacy dziedzice kupują bławaty w Wąbrzeźnie! Wmówiłam w nich całą furę, zapłacili gotówką. Po wyjściu ze sklepu kazałam prowizję od tej transakcji zapisać na rachunek subiekta, który mnie tak godnie reklamował. Ja gadałam, on mierzył towar łokciem. Później zaprowadziłam dziedziców do kasy i już tylko uśmiechałam się i komplementowałam klientów według najlepszej mody kupieckiej, znanej mi z Warszawy. Zawód kupca nie jest trudny, trzeba umieć się uśmiechać, kłaniać i z fasonem wtrzywać towar, gdzie się da i komu się da. Za gotówkę i na kredyt, byle handel szedł.

Istnieje zasadnicza różnica pomiędzy dziedzicami pomorskimi a szlachtą z Królestwa. Różnica w byciu, różnica nawet w sposobie wyrażania się. Na Pomorzu właściciele dóbr rycerskich mieszają się z kupcami, z wolnymi zawodami. Lekarze i adwokaci nabywają majątki ziemskie. To samo dzieje się również i w Królestwie, ale tam świeżo upieczeni

dziedzice starają się, ile tylko mogą i o ile im się to udaje, naśladować szlachtę z fasonu i nawet gestu. Na Pomorzu i w Poznańskim natomiast wszystko miesza się wzajemnie i powstaje taki sobie kołtuński alembik. Takich jak nasz stryjek Paweł jest niewiele. Stryj jednak przetańił się mocno po świecie i właściwie traktuje swoje pomorskie morgi jako kupiecki kramik do handlu zbożem. Mnie się wydaje, że stosuje na wsi raczej chłodne metody kupieckie i nie grzebie się w ziemi od strony wieśniaczych nieustannych eksperymentów. Nie robi wynalazków na własną rękę i w tym tkwi sedno jego powodzenia. Dobrze mu, gdyż ma spokojną głowę z kredytami, jako wolny od szubienicznych długów. W dodatku nie ma pod nosem żydowskich faktorów, o których mi opowiadano na weselu Maksia.

Środa - 11 maja

Zośki jeszcze nie ma. Niesłowna. Dobrze, że zabrałam z sobą skrypty. Już nawet nie klnę, ostatecznie to wszystko jedno, czy siedzę tutaj, czy w Poznaniu. W kantorku ojca można doskonale studiować i mieć cały sklep na oku. Ja osobiście bez potrzeby nie szwendam się po sklepie. Robi to nawet większe wrażenie, ponieważ personel jest w nieustannym napięciu: kiedy ten dragon z Poznania wyjdzie ze swej klatki i do czego się przyczepi?

Czwartek - 12 maja

Wieczorem, prawie przed godziną, Zośka wróciła. Już się nie wrywam, trzeba zrobić jej przyjemność. Przyjęcie, jedno w sobotę wieczorem, a w niedzielę obiad dla piętnastu osób. Tak obliczyła Zośka. Ona również śmieje się z adwokackiego konkurenta. Jemu podobno trudno znaleźć na miejscu drugą żonę, ponieważ bachory są nieznośne, a sam ojciec znany jako skąpiradło. Siostra nie chciała wierzyć, że wkręciłam mu przed miesiącem materiały na dwa garnitury.

Piątek - 13 maja

Na niedzielę zapowiedziała się cała Bydgoszcz, nawet z dziećmi. A to wpadłam. Przemysłiwamy z Zośką nad jedzeniowymi niespodziankami, oni tutaj myślą tylko o żarciu, to ich cała przyjemność i uroda małomiasteczkowego życia.

Sobota - 14 maja

Zośce kupiłam prowincjonalny prezent: największą i najdroższą butelkę francuskich perfum, jaką znalazłam w miejscowej drogerii. Wszystko: naj... nawet samo Wąbrzeźno jako miasto powiatowe.

Poznań - Niedziela - 22 maja

O wąbrzeskich imieninach nie warto pisać. Wdowiec przyprowadził sobie swatkę, i to nie byle jaką. Sam ksiądz proboszcz; przemawiał do mnie - miodem i słodyczą. Zachwalał swego parafianina byłej parafiance w sposób bardzo podobny temu, jak ja to czyniłam podczas wciskania bławatów wiejskim dziedzicom, którzy ciułając grosz po groszu i gromadząc kolejne spadki, kupili sobie w końcu rycerskie dobra. Śmiałam się w duchu, a równocześnie układałam sobie program... na wiadomy dzień.

Wczoraj wszystko bez żadnych przeszkód. Po raz czwarty. W dalszym ciągu bez uczuciowego zbliżenia, jak to nazywają neurastenicy w rodzaju poetów. Do tego poezja jest całkiem niepotrzebna, przeszkadzałyby nawet.

Dzisiaj stary doktor zaprosił się na obiad, a później za pomocą telefonu zmontował u nas brydża. Gra odbyła się w moim pokoju, pragnęłam nasycić się wrażeniem, jakie robi portret mojej prababki. Bardzo przyjemnie rozdaje się karty z sygnetem na palcu...

Ale swoją drogą to osobliwa droga werbowania czy też namawiania sobie żony przy pomocy proboszcza. To może zdarzyć się tylko w takich zakazanych miasteczkach, jak moje rodzinne Wąbrzeźno.

Tym razem odpowiedziałam, co prawda uprzejmie, lecz niesłuchanie zimno, że... jestem dostatecznie zamożna oraz że mam wykształcenie, to znaczy samodzielny fach w rękę, a tym samym mogę pozwolić sobie na wybór męża, który mnie osobiście będzie dogadzał i odpowiadał. Mój dziecinny proboszcz prawie się obraził, co mu jednak nie przeszkodziło wyczerpać programu uczytym imieninowej do końca, a następnie zasiąść do preferansa. Adwokacina z lysą pałą krążył tymczasem koło nas i zapewne obliczał już sobie w duchu, co zrobi i czego dokona, gdy się zgodzę. A kuku, kuku na muniu, jak mówimy na naszym uniwerku, w kawiarni i w ogóle, gdy widzimy, że ktoś jest pawim piórkiem kopnięty w lewy mózdzek.

Niedziela - 29 maja

Wczoraj według programu. Nie miałam czasu chodzić na wykłady, opuściłam nawet dwa ważne seminaria, ale zawsze można się tłumaczyć: uczę się do egzaminu!

Interesy finansowe to cały nowy rozdział. Ale to dopiero początek i przygotowanie do większego planu. Stryjek obejrzał już dokładnie Górki i wykroił z nich kilka włók ziemi przylegającej do lasu serwitutowego. Tamte pięć włók ziemi z drugiej strony i kilka włók z Górek wraz z lasem mają stworzyć osobny majątek: Borek, który stryj zamierza sprzedać już w następnym roku lub najdalej za dwa lata. W ten sposób Górki odsuną się od niewygodny serwitutu i z czasem stworzą, razem ze Starą Wsią i Nową Wsią, większych rozmiarów majątek ziemski. Nowa Wieś - to włoki, które stryjek ostatnio zadatkował, przedtem należały do państwa Orzechowskich, sprzedali, by częściowo spłacić długi oraz wyposażyć syna na pierwszym etapie jego lekarskiej praktyki w Warszawie. Stryjek obecnie jednoczy to wszystko, akcja, jak widać, postępuje błyskawicznie, po jamborowemu.

We wtorek zrobię sobie powtórkę, o ile mnie nie zawiedzie mój japoński kalendarzyk. To bardzo wygodnie i postąpiłam w tym wypadku bardzo rozsądnie. Szkoda było czasu na jakieś poszukiwania, skoro wszystko było na miejscu i pod ręką, w dodatku wypróbowane. Gdy napisałam ostatnie słowo, przyszło mi na myśl, że to są zdania zbyt cyniczne jak na mój wiek. Ale czy my wiemy dokładnie, co to jest cynizm? To tylko jeden z komunałów filozoficznych - wynaleziony zapewne przez niedojdów życiowych, którzy pragnęli w ten sposób dać upust swojej zazdrości. Cynik - według mnie - to taki człowiek, który gwizdże na wszystko i ma odwagę przeciwstawienia się nudzie i płaskiej powszedniości. Niech zatem będzie i cynik, i słowa cyniczne, byle mój egoizm został zaspokojony. Egoizm, ponieważ znów to wszystko, co dla danej jednostki jest miłe i wygodne, dla innych jest zazwyczaj solą w oku. Altruista to amator na żonę z forszą, która by mu dodatkowo wychowała cudze dzieci. Filozof i moralizator - to nasz wąbrzeski proboszcz, który gada jak z nut o poświęceniu...

Właśnie że w życiu będzie tak, jak ja ze chcę. Warto byłoby zapisać ten ustęp do sztambucha wąbrzeskiego proboszcza, ale cóż, kiedy księża nie mają sztambuchów, im wystarcza brewiarz i konfesjonał.

Środa - 1 czerwca

Jak pech, to pech. Wczoraj rano zwalili się do mnie Franusiowie. Przyjechali sleepingiem rano i odjechali ditto o północy. Zmarnowali mi cały dzień. Franuś latał po mieście za interesami, a ja musiałam zabawiać i oprowadzać jego żonę. Byłam wściekła. Ledwo zdążyłam zawiadomić mojego partnera, że z naszego spotkania nici.

Czwartek - 2 czerwca

List od Zośki. Ojciec wrócił, czuje się nieźle, lecz lekarze zalecili mu spokój, nieprzemęczanie się pracą i unikanie zdenerwowania. Byłoby najlepiej - pisze Zośka - gdyby nasz ojciec wyjechał na nachkur do Krynicy i nie wkręcał się w bławaty.

Wczytywanie się w skrypty zaczyna mnie nudzić, tym bardziej że sama widzę moje tegoroczne lenistwo i nieporządną pracę. Ale było tyle przeszkód. Najlepiej byłoby dla mnie, gdybym została w dalszym ciągu u Emilki i wytrwała na pozycji skromniutkiej studentki. Wówczas byłam całkowicie panią mego czasu i studia postępowały spokojnie i bez zakłóceń. Głupio zrobiłam, pieniądze byłyby mi wystarczyły. Ale może Leokadia nie byłaby się wydała za mąż za Jambora? Zamieszkanie u doktora, znajomości, Krynice.

Mój płaszcz i obie suknie już są gotowe. Bardzo mi się przyda płaszcz, krój raglanowy, obfity w objętości, wygląda bogato. Kieszenie naszywane z grubym ostebnowaniem. Płaszcz bez podszewki, ponieważ lewa strona materiału posiada lekką kratę w kolorach pastelowych, seledyn i brąz. Tymczasem skrypty, ale już niedługo.

Sobota - 4 czerwca

List od Leokadii. Przyjeżdża w poniedziałek wieczorem. Listonosz zdążył złapać mnie jeszcze przed pójściem na wykłady. Teraz jeszcze do banku. Wypakowałam sobie teczkę pieniędzmi z komornego, zjawię się w banku w charakterze zwykłego klienta. Za chwilę jeszcze jeden wykład.

W pociągu

Gdy przyszedłam do domu na obiad, zastałam telegram z Wąbrzeźna: „Ojciec zmarł dzisiaj - przyjeźdź natychmiast - Zośka”. Dobrze, że znałam adres Jerzego, pojechałam taksówką, zdążyłam, ponieważ wychodził właśnie z mieszkania. Wszystko mnie odeszło. Myślę tylko o jednym: Wąbrzeźno i śmierć ojca. Przecież Zośka pisała, że ojciec czuje się dobrze. Może go coś wzruszyło? Był na ogół cichy i spokojny, ale gdy się zdenerwował, tracił panowanie nad sobą i wybuchał. W gniewie był niepohamowany. Powinien był się oszczędzać, zwłaszcza po forsownej kuracji.

Do pociągu miałam zaledwie godzinę czasu, zdążyłam jeszcze zatelefonować do naszego doktora. Pogrzeb odbędzie się pewno najwcześniej we wtorek, gdy się wszyscy pojeżdżają.

Nie mogę pisać. Jadę w pustym przedziale, spróbuję zasnąć.

Nie mogę spać. Męczę się, ale nie mogę. Przed oczami stoi mi ojciec, tak jak ostatnio widziałam go w Wąbrzeźnie. To już prawie cztery lata. Jak ten czas przeszedł, Anno. Dyplom? Zobaczmy, co zrobisz po dyplomie...

Dojeżdżamy. Prawie północ.

Niedziela - 12 czerwca

Już po pogrzebie. Od piątku jestem z powrotem w Poznaniu.

Na dworcu oczekiwała mnie Zośka, dotarliśmy do domu jakimś przygodnym samochodem. Po drodze dowiedziałam się, że ojciec już z piątku na sobotę czuł się źle i rano w sobotę przewieziono go do szpitala, gdzie umarł w ciągu niespełna jednej godziny. Lekarze robili, co mogli, ale nie było ratunku. Już po drodze do szpitala stracił przytomność, której nie odzyskał w chwili śmierci. Zośka była przy nim do ostatniej chwili. Zwłoki pozostawiono w kostnicy szpitalnej. W tym całym harmiderze zapomniano o zamknięciu sklepu i interes kręcił się do samego wieczora. Dopiero później zorientowano się i Zośka zdecydowała o zamknięciu sklepu aż do dnia pogrzebu.

Koło godziny czwartej nad ranem usnęłyśmy, ale był to sen myszy na pudle. Położyłyśmy się w jednym łóżku w pokoju Zośki. Rano o siódmej Zośka zerwała się nagle i wyleciała do miasta, mówiąc, że trzeba wysłać telegramy do rodziny oraz ostatecznie załatwić

sprawę pogrzebu na wtorek po południu. Mnie doręczyła klucze od kasy na dole i poleciła wyjąć z niej wszystko, co nie miało bezpośredniego związku z samym sklepem. Otrzymałam do otwarcia klucze ojca, które zostały w mieszkaniu w momencie odwożenia go do szpitala. Leżały na stoliku nocnym i Zośka zwróciła mi uwagę na konieczność opróżnienia tylnej skrytki w kasie, od której ojciec nigdy nie dawał klucza nawet jej, jak mówiła.

Ubrałam się i zeszłam na dół. Zabrałam z sobą moją teczkę i otworzyłam drzwi do sklepu od strony podwórza. Czyniłam to już kilkakrotnie przedtem i nie sprawiło mi to najmniejszej trudności. W tylnej skrytce było bardzo dużo papierów. Do tego paczki owinięte w brązowy papier i związane sznurkiem. Pudełko od cygar wypełnione monetami i drobną biżuterią. Zawinęłam wszystko w papier i zaniósłam na górę, po starannym zamknięciu kasy. Nikogo nie spotkałam po drodze, gospodyni już widocznie wyszła do kościoła.

W gabinecie ojca dokonałam pobieżnego przejrzania zawartości skrytki. Trzy pakiety akcji. Dwie paczki, nie przeglądając zawartości, umieściłam od razu w mojej walizce, a trzecią pozostawiłam w stanie rozłożonym na biurku. Notes w czarnej skórzanej oprawie z zapiskami ojca schowałam do torebki. Przejrzałam go dopiero na drugi dzień wieczorem, gdy znalazłam trochę samotności.

Wszystkie papiery posortowałam bardzo starannie; nic w nich nie było, trochę rodzinnych dokumentów, wykazy hipoteczne, pakiet weksli związany sznurkiem i weksle nie związane z bławatami. Na więcej nie starczyło czasu, ponieważ wróciła Zośka. Obie ponownie zabrałyśmy się do przeglądania i obejrzałyśmy zawartość trzeciej paczki z akcjami i papierami wartościowymi. Na paczuszkach, spiętych spinaczami, były popisane ołówkiem daty nabycia poszczególnych akcji. Przeważnie daty z ostatnich dwóch lat. Było to niezwykle pomyślne dla mnie, przedtem nie zwróciłam w pośpiechu uwagi na owe daty ołówkowe. Dopiero Zośka powiedziała:

- Teraz widzimy, że ojciec miał pieniądze i lokował w akcjach, narzekając zawsze na brak gotówki. Przynajmniej dobrze, że przed śmiercią zrobił spisy prywatnych dłużników, te, które oddał adwokatowi w Grudziądzu do egzekwowania.

A tego - mówiła Zośka, wskazując na kupkę akcji - nie ma sensu wyciągać na większe forum... Jeszcze by pomyślano w rodzinie, że tego było dziesięć razy więcej i że zabrałyśmy dla siebie. Urząd Skarbowy by się przyczepił. Podzielimy to na dwie połowy. Krystynek ożeni się bogato, a Pelasia dość już wyciągnęła od ojca i ze sklepu. Mnie ojciec traktował jak najemnika, ale płacił znacznie mniej niż obcemu, a ty od dwóch lat prawie nic nie dostałaś z domu. Gdyby nie stryjkowie...

I Zośka zaczęła po kolei zdejmować z pakiecików spinacze i dzielić po połowie, według wartości. Nic nie mówiłam i w tym czasie jeszcze raz przeglądałam dokumenty. Zatrzymałam się dłużej na wyciągu hipotecznym z naszego domu sklepowego. Nazwisko Pelasi było z niego skreślone, a do wyciągu było dołączone notarialne oświadczenie o spłaceniu przez naszego ojca udziału Pelasi w domach w postaci otrzymanego posagu. Oświadczenie wydano w stosunku do obu naszych realności w Wąbrzeźnie. Odszukałam wyciąg hipoteczny dotyczący willi i spięłam wszystko razem. W tym samym czasie Zośka dokonała już podziału papierów wartościowych na dwie kupki i powiedziała do mnie:

- Połowa i połowa, ale niedokładnie, wybieraj... - Wskazałam ręką na kupkę położoną bliżej mnie.

- A teraz schowajmy nasze pakieciki i zapomnijmy o nich - zakończyła Zośka. Ucałowałyśmy się.

Co do złota w pudełku od cygar Zośka powiedziała, nie oglądając nawet bliżej zawartości:

- Schowaj to, gdy przyjadą Tuchołkowie, wręczymy im pudełko w cztery oczy bez świadków, dla dzieci naszej Pelasi. Oni są oszczędni, przechowają monety do ślubu dziewczynek.

Zawinęłam pudełko w kawałek papieru mówiąc:

- To jest również taki mały spadek dziecinny jak po naszym dziadku.

Obiad jadłyśmy jednym zębem. Później Zośka zasadziła mnie do przeglądania obu biurków ojca, w mieszkaniu i w sklepie. Zaczęłam od dołu, nie znalazłam w nich nic, ojciec nie lubił przetrzymywać korespondencji. Co było potrzebne dla władz, oddawał do akt firmowych, resztę palił po przeczytaniu. Od dawna znałam zwyczaje naszego ojca, o reszcie opowiadała mi Zośka. Na górze w mieszkaniu znalazłam sporo osobistej korespondencji, wszystko jednak dotyczyło wyłącznie ojca. Osobno w szufladzie biurka znalazłam pudełko z fotografiami kobiet. Nie oglądałam ich wówczas, lecz umieściłam w swojej walizce. Przywiozłam do Poznania i kiedyś, gdy będę miała swobodniejszą głowę, obejrzę sobie te twory niewieście, po czym spalę. Na razie schowałam, aby tego nikt nie znalazł. W dodatku to są rozmaite fotografie!

Wieczorem wspólnie z Zośką spaliłyśmy wszystkie paczki osobistej korespondencji ojca, nie czytając jej. Były to listy kobiet, pisane różnym charakterem i na papierach różnego formatu. Nie rozumiem naszego ojca - po co było przetrzymywać takie rzeczy?

Od poniedziałku rana zaczęła zjeżdżać się rodzina. Pierwsza zjawiała się ciotka Katarzyna, ostatni Tuchołkowie; nic dziwnego, z daleka. Brakło jedynie stryjka Józefa, przyjechała ciotka Elfryda. Stryj przebywa w Londynie u swego szwagra Fryderyka. Zwłoki eksportował kanonik Kawczyński w asyście miejscowych księży. Przed odjazdem Tuchołków doręczyłyśmy naszej Pelasi wspólnie z Zośką pudełko z monetami. Pelasia przeliczyła, były 184 sztuki. Drobną biżuterią podzieliłyśmy się, na co która z nas miała ochotę.

Po powrocie z cmentarza podjęłyśmy gości i rodzinę u nas w mieszkaniu, W sumie koło trzydziestu osób. Nie zasiedliśmy do wspólnego stołu, jedynie sposobem francuskim podałyśmy á la fourchette. Później wieczorem, gdy obcy nas opuścili, zasiedliśmy w pokoju stołowym i nasz kanonik naprzód zwrócił się do nas z przemową o życiu naszych zmarłych rodziców, a później z apelem, żebyśmy żyli w zgodzie i po bożemu, jako kochające się rodzeństwo,

Padło również zapytanie, jak się podzielimy spuścizną po naszym ojcu; wszystkie oczy skierowały się na mnie, sama nie wiem dlaczego, widocznie z powodu mojego uniwersytetu. Powiodłam spojrzeniem po wszystkich naszych krewnych, najwięcej zaciekawienia dojrzałam u ciotki Katarzyny i u naszego stryjka Marcina. Ciotka Katarzyna patrzyła jakby z chciwością, Marcin z zaciekawieniem, nie tyle, co powiem, ile, w jakiej powiem formie.

- Drodzy i kochani krewni - mówiłam spokojnie i powoli - wszyscy jesteście już dorośli. Spotkała nas wielka strata, gdyż po dawno zmarłej matce utraciliśmy obecnie naszego ojca. Ale w tej chwili nie ma wśród nas naszego Krystynka, który nie mógł przybyć na pogrzeb, gdyż pracuje daleko, w Londynie. Ja, najmłodsza z córek, za miesiąc zdaję ostatnie egzaminy na uniwersytecie. Pelasia jest już na swoim własnym gospodarstwie, a Zosia kieruje przedsiębiorstwem. Może nasz św. pamięci ojciec pozostawił testament, to się dopiero okaże. Tymczasem wszystko może pójść dalszym, spokojnym biegiem. Nieruchomości są pozycją ustaloną, a do naszej siostry, jako następczyni w kierownictwie przedsiębiorstwa, mamy pełne zaufanie. Gdy zajdzie potrzeba, pomożemy jej. Ja już kilkakrotnie wyręczałam ją w kierowaniu sklepem podczas choroby naszego ojca. Pelasia nie mogła tego zrobić, gdyż mieszka daleko i ma dzieci. Za kilka miesięcy zbierzemy się ponownie tutaj, w domu naszych rodziców, i wspólnie naradzimy się, co robić, czy podzielić naszą spuściznę na cztery części, czy też prowadzić dalej wspólny zarząd majątkiem.

Ciotka Katarzyna nie była zadowolona z mojej odpowiedzi, kręciła głową, natomiast stryj Marcin powiedział krótko: - Bardzo dobrze, Anno, tego właśnie oczekiwaliśmy od was.

W ciągu środy wszyscy rozjechali się. Ja wróciłam do Poznania, tkwię w domu, nigdzie nie wychodzę. Kuję. W środę muszę pojechać z powrotem do Wąbrzeźna na cztery dni, ponieważ Zośka chce odwiedzić naszych głównych dostawców. Śmierć właściciela firmy to

zawsze pewnego rodzaju wydarzenia handlowe od strony finansowej, chodzi o utrzymanie kredytów. Obecnie już prawie koniec z wykładami. Kuć będę mogła i w Wąbrzeźnie.

W domu tkwią oboje, Leokadia i stryjek. Stryj co prawda wyjeżdża jutro wieczorem do Brodnicy, ale Leokadia zostaje. Całe szczęście, że żadne z nich nie próbuje mnie pocieszać, nie lubię tego.

Dwóch pakietów nie mam potrzeby oglądać. Wszystko wiem z małego notesiku. Jak to dobrze, że akcje były ułożone latami. Ojciec zakupywał papiery w trzech partiach. Pierwszy pakiet zawiera listy zastawne Warszawskiego Towarzystwa Kredytowego i został zakupiony w roku 1930, a drugi - to listy Banku Gospodarstwa Krajowego i Banku Rolnego, zakupywane w latach 1929 i 1931. Pierwszych jest za trzydzieści tysięcy nominalnych, a drugich za 42 i pół tysiąca złotych. Kupka z podziału z Zośką to różne akcje i papiery kupowane przygodnie, tu i tam, jest tego za jakieś 15 tysięcy nominalnych złotych. Daty, jak już wspomniałam, z ostatnich dwóch lat.

Tyle.

W kasie i na górze, po zapłaceniu kosztów pogrzebu, zostało kilka tysięcy. Prywatne pieniądze ojca. Podzieliłyśmy na trzy równe części, każda z nas dostała po dwa i pół tysiąca. Wszystko, nie licząc pieniędzy firmowych. Nie wiem, ile to wszystko jest warte, ale w każdym razie już z tym, co mam w rękach, gwarantuje mi dużą niezależność i samodzielność. Bez obawy patrzę w przyszłość. Nie będę musiała pójść na jakąś pierwszą lepszą posiadłość!

Jak to dobrze, że Leokadia nie narzuca mi się w tej chwili. W środę rano trzeba będzie jechać do Wąbrzeźna. Dzisiaj byłam w banku, wpłacałam pieniądze. On również nie jest głupi. Zachowuje się należycie - i trzyma się w cuglach. Nie spodziewałam się tego. Nie było czasu, dowiedziałam się tylko, że dali mu urlop na lipiec, jedzie do Torunia. Mówił o tym bez entuzjazmu, ale może mnie się tylko tak wydawało?

Daty egzaminu nie przekładałam. Będę mogła zrobić to jeszcze w ostatniej chwili. Szóstego lipca, za trzy tygodnie, w tym kilka dni w Wąbrzeźnie. Zaryzykuje.

Wtorek - 14 czerwca

Dzisiaj nadszedł ekspresowy list z Londynu. Krystynek zapowiada, że w najbliższych dniach wyśle urzędowe pełnomocnictwo do działania na moje nazwisko. Okazuje się, że zagraniczne sprawy Gdańska prowadzi Polska. Powinnam była o tym wiedzieć z racji oryginalnej nazwy mojego przysłego dyplomu: magister nauk ekonomiczno-politycznych.

Wąbrzeźno - czwartek - 16 czerwca

Zośka już wyjechała, ma wrócić we wtorek rano. Obojętne dla mnie, przywiozłam z sobą materiały do egzaminu. W sklepie chwilowo ogórki sezonowe. Materiały letnie tanie, perkaliki, kretony i sztuczne jedwabie do prania, a ludzie w lecie nie mają pieniędzy, jedni myślą o wakacjach, inni o zimie. Do pierwszej kategorii należą urzędnicy, w drugiej mieszczą się robotnicy i biedota. Od jutra będę miała w domu krawcówkę, poszyje różne tańsze rzeczy. W pierwszym rzędzie - kopię mojego generalskiego szlafroka. Jeszcze cały, lecz czarny jedwab mocno poprzecierał się na siedzeniu i szlafrok nie jest już do użycia w dniach „wielkich” przyjęć. Morelowy kolor dobry, ale od wewnątrz, wówczas ciało ślicznie wychodzi przy rozchyleniu i równocześnie w ramach czarnego jedwabiu na stronie zewnętrznej. Uszyć duplikat to nie sztuka. Już sobie wybrałam mięciutki welwet w kolorze słonecznikowym oraz ciemnoszkarłatny jedwab. Hiszpańskie zestawienie kolorów. Być może niezbyt pasuje, ale całość mocno wyzywająca, będzie w stanie drażnić chłopców.

W Poznaniu uszyję sobie jeszcze jeden czarny kostium angielski, głęboko wycięty w dekolcie oraz ściśnięty w pasie. Gorset to cudowna rzecz, można sobie znakomicie poprawiać figurę, nawet biust wychodzi lepiej. Pełniej i zachęcająco. Jacy ci mężczyźni są głupi! Kobiety traktują jako kwiat, ale pragną, aby była w wyzywającym opakowaniu. Jakże łatwo

ich oszukiwać. W stroju i w ogóle. Przecież takiemu kandydatowi można ostatecznie, gdy się będzie napierał, powiedzieć: jeżeli pan gwałtem pragnie, proszę bardzo, lecz zastrzegam sobie swobodę. Można mu nawet wytłumaczyć, na czym taka swoboda polega. Przykład: Patrycja i jej mąż. Przypomina mi się świetny kawał z Krynicy. Pewien zażyły facet tak tłumaczył swoje powodzenie w małżeństwie: lepiej mieć pięćdziesiąt procent udziału w dobrym interesie niż pełne sto - w złym. Święte słowa.

Ale krawcówki trzeba będzie przypilnować, by nie spartoliła szlafroka. Obecnie mój szkielec znakomicie wypełnił się mięsem i nareszcie jestem w guście panów: kobieta dobrze przy kości.

Przed wyjazdem skontrolowałam w banku, gdyby sprzedać, to prawie pół setki, w rocznych procentach dokładnie 4750 złotych. W lipcu są do realizacji półroczne kupony. Za drobne papiery można by otrzymać sześć do siedmiu tysięcy. Niech na razie leży, nie spieszy mi się. Z tym można by wydać się już za jakiegoś lekarza czy adwokata. I pilnować łóżek małżeńskich i kuchni z garnkami...

Sobota - 18 czerwca

Nie chciało mi się dzisiaj czytać skryptów i zabawiłam się w dokładne obejrzenie wszystkiego w mieszkaniu. Zośka zostawiła wszystkie klucze. Oglądanie zajęło mi cały wieczór. Przy tej okazji rozpatrzyłam się w kramie potrzebnym do kompletnego urządzenia mieszkania. Obecnie, gdy domem rządzi Zośka, widać porządek.

Oglądałam również dokładnie gabinet ojca, papierek po papierku, niepotrzebne odkładałam i następnie sama spaliłam. W szafie bibliotecznej znalazłam pewno z dwieście książek, a wśród nich, różne typowe dla starszych i młodszych panów. Tak zwane kruki pornograficzne dla amatorów. Było tego kilkanaście tomów i tomików, z ilustracjami. Odłożyłam sobie osobno, a później wpakowałam do walizki. Zabiorę. W Poznaniu naturalnie schowam tak, aby się nikt do nich nie dostał. Paczka fotografii mocno nieprzyzwoitych. Cały ten szmelc był odłożony osobno w dolnej szufladzie szafy. Wyglądało, że pochodził z dawniejszych czasów.

Czwartek - 23 czerwca

Już wracam do domu. Chociaż do którego domu? W Poznaniu mam dom, a raczej pokój w mieszkaniu mojej nowej ciotki, a w Wąbrzeźnie pokój w mieszkaniu i w domu, będącym moją częściową własnością. Dom w jednej trzeciej, a mieszkanie? Chyba w połowie, ponieważ Pelasia już otrzymała swoje wyprawne meble, a chłopcy z reguły nie uczestniczą w podziale gratów. Ale to głupstwo.

W życiu o wszystkim decyduje przypadek. Gdyby ktoś powiedział mi, że któraś z nas spotka kiedyś owego ananasa z Helu, nie byłabym uwierzyła i raczej uśmiełabym się na myśl o takiej możliwości.

Spotkanie wydarzyło się jak w powieści. Niemal zderzyli się w hallu „Grand Hotelu” w Łodzi. On już mieszkał tam od dwóch dni, Zośka świeżo lądowała po opuszczeniu pociągu. Trochę odmiennie, jak zwykle, od razu wynajęła pokój z łazienką. O reszcie nie warto wspominać, mimo że tym razem Zośka opowiedziała to z detalami i z widoczną satysfakcją. Kochanek był w sutannie i to właśnie dodało Zośce pewnych dodatkowych dreszczyków. Handlowe interesy w Łodzi trwały tym razem trzy noce, z niekorzyścią dla Bielska. Spotkania miały charakter wyłącznie domowy z powodu niewygodnego stroju naszego wspólnego znajomego. Pytałam. Zośkę, czy ją to nie peszyło; podobno ani trochę. Widocznie czasy się modernizują albo inaczej: ludzie się wykolejają. W rezultacie to na jedno wychodzi. Ale to wszystko głupstwo i tylko głupstwo. Zośka w dodatku jest bezczelna, nie ma wstydu. W każdym razie nasz wspólny znajomy nie zdradził mojej historii, choć wie, że jesteśmy siostrami. To bardzo dobrze.

Sobota - 25 czerwca

Po raz pierwszy w życiu. Ale gdy pomyślę o całości, to jednak takie rozwiązania© jest niewygodne, zwłaszcza dla kobiety. Nie można jednak było inaczej, ponieważ stryjka i ciotki nie ma co prawda w Poznaniu już od tygodnia, ale za to w Poznaniu bawi Melcia z Wojtusiem, a z nią nigdy nie wiadomo, kiedy wpadnie. Przychodzi o każdej porze, bo blisko, a trudno się zamknąć na klucz. Można by spotkać się na schodach lub coś podobnego, tego by mi jeszcze brakowało.

Tandetny to jest pokoik! Jeden z tych, które mnie ominęły w okresie studiów uniwersyteckich. Wszystko taniutkie i niewygodne. Wejście również krępujące. Jakoś jednak poszło.

Może to pożegnanie, bo kto wie, kiedy się razem zejdziemy i czy to w ogóle jeszcze nastąpi. On jedzie w lipcu do Torunia, to znaczy równocześnie do narzeczonej, przede mną Paryż, a później wielka niewiadoma.

Tym razem trochę więcej rozmawialiśmy. Szkoda, że nie przyniosłam kochankowi jednej z książek przywiezionych z Wąbrzeźna. Wszyscy mężczyźni podniecają się przeglądaniem podobnej literatury. Gdy będę w Paryżu, rozejrzę się, czy nie ma tam kobiecych odpowiedników tego rodzaju dzieł. Ot tak, z ciekawości i dla przeprowadzenia badań socjologicznych czy innych w tym zakresie.

Chłopiec zaciekał mnie opowieścią, że w jednej z jego książek znajduje się ilustracja rzeźby biustu kobiecego z czasów rzymskich, który w pewnym stopniu reprezentuje typ zbliżony do mnie, o ile można by mówić o podobieństwie.

Zapisałam w notesiku tytuł książki, imię tej kobiety rzymskiej oraz stronicę. Po egzaminie wstąpię do księgarni i zapytam, może uda mi się nabyć. Mój chłopiec kupił książkę w Poznaniu, antykwarycznie. Trzeba przyznać, że to nie jest wydawnictwo pornograficzne, lecz reprodukcje dzieł sztuki, rzeźb i portretów wybitnych twórców, uzupełnione tekstem o charakterze półnaukowej historii sztuki. Tytuł: Das weibliche Schönheits-ideal im Wandel der Zeiten; popiersie Matidii znajduje się na stronicy 144.

Niedziela - 26 czerwca

W środę wielkie uroczystości imieninowe w Górkach. Będzie pół powiatu, to znaczy cały powiat. Ponieważ druga połowa, owe 99 i dziewięć dziesiątych procentu, to ludzie widocznie mało ważni, skoro nie będą u stryjka. Bardzo żałuję, że nie mogę jechać, ale za tydzień egzamin. Mam trochę strachu, ponieważ czuję, że na czwartym roku niezbyt przykładałam się do nauki. W dodatku tuż przed egzaminem kobiece dni, które zawsze mnie denerwują, nie lubię tego.

Przyrzekłam, że po egzaminie przyjadę na wieś. Dotrzymam zresztą z radością. Ostatnią niedzielę przed egzaminem będę starała się wypoczywać. Może nawet pojedę do Puszczykowa. Położę się w lesie pod drzewem i będę patrzeć na niebo poprzez gałęzie drzew. To bardzo uspokaja.

Wtorek - 28 czerwca

Książki nie było w księgarni. Wpłaciłam zaliczkę i sprowadzą w ciągu tygodnia, o ile możliwości w luksusowym wydaniu. Mogę sobie na to pozwolić, w banku mam jeszcze koło trzech tysięcy.

Czwartek - 30 czerwca

List od Florencji, zapraszają do Warszawy zaraz po egzaminie. Stryjek Marcin dopisał się na końcu, jak wesoły student: Hals und Beinbruch!

Wtorek - 5 lipca

Jutro mój egzamin. Deszcz leje jak przez sitko, od samego rana. Leżę na łóżku, otuliłam się nowym szlafrokiem i wpatruję się z oddalenia w portret mojej imienniczki sprzed stu lat. Obie moje prababki były Niemkami, a ja jestem Anna Jambor, która jutro zdaje ostatni egzamin na polskim uniwersytecie.

Nie czuję się pewna mojej wiedzy. Są w niej luki. Gdy powiedziałam to wczoraj memu staremu przyjacielowi, doktor odpowiedział bez namysłu, że to bardzo dobry znak. Był w Górkach całe trzy dni i właśnie zdawał mi szczegółową relację. Gabrysia doskonale wygląda, bardzo mu się podobała. Podziwia przedsiębiorczość stryjka Pawła. Wszystkie jego plany zostały już pomyślnie zrealizowane. Jedno tylko stoi na przeszkodzie: stryjek nie może rozerwać się na kilka części. Leokadia pomaga mu z całego serca i ze wszystkich sił, i doktor, wdychając, powiedział:

- Nasza Leokadia - to obecnie wiejska dziedziczka całą gębą. Wybija się na pierwszy plan, mimo że tam wszystko z tytułami i herbami na karetach.

Szkoda, że obecnie nie można kupić sobie herbu, podobno już nawet w Rzymie przeszła moda na sprzedawanie papieskich hrabiostw. Chociaż gdyby porządnie zapłacić? Hrabia to hrabia, ostatecznie nie wszyscy zaraz zaglądną do herbarza. Ale nie warto o tym wspominać mojemu stryjkowi, gdyż wyśmiałyby się ze mnie, mówiąc: to już tobie Jambor nie wystarczy? U stryjka Jambor to całkiem to samo, co Rohan. Bagatelka!

Ale już dość pisania. Jutro egzamin. Szczęście, że przed południem, już o dziewiątej. Pójdę od razu na pierwszy ogień!

Czwartek - 7 lipca

Już po wszystkim: pani magister! Tylko na dyplomie wydrukują, że pierwsze trzy egzaminy z wynikiem dobrym, a ostatni tylko dostatecznie. Ale to głupstwo. Najważniejsze, że już koniec.

U Taylora zdawałam na samym końcu. Już wiedział o tym, że u innych zdałam z wynikiem dobrym, i po godzinnym piłowaniu powiedział mi z widoczną satysfakcją:

- A u mnie tylko dostatecznie.

Nic nie odpowiedziałam, wzruszyłam tylko ramionami i uczyniłam to widocznie z prowokującą obojętnością, ponieważ jego „dostatecznie” przeważało. Pał go siedemnaście! Niech mu wyjdzie na zdrowie!

W sumie ciekawe, że z innych przedmiotów dobrze, mimo że je całkiem zlekceważyłam. Widocznie nie warto było się uczyć. Tak też uczynię. Pax tibi, nauko! Rozchodzimy się bez żalu.

Moi krewni są dowcipni. Wiedzieli o dacie egzaminu i otrzymałam kilka telegramów. Wszystkie z gratulacjami, na jedno kopyto, warszawski telegram zastałam już po powrocie z egzaminu. A gdybym tak była się ścięła? Właściwie to było mało prawdopodobne. Wszystko inne umiałam na dostatecznie i bez łaski, Taylorowe przedmioty na pewno na dobrze, ale cóż? Profesorska ansa lub złośliwość...

Na razie wydano mi tylko zaświadczenie na małej karteczce. Dyplom drukują podobno powoli i z namaszczaniem. Obecnie mam dużo czasu, poczekam, nie spieszy mi się.

W sobotę urządzam u siebie obławanie. Podobno taki zwyczaj. Szkoda, że nie można zaprosić Taylora, a innego profesora nie pożądam! Ale on jest zbyt dumny i nie przyszedłby. A może? Lepiej nie próbować, dla kobiety taka odmowa byłaby nieprzyjemna. Może się kiedyś spotkamy na innym gruncie i wówczas odważę się zapytać: co panu profesorowi przyjdzie z tego, że jest drewnianą piłą, a dla kobiet - katem do ścinania na egzaminach?

Piątek - 8 lipca

Już mi dostarczyli tę Matidę, naturalnie z całą książką. Zabiorę ją z sobą na najbliższe, czekające mnie rodzinne rekolekcje w Wąbrzeźnie i rozważę w spokoju, które z kobiet mojego otoczenia mają swe odpowiedniki w dziełach sztuki.

Na razie, przeglądając z grubsza ilustracje, zatrzymałam się z przyjemnością na reprodukcji rysunekku Francois Bouchera z XVIII wieku, zatytułowanego: Dziewczyna. Postać młodej dziewczyny jest niezwykle miła w rysunku. Według mnie znacznie doskonalsza w pomyśle i rysunku od Hansa Makarta, który wisi w moim pokoju nad leżanką. Rysunek lżejszy, bardzo chętnie widziałabym to u siebie, w naturalnej wielkości, wykonane różową, cielistą kredką, dokładnie według arcywzoru Boucherowskiego. Muszę nad tym pomyśleć. To można by dać skopiować jakiemuś porządnemu artyście, dałabym chętnie parę setek, gdyby zrobiono tak, jak na reprodukcji w książce. Jest jednak w rysunku przewaga Bouchera nad Hansem Makartem! Ale równocześnie zasadnicza różnica w samych postaciach. Makartowska naga kobieta - to pełna i syta postać Rubensowskiej kobiety, jedynie przedstawiona w innym kolorystyce. Na obrazku Bouchera dominuje francuska lekkość układu i młodzieńczość samej dziewczyny, co najwyżej piętnastolatki. Może i farby olejne wpływają na ową pełną sytość ciała kobiety w układzie obrazu Makarta? Jeżeli chodzi o mnie, od chwili gdy zobaczyłam obrazek Bouchera, zbladły mi kolory na obrazie Hansa Makarta i w całej jaskrawości utrwaliła się różnica pomiędzy młodą dziewczyną a dojrzałą kobietą. Dało mi to wiele do myślenia i rozważania na temat życia kobiety.

Jakże szybko przemija młodość! W maju skończyłam dwadzieścia cztery lata. I cóż przeżyłam? Dwa lata spędzone w brudnym biurze w Bydgoszczy i cztery lata na uniwersytecie. Dobrze przynajmniej, że w Poznaniu, a nie w Bydgoszczy! Wyobraźmy sobie owe cztery lata w Bydgoszczy: bławatny sklepik młodych Michalskich - na dorobku - byłby mnie wchłonął jako pracującego członka rodziny. Już by mi wytłumaczyli, że to jest korzystniejsze dla mnie, bo u siebie, w rodzinie! W dalszym ciągu poniewierałabym się we wspólnym mieszkaniu, kontrolowana przez wszystkich, i mimo połączenia dwóch mieszkań, kto wie, czy miałabym dla siebie jakiś naprawdę oddzielny pokój. Dzieci płatałyby się ustawicznie koło mnie w porach, gdy człowiek pragnie być wyłącznie sam.

A w czwartym roku - śmierć ojca. Wiadomość o znacznym majątku i całkowity brak przygotowania życiowego do przejęcia części spadku, zbyt wielkiej na pojęcie takiej ekspedientki czy też biuralistki sklepowej do wszystkiego.

Kwintesencja tych wszystkich rozmyślań: gdy wyjdę za mąż, nigdy nie przyznam się do całości posiadanego majątku, a nawet ujawniony majątek zatrzymam w swojej własnej dyspozycji. Majątek bowiem w rękach to samodzielność, zwłaszcza dla kobiety.

Sobota - 10 lipca

Oddycham lżej. Jakiś ciężki kamień spadł ze mnie. Obecnie odpoczywam, na razie nie myślę o niczym. Dzisiaj załatwiałam różne formalności. Wystarałam się o dowód osobisty z wypisaniem nowego zawodu: magister ekonomii. Trochę wydziwiali w komisariacie policji, ale ostatecznie napisali, jak sobie życzyłam. Zawsze to coś znaczy. Złożyłam również podanie o paszport zagraniczny. Pokazałam zaświadczenie z uniwersytetu o złożeniu magisterium i napisałam w podaniu, że udaję się do Paryża na dalsze studia naukowe. Nic nie mówili, mam zgłosić się za dwa tygodnie. Miałam z tym dużo latania. Na uniwersytecie oświadczyłam, że będę w dalszym ciągu studiować resztę prawa, zatrzymałam indeks. Zapiszę się, a znajomi będą zbierać mi podpisy w indeksie. Co najmniej połowa studentów tak robi i o dziwo, właśnie ci kończą studia w terminie! Szkoda byłoby zmarnować dwa pierwsze egzaminy. Na trzecim roku prawa w zupełności wystarczą skrypty, a te można wertować gdziekolwiek, niekoniecznie na miejscu w Poznaniu. Do tego będę mogła zaprząć nawet p. J. Dogodna okazja do spotkań i przyjazdów do Poznania.

Jutro po południu wybieram się do Warszawy. Tym razem zanocuję u Florencji, sama mi to proponowała w ostatnim liście. Naradzę się ze strykiem Marcinem, co dalej robić. Wszyscy stryjkowie są dla mnie życzliwi, lecz w Marcinie widzę najbliższą mi duszę, pokrewne usposobienie. Elfryda jest poważną kobietą, Leokadia mądrą, ale Florencja posiada najwięcej dowcipu, savoir vivre'u...

Czwartek - 14 lipca

Szkoda, że tak krótko w Warszawie, ale trzeba dotrzymać danego słowa, tym bardziej że to już nasz wspólny interes. Jadę wieczorem, wysłałam telegram do Zośki. Obecnie odpoczywam po obiedzie, w łóżku. Jest ciepło, ułożyłam się wygodnie. Właściwie zmarnowana okazja dla jakiegoś malarza. Leżę nago. Rozmyślam, a bloczek w ręce, tak jakby dla muzyka, palce na klawiaturze fortepianu. Ale dzisiaj nie byłabym w stanie napisać nic mądrego, tym więcej opisać pobytu u stryka i u Florencji. Myśli moje są całkowicie pogrążone w interesach finansowych - w cyfrach.

Lipcowe kupony sprzedawałam w Warszawie, nie interesowali się zupełnie, kto sprzedaje. Prawie dwa i pół tysiąca. Informowałam się co do sprzedaży drobiazgów, radzili odczekać do jesieni. Machinalnie studiowałam również kursy zboża, tendencja raczej słaba, niżkowa, nic się nie poprawia. Złe czasy dla wiejskich dziedziców, których majątki są obdłużone. Ceny zboża w dalszym ciągu są niskie, a wierzyciele naciskają z procentami i splątami.

Ale koniec z wypoczynkiem. Przeciągnę się jeszcze na moim łóżku, następnie wykonam kilka przysiadów, trochę młynków rękami - i dalej w drogę! Szkoda, że życie trwa tak krótko. Lata dwudzieste powinny trwać drugie i trzecie lat dwadzieścia.

Wąbrzeźno - 16 lipca

Historie powtarzają się. Tym razem w innym wariantcie. W Toruniu, pomiędzy pociągami, spotkałam w poczekalni mojego dawnego prześladowcę. Pamiętam jego nazwisko: Bączyk. Nocny łowca kobiet posunął się w latach i zestarzał. Tym razem nie był nawet pijany. Wszedł do poczekalni dworcowej ociężałym krokiem, stanął z daleka i wodził po sali jakimś wężącym wzrokiem. Później przeszedł się między stolikami i był mocno podobny do psa na polowaniu. W końcu wybrał kandydatkę na ofiarę i przysiadł się do niej bez zbytniego pośpiechu. Oboje posiedzieli chwilę, a następnie wyszli razem w momencie zapowiadania odjazdu pociągu, gdy w poczekalni zrobił się ruch.

Mnie pan Bączyk nie zaczął tym razem. Widocznie dzisiaj nie robię już wrażenia młodej i naiwnej dziewczyny. Dobrze i źle, ponieważ niestety nie mogłabym służyć Boucherowi jako model do szkicu: Dziewczyna. Dawniej martwiłam się brakiem ciała, obecnie trzeba będzie pamiętać, by go nie było zbyt wiele. Całe szczęście, że nie jestem łakoma i nie obżeram się świniną na modę mojej pomorskiej czy poznańskiej ojczyzny. W każdym razie trzy warszawskie bryzole cielece z zielonym groszkiem nie szkodzą tyle, co jedna poznańska mała nóżka wieprzowa.

Dobra jest ta Zośka! Obecnie mówi o wszystkim otwarcie. Dawniej, gdy rozmawialiśmy o chłopcach, przyciszała głos, jakby w obawie, że ojciec mógłby nas usłyszeć. Dzisiaj rąbie prosto z mostu. Na samym wstępie, bez najmniejszej żenady, opowiedziała o umówionym spotkaniu w Łodzi, a później zapytywała mnie, gdzie byłoby lepiej wynająć pokój: w Bielsku czy w Katowicach? Frapujący problem, ponieważ w hotelach podobno jest niewygodnie. Ostatnio w Katowicach nakryli ją w hotelu z kochankiem i musiała okupić się policji dwiema setkami. Złote były nieważne, ale z tego mogła być awantura.

Później zapytała mnie niespodziewanie o moje stosunki z chłopcami i jakoś niedowierzająco przyjęła oświadczenie, że nie miałam na to czasu. podczas moich studiów i że dopiero obecnie mam zamiar trochę rozejrzeć się po świecie.

- Bajki - powiedziała - na to zawsze znajdzie się czas. Kobiecie jest znacznie łatwiej niż chłopcom. Ci gonią za wszystkimi kobietami, im jest całkiem obojętne, która. My możemy wybierać - mówiła z przechwałką Zośka.

Spotkanie z „naszym” księdzem tym razem w jakimś prywatnym lokalu, podobno dwadzieścia złotych za noc, ale pokój znakomicie umeblowany, z łazienką i telefonem, tuż obok „Grand Hotelu”.

Nadszedł list z Górek. Ponownie zapraszają na wieś, piszą, że wyprawią mi imieniny. Leokadia dopisała: nie chcę słyszeć o jakiegokolwiek odmowie, musisz przyjechać natychmiast po Wąbrzeźnie. Chyba pojedę, trzeba, nie byłam na imieninach stryjka.

Na jutro umówiłam się z naszym notariuszem w Grudziądzu. Sprawy spadkowe są już daleko posunięte i trzeba będzie płacić podatki. Może się jakoś uda, aby to przeszło nieco łagodniej; na co państwu pieniądze? Przecież to nie państwo pracowało, lecz nasz ojciec. Państwo powinno składać się jedynie z policji, wojska i sądów, reszta niepotrzebna, sami obywatele by sobie urządzili. I z miejsca podatki byłyby mniejsze!

Jak to dobrze, że nie jestem już głupią gęsią prowincjonalną. Florencja: zlustrowała mnie z góry do dołu i powiedziała spojrzeniem: dobrze. Operowałam już biletami wizytowymi: Mgr Anna Jambor. Zdążyłam sobie wydrukować bilety bez adresu i z adresem poznańskim. Dziecinada, ale miła. Przecież okupiłam to czterema latami życia w okresie najbardziej cennym dla kobiety.

Marcin radzi wyjechać w końcu sierpnia i zostać tam przynajmniej dwa miesiące. Florencja przedłużyła do trzech miesięcy, generałowa powiedziała w sposób rozbrajający:

- Dopóki ci się nie znudzi.

Napisała mi od razu dwa listy polecające do naszej ambasady.

- Tam pracują - mówiła - swoi ludzie z Ministerstwa Spraw Wojskowych...

To bardzo miło z jej strony. Była nawet komiczna sytuacja, ponieważ przypomniałam Wirewiczowej o jej pierwszym prezencie w postaci szlafroka, który przywykłam nazywać generalskim. Starczyło to za jakiś dowcipny powód do przymówienia się o nowy prezent; generałowa ujęła mnie pod ramię i zaprowadziła do swoich szaf z sukniami. Otworzyła jedną z nich i wyjmując nowy szlafrok, wręczyła mi go ze słowami:

- Widzisz, Anno, mój stary nie umie przywozić mi ze swoich podróży po świecie innych prezentów, tylko same szlafroki i torebki. Z torebkami to jeszcze pół biedy, ale modelki, na których mu prezentują szlafroki, bywają trochę szczuplejsze ode mnie. W dodatku w Paryżu prezentują takie drobiazgi w sposób bardzo rzeczowy, dołączają do tego pokazywanie wykwintnej bielizny nocnej...

Ale mówiła to wszystko na wesoło i bez gniewu: - Przynajmniej mam korzyść z tej chimery mojego męża, ponoszę kilka razy, aby mu sprawić przyjemność, a potem mam upominki dla przyjaciółek. Bierz, Anno, za tydzień twoje imieniny.

W ten sposób stałam się właścicielką oryginalnego kimona japońskiego. Czarny gruby jedwab z haftowanymi chryzantemami, spód ze szkarłatu. Bardzo kosztowny upominek. Ale generałowa wypytywała równocześnie:

- A jak tam z kawalerami, Anno? Z chłopcami...

Spiekłam raka, nie umiałam znaleźć dowcipnej odpowiedzi i zagadałam o czym innym. Florencja była obecna i przyglądała mi się z uśmiechem, lecz i z zaciekawieniem. Może nawet z lekkim przebłyskiem kpiny.

Nie dałam się jednak wyciągnąć na zwierzenia. Nie będąc już dziewczicą, zachowałam przynajmniej w rozmowach pozory dziewiczości. Po cóż z tym wyjeżdżać na szerokie forum? W dodatku gdybym specjalnie zapewniała o mym dziewictwie, i tak by mi nie uwierzyli. Lepiej więc zamiast słów odpowiadać uśmiechem i wesołością.

Z poważnych spraw to, że od stycznia mam zająć miejsce Florencji w Ministerstwie Skarbu. Dokładnie funkcję i pokój z biurkiem i fotelem. Tylko tyle, że na drzwiach zmieni

się nazwisko urzędnika: zamiast Florencja Zbysławska - Mgr Anna Jambor. Wszystko zostanie w rodzinie, nawet jeden etat szóstej kategorii kontraktowego urzędnika państwowego. Myślałam, że trzeba będzie już obecnie składać jakieś podania, świadectwa i tak dalej. Stryjek uśmieł się z mojego pomysłu i powiedział:

- To dobre dla tych, którzy po skończeniu uniwersytetu dreptają za pracą. Wyczekują miesiącami, a później dają im jakiś praktykancki ryczałt i po roku IX kategorię... W twoim wypadku, Anno, kilka dni wystarczy, to już sprawa uzgodniona, gdzie należy. Będziesz popierać różnych starających się o pozwolenia przywozowe, a jak się napatoczy ten twój dyrektor z Bydgoszczy, to odbij sobie przy okazji straty sprzed czterech lat. Słyszałem od Pawła, jak on cię uhonorował prowizją od kartofli.

Było śmiechu co niemiara, Siedzieliśmy w piątkę w „Bristolu” na popołudniowym dansingu z Wirewiczami.

Jeszcze jedno: adwokacina oświadczył się Zośce, odmówiła. Opowiadając o tym, moja siostra powiedziała:

- Ani mi w głowie małżeństwo. Nie potrzeba mi przewodzenia w domu i w gospodarstwie. Jestem panią mojej woli, mam, co chcę, i robię, co mi się podoba. A tak musiałabym spowiadać się z każdego kroku i wypełniać różne zachcianki, bodaj najgłupsze. W dodatku taki adwokat mieszałby się nawet do naszych bławatów.

I mnie również małżeństwo nie jest obecnie w głowie. W rodzinie marny dosyć dzieci. Pelasia właśnie pisała o nowym dziecku: czwarta córka. Bania pękła z córkami. Tuchołka tym razem wyczekiwał syna, sam mi o tym mówił na weselu Leokadii. Dlaczego tylko synowie są pożądani? Ja kochałabym raczej dziewczynkę.

Niedziela - 17 lipca

Przed dwiema godzinami wróciłam z Grudziądza i obecnie wypoczywam po dniu pracowicie spędzonym nad cyframi i dokumentami. Herta znów jest w ciąży. Zorientowała się w miesiąc po weselu Maksia. Rzeczywiście, urodzaj na dzieci. Rozwiązanie nastąpi w końcu września. Mała Magda zdrowa i rezolutna. Śmieje się do mnie i patrząc poważnie, mówi: cio-cia. Lubię dzieci, ale osobiście nie pragnę ich.

Już został ustalony inwentarz naszego przedsiębiorstwa i zestawiony wykaz majątkowy. Realności w Grudziądzu oszacowano na 330 tysięcy, dom i willę w Wąbrzeźnie na 175 tysięcy, towary netto na 287 560 złotych, ruchomości i urządzenia sklepowe 40 tysięcy, umeblowanie na 23, dłużnicy firmowi 65, reszta wierzycieli do spłacenia 38 tysięcy. Łącznie władze skarbowe szacują spadek na 882 tysiące i 560 złotych, z czego 175 tysięcy do podziału pomiędzy nas troje: Zośkę, Krystynka i mnie, reszta na czworo dzieci. Nasz adwokat czyni starania o korzystne wymierzenie podatku skarbowego, chodzi również o samo przewleczenie terminów zapłaty. Na mnie wypadnie z tego niecałe, ćwierć miliona, koło 240 tysięcy złotych. Nie jest to duży majątek, ale bardzo daleko od biedy. Nawet po złożeniu w banku na pięć pewnych procent dałoby to po tysiąc złotych miesięcznie do końca życia. Po umieszczeniu na jakiejś wiejskiej hipotece, byle na dobrym miejscu, dodatkowe sześćset złotych. Trochę więcej - za cenę użerania się z lokatorami po kupnie kamienicy. Mogłabym ostatecznie nie pracować i pojeździć sobie trochę po świecie. Ale co dalej?

Domy w Grudziądzu przynoszą obecnie koło 27 tysięcy rocznie, mało, ale cóż na to poradzić? Zaledwie osiem procent na czysto, gdyby się zatrzymać na oszacowaniu władz skarbowych. Z komornego w Wąbrzeźnie obecnie pięć tysięcy, ale nie liczymy w tym pomieszczeń składu bławatów i naszego mieszkania, właściwie należałoby liczyć również po 8% od 175 tysięcy, co dałoby 14 tysięcy rocznie.

Bławaty dają obrotu rocznego plus minus 600 tysięcy, czyli na czysto mniej więcej osiemdziesiąt tysięcy złotych rocznie.

Z dochodu z domów przypada zatem na mnie koło dziesięciu tysięcy złotych, a z bławatów koło dwudziestu tysięcy.

Z tym mogłabym już nie pracować i nieustannie podróżować po świecie. Prawie sto złotych dziennego dochodu. Ale to nie dałoby mi satysfakcji życiowej. Znudziłoby mi się. Życie trzeba urządzić sobie inaczej. Same pieniądze nie dają pełni zadowolenia. Umożliwiają jedynie piękną oprawę samego życia. Ułatwiają życie. Przecież Marcin powiedział mi poważnie:

- Twój majątek po ojcu wyniesie zapewne ponad dwieście tysięcy złotych. Ładny będzie z tego dochód. To wyzwolenie się z wielu trosk, sposobność do wygodnego urzędzenia się.

Ale równocześnie mówił jak o rzeczy zafiksowanej:

- Od stycznia zajmiesz po Florencji miejsce w ministerstwie.

Widocznie stryj uważa, że od tego należy rozpocząć samodzielne życie magistra Anny Jambor.

Przejadanie dochodu bez wypełnienia sobie życia jakimiś celami byłoby zadaniem godnym emeryta. Tylko spokojne przetrwanie przeszłości, której u mnie jeszcze nie ma. Przede mną dopiero odsłania się przyszłość, tego zaś, co było, nie warto liczyć!

Program życiowy zatem ustalony. Powrót do Poznania, imieniny w Górkach, w końcu sierpnia wyjazd do Paryża i od stycznia 1933 roku pokoił w ministerstwie i dodatkowe 450 złotych miesięcznie - z tytułu pracy. Pierwszy fort w walce z życiem o jutro.

Nie wspominam o pakietach. To nie należy do rachunków. To jakaś salwa gwardia, o której lepiej na razie zapomnieć. Powiedzmy: sprawa do dalszego kapitalizowania się. Postanowiłam jednak, że „drobiazgi” sprzedam przed wyjazdem do Paryża. Legat po dziadku mają przekazać mi do Poznania jeszcze w tym miesiącu. Dla formalności wymagali zaświadczenia z uniwersytetu; zostawiłam notariuszowi karteczkę, którą dostałam po złożeniu egzaminów.

Ale na tym koniec z cyframi. To co prawda potrzebne w życiu, ale równocześnie nudne. Można sobie fundować rzeczy przyjemniejsze. Na razie gorąca kąpiel. To mi dobrze zrobi przed snem. Jutro od samego rana harówka. Już nie jako córka kupca, lecz szefowa.

W sierpniu mój ostatni występ na zastępstwie Zośki. Podobno rodzina stara się o umieszczenie u nas w Wąbrzeźnie ciotki Marysi Kawczyńskiej. Wdowa, dzieci odchowane i na swoim. Jeżeli jest choć w części podobna do Marysi, to będzie porządna wyręka dla Zośki i dla nas wszystkich. Co ciotka, to ciotka, swój człowiek, z obcym nigdy nie wiadomo. W dodatku to powstrzyma moją Zośkę od wybryków erotycznych na miejscu w Wąbrzeźnie.

Już po kąpiele. Wróciłam do siebie i całkiem naga otuliłam się w mój stary szlafrok generalski sprzed czterech lat. Dobrą chwilę tak leżałam... i wymyśliłam sobie: zatrzymam się w Toruniu! A teraz spać.

Piątek - 22 lipca

Piszę w pociągu. Do Torunia przyjadę koło godziny dziesiątej wieczorem. W tym hotelu jest dansing i coś w rodzaju kabaretu. Dobrze, że nie jestem w żałobie, umieszczę się w numerze, a później zejść na dół. Spożyję kolację i zobaczę, jak wygląda kabaret w Toruniu.

Sobota - 23 lipca

Do Poznania wpadłam jak po ogień. To znaczy, aby wyładować walizę różnymi niezbędnymi rzeczami, przeznaczonymi na pobyt w Górkach. Za dwie godziny jadę z powrotem w tym samym kierunku, skąd przybyłam. Śmieszne, w dodatku jestem mocno śpiąca. Obecnie czekam na kolację. Nie miałam czasu nawet na dokładne przeczytanie listu z Londynu. Píše Krystynek. Zapowiada spotkanie w Gdańsku. Koniec - kolacja - czas na pociąg - jeszcze narady z gospodynią.

Poznań - 31 lipca

Dzisiaj wróciłam do Poznania. Wakacje spędziłam bardzo miło. Urządzili dla mnie prawdziwe przyjęcie imieninowe - takiego nie miałam jeszcze nigdy w życiu.

Od stryjka dostałam pierścionek z rubinem, od Maksiów wspólny prezent: wenecki naszyjnik ze złotych wydmuchanych kulek, które posiadają na powierzchni kolorowe desenie. Robota więcej warta od materiału i dlatego naszyjnik sprawia bardzo wdzięczne wrażenie. Leokadia powiedziała mi po prostu:

- Likwidujemy nasze mieszkanie w Poznaniu. Nie mamy tam żadnych życiowych interesów, to jest mocno z drogi do naszych Górek. A tymczasem ty, Anno, urządzasz się od stycznia w Warszawie, każemy ci zatem przewieźć umeblowanie twojego pokoju do Warszawy, tymczasem na przechowanie do Marcina. Przyjm, Anno, te graty od ciotki zamiast innego prezentu imieninowego.

Przy pożegnaniu stryjek Paweł uśmiechnął się do mnie i powiedział:

- Podobno jedziesz do Paryża? Ale chyba tym razem nie potrzebujesz pieniędzy?

Śmialiśmy się oboje, a ja zdobyłam się na odwagę:

- Stryjku, gdyby ci były potrzebne pieniądze, to proszę bardzo. Sprzedamy któryś z domów i ulokujemy gotówkę na hipotecę w Górkach.

Widziałam, że moje słowa sprawiły stryjkowi dużo przyjemności. Według mnie rodzina powinna sobie zawsze pomagać.

Państwo Orzechowscy przebywają za granicą, na razie w Marienbadzie, później jadą do swoich ulubionych Włoch. Jeszcze jedno, byłabym zapomniała na śmierć: Gabrysia chodzi w błogosławionym stanie, jak by to powiedział imię Onufry Zagłoba. W marcu był ślub, a spodziewają się dziecka już na początku stycznia. Po Gabrysi tego nie widać. Widocznie zależy im na nowym dziedzicu. Na wsi wszystko jak w oborze: są rodzice muszą być dzieci.

Kubuś jest naprawdę zakochany, nawet jakoś zmadrał. Marysia robi dobrą partię pod każdym względem. Majątek niezbyt zadłużony. Zaprosili mnie już na swój ślub. To będzie w drugie święto Bożego Narodzenia i jak zwyczaj każe, w domu rodziców Marysi. Bardzo to ładnie, że Kubuś nie ma wielkopańskich fumów!

W końcu trzeba opowiedzieć również o Toruniu. Kolacja w kabarecie była bardzo podła, nawet dla mnie, a gdy o jedenastej rozpoczął się program kabaretowy, w lokalu pojawił się mój kawaler ze swoją narzeczoną. Głupia to była sytuacja, ale grzecznie się uklonił, mimo że usiadł dość daleko od mojego stolika. Gdy zaczęły się tańce, naprzód przetańczył kilka razy ze swoją romansową panienczką, a później, gdy ją ktoś inny zaprosił, podszedł do mnie i zatańczyliśmy. Tańczy nie za bardzo, nie ma widać we krwi tych zdolności. Krótka to była rozmowa, jedynie zamiary na Poznań. Później, już o godzinie pierwszej p. J. wyszedł ze swoją donną, a ja tańczyłam długo, prawie do godziny trzeciej.

Trochę niewygodna sytuacja, gdy do takiego lokalu przyjdzie samotna kobieta, bez męskiego towarzystwa. Dopiero obecnie pojęłam sens tego wszystkiego. W lokalu, gdy widziano, że siedzę samotnie przy stoliku, od razu znaleźli się amatorzy nie tylko na taniec, ale również na towarzystwo przy stoliku. W końcu obok mnie umieściło się dwóch pijanych oficerów i bez żadnych osłonek i bynajmniej nie przez bibułkę ofiarowywali mi dalszy ciąg, już gdzie indziej. Patrzyłam na nich jak na powietrze. Byli ulepieni z tej samej gliny, co bohaterowie mojej bydgoskiej przygody sprzed pięciu lat. Odczekałam tylko do zjawienia się kelnera, zapłaciłam rachunek i aby się od nich odczepić, opuściłam lokal. Wysłałam do hallu hotelowego i zabrawszy klucz od portiera, udałam się do mojego pokoju. Gdy po chwili wracałam, obaj obrońcy ojczyzny tkwili już pode drzwiami i bez żadnego wstępu ofiarowywali mi pięćdziesiąt złotych w zamian za wiadome... Patrzyłam na nich jak na wariatów. Pijani. Jeden z nich trzymał nawet w ręce owe 50 złotych. Nie odezwałam się ani słowem. Odsunęłam jednego z nich ręką na bok i zeszałam z powrotem do portiera.

- Na górze są pijani oficerowie - powiedziałam bezbarwnie - nie pozwalają mi wejść do pokoju. Proszę o zrobienie porządku, w przeciwnym razie zadzwonię po policję - dokończyłam spokojnie.

W kwadrans później byłam już na górze i zasnęłam od razu. Zmęczenie robi swoje. Obudziłam się w południe, zadzwoniłam na pokojówkę i kazałam podać sobie śniadanie do pokoju. Gdy opuszczałam hotel, obaj portierzy przyglądali mi się dziwnie. Każdemu z nich wręczyłam po dwa złote, po czym w ukłonach odprowadzili mnie do taksówki.

Ładnie wyglądałabym, gdybym się była nastraszyła takich oficerków i uległa. Dobrze, że to porządny hotel. Dobrze, że nie piłam i byłam trzeźwa. Dobrze, że nie potrzebowałam lecieć na takich, jak by to określić? Biedne są kobiety. Mężczyźni są w lepszym, uprzywilejowanym położeniu.

Środa - 3 sierpnia

Rano wpłacałam pieniądze z komornego. Przy pożegnaniu mój bankowy chłopiec pierwszy szepnął:

- A kiedy?

Widocznie dokuczył mu ten lipiec w towarzystwie dziewczicy.

Bez zmian. Odwiedziny od godziny szóstej do ósmej po południu. Odmierzone, jak seans w kinie. Gospodyni powiedziała podczas obiadu, że może pojechać sobie do rodziny do Swarzędza.

Właściwie stałam się od niedawna jakaś inna. Widocznie nastawiłam się już na moje nowe warunki życiowe. Uśmiecham się na wspomnienie ostatnich dni spędzonych w Bydgoszczy przed wyjazdem na poznański uniwersytet, gdy marzyłam o jakiejś garsonierze w stylu warszawskich pokojów Florencji i czułam się zadowolona z postawienia na swoim wobec ciotki Katarzyny.

Nie przestawiłam się jednak w pełni na nowy sposób życia. W każdym razie to była niemądra historia z tym spotkaniem w kabarecie. Niepotrzebnie tam się zjawiłam. On ma posadę i chodzi na prawo w Poznaniu, ona pracuje w Toruniu i czeka na niego jak średniowieczna dziewczica na powrót swego rycerza z wyprawy krzyżowej. Ale wówczas dziewczice nie bardzo dotrzymywały wstrzemięźliwości i rodziły tymczasem z kim innym zdrowe dzieci. Nie przeszkadzało to jednak poezji owych czasów! Idealizowano raczej epokę, a nie czyny. A ten chłopiec ma równocześnie w zapasie dziewczę do przyszłego małżeństwa i szampańskie kobietki, z którymi wypełnia sobie czas wyczekiwania w sposób przyzwoity... przed ślubem. Ostatecznie, pal diabli, każdy ma to, czego chce i co mu jest potrzebne.

W mojej nieobecności nadeszło sporo różnych listów.

Franusiovi z Katowic przysłali prezent: skórzaną walizkę podróżną. Najnowszy fason, pewnie zabiorę ją w drogę: zamyka się na błyskawiczny zamek, w dodatku z kluczykiem. Jeszcze nie widziałam takiej walizki. W dodatku miękka i lekka. Napisali, że to jest łączny prezent z powodu: dyplomu, imiennin i projektowanego Paryża.

Piątek - 5 sierpnia

Dzisiaj odebrałam mój dyplom magisterski. Oryginał na kartonie i pięć kopii na cienkim papierze. Była u mnie Irenka, również zdała magisterkę. Zostają jeszcze jeden rok w Poznaniu. Ona zamierza rozpocząć w Poznaniu aplikację - już od października, po feriach sądowych; ma jakieś protekcje w apelacji, lecz o to nie dopytywałam się, bo i po co? Na razie aplikacja bezpłatna, ale jej na tym nie zależy. Ma swoje pieniądze. Obecnie dostaje od ojca sześćset złotych miesięcznie, a ciotka pokrywa resztę. Mąż jest bliski doktoratu, ma zamiar wydrukować pracę, ale z tym są dłuższe korowody: to matematyka. Umówiliśmy się, ona załatwi wszystkie formalności z moim zapisaniem się na dalszy rok prawa i zaopiekuje się

indeksem. Może z tego coś wypadnie, przecież ostatnie egzaminy prawnicze to drobiazg wobec Taylora.

Sobota - 6 sierpnia

Byłam dzisiaj na małym przyjęciu u Emilki. Mają już dziecko. Było paru naszych wspólnych znajomych. Wszyscy mi wieszowali. Mój dawny pokój zajmuje po dawnemu koleżanka z banku, już mocno siwawa pani. Walerci dałam do ręki pięćdziesiąt złotych, u nich było mi naprawdę bardzo dobrze. W tym pokoiku czułam się wolna. Walerka pocałowała mnie dwa razy w rękę, nigdy nie spodziewała się takiego upominku po dwóch latach. Ale to dobra dziewczyna. Żartem zapytałam ją przy Emilce, czy by nie pojechała ze mną do Warszawy na moje nowe gospodarstwo. Nie umiała mi odpowiedzieć, być może krępowała się wobec swojej pani.

A może byłoby dobrze urządzić się w Warszawie w sposób solidny, z własną gospodynią? Kwestia mieszkania to drobiazg, mebli mamy dosyć. Grudziądzki notariusz nadesłał zawiadomienie o przekazaniu dla mnie do Poznania owych dziesięciu tysięcy z dziadkowego legatu, które Anna Jambor miała otrzymać po skończeniu przez nią uniwersytetu.

Niedziela - 7 sierpnia

Rano przyleciała do mnie mocno wzburzona gospodyni starego doktora. Straciła głowę i nie dopisały jej nerwy, ponieważ lokator, który obecnie zajmuje dawny pokój Leokadii, sprowadził sobie do domu wesołe towarzystwo. Wszyscy upili się i później poczuli grasować po całym mieszkaniu. Gospodyni sprowadziła w nocy stróża i zaraz zrobiła się awantura. Interweniowała policja i w rezultacie rozbudziła się spokojna dotąd kamienica.

Wstałam z łóżka, ubrałam się i wróciłyśmy razem z gospożą do mieszkania, którego tymczasem pilnował stróż. Po godzinnych rozmówkach pomogliśmy lokatorowi do spakowania manatek i pozbyliśmy się awanturnika. Gratów miał niewiele, wszystko zmieściło się do dwóch walizek. Kłopotu nie było, ponieważ zalegał z zapłatą. Podobno inteligent, jakiś urzędnik w prywatnej firmie. Przyjęcie zakończyło się ściągnięciem na podłogę obrusa z talerzami, butelkami i szkłem. Później widocznie po tym deptano. Według relacji gosposi było dwóch panów i trzy kobiety. Niby imieniny. Gospodyni opowiadała, że „rozebrali się na nagusa, a potem ganiali po całym mieszkaniu”. W moim dawnym pokoju mieszkają wspólnie dwie starsze panie. Wystraszyły się i zabarykadowały, czym mogły. Rano, gdy z nimi rozmawiałam, jeszcze były mocno wystraszone.

A z tym lataniem po mieszkaniu na nagusa to się udało starej gospodyni! Widocznie nie dotarła do niej wieść o rajskich weselach... Miałam sporo czasu i przyjrzałam się owemu lokatorowi. Był jeszcze niezupełnie trzeźwy i ubrany niekompletnie. Zachowałam się niezwykle spokojnie i powiedziałam mu zimno i bezwzględnie:

- Co pan woli: dobrowolne opuszczenie naszego mieszkania czy dopuszczenie do skandalu? Sprowadzimy po raz drugi policję i wytoczmy panu proces o naruszenie spokoju domowego i wtargnięcie do naszego mieszkania. Kto wie nawet, czy coś u nas nie zginęło.

Wypadek zepsuł mi całą niedzielę i po obiedzie nie zdobyłam się na nic lepszego od pójścia do kina.

Poniedziałek - 8 sierpnia

Już mam paszport w rękach. Ważny na trzy miesiące, ale tylko do jednorazowego wyjazdu i powrotu. Podobno dalsze podróże i przedłużenia można sobie załatwić w paryskim konsulacie. W ich pojęciu to łatwe źródło do następnych opłat i dopłat. U mnie to pójdzie łatwo, mam dwa listy generałowej.

Odwiedziłam dzisiaj krawcową. Jałowy sezon, można by jeszcze coś zrobić przed wyjazdem, ale nie warto zabierać biblii, wyjeżdżając do Rzymu. Tylko tyle, ile koniecznie potrzeba. Raczej zabiorę większą kwotę pieniędzy. Można wywieźć z sobą tylko pięćset złotych, a później przekazywać takie same kwoty w ratach miesięcznych. To dobre dla naiwniaków, którzy nie posiadają krewnych i znajomych. Stryjek Józef gładko przekaże mi z Gdańska dolary do Paryża, a później rozliczymy się w Polsce, gdzie stryjek potrzebuje gotówki na krycie rachunków za drzewo. Myślę poprosić go o przekazanie do Paryża od razu tysiąca dolarów.

Postanowiłam, że nie zabiorę z sobą moich popielic. Może kupię sobie w Paryżu popielate karakuły, niedawno widziałam bardzo ładne na wystawie w Poznaniu. W Paryżu na pewno tańsze, albo gustowniejsze. Gdyby było inaczej, kupię sobie po powrocie. Do Polski wrócę na początku grudnia, wówczas w Paryżu nie będzie jeszcze zimno.

Podjęłam dzisiaj z banku pięćset złotych. Pan J. widocznie miał ochotę i już się oblizywał na mój widok. Ale obecnie mam głowę wypełnioną czym innym i odpowiedziałam tylko z uśmiechem:

- Nie mogę dzisiaj.

Kobieta zawsze może tak powiedzieć, a sprawdzenie nie jest możliwe. Przeciągnęła mi się mina, gdy usłyszał o wyjeździe na cały tydzień. On jeszcze nic nie wie o tym, że za miesiąc nie będzie po mnie w Poznaniu nawet śladu. A później? Kto to może wiedzieć, na razie o tym nie myślę. To bardzo dobrze, gdy jeden mężczyzna nie zawała kobiecie drogi. Ale do tego kobiecie są potrzebne pieniądze i trochę oleju w głowie.

Dobrze, że mam płaszcz podróżny! Zabieram go jutro w drogę do Gdańska, mogą wydarzyć się chłodne dni. Może nawet będzie lepiej, gdy w Paryżu nie zjawię się, jakby prosto spod igły, gotowi jeszcze pomyśleć, że obszyłam się specjalnie przed drogą. Różnie bywa.

Wtorek - 9 sierpnia

Zośka bardzo się ucieszyła; wobec mojego przyjazdu wyjechała z Wąbrzeźna już dzisiaj po południu. Wróci za tydzień. Uzgodniłyśmy, że wyjadę na niedzielę i poniedziałek - święto Matki Boskiej Zielnej.

W Wąbrzeźnie przebywa już pani Millerowa, ciotka naszej Marysi. Wdowa. Spokojna siwa pani, ale z dobrym uśmiechem na twarzy. Zośka bardzo mądrze postawiła kwestię. To jest ciotka Marysi, a zatem obie mówimy jej: ciociu. To uprościło sprawę. Co mi to szkodzi? Wobec pracowników sklepowych nawet bardzo dobrze.

Interes idzie w dalszym ciągu nieźle. Porównywałam obecny rok z poprzednim, miesiąc po miesiącu. Jest nawet drobna podwyżka w kwietniu i maju. Zośka gromadzi obecnie pieniądze na jesienne spłaty długów. Po jej powrocie mamy pojechać razem do Grudziądza, by ostatecznie naradzić się z adwokatem w sprawie zapłaty podatku spadkowego. Gdy zajdzie konieczność zapłacenia wszystkiego od razu, zaciągniemy pożyczkę bankową, aby nie wyglądało, że mamy w kieszeni gotówkę. Z władzami skarbowymi zawsze trzeba postępować rozsądnie i raczej nie zdradzać się z posiadaniem pieniędzy.

Tuchołkom Zośka posyła na razie po tysiąc złotych miesięcznie, tak sobie życzyli. Posagową kamieniczką Pelasi również zarządza ten sam adwokat, stary zresztą przyjaciel jeszcze n dziadka.

Piątek - 13 sierpnia

Zamiast jechać nocą wyjeżdżam zaraz po obiedzie. Ciocia Millerowa dobrze sobie radzi. Niby łagodna, lecz umie być stanowczą. Będzie nadzorować w sklepie, a siostra będzie miała wolną głowę do myślenia o ważniejszych sprawach.

Wczoraj spotkałam na ulicy konkurenta do ręki Jamborówien. Gdyby mógł, poślubiłby na pewno nas obie, cóż, kiedy na to nie pozwala prawo, którego on jest nie tyle postrzyżonym, ile wyłysiałym kapłanem. Przywitaliśmy się grzecznie, pytałam, czy nie wyjeżdżał na wakacje. Był niemal zgorszony, powiedział, że obecnie są ciężkie czasy... i że powietrze w Wąbrzeźnie jest tak samo dobre jak w Krynicy! I taki chciał się z nami żenić! Ładnie byłybyśmy wpadły! Ale koniec z pisaniem, wołają na obiad.

Oliwa - 15 sierpnia

Na terenie Gdańska dzień bez święta, całkiem o tym zapomniałam. Umieściłam się w pokoju gościnnym u Gardenów. Dzisiaj byłam dwukrotnie na plaży, przed południem zajrzałam do Gdyni, ale na obiad pojechałam do Sopot i tam już utkwiłam do wieczora. Obecnie oczekuję na przyjazd całej paczki, ponieważ Elfryda zadysponowała familijną kolacją u siebie. Mają być wszyscy, nawet Heinrich. Po kolacji będzie generalne gadanie, ponieważ nasz Krystynek zakończył pracę w Anglii i ulokował się w Berlinie. Przelotnie uwiadomił mnie o tym Heinrich, wieczorem wszystko się wyjaśni.

Wąbrzeźno - czwartek - 18 sierpnia

Nie miałam możliwości napisania ani jednego słowa. Istny kołowrotek. Sprawy finansowe nie są ciekawe, a spadkowe nudne. Widocznie każde z nas ma swoje własne cele i zamiary, idea wspólnego zarządzania majątkiem rozłązi się. Krystynek przekazał dla mnie różne zlecenia ustnie i na początek wyraził życzenie, aby mu dostarczyć trzydzieści tysięcy marek! Wyobraził sobie, że tyle wyniesie trzecia część wartości obu realności w Wąbrzeźnie, w których uczestniczymy tylko w troje, bez Pelasi. Stryjek radził, by nie sprzedawać w tym celu domów, lecz uzyskać pieniądze przez zaciągnięcie pożyczki na oba domy. Krystynek zostałby skreślony z hipoteki, a my obie z Zośką stałybyśmy się właścicielkami w idealnych połowach. Londyńskie pełnomocnictwo na moje imię jest w zupełności wystarczające do przeprowadzenia tych transakcji. Pozostaje jedynie uzyskanie zgody naszej Zośki, z tym nie będzie żadnych trudności.

Ale na co Krystynkowi tyle pieniędzy i dlaczego porzucił Londyn dla Berlina? Wydaje mi się, że zrobił głupstwo, w dodatku Heinrich milczy jak zaklęty, a stryjek Józef powiedział krótko i jakby z przekąsem:

- Mnie również to się nie podoba!

Pieniądze otrzyma przez gdański bank, a odpowiednią kwotę w złotych mamy wpłacić stryjkowi w Grudziądzu, dokąd specjalnie przybędzie w tym celu. Jakies pokręcone interesy, od razu na początku wszystko się rozłązi.

Krystynka mam odwiedzić w Berlinie, po drodze do Paryża, to się dowiem szczegółów. Namawiałam Elfrydę na wspólne spotkanie w Berlinie, ale nic z tego nie wypadło.

Ciotka Elfryda jakaś weselsza, rozjaśniona. Dopiero obecnie składałam jej osobiste, serdeczniejsze życzenia. Przyrzekłam przywieźć piękny prezent z Paryża, śmieli się wszyscy, a stryjek zaraz przymówił się:

- Dla ciotki prezent, a dla mnie? Czy ja jestem gorszy?

Bardzo mi się podoba ta stryjowska para. Fryderyk Garden w dalszym ciągu przebywa w Anglii i jedynie w listach zachęca mego stryjka do wytrwania w wojnie ze starym Grossvater Jungiem.

Co do przekazania dla mnie pieniędzy do Paryża, stanęło na tym, że otworzą mi na razie akredytywę na pięćset dolarów w Credit Lyonnais, Gdy będę potrzebowała więcej gotówki, mam napisać, a sprawa przekazu to kwestia paru dni. Gdy wspomniałam o uregulowaniu należności za te dolary, powiedziano mi:

- Otworzymy ci u nas konto, a później rozliczymy się, gdy wrócisz z Paryża; przecież jesteś obecnie współwłaścicielem firmy kupieckiej. Nie uciekniesz nam chyba do Ameryki.

Moja rówieśnica Elfryda jakaś smutna. Nie pytałam się i nie zgłębiałam, jedynie jakoś mocniej i serdeczniej ucałowałam ją przy pożegnaniu. Odprowadzili mnie na dworzec oboje razem z Heinrichem. Już widzę tego przyszłego doktora medycyny Heinricha Jambora! Będzie z niego poważny lekarz, powinien zapuścić brodę uczonego i sprawić sobie staroświeckie okulary w złotej oprawie.

W niedzielę byliśmy całą paczką na plaży w Sopotach. Nasza Marysia wybija się na korzyść nawet wśród bankowych Gardenówien, które są bardzo rasowe, po matce. One również nigdzie nie wyjechały, ale na razie - są bez mężów, mimo bogactwa.

Marysia szczęśliwa. Właściwie sama nie wie, dlaczego kazała Kubusiowi czekać do Bożego Narodzenia. Wyprawę ma już gotową, szyli ją w domu od kilku lat, z tym nie było żadnego pośpiechu. Ale podobno nie zawiera się ślubów w lecie ani w jesieni, ponieważ w tym czasie jest na wsi najwięcej roboty.

Sobota - 20 sierpnia

Zośka przedłużyła sobie pobyt. Jak gdyby nigdy nic, napisała zwykły list: zrobiłam sobie trochę wakacji, wrócę dopiero w poniedziałek. A ja tutaj siedzę jak na szpilkach. Gdyby nie sprawa Krystynka, zostawiłabym cały kram na głowie ciotki Millerowej i wróciłabym do Poznania likwidować tamtejsze sprawy.

Wtorek - 23 sierpnia

Zośka wróciła w samą porę, już mi się porządnie nudziło w rodzinnym miasteczku. Jutro jedziemy wczesnym rankiem do Grudziądza, a ja później wracam wprost do Poznania. Wszystkie projekty do zrealizowania bez przeszkód. Zośka sprzedała swoje drobiazgi w Katowicach za prawie siedem tysięcy. Podobno kurs się poprawił, pewnie i ja sprzedam.

Poznań - 26 sierpnia

W domu zastałam ciotkę. Przyjechała likwidować swoje interesy mieszkaniowe. Meble jadą na wieś do Górek w połowie września, a od października wprowadza się do naszego mieszkania dawny dyrektor Leokadii, którego zachęciło mieszkanie świeżo i bogato odnowione. Wczoraj wyjechała Leokadia, a dzisiaj po południu nasza gospodyni dostała urlop na całe trzy dni.

Niedziela - 28 sierpnia

Ta moja pierwsza wspólna noc przeszła bez specjalnych wrażeń. Pozostało nieprzyjemne wspomnienie w postaci poplamionej bielizny pościelowej. Widocznie jestem nowicjuską w tych kobiecych sprawach, jeszcze obecnie czuję niesmak. Całe szczęście, że mój partner nie zwrócił na to uwagi lub też udał, że nie widzi, ale byłam zawstydzona. Łóżko to jednak pospolity rekwizyt małżeński, mocniej zbliżający do siebie nawet kochanków. Po raz pierwszy padały owe ty. Szczęściem, że później rano wylawirowałam z powrotem na pan i pani.

W każdym razie postanowiłam wstrzymać się od higienicznej erotyki podczas moich paryskich miesięcy. Z różnych względów... byłoby wielką niezręcznością ryzykować na terenie nieznanym. Będzie tyle innych, nowych dla mnie wrażeń, że przytłumią wszystko inne. W dodatku Paryż - to nigdy nie wiadomo co i jak. Może i dobrze, że złośliwy chochlik dał mi dzisiaj małego prztyczka w nos! Kawalera wyprawiałam na kwadrans do łazienki, a w tym czasie zmieniałam bieliznę. Umyślnie zostawiłam odsłonięte łóżko, gdy z kolei opuszczałam pokój. Później naparzyłam mocnej kawy i podałam likiery z resztą tortów przywiezionych przez ciotkę z Górek. Pikantne detale... W każdym razie poczułam ulgę, gdy zostałam w samotności całego mieszkania. Głupstwo i w dodatku tuż przed wyjazdem. Co do tego ostatniego, to dopiero za dobry tydzień.

Wieczorem

To są widocznie jakieś nie znane mi dotychczas objawy hysterii, jestem w dalszym ciągu zła. Denerwuje mnie również i to, że muszę myśleć o domowym gospodarstwie i o jedzeniu. Dzisiaj nie poszłam na obiad i żyłam jedynie ciastkami, herbatą i jajkami na miękko. Pojutrze w południe powinna wrócić nasza gospodyni. To bardzo dobrze. Ten ostatni tydzień przed wyjazdem postanowiłam spędzić niebywale solidnie.

Trzeba będzie załatwić jeszcze historie z wizami. To chyba pójdzie łatwo.

Zabiorę się do studiowania francuskich gazet. Wczoraj kupiłam sporą paczkę, trzeba się trochę otrząsać, spróbuję czytać na głos, oswoję się przynajmniej z brzmieniem języka. Wydaje mi się nawet, że nauczyłam się więcej angielskiego niż francuskiego. Na razie mogę imponować jedynie wielką ilością słówek w obu językach, do mówienia jeszcze daleko. Zobaczymy!

Czwartek - 1 września

Wczoraj powrócił z Krynicy stary doktor i wyciągnął mnie wieczorem na kolację do „Hungarii”. Opalony i wesół. Na samym wstępie dowiedział się od gospodyni o rajszych historiach z byłym lokatorem i dziękował mi za pomoc.

Wiza francuska bez przeszkód, trochę kulawo szło z francuskim, ale poszło. Tak się złożyło, że przyjmował mnie osobiście konsul, nie było pod ręką polskich biuralistów. On na pewno mówi po polsku, ale chciałam spróbować, jak wypadnie moja poznańska francuszczyzna. Jakoś!

Niemcy robili trochę trudności, ale dopiero mój porządny, niemiecki akcent zrobił swoje. Napisali mi: trzy dni pobytu w Berlinie, przekonała ich opowieść o tym, że mój brat jest obywatelem gdańskim i pracuje jako inżynier w Berlinie. Padło jeszcze jedno pytanie: gdzie kończył politechnikę, przeważała gdańska Hochschule i policzyli mi nawet najniższą, ulgową opłatę konsularną. Francuska była gratisowa, ponieważ pokazałam legitymację z Aliance Franco-Polonaise.

Dzisiejszy dzień spędziłam pracowicie. Byłam w banku i wypytywałam się, jak wygląda sprawa ze złożeniem depozytu. Zdecydowałam się na zrobienie dwóch paczek i złożenie do depozytu akcji oraz moich zeszytów ze stenogramami. Już wszystko zapakowałam jak należy, obłakowałam i jutro oddam obie paczki w depozyt do filii Warszawskiego Banku Handlowego. Tam mnie nikt nie zna. Jako wartość podałam 50 tysięcy i 10 tysięcy, to nie kosztuje wiele, łącznie z ubezpieczeniem - do końca roku.

Piątek - 2 września

Z bankiem załatwione. Jutro przenoszę wszystkie moje osobiste ruchomości do doktora Michalskiego. Zapakuję w kosze, doktor już przysłał mi dodatkowo olbrzymi staroświecki kufer. Kosztowniejsze suknie powieszę w szafach, Melcia ich sobie już nie przywłaszczy, ponieważ obecnie ma swoje własne bławaty, ile tylko dusza zapagnie. Ależ się tego u mnie nabierało!

Zabieram dwie walizy, neseser oraz walizeczkę-torbę z błyskawicznym zamkiem. Bizuterię i drobiazgi zostawię w żelaznej kasie na Wyspiańskiego. Zabiorę jedynie sygnet prababki Anny i ostatnio подарowane mi prezenty imieninowe: pierścionek z rubinem, bransoletkę od wujcia Benedykta i wenecki naszyjnik. Z najnowszych kreacji toaletowych - czarną obcisłą suknię welurową, do niej właśnie znakomicie pasuje naszyjnik ze złotych kulek. Ciekawa to jest suknia. Z przodu zapięta pod szyję, z obcisłymi rękawami, zachodzącymi klinem aż na górną część ręki. Natomiast z tyłu kołnierzyk zapina się jedynie na błahostkę u samej góry, a poniżej tył sukni jest rozcięty prawie do pasa. Może troszkę wyżej, przesadziłam, ale w każdym razie trzeba brać do tego specjalną kombinezkę, również mocno z tyłu wyciętą. Ciało odsłania się jedynie podczas ruchów w postaci klinowego błysku

ciała. Biada, gdyby tak nagle puściło zapięcie na górze, od razu obnażyłyby się całe plecy, ponieważ przód sukni jest mocno obcisły i podkreśla wykrój piersi. Do tego był zrobiony specjalny gorset, biodra mocno zesnurowane. Figura bardzo zachęcająca.

Już przeminęły moje troski o kształty. Czas, odżywianie i rozsądek dokonały wielu przemian. Być może jedynie mój wysoki wzrost pozostawiałby trochę do życzenia. Waga również, prawie osiemdziesiąt kilo, ale to jakoś ginie przy moim wzroście. Ruchy w porządku, pomogła mi gimnastyka i ćwiczenia rytmiczne. Utyłam, ponieważ zbyt wiele tkwiłam w domu nad głupimi książkami. Ale to sobie odmienię i w Warszawie urządzę się inaczej.

W sumie zabieram cztery suknie wizytowe, trzy do wyjścia na ulicę, cztery kostiumy, pięć par obuwia i sporo bielizny.

Jutrzejszą noc spędzę w gościnie u naszego doktora, na Matejki zabrali się już od wczesnego ranka do pakowania mebli, a w takim mieszkaniu nieprzyjemnie się kręcić.

Wyjadę i za kilka dni Poznań stanie się dla mnie miastem obcym. Wspomnienia się zatrą, zostanie jedynie pusty dźwięk słowa: Poznań.

Sobota - 3 września

Do wyjazdu jeszcze dwie noce. Trzeba wypocząć. Wyjazd w poniedziałek w nocy; w Berlinie będę nad ranem. Pierwsza moja zagraniczna podróż, czuję trochę tremy.

Dzisiaj wstąpiłam do banku. Umówiliśmy się po południu u Fangrata. Rozmowa była pospolita, dalszy ciąg opowieści studenta. Nieciekawe. Rozmawiałam jakby z kimś całkiem obcym. Po drodze na to spotkanie przyszło mi na myśl, że właściwie nawet kilku kwiatków nie otrzymałam od tego kochanka. Natychmiast wstąpiłam do kwieciarni i kazałam zapakować wiązkę herbacianych róż. Chłopiec był mocno zdziwiony moim wyjazdem, coś niecoś słyszał o tym w banku, ale nie oswoił się jeszcze z myślą o tak rychłym zakończeniu. Nie zrozumiał mowy kwiatów. Herbaciane róże - jako symbol nie rozłąki i nie rozstania, a właściwie jakiegoś zakończenia.

Na jutrzejszy obiad zaprosiłam w imieniu naszego doktora Irenkę z mężem i Emilkę z mężem. Ciekawa jestem, czy mąż Emilki czytuje jeszcze Karola Maya. Obiad pożegnalny będzie z koniakiem, starką, winami i likierami. Ofiaruję nawet moim gościom różne miłe drobiazgi. Już je nabyłam: panom portfele, a paniom torebki. Wydałam na to prawie trzysta złotych, bogato, ale przecież to moje pożegnanie z ludźmi prawdziwie mi życzliwymi. Nie miałam dowcipu na kupno czegoś innego, nabyłam rzeczy praktyczne, które bierze się codziennie do ręki.

Niedziela - 4 września

Obiad odbył się w hałaśliwym nastroju. Niby wszyscy cieszyli się, że mnie widzą i że wyjeżdżam na miłe wakacje, ale w gruncie rzeczy na dnie ich radości leżała może nie tyle zazdrość, że wyjeżdżam, lecz jakby żal, że ja wyjeżdżam do Paryża, a oni zostają w tym pospolitym Poznaniu. Przecież oni również mogliby wyjechać.

Goście zjawili się z kwiatami, a stary doktor zapowiedział, że wszyscy stawiają się na ostatnie pożegnanie przy wagonie sypialnym. Właściwie stary doktor, jak dotychczas, to prawie jedyny poważny kandydat w moim życiu, za którego ewentualnie wyszłabym za mąż.

Nie ma we mnie właściwie nic kobiecości. Kobiecość - to miękkość i jakiś ckliwy sentymentalizm. Kobiecość - to gwarantowana uległość i powolność. Głupie dziedzictwo wieków i wiekowego spychania kobiet do roli biernych zabawek dla mężczyzn.

Moi trzej kochankowie to byli właściwie - jakby prostytutki. Dla nich spotkania ze mną były jedynie jakąś niezwykle taną, bezpłatną okazją. Nie wnieśli do mojego życia żadnego dowcipu. Kochankowie z rogów ulicznych, spod latarni przypadku. Nie zdobyli się nawet na jakieś słowo wykwintne czy choćby tylko żartobliwe, do którego można by jakoś z honorem

doczepić ową, choćby jakąś pseudoerotyczną resztkę. Cóż znaczy kochanek, skoro nie przychodzi do kochanki z różani/? Być może moja w tym wina. Nie wymagałam. W dodatku wybór mój był nieodpowiedni. Miałam, co chciałam.

Nie miałam zatem w życiu kochanków. Jestem w dalszym ciągu jedynie dziewicą zgwałconą po pijanemu. Czytałam kiedyś jedną z opowieści Brantôme'a, w której matka młodzianki panienci kazała paziowi pchnąć ją kilkanaście razy, ponieważ obawiała się, że przyszły mąż zrobiłby to samo w sposób... brutalny! Podobnie było również w moim życiu, z tą jedynie różnicą, że pierwszym paziem była osoba duchowna, drugim słomiany wdowiec, a trzecim zdymisjonowany paź mojej przyjaciółki, która ostatecznie została moją ciotką. W nowszych czasach żyje się znacznie szybciej.

Nie wiem, jak to będzie, ale obecnie wyjeżdżam do Paryża z poglądami mężczyzny. Moi paziowie wypełnili swoją rolę. Dali, co mieli - nie umieli nic innego. Nie padnę obecnie na łóżko jakiegoś bęcwała jedynie dlatego, że jestem kobietą. Chłodno będę patrzyła na cały męski świat. Chłodno i z przymrużonymi oczyma. Egoistycznie pragnęłabym ustalić sobie zasady życiowe: świat został stworzony dla mnie, a nie ja dla świata. Wokoło każdego świat się kręci, tylko ludzie nie umieją z tego korzystać!

CZĘŚĆ CZWARTA

PO DYPLOMIE

Wrzesień - grudzień 1932

Berlin - środa - 7 września

Granicę polsko-niemiecką przespałam. Usłuchałam rady starego doktora i wręczyłam konduktorowi Wagons Lits Cook walizy, kluczyki do walizek i dziesięć złotych. Obudzono mnie pół godziny przed Berlinem, miałam sporo czasu do ogarnięcia się po dobrze przespanej nocy. Na peronie wpadłam w objęcia Krystynka. Obok mojego brata stał obcy mi człowiek, również trzymający w ręku wiązanek kwiatów w bibułce. Gdy się obcałowaliśmy z Krystynkiem, jego towarzysz lustrował mnie z góry do dołu, niezwykle dyskretnie, lecz chciwie i badawczo. Typowy pruski junkier z monoklem w oku, z gatunku, o którym dość nasłuchiwałam się w opowiadaniach rodzinnych. Jakaś młodsza kopia drugiego męża Felicji Garden.

Wówczas na dworcu nie zrozumiałam czy też nie dosłyszałam nazwiska przyjaciela mojego brata i dopiero w domu uświadomiono mi o tym dokładnie: Hans von Jamsborck.

Oboje z bratem mieszkamy w ich willi koło Tiergartenu. Krystynek poznał swego obecnego przyjaciela u londyńskich Gardenów. Któregoś dnia przedstawiono ich sobie wzajemnie: Jambor i Jamsborck. Okazało się, że w niemieckiej rodzinie von Jamsborcków zachowała się pamięć o jakimś odprysku, który porzucił uniwersytet i zaciągnął się do pruskiej armii w dobie walk z Napoleonem. Pamiętano nawet imię Martin i dochowano małych rozmiarów olejny portret chłopca, malowany w Berlinie przez Chodowieckiego. Portret wisi obecnie w mieszkaniu ciotki Hansa, która szczeni się obrazem słynnego rysownika. Sam chłopiec jest w tym wypadku na drugim planie. Historia Martina nienadzwyczajna. Młody chłopak urwał się pruskiej rodzinie i prysnął w świat. Była to rodzina średniozamożna, wypełniona bardziej wojskowymi tradycjami niż majątkami. Widocznie chłopcu było za ciasno w domu i po zakończonych wojnach nie wrócił już do rodziny. Utkwił w rodzinie kupieckiej. Obecnie nasz Krystynek ma zamiar poszukać trochę w starych papierach i dogrzebać się metryki naszego prapradziadka.

Trochę to wszystko dziwne. Spotkanie obu młodych, dalekich kuzynów bardzo, bardzo romantyczne, prawie powieściowe. Nikt z nas dotychczas nie dążył do odnalezienia w Niemczech dalekiej rodziny. Nie interesowano się tym, czy brakło u nas zapału w tym kierunku. A tutaj: Hans von Jamsborck i jego dziewiętnastoletnia siostra Erna oraz ciotka

wdowa, również z nazwiskiem von Jamsborck. Jestem oszołomiona, wrażenia są dla mnie zbyt świeże i zbyt nieoczekiwane.

Dom jakby spokojny, trudno jednak coś wywnioskować po dwóch dniach. Z miejsca ze wszystkimi per ty, nawet starsza pani mówi mi po prostu: Anna.

Erna również przebywała w Anglii, wszyscy troje powrócili razem. Obecnie rozumiem wezwanie Krystynka o dostarczenie mu pieniędzy. Ciotka jest wdową po dyrektorze banku, rodzice Hansa i Erny nie żyją. Majątek ziemski pod Szczecinem sprzedali już przed kilku laty. W każdym razie widać, że posiadają pieniądze. Teraz już rozumiem smutek naszej Elfrydy. Erna to czarna piękność, oczy palące, miękkość kotki. To nie jest typ niemieckiej kobiety. Nic dziwnego, ojciec Hansa przywiózł sobie żonę z Francji. Jakaś długa historia miłosna, o której nie mówi się w willi. Owszem, Erna jest bardzo piękna, lecz to jest piękność w obcym stylu, do której nie jesteśmy przyzwyczajeni w naszej rodzinie. Widocznie tego rodzaju kontrast pociągnął naszego brata. Elfryda w sumie jest jednak ładniejsza. Pełna, wspaniała piękność rudowłosa. Erna - to tylko piękna buzia. Oczy zbyt palące.

Podobno oboje są mocno zakochani. Ojciec Niemiec, matka Francuzka, a dzieci wychowane w Anglii. Hans jest o dwa lata starszy od naszego Krystynka, studiował w Oxfordzie prawo i filozofię. Obecnie obaj z naszym Krystynkiem postawili na jedną kartę i poświęcili się całkowicie Adolfowi Hitlerowi. Czytałam o tym człowieku bardzo wiele w naszych gazetach, nie rozumiałam jednak dotychczas zagadnienia. Dopiero obecnie na miejscu przekonałam się, że ten polityk wejdzie w sprawy niemieckie znacznie głębiej niż włoski dyktator Mussolini. Może nawet nasz Krystynek zamierza odmienić nazwisko? Lepiej go jednak o to nie pytać. Obaj z Hansem są zwariowani. Dzisiaj rano ubrali się w brązowe mundury i polecili na jakąś uroczystość. Krystynek mówi, że w tych dniach uzyskają całkowitą władzę w Niemczech. Naturalnie nie ma nawet mowy o Polsce i Krystynek - murowany obywatel gdański, co tutaj w willi koło Tiergartenu brzmi wybitnie z niemiecka. Ciekawe, ciekawe!

Cały dzisiejszy dzień spędziłam wspólnie z Erną. Obwoziła mnie po Berlinie. Ona była z ciotką dwa razy w Paryżu. Mówi naturalnie bardzo dobrze po francusku, nic dziwnego - kwestia matki.

Ciotka jest raczej chłodna i wyniosła. Nie posiada własnych dzieci i ożywia się, gdy patrzy na Hansa. Dziewczyna wyraźnie jest na drugim miejscu. Co do mnie, nie wzbudziłam zainteresowania u Hansa, widocznie nie jestem w jego guście. Jest niezwykle uprzejmy, ale na tym koniec. Uprzejmy chłód w stylu angielskim. Z naszym Krystynkiem nie tylko przyjaźń, ale coś w rodzaju braterstwa broni. Bruderszaft wypiliśmy dobrym reńskim winem po wczorajszej kolacji. Patronowała temu ciotka Hansa. Hans pocałował mnie z lekka w oba policzki, Erna w usta, ciotka w czoło. Schyliłam się również i ucałowałam rękę starszej damy, czym była zdziwiona, lecz przyjęła to z dobrej strony.

Trudno, kłamka już zapadła i Krystynek dostanie się Ernie von Jamsborck. Brat mówił mi, że obecnie szuka dla siebie mieszkania, na razie kawalerskiego, po czym nastąpią oficjalne zaręczyny, ale dopiero po jego wyprowadzeniu się z willi ciotki.

Wolałabym jednak Elfrydę. To byłaby dla mnie siostra i przyjaciółka, Erna będzie tylko bratową. Same tylko pocałunki nie zastąpią serca i serdeczności. Głupi Krystynek. Po trzykroć głupi. W dodatku polityka. W naszej rodzinie nigdy nie zajmowaliśmy się polityką. Kupcy nie powinni zajmować się polityką. Ale cóż robić. Coś mi się wydaje, że tracimy brata niepowrotnie. To będzie nowy Martin, machnie ręką na rodzinę z urodzenia i urządzi się według własnego wyboru.

Rodzeństwo to jednak luźna rzecz. Jeden brat i trzy siostry, a właściwie każde z nas idzie własną drogą. Kiedyś, niezadługo, podzielimy spadek po ojcu i jeszcze bardziej się rozejdziemy. To jeszcze dobre, gdy się mieszka w jednym mieście. Ale gdy się porozejeżdża, powtarza się historia prapradziadka. Każdy dzień czy rok oddalenia rozłącza rodzeństwo.

Chyba jedna Zośka. Ta zawsze do mnie przyjedzie i będzie snuć opowiadania o sobie. Jaka ona jednak jest głupia z tym pokojem umeblowanym w Bielsku czy Katowicach. Skończy się na tym, że ją kiedyś pobije żona któregoś z kochanków...

W piątek rano opuszczam Berlin, w sobotę nad ranem wyląduję w Paryżu. Tymczasem jutro od samego rana czeka mnie rodzinna pańszczyzna. Będą mnie pokazywać berlińskim krewnym rodziny von Jamsborck. Będą mnie oglądać z różnych stron i dziwić się, że posiadam wszystkie klepki, mimo że zgubiłam w nazwisku trzy litery oraz von przed nazwiskiem...

A tego Chodowieckiego warto by skopiować dokładnie w tym samym wymiarze i również w oleju.

Czwartek - 8 września

Nic specjalnego. Ubrałam twarz w maskę chłodnej obojętności, takiej, która niczemu się nie dziwi. Rozmawiałam raczej o Londynie i Paryżu. Wspomniałam o „willi” w Bazylei oraz o nazwach dwóch majątków „rycerskich” - Starej Wsi i Górkach w tonie tak naturalnym i obojętnym, że nawet Krystynek ujął mnie później, gdzieś na osobności, pod ramię i powiedział:

- Bardzo dobrze, moja Anno, z nimi tak trzeba!

Rodzinne kupiectwo Jamborów było zaledwie muśnięte pawim piórkiem, a kwotę spadku po ojcu: coś ponad milion złotych, potraktowałam jedynie na marginesie w odpowiedzi na jakieś zapytanie. Powiedziałam nawet:

- Rodzina nasza zubożała wskutek wojny i wypadków politycznych - i tylko tyle ocaliliśmy...

Jutro w dalszą drogą. Mają mnie odprowadzić na dworzec w sposób hałaśliwy: rodzeństwo von Jamsborck i nasz Krystynek. Będzie dużo pocałunków i machanie chusteczkami. Może nareszcie Hansowi wypadnie monokl z oka? Dzisiaj jakoś się rozruszał. Może podziałała na niego opowieść o milionie złotych? W każdym razie to nie byłby mąż dla mnie. Sztywny Prusak, w dodatku to są podobno ich wielkie dni i obaj paradują w jakichś osobliwych mundurach. Długie buty, bryczesy, brązowożółta koszula i przepaska na ramieniu: czerwona, w środku białe koło, a w tym kole czarny krzyż, swastyka. Ciekawe, co z tego wyniknie.

Erna całuje jak hetera - namiętnie. Wargi ma gorące i w jakiś dziwnie namiętny sposób kładzie prawą rękę na moich plecach. Nie mogłabym z nią spać w jednym łóżku. Z tego nie wyjdzie chyba nic dobrego, Elfryda jest poważniejsza. Spokojna i solidna. W tej berlińskiej narzeczonej drzemie jakaś dzika kotka.

Przed Paryżem - sobota - 10 września

Mało widziałam z przejazdu przez Belgię. Noc - spałam. Ledwie - stację Liege. Przyjazd do Paryża o wpół do siódmej rano. Nad ranem widok małych miasteczek francuskich. Jakaś ciemna rzeka, sunąca powoli w brzegach widocznie dobrze uregulowanych. Łodzie, galary, i sylwetki ludzi na brzegach. W cieniu drzew piękne wille. Jakieś miasteczko fabryczne, robotnicza osada. Białe małe domki z parcelami ogródków. Każdy ma śliczne wejście, schludne, estetycznie pomyślane rozmieszczenie drzwi i okien. Przeważnie równina.

Paryż - przedmieście; pociąg idzie i idzie wśród samych torów i torów bez końca. Pociągi pospieszne, osobowe i towarowe, schody, magazyny, przejazdy. Olbrzymie ogłoszenia. Wreszcie Gare du Nord.

Moment opuszczenia wagonu kolejowego był bardzo krótki. Dwóch bagażowych porwało nasze walizki i po paru minutach przepychania się przez peron stanęliśmy obie z

przygodną towarzyszką wspólnego przedziału sypialnego przed rzędem taksówek. Krótkie pożegnanie, wymiana uśmiechów i rozjechałyśmy się w różnych kierunkach.

Gdzieś już po przejechaniu Sekwany zatrzymałam taksówkę, ponieważ na postoju spowodowanym zatorem ulicznym zobaczyłam tabliczkę: Bd Montparnasse. Kilka kroków dalej była kawiarenka ze stolikami na trotuarze. Godzina siódma. Za wcześnie na przyjazd do nie znanych mi ludzi. Taksówka czeka, a ja siedzę obecnie przed kawiarnią. Już napiłam się kawy z mlekiem i zjadłam dwa rogaliki z masłem. Jakoś idzie z moją francuszczyzną. Na wszelki wypadek spojrzałam dyskretnie na numer taksówki, ale to nie było potrzebne, ponieważ mój szofer wysiadł również i oto stoi w głębi baru i oparty o bufet, także pije czarną kawę. Tylko tyle, że nie je rogalików z masłem; stoi przed nim coś mocniejszego w grubym szkle na nóżce.

Zbliża się godzina ósma. Czas na ciebie, Anno. Moja przyszła bratowa zaopatrzyła mnie na drogę w książeczkę z planami Paryża. Mapki ułożone według arrondissementów, ze skorowidzem. Bardzo łatwo odszukałam ową uliczkę du Pont Vert, za Porte d'Orleans na drodze do Montrouge. Zdziwiłam szofera. Gdy wymieniłam uliczkę, sięgnął do swego informatora. Przerwałam mu poszukiwania i wskazałam kierunek. Zrobiło to na nim dobre wrażenie. Być może uniemożliwiło mu również obwożenie mnie dokoła Paryża, ale to nie jest ważne - i tak wręczę mu porządny napiwek. Taki jest tutejszy zwyczaj. A więc w drogę, Anno.

Wieczorem

Oczekiwali mnie. Gdy taksówka stanęła przed sztachetami, z małej portierki wyszedł starszy człowiek w półliberii, otworzył drzwi i wpuścił taksówkę przed drzwi wejściowe domu. Z kolei otwarły się oszklone drzwi i stanął w nich typowy lokaj, widywany dotychczas jedynie w teatrze i na filmach. Z martwą miną i w jedwabnej kamizelce z rękawami. Lokaj odebrał walizki, umieścił je w hallu, a mnie poprowadził na drugie piętro do pokoju gościnnego. Wręczyłam mu stufrankówkę, mówiąc: - Proszę dać szoferowi dziesięć franków pourboire'u - i zostałam na razie sama w pokoju. Zdjęłam płaszcz i stanęłam przed lustrem toaletki. Gdy zamierzałam poprawić włosy, z tyłu za mną otwarły się drzwi i stanęła w nich siostra Florencji. Równocześnie jej kopia, z tą różnicą, że moja Florencja posiada wiotkość kibici i szczupłość postaci, a Patrycja ociężałość kobiety zmęczonej życiem. Tylko oczy mocno palące, ale przysłonięte jakąś mgłą. Widocznie wpływ choroby. Usta wyschnięte, spalone gorączką.

Postać otyła. Wobec wczesnej godziny kobiecość jeszcze niczym nie upiększona. Wytworny strój poranny. W oczach Patrycji wspomnienie poważnego spojrzenia naszej Florencji. A jednak wielka odmienność typu. Obie siostry - to piękne kobiety. Ale Patrycja jakby słońce zachodzące, a Florencja w pełni światła południowego. W dodatku dowcip życiowy stanowi cenne ramy obrazu kobiety. Patrycja w obecnym wydaniu - to zamglony typ kobiety haremowej. Sama nie wiem, dlaczego przyszło mi na myśl właśnie takie określenie.

Przywitanie naturalne. Pocałunki serdeczne. Miłe powiedzenie:

- Będzie ci u mnie dobrze, Anno. Cieszę się, że przyjechałaś do nas.

Od razu jednak rozgraniczenie: u mnie i - u nas.

W godzinę później, po kąpieli i przebraniu się, zasiadłam do wspólnego śniadania, na którym zjawił się pan domu. Przyszedł, przywitał się z ogładą człowieka światowego. Po śniadaniu udał się pospiesznie do swojej fabryki, a Patrycja zaprowadziła mnie na drugie piętro, do pokoi dziecinnych. Dzieci ułożone, wychowawczyni rodowita Angielka. Sergiusz ma imię po swoim dziadku generale, a Ksenia po babce.

Drgnęło mi serce, gdy zobaczyłam dzieci. Chłopczyk podał mi po męsku rękę, ucałowałam go w czoło. Dziewczynka naprzód dygnęła, ale zaraz wyciągnęła ręce. Schyliłam

się, prawie przyklękłam na dywanie i serdecznie całowałam Ksenię, która od pierwszego momentu garnęła się ku mnie serdecznie.

Dzieci nie mówią już po polsku. Chłopiec spoglądał na mnie również bardzo serdecznie, ale tylko dziewczynka powiedziała mi:

- Ciocia Florencja opowiadała nam dużo o tobie, Anno.

A więc Florencja, ciocia Florencja.

Dzieci patrzyły na mnie śmiało, bez owego wstydliwego niepokoju, jaki cechuje przeważnie dzieci podczas poznawania ludzi nie znanych im przedtem.

Wychowawczyni wygląda poważnie. Nad czołem ma upięty tradycyjny niebieski welon z krążkiem sztywnej bieli. Na kołnierzu zamiast broszki jakiś medalion z napisami i emblematem.

Dzieci wróciły do nauki, a my obie przeszłyśmy na drugą stronę do pokoi zajmowanych przez ciotkę Patrycję i Florencję, panią Maltz. Nie było jej na śniadaniu, ponieważ o tym czasie zaczynała swój dzień od masażystki. Przyjęła nas w sposób poważny - w saloniku. Wypoczywała w głębokim fotelu, na kolanach piastowała pekińczyka, który na razie zajął wobec mnie stanowisko raczej nieprzychylnie. Na imię mu Koki. Zaczynam od niego, ponieważ wydaje mi się, że droga do serca starszej damy wiedzie właśnie przez sympatię pekińczyka. Całe szczęście, że pod koniec wizyty Koki przestał patrzeć na mnie wyzywająco, a to już coś znaczy.

Siostra matki obu sióstr. Na razie postać mi nie znana. Nie uprzedzono mnie o niej. Dotychczas tylko Patrycja mówi po polsku, niezupełnie dobrze, z zacięciem rosyjskim, ale mówi. Pan domu przywitał mnie francuszczyzną, ciotka językiem angielskim. Nie wiem, jak to wyszło, ale reagowałam na mowę ciotki. Patrzyła na mnie uważnie i rozumiała. Powiedziałam zaraz na samym wstępie, że mój angielski to tylko wspomnienie szkoły, ale jakoś poszło. Stara dama starała się mówić powoli i słuchała uważnie moich słów. Powiedziała mi nawet:

- Umieć dość dobrze po francusku, ale pozostaniemy przy języku angielskim, to się pani przyda. Będzie pani miała pomoc w nauczycielce naszych dzieci.

W południe zjadłyśmy w trójkę drugie śniadanie - pan domu był nieobecny. Po południu odbyliśmy również w trójkę przejażdżkę samochodem do Lasku Bulońskiego, towarzyszył nam Monsieur Koki. Wstępowałyśmy na lody z kremem, moje towarzyszki wybrały ice-cream-soda, obie panie załatwiały po drodze drobne zakupy.

Wieczorem pan domu zadzwonił, że interesy dyktują mu spożycie obiadu w mieście. W dalszym ciągu trzy osoby przy stole. Usługiwała nam pokojówka, obiad miał charakter wybitnie rodzinny. Podczas przyjęć oficjalnych służy lokaj, jak mi o tym wspomniano. Dzieci jadają osobno, razem z wychowawczynią, w innej porze. Gdy zjadłyśmy obiad, dzieci zeszły na dół, powiedzieć nam dobranoc. Dzieci ułożone, bez cienia jakichś humorów. Poważne.

Po obiedzie przeszłyśmy do salonu i słuchałyśmy programu radiowego. Było trochę rozmów, o dziewiątej rozstałyśmy się. Gdy znalazłam się na górze w swoim pokoju, przyszły mi na myśl dzieci. Włożyłam na siebie szlafrok i cichutko otworzyłam drzwi do pokoju szkolnego. Drugie drzwi były uchylone. Weszłam do sypialni dzieci i stanęłam na pograniczu obu łóżeczek, przedzielonych od siebie niebieskim parawanikiem ujętym w białe lakierowane drzewo. Chłopiec się nie obudził, lecz dziewczynka jak by wyczekiwała na moje odwiedziny, otworzyła oczy i wyciągnęła do mnie rączki. Nie padło ani jedno słowo. Posunęłam się bliżej i usiadłam na brzegu łóżeczka. Mała zarzuciła mi ręce na szyję i coś zaczęła szeptać po francusku, czego nie mogłam zrozumieć.

Gdy odwróciłam się, za mną stała Patrycja. Przyklękła na dywaniku, a mała Ksenia odjęła jedną rączkę z mojej szyi i wyciągnęła ją w stronę matki. Gdy opuściłyśmy pokój dziecinny, Patrycja ucałowała mnie w oba policzki i szepnęła po polsku:

- Dziękuję ci, Anno...

Niedziela - 11 września

Pan Krymułt powiedział przy obiedzie, że wczoraj nie udało się Hitlerowi w Reichstagu. Kto wie, co będzie obecnie z planami mojego braciszka. Może byłoby lepiej, gdyby się trochę przesiedział w kozie? Później wróciłby do Gdańska i zabrał się do rodzinnego drzewa. Do czego to podobne, aby inżynier angażował się w jakąś politykę? Te wszystkie kolorowe koszule - to wierutne głupstwo. Dyktatury to dalszy ciąg greckich tyranów.

W dodatku te wilgotne i gorące usta Erny nie podobają mi się. Wolę chłodną miękkość ciała naszej Elfydy. Miał kogo sobie wybrać! Jestem przekonana, że dużą rolę w tym wypadku odgrywa snobizm romantycznego spotkania w Londynie, no i owego „von” przed nazwiskiem. Głupstwo, to w życiu niewiele daje, w dzisiejszych czasach grunt - to pieniądze. Za pieniądze wszystko można kupić, nawet ostatecznie takie „von” czy „de” przed nazwiskiem. W dodatku szaleństwo z żenieniem się. Taką kobietę Krystynek mógł dostać, gdyby zechciał, bez ślubu. Erna to tylko kawał kobiecego mięsa, ogarnięty żądzą namiętności, i nic więcej. Któryż mądry mężczyzna żeni się z taką kobietą?

Na razie Paryż. Dwa dni, a już wkręciłam się w porządek domowy. Pierwsze śniadanie w łóżku. Czekolada z pianką i biszkopty. O dziewiątej angielskie pierwsze śniadanie z herbatą i jajkami na boczku. Koło godziny drugiej południowe śniadanie, coś jakby nasz polski obiad, lecz bez zupy. Później - do wieczorowego obiadu, gdy dusza zapagnie, a apetyt pozwoli, można zadzwonić i przyniosą również coś do zjedzenia. Śmieszne, ale właśnie dzisiaj koło godziny piątej po południu Patrycja kazała podać czarną kawę, do tego zagryzałyśmy czekoladkami Wedla, które przywiozłam do Paryża w prezencie od Marcina. Duże, olbrzymie pudło, prawie pięć kilo, musiałam opłacić cło na granicy francuskiej. Wyjątkowo wieczorem asystował nam podczas jedzenia pan domu, Włodzimierz Krymułt. Podano przy świecach, z zachowaniem liberii lokaja, któremu na imię Baptist i który patrzy w swego pana jak sroka w świecidełko. W ogóle pokojówka jest dla pań, a Baptysta tylko dla pana domu.

Sporo służby. Nie wiem, dlaczego trzymają tylu darmozjadów. Na dole w suterrenach - starsza kucharka i jej pomocnica. Do ogrodu zaciągnęły mnie dzieci. W głębi po obu stronach dwa domki, z lewej strony królestwo ogrodnika i jego żony, z prawej garaże i pokoiki dla dwóch szoferów. Na froncie budynek portiera czy dozorczy, starszy człowiek, również żonaty. Lokaj i pokojówka. Służby wystarczyłoby dla kilkunastu osób, a w sumie tylko państwo domu, dwoje dzieci i wychowawczynie oraz jakby osobne gospodarstwo: ciotka Patrycji z pekińczykiem Koki. Ten ostatni podobno jest lepszy i mądrzejszy od wielu ludzi. Określenie pani Maltz.

Nasz dom. Front domu jest mocno cofnięty w tył w stosunku do ulicy, dość nawet gwarnej i ożywionej. Ulica du Pont Vert, o przyzwoitym wyglądzie, w odległości pięciu minut pieszej wędrówki do przystanku Metra, co już spenetrowałam. Pan Krymułt wspominał mimochodem, że projektują w najbliższej przyszłości wybudowanie czynszowej kamienicy na linii ulicy, i w tym wypadku pozostałby tylko mały placik przed naszym „pawilonem” lub jak go również nazywają: l'Hôtel du Pont Vert. Kamienica czynszowa mocno zasłoni w przyszłości widok na ulicę. Już obecnie na obu sąsiednich parcelach wyrosły czteropiętrowe domy czynszowe, tak że miejsce przed naszym domem stanowi jakby dziurę w rzędzie kamienic.

W ten sposób znikną ozdobne sztachety - pamiętające podobno paryską rewolucję lipcową. Sztachety tworzą rząd wysokich pik, ozdobionych w połowie wysokości laurowymi wieńcami, z wytartymi złoceniami, podobnie jak dumnie ku górze sterczące ostrza samych pik. Brama w tym żywo płocie z motywów wojennych - wielka i ozdobiona sztuką dobrej sztuki kowalskiej. Również stary zabytek z dawnych, dobrych czasów, gdy bogaci ludzie przykładali wagę nawet do odgradzenia się od ulicy. Dzisiaj wbija się mocne słupki z rur w

beton i wypełnia przestrzeń siatką z pospolitego drutu. Na tym kończy się kłopot z ogrodzeniem.

Budyneczek nasz z lewej strony przylega do bocznej ściany jakiejś sąsiedniej oficyny, wyższej o jedno piętro od naszego domu. Z drugiej strony ciągnie się szeroki pas ścieżki prowadzącej dalej wzdłuż całego ogrodu. Jest to droga dla samochodów w kierunku garaży. Wyrównana i wyszutrowana. W dodatku droga prowadzi jeszcze dalej, ponieważ oba budyneczki, ogrodnika i garaży, przylegają do tyłów dwupiętrowego budynku w stylu ultranowoczesnym. Ściany wypełnione raczej szkłem niż innymi materiałami. W tym miejscu kończy się prywatne życie pana Włodzimierza Krymułta i zaczyna posesja jego fabryki chemicznej. Budynek, o którym wspomniałam, to magazyny i laboratoria, odgródzone podwórzem, za którym już wzdłuż frontu innej uliczki: des Quatre Pieds - stoi nowoczesny czteropiętrowy budynek fabryczny.

Olbrzymi teren - jak na Paryż, w samej parceli tkwi na pewno spory majątek, mimo że dość daleko od centrum miasta. Ponad trzydzieści pięć metrów frontu i pewnie z czterysta metrów odległości pomiędzy obu uliczkami.

Dom również olbrzymi. Na parterze półokrągły oszklony występ - stanowiący równocześnie jakiś fragment zdobniczy od dołu aż prawie po dach. Hall wyłożony zdobnymi płytami z białego i czarnego marmuru, ułożonego w kształt gwiazdy. W głębi również marmurowe schody z gipsami po bokach i rozchodzące się w połowie piętra w obie strony. Wyżej, na pierwszym i drugim piętrze, już dębowe schody. Ściany hallu wyłożone weneckimi lustrami od podłogi aż pod wygipsowany sufit. Olbrzymi żyrandol z tysiącami kryształów, podobno zabytek nie tknięty ręką czasu i pamiętający jeszcze czasy markizów du Pont Vert. Z boku, po obu stronach wejścia na schody, pomiędzy lustrami drzwi, prowadzące poza schody. Z tyłu znajduje się wyjście - po kilku schodach - do ogrodu. Ogrodowa strona pałacyku posiada podobny występ jak od frontu budynku.

Front domu zdobny jest w rokokowe zakrętaszy, ścieniowane przeróbkami z połowy zeszłego wieku, okna jednakże są duże, wysokie i zajmujące, zwłaszcza na parterze, dużo miejsca w ścianie. W środku po lewej stronie od frontu - wielki pokój stołowy, wygipsowany i wyłożony. Również świeczniki kryształowe, jednakże późniejszej już fabrykacji, imitacje starszego brata z westybulu. Wesoły pokój z amorkami siedzącymi nad kominkiem. W tyle typowy salon francuski z czasów restauracji królestwa, nowsza już kreacja. Salon zmniejszony już o jedno okno. Pomiędzy salonem a hallem ogrodowym maleńki przedpokój z drzwiami zamaskowanymi w boazerii salonu. W przedpokoiku okno na ogród, w tyle dyskretne drzwi do umywalni wyposażonej w angielskiego pochodzenia „WC” sprzed pół wieku. Porcelana w różowe desenie kwiatowe, także pomysł! Umywalnia, woda zimna i ciepła.

W pokoju stołowym, z prawej strony drzwi wejściowych z hallu, stary kominek z amorkami, na wprost drzwi olbrzymi kredens, jaśniejący wyłożonymi na pokaz starymi srebrami. Z prawej strony kredensu dyskretnie ukryty w ścianie wyciąg z kuchni. Taki sam wyciąg, również w tym samym miejscu, na obu piętrach.

Z prawej strony hallu - symetryczne odpowiedniki co do rozmiaru i położenia. Z frontu olbrzymia palarnia, jakiś czysto męski pokój do przyjęć poważnych gości, ciężkie meble w stylu holenderskim, ciemne skóry ze złoceniami, sufit w dębowych kasetonach. W tyle od strony ogrodu znajduje się biblioteka, obłożona książkami od podłogi do sufitu, w przerwach wiszą poważne portrety olejne. Na środku pokoju olbrzymi stół, dookoła masywne fotele. W kącie na podłodze olbrzymi globus, jakiego jeszcze nie widziałam w moim życiu, przeszło półtora metra średnicy.

Na pierwszym piętrze po lewej stronie znajdują się pokoje Patrycji, po prawej - jej męża.

Na drugim piętrze po lewej stronie nad pokojami Patrycji - królestwo dzieci. Nad salonem pokój do nauki, nad sypialnią Patrycji - dziecienny pokój do spania. W pokoju nad garderobą mieszkalny pokój dla Angielki. Przednie pokoje od tylnego przedzielone rodzajem korytarzyka, w głębi którego znajduje się framuga z wyciągiem z kuchni. Serge, czyli jak go ojciec nazywa: Sieriożka, przebywa ostatni rok w domu, od nowych wakacji umieszczą go w jakimś kosztownym internacie w Anglii. Dziewczynka zostanie sama w domu w towarzystwie panny Kory. Po prawej stronie apartament pani Maltz. W tyle sypialnia, od frontu salon, a obok niego garderoba z oknem od frontu. Od ogrodu łazienka.

Pokój dzieci wyposażony również we własną łazienkę z wejściem jedynie z ich pokoju sypialnego. Mój pokój z wypukłą ścianą w stronę ogrodu, moc światła, południowa strona. W przeciwległej ścianie drzwi do hallu, na wprost wyjścia ze schodów. Łóżko umieszczone na ścianie łazienki dzieci, osłonięte parawanikiem. Meble w kolorze kremowym, lakierowane ze złoceniami. W pokoju tylko dwa kolory: kremowy i popielaty, ożywiony złotymi listwami. Francuski dywan puszysty, również w kolorze popielatym z różowymi deseniami. Desenie jedynie na obwodzie, nierazące i zlewające się z sobą. Wszystko w kolorach pastelowych. Od frontu w ścianie jakby trzy okna, sięgające do podłogi, środkowe w charakterze drzwi, ochronione na zewnątrz domu czymś w rodzaju niskiego balkoniku z ażurowymi prętami. Z lewej strony dyskretnych drzwi do łazienki niziutka toaletka z wąskim wysokim lustrem z trzech pionowo nad sobą umieszczonych kwadratów, z prawej strony garniturowa szafa trzydrzwiowa. Z prawej strony okiennej ściany - również lakierowane biurczko damskie, na środku pokoju pod żyrandolem z pięciu świec z abażurkami okrągły stolik i cztery foteliki pokryte różowym jedwabiem w drobne złote kwiatuszki. To chyba wszystko w tym pokoju. Naturalnie bez ozdóbek na ścianach. Czyściutki i wesoły równocześnie pokoik. Zbyt kosztowny, jak na pokój gościnny, ale powiedziano mi na wstępie: pokój Florencji. Nawet jakieś drobiazgi, należące do niej, w biurczku, w szafie i stoliku nocnym. W szafie sporo sukien, bielizna, lecz w drzwiach klucze, mogłam obok rozwiesić swoją własną garderobę. Warto dodać, że już dzisiaj rano zastałam wszystko wyprasowane i ułożone w szafie obok drobiazgów należących do Florencji. Tak przyjmuje się chyba bardzo bliskich krewnych.

Podobno od frontu jest na tym samym piętrze jeszcze jeden pokój gościnny. Tam lokują innych gości. Powiedziano mi, że jest to pokój Elizy - nie objaśniając, kto to.

W pokoju Florencji wisi tylko jeden obraz. Duża olejna kopia Fragonarda: Toaleta Wenus. Obraz jest własnością Florencji i jak mówiła Patrycja, został namalowany w rodzaju Fragonarda przez jakiegoś znajomego malarza, który jest dalekim krewnym pana Krymułta. Obraz przedstawia jasnowłosą boginię, siedzącą na jakimś olbrzymim fotelu, obróconą w stronę patrzącego prawą stroną. Oczy nie patrzą na widza, obserwują jakby z góry coś położonego w dole, lecz z oddali. Dwa również całkiem nagie aniołki bawią się nogami bogini, a trzeci stara się zajrzeć jej w oczy spoza oparcia fotela. Nagość ciała bogini wylania się z ciepłych kolorów jakichś poduszek i szalów. Obfitość kształtów daleka jest jednak od Rubensowskiego nadmiaru. Nic dziwnego, Fragonard to czasy Ludwika XV i lekkomyślności serca na tle nimfomanii. Pulchność postaci to jeszcze nie szafowanie przesytem ciała. W tym leży różnica pomiędzy królewską ociężałością kobiet Rubensa a miękkością ciała Fragonarda. Różnica jest ponadto w kolorycie.

Jak to dobrze, Anno, że zamiast latać za chłopakami w Poznaniu, wetknęłaś nos nawet do historii sztuki. Koniecznie muszę poznać tego kuzyna, który zabawia się malowaniem. Nie wiem, jaki z niego malarz, ale ta kopia udała mu się, jest namalowana rzeczywiście w stylu Fragonarda, lekko i bez fotograficznego wypędzlowania. Jeżeli to będzie możliwe, obejrzę sobie oryginał tej Wenus, chyba jeszcze nie wywieźli jej do Ameryki.

Prócz kilku kominków dom wyposażony jest w centralne ogrzewanie, radiatory rozmieszczono w sposób dyskretny i nie zwracający uwagi we framugach osłoniętych ozdobnymi kratami. W podziemiach kuchnia i pokoje dla służby.

Podczas dzisiejszej popołudniowej czarnej kawy, pomiędzy jedną czekoladką Wedla a drugą, Patrycja opowiedziała mi pokrótce historię tego Hotel du Pont Vert. Historia sięga Ludwika XVI. Wokół nie było wówczas domów, budynek znajdował się w rozległym parku, a posesja była znacznie oddalona od Paryża. Starego markiza zamordowano właśnie w tym westybulu wyłożonym w marmurową gwiazdę. Młodzi zdążyli uciec za granicę, gdzie zmarnieli na emigracji. Posiadłość sprzedano późniejszemu pułkownikowi Gordet, który dosłużył się z czasem tytułu barona cesarstwa. Za czasów restauracji utknęła kariera pułkownika - w młodości był piekarczykiem - a syn jego strzelił sobie w łeb gdzieś w połowie ubiegłego wieku, gdy znudziły mu się kochanki, a wierzycciele zbyt silnie naciskali. Później jakiś inny awanturnik, na odmianę Włoch nazwiskiem Messarini, nabył na licytacji spuściznę po samobójcy i w okresie rozbudowy Paryża - po latach Komuny Paryskiej - rozparcelował park, zostawiając sobie jedynie dzisiejszy teren posiadłości pana Krymułta.

Później dom się spalił, całość przeszła w inne ręce, ponieważ fortuna baronów tokańskich Messarinich nie przetrwała dwóch pokoleń kupionego za pieniądze włoskiego szlachectwa. Kolejno zbankrutował młody Messarini i uciekł do Ameryki. W okresie przed wojną światową posiadłość przechodziła przez kilka rąk. Domu czynszowego jednak nie odbudowywano. W roku 1917 razem z amerykańskimi wojskami przybyła do Paryża pani Maltz, towarzysząc swemu mężowi, ówczesnemu oficerowi. Całkiem przypadkowo zamieszkali w Hotel du Pont Vert, na drugim piętrze, właśnie w tych pokojach, w których przebywa obecnie wspólnie z Koki.

Mąż zginął na froncie niemal w ostatnich tygodniach wojny, w pamięci wdowy pozostały jednak pokoiki w domu przy uliczce du Pont Vert.

W roku 1924 całość posiadłości została wykupiona przez Włodzimierza Krymułta i ciotkę Patrycji. Stara dama umieściła się z powrotem na drugim piętrze. Przedtem dom został gruntownie przebudowany i unowocześniony. Z tego okresu pochodzą kaloryfery i przywrócenie domowi pańskiego charakteru z dawnych lat, gdy domów nie dzielono na kilka części i nie paskudzono kuchniami co dwa lub trzy pokoje. Fabryka została wybudowana niedawno, dopiero przed trzema laty.

Szczegółów nie opowiedziano mi. Przeszłość została potraktowana obojętnie, jak gdyby świat rozpoczął się dopiero od momentu kupna posiadłości przez męża i ciotkę. Jedno tylko podkreślono, że cały parter przetrwał wszystkie przeciwności losu rodzin du Pont Vert, podrobionych baronów Messarini i jakichś następnych posiadaczy w latach 1902 i 1924. W każdym razie kominki na parterze pamiętają czasy Ludwika XVI, a kryształowy świecznik w westybulu był podobno świadkiem rozerwania markiza na kawałki. Tej scenie przewodziła jakaś paryska przekupka, nawet to zachowało się w tradycji. Niektóre z lusterek, być może, odbijały obrazy tego mordu.

Już postanowiłam. Pierwszy tydzień poświęcę na bezprogramowe wagarowanie po Paryżu. Piękna pogoda. Zabiorę do torebki książeczkę z planem miasta, na rękę jedwabny prochowiec i spróbuję bujać z miejsca na miejsce. To będzie program przedpołudniowy. Dzieci zastrzegły sobie moje towarzystwo na popołudniowych spacerach. Wyjeżdżają z Angielką samochodem do różnych parków. Patrycja podobno bardzo rzadko towarzyszy im w tych przejażdżkach. Wieczory będą wypełnione towarzyskimi konwenansami, wynikającymi z zamieszkiwania w tym domu. Już mi o tym wspomniano.

Środa - 14 września

W poniedziałek wstałam wcześniej i wyprysnęłam samotnie Metrem do śródmieścia. Wałęsałam się wzdłuż wybrzeża Sekwany, weszłam do katedry Notre Dame. Jeszcze nie oswoiłam się z wrażeniami, a już wpadłam w okolice Sorbony. To również jakby jeden więcej kościół. Ogród Luksemburski i po przecięciu Boulevard Montparnasse - od razu tętniąca starym życiem ulica Vaugirard. Ledwo zdążyłam na południowe śniadanie i już

wchłonęły mnie obowiązki domowe. Dzieci domagały się mojego towarzystwa podczas samochodowej przejażdżki do Lasku Bułońskiego. Wieczorem byłam mocno zmęczona pieszymi wędrówkami po Paryżu, ale odczułam to dopiero po zamknięciu się w pokoju. Chodziłam pieszo, zgodnie z zaleceniami Marka Twaina, który twierdził, że najwięcej można zobaczyć, wędrując pieszo po świecie. W istocie zobaczyłam tego dnia bardzo dużo i byłam porządnie znużona. Czyniłam to bowiem w taki sposób, jak bym miała do dyspozycji tylko trzy dni w przejeździe przez Paryż.

Wczorajszy dzień rozpoczął się od tego, że nieopatrznie powiedziałam w obecności pani Maltz, iż mam zamiar wstąpić do banku w celu zrealizowania akredytywy. Pojechałyśmy zatem razem i z miejsca domowa ciotka wypełniła mi sobą cały dzień, aż do wieczora. Z drogi telefonowała do domu, że wrócimy dopiero na obiad. Olbrzymi buick był cały dzień do naszej dyspozycji. Wyczekiwał na nas przed różnymi magazynami. Śniadanie spożyliśmy w małej, lecz wytwornej restauracyjce, gdzie reprezentacyjny kucharz w fantastycznej czapce przybył do naszego stolika w celu odebrania jakichś chimerycznych życzeń mojej towarzyszki. Po raz pierwszy usłyszałam jej wytworną francuszczyznę. Ja chyba nigdy do takiej nie dojdę! Do tego trzeba się albo urodzić we Francji, albo w niej wychować.

Starsza dama jest naprawdę bardzo dystygowana, mimo swej, jakby to powiedzieć: ekscentryczności. Podobno jest bardzo zamożna. Każe sobie mówić Temmi, Mistress Temmi... notuję to w brzmieniu fonetycznym. Jest to jakiś angielski czy zgoła amerykański skrót od rosyjskiej Tamary. W matce Patrycji i Florencji było coś bardziej rosyjskiego, miękkiego w spojrzeniu, natomiast ciotka nawet w młodości miała już pewną twardość spojrzenia. Pomimo że obie siostry były bliźniaczko podobne do siebie. Widziałam ich fotografie z pensjonarskich czasów w ówczesnych mundurkach szkolnych z fartuszkami i falbankami.

Patrycja każe nazywać się po imieniu, prosiła, abym nie robiła między siostrami żadnej różnicy. Widocznie Florencja systematycznie informuje ją o wydarzeniach w naszej rodzinie, gdyż wypytywała się o Leokadię, musiałam obszernie opowiadać.

Ciekawa jest ta pani Maltz. Towarzyszyła mi do banku, była zdziwiona kwotą akredytywy. Doradziła mi podjąć na razie tylko sto dolarów, a resztę zostawić na dolarowym koncie czekowym. W związku z tym włożyłam do torebki pierwszą w życiu książeczkę czekową. Nie wpadłam na ten pomysł w Poznaniu i starym zwyczajem dokonywałam gotówkowych wpłat i wypłat za pomocą zwykłych asygnat. Mrs. Maltz przy tej okazji zapytała mnie, jak długo zamierzam przebywać w Paryżu, wysłuchała opowiadania o dwóch lub trzech miesiącach i o zabezpieczeniu sobie przeze mnie dalszego przekazu z Gdańska. Uśmiechnęła się i powiedziała:

- W tych warunkach nie warto tkwić zbyt długo w Paryżu, należałoby raczej przewietrzyć się trochę po świecie.

Gdy wspomniałam o tym, że od stycznia czeka mnie posada w ministerstwie, pani Maltz z miejsca zareagowała. Musiała powtarzać dwa razy, ponieważ w porywczosci wymawiała angielskie słowa zbyt szybko jak dla mnie. Wytrzymała jednak przy zasadzie swej angielszczyzny i nie pomogła mi ani jednym słowem francuskim czy rosyjskim.

- Wiem, wiem - mówiła - wy wszyscy tam w Polsce wierzycie tylko w jakieś urzędnicze kariery. Połowa waszej inteligencji niepotrzebnie siedzi w różnych biurach państwowych i dlatego u was taka bieda. Biuro - to żadna praca. Pracą jest tylko interes - business. Reszta to niewolnictwo, strata czasu i jakieś nieważne życie. To dobre tylko dla wybiereków. Zawsze mówiłam to Marcinowi i dotychczas nie wiem, w jakim celu oni oboje tkwią w ministerstwach jakiegoś małego państewka. Mogliby żyć inaczej.

Potem ciotka Temmi od razu wyrpała:

- A jak tam jest z tym ich... pożyciem?

Nie zrozumiałam w pierwszej chwili, o co chodzi starszej damie, i pani Maltz musiała mi wyjaśniać jak małemu dziecku. Oni tutaj w Paryżu nie bardzo wierzą w jakieś oddzielne życie ich obojga. W oczach ciotki oboje są kochankami, nie mogłam tylko zrozumieć, kto czym jest kochankiem. Wynikało z tego nawet, że to Marcin jest kochankiem Florencji. Słuchałam w milczeniu i starałam się nie okazywać większego zainteresowania oraz nie wydać się z nieświadomością sprawy. Tym bardziej że pani Maltz powiedziała mi na samym wstępie:

- Marcin widzi w tobie, Anno, najmądrzejszą kobietę w waszej kupieckiej rodzinie.

Niedziela - 18 września

Już upłynęło osiem dni od mojego przybycia do Paryża. Jakoś prędko otrząsałam się z tym miastem, mimo że na każdym kroku nowe wrażenia. Zabytki nie interesują mnie tak bardzo. Przede wszystkim odmienny świat ludzi. Jakieś inne życie, barwniejsze, pełniejsze. Nie dlatego, że hałaśliwe w swojej wesołości i nowych dla mnie barwach, lecz dlatego, że spojrzenia nawet tych nowych dla mnie ludzi są inne niż u nas w Polsce. Ludzie śmieją się po prostu dla samego śmiechu, z byle czego, czasami nawet bez żadnego powodu, a nie tylko pod wpływem jakiejś weselszej okoliczności, jak to się u nas zdarza. Tutaj nawet bieda ma swój rodzaj uśmiechu.

Być może, gdzieś w uboższych dzielnicach tego wielkiego miasta płynie inne życie, biedniejsze i pełne troski nie tylko o jutro, lecz nawet o to pospolite dziś, ale tutaj nawet i nędza ma swój dowcip. U nas natomiast ludzie zdobywają się jedynie na przekleństwa i złorzeczenia. Oni zrobili rewolucję i wylali wiele krwi do rynsztoków, ale dokonali tego z krzykliwie wesołym czy radosnym entuzjazmem. U nas mordowano by na zimno. Nie padłoby przy tym ani jedno słowo! A oni rozproszyli się w ogrodach królewskich i po dniach mordów uczynili sobie noce wypełnione orgiami miłosnymi. U nas rewolucja pokładłaby się wieczorem na chodnikach ulic i ludzie zasnęliby pracowitym snem tragarzy portowych. U nich ręce unurzane we krwi arystokratów splukiwano w pijaństwie, szklankami starego wina z piwnic szlachty. U nas rozbito by co najwyżej sklepy z wódką.

Inne dusze tkwią w tych ludziach, weselsze!

Obcy ludzie w Paryżu są jedynie barbarzyńcami, którym Francuzi zezwalają na pobyt wśród siebie jakby dlatego, by jeszcze bardziej uwydatniła się różnica pomiędzy nimi a etranżerami-barbarzyńcami. Pozostaje zatem tylko jedno: sfrancuzieć albo pobyc na ich ziemi i wrócić do ojczyzny ze świadomością niższości. Naturalnie o ile się nie jest Anglikiem, Niemcem lub Rosjaninem. Pierwsi są niedostępni dla obcych idei i obcego sposobu życia, Niemcy to naród bezczelny i brutalny, a dla Rosjan wszystko, co nie śpiewa cygańskich romansów, nie pije wódki i nie tańczy kozaka jest głupstwem i owym... naplewat.

Wczoraj byliśmy w rosyjskim kabarecie. Pojechaliśmy w dużym towarzystwie, w osiem osób. Z domowych brakło naturalnie pana Krymułta, a reszta towarzystwa to byli amerykańscy znajomi pani Maltz. Hałaśliwe amerykańskie towarzystwo w wieku zbliżonym do naszej ciotki. Ale nie o to chodzi. Towarzystwa bywają różne, a rosyjskie kabarety są wszystkie na jedną modłę. Dużo pijaństwa i dużo okazji do rozbijania się z pieniędzmi.

To nie był Paryż. To nie był wycinek z życia tego miasta, lecz jedynie ogród zoologiczny, jeden z tych, które, o dziwo, toleruje się w naszych niby cywilizowanych czy kulturalnych miastach. Śmietnik życia, spluwaczka wszelkiego rodzaju obrzydliwości. Nie piłam. Byłam całkiem trzeźwa. Nie brałam w tym wszystkim bezpośredniego udziału. Byłam jedynie widzem, potrącanym w dodatku na parkiecie jakiegoś małego dansingu w sąsiedniej salce przy barze, w guście amerykańskim. Tańczyłam tylko z panami z naszego towarzystwa, na zaproszenia do tańca przez innych mężczyzn odpowiadałam pogardliwym angielskim: no, i na tym był koniec.

Francji nie było w tym kabarecie. Były jedynie wyrzutki z własnej ojczyzny, to znaczy carscy emigranci oraz posiadacze dolarów. Amerykanie bawili się niezwykle hałaśliwie, a w przerwach pokrzepiali się w barze. Natomiast Anglicy trzymali się sztywno i nie wdawali z nikim: przyszli tutaj jedynie dla zobaczenia, jak to wygląda. Inne narodowości zachowywały się jeszcze powściągliwiej.

Jak to zwykle bywa, odwiedziłyśmy wspólnie urządzenia toaletowe. To znaczy Patrycja i ja. Podobno kierowniczka tego kaflowego przybytku była ci-devant oryginalną hrabiną. Patrycja przemówiła do niej po rosyjsku, jakby do znajomej, bez podawania jednak ręki. Zostawiłyśmy na platerowanej tacce dwie papierowe dziesięciofrankówki, podobno taka moda. Rosyjska hrabina asystowała nam przy myciu rąk i własnoręcznie podała świeże ręczniki. Przed sąsiednią umywalnią mizdrzyły się dwie ulicznice. Klozet również jest miejscem spotkań międzynarodowych. Obok każdej umywalni wisi na ścianie automat z wyrobami gumowymi. Na oczach. Wystarczy wrzucić pięciofrankówkę i pociągnąć za rączkę. Trudno. Kabaret. W dodatku taki kabaret. Nie mogłam zrozumieć napisu i z lekka nachyliłam się, by przeczytać dokładnie. Madame la comtesse uśmiechnęła się i dyskretnie szepnęła mi:

- Ah, c'est pour bien passer le temps.

Ulicznice wybuchnęły śmiechem. Nie reagowałam. Twarz zachowałam martwą. Trudno, w tym kraju są inne obyczaje. Patrycja powiedziała mi później:

- Prawdziwa Francja śpi o tej godzinie. Prawdziwa Francja modli się w kościołach.

Sama to sprawdziłam w tym pierwszym już tygodniu, na własne oczy. Bogaci Francuzi mają co prawda kochanki i wydają na nie zarobione czy odziedziczone miliony, lecz równocześnie prawdziwy humor perli się tylko przy butelce vin populair za trzy lub pięć franków. Ciotka Maltz powiedziała mi wczoraj, gdy wybrałyśmy się przed południem do Paryża:

- Tutaj u nas mówi się: jedziemy do Paryża, jak gdyby nasza uliczka du Pont Vert leżała gdzieś daleko w Wersalu. A potem: - Ona ma również wspaniałe mieszkanie, pokojówkę, samochód i własnego szofera. W dodatku jakiegoś kolorowego, czarnego Algerczyka.

Ona - to znaczy przyjaciółka pana Włodzimierza. Było to powiedziane niby żartem, ale też jakby z westchnieniem: przywoici ludzie tego nie robią, ale tutaj u nich, to znaczy u Francuzów, są takie obyczaje.

Starsza dama interesuje się też biegiem spraw w fabryce chemicznej. Jest współwłaścicielką i codziennie przynoszą jej do pokoju różne akta. Pani Maltz przegląda je, wypisuje na marginesach swoje uwagi, a Patrycja wspomniła z zadowoleniem, że ciotka w amerykański sposób trzyma twardo swoją rękę na pulsie finansów przedsiębiorstwa.

Dzisiaj podczas obiadu padło pytanie:

- A jak tam z projektami małżeńskimi, Anno?

Wesoło się roześmiałam. Nie umiałam określić tego po angielsku i mimo woli powiedziałam po polsku:

- Jak to? Ledwo jako pisklę przebiłam skorupę akademickiego jajka i już miałabym wychodzić za mąż?

Rozbroiło to poważną zazwyczaj panią Maltz.

- Szczęśliwa dziewczyna - powiedziała - w dzisiejszych czasach rodzice nie pchają już córek do łóżek swoich szkolnych przyjaciół.

Nie wiem, co oznaczało to powiedzenie. Może właśnie ciotkę Tamarę położono w młodości w takie stare łóżko małżeńskie?

Wtorek - 20 września

Dzisiaj padał deszcz i wszyscy zostaliśmy w domu. Przesiedziałam kilka godzin w bibliotece i znalazłam dla siebie właściwe dzieło o Paryżu. Duże trzy tomy z kilkuset ilustracjami: „Paris et sa vie” - Marcel Poêle'a. Podoba mi się, może nawet zafunduję sobie.

Na razie zabrałam się do studiowania, Trzeba by mieć sporo zdrowia, aby to wszystko zgwałcić, to znaczy przeczytać od deski do deski. Zabrałam się do oglądania ilustracji, co mi się spodoba, obejrzę sobie po kolei w najbliższych dniach. Robię notatki.

Wszystko jakoś się ułożyło. Pana Krymułta widzimy co drugi dzień podczas wieczorowego posiłku i tyle mamy z niego pociechy. Ale obie panie nie zwracają na niego najmniejszej uwagi, a dzieci są grzeczne dla ojca i tyle. Nie zapraszają mnie do zwiedzenia fabryki, nie narzucam się. Co to mnie obchodzi - i tak prawie nie znam się na chemii. Koki nie robi mi wstrętów, nie jest taki groźny, jak to się wydawało na początku, raczej apatyczny i mocno leniwy. Nawet nie chce mu się szczebrać i tylko od czasu do czasu mruknie, gdy mu się coś nie podoba. Osobiście nie kwapię się do brania go na kolana.

Zaczynam rozmawiać trochę z Miss Korą. Bardzo dystyngowana Angielka, jedna z czterech córek pastora. Broszka na szyi to znak stowarzyszenia angielskich guwernantek, w tym wypadku dwudziestopięciolecia pracy. One przywiązują się do swoich wychowanków, pokazywała mi album z fotografiami byłych pupilów. Wszystko dorodne i ułożone dzieci. Nasze dzieci mają dla niej specjalne uszanowanie, a nawet jakby adorację, ale trzeba przyznać, że to są dzieci bardzo dobrze wychowane. Chłopczyk ma poważne usposobienie, natomiast dziewczynka jest małą śmieszką. Do mnie lgnie bardziej Ksenia.

Sama nie wiem, o czym pisać. Bo przecież nie warto opisywać zabytków i po ich zwiedzeniu wypowiadać jakies przelotne poglądy.

Deszcz pada w dalszym ciągu, a niebo jest zawleczone jakąś beznadziejną mgłą.

Jutro wybieram się z wizytami do adresatów listów polecających otrzymanych od generałowej Wirewiczowej. Zobaczymy, co z tego wypadnie. W domu już wszyscy oswoili się ze mną i przestałam im zawadzać jako gość. Traktują mnie jak krewną, z której istnieniem zdążyli się już oswoić.

Wczoraj nadeszły pierwsze listy z Polski. Od Florencji i z Poznania od starego doktora. Napisałam do Heinricha w Gdańsku, aby doniósł mi o sprawach berlińskich, skoro tylko wróci tam na studia. Na brata nie liczę.

Czwartek - 22 września

Bardzo mili ludzie. On doktor praw, ona z ukończoną filozofią w Krakowie. Naturalnie galicjaki, ale bardzo kulturalni. Zaprosili mnie od razu na niedzielny obiad, mówią, że polskim obyczajem normalnie w południe, o godzinie wpół do trzeciej.

Odwiedziłam ich o przepisowej godzinie popołudniowej, radcy nie było w domu, ale pani zatrzymała mnie gwałtem i wizyta przeciągnęła się do godziny dziewiątej wieczorem. Również dużo wiedzą o nas, znają Marcina, słyszeli o Florencji i wiedzą o ulicy du Pont Vert. Mieszkanie malutkie, trzy pokoiki, ale sami, bez dzieci i jedynie w towarzystwie służącej przywiezionej z Krakowa. Ściany obwieszane kilimkami zakopiańskimi, na ścianach wyłącznie Kossaki i Aksentowicze. W stołowym pokoju bardzo piękne nasturcje malowane pastelami przez Wyczółkowskiego. Spory kawałek Krakowa w tym paryskim mieszkanku! W dodatku polska polszczyzna - cóż to za określenie? - mile brzmiąca w moich uszach po tygodniach łamania sobie języka po angielsku i po francusku. Polska mowa Patrycji to jednak mowa obcego człowieka, cudzoziemca.

Okazało się, że niezależnie od listu mnie wręczonego, moja protektorka napisała do nich bezpośrednio. Kto wie, czy nie czułabym się u nich bardziej pewnie niż na mojej pańskiej górze przy ulicy Zielonego Mostu. Widocznie mam niespokojną duszę czy temperament.

Oboje pochodzą z Krakowa. W Poznaniu pani ma obecnie brata, który studiuje leśnictwo. Na miejscu opiekują się kuzynem, który według ich określenia zabawia się pacykarstwem. W Paryżu jest podobno dziesięć tysięcy malarzy. Kuzyn mieszka gdzieś osobno na malarskim poddaszu, ale przychodzi do nich codziennie na polskie obiady.

O samym Paryżu były powściągliwe rozmowy. Narzekali, że życie jest bardzo trudne, bo podobno za drogie na ich urzędnicze kieszenie. Otwarcie wspomnieli, że ratuje ich kamieniczka, którą posiadają w Krakowie. Ciekawe, lokatorzy tej kamieniczki reperują budżet polskiego urzędnika dyplomatycznego w Paryżu! Podobno obecny ambasador w Paryżu grubo dokłada do swej godności z prywatnej kieszeni.

Kuzyn znalazł sobie łatwe źródło utrzymania się w Paryżu. Kopiuje pocztówki Tondosa z widoczkami Krakowa, podobno w Paryżu znajduje na to amatorów. Kopiuje też paryskie pocztówki i wysyła do Polski, gdzie różni naiwni nabywcy biorą to za dobrą monetę. Ale chłopiec utrzymuje się, mimo że śmieją się z jego sztuki... życia i sprzedaży. Radca mówił, że w ten sposób niczego się nie nauczy i do niczego nie dojdzie.

Powiedzieli mi, że w niedzielę przychodzi do nich zazwyczaj małe grono osób znajomych. Marysia gotuje polskie potrawy. Tym razem ma być rosół i sztukamię z kwiatkiem, typowe danie warszawskie, a później polskie zrazy z kaszą tatarską.

O czym to ludzie nie myślą z dala od kraju!

Na wczorajszej kolacji uraczyli mnie omletem z konfiturami dostarczonymi im z Polski. Widocznie polska poczta dyplomatyczna służy jako środek transportowy do doprowadzenia rodzin urzędników konsularnych! Na zakąskę była polska kiełbasa, polskie grzybki z octu i polska wódka. W ten sposób być może można urządzać się taniej czy wygodniej, ale nie w tym przecież leży dowcip pobytu za granicą! Co do mnie, zdążyłam już dwukrotnie spróbować ostryg, jadłam udka żabie, langusty i bez żadnych wstrętów włożyłam łyżkę do zupy żółtowej, o ile mi ją podadzą.

Co do miejscowych spraw, opowiedziano mi, że ostatnim lokatorem w naszym Hotel prive, przed jego kupnem przez obecnych właścicieli, była słynna lafirynda paryska. Zrujnowała kochanka, który ostatecznie strzelił sobie w łeb, a wierzyście gładko zlicytowali gniazdko miłości i pozbyli się donny, która opuściła pałacyk tak, jak do niego weszła. To znaczy bez niczego. Bardzo zręcznie czy dowcipnie opowiedziała mi to wszystko nasza pokójóweczka, która również zdążyła się do mnie przyzwyczać i szczebiocze. A ja słucham. Przyzwyczajam się bardzo łatwo do potocznej francuszczyzny i skrótów w mówieniu.

Sobota - 24 września

Sama nie wiem, co zrobić. W każdym razie pójdę na ten obiad po warszawsku, to znaczy na sztukamię z kwiatkiem.

Niedziela - 25 września

Oprócz mnie do obiadku zasiadło pięć nowych dla mnie postaci. Dwa małżeństwa, jedno z ambasady, a drugie tutejsze, emigranckie, osiedlone w Paryżu już po wojnie. Naturalnie murowana pozycja w postaci obiadkowego kuzyna.

Nieglupi chłopaczek, od razu zapraszał mnie do odwiedzenia jego pracowni na rue de l'Estrapade. Czynił to tak gorąco, że wszyscy roześmieliśmy się wesoło, ponieważ to było już po trzech wódkach, a kieliszki były dość głębokie. Jedna z pań powiedziała mu na wesoło:

- Ależ kochany Alfredku, zaczekaj z zaprosinami do czasu gdy przeprowadzisz się na jakąś bardziej znaną ulicę. Do ciebie przecież trzeba się pięć kilka pięter, a jak sam opowiadałeś... ostatnie już po drabinie. W dodatku nazwa twojej ulicy: l'Estrapade.

Przy tej okazji dowiedziałam się, że w dawnych czasach wieszano ludzi również za nogi i za ręce, w ten sposób powieszono huśtano i na pamiątkę tego rodzaju miłych operacji sprawiedliwości pozostawiono nazwę placu i ulicy. Tak to na nazwach ulic można uczyć się historii ludzkiej.

Skończyło się na śmiechu. Później już jedynie z boku łapałam spojrzenia amatora na świeże mięsko krajowe. Trudno się jednak temu dziwić. Przysłowie mówi: łap, co ci wpadnie

w rękę. Może myślał głuptak, że ma do czynienia z jakąś studentką, która tylko w tym celu pojechała na studia do Paryża, aby jemu wpaść do łóżka?

Nowi znajomi wypytywali mnie o dalsze zamiary. Z listu Wirewiczowej wiedzieli już o moim ministerialnym stycznium. Mówiłam, że radzono mi przewietrzyć się po świecie, tym bardziej że na razie jest ku temu okazja, a później, gdy włożę głowę w urzędnicze jarzmo, z urlopami będzie gorzej.

Dzisiaj wieczorem asystowałam przy domowym obiedzie w charakterze honorowego widza. Dziwnym trafem wszyscy byli w domu, nawet pan Krymuł. Byli bardzo ciekawi moich wrażeń z popołudniowej wizyty u nowych znajomych. Po obiedzie umieszciliśmy się w salonie na parterze i obmawialiśmy różnych znajomych i nieznajomych. Ciotka opowiadała swoje przygody z dawnych lat. Było to jeszcze grubo przed wojną, jak to sama określiła, gdy raz dała się nabrać jakiemuś malarzowi na wymalowanie portretu. Malarz sprowadził sztalugi i swoje utensylia do mieszkania klientki i po pewnym czasie istotnie ukończył zamówienie. W miesiąc później trzeba było wykupywać dodatkowo jakiś niesmaczny obraz. Szantażysta po prostu skopiował dość frywolny akt kobiecy i zaopatrzył go w głowę z portretu pani Maltz. Taki sobie drobny obrazek z życia półświatka artystycznego.

Pan Krymuł nareszcie ruszył dowcipem i wspomniął o tym, że Cook organizuje dwa razy w miesiącu kilkunastodniowe wycieczki do Włoch. Wszyscy byli za wzięciem udziału w takiej wycieczce, pani Maltz korzystała z usług tego towarzystwa w Egipcie - w ciągu dwóch miesięcy. A może jechać? Wnioskodawca wstąpi jutro do agencji i zaopatrzy się w prospekty. Zobaczymy.

Poniedziałek - 26 września

List od Zośki. Nic specjalnie nowego. Ciocia Millerowa stara się odgrywać rolę prawdziwej ciotki i otacza opieką moją Zośkę. Trochę za późno się do tego zabrała. Ale dobrze, gdy się ma koło siebie naprawdę życzliwego człowieka. Tego nie można kupić za pieniądze.

Z tym Cookiem dzisiaj cały dom szaleje. W południe nasz szofer przywiózł paczkę prospektów Cooka na miesiąc październik. Jest w czym wybierać. Nawet prospekt na wycieczkę do kraju bolszewików - jakiś Intourist; w każdym razie ja nie zamierzam wędrować w tamtym kierunku.

Dzisiaj po obiedzie wszyscy usiedliśmy w salonie na parterze i dalej do oglądania! Zjawił się nawet pan Krymuł i uważnie przeglądał prospekty. Zabiliśmy sobie wszyscy porządnego klina do głowy. Najwięcej ochoty ma Patrycja, mówi, że dotychczas nie brała udziału w takiej zorganizowanej wycieczce. Oni jeździli luzem lub w kilka osób.

Trochę mnie peszy cena kosztu: 230 dolarów, na nasze pieniądze prawie 2 100 złotych!

Można by ułożyć sobie taką podróż znacznie taniej, ale do tego trzeba mieć trochę obycia z podróżowaniem. Kto wie, w jaką kabałę można by wpaść przy okazji jazdy kolejami i gonienia za hotelami. A tutaj - bez kłopotu, Cook bierze na siebie wszystkie kłopotliwe drobiazgi, wystarczy złożyć paszport i wpłacić dolary. Wyjazd już w tę sobotę. Ale trzeba się zdecydować do środy wieczorem. Trudny dylemat. Dwa tysiące - to prawie popielate karakuły, które już oglądałam.

Wiem, że dzisiejszej nocy nie będę mogła usnąć. Taka podróż to możliwość zobaczenia od razu tych wszystkich rzeczy, o których śniłam: Lazurowe Wybrzeże, Wenecja, Florencja, Rzym i Neapol... Neapol - to równocześnie Pompeja, Wezuwiusz, Sorrento i Capri. Jako dodatek Palermo na Sycylii. Ale by mi wszyscy zazdrościli! A to wszystko można mieć bez ślubu i bez męża. Potrzebne są jedynie dolary do opłacenia Cooka i trochę lirów do torebki na drobne wydatki oraz napiwki.

Prospekty są bardzo pociągające. Szofer przywiózł równocześnie komplet nieśmiertelnego Baedekera. Cook ma lekką rękę do dawania materiału reklamowego, tomiki dodali gratis do prospektów, widocznie zachęceni liberią.

Wtorek - 27 września

Dzisiaj zjawili się z wizytą oboje moi znajomi z ambasady. Poprzednio w porze południowej zaawizowali swoją wizytę. Wypadło bardzo nobliwie. Przyjęłam gości w salonie pani Maltz. Były obecne nasze panie, sama wizyta przeciągnęła się do godziny siódmej. Podano herbatę po angielsku, było bardzo, bardzo beautiful and splendid.

Znajomi mocno doradzali podróż. Sami mieszkali prawie dwa lata na placówce w Rzymie, byli za Cookiem. Jestem w rozterce, jechać czy nie jechać. Chyba pojedę. Na razie prześlę problem. Niechaj mi się śni, że już po-je-cha-łam...

Środa - 28 września

Wypadki migają jak w dzieciennym kalejdoskopie. Wczoraj już zasypiałam, gdy do mojego pokoju weszła Patrycja i zaczęła:

- Jedziesz, Anno? Ja mam również ochotę. Wyrwę się z domu, tutaj jest diabelnie nudno w jesieni, a ja dopiero w zimie wyjadę do Mentony, jak co roku. Jedźmy razem. Paryż obejrzysz sobie do reszty w listopadzie, w sam raz pora na łożenie po tym nudnym mieście.

Siedziała na brzegu mojego łóżka i przemawiała do mnie jakimś miękkim, siostrzanym głosem. No i cóż? Pocałowałyśmy się - i jedziemy.

Przedpołudnie było pracowite. Naprzód pojechaliśmy do Cooka i zapewniłyśmy sobie miejsca. Doręczono nam dalsze prospekty, w tym wypadku obejmujące już różne detale dotyczące naszej wycieczki. Później zjawiłyśmy się w ambasadzie z moim paszportem. Jak to szybko idzie, gdy się ma znajomych. Radca obejrzał z uwagą mój paszport i uśmiechnął się na jego widok. Najwięcej rozśmieszyła go pozycja: étudiant. Rozmawialiśmy bardzo miło małą godzinkę, podczas której mój paszport nabrał zgoła innego wyglądu. Przedłużono jego ważność do pełnego roku od daty wystawienia, zezwolono na wielokrotne przekraczanie granicy polskiej oraz wpisano nową klauzulę: ważny do wszystkich krajów Europy z wyjątkiem Rosji i Litwy Kowieńskiej. Ciekawa klauzula, widocznie mieli obawę, że zamiast do Włoch skręcę na północ. Między nami trzeba dodać: nie wypisywano tego, lecz przybito gotową pieczęć.

W dwie godziny później opuszczaliśmy już agencję Cooka po doręczeniu paszportów i złożeniu dwóch czeków. W każdym razie pierwszy czek, jaki w życiu wypełniałam i podpisałam moim nazwiskiem, opiewał okrągło na 230 dolarów. Nieźle jak na początek. Później zaprosiłam Patrycję na małe śniadanko do tej samej restauracji, w której byłam już poprzednio z ciotką Maltz, i puściłyśmy się na całego. Piłyśmy za pomyślność naszej podróży do Włoch. Patrycja zna Włochy na wylot, będę miała miłą towarzyszkę podróży.

Śniadanko było znakomite. Z Patrycji nie jest znów takie cielę haremowe, jak sobie dotychczas wyobrażałam. Ociężały wygląd u kobiety bardzo może oszukać człowieka. Patrycja ma swój charakter, w każdym razie to nie jest taka nasza krajowa uległa gęś.

Agencja ma dostarczyć nam wizowane paszporty w piątek po południu. Poślemy po prostu szofera, który wpłaci dodatkowo jakąś kwotę na podróżnicze liry. Na osobę dają po 850 lirów na drobne wydatki - po jakimś specjalnie zniżonym kursie. Ale Patrycja mówiła, że ich firma ma w Rzymie korespondenta, który będzie mógł dostarczyć nam do rozliczenia każdą ilość lirów, gdy to będzie nam potrzebne.

Jutro rano jedziemy po zakupy. Pewnie przerzucimy kilka składów do góry nogami, już raz byłam w mieście z naszą kochaną Patrycją. Lubi dużo oglądać. Sprzedawcy mają tutaj anielską cierpliwość. Kupimy dla mnie oryginalny angielski płaszcz do podróżowania, dobrze znany zresztą i u nas w Polsce: burberry. Do tego dwie pary trzewików, cięższe i lżejsze,

całkiem lekkie. Panie radzą mi, abym nabyła jeszcze jeden neseserek zapinany na błyskawiczny zamek, podobny jak od Franusiów. Poza tym trzeba będzie dla odmiany już obecnie kupić sobie trochę paryskiej bielizny. Drugą taką porcję mam nabyć w Mediolanie, co stanowi tam materiał do światowego eksportu.

Czwartek - 29 września

Dzisiaj byłam z drugą wizytą oficjalną. Druga koperta mojej protektorki - to podpułkownik sztabu generalnego z młodziutką żoną i czteroletnią córeczką. Bardzo dystyngowany dom. Oboje ze wsi. Oboje z bardzo zamożnych rodzin, ona zdaje się z pochodzenia galicyjska hrabianka. Również byli uprzedzeni.

Mój projekt wyjazdu do Włoch zrobił dobre wrażenie, pochwalili decyzję powierzenia losów Cookowi.

Bardzo dystyngowani ludzie, trochę przerasowani, ale obnoszą swoją wyższość z miłą elegancją... i odrobiną znudzenia. Nabiłam się naturalnie w mój niemiecki sygnet sprzed dwustu lat. W dodatku dzisiaj już się nie robi takich sygnetów. Zdążyłam, już zapoznać się z herbami moich przyszłych powinowatych w Berlinie: na czerwonej tarczy herbowej trzy wieże zamkowe w kolorze złotym, nad środkową wieżą rycerz w czarnej zbroi - do połowy - i w hełmie z trzema pawimi piórami. Nad tarczą rycerz również w czarnej zbroi z piórami, lecz w pełnej postaci i trzymający w ręku kopię. Labry czerwono-czarne ze złotem. Właściwie to był herb owego Martina, który uciekł od niemieckiej rodziny, a zatem i mój herb, to znaczy nasz, jamborowy, mimo wyrzucenia trzech liter z nazwiska.

Z chęcią nabyłabym ów widziany u Jamsborcków olejny portret młodego chłopca. Gwizdę na Chodowieckiego, mimo że był znanym artystą, ale na portrecie u góry z prawej strony jest właśnie wymalowany herb i nazwisko: Martin von Jamsborck. Tylko że stara Niemka nie sprzedałaby mi obrazu. A może dałoby się wykonać kopię?

Piątek - 30 września

Eleganccy ludzie. Rewizytowali zaraz następnego dnia ze względu na moje Włochy. Powtórzyła się ceremonia z czasu pierwszej wizyty, ale podejmowałam tym razem w salonie na parterze. Zdarzyło się, że w domu był obecny pan Krymułt, herbatę podawał lokaj w półliberii, ze względu na popołudniową porę. Trochę było za długo, jak na oficjalną wizytę, ale zgadało się o wspólnych znajomych pana Krymułta i o jakichś nawet dalekich krewnych w Polsce.

Mam zatem gwarantowane porządne znajomości po powrocie do Paryża. Trzeba żyć z ludźmi, bo to ułatwia życie. W bardzo lekki sposób operowałam nazwiskami i nazwami majątków, z uśmiechem i swobodą zapraszałam na polowania do Górek. Poszło bardzo łatwo. Zrobiło nawet pewne wrażenie na panu Włodzimierzu. Nie jest on znów taki antypatyczny ani jakiś kuty na cztery nogi szelma, jak mi się początkowo wydawało.

Dzisiaj z powodu jutrzejszego pierwszego i wobec wyjazdu na dłuższą wycieczkę rozdałam trzy banknoty stufrankowe: pokojówka, szofer oraz dystyngowany lokaj. Ten mnie ani ziębi, ani grzeje, ale pieniądze wręczane służbie podkreślają tym samym wobec nich naszą wyższość; należy dawać, lecz w zamian starać się jak najmniej wymagać. Przed wyjazdem zapytywałam w tej materii o zdanie Leokadii i właśnie postąpiłam według jej recepty. Widzę, że postąpiłam dobrze.

Jutro o tym czasie będziemy już leżały w przedziale wagonu sypialnego. Obie jesteśmy całkiem gotowe i prawie spakowane. To ostatnie zrobiła właściwie nasza pokojówka pod komendą Patrycji. Jedziemy zatem, Anno. Świat należy do tych, którzy mają pieniądze i umieją je wydawać. Niech żyje Cook!

Niedziela - 2 października

Z Cookiem warto podróżować. O niczym nie trzeba myśleć i wszędzie oczekują nas wygodne autobusy. Wsiadamy i wsiadamy. Podzielono nas na dwie grupy, jeden przewodnik trąduje jak z nut po francusku, drugi po angielsku. Angielski króluje dla Amerykanów, wybrałyśmy zatem francuską grupę, ponieważ jest spokojniejsza i mniej hałaśliwa. Amerykanie rozpychają się łokciami i pluą gumą na wszystkie strony. Bydełko w różnym wieku, na niektórych egzemplarzach widać nagłe wzbogacenie się sprzed kilku zaledwie lat. Zawarliśmy znajomość z parą starszych już ludzi, małżeństwo, oboje Szwajcarzy - w wieku już ponad pięćdziesiątkę. On, inżynier-mechanik, buduje turbiny wodne. Spokojni i poważni ludzie. Postanowiłyśmy siadać zawsze z nimi przy wspólnym stoliku. Amerykanie są ordynarni. Na początek, zaraz podczas pierwszej jazdy autokarem po Marsylii, przyczepił się do mnie jakiś dryblas. Tyle wywnioskowałam z jego gadania przez nos, że jest championem gry w rugby i w nagrodę za jego sukcesy sportowe sfinansowano mu obecną podróż po Europie. Nie mam wyobrażenia, jak wygląda ta gra, i z rozbijającą prostotą wyznałam mu, że nie interesuję się sportem. Młodzieniec popatrzył się na mnie w taki sposób, że miałam wrażenie w pierwszej chwili, iż go szlag trafił. To podobno największa obraza dla Amerykanina, rugby jest ich narodowym szaleństwem, a kobiety podobno wariują i publicznie rzucają się takim zwycięzcom na szyję.

Z Paryża wyjechaliśmy koło godziny ósmej wieczorem. Punkt zborny był w lokalu agencji Cooka, stamtąd przewieziono nas już hurtem do swoich własnych wagonów sypialnych. Niezależnie od tego machania chusteczkami odbyły się jeszcze raz przy oknach wagonu. O dziwo! - pan mąż złożył nawet konwencjonalny pocałunek na jednym z policzków swojej oficjalnej żony. Jak dotychczas, jestem wprost zachwycona ich wzajemnymi stosunkami. Tak właśnie powinno być w małżeństwach. Rozwód powoduje trudności rodzinne, gospodarcze, a nawet towarzyskie. Tutaj zresztą wchodzi w grę dobre wychowanie, kindersztuba, jak to mówią.

Dwa olbrzymie, jednakowe bukiety oraz dwa pudła z czekoladkami to były ostatnie punkty paryskiego programu.

Postanowiłyśmy, że dolne łóżko będzie stale należeć do Patrycji. Ja jestem młoda i zwinna, to mnie łatwiej przyjdzie wskakiwać na górkę. Może górka jest i lepsza od dolnego łóżka, ma się wrażenie samotności w przedziale.

Każdy z nas stał się jakby niewolnikiem Towarzystwa Cooka, które za nas myśli i wszystko podsuwa nam pod nos. Nawet jakieś wczesne pierwsze śniadanie wetknięto nam godzinę przed Marsylią. Podano i nie pytano się, czy mamy ochotę jeść, czy nie. Była to duża szklanka soku wyciśniętego z pomarańczy oraz kilka biszkoptów w bibułkowym opakowaniu. Można było wybrać grapefruit, ale to jest bardzo kwaśne i gorzkie, wybrałam sok z pomarańczy. Do wyboru była również czekolada lub kakao. Wszystko jeszcze przed opuszczeniem wagonu sypialnego, do łóżka.

Patrycja miała rację, gdy wmowiła we mnie konieczność kupienia dwóch pidżam oraz dwóch szlafroków kroju męskiego. Jedna z pidżam jest w kolorze blad różowym z czarnymi obszyciami, druga z grubego czarnego jedwabiu z obszyciami seledynowymi. Obie jedwabne, bardzo miękkie. Płaszcz czy szlafroki męskie są bardzo długie, po kostki. Jedwabny w pasy czarne i seledynowe, a drugi z lekkiej wełny w jodełkę popielato-różową i popielato-seledynową. Obie mamy po dwie walizki i dwa nesesery, ale Patrycja wlecze jeszcze dwie duże walizy wypełnione po brzegi strojami oraz osobne pudło z kapeluszami. Moje wyposażenie jest znacznie skromniejsze, prawie ubogie, dobrze przynajmniej, że w dobrym gatunku. Kupiłam sobie dużą torbę podróżną z krokodyla, takich u nas nie ma. Zostawiłam w Paryżu, przyda się później, w Warszawie.

Cook ma program obliczony na minuty i nie znosi żadnych odchyłek. Każdy numer ma przydzieloną ilość minut na wzbudzenie zainteresowania, śmiechu czy łez. Program dotrzymywany jest z zegareczkiem w ręku. Jest również prawie codziennie luka w

programach, zatytułowana: spędzenie czasu według własnego uznania P.T. Klienta, ale w sumie tego niewiele. Widocznie obawiają się, aby ich klienci zbyt nie usamodzielniali się i nie odkrywali tajemnic, że można by równie dobrze podróżować po świecie bez pomocy Cooka.

Dzisiaj pokazano nam trzy kościoły, obwożono po słynnej ulicy Cannebiere, przewieziono nas stateczkiem do zameczku d'If, wslawionego przez romans „Hrabia Monte Christo”, spędziliśmy pełną godzinę na plaży Roucas-Blanc, całkowicie osłoniętej przed wiatrami. Znaleźli się nawet amatorzy na błyskawiczną kąpiel, podobno woda była bardzo ciepła. Podczas obiadu, a raczej przed obiadem wysłuchaliśmy dyskretnej informacji na temat zupy Bouillabaisse, narodowej zupy prowansalskiej, sporządzonej z kawałków różnych ryb, z chleba i szafranu. Taka sobie zupa, trochę za ostra jak na moje podniebienie. Ale zjadłam, trzeba było, skoro się już raz włożyło głowę w jarzmo Cooka. Przynajmniej będę mogła opowiadać w domu u siebie: byłam na Cannebiere, jadłam wszystko, nawet Bouillabaisse! Tutaj mają jeszcze inne delicje: zupę Aioli z pewnej ryby, ugotowanej z kartoflami, muszelkami, kiszka krwawą oraz sosem oliwkowym. To musi być pierwszorzędne świństwo, ale na szczęście nie podali. Nasz Cook podaje zupy tylko pierwszej klasy, ignoruje pomniejsze sławy regionalne.

Wieczorem namawiano nas na pójście do jakiegoś słynnego czy osławionego kabaretu, ale odmówiliśmy. Lepiej wypaść się przed jutrzejszym dniem. O ósmej rano pociąg do Cannes.

Cannes - 3 października

Jak w kinematografie. Notuję tylko same nazwy: Juan-les-Pins, Antibes, Grasse, wszystko autokarem bardzo wygodnie i bez zmęczenia. Południowy posiłek w Antibes, obiad na miejscu w Cannes.

Z tego amerykańskiego chłopaka - głupiec. Usiłował pocałować mnie w Grasse. Wywinełam mu się z ramion, w tym momencie podeszło parę osób i miałam spokój. Głupiec. Widocznie to uchodzi w jego kraju. A może byczek urwał się na wolność, a przedtem w Ameryce naopowiadali mu, że na nich lecą wszystkie kobiety na całym świecie. W każdym razie to nie typ dla mnie. Jeden z takich, którym się wydaje, że robią łaskę czy grzeczność kobietom i równocześnie traktują kobiety na opak. Ulicznicom całują ręce, a kobiety z towarzystwa chwytają pod gardło. Na razie milczę, ale ładuję się elektrycznością. Postanowiłam nawet w ostateczności sama się z nim rozprawić. W najgorszym wypadku dam mu w zęby, a dopiero później zawiadomię kierownika wycieczki o fakcie dokonanym.

Dopiero dzisiaj powiedziała mi Patrycja:

- Jutro odwiedzimy naszą Elżę, ona mieszka tutaj we własnej willi.

Na moje zapytanie Patrycja ogólnikowo określiła pokrewieństwo między nimi. Jest to najmłodsza córka jednego z dwóch braci jej babki. Przy tej okazji podkreśliła, że babka Wieroczka żyje i mieszka wspólnie ze starym generałem w Lozannie. Na ogół wydało mi się, że Patrycja dość niechętnie wyraziła się o kuzynce Elzie, mimo że na moim piętrze w domu przy ulicy du Pont Vert jeden z pokoi jest pokojem Elizy, czyli Elzy.

Wtorek - 4 października

Zaraz po pierwszym śniadaniu machnęliśmy ręką na Cooka i wróciłyśmy do hotelu dopiero późnym wieczorem, po kolacji. Cały dzień wypełniła nam kuzynka Elza. Rzeczywiście mieszka we własnej willi. Zajmuje parter, piętro odnajmuje jakiejś rodzinie angielskiej. Spory ogród, widok na morze, do plaży niedaleko. Pięciopokojowe mieszkanie wypełnione nadmiarem różnych kosztownych mebli, wszystko w artystycznym nieładzie. Kuzynka pisze i maluje, ale wyłącznie sobie a muzom! Podobno jest bardzo bogata, ponieważ

babka po matce zapisała jej cały majątek z pominięciem, reszty rodzeństwa. Ekscentryczna czterdziestoletnia panna.

Ciekawe są te pokrewieństwa. Obecnie zgłębiłam kilka dalszych kart rodzinnych historii. Ich dziadek Bender był bankierem petersburskim, który aby utrzymać się w terenie i w towarzystwie, we wczesnej młodości, jeszcze przed ślubem, przyjął prawosławie i nabył znaczne dobra ziemskie. Wszystko to było przygrywką do ożenienia się z biedniutką dziewczyną, lecz pochodzącą ze starej ruskiej szlachty. To właśnie była Wieroczka, matka Mrs. Maltz oraz równocześnie babka Patrycji i Florencji. Dzięki małżeństwu siostry, obaj bracia Wieroczki wypłynęli z powrotem na powierzchnię życia towarzyskiego. Młodszego Mikołaja, zwanego w domu Nikiem, umieszczono w korpusie kadetów, a starszego, Płatona, wysłano do szwajcarskich krewnych bankiera.

Płaton, dzięki poparciu krewnych swego szwagra oraz dzięki własnemu sprytowi i szczęściu, zrobił w Szwajcarii finansową karierę i zdobył spory majątek. Zaczął od tego, że z miejsca ożenił się z bliską krewną swego szwagra Bendera, również Benderówną. Szwajcarska linia Benderów do dnia dzisiejszego wytrwała przy synagodze, lecz małżeństwo petersburskiego Płatona zostało zawarte, po wspólnym porozumieniu, w kalwińskim zborze. W ten sposób oboje małżonkowie zmienili swoje religie i kalwińska rodzina Płatonostwa Dubowów mocno związała się ze starą żydowską rodziną szwajcarskich Benderów. Stary Płaton do dzisiejszego dnia zajmuje się w Genewie operacjami finansowymi w wielkim stylu i zakresie.

O Elzie już wiem i nie wiem. Nawet Patrycja nie wie, w jaki sposób Elza zdołała owoładnąć starą babką do tego stopnia, że zapisała jej cały majątek, z pominięciem trzech własnych synów i zięcia. Coś tam każde z dzieci dostało od tej babki, po jednej kamienicy, ale jak mówi Patrycja, to było jakby kapnięcie z nosa. Byle się nazywało, że ich nie wydziedziczyła, i byle to nie stanowiło pretekstu do unieważnienia testamentu. W sumie są to cztery wielkie domy czynszowe w Genewie, willa w Cannes i spory pakiet żelaznych akcji szwajcarskich. Miliony franków szwajcarskich!

Jeszcze jedno opowiadanie o Niku, owym młodszym bracie Płatona. W korpusie kadeckim zaprzyjaźnił się z Sergiuszem Zbisławskim. Po kilku latach Nik wystąpił z wojska i zajął się majątkiem ziemskim swego szwagra Bendera, a Zbisławski pozostał w dalszym ciągu na służbie. Nic dziwnego, że zaczęło się od przyjaźni dwóch kadetów, a skończyło na małżeństwie trzydziestoletniego majora z dwudziestoletnią Ksenią Bender, córką szwagra Nika. W rok po ślubie zjawiała się na świecie Patrycja, w cztery lata później Florencja.

Kariera wojskowa Sergiusza Zbisławskiego postępowała dość wolno, dopiero podczas wojny japońskiej został pułkownikiem. Wojna światowa przyniosła mu już w pierwszych tygodniach generalstwo i szczęśliwe odkomenderowanie do francuskich sztabów. Pięćdziesięcioletni generał nie kwapił się wracać do Rosji. Zamiast wdawać się w dalsze awantury wojenne, osiedlił się na stałe w Lozannie. Podobno jest tam bardzo śmieszna willa wybudowana w stylu gotyckim, z wąskimi mrocznymi oknami, które w dodatku wypełnione są witrażami. Stary podobno zdziwaczał. W okolicy nazywają go „naszym” generałem. Mieszka wspólnie ze swoją teściową Wieroczką, on ma obecnie 67 lat, a teściowa 73 lata. Babka w dalszym ciągu trwa w usposobieniu mocno romantycznym. Spory majątek w akcjach i jakichś parcelach budowlanych, wszystko w Szwajcarii i wszystko w finansowym zasięgu działalności Płatona Dubowa, splecione w jeden wielki węzeł wspólnych interesów rodzinnych.

Zmęczyłam się opisywaniem tej „ginekologii” rodzinnej. A zatem dopiero rodzony dziadek, ojciec matki, ochrzczony na prawosławie! I zaraz dobry skok w starą rodzinę Dubowów.

Co do Nika, to stary kawaler, z Rosji uciekł całkiem goły, nic nie ocalił. Kręci się w konstelacji starszego brata, załatwia mu różne interesy reprezentacyjne o charakterze

towarzyskim. Kalwińskie stosunki w Szwajcarii są podobno bardzo duszne, nic dziwnego, że starokawalerska dusza byłego carskiego junkra rozjaśnia mroki tych ponurych domów i rodzin.

Zmęczyłam się. A tymczasem trzeba się porządnie wyspać. Jutro rano Cook przerzuca nas na jeden dzień do Nicei. Nocleg tamże. Nareszcie dostaniemy pokój z łazienką, już nam zakomunikowano tę wiadomość. W czwartek Mentona, a w ciągu nocy przerzucenie się w wagonie sypialnym do Mediolanu. Dopiero od tego momentu koniec z Francją i początek włoskiej podróży. Za prędko to wszystko leci, a ja w dodatku niepotrzebnie zaprzęłam sobie głowę prawosławną szlachtą, żydowskimi bankierami i szwajcarskimi kalwinami. Niemal z każdym wiekiem, ba, nawet z każdym dziesięcioleciem zacierają się te tradycyjne przyzwyczajenia. Obserwuję to na dzieciach Patrycji. Nie pytam i nie podnoszę tych spraw, ale wydaje mi się, że w domu przy ulicy Zielonego Mostu nie ma miejsca na jakiegokolwiek sprawy religijne. Ignorują je i na tym poprzestają.

Ale też u nich była prawdziwa mieszanina! Ojciec generała Zbysławskiego był polskim szlachcicem, mieli majątki, nawet po naszej stronie granicy, później ten ojciec zruszczył się przez swoją prawosławną żonę i od razu syn znalazł się w petersburskim korpusie kadetów. Generała nie zdołali namówić do powrotu do Polski. Podobno powiedział: mam swoje własne pieniądze, nie potrzebuję cudzej łaski. Utkwił w Lozannie i straszy porządnych i spokojnych Szwajcarów ubraniami rekwizytami carskiego generała. Obecnie w dodatku - szwajcarski obywatel. Obie córki były również szwajcarskimi obywatelkami, Florencja posiada właściwie podwójne obywatelstwo. Podobno tak można w Szwajcarii, gdy się posiada tam jakąś posiadłość ziemską. Wszystko jest wymieszane. Międzynarodowy kosmopolityczny amalgam. Ale właściwie czy tak nie jest lepiej? Świat jest szeroki i okrągły, najwygodniej byłoby stać się obywatelem całego świata. Różne państwa stwarzają jedynie nieustanne kłopoty. Paszporty, a w końcu przez protekcję pieczętka z klauzulą: ważne do wszystkich krajów europejskich z wyjątkiem Rosji i Litwy.

A zatem jutro Nizza. To właściwie już pierwszy podmuch włoski, mimo że jeszcze w granicach Francji. Do kasyna wstąpimy, ja jednakże powstrzymam się od gry. Zamiast brania udziału w niezdrowych emocjach, ograniczę się do obserwowania rozgorączkowanej hołoty z całego świata. Bo przecież to naprawdę hołota, głupia w dodatku. Przyjrzę się temu wszystkiemu z bliska. Gra zmąciłaby mi obraz. Wypróbuję siłę charakteru: nie będę grała! To dobre dla tych, którzy z dziesięciu frankami pragną dobić się miliona.

W Monako mamy zwiedzić jakieś nadzwyczajne akwarium morskie z potworami. Księżę zabawia się w uczonego, nie trudno, skoro się ma udział w kasynie gry. To również jest państwko z własnym dostępem do morza. Kot, gdy dobrze skoczy z jednego dachu na drugi, musi uważać, aby nie zawadził ogonem o suwerenność Francuskiej Republiki. Przodek księcia był podobno zwykłym włoskim lichwiarzem. Gdy się wzbogacił, kupił za gotówkę zbankrutowane państwko, zdaje się łącznie z nazwiskiem właścicieli tej starożytnej imprezy.

Godzina druga nad ranem

Nie mogłam zasnąć i budziłam się co chwilę. Różne myśli przychodziły mi do głowy. Tak się złożyło, że dotychczas bardzo mało i powierzchownie myślałam na tematy żydowskie. Na „Rozwojową” chuliganerię w Poznaniu nie zwracałam uwagi, a w naszym bławatnym interesie od lat handlowaliśmy z żydowskimi firmami. Problemy żydowskie nie egzystowały dla nas i jako kupcy nigdy nie angażowaliśmy się w wypowiedanie jakichkolwiek poglądów na ten temat. Nasz ojciec nabył przedsiębiorstwo od Żyda, który przestraszył się Polski, lecz jeszcze w ciągu kilku następnych lat pozostawaliśmy z tą rodziną w ożywionej i życzliwej korespondencji.

Nigdy jednak żadne z nas nie zastanawiało się nad możliwościami nawiązania jakichś bliższych stosunków osobistych z żydowskimi znajomymi. A tutaj od razu w trakcie rozmów

w willi Elzy Dubow wyskoczyły zagadnienia i opowiadania o rodzinach Benderów i Dubowów. Rodzony dziadek obu siostr był Żydem rosyjskim. Żydostwo przybliżyło się w moich myślach i stanęło tuż koło mojej Florencji i naszej Patrycji. Bo przecież Patrycja, jako matka dzieci Marcina, tym samym stała się już naszą bliską krewną.

Żydowski dziadek. Być może działa w tym wypadku pewna tradycyjna odrębność zwyczajów, pomijając nawet kwestię odmienną rasy. Jest to bardzo silne i przemożne uczucie, ponieważ gdybym miała córkę, nigdy nie wydałabym jej za Żyda. Ciekawe, gdyż równocześnie bardzo miękko przyjmuję ewentualność żydowskiej żony czy dziewczyny dla mojego potencjalnie branego pod uwagę syna. Bardzo ciekawe zjawisko. Może dlatego, że na ogół żona wsiąka w rodzinę swego męża i nie powoduje w tym wypadku większego zamieszania. Ciekawe. Ochrzczony na prawosławie Bender żeni się z ruską szlachcianką, a w jakiś czas później jego prawosławny szwagier poślubia szwajcarską Żydówkę i urządza sobie kalwiński dom. Ponadto najmłodsza córka z tego małżeństwa zdobywa specjalne uznanie u swojej żydowskiej babki i okrada z dziedzictwa żydowskie potomstwo tej babki. Dalej, jeden z synów Płatona Dubowa, już kalwin z urodzenia, bierze sobie za żonę młodszą Żydówkę z Rosji, wypłutą przez emigrację na szwajcarskie bruki. Jeden węzeł powoduje cały szereg dalszych powikłań.

Muszę się jednak ocknąć i otrząsnąć z jakichś małomiasteczkowych uprzedzeń. Życia nie można przykładać do grajdołkowych miar. Czytałam, że obecnie w Ameryce Północnej jest w bardzo dobrym tonie przymieszka krwi indiańskiej. Natomiast, jak wiadomo, jedna kropla krwi murzyńskiej wyrzuca nie tylko z towarzystwa, lecz nawet z tramwaju, kina czy restauracji. W każdym razie podzielałam rasowy wstręt do krwi murzyńskiej. Nie pozwoliłabym sobie tego wytłumaczyć. Mój syn mógłby ożenić się na przykład z Chinką czy Japonką, ale nigdy z Murzynką!

Nazbierało się tyle zagadnień i wątpliwości. I jeszcze jedno. Przyszło mi na myśl, co by było, gdybym się na przykład zakochała w jakimś Żydzie? Piszę po prostu, tak jak się to mówi - w Żydzie, pojęciu na pograniczu rasy, narodowości i religii. Nie sądzę, żebym natrafiła na jakiś typ w rodzaju Henryka Heine, ale w każdym razie na jakiegoś interesującego młodzieńca z dobrymi manierami, posiadającego tylko ten jeden feler, to znaczy żydostwo. Pochodzenie żydowskie. Nie wiem - w każdym razie ustosunkowałabym się do tego zagadnienia mocno ociągająco. Równocześnie przy moim zimnym sex appeal'u zdołałabym chyba powstrzymać się od popełnienia jakiegoś wybuchowego szaleństwa, a już później mój egoizm zacząłby działać automatycznie i niezawodnie. Tak mi się przynajmniej wydaje. Ale wszystkie nasze zamierzenia i obliczenia są bardzo często zawodne, złudne i pisane palcem na wodzie.

Na razie godzina czwarta - nic nie wymyślę. Ubiorę się i wyjdę z hotelu. Będzie to trochę dziwne i nie bardzo w guście świata jeżdżącego na wysokim koniu - shocking, ale cóż mnie to obchodzi? Obejrzę sobie Cannes w bardzo wczesnej porze ranej. Wyjdę o piątej i wrócę dopiero na śniadanie. Na stole zostawię karteczkę dla Patrycji z informacją, że wyszłam na spacer. Aby nie przyszło jej na myśl, że mnie ktoś porwał czy oczarował. Do tego na razie nie mam głowy, bardzo dobrze, że taka passa przyszła na mnie właśnie w okresie włoskiej wycieczki.

Nicea - 5 października

Szaleństwo autokarowe. Trudno zapamiętać to wszystko, co się widzi i słyszy. Mam minutkę samotności. Wieczorem kasyno. Noc na miejscu, pod wieczór dalej w drogę do Mediolanu.

Jutro rano wyskok w stronę Mentony. Czasami bierze mnie złość, gdy mi się coś podoba, a tutaj Cookowska komenda: teraz jedziemy do... Czasami chciałoby się usiąść w cieniu na jakiejś ławeczce i spokojnie przyjrzeć się falowaniu morza, a tymczasem

przewodnik wycieczki gna dalej. Podobnie jak na szkolnej wycieczce w niedzielę. Czasu mało, a pragną pokazać wszystko. Pokazują w zawrotnym tempie. Można paść swoje oczy różnymi widokami, lecz do syta nie można się najeść.

Powrócę tutaj, lecz już indywidualnie. Wówczas będę mogła siadać na ławeczkach i gapić się.

Mediolan - 7 października

Wspólne pokoje z Patrycją. Trudno pisać. Kasyno - to głupstwo. Jaskinia najniższych instynktów ludzkich we frakach i paryskich grand toaletach. Zbiorowa hipnoza wokół stołów pokrytych zielonym sukniem. Magiczna kulka w rękach krupiera, działająca w podobny sposób jak kreska rysowana białą kredą na ciemnej podłodze przed dziobem kury.

Przywiązuje kurę fikcyjnym sznurkiem do podłogi.... podobnie dzieje się z graczami.

Błyszczące oczy i nerwowe ruchy rąk wyciągających się ku numerom.

Patrycja trochę pobawiła się sztonami, ale ze średnią namiętnością, raczej z zaciekawieniem, podobnie jak się to dzieje przy domowej loteryjce z drewnianymi numerami, wysypywanymi z woreczka.

Nie postawiłam nawet pięciu franków. Za to spacerowałam od stołu do stołu i przyglądałam się graczom. Podziwiałam majestatyczne, drwiące miny krupierów, mimo ich na pozór kamiennego spokoju i wytwornej elegancji. Ich oczy mówiły i starczyły za wszystko. Nie wiem, czy gracze spoglądają w oczy krupierom, ale gdyby to czynili, konstatowaliby u nich bezgraniczną pogardę dla kasyna, dla magicznej kulki, dla kręcącego się koła rulety oraz przede wszystkim dla siebie. Przy stołach sporo polskiej mowy.

Amerykanie zachowywali się w sposób brutalny, rozpychali się, natomiast nasi krajanie sprawiali wrażenie ludzi raczej wścibskich. Zresztą może się mylę? Może dlatego źle osądziłam naszych, ponieważ łatwo mi podpadali z powodu polskiej mowy? Zresztą nie warto o tym pisać.

Włochy... Inny kraj, inni ludzie. Jakiś rezerwat resztek kultury dawnych czasów, które ocalały chronione obecnie z chęci uczynienia z nich narodowego przemysłu. Pokazywanie tych zabytków etranżerom - to źródło dochodów. Zresztą same zabytki są być może nawet obojętne wobec mnóstwa ulic i miast o muzealnej wartości, wobec kolorytu nieba i całego otoczenia. Obrazki, oglądane dotychczas w książkach, nabierają obecnie właściwego wymiaru we włoskim powietrzu i pod włoskim niebem. W dodatku cudowna pogoda. Niezbyt gorąco i jak dotychczas wymarzone warunki do zwiedzania tego kraju.

Wzorem wszystkich wysyłam na cztery strony świata widoczki, nawet pod adresem obojętnych mi osób.

Mój amerykański chłopiec przyczepił się do jakiejś drobnej Francuzeczki. Uspokoił się i przestał rzucać na mnie pożądliwe spojrzenia. Coś w rodzaju tych, które jak rentgen przenikają suknie i prześlizgują się po nagości kobiecego ciała. Znam takie spojrzenia. Kiedyś rumieniłam się na takie taksowanie mojej kobiecości, dzisiaj przechodzę w sposób obojętny i chłodny.

W owych czasach, kiedy susiałam w majtki, gdy mnie jakiś chłopiec pocałował lub uszczypnął, jedna z moich koleżanek opowiedziała mi swoje pierwsze przeżycie miłosne:

- Chodził za mną dzień w dzień, gdzie ja, tam i on. Cóż miałam robić? Wszyscy patrzyli się na nas. Nic w nim nie widziałam, lecz, w końcu nie wytrzymałam. Trafił na moją słabą chwilę i wykorzystał. Nic do niego nie czułam, ale...

Koniec z pisaniami. Obecnie udam się na krańce tego miasta i obejrzę na własne oczy, jak mieszkają potomkowie tych ludzi, którzy zbudowali Mediolan. Cook pokazał mi jedynie siedziby tych, którzy tutaj panowali i rządili. Wsiądę sobie w tramwaj i wysiądę dopiero na ostatnim przystanku... Szkoda czasu na pisanie.

Sobota - 8 października

Wenecja. Malutkie pokoiki w jakimś romantycznym hoteliku. Nasze okna wychodzą na tył domu. Trochę podwórka, na obramowaniu kilka drzewek, a za nimi mętna woda jakiegoś bocznego kanaliku. Obecnie śniadanie, a następnie dokładne oglądanie zabytków historycznych. Tak przewiduje program.

Niedziela - 9 października

Programowy odpoczynek poobiedni. Korzystam z tego i położyłam się na łóżku. Leżę wygodnie w samej kombinacji i bloczek do stenografii oparłam na kolanach. W Wenecji - a piszę o Mediolanie. Gdy wysiadłam na końcowym przystanku, zobaczyłam od razu obskurną uliczkę i włoski naród u siebie w domu. Bo tamto miasto w śródmieściu - to tylko wieki włoskiego Odrodzenia wyczyszczone na glanc szczoteczką do zębów na użytek cudzoziemców i dla zarobku. Na każdym kroku - moc malarskich modeli. Najpiękniejsze są dzieci. Ale Włosi to naród mocno leniwy i mocno brudny. Wystrojeni są jedynie karabinierzy, faszyści Mussoliniego i księża w śródmieściu. Reszta tonie w brudzie i niedostatku mimo kolorowości ubiorów. Kobiety na przedmieściu zaniedbane i wygniecione. Mężczyźni starzy podobni są do starych kobiet, wszystko pomarszczone, przygarbione i smutne. U młodych jest co prawda ogień w spojrzeniu, ale od czasu do czasu pojawi się wyciągnięta ręka i bez słów wymowne milczenie: una lira, signora. Nasi opiekunowie od Cooka przestrzegali nas przed dawaniem jałmużny, podobno można mieć z tego tytułu awanturę, gdyby taką scenę zobaczył carabinieri lub fanatyk w czarnej koszuli. Ale życie jest silniejsze od przepisów i od chimer signore Mussoliniego, wmawiającego w obecnych Italiańców, że są potomkami starożytnych Rzymian w prostej linii. Z tą prostą linią to nie za bardzo, ponieważ na przestrzeni wieków sporo różnych wojaków, pielgrzymów i zaków zdeptało włoskie ziemie. Każdy z nich zostawiał coś na pamiątkę i w zamian również nabierał sobie różnych włoskich pamiątek. Wspaniały Król-Galant, czyli Franciszek Pierwszy, nie skądinąd, jak z Italii przywiózł chorobę, którą później niesłusznie określano jako francje, czyli chorobę gallicką. W roku Sacco di Roma zgwałcono w Rzymie wszystkie kobiety, których nie zabito. Okup ratował jedynie od śmierci. Obca krew odświeżała zatem systematycznie stare rzymskie latorośle. I gdzież tutaj może być mowa o czystości rasy? Arystokracja włoska co najmniej w połowie pomieszana jest z żydowskimi finansistami. Królowie herbów i królowie pieniądza dmuchają w tym kraju w jeden flet, jak się to mówi, i sypiają pod jedną kołdrą.

Naprzód rozdałam wszystkie drobne. Później podszedł do mnie jakiś typ w mundurze i przemawiał do mnie po włosku. Ja do niego na odmianę po angielsku, a w końcu po niemiecku. Wzięła mnie złość i cóż mogłam robić? Powiedziałam parę soczystych zdań. Coś z tego: jeżeli dzieciaki wyciągają ręce po drobne, to widocznie brak im pieniędzy na cukierki. Rozmowa się urwała i ponury typ odszedł, mrużąc pod nosem: Tedesco, tedesca, i coś, czego już nie rozumiałam. Dzieci podeszły ponownie, a ja dla własnej satysfakcji powiodłam je do bliskiego sklepiku z cukierkami. Fundowałam coś w rodzaju naszych lizaków na patyczkach. Była tego spora gromadka, dobre kilkanaście bachorów obojga płci. Wykrzykiwali: Buona signora tedesca. Nie prostowałam. Może należało sprostować na korzyść polskiej ojczyzny, ale byłam zajęta przyglądaniem się dzieciom. Od dwóch do pięciu lat. Dziewczęta w kawałeczkach jakiejś kolorowej koszuliny na sobie. I nic więcej. Chłopcy w nieprawdopodobnie podartych portkach, młodsze dzieci w majtkach. Wszystko niesamowicie brudne, okurzone, lecz z wesołymi oczkami, po prostu brać ołówek i rysować. Fotografowanie w tym wypadku byłoby obrazą.

Na innych ulicach podziwiałam proste urządzenia. Bardzo kolorowa bielizna pozawieszana na sznurach w poprzek uliczki. Sama uliczka wielce zachęcająca do kocich skoków z jednego dachu na drugi. W jakimś zaułku w poprzek ulicy można by po desce do prasowania dostać się z jednego okna do drugiego. Ułatwienia dla miejscowych Romeów i

Julii... Brudno, uliczka bez chodników, pośrodku niefrasobliwy strumyczek wody, smrodu i różnych odpadków. Wszystko równocześnie mocno kolorowe, na obrazku jakiegoś urbanisty materiał na złoty medal. Ale nie na Wystawie Rzymskiej - ze względu na narodową dumę czy zarozumiałe urojenia Włochów. Bądź co bądź wszystko jest bardzo romantyczne w kolorystyce. Cóż? Do cudzoziemców należą we Włoszech widoki, do samych zaś Włochów nasze pieniądze, dolary, funty, no i ostatecznie polskie złote.

Pomimo tego wszystkiego Mediolan jest śliczny. Dzisiaj niedziela, mają pokazać nam zabawę ludową. Załadują nas do autokarów i zawiozą na miejsce. Zobaczymy, jak się bawi ludek wenecki. Szkoda, że nie trafiłam na karnawał. To podobno orgia kolorów i szal rozbawionych uczestników pochodów i tańców. Panowanie masek i różnych nonsensów bujnej, dziko pulsującej krwi włoskiej. Udział w tym cudzoziemców: podobno czasami nie obywateli się bez nadprogramowych pchnięć nożem. Ale obecnie czuwają karabinierzy i czarne koszule.

Wieczorem, a raczej w nocy

Wieczór był dość chłodny, ale w przewidywaniu takiej aury ubrałam się w mój burberry. Śliczna to była noc. Płynęliśmy w korowodzie gondoli, a z poszczególnych łodzi niosły się odgłosy pieśni. Bardzo czyste mają głosy, takie mogą rodzić się jedynie tutaj, we włoskim powietrzu.

Poniedziałek - 10 października

Plaża na Lido. Wspaniałe hotele na wybrzeżu. Cudna plaża. Trochę wariatów, kąpiących się jeszcze w morzu. Nas z wycieczki ulokowano w leżakach i doręczono według wyboru, na koszt Cooka: lody, lemoniadę z cytryną oraz wino, bardzo hojnie zresztą.

Florencja środa - 12 października

Poimy nasze oczy historią malarstwa i rzeźby. Oglądając różne zabytki, przeżywamy jakby na nowo to wszystko, czego uczono nas w szkole. Florencja zawsze przeżywała buntownicze historie, póki nie została stłamszona przez nudę austriackiej biurokracji. Przed zajęciem Rzymu była stolicą królestwa włoskiego.

Piękne, dostojne miasto, z obliczem jednak znacznie weselszym od Mediolanu. Florencja - to jakby włoski Kraków ze wszystkimi zaletami i wadami. Ale jedno i drugie dodaje wdzięku, podobnie jak krakowscy Żydzi. Oni są również zabytkową spuścizną wieków, ze swoimi strojami, jedwabnymi chałatami w porze szabasu i lisią czapką po drodze do bóżnicy. A reszta, to znaczy chciwość i umiłowanie złota, to tylko znamię na czole wypalone im mściwą ręką historii. Dla Żydów zresztą złoto stanowi broń do przetrwania w okresach prześladowań.

Napisałam dzisiaj pocztówkę do Warszawy i wypełniłam ją jakimiś sztubackim zachwytem: Pozdrowienia z Florencji dla Florencji, obie jesteście do siebie podobne!

I znów noc w pociągu. Jutro Rzym. Korespondencja oczekująca na nas. Trzy dni pobytu w Rzymie, prawie tysiąc lat historii na każdy dzień. Nie za wiele dni, a zbyt wiele historii świata, przypadającej na każdy dzień zwiedzania miasta, które zawsze śniło o wieczności!

Sobota - 15 października

Mieszkam we wspólnym pokoju z Patrycją. Nie było mowy o pisaniu. Nocą przerzucamy się do Neapolu. W Rzymie z pogodą było nieszczególnie. Tyber jest ponurą rzeką - chyba nawet o każdej porze roku. Miasto przytłacza nie tyle murami i zabytkami, co swoją historią. Według mnie nie była to zbyt wesoła historia. Czasy wielkości i upadku Rzymu cesarów i ludu rzymskiego, później płynęły kolejne fale bijące w miasto jakby taranem zniszczenia. Teraz dopiero rozumiem dumę wiecznego miasta. Ostało się - mimo

zalewu różnych barbarzyńców, i co jeszcze dziwniejsze czy cenne, że miasto pochłonęło tych barbarzyńców. Zniosło wszystko. Wprzęgło ich w rydwan swej wielkości i wieczności.

Cook zaprowadził mnie również na marmurowe posadzki Watykanu, z których historia nowszych lat zmyła już ślady krwi, lecz ludzka próżność wyłocila ściany na kształt papuziej klatki. Przyklękłam przed błogosławieństwem Ojca Świętego, chyląc przy tym głowę nie tyle przed starym człowiekiem, ile przed potęgą idei, która mimo wielu nieporozumień przetrwała prawie dziewiętnaście wieków. Dziwne to były uczucia, może kiedyś w spokoju zdobędę się na odwagę opisanie tego, co w dniu wczorajszym wsączyło się do mego mózgu i wzruszyło moje serce człowiecze. A może w istocie człowiek jest pomazany przez przeznaczenie do roli prymatu na tym świecie? Cóż na to Darwin i komuniści? Nie wiem. Darwin jest dla mnie zbyt nudny, a komuniści niezrozumiali. Ale nie czas na takie rozmyślanie. Za dwie godziny kolacja, a w godzinę później miejsce w wagonie sypialnym.

Jutro Neapol. Podobno panuje tam pogoda i słońce. Tak piszą we włoskich gazetach, chociaż oni we wszystkim przesadzają, gdy tylko piszą o swojej ojczyźnie.

Mussoliniego nie widziałam, ponieważ Cook nie zorganizował takiego punktu w programie zwiedzania miasta. Natomiast widziałam paradę wojskową. Orkiestry, marsze na miarę niemiecką i tanie uniesienia tłumów. Zatory na ulicach i wszyscy wyjący: Italia... Italia! A równocześnie, o kilkaset metrów dalej płynęło spokojne życie powszedniej uliczki włoskiej. Bo i takie zwiedzałam, na własną rękę. To samo, co w Mediolanie. Bieda i brud. Piękne dzieci, błyszczące oczy obdartusów, ręce wyciągające się po liry, spojrzenia w bok, czy ktoś nie widzi i nie podgląda narodowej ceremonii i zwyczaju wyciągania ręki do obcych. Wszędzie w bocznych uliczkach katarynki i papugi wyciągające listy szczęścia, nazwy szczęśliwych dni i numery loteryjne. Dalszy ciąg jakiegoś zatartego już dzisiaj obrazu życia włoskiego, uwiecznionego w powieściach przez Matyldę Serao, jeżeli się nie mylę, również laureatkę Nobla.

Szukałam w uliczkach starego Rzymu śladów jakiegoś „Il fuoco” i nie znalazłam. D'Annunzio jest płomienny, ale ów płomień goreje tylko na kartach powieści i poezji, w życiu natomiast włoskim przysypany jest obecnie popiołem nudy i ubrany w czarne koszule, maszerujące na rozkaz i wykrzykujące na rozkaz. Na razie znane są jedynie zasady tego marszu, natomiast w dalszym ciągu panuje próżnia, jeśli idzie o jego cel. Bardziej przemawia do mojej wyobraźni Francja. Tam nikt nie nadużywa problemów i nikt nie każe śpiewać czy ryczeć: il duce, duce i duce w nieskończoność. Francuzom wystarcza podobno rewia wojskowa w dniu czternastego lipca i jedna stara piosenka - Marsylianka, grana i śpiewana przy każdej bez wyjątku okoliczności. Jak twierdzą Francuzi, wszystko mieści się w tej pieśni, ich przeszłość i przyszłość.

W Wenecji podczas zwiedzania jednej z galerii wpadł mi w oczy obraz postaci kobiecej - malowany przez Rosalbę Carrierę gdzieś w pierwszej połowie XVIII wieku. Zapisałam sobie w notatniku nazwisko weneckiej malarki, jak nas wówczas informował przewodnik, a w Rzymie podczas wolnej godziny natknęłam się w jakiejś uliczce na sklepik ze sztychami i starymi książkami. Wyobraziłam sobie, że być może znajdę tam jakiś album z reprodukcjami obrazów tej malarki. Tymczasem gdy postawiłam pytanie, stary antykwariusz pogrzebał w książkach i po chwili położył przede mną na ladzie niemieckie tłumaczenie dzieła: „Das Italien des Rokoko”, autor: Casimir von Chłędowski. Znalazłam w książce reprodukcję portretu Rosalby Carrieri: Bildnis der Gräfin Orzelska, naturalnej córki króla Augusta II Saskiego. Historia tej damy była mi znana już przedtem, jednakże nigdy nie wpadła mi do rąk jej podobizna. W każdym razie była to dama z charakterem, początkowo zapomniana przez ojca, a dopiero później odkryta przez swojego brata naturalnego z innej matki, hrabiego Rutowskiego. W końcu stała się najbardziej ulubionym dzieckiem Augusta Mocnego.

Otóż wydaje mi się, że w układzie twarzy, częściowo w rysach oraz w układzie biustu zachodzi duże podobieństwo pomiędzy mną a portretem pięknej pani Orzelskiej. Naturalnie

zdaję sobie sprawę z jej urody, jednakże w tym wypadku nie chodzi o piękność hrabiny Orzelskiej, lecz o wspólność typu kobiecego. A zatem coś pośredniego pomiędzy ową rzymską Matidią a portretem Orzelskiej. Nawet cośkolwiek więcej z typu Orzelskiej niż z Matidii. Usta nieco odmienne w wyrazie. Kąciki ust u Orzelskiej podniesione są z lekka w górę, a oczy wypełnione poważną zadumą. Natomiast u Matidii dumne i pewne siebie usta z opuszczonymi w dół kącikami i równie dumne, nieprzejednane spojrzenie, podkreślone mocną w swojej prostocie oprawą oczu.

Lustro nie daje pełni obrazu. Postać odbita w lustrze jest martwa. Dopiero portret czy rzeźba stwarzają pełniejszą iluzję podobieństwa żyjącego człowieka.

Kupiłam niemieckie tłumaczenie dzieła Chłędowskiego o włoskim Rokoku. Treść dzieła jest zachęcająca, przyda się.

A zatem od jutra Neapol. Jak ten czas leci! Za siedem dni koniec wycieczki i Cook zostawi nas na rzymskim bruku, jedynie z zapłaconym biletem kolejowym na powrotną podróż do Paryża. Będzie to dokładnie po upływie 22 dni podróżowania pod jego opieką. Widocznie Cook nabywa po upływie trzech tygodni przeświadczenia, że jego klienci potrafią już sami wrócić, w tym wypadku do jakiegoś dla wszystkich przypadkowego Paryża.

Mój amerykański chłopiec puścił już kantem małą Francuzeczkę. Uwiodła go jakaś samotnie podróżująca amerykańska Miss - w wieku trudnym do odgadnięcia. Może kilka lat powyżej lub poniżej pięćdziesiątki, zależnie od pory dnia: przed wejściem do salonu piękności i po wyjściu z tego przybytku. W każdym razie musi to być mocno forsiasta dama. Przynajmniej w takim stosunku, jak jej obfity biust do biustów wszystkich pozostałych dam z naszego przygodnego towarzystwa. Powodzenia. Zobaczymy, jak się to rozwinie dalej. Jak do tej chwili, począwszy od Florencji, młody mistrz od rugby trzyma się mocno swej damy. Mogłaby być śmiało jego matką i jeszcze coś by zostało na jej niekorzyść.

Wtorek - 18 października

Neapol. Już trzeci dzień pobytu. Moc wrażeń. Dopiero w tym mieście przeżywam prawdziwe Włochy. Morze w tych stronach jest cudowne. Tam, gdzie kończy się mocny błękit wody, zaczyna się jeszcze piękniejszy błękit, błękit nieba. Właściwie to nie są błękity, lecz lazury. Już widziałam prawie wszystko w Neapolu, również Sorrento i Pompeję. Jutro płyniemy na Capri. Ostatni dzień przeznaczony na wałęsanie się po Neapolu pod rękę z własnym dowcipem i własnym szczęściem.

Zbliża się koniec naszej wycieczki. Tak bardzo narzekałam na Cooka, a obecnie żal mi rozstawać się z wycieczką.

Środa - 19 października

Vaporetto na Capri, łodzie, lazuruwa grota, osiołki, a nawet Anacapri po setkach schodów. Czytałam niemieckie tłumaczenie książki szwedzkiego lekarza Axela Munthe: „Das Buch von San Michele”. Wycieczka Cooka wdarła się nawet do schronienia wielkiego lekarza i mistyfikatora niesamowitych opowiadań.

Bardzo wiele wrażeń, ale czasu potrzeba, by to sobie ułożyć w głowie i w pamięci.

Neapol - ostatni dzień pobytu

Wagaruję. Oderwałam się od towarzystwa. Dostałam szału i objeżdżam wszystkie dziury. Obecnie południe, ani myślę wracać do papy Cooka. Usiadłam w małej restauracyjce i oczekuję na to, co zamówiłam. Kelner umie po niemiecku, był podczas wojny niemieckim jeńcem i wywieźli go aż pod Hamburg. Gadatliwy, prawie ucieszył się, że może przed kimś popisać się swoją kulawą niemczyzną. Na pewno dopisze mi to do rachunku.

Widziałam już Strada di Roma, ową słynną z dawnej nazwy ulicę Toledo. Przeszłam ją w obu kierunkach na całej długości. Dopiero Neapol daje prawdziwy obraz barwnej

ruchliwości włoskiego miasta. Ale już niosą jedzenie. Pomidorowa zupa i jakaś ryba również w sosie, pewnie pomidorowym. Na deser winogrona i krem cytrynowy. Nie umiałam wymyślić nic innego.

Smakowało. Już po obiedzie - w dodatku niedrogo, po niemieckiej znajomości. Nie otruli, jeszcze żyję. Można wytrzymać. A obecnie popijam gorącą jak ogień czarną kawę w małej filiżance. Ależ mocna, podobno prawdziwa abisyńska. Koniec wypoczynku, dalej w drogę. Pojadę jeszcze raz na Posilippo, ale tym razem już sama, bez Cookowej asysty. Rzucę ostatecznie spojrzenie na miasto słońca, czystego powietrza i nieskażonego błękitu nieba.

Palermo - 21 października

Palermo. Krótka. Na Posilippo spotkałam... państwa Orzechowskich. Powieściowe spotkanie. W dodatku oni pierwsi mnie zauważyli i od razu poznali mimo fantazyjnej florentynki na głowie. Podeszli i bardzo serdecznie mnie powitali. Bardzo mili starsi państwo. Dystyngowani. Gabrysia ma w oczach dużo z matki. Zatrzymują się w Neapolu do końca października, nie śmiałam pytać, co mają zamiar robić dalej. Raczej opowiadałam o swojej wycieczce i o Paryżu. Dużo o domu przy ulicy du Pont Vert. Zdaje się, że orientują się coś niecoś w naszych rodzinnych historiach, ale wszystko w najbardziej delikatnych granicach. Byli ucieszeni ze spotkania i zaraz w pierwszych słowach chwalili moją decyzję odbycia wycieczki do Włoch. Mówili, że każdy powinien swoją samodzielną młodość rozpoczynać właśnie od takiej wycieczki.

Byli tacy grzeczni, że odwieźli mnie do hotelu i odwiedzili w pokoju Patrycję. To było bardzo miło z ich strony, nawet jeśli kierowało nimi uczucie ciekawości. Co rasa, to rasa. Mówili w zachwytach o Florencji i trzeba przyznać, że Patrycja słuchała tych słów z przyjemnością.

Nocą popłynęliśmy statkiem do Palermo. Mało kto spał tej nocy. Chyba jedna Patrycja, ponieważ unika również nocnego chłodu, szkodzi jej podobnie jak słońce i upał. To bardzo ładnie, że towarzyszy mi w tej wycieczce, która, jak by nie było, jest bardzo męcząca. Kto wie, kogo byłabym poznała w tej podróży i kto by się do mnie był przyczepił, gdybym pojechała sama. A tak nie śmieli, my obie utrzymywałyśmy się w bardzo chłodnej splendid isolation. Tak było najlepiej!

Próbowałam pokręcić się trochę po parkiecie salonu okrętowego. Po kilku tańcach zrezygnowałam. Widocznie mężczyźni wyobrazili sobie, że ostatecznie nocy wycieczki przeznaczone są na zawieranie bliższych znajomości w łóżku. Wszyscy czterej partnerzy tańca szeptali mi do ucha te same słowa. Nie jestem głupia i niedoświadczona, by nie zrozumieć, że wszystkim chodziło o to samo, o kobietę. Rodzaj i osoba kobiety zasadniczo obojętne. Reagowałam martwą twarzą, jak gdybym była na wszystko inne głucha, prócz melodii tańca.

Dzisiejszą noc spędzamy w hotelu. Jutro wczesnym rankiem udajemy się na statek i na odmianę przepłyniemy morze do Neapolu w ciągu dnia. Będzie to podróż morska jakby wśród błękitów morza i nieba, ponieważ pogoda jest murowana, bez najmniejszej chmurki. W dodatku nie dokuczają upały. Podróż udała się znakomicie.

Do Neapolu dobijemy późnym wieczorem. Kolacja na lądzie, a później ostatni wspólny sleeping do Rzymu. Cook dostawi nas z bagażami do swojej rzymskiej agentury i tam nastąpi oddanie papierów i wręczenie książeczek z biletami kolejowymi do Paryża. Bilety z możliwością zatrzymywania się po drodze. Bardzo wygodnie. Jutro w Neapolu kolacja pożegnalna. Śniadanie w Rzymie już tylko w wagonie sypialnym.

Szkoda, że już koniec, było dobrze.

Kilkanaście osób z naszego towarzystwa kończy swą podróż w Neapolu i udaje się z inną wycieczką Cooka za kilka dni do Egiptu. Dziewięciu Amerykanów, w tym trzy panie. Pięciu Anglików natomiast po miesięcznym pobycie w Egipcie jedzie dalej do Indii,

naturalnie w dalszym ciągu z Cookiem. Mężczyźni. Trzymali się cały czas razem. Podobno wiozą oprócz walizek jakieś duże bagaże. Jadą do Indii na polowanie. Wszystko starsze roczniki męskie, wydaje mi się, że to byli wojskowi.

Niedziela - w nocy

Czuję wyrzuty sumienia, ponieważ poszłam ze Szwajcarami na pożegnalny bankiet. Patrycja czuła się niedobrze już od samego rana i wynajęła sobie pokój w hotelu, w którym Cook nas podejmował. Pragnęła wypocząć przed nocną podróżą do Rzymu.

Przyjęcie odbyło się z pompą, ale właściwie mogłam sobie je darować. Cóż bowiem znaczy jakieś najbardziej wystawne jedzenie wobec tego wszystkiego, co obejrzelśmy po drodze?

Patrycja leży na dolnym łóżku i śpi. Oddycha ciężko. Piszę ukradkiem przy małym światełku w ścianie nad moją głową. Jutro zostajemy na razie w Rzymie, Patrycja pójdzie poradzić się lekarzy. Nie mogę zasnąć, za dużo wrażeń oraz dodatkowa emocja, że to już koniec wycieczki. Ale trzeba zgasić światło, aby się Patrycja nie obudziła. Może źle się nią opiekowałam, ale skąd mogłam wiedzieć, nikt mnie nie uprzedził. Zobaczymy jutro w Rzymie.

Rzym - poniedziałek - wieczorem

Dwóch lekarzy zaleciło Patrycji spokojne położenie się na kilka dni do łóżka, a następnie werandowanie gdzieś w łagodnym klimacie. Nic innego nie umieli powiedzieć, zalecali Mentonę, wydawała im się bardziej zasłonięta od wiatru niż Cannes. Ale wszystko to wiedziała Patrycja sama bez lekarzy, dobrze zna swoją chorobę i jej wymagania.

Wyjeżdżamy w czwartek wieczorem do Mentony. Zostaję razem z Patrycją.

Rzym - środa - wieczorem

Piszę ukradkiem. Obok w łazience Patrycja - za zgodą lekarza - bierze lekką kąpiel. Bardzo miła. Serdeczna. Ludzi poznaje się w takich dniach. Polubiłam ją i przyzwyczajam się do niej.

Czwartek - 27 października

Jeszcze Rzym. Jutro późnym wieczorem będziemy na miejscu. Już mamy zamówiony pokój w mentońskim hotelu. Patrycji jest nieco lepiej, gdy wypoczęła. Cook był dla niej zbyt forsowny. Nie powinna była jechać, taka wycieczka strawna jest tylko dla zdrowych osób. Zbyt szybkie i namiętne tempo zwiedzania, aby zobaczyć możliwie jak najwięcej.

Niedziela - 30 października

Mentona. Mieszkamy w spokojnym pensjonacie z widokiem na morze, okna na południe, wspólna weranda osłonięta całkowicie od wiatrów. Duża weranda wyłącznie do naszego użytku. Luksusowe dwa pokoiki, połączone z sobą drzwiami, maleńki przedpokój, z którego oprócz wyjścia na korytarz są drzwi do wspólnej łazienki. Dość kosztowny apartamencik -jakiś miesiąc nie zrukuje jednak moich finansów. Płacimy za całość razem 220 franków dziennie. Cisza i spokój. Jadamy u siebie. Do mojego pokoju wstawiono dodatkowy stolik.

Środa - 2 listopada

Patrycją oddycha znacznie lepiej i nie zanosi się kaszlem w nocy. Już nawiązałyśmy kontakt z Paryżem. Na adres Patrycji przekaz na dziesięć tysięcy franków, a mój bank nadesłał mi via ulica du Pont Vert zawiadomienie o przekazie dalszych dolarów z Gdańska. Na razie czeka mnie bardzo spokojne życie w Mentonie. Taki miesiąc wyjdzie również i mnie

na dobre. Właściwie należy mi się odpoczynek. Przecież zaledwie cztery miesiące temu znącał się nade mną poznański profesor Taylor. Jakże to wszystko było dawno!

Sobota - 5 listopada

Z Paryża nadszedł list. W przyszłą sobotę zjawi się u nas Mrs. Maltz. W dopisku bardzo dziękuje mi za opiekę nad Patrycją i za to, że dla niej utkwiałam w Mentonie.

Czwartek - 10 listopada

Zagapiłam się i dopiero dzisiaj w południe wysłałam do Warszawy imieninowy telegram do Marcina. Na poczcie zapewniali mnie, że dojdzie na czas. Na wszelki wypadek trochę przepłaciłam i wysłałam jako expressowy. Naturalnie w języku francuskim, lepiej gdy przekręcą go w Warszawie, niżby mieli polski telegram przekręcić gdzieś po drodze. Wyszłyby z tego dziwolągi.

Dzisiaj odebrałam z banku przekaz na pięć tysięcy franków. W liście do banku kazałam tymi frankami obciążyć moje dolarowe konto. Wykonali akuratnie. Rozliczyłam się z Patrycją, protestowała i musiałam mocno perswadować. Tak lepiej, przecież mam własne pieniądze i nie wypada nadużywać gościny, zwłaszcza w tym wypadku. Wystarczy już pokój w Paryżu. Co innego gościna we własnym domu, a co innego obce pensjonaty.

Dzisiaj nadszedł pierwszy list z Polski, tym razem całkiem niespodziewanie od starego doktora Michalskiego. W liście doktora kilka zdań dopisanych ręką Leokadii. Pisze, że korzysta tym razem z gościny u doktora, mimo że posiada własną kamienicę w Poznaniu. W domu wszystko dobrze, przygotowują się na przyjście na świat dziecka Gabrysi. Jak ten czas szybko leci! Zdaje mi się, że tak niedawno byłam na weselu Maksia.

Piątek - 11 listopada

Dzisiaj w południe zjawiała się u nas Elza. Przyjechała własnym samochodem. Zatrzyma się do przyjazdu pani Maltz, która jest jej cioteczną siostrą ze strony matki, Wieroczki. Widocznie wchodzi w tym wypadku w grę jakieś rodzinne sprawy.

Kilka nowych listów z Polski - via Paryż. Nic specjalnie nowego. List z Gdańska od stryjka Józefa. Zapytuje o wrażenia z Włoch i pisze: „Zawsze rachowałem na twego brata. A może ty, Anno, rzucisz warszawskie projekty Marcina i osiedlisz się w Gdańsku? To byłoby znacznie lepsze od jakiejś tam ministerialnej kariery, która przecież nic ci nie da i której tak bardzo nie potrzebujesz chyba do szczęścia. Męża również na tej drodze nie znajdziesz, a zresztą jaki to byłby mąż w tej Warszawie? Tutaj nie chodzi nawet o męża, lecz o rodzaj zajęcia i jego ciężar gatunkowy. Drzewo - to problem światowego handlu, bardzo dochodowy interes. Z Grossvaterem Jungiem mamy trochę kłopotów, całe szczęście, że za trzy miesiące rozłączymy się na dobre i każdy z nas pójdzie swoją własną drogą. U nas wszyscy są zdrowi”.

Treść listu dostatecznie jasna. Stryjek Józef liczył na naszego Krystynka i zawiódł się. Nie bolało go to jeszcze tak długo, dopóki jego własny Heinrich nie skreślił z drogi rodzinnej i nie poświęcił się medycynie. W dodatku widać, że oni w Gdańsku liczyli na rodzinne małżeństwo z młodszą Elfydą. No cóż, kiedy Krystynek głupi. On mnie nazywał panną z mokrą głową, a sam polecał na jakiś koci czy tygrysi sex appeal Erny Von.

Patrycja bardzo miła. Czuje się lepiej - tak mówi - chociaż nie podoba mi się u niej stan nerwowego podniecenia i lekkie wypieki na twarzy w godzinach wieczornych. Może tylko przeforsowała się na wycieczce z Cookiem? Ale gdyby nie mój pomysł wycieczkowy, pojechałaby i tak na swoją rękę, jak co roku.

Dzisiaj po śniadaniu czytałyśmy listy przesłane z Paryża, leżąc na naszym balkonie. Patrycja w pewnym miejscu szepnęła, jakby na swój własny użytek:

- Ach, te stare miłości są najgorsze.

Podniosłam głowę i spojrzałam pytająco na przyjaciółkę. Ta odwzajemniła mi się również spojrzeniem i wyjaśniła w kilku słowach:

- Czytam właśnie list od Florencji.

I nic więcej nie dodała.

Kogo miała na myśli? Siebie, Florencję czy też Marcina? Było mi jakoś głupio, zagadałam o naszych kłopotach z Krystynkiem. Opowiadałam dokładnie o wszystkim, o szczegółach gdańskich, które jeszcze nie były znane Patrycji. Potem wszystko o Berlinie i o Ernie. I o tym głupim odszukaniu „von”.

Patrycja słuchała uważnie i z zaciekawieniem. Obejrzała nawet obie fotografie: Erny i naszej Elfrydy. Patrzyła bardzo długo na Ernę, a w końcu zdecydowała:

- To nie jest materiał na żonę.

Sobota - 12 listopada

List od Elfrydy. Data wysłania z Gdańska dwa dni późniejsza od stryjkowego listu. Grossvater Jung zmarł tragicznie, samochód rozbił się o drzewo i doszczętnie spłonął. Dziadek nie żyje, a szofer ciężko poparzony leży w szpitalu. Elfryda pisze dość zimno o śmierci swego dziadka: to rozwiąże bardzo wiele problemów. Nie wiem, co przez to rozumie. Chyba że skomplikowane interesy starej wspólnej firmy rozplączą się na drodze zwykłych spadków. W prostej linii dziedziczy właściwie młodsza Elfryda, ponieważ moją ciotkę Grossvater Jung jakoby wydziedziczył. Zresztą dowiem się, ponieważ Elfryda zapowiada dłuższy list, gdy się u nich wszystko uspokoi w związku ze śmiercią dziadka. A może stary narobił jakichś głupstw przed śmiercią? Takie typy potrafią być mściwe i nie darują. Dobrze, że stryjek i Fryderyk Garden mieli swój własny majątek prócz udziału we wspólnej firmie ze starym Jungiem!

Wtorek - 15 listopada.

Dzisiaj przed południem byliśmy wszystkie cztery w Nicei. Patrycja odwiedziła jakiegoś sławnego lekarza, ma otrzymać ostateczną diagnozę za trzy dni. Coś zanoszą się na to, że położy się w sanatorium na kilka miesięcy. Obie panie zostają z nami do soboty w Mentonie. Trochę sobie pojeździłam po Nizy, tym razem spokojnie, bez urzędowego opiekuna z ramienia Cooka. Moim mentorem czy też cicerone był szofer Elzy Dubow. Rosjanin, człowiek starszy, ponad pięćdziesiątka, podobno dawny carski oficer. Chociaż oni wszyscy opowiadają o swoich oficerstwach i majątkach. Widocznie w Rosji nie było innych ludzi albo właśnie akurat tylko bogaci uciekli za granicę po wybuchu rewolucji, a w Rosji zostały same biedaki. W każdym razie opowiadania były wesołe, a co najważniejsze, oficerski szofer mówił o Sergiuszu Zbysławskim: nasz generał. Bywa w Lozannie i dobrze zna starego dziwaka. Elza jest widocznie mocno zwariowana, inaczej mówiąc: mocno ekscentryczna. Do Paryża jeździ sleepingiem, a samochód wysyła przyspieszonym pociągiem towarowym dwa dni przedtem. W ten sposób zjawia się w Paryżu z własnym samochodem i szoferem. Musi mieć grubsze pieniądze, bo to niemało kosztują takie ekstrawagancje z przesyłaniem samochodu koleją. Ale Rosjanin mówił, że to w rezultacie taniej kosztuje, bo przestrzeń jest zbyt wielka i szkoda porządnego wozu. Elza często zmienia samochody. Obecny wóz nabyła dopiero przed pół rokiem - niemiecki mercedes w specjalnym wykonaniu. Jakiś ultra model, sześciocyndrowy. Nie znam się na tym i chętnie wierzę na słowo.

Właściwie myślami jestem w Gdańsku. Takiego Grossvatera to nawet trudno żałować, przykro jedynie, że spotkała go taka właśnie śmierć. To był przykry człowiek i podczas spotkania z nim czułam się dziwnie nieswojo. Jego spojrzenie przenikało do głębi.

Szkoda mi Patrycji. Zmartwiła się, że lekarz nie wydał od razu diagnozy i odwłókł udzielenie jej na trzy dni. Jakoś bezmyślnie wyrzekłam słowa jakby pocieszenia, że stary profesor kazał zgłosić się za trzy dni, aby ponownie zainkasować honorarium za drugą

wizytę. Patrycja spojrzała na mnie z wdzięcznością, lecz ciotka Maltz niepotrzebnie wywaliła z amerykańską bezpośredniością:

- Chyba nie, ponieważ honorarium objęło całość leczenia.

Elza powiedziała mi na osobności, że z Patrycja powtarza się ta sama historia prawie każdego roku. Taki to już jest charakter jej piersiowych chorób. Gruźlicy żyją raczej nadziejami niż lekarstwami.

Czwartek - 17 listopada

List od Krystynka. Bity cztery strony i o wszystkim, tylko nie o tym, co by mnie interesowało. Już się urządził, mieszka w dwóch pokojach z łazienką, kupił sobie samochód, pisze nawet, że dał skopiować dla mnie Chodowieckiego, dokładnie w wielkości oryginału. Pisze, że obraz będę mogła zabrać z sobą w drodze powrotnej z Paryża. Ma to być gwiazdka dla mnie. O małżeństwie ani słowa, tylko jakieś zdawkowe: dużo ucałowań od Erny i pozdrowienie od Maman. List naturalnie w języku niemieckim i to „Maman” brzmi dość dziwnie. Przecież jeszcze się nie ożenił. Ciotka - to przecież ani matka, ani teściowa. Ale Krystynek bardzo często miewał takie właśnie szusy.

Jutro jedziemy na drugą wizytę lekarską do Nizy.

Sobota - 19 listopada

Wyrok starego profesora już jest nam znany: trzy miesiące w specjalnym sanatorium w Davos, a później powrót do Mentony. Właściwie jeżeli chodzi o dokładność, to do Nizy, po raz trzeci do profesora, który orzeknie: Mentona czy powrót do sanatorium.

Dzisiaj rano wysłano do Paryża długi list expressowy z wymienieniem, co mają przysłać z domu do Mentony na szwajcarską kurację. Patrycję odwiezie do Davos Elza. Zostanie z nią przez pierwszy tydzień, a następnie przybędzie z relacją do Paryża. Ciotka Maltz wraca dzisiaj wieczorem do domu. Ja dotrzymam towarzystwa Patrycji aż do dnia jej wyjazdu z Mentony.

Zostałyśmy same z Patrycja, która już się uspokoiła, lecz narzeka:

- Gdybyś ty, Anno, wiedziała, jak smutnie wyglądają takie, trzy miesiące w sanatorium. To już czwarty raz w moim życiu! Co jest warte takie życie? Pół roku mnie leczą, przez następne pół roku wyczekuję tylko na następną kurację.

- A jak z dziećmi? - wyrwało mi się nieopatrznie, wbrew moim najświętszym intencjom.

Popatrzyła na mnie zamglonym wzrokiem i słodko uśmiechając się, powiedziała:

- Widzisz, Anno, całe szczęście, że dzieci mają zdrowie po Marcinie. Choroba zatrzymała się na mnie. Florencja wyleczyła się jeszcze w młodości, mnie natomiast jakoś to nieopatrznie chwyciło i trzyma, na początku nie miałam do tego cierpliwości i dlatego obecnie żyję jakby na raty: pół w szpitalu, pół w domu.

W każdym razie, Anno, bardzo ci dziękuję za miesiąc we Włoszech i drugi miesiąc w Mentonie. Sama w tym roku nie byłabym zdobyła się na Cooka i byłoby mi nijako samej w Mentonie. Ta miejscowość obrzydła mi, znam już tutaj niemal każdy dom i każdy kamień czy ławeczkę.

Milczałyśmy obie, po dobrej chwili Patrycja mówiła dalej:

- W życiu różnie bywa. Może dzieci byłyby mnie rozłączyły z Włodzimierzem Krymułtem, może bylibyśmy wówczas złączyli nasze wspólne losy z Marcinem. Stało się jednak inaczej.

Kilka lat oszukiwaliśmy się wszyscy wzajemnie: Marcin, Florencja i ja. Gdzieś na początku Florencja weszła w życie Marcina gwałtownie. Później oboje przestraszyli się swego szaleństwa. Przyszła na świat moja dziewczynka. Florencja jak by chciała uciec od swojej miłości, a Marcin wrócił skruszony do mnie. Ale w naszej miłości pękły właśnie te najbardziej serdeczne struny, została jedynie sama świadomość istnienia dzieci i

wspomnienia. Ciężkie wspomnienia. Inna kobieta byłaby walczyła o swoje prawa, ale cóż? Przecież to była Florencja, siostra, która mimo to w moim sercu i myślach zajmuje niemal jednakowe miejsce z Marcinem. W tym czasie uległam pierwszym poważnym nawrotom mojej choroby. Marcin dwukrotnie rzucał mi się do kolan i pragnął, w co wierzę, wymazać z mojej pamięci historię z moją rodzoną siostrą. Jakoś się jednak nie udało. Nie udawało się w dodatku nam obojgu, mimo że usiłowaliśmy związywać ciała z duszami poprzez łączenie ciał.

Mnie pozostały dzieci. Przypuśćmy zatem, że byłam pierwszą żoną Marcina, który się ze mną rozwiódł, powiedzmy w dodatku, w ludzki, przyjazny sposób. Życie jest krótkie, mądrzy ludzie nie spiętrzają przed sobą problemów. Mogłabym powiedzieć, że jeżeli już mam oddać mojego Marcina innej kobiecie, to dlaczegoż nie miałabym się cieszyć, że to będzie moja siostra Florencja.

Na marginesie sprawa Włodzimierza. Mój mąż - to historia poprawnej przyzwoitości. Ma swój własny majątek i my również posiadamy własne pieniądze. Ja i dzieci. Rozwód nie jest nam potrzebny. Właściwie nasze drogi życiowe rozeszły się całkowicie już po przyjściu na świat mojego pierwszego dziecka. Przypuszczam, że wiesz o tym; urządził się na swój sposób, który mu dogadza.

Tak moja Anno. Wiem, że Marcin i Florencja ciebie jedną najwięcej lubią z całej rodziny. Ja również. Oni cenią cię za odwagę wyrwania się z bydgoskiego biura. Ja mam dla ciebie serdeczne uczucie, ponieważ swoje pierwsze kroki skierowałaś w Paryżu do moich dzieci. Uczucie matki, Anno... przed tym uczuciem musi wszystko inne ustąpić. Matka - to inne zagadnienie niż ojciec. Matka, Anno...

Mam również jeszcze babkę, tam w Lozannie, ale stara dama nie umiała wyrozumieć różnych rzeczy i - o czym nie wiesz zapewne - potępiła mnie. Stała się dla mnie obcą kobietą, mimo że rozmawia ze mną, interesuje się moim losem, moją chorobą.

Babka wyszła za mąż z miłości. Nie dlatego, że narzeczony był zamożnym człowiekiem, bankierem, co wówczas w Petersburgu dużo znaczyło, lecz istotnie z miłości. Musiała łamać przesady, musiała nawet sama w sobie nagiąć się do przyszłej żydowskiej rodziny swego narzeczonego. To nie były wówczas łatwe problemy, moja Anno!

Opisuję to wszystko na świeżo. Czuję na moich ustach i policzkach łzy Patrycji. Dźwięczą mi jeszcze w uszach jej miękkie słowa:

- Oby byli szczęśliwi.

Nie chcę już dzisiaj nic pisać. Trudno bowiem i niedobrze nawet mieszać łzy ze słowami pospolitymi.

Wtorek - 22 listopada

Z paryskimi bagażami zjawił się osobiście pan Krymułt. Było bardzo fair. Oboje wsadziliśmy Patrycję i Elżę do sleepingu, pan Krymułt wyjechał w godzinę później do Marsylii, a mnie szofer Elzy odwiózł z powrotem z Nizy do Mentony. Nie zabrałam się razem do Paryża, w Mentonie pozostanę do końca listopada, równe sześć dni.

Mentona - 25 listopada

Rano powędrowałam do kwieciarni i zadysponowałam kwiaty dla Florencji. Trzysta franków - przyrzekli, że zostaną doręczone w Warszawie dokładnie w niedzielę rano o godzinie siódmej.

Po powrocie do pensjonatu zastałam listonosza, który mnie oczekiwał z listem poleconym z Gdańska.

List bardzo obszerny. Naprzód Elfryda opisuje okoliczności samej śmierci. Bardzo tragiczna śmierć. Jak ustalono, Grossvater naprzód długo rozmawiał ze swoim adwokatem przez telefon - o czym, nie wiadomo, słyszano jedynie, że rozmowa odbywała się w mocno podniesionym tonie. Coś niecoś dowiedziano się od notariusza, któremu nieboszczyk polecił

wygotować testament całkowicie wydziedziczający nie tylko własną córkę, lecz również wnuczkę Elfrydę. Notariusz na polecenie klienta gromadził ostatnio za wszelką cenę efekty w papierach wartościowych. Niemal cały majątek był w kasie pancерnej starego Junga oraz u notariusza. Ale to wszystko było jeszcze niczym wobec innego pociągnięcia starego kupca. Otóż dziadek Jung odszukał gdzieś w Niemczech jakiegoś zgoła zapomnianego wnuka swego brata stryjecznego, nazwiskiem Jung, i sprowadził młoczaka -- określenie Elfrydy - do Gdańska. Taki sobie chłopaczek, świeżo po maturze i mający niespełna dwadzieścia lat. Syn drobnego biuralisty magistrackiego z Nadrenii. Dziadek wezwał do siebie wnuczkę i przedstawił jej chłopca jako swego kandydata na jej męża. Uczynił to w dodatku w sposób tak ordynarny czy apodyktyczny, że Elfryda wskazała... dosłownie pisze: „wskazałam palcem na żółtodziuba i spokojnie zapytałam dziadka, czy to mowa o tym smarkaczu”. Dziadek uniósł się gniewem, Elfryda nie wytrzymała i strzeliła drzwiami w odpowiedzi. Coś tam dziadek Jung mówił, że „Elfryda trzyma razem z tymi szmaciarzami Jamborami”, ale ona sama nie może sobie dokładnie przypomnieć słów nieboszczyka, ponieważ była mocno wzburzona.

Stało się, a dziadek usiadł przy biurku i zaczął płodzić różne koncepcje dla notariusza. Właśnie po zebraniu tych brulionów wsiadł do samochodu i rozbił się o drzewo przy szosie. Samochód spłonął, spłonęła również teczka z papierami.

W ten sposób zakończyły się szaleńcze pomysły mściwego starca. Spadkiem po dziadku podzielili się w równych częściach: moja ciotka Elfryda - jako córka, i Elfryda - jako wnuczka. Dokonano wyraźnego podziału, ponieważ Fryderyk Garden w najbliższym czasie przenosi się na stałe do Londynu i właśnie obecnie rozgraniczają w rodzinie wartości majątkowe.

Na wniosek kuzynki Elfrydy nadrenski imiennik dostał w prezencie dziesięć tysięcy marek i zbiór marek pocztowych, który znaleziono w gabinecie nieboszczyka. W taki to sposób zakończyła się epopeja starego Grossvatera Willy Junga. W ciągu całego swego życia dokuczał rodzinie, ale przegrał na finiszu.

Sobota - 26 listopada

List od Zośki. Nie może się mnie doczekać. Podobno Tuchołkowie mają jakieś plany i chcą się z nami rozmówić. Zośka podejrzewa, że szwagier ma zamiar nabyć majątek na kresach. Tam ziemia jest tania i pan starosta pragnie zabawić się w dziedzica. Widocznie nie ma innych kłopotów na głowie i pragnie nabyć je razem z majątkiem. Naprzód dyrektor banku i ekonomista po przeczytaniu kilkunastu podręczników, później powiatowy starosta, a obecnie kandydat na dziedzica... Ho... ho... ho! Popatrz, popatrz, jak mawia wujek Michał.

Co do mnie, rozkoszuję się ciszą, spokojem i samotnością. Nikt na mnie nie leci, mężczyźni mijają mnie obojętnie, to bardzo dobrze.

Niedziela - 27 listopada

Jutro wyjazd do Paryża. Już zamówiłam sobie sleeping, ostatni w ramach książeczki Cooka. Robiłam obrachunki, wydałam moc pieniędzy, ale mam prezenty z Włoch dla wszystkich. W Rzymie zakupiłam nawet specjalną suknię na audiencję u papieża. Nie chciałam wypożyczać, ponieważ brzydziłabym się włożyć na siebie cudze łąchy. Czarna, długa i bardzo niemodnie wyglądająca suknia, czarne pończochy i coś w rodzaju małego kwefu do nakrycia głowy. Podobno taka moda obowiązuje w Watykanie. Ale widocznie tylko tam, ponieważ w kościele Świętego Piotra widziałam gromadki strojnie ubranych kobiet romansujących z przystojnymi monsignorami w jedwabiach, koronkach - i owszem, owszem... Znacznie byli bardziej eleganccy od mojej przygody na Helu. Naprawdę przystojni i podobał się mojej kobiecości. Ale to u mnie jakoś zdrzemnęło się, nie dokucza mi. Bardzo mi z tym dobrze. Widocznie działa nadmiar nowości i innych wrażeń.

Opowiadano mi o licznych okazjach i możliwościach zawierania znajomości na tutejszym terenie. Gdy kobieta nie pragnie, nie zawiera takich znajomości.

Myślę już o Warszawie. Przeskakuję nawet Paryż i rozmyślam o tym, co mnie oczekuje od stycznia w Warszawie, o której niegdyś marzyłam.

W Paryżu mam zamiar oddać się po raz drugi w ręce Cooka. Słyszałam o możliwościach trzech dni oraz jednego tygodnia. Wybiorę chyba cały tydzień i zwiedzę dokumentnie zabytki paryskie. Trzeba będzie pójść również do francuskiego kabaretu oraz do opery. Nie wystarczy przecież zwiedzić tylko jeden rosyjski kabaret z klozetową hrabiną i automatem z prezerwatywami w damskiej toalecie. Na to im przyszło, że carski dwór zamienili na klozety z automatami. A tutaj jeszcze dotychczas opowiadają, że świat i Riviera były dla nich za ciasne, myśleli jedynie nad najbardziej dzikimi sposobami wydawania pieniędzy. Przeminięło. Zostały jedynie klozety i kabarety, obsługiwane przez pseudoczerkiesów.

Paryż - 29 listopada

Na dworcu czekał na mnie samochód, a lokaj przy wyjściu ze sleepingu. Znaczna różnica temperatury - chłodno, zimno. Po Mentonie Paryż wydaje mi się miastem bardzo ponurym. Widocznie grudniowa pora nie dodaje uroku paryskim murom, widziałam je jeszcze w obramowaniu zieloności i pierwszych liści jesiennych. Koniecznie trzeba będzie zagrzebać się w muzeach itp. Akurat czas jest ku temu odpowiedni.

W czwartek przyjeżdża do Paryża Elza. Patrycja dojechała szczęśliwie do Davos i znajomi lekarze z miejsca zabrali się do niej. W sobotę mamy w trójkę pójść do Folies-Bergeres, to znaczy trzy panie. Będzie to pójście ekscentryczne, bez panów. Pani Maltz ma zakupić bilety.

Czwartek - 1 grudnia

Od poniedziałku bity tydzień zwiedzania Paryża autokarem. Od rana do wieczora, posiłki we wspólnym towarzystwie, lecz na własny rachunek. Wycieczki do teatrów, wszystko z góry rozplanowane w drukowanym programie.

Wczoraj poszłam z wizytą do pułkownikostwa. Były długie opowiadania o podróży włoskiej, zazdrościli mi Mentony. Tutaj podobno wciąż nieszczęśliwie z pogodą, deszcze i zimno. Bardzo mili ludzie, mimo że dom. jakiś sztywny. Przyjmowali mnie jednak bardzo grzecznie i zaprosili na francuski obiad w niedzielę wieczorem.

Piątek - 2 grudnia

Odwiedziłam radcostwo. Ucieszyli się i przyjęli mnie w sposób rodzinny, naturalny. Oni mają również zaproszenie na niedzielę. Uradziłyśmy z panią, że jutro rano zrobimy wyprawę do sklepów. Mówiłam o futrze, pomoże mi w zakupie. Wolę kupować z nią niż z Mrs. Maltz. Zbyt wielka jest różnica między naszymi książeczkami czekowymi.

Sobota - 3 grudnia

Piszę na chodniku w małej kawiarence koło A Bon Marche. Pomimo chłodu stoliki wystawione na chodnik. Futro odesłałam już do domu, zabrał szofer samochodem. Odwiozłam również do mieszkania moją polską opiekunkę, a sama usiadłam w spokoju przy filiżance kawy z rogalikiem nadziewanym musem z jabłek. Bardzo dobry rogalik, podany na gorąco, z francuskiego ciasta. Zrobiłam przed chwilą obrachunek: Cook 230, osobno 50, Mentona 200, a dzisiaj podjęłam 250 dolarów, moje konto skurczyło się do 270 dolarów. Za futro zapłaciłam cztery i pół tysiąca, zostało mi w rękach dwa tysiące franków. Głupia cena futra: 4475 franków, widocznie i u nich obowiązuje kupiecka arytmetyka, stosowana od dawna w naszych sklepikach.

Głupie kombinacje z dolarami i frankami. Ostatecznie, po przeliczeniu, moje popielate karakuly kosztują mnie niewiele ponad 1600 złotych, bardzo tanio w porównaniu z popielicami. Przydadzą się w Warszawie. To bardzo głupio, gdy się obnasza tylko jedno futro. Lisów nie ma co liczyć, ponieważ są złachane. Przydałaby się jakaś reprezentacyjna pelerynka, na przykład z platynowych lisów, ale o tym na razie nie marzę. Wydałam i tak moc pieniędzy, a trzeba będzie w tym roku pomyśleć o prezencie ślubnym dla bratowej. Podobnie - Marysia Kawczyńska. Obecne dwa tysiące franków musi wystarczyć mi do końca pobytu w Paryżu. Tydzień zwiedzania już opłaciłam.

Jutro przyjęcie. Pójdę w mojej czarnej sukni z weluru. To w każdym razie wypadnie lepiej od kostiumu smokingowego, w którym wybieram się na naszą dzisiejszą eskapadę rewiową. Do smokingu kupiłam sobie dzisiaj białą błyszczącą bluzeczkę, zapiętą pod szyję, gors wypełniony prawdziwym zatrzęsieniem marszczonego tiulu jedwabnego. Będzie doskonale wyglądać. Poważny kostium smokingowy i poprzez kłapy las tiulu.

W Rzymie kupiłam płyciutkie czółenka z lakieru. Bardzo wykwintne i nawet moje wielkie stopy wyglądają w nich nienajgorzej. Wobec płytkości i odpowiednio dobranego obcasa noga nie wydaje się tak duża. Przydadzą się na tego rodzaju okazje, których chyba również w Warszawie nie zabraknie.

Wczoraj nadeszło z Berlina zaproszenie na ślub. W drugie święto Bożego Narodzenia, po ślubie mają wyjechać do Szwajcarii, ale tylko na dwa tygodnie. Krystyn pisze, że nie mogą na dłużej, ponieważ nie pozwala mu na to jego obecne zajęcie. Nie pisze jakiej.

W nocy - po powrocie z rewii

Wróciłyśmy prościutko do domu. Rewię potraktowałyśmy jak teatr. Szatańska feeria nagości kobiecej, bogatych dekoracji i świateł. Zmiana obrazów tak szybka, że trudno zapamiętać szczegóły i wydawać o nich jakieś detaliczne osady. Sądzę, że już nic nie można by wstawić do takiego programu, detale nawet, takie czy inne, byłyby nieważne wobec podniecającej męczyzn mas nagich ciał kobiecych. Miałyśmy dobre miejsca. Wszystkie trzy byłyśmy ubrane w sposób niemal jednakowy. Obie towarzyszące mi panie bywały tutaj już wielokrotnie na różnych programach i zapewne w różnych towarzystwach.

Co do mnie, starałam się przybrać postawę obojętną i zapomnieć o własnej kobiecości. Bo i czymże jest taka rewia nagich ciał? To tylko francuski bilet reklamowy dla etranżerów. Dla męczyzn - niewątpliwie środek mocno podniecający, dla kobiet sama nie wiem co... Być może nawet jakaś pobudka do ulegnięcia tej fali, która niby zachęca i kusi, a w gruncie rzeczy roznamiętnia...

Nie mogę spać. Przyszły tydzień wypełni mi autokar i kalejdoskop szczegółów. Paryż oglądałam dotychczas jakby przez szybę wystawową. Niczego w tym mieście nie przeżyłam. Trzeba mi było odwiedzić chociażby malarską pracownię kuzyna moich znajomych. Przecież tak zaraz by mnie nie zgwałcił. Zawsze można dać męczyźnie w zęby lub ostatecznie rzec mu coś do słuchu. Nie potrzeba zbyt wiele dowcipu, by pojąć wymachiwanie Napoleona pochwą od szpady, podczas gdy jego prawodawcy usiłowali wetknąć swoje obnażone szpady do pochwy trzymanej w ręce cesarskiego kodyfikatora. Był to dowód na to, że nie można zrobić kobiecie dziecka, gdy ta się nie godzi. I dlatego znalazło się w Kodeksie Napoleona słynne zdanie: *la recherche de la paternite est interdite*.

Gdyby było można i gdyby to akurat było pod ręką, schrupałabym sobie na deser jakiegoś miłego chłopczyka. Ale cóż! Tego nie ma na miejscu, jest godzina druga w nocy, a z obrazu na ścianie przygląda mi się figlarnie masywna Wenus z kopii Fragonarda. Bo również i to jest wyłącznie dla męczyzn. Nagość w sztuce. Wyłącznie nagość kobieca, malowana nawet przez malarki, bo taki jest zwyczaj.

W sztuce malarskiej czy też rzeźbiarskiej jedynie figlarnie i dobrze odżywione pędzlem amorki czy aniołki korzystają z frywolnej swobody, natomiast Efeb ze stropu Kaplicy

Sykstynskiej prezentując swą nagość, zakrył męskość przez podniesienie do góry prawego kolana, mimo że była to dla niego niekoniecznie dogodna pozycja...

Ale dość tego. Teraz trzeba się wyspać, aby dobrze wyglądać na przyjęciu. Elza ofiarowała mi się z pomocą toaletową. Otworzyła przede mną swoje dwie paryskie szafy. Istny skład sukien i detali kobiecych. Podziękowałam grzecznie, lecz skorzystałam z okazji i przyjrzałam się modelom. Chyba ze trzydzieści różnych toalet, en tous cas. Pójdę jednak w czarnej sukni welurowej. Po drodze wstąpię do kwieciarni i dobiorę sobie jakiś żywy kwiat do przybrania. I tak trzeba będzie przynieść kwiaty dla gospodarzy; zastosuję w tym wypadku poznański czy niemiecki zwyczaj.

Niedziela - późnym wieczorem

Przyjęcie było okazałe, pewnie ze trzydzieści osób. Sami swoi z dyplomacji, trochę znajomych Francuzów, jakiś bardzo honorowany generał. Nie warto opisywać, to nie wniosło do mojego życia nic ciekawego. Z Pont du Vert oddali mi do dyspozycji samochód, wyglądało bardzo nobliwie.

W południe napisałam moc listów. Prosiłam o odpowiedzi do Poznania, opisałam wszystko dokładnie - czego od kogo chcę.

Poniedziałek - 5 grudnia

Jeżeli w dalszym ciągu utrzymają dzisiejsze tempo, to zmęczą nas porządnie za nasze własne pieniądze. Tylko trzydzieści osób, przewodnik istny poliglota i równocześnie mówiąca encyklopedia na wszystkie tematy owiązane ze sztuką i zabytkami Paryża.

Wtorek - 6 grudnia

W Luwrze przyczepili się do nas w sposób dyskretny malarze i różni kopiści. Proponowali swoje usługi, określali posiadane kopie obrazów, usiłowali wkręcać małe szkice. Wybrałam starszego pana z kozią bródką, określiłam mu, o co mi chodzi. Wręczyłam nawet 50 franków zadatku - w zamian za bilet wizytowy z adresem. Okazało się, że dobrze zna rysunek Boucherowskiej Dziewczyny. Był zdziwiony moim żądaniem skopiowania obrazka w jakimś większym formacie, wmawiał we mnie format oryginałów Bouchera, chciał mnie nawet wieźć z miejsca do jakiegoś muzeum ze zbiorami rysunków Bouchera. Ma mi przywieźć gotowy szkic, dokładną kopię, malowaną cielistą kredką, już w czwartek. Umówiona cena dwieście franków, obrazek w formacie 50 na 70 centymetrów, ponieważ taki jest normalny format papieru. Papier w kolorze bladego seledynu, a rysunek w czerwonocielistym kolorze. Zwróciłam uwagę na konieczność wiernej kopii, bez żadnych dodatków; wspomniałam, że ceniałabym sobie fotograficzną wierność kopii. Kozia Bródka z czarnym artystycznym krawatem uśmiechnął się do mnie w sposób wyrozumiały i wyrzekł tylko dwa słowa:

- Oui, madame.

Zobaczmy, co z tego wyniknie, inni męczennicy zwiedzania Paryża w autokarze czynili również zamówienia i dawali zadatki. Widocznie taki zwyczaj.

Środa - 7 grudnia

Na odmianę Wersal. Podobała mi się beztroska przestrzeń i nieliczenie się z otoczeniem. Pałac i park mają głęboki oddech i uniknęły, jak dotychczas, dusznego zagęszczenia.

Obrazy na ścianach są nieważne. Nie będę się również zatrzymywać przy mieszkaniu córki Marii Teresy. Bo tak ją trzeba nazywać, nie było w niej nic francuskiego. Dwór wiedeński wycisnął na swej córce wyraźne piętno lekkiego życia i nic dziwnego, że spuszczone jej na kark nóż gilotyny. Nie była umysłowo przygotowana do francuskiego otoczenia i podzieliła smutny los małego człowieczka, którego nieopatrzny los wtłoczył w

królewską purpurę zamiast pozwolić mu na pędzenie życia w guście Portosa po porzuceniu muszkieterskiego kaftana i ustaleniu się w swoich dobrach, kupionych za pieniądze starej wdowy po prokuratorze. Ludwik XVI na pewno byłby się lepiej wyżył w jakimś szlacheckim zamku na zapadłej prowincji niż w królewskim Wersalu wypełnionym intrygami filozofów i bankierów oraz szacherkami arystokratów. Taki król, odmawiający na kolanach wieczorne pacierze, nie nadawał się na następcą Ludwika XV, goniącego nagie nimfy w królewskim Parku Jelenim. Francji tych czasów byłby się przydał monarcha w rodzaju angielskiego Henryka VIII.

Ciekawe, że właśnie przekupki paryskie z hal najbardziej pragnęły rozerwać Marię Antoninę na kawałki, mimo że babki tych samych przekupek przyniosły królowej Marii Leszczyńskiej w darze trufle i mówiły wówczas podobno:

- Jedz, najjaśniejsza pani, trufle wzmacniają płodność...

Wnętrza pałacu nie pociągnęły mnie w takim stopniu, jak perspektywa parku i otoczenia. Pałac może wypełnić dziełami sztuki byle parweniusz i bogacz, na park wersalski mógł zdobyć się jedynie wielki król. Ostatni wielki król, późniejsi jego następcy byli tylko nieudolnymi kopiami, manekinami ubranymi w królewskie szaty.

Czwartek - 8 grudnia

Kopia udała się. Ja również udałam, że zapomniałam o wręczeniu zadatku i zapłaciłam za obrazek przy odbiorze dwie stufrankówki. Kozia Bródka pojął sens mojego zamówienia, kopia została wykonana lekko i wiernie, bez dodatków. Nie spodobała mi się jedynie zbyt mocna kreska w pośrodku, ale zmilczałam. Nie wypadało jakoś poruszać tego detalu. A może to tylko tak wypadło z racji powiększenia? Chociaż. Ależ... to nie była jakaś grzeszna dziewczica z Piekła Dantejskiego...

W każdym razie całość przemawia do mojej wyobraźni. Nie wiem, jak wygląda Boucher w oryginale, ale wydaje mi się, że kopii wyszło na plus, że do pociągnięć cielistą kredką malarz dodał delikatne, w miarę delikatne tło z kilku kresk białego gwaszu, uwypuklając w ten sposób jeszcze bardzo dziecinne ciało młodej dziewczyny.

Kozia Bródka twierdził, że w tym wypadku jest to szkic Bouchera do późniejszego, już olejnego obrazu jednej z kochanek Ludwika XV, niejakej Louise O'Murphy. Jakie to charakterystyczne: królowie posiadają kochanki z tej racji, że są królami, natomiast bogacze dlatego, że je sobie kupują.

Każę oprawić szkic w stylowe ramki, wąskie, wyłożone dukatem i z narożnikami cieniowanymi w stylu XVIII wieku.

Sobota - 10 grudnia

Przygotowuję się powoli, lecz systematycznie do wyjazdu. Na razie nie kupiłam jeszcze żadnego prezentu ślubnego dla Erny. Ofiaruję jej wenecką broszkę w postaci kamei z głową kobiecą, wykonaną z muszli i ujętą w złotą oprawę. Dałam za nią w Wenecji 275 lirów. Dużo, ale broszka bardzo piękna, rzeźba nietuzinkowa. To będzie prezent z drogi, z podróży do Włoch. Dla Krystynka jeszcze nie mam żadnego dowcipu.

Specjalnych sukni nie kupowałam. Dolarów z konta nie podjęłam, zostawiam je jako rezerwę na moje przyszłe podróże zagraniczne. Niech to będzie mój pierwszy punkt zaczepienia się w tym szerokim świecie. Jakoś mi wystarczy. Już dzisiaj wręczyłam służbie pożegnalne porcje stufrankówek. Dodatkowe stufrankówki wsunęłam kucharce i portierowi. Kucharka starała się o moje zdrowie i apetyt, a portier zawsze klaniał mi się z wielką rewerencją. Dla Miss Kory przywiozłam z Włoch drobne upominki. Dzieciom kupiłam to, na co miały ochotę. Same sobie wybrały prezenty. Ksenia kupioną lalkę z miejsca nazwała Anną, a chłopiec dostał model maszyny parowej, uruchamianej za pomocą płomienia spirytusowego.

W dniu dzisiejszym - jak zwykle - obiadowaliśmy same w trójkę. Elza jakoś na razie utkwiała w Paryżu. Do Cannes zamierza wrócić dopiero w połowie stycznia, przedtem obie panie zamierzają odwiedzić rodzinę w Szwajcarii i przy tej okazji zawadzić o Davos. Namawiały mnie do tych podróży, ale zrozumiały konieczność styczniowej daty i kłopoty ze ślubem berlińskim. Co do tego ślubu, to nie zamierzam kupować specjalnej białej sukni. Wystarczy stara suknia ze ślubu Gabrysi i Leokadii.

Zapraszałam obie panie do Warszawy. Elza podeszła do tych zaprosin z uniesieniem.

- Ach, podróż do Warszawy, to byłoby ciekawe. Tam jeszcze nie byliśmy, to może być prawdziwa egzotyka. Wiesz, Temmi, warto byłoby pojechać i zobaczyć tę Warszawę. Nasza Florencja tyle lat tam siedzi. Jak ona może tam wytrzymać?

Pani Maltz roześmiała się po usłyszeniu słów Elzy Dubow, lecz również podjęła inicjatywę i poparła moje zaprosiny.

- Kto wie, Anno, może przyjedziemy... Może nawet zjawimy się u was wcześniej, niż nas oczekujecie.

Poniedziałek - 12 grudnia

Nie mogę dospać tej ostatniej nocy w Paryżu. Obudziłam się o godzinie czwartej rano i rozmyślałam. Wczoraj wieczorem odbył się na moją cześć pożegnalny obiad. Był nawet „domowy mężczyzna dobrze wychowany”, pan Krymułt, i prosił mnie o przyjęcie drobnego upominku w postaci trzytomowego dzieła o Paryżu. W dodatku zakupił dla mnie nowy egzemplarz i uwiecznił na nim swoją dedykację. Cóż miałam robić - przyjąłam, dziękowałam.

Znajomym polskim złożyłam wizyty pożegnalne. Również zapraszałam do odwiedzin w Warszawie - z adresem per nasza generałowa Wirewiczowa. A zatem wieczorem odjazd! Ale mój obecny pobyt miał jedynie charakter studenckiego rekonesansu. Nie poznałam prawdziwego Paryża, ponieważ ów widziany z okien autokaru - to tylko kalejdoskop pięknych widoczków. Powrócę, powrócę na pewno!

Środa - 14 grudnia

Znowu rezyduję w gościnnym gabinecie starego doktora. Na Wyspiańskiego oczekiwały mnie trzy listy, z Gdańska, z Warszawy i od Zośki. Ta ostatnia zapowiedziała swój przyjazd jutro wczesnym rankiem. Z Gdańska napisali, że wszyscy troje zjawią się w Berlinie już dwudziestego czwartego, to znaczy w Wigilię, korespondencja z nimi przez Heinricha. To bardzo ładnie ze strony młodszej Elfydy, że nie chowa żalu do naszego Krystynka. Mnie się wydaje, że dziewczynę spotkał wielki zawód, ale podniosła śmiało głowę do góry i własnym zjawieniem się na berlińskim ślubie pragnie stworzyć dla siebie samej jakąś moralną odtrutkę. Bardzo dzielna dziewczyna.

Ostatni dzień w Paryżu był dziwnie smutny. Wszyscy troje odwieźli mnie na dworzec i uroczyście wsadzili do wagonu sypialnego. Ciotka Temmi podarowała mi bardzo ładną puderniczkę, stare srebro, czarna emalia, a zewnętrzne reliefy rysunków wyzłocone. Oryginalna Tuła. Elza weszła w porozumienie z pokojówką i dopiero na dworcu powiedziała mi w sposób rozbijający, że do jednej z moich waliz włożyła stary szal hiszpański, oryginalny i osobiście przez nią nabyty w Meksyku.

Wyjechałam zatem z Paryża mocno obdarowana, aż mi wstyd. W Berlinie oczekiwał mnie tym razem tylko Krystynek, podobno rodzeństwo w tym czasie było gdzieś zajęte czym innym. Brat zawiózł mnie do siebie - dwa pokoje z łazienką, w bardzo nobliwej dzielnicy. Umeblowanie w guście angielskim, chłodne i poważne.

Hans ofiarował mi wiązanek kwiatów, tak że do Poznania przywiozłam dwa cuda kwieciarniane. Pan małżonek Patrycji również wysadził się na dziesięć wspaniałych róż sztamowych, ułożonych w reprezentacyjnie wyglądającym pudełku z etykietą znanej paryskiej kwieciarni. Noblesse oblige. U Krystynka czekała na mnie dobrze opakowana kopia

Chodowieckiego, brat zdobył się nawet na gest i kazał podrobić dokładną kopię ram sprzed z górą stu lat. Na polskiej granicy miałam kawał właśnie z tymi ramami. Jakoś przeboleli kopię portretu chłopca, ale kazali mi zapłacić osiemdziesiąt sześć złotych cła za ramy. Spaskudzili mi spanie w sleepingu, odwijali opakowanie i wyglupiali się z tym cłem. Natomiast nie oglądali zupełnie zawartości walizek. Wizja cła od ram obrazowych przesłoniła im wszystko inne. Głupota, ponieważ mogli przyczepić się do dziesiątka innych rzeczy, bodaj w pierwszym rzędzie do mojego nowego futra!

Ale jakoś przebrnęłam, szkoda o tym wspominać. Paszport mam już przygotowany do następnego wyjazdu berlińskiego, ponieważ znajomy radca załatwił mi w ten sposób nowe wizy niemieckie, że mogę wielokrotnie wjeżdżać i wyjeżdżać z Niemiec - w granicach, obecnej ważności mojego paszportu.

Przyjęcie u przyszyłych krewnych było takie sobie, nijakie. Niby serdeczne, lecz właściwie chłodne, tyle że bardzo uprzejme. Erna ucieszyła się w sposób hałaśliwy z weneckiej broszki, ale w chwilę potem odłożyła ją i uczyniła to podobnie, jak czynią małe dzieci po otrzymaniu nowej zabawki. Tylko tyle, że znów poczułam na moich ustach kilka wilgotnych, dyszących namiętnością pocałunków. Nie lubię takich pocałunków.

W rezultacie jestem zadowolona z tego, że wróciłam do domu. W ten sposób nazywam mieszkanie starego doktora, z którym łączy mnie tyle miłych wspomnień. Notuję: moje słowa o domu sprawiły mu wiele przyjemności.

Dzisiaj po południu, zaraz po obiedzie, wyrwałam się do miasta i obleciałam wszystkie znajome kąty, podobnie jak to czynią dzieci po powrocie do wiejskiego domu z miasta, gdzie chodzą do szkoły. Wstąpiłam nawet na uniwersytet. Irenki nie zastałam w domu, wyjechała do Katowic, lecz jej mąż pokazał mi mój stary indeks, zaopatrzone we wszystkie podpisy. Moje prawo kręci się w dalszym ciągu w indeksie, te przyszłe dodatkowe uzupełnienia prawnicze - to szczeniak w porównaniu z siódmymi potami u prof. Taylora. Prawo również może mi się kiedyś przydać. To przyjdzie samo, niemal bez specjalnego wysiłku.

Niezależnie od tego wszystkiego patrzyłam na akademicki świat jakby z jakiegoś oddalenia, mimo że to dopiero pięć miesięcy od mojego dyplomu.

Poznańskie cukierki wydały mi się jakoś dziwnie małe i skromne. To były oczy dziecka, które patrzy na swoje dawne, stare zabawki w sposób lekkomyślnie niewdzięczny.

Właściwie Poznań - to wielka dziura. Wąbrzeźno - mała dziura i tylko w tym jest różnica. Całe szczęście, że osiedlam się w Warszawie.

Śmieszne doprawdy, ale prawdziwe. W Paryżu, byłam tylko w dwóch teatrach. W obu wypadkach - w ramach ostatniego tygodnia pod komendą programu autokarowego. W operze na „Traviacie” i w Komedii Francuskiej na Moliere.

Opera jest wspaniała. Samo olbrzymie wnętrze i wejście, z królewsko majestatycznymi schodami, robi niezapomniane wrażenie. W kinach byłam w sumie pięć razy, cztery razy w Paryżu i raz - w Rzymie, gdzie poszłam jedynie dlatego, aby się przyjrzeć, jak wygląda włoskie kino. Programy były nieważne. Tylko tyle, że w Paryżu na ogół palą papierosy w kinach, niemądry zwyczaj. Byłam również w kinie, w którym nie ma rzędów krzesel, jedynie luźno stojące fotele. Kosztowne bilety - po 50 franków; pokazują europejskie prapremiery amerykańskich szlagierów. Tam zaciągnęła mnie pani Maltz w okresie mojego pierwszego pobytu.

Koniec - chce mi się spać. Sen nadciągnął podczas pisania.

Czwartek - 15 grudnia

Paryskie i włoskie podróże oddaliły ode mnie moją dawną Zośkę. Wynudziły mnie tym razem mocno opowiadania siostry o jej erotyce, która w tych czasach spłynęła na nią jakąś wartką, nieprzyjemną falą. Te sprawy, dzięki Bogu, przechodzą obecnie z daleka ode mnie. Jakieś bielskie historie - w katowickim pokoju umeblowanym i równocześnie w dalszym

ciągu nasz wspólny kochanek z Helu. W każdym razie dyskretna przeszłość dla mnie, pomimo już tak bliskich i częstych spotkań Zośki z tym głupim księdzem. Już zdążyła nawet odwiedzić go na wsi; występowała w roli krewnej. Odwaga lub perwersja, przypuszczalnie jedno i drugie razem!

Interesy bez zmian. Ciotka Millerowa naprawdę przejęła się swoją podwójną rolą, to znaczy w sklepie i w rodzinie.

Na berliński ślub Zośka przyjedzie dopiero w Wigilię rano, umówiliśmy się w mieszkaniu Krystyna, tak chyba wypada.

Pozostaje jeszcze sprawa ze ślubem Marysi Kawczyńskiej. Również w drugie święto, i w dodatku daleko - na Pomorzu. Zośka zdecydowała osobiście, że trzeba jechać do Berlina ze względu na nową rodzinę, nie wiadomo jaką; to okaże się dopiero przy bliższym pozyciu. Co mi tam! Przecież nie będę się wstydzić ojcowskich bławatów i dziadkowego żelaza, dlatego że mojemu bratu wpadło do głowy małżeństwo akurat z Erną von Jamsborck.

Dla Marysi mam już ładny prezent z Włoch. Oni podobno po weselu u rodziców Marysi wracają na wieś i nie wyjadą za granicę. Zośka ostatnio przed miesiącem spotkała Kubusia w Grudziądzu u Herty. Chłopiec w dalszym ciągu zacudowany w Marysi. Właśnie od niej wracał z Gdańska i wstąpił do Grudziądza. To bardzo ładnie z jego strony i Zośka mówi, że z niego będzie rodzinny krewny.

Co do Tuchołków, to nie mają zamiaru ruszyć się ze swoich kresów i ograniczą się jedynie do życzeń za naszym pośrednictwem. Zośka bierze to za złe naszej Pelasi, ale jest niemądra, ponieważ Pelasia mówi i robi tylko to, co wyskoczy z mądrej głowy naszego szwagra.

Jutro po południu jadę do Warszawy. Już dzisiaj wysłałam telegram do Florencji, prześlę się u niej. Jakoś się pomieścimy, a do opowiadań paryskich lepiej nadaje się jej garsoniera niż Żoliborz czy willa generałowej na Mokotowie.

Pomimo że dopiero godzina ósma, wybieram się na spoczynek. Za pół godziny kolacja, a później zrobię zawód naszemu przyjacielowi i zamknę się w gabinecie. Trzeba się wyspać, ponieważ jutro czekają mnie długie nocne rozmówki z Florencją.

Zośka przywiozła mi trzy tysiące złotych. Trzeba będzie zrobić sobie jakiś rozsądny kosztorys wydatków miesięcznych i rocznych i następnie dotrzymać go z ołówkiem w ręce. Tymczasem czeka mnie Berlin i ślubny prezent. Sama nie wiem, co kupić. To bardzo głupia sprawa z tą rodziną „von”. Wolałabym, żeby było inaczej.

Szkoda, że nie mam pod ręką Leokadii, ona by mi doradziła. Doktor radzi kupić coś z biżuterii. Nie podoba mi się brak listu z Górek. Gabrysia - to bardzo zdrowa dziewczyna, z porodem pójdzie na pewno gładko, ale diabli wiedzą, wypadki chodzą po ludziach.

Spróbuję zadzwonić do Górek z Warszawy, od Florencji. W nocy będzie można łatwiej uzyskać połączenie telefoniczne.

Koniec z pisaniem, kolacja.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

CHRONOLOGIA WYDARZEŃ

Kilka słów wyjaśnienia, w jaki sposób walizka zawierająca bloczki ze stenogramami Anny Jambor znalazła się w rękach obcego człowieka

Część pierwsza BIURALISTKA

Maj - wrzesień 1928

Maj - Pierwsze zdania w bloczku do stenografii - Ciotka Katarzyna - Przygoda po dansingu - Mela - Biuro

Czerwiec - Zielone Świątki w domu - Wąbrzeźno - Jamborowie - Dziewczę z mokrą głową - Warszawa - Stryj Marcin

Lipiec - Listy stryjków - Nadzieje - Rodzinne genealogie - Pierwsze próby wyrwania się na uniwersytet

Sierpień - Krynica po raz pierwszy w życiu - Pułkownikowa - Książeczka PKO - Florencja, postać z krainy marzeń

Wrzesień - Prezenty - Gest Tante Katherine - Ojciec i wyznaczenie dwustu złotych miesięcznie na pobyt w Poznaniu

Część druga

UNIWERSYTET

Wrzesień 1928 - luty 1931

Rok 1928

Październik - Skarby Anny w momencie zapisywania się na uniwersytet - Odwiedziny u babki w Katowicach - Obraz prababki i opowiadania rodzinne - Pierwszy pokój studencki -

Język angielski - Wyjazd do domu na Zaduszki - Przygoda na dworcu w Toruniu

Listopad - Przeróbka rodzinnej pierzyny na dwie kołdry i firanki w oknie - Kwiaty dla Florencji - Wynurzenia koleżanki

Grudzień - Odwiedziny u koleżanki i opowieści erotyczne - Pokazowa lekcja gorsetowa - Imieniny u sąsiadki - Boże Narodzenie w Wąbrzeźnie - Bydgoski dyrektor u radcy Jambora w Warszawie

Rok 1929

Styczeń - Warszawskie pozwolenia przywozowe - Paryski szlafrok - Leokadia - Kluczenie bydgoskiego cwaniaka

Kwiecień - Co wynikło z podglądania sąsiadki - Pierwszy interes w życiu Anny - Dwa srebrne lisy - Kartoflana prowizja

Maj - Odwiedziny ciotki Magdy - Anna zyskuje pełnoletność i otwiera sobie konto w banku - Otwarcie Pewuki pozbawia Annę mieszkania

Czerwiec - Obkuwanie się do egzaminu - Gościna u starego doktora

Lipiec - Wynik bardzo dobry - Cztery dni w Bydgoszczy - Szwagier Tuchołka dyrektorem banku - Wąbrzeskie historie rodzinne - Anna poznaje Zakopane

Sierpień - Niefortunny adorator dostaje pięścią w nos - Pogrzeb dziadka Jambora - Testament starego kupca - Stryj Marcin postępuje tak, jak uważa za właściwe - W gościnie u gdańskiego stryjka - Gardenowie

Wrzesień - Prapradziadek Martin, protoplasta rodu - Spuścizna po dziadku Benonie

Październik - Nowy pokój - Walerka - Nowi gospodarza

Listopad - Trzeba oderwać się od Wąbrzeźna - Pierwsze przyjęcie u Anny

Grudzień - Krytyka studiów - Stryj Paweł i Maksio na imieninach u Leokadii - Pierwsze futro - Nowe zwierzenia Irenki - Boże Narodzenie w Katowicach

Rok 1930

Styczeń - Dokończenie świąt w Poznaniu - Dziesięć tysięcy złotych na koncie bankowym

Luty - Inżynierski dyplom Krystynka - Taniec koło kamienicy po dziadku - Gdańskie obywatelstwo

Marzec - Kwiecień - Zimowe wakacje w Zakopanem - Ile lat ma Leokadia? - Ślub Herty - Rezerwy pieniężne dają pewność siebie

Maj - Erotyka Zośki - Kliniczny dokument ma swoje dobre strony - Ojciec kupuje kamienicę w Grudziądzu

Czerwiec - Anna nabywa akcje Banku Polskiego

Lipiec - Oba egzaminy z wynikiem dobrym - Brodnica - Klucze od kasy i radź sobie sama - Trzeba odróżniać żyto od pszenicy - Działdowo - Monotonne życie

Sierpień - Urzędnicy pracują osiem godzin dziennie, krewni całą dobę - Ceny zboża spadają - Kryzys

Wrzesień - Odwiedziny w Grudziądzu - Marysia Kawczyńska - Anna rozróżnia już zboże nawet w ciemności - Strykowie buntują Annę - Dwa tysiące złotych na pociechę

Październik - Ojciec wstrzymuje pensję - Anna poznaje Faustyna Kruczka - Chce reformować cały świat, to chyba komunista?

Listopad - Nowa żona Franusia Świetlika - Rozmyślenia o konfesjonale - Kruczek przyczepił się

Grudzień - Stefcia - Córki doradzają skrobankę - Namowy nie skutkują - Stryj Marcin lekceważy całą sprawę - Irenka znalazła narzeczonego - Święta u starego doktora - Przyjęcie sylwestrowe u Anny

Styczeń - Młodzi Michalscy urządzają się w Bydgoszczy - Projekty zamieszkania u starego doktora - Tysiąc złotych dla ojca Stefcia - Pierwsza suknia balowa - Kompromitujące towarzystwo Faustyna Kruczka na pierwszym balu - Oświadczyły studenta - Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, ile kosztowała moja suknia balowa?

Luty - Nowe gospodarstwo Leokadii i Anny w mieszkaniu doktora Michalskiego - Imieniny ciotki Katarzyny - Bal Prasy

Marzec - Kruczкови wypowiedziano posadę w banku - Czym jest w oczach Anny prawo Część trzecia

OSTATNI ROK - KOCHANKOWIE

Marzec 1931 - wrzesień 1932

Rok 1931

Marzec - Anna zastępuje siostrę w Wąbrzeźnie - Rozmyślenia o małżeństwie - Najwyższy czas zdobyć się na własny styl życia: przede wszystkim chłód i rezerwa - Leokadia jako Zuzanna wśród trzech starszych panów - Wąbrzeskie interesy - Student, który podoba się Annie - Franusio w Poznaniu - Herta ma córeczkę

Kwiecień - Po co przyszedł do mnie? - Anna przegrała

Maj - Stefcia ma dziecko - Anna poddaje myśl, aby wydać ją za mąż - Trudności z długami w Grudziądzu

Czerwiec - Wiadomość o zgonie męża Leokadii - Annie udała się odpowiedź, nie udał się jedynie kochanek

Lipiec - Trzeci egzamin ekonomiczny - Odprężenie nerwowe - Ojciec jak zwykle obojętny - Gdańsk - Wakacje z Zośką na Helu

Sierpień - Jak było na Helu - Wreszcie granica została przekroczona - Działdowo - Polowanie na mężczyznę

Wrzesień - Przyjazd warszawskiej żony ułatwia zbliżenie - Idealny kochanek - Pocałunki nic nie dają - Koniec z letnimi manewrami, czas wrócić do szarego życia

Październik - Kwiaty stryja Pawła dla Leokadii - Obecnie jakoś inaczej patrzę na świat... - Głupia historia, dni niepewności - Skrobanka Zośki w krakowskiej lecznicy - Nareszcie - Anna zwierza się Leokadii - Opowiadanie o Godfrydzie Braunhold i... innych - Spotkanie z byłym kochankiem Leokadii

Listopad - Stefcia wychodzi za mąż - Leokadia kupuje kamienicę - Szmaragd dla Florencji

Grudzień - Imieniny Florencji - Leokadia o ojcu Anny - Nowe toalety - Nie należy wracać do byłych kochanków - Piotruś Tuchołka starostą? - Pan Jerzy w towarzystwie duplikatu

Leokadii - Wyprawa na zimowe święta w Zakopanem - Hotel „Stamary” - Śmierć babci

Rok 1932

Styczeń - Sylwester w łóżku - Życie wydaje się Annie szare i zamazane - Florencja opowiada o swojej rodzinie - Spadek po babce - Sygnet z herbem prababki - Pokój Anny w mieszkaniu Leokadii - Przyjaciółka pragnie odmienić sobie życie - Osobliwe oświadczyły - Stryj Marcin wraca - Zawiadomienie o ślubie Józefa - Wąbrzeskie awantury z ekspedientem.

Luty - Narzeczeni zachowują się jak smarkacze - Kupno majątku Górki w powiecie mławskim - Rodzina przyszłej żony Maksia - Grossvater Jung w Gdańsku wścieka się - Wznowienie starej firmy sprzed dwustu lat - Strykowie szacują majątek ojca Anny na milion złotych - Kupno futra z popielic - Diamentowy naszyjnik po praprababce Zofii Wildorf - Leokadia darowuje butony córce swojego przyszłego męża - Gabriela - Panieński wieczór - Wesele w wiejskim dworze - Ślub Leokadii - Wszystko głupie, ponieważ nie wyczaruje mi kochanka...

Marzec - Człowiek o gołęmbim sercu - Tajemnice rodzinne sióstr Zbislawskich - Ojciec jedzie na kurację do Kudowy - Mama działdowskiego synala oświadcza się Annie - Anna wiezie do Gdańska kandydata do ręki Marysi Kawczyńskiej

Kwiecień - Jak szybko zeszły te cztery lata - Nowy kandydat na męża - Goście w Poznaniu - Portret prababki von Rosenschwerth - Bankowy blondynek - Uzgodniliśmy nasze pożycie...

Maj - Chłopiec dobrze wychowany przez przyjaciółkę - Finiszowy bieg do dyplomu - Prowincjonalny adwokacina w konkurach - Klienci w sklepie - Stryk Paweł kupuje nowy folwark

Czerwiec - Śmierć ojca - Anna przywłaszcza sobie dwa pakiety akcji - Złote monety dla dzieci Pelasi - Pornograficzne druki - Zośka odnawia znajomość ze wspólnym kochankiem z Helu

Lipiec - Już po wszystkim: pani magister. - Matidia - Rysunek Bouchera - Projekty na przyszłość - Wartość spadku po ojcu - Przygoda na dansingu

Sierpień - Odmierzone, jak seans w kinie - Awantury w mieszkaniu doktora - W Gdańsku - Pierwsza spłata Krystynka - Dolarowa akredytywa na Paryż - Pierwsza wspólna noc z kochankiem

Wrzesień - Przygotowania do wyjazdu - Herbaciane róże dla kochanka - Świat został stworzony dla mnie.

Część czwarta

PO DYPLOMIE

Wrzesień - grudzień 1932

Wrzesień - Berlin - Odkrycie rodziny von Jamsborck - Narzeczona brata - Krystynek w brązowej koszuli ze swastyką - Paryż - Dom Patrycji - Historia domu - Marcin i Florencja z paryskiego oddalenia - Otwarcie konta dolarowego - W rosyjskim kabarecie - Adresaci listów polecających - Prospekty Cooka - Patrycja jedzie również - Niech żyje Cook!

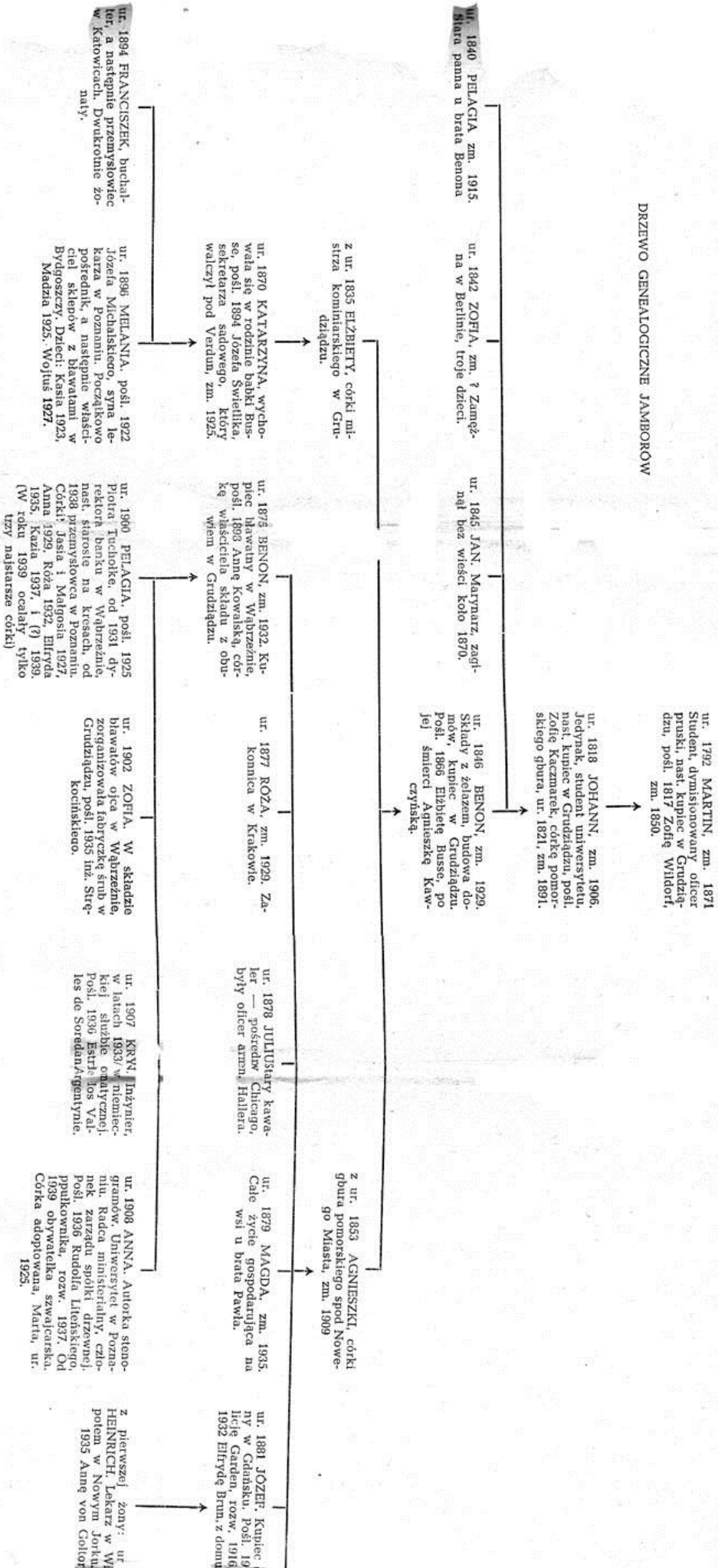
Październik - Cook ma program obliczony na minuty - Marsylia - Jak w kinematografie - Amerykański champion w rugby usiłuje pocałować Annę - Cannes i Elza Dubów - Problemy żydowskie i kalwińskie - Autokarowe szaleństwo Cooka - Anna przygląda się graczom - Piękno, brud i bieda - Błogosławieństwo Ojca Świętego - Matidia i portret pani Orzelskiej - Rzym, Neapol, Capri - Spotkanie na Posilippo - Choroba Patrycji - Mentona.

Listopad - Odwiedziny Elzy - Tragiczna śmierć Grossvatera - Wyrok lekarski - Patrycja mówi o sobie - Ostatnie pomysły Willy Junga - Powrót do Paryża.

Grudzień - Popielate karakuły - Folies-Bergeres - Zwiedzanie Paryża w autokarze - Kopia Boucherowskiej „Dziewczyny” - Pożegnanie Paryża - Berlińska kopia Chodowieckiego - U starego doktora: wróciłam do domu - Właściwie Poznań, to wielka dziura.

Drzewo genealogiczne Jamborów

DRZEWO GENEALOGICZNE JAMBOROW



Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1958 r.
Nakład 10 000+250 egz. Ark. wyd. 31,8 Ark. druk. 37,5. Papier
druk. sat. kl. V, 70 g, 61X86 cm. Oddano do składania 1.VII.57 r.
Druk ukończone w lutym 1958 r. Zakłady Graficzne Dom Słowa
Polskiego w Warszawie. Zam. nr 4763A B-72